

**Ken Follet**

# **Wejść między lwy**

**(Przełożył: Jacek Manicki)**

*Istnieje kilka prawdziwych organizacji, które wysyłają do Afganistanu lekarzy ochotników, ale Médecins pour la Liberté jest organizacją fikcyjną. Wszystkie miejsca wymieniane w niniejszej książce są autentyczne, z wyjątkiem wiosek Banda i Darg, których w rzeczywistości nie znajdzie się na mapie. Żadna z postaci, prócz Masuda, nie ma swoich odpowiedników w rzeczywistości.*

*Choć starałem się jak najwierniej oddać tło opisywanych w tej książce wydarzeń, to jednak stanowi ona tylko dzieło wyobraźni i nie należy jej traktować jako źródła rzetelnych informacji o Afganistanie ani też o czymkolwiek innym.*

CZĘŚĆ 1: 1981

## ROZDZIAŁ 1

Mężczyźni planujący zabójstwo Ahmeta Yilmaza byli ludźmi poważnymi. Ci wydaleny z kraju tureccy studenci mieszkający obecnie w Paryżu mieli już na swym koncie morderstwo attaché ambasady tureckiej oraz wysadzenie w powietrze domu dyrektora tureckich linii lotniczych Turkish Airlines. Yilmaza wybrali na swój następny cel dlatego, że był bogatym sponsorem wojskowej dyktatury oraz dlatego, że mieszkał sobie wygodnie w Paryżu.

Jego dom i biuro były dobrze strzeżone, a luksusowy mercedes opancerzony, ale studenci wychodzili z założenia, że każdy człowiek ma swoją słabość i że jest to na ogół seks. Jeśli chodzi o Yilmaza - nie mylili się. Kilka tygodni wyrывkowej inwigilacji pozwoliło stwierdzić, że Yilmaz dwa do trzech razy w tygodniu wychodzi wieczorem z domu, wsiada do renaulta kombi, którym jego służba jeździ po zakupy, i udaje się na spotkanie z piękną, zakochaną w nim Turczynką, mieszkającą przy cichej uliczce w Piątej Dzielnicy.

Studenci postanowili podłożyć bombę w renaulcie w czasie, gdy Yilmaz będzie w łóżku ze swoją kochanką.

Z materiałem wybuchowym nie będzie problemu: zdobędą go od Pepe Gozziego, jednego z wielu synów korsykańskiego ojca chrzestnego Meme Gozziego. Pepe był handlarzem broni i sprzedawał ją każdemu, ale preferował klientów kierujących się pobudkami politycznymi, bo - jak rozbrajająco przyznawał - „idealiści lepiej płacą”. Pomagał już tureckim studentom przy dwóch poprzednich zamachach, jakie przeprowadzili.

Plan podłożenia bomby miał jednak słaby punkt. Yilmaz odjeżdżał renaultem spod domu dziewczyny sam - ale nie zawsze. Czasami zabierał ją na obiad. Często ona sama brała wóz i wracała po półgodzinie obładowana pieczywem, owocami, serem i winem, sprawunkami przeznaczonymi najwyraźniej na kameralną ucztę we dwoje. Zdarzało się też, że Yilmaz zostawiał na parę dni wóz dziewczynie, sam zaś wracał do domu taksówką. Studenci, jak wszyscy terroryści, byli romantykami i nie chcieli wystawiać na niebezpieczeństwo życia pięknej kobiety, której jedyną, zasługującą jednak na wybaczenie zbrodnią było to, że pokochała niegodnego siebie mężczyznę.

Przedyskutowali ten problem w sposób demokratyczny. Wszelkie decyzje podejmowali przez głosowanie i nie uznawali żadnych przywódców; ale mimo wszystko znajdował się wśród nich ktoś, kto z racji siły swej osobowości dominował nad grupą. Nazywał się Rahmi Coskun i był przystojnym, porywczym młodzieńcem o bujnym wąsie i

natchnionych oczach człowieka, któremu pisana jest sława. To dzięki jego energii i determinacji udało się, mimo licznych przeszkód i znacznego ryzyka, przeprowadzić dwie poprzednie akcje. Rahmi poddał myśl skonsultowania się z ekspertem od bomb.

Z początku pomysł ten nikomu się nie spodobał. Komu można zaufać? - pytali. Rahmi zaproponował Ellisa Thalerę, Amerykanina, który podawał się za poetę, ale naprawdę utrzymywał się z udzielania lekcji angielskiego, a obchodzenia z materiałami wybuchowymi nauczył się jako poborowy w Wietnamie. Rahmi znał go chyba od roku: pracowali razem w redakcji efemerycznej rewolucyjnej gazety zatytułowanej „Chaos” i wspólnie organizowali wieczorki poetyckie, dochody z których zasilaty fundusz na rzecz Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Amerykanin zdawał się rozumieć wściekłość Rahmiego wywołaną tym, czego dopuszczano się wobec Turcji, i jego nienawiść do barbarzyńców, którzy brali w tym udział. Kilku innych studentów również znało przelotnie Ellisa. Widziano go na paru demonstracjach - przypuszczali więc, że jest absolwentem uczelni albo młodym profesorem. Wciąż jednak mieli opory przed przyjęciem w swe szeregi nie-Turka; ale Rahmi nalegał i w końcu zgodzili się.

Ellis natychmiast znalazł rozwiązanie ich problemu. Bombę należy wyposażyć w sterowany radiem zapalnik, powiedział. Rahmi usadowi się albo w oknie naprzeciwko mieszkania dziewczyny, albo w zaparkowanym na ulicy samochodzie, i będzie obserwował renaulta. W rękę będzie trzymał mały nadajnik radiowy wielkości paczki papierosów - coś w rodzaju urządzenia do automatycznego otwierania drzwi garażu bez wysiadania z samochodu. Jeśli Yilmaz wsiądzie do wozu sam, tak jak najczęściej się zdarzało, Rahmi naciśnie przycisk nadajnika i sygnał radiowy pobudzi zapalnik zegarowy bomby, która zostanie w ten sposób uaktywniona i wybuchnie, gdy tylko Yilmaz uruchomi silnik. Gdyby jednak do samochodu wsiadła dziewczyna, Rahmi przycisku nie naciśnie i ta będzie sobie mogła odjechać w błogiej nieświadomości. Bomba jest absolutnie nieszkodliwa, dopóki się jej nie uaktywni.

- Bez naciśnięcia przycisku nie dochodzi do wybuchu - zakończył swój wywód Ellis.

Rahmiemu spodobał się ten pomysł i zapytał Ellisa, czy nie zechciałby współpracować z Pepe Gozzim przy produkcji bomby.

Odpowiedział, że nie ma sprawy.

Potem w planie pojawiła się jeszcze jedna skaza.

Mam przyjaciela, powiedział Rahmi do Ellisa i Pepe, który chce się z wami spotkać. Prawdę mówiąc, musicie się z nim zobaczyć, inaczej cała sprawa weźmie w łeb, gdyż to właśnie ten przyjaciel daje nam pieniądze na materiały wybuchowe, na samochody, na łapówki, na broń, no - na wszystko.

A po co chce się z nami widzieć, dopytywali się Ellis i Pepe.

Musi się upewnić, czy bomba nie zawiedzie. Chce również sprawdzić, czy może wam zaufać, wyjaśnił przepaszającym tonem Rahmi. Wystarczy, że przyniesiecie do niego bombę, objaśnicie zasadę jej działania, uściśniecie mu rękę i dacie sobie spojrzeć w oczy. Czy to zbyt wygórowane żądania, jak na człowieka, dzięki któremu możliwa jest cała nasza działalność?

Jeśli o mnie chodzi, to nie ma sprawy, powiedział Ellis.

Pepe wahał się. Chodziło mu tylko o pieniądze, jakie spodziewał się zarobić na tym interesie - pieniędzy było mu wciąż mało, tak jak świni wciąż mało jest żarcia w korycie - ale nie znosił zawierania nowych znajomości.

Ellis pomógł mu podjąć decyzję. Posłuchaj, powiedział, te studenckie grupy rozkwitają i usychają jak mimoza na wiosnę i nie ma dwóch zdań, że Rahmi wkrótce się skończy. Jeśli jednak poznasz jego „przyjaciela”, będziesz mógł z nim ciągnąć interes, kiedy Rahmiego zabraknie.

Masz rację, przyznał Pepe, który nie był geniuszem, ale w lot chwycił zasady prowadzenia interesów, zwłaszcza gdy wykładano mu je w tak przystępny sposób.

Ellis powiadomił Rahmiego, że Pepe się zgadza i Rahmi zaaranżował spotkanie na nadchodzącą niedzielę.

\*\*\*

Tego ranka Ellis obudził się w łóżku Jane. Ocknął się raptownie ogarnięty uczuciem lęku, jak po sennym koszmarze. Po chwili przypomniał sobie powód swego napięcia.

Rzucił okiem na zegarek. Było jeszcze wczesnie. Przepowiedział sobie w myślach cały plan. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dzisiejszy dzień będzie tryumfalnym uwieńczeniem żmudnej, ostrożnej, trwającej ponad rok pracy. I jeśli pod koniec dnia będzie jeszcze wśród żywych, razem z Jane uczci swój tryumf.

Ostrożnie, tak by jej nie obudzić, odwrócił głowę i spojrzał na nią. Na widok jej twarzy serce jak zawsze żywiej zabiło mu w piersi. Leżała na wznak z zadartym noskiem wycelowanym w sufit, a jej ciemne włosy rozsypały się na poduszce niczym rozpostarte skrzydła ptaka. Popatrzył na szerokie, pełne wargi, które tak często i tak namiętnie go całowały. Wiosenne słońce podkreślało gęsty blond meszek, pokrywający dolną część jej policzków. Kiedy chciał jej dokuczyć, nazywał go brodą.

Rzadko miał szczęście oglądania jej taką jak teraz, leżącą spokojnie z odprężoną, nie wyrażającą niczego twarzą. Zwykle bywała ożywiona - śmiała się, chmurzyła, krzywiła, wyrażała zdziwienie lub sceptycyzm albo też współczucie. Najczęściej jednak na jej twarzy

gościł figlarny uśmieszek, jak u psotnego chłopca, który właśnie obmyślił szczególnie szatański psikus. Taka jak teraz bywała tylko podczas snu albo kiedy się głęboko zamyśliła; i taką kochał ją najbardziej. Gdy pogrążona w nieświadomości nie kontrolowała się, jej wygląd zdradzał płonącą tuż pod powierzchnią niczym leniwy, gorący, podziemny wulkan omdlewającą zmysłowość. Na ten widok korciło go wprost, by jej dotknąć.

Wciąż jeszcze go to zaskakiwało. Gdy spotkali się po raz pierwszy, a było to wkrótce po jego przybyciu do Paryża, zrobiła na nim wrażenie typowej wojującej aktywistki, z tych, które zawsze znajdują się między młodymi radykałami ze stołecznych miast i zasiadając w rozmaitych komitetach, organizują kampanie przeciwko apartheidowi oraz na rzecz rozbrojenia nuklearnego, kroczą na czele marszów protestacyjnych przeciwko wojnie w Salwadorze, a także zanieczyszczaniu wód, zbierają datki na głodujących mieszkańców Czadu lub usiłują lansować utalentowanego młodego filmowca. Ludzi przyciągała jej uderzająca uroda, zniewalał urok osobisty, udzielał się też im jej entuzjazm. Umówił się z nią parę razy dla samej tylko przyjemności obserwowania ładnej dziewczyny pałaszującej z apetytem stek; a potem - nie pamiętał nawet dokładnie, jak to się stało - odkrył, że we wnętrzu tej roztrzepanej dziewczyny żyje namiętna kobieta, i zakochał się.

Błądził wzrokiem po jej małym mieszkanku. Rozpoznawał z przyjemnością sprzęty nadające temu wnętrzu jej piętno: ładną lampę wykonaną z chińskiej wazy; półkę z książkami o ekonomii i światowej nędzy; przepastną, miękką sofę, w której można było utonąć, fotografię jej ojca, przystojnego mężczyzny w dwurzędowej marynarce, zrobioną chyba na początku lat sześćdziesiątych; mały srebrny puchar, który przed dziesięciu laty, w roku 1971, zdobyła na swoim kucyku Dandelionie. Miała wtedy trzynaście lat, a ja dwadzieścia trzy, pomyślał Ellis; i kiedy ona wygrywała zawody kucyków w Hampshire, ja byłem w Laosie i zakładałem miny przeciwpiechotne na Szlaku Ho Chi Minha.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył to mieszkanie, a od tamtej chwili minął już prawie rok, dopiero co przeprowadziła się tu z przedmieścia i były to wtedy właściwie same gołe ściany; zwyczajny pokój na poddaszu z kuchenką we wnęce, kabiną natryskową i toaletą w korytarzu. Stopniowo przekształciła tę ponurą mansardę w urocze gniazdko. Jako tłumacz z francuskiego i rosyjskiego na angielski zarabiała dobrze, ale płaciła duży czynsz - mieszkanie znajdowało się blisko Bulwaru St. Michel - wydawała więc pieniądze rozważnie, odkładając na upatrzony mahoniowy stół, antyczne łoże i kobierzec z Tebrizu. Należała do kobiet, o których ojciec Ellisa mawia, że mają klasę. Polubisz ją, tato, pomyślał Ellis. Oszalejesz na jej punkcie.

Przekręcił się na bok, twarzą do niej, i tak, jak się spodziewał, ruch ten obudził ją. Jej wielkie niebieskie oczy wpatrywały się przez ułamek sekundy w sufit, potem spojrziała na niego, uśmiechnęła się i też przekręciła na bok trafiając prosto w jego ramiona.

- Cześć - wyszeptała. Pocałował ją.

Wzwód był natychmiastowy. Leżeli przez chwilę w półśnie, wtuleni w siebie, całując się raz po raz; potem zarzuciła mu nogę na biodro i zaczęli się kochać w milczeniu i bez pośpiechu.

Kiedy po raz pierwszy zostali kochankami i potem, kiedy zaczęli uprawiać miłość rankami, nocami, często nawet popołudniami, Ellis przypuszczał, że ta namiętność nie przetrwa długo i że po kilku dniach, no może po kilku tygodniach, czar nowości pryśnie i przejdą na dwa i pół raza na tydzień, czy ile tam wynosi statystyczna przeciętna. Mylił się. Minął rok, a oni wciąż nie mieli siebie dosyć i zachowywali się jak para nowożeńców w czasie miodowego miesiąca.

Położyła się na nim i przywarła doń całym ciężarem. Wilgotna skóra ich ciał przylgnęła do siebie. Otoczył ramionami jej drobne ciało i przytulając ją mocno, wszedł w nią głębokim pchnięciem. Wyczuła, że jego podniecenie sięga szczytu, uniosła więc głowę i spojrziała na niego, a potem, kiedy spełniał się w niej, pocałowała go rozchyłonymi ustami. W chwilę później wydała cichy, niski jęk i z kolei on poczuł, jak przedłużonymi, łagodnymi skurczami ona osiąga poranny niedzielny orgazm. Pozostała na nim, wciąż na wpół tylko rozbudzona. Poglądził ją po włosach.

Po chwili poruszyła się.

- Wiesz, jaki dziś dzień? - wymamrotała sennie.

- Niedziela.

- To twoja niedziela na robienie lunchu.

- Nie zapomniałem.

- To dobrze. - Przez chwilę trwało milczenie. - Czym mnie dziś uraczysz?

- Będzie stek, ziemniaki, groszek, owczy ser, truskawki i krem Chantilly.

Roześmiała się i uniosła głowę.

- Zawsze to robisz!

- Wcale nie. Ostatnio była fasolka po bretońsku.

- A przedtem w ogóle zapomniałeś i jedliśmy na mieście. Może byś urozmaicił trochę swoją kuchnię?

- Zaraz, zaraz. Zgodnie z umową przyrządzamy lunch na zmianę, co drugą niedzielę. Nie było mowy o tym, że za każdym razem ma to być inny lunch.



Osunęła się znowu na niego udając, że uznaje się za pokonaną.

Przez cały czas nie opuszczała go myśl o zadaniu, jakie dziś go czekało. Będzie potrzebował jej nieświadomej pomocy i teraz nadarzał się właściwy moment, by ją o to poprosić.

- Muszę się dziś rano zobaczyć z Rahmim - zaczął.

- W porządku. Wpadnę do ciebie później.

- Gdybyś zjawiła się u mnie troszeczkę wcześniej, to mogłabyś mi wyświadczyć pewną przysługę.

- Jaka? - spytała.

- Przyrzadzić lunch. Nie! Nie! Żartowałem. Chciałem, żebyś mi pomogła w przygotowaniu małego spisku.

- Mów, nie krępuj się.

- Dzisiaj są urodziny Rahmiego i przyjechał jego brat Mustafa, ale Rahmi nic o tym nie wie. - Jeśli się uda, przyrzekł sobie w duchu Ellis, nigdy więcej cię nie okłamię. - Chcę to tak urządzić, żeby Mustafa zjawił się na przyjęciu u Rahmiego niespodziewanie. Ale do tego potrzebny mi wspólnik.

- Już go masz - zdecydowała. Zsunęła się z niego i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Piersi miała jak jabłka, gładkie, krągłe i twarde. Końce jej włosów ocierały się miękko o sutki. - Co mam robić?

- Sprawa jest prosta. Muszę powiedzieć Mustafie, dokąd ma przyjść, ale Rahmi jeszcze się nie zdecydował, gdzie urządzi to przyjęcie. Będę więc musiał przekazać Mustafie tę wiadomość w ostatniej chwili. A kiedy będę telefonował, Rahmi prawdopodobnie będzie stał koło mnie.

- I jak chcesz z tego wybrnąć?

- Zatelefonuję do ciebie. Będę wygadywał jakieś bzdury. Puść wszystko mimo uszu i zapamiętaj tylko adres. Zatelefonuj potem do Mustafy, podaj mu ten adres i powiedz, jak się tam dostać. - Gdy obmyślał całą tę intrygę, wszystko brzmiało zupełnie prawdopodobnie, ale teraz wydało mu się szyte bardzo grubymi nićmi.

Jednak po Jane nie było widać, aby nabrała jakichś podejrzeń.

- To nic trudnego - stwierdziła.

- Świetnie - powiedział wesoło Ellis, nie dając po sobie poznać, jak mu ulżyło.

- A kiedy będziesz w domu, licząc od tego telefonu?

- Za niecałą godzinę. Chcę zaczekać i zobaczyć, jaka będzie reakcja na tę niespodziankę, ale od lunchu jakoś się wymówię.

Jane zachmurzyła się nagle.

- Ciebie zaprosili, a mnie nie.

Ellis wzruszył ramionami.

- To chyba uroczystość w męskim gronie. - Sięgnął po leżący na nocnym stoliczku notes i zapisał w nim „Mustafa” z numerem telefonu obok.

Jane wstała z łóżka i poszła do kabiny, żeby wziąć prysznic. Otworzyła drzwi i przekręciła kurek. Jej nastrój zmienił się. Nie uśmiechała się już.

- Co cię ugryzło? - spytał Ellis.

- Nic mnie nie ugryzło - odparła. - Tylko czasami nie podoba mi się sposób, w jaki traktują mnie twoi przyjaciele.

- Wiesz przecież, jacy są Turcy w stosunku do dziewcząt.

- No właśnie - dziewcząt. Nie mają nic przeciwko szanującym się kobietom, ale ja przecież jestem dziewczyną.

Ellis westchnął.

- To nie w twoim stylu, żeby przejmować się zadawnionymi uprzedzeniami garstki szowinistów. Powiedz, co ci naprawdę leży na sercu?

Przez chwilę stała nago obok natrysku, zastanawiając się. Wyglądała tak ponętnie, że Ellis znowu nabrał na nią ochoty.

- Wydaje mi się - powiedziała wreszcie - że męczy mnie po prostu moja sytuacja. Wszyscy wiedzą, że się zaangażowałam - nie sypiam z nikim innym, nawet nie pokazuję się na mieście z innymi mężczyznami - ale twojego zaangażowania nie widzę. Nie mieszkamy ze sobą, nie wiem, gdzie chodzisz ani co robisz przez większość czasu, nigdy nie spotkaliśmy się z rodzicami któregoś z nas... a ludzie to widzą i traktują mnie jak dziwkę.

- Chyba przesadzasz.

- Zawsze tak mówisz. - Weszła pod prysznic i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ellis, z szuflady, w której trzymał swoje przybory toaletowe, wyjął brzytwę i zaczął się golić nad kuchennym zlewem. Nieraz już, często nawet w ostrzejszej formie, dyskutowali na ten temat i doskonale wiedział, o co chodzi: Jane chciała, żeby zamieszkali razem.

Oczywiście, on też tego pragnął; pragnął ją poślubić, związać się z nią na resztę życia. Ale z tym musiał poczekać, aż wywiąże się ze swojej misji. Tego jednak nie mógł jej powiedzieć, wymigiwał się więc odzywkami w rodzaju „nie jestem jeszcze gotów” albo „potrzeba mi czasu”, a te niezrozumiałe uniki tylko ją złościły. Dla niej rok był wystarczająco długim okresem, by po mężczyźnie, którego kochała, oczekiwać jakiegoś śladu

zaangażowania. I miała oczywiście rację. Ale jeśli dzisiaj wszystko pójdzie dobrze, będzie mógł wreszcie uregulować tę sprawę.

Skończył golenie, owinął brzytwę w ręcznik i schował do swojej szufladki. Jane wyszła spod prysznic, zajął więc jej miejsce. Nie odzywamy się do siebie, pomyślał; jakoś głupio wyszło.

Podczas gdy brał prysznic, zaparzyła kawę. Ubrał się szybko w wytarte dżinsy i czarny podkoszulek z krótkimi rękawkami i usiadł naprzeciwko niej przy małym mahoniowym stolyczku.

- Chcę z tobą poważnie porozmawiać - powiedziała rozlewając kawę do filiżanek.

- Zgoda - przystał skwapliwie - najlepiej przy lunchu.

- A dlaczego nie teraz?

- Nie mam czasu.

- Czy urodziny Rahmiego są ważniejsze od naszego związku?

- Naturalnie, że nie - Ellis usłyszał w swym tonie irytację i wewnętrzny głos ostrzegł go: „Uważaj, możesz ją stracić”. - Ale obiecałem, a dotrzymywanie obietnic jest dla mnie bardzo ważne; natomiast to, czy odbędziemy tę rozmowę teraz, czy później, nie ma chyba większego znaczenia.

Twarz Jane przybrała ten tak dobrze mu znany zawzięty, nieustępliwy wyraz, który pojawiał się zawsze, gdy podjęła już jakąś decyzję, a ktoś usiłował ją od niej odwieść.

- A dla mnie ma znaczenie, żebyśmy rozmawiali teraz - oświadczyła stanowczo.

Przez chwilę miał ochotę powiedzieć jej całą prawdę. Ale nie tak to sobie wcześniej zaplanował. Czasu było mało, myśli miał zajęte czym innym i nie był przygotowany do rozmowy. O wiele lepiej będzie odłożyć to na później, kiedy oboje się rozluźnią i będzie mógł jej oznajmić, że jego misja w Paryżu dobiegła końca.

- Wydaje mi się, że sama nie wiesz, czego chcesz, a ja nie dam się terroryzować - powiedział. - Proszę cię, odłóżmy tę rozmowę na później. Teraz muszę już lecieć. - Wstał.

- Jean-Pierre zaproponował mi, żebym pojechała z nim do Afganistanu - rzuciła za nim, gdy był już przy drzwiach.

Zaskoczenie było tak zupełne, że minęła dłuższa chwila, zanim do Ellisa dotarł sens jej słów.

- Mówisz poważnie? - spytał z niedowierzaniem.

- Absolutnie poważnie.

Ellis wiedział, że Jean-Pierre jest zakochany w Jane. Tak samo zresztą jak pół tuzina innych mężczyzn: w przypadku takiej dziewczyny było to nieuniknione. Żadnego z tych

mężczyzn nie można jednak było uważać za poważnego rywala; tak przynajmniej sądził aż do tej chwili. Powoli dochodził do siebie.

- Chciałabyś zakwefiona zwiedzać strefę działań wojennych?

- To nie jest temat do żartów! - zaperzyła się. - Mówię o moim życiu.

Potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Nie możesz jechać do Afganistanu.

- Dlaczego?

- Bo mnie kochasz.

- Nie stawia mnie to do twojej wyłącznej dyspozycji.

Przynajmniej nie powiedziała: „Nie, nie Kocham cię”. Spojrzał na zegarek. Śmieszne - za kilka godzin zamierzał jej opowiedzieć wszystko, co chciała usłyszeć.

- Wcale tak nie uważam - powiedział. - Mówimy o naszej przyszłości, a do takiej rozmowy trzeba się przygotować.

- Nie będę czekała w nieskończoność - oznajmiła.

- Przecież nie proszę cię, żebyś czekała w nieskończoność, proszę tylko, żebyś zaczęła do lunchu. - Dotknął jej policzka. - Nie kłóćmy się o te parę godzin.

Wstała i pocałowała go mocno w usta.

- Nie pojedziesz do Afganistanu, prawda? - spytał.

- Nie wiem - odparła szczerze.

- Byle tylko nie przed lunchem - zdobył się na uśmiech.

Uśmiechnęła się także i skinęła głową.

- O to możesz być spokojny.

Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i wyszedł.

\*\*\*

Szerokie bulwary Champs-Elysees roiły się od turystów i paryżan, którzy korzystając z ciepłego wiosennego słońca wylegli na poranną przechadzkę i kłębili się tłumnie na chodnikach oraz wypełniali szczelnie wszystkie kawiarniane ogródki. Ellis stał w pobliżu umówionego miejsca z plecakiem, który nabył w sklepiku z tanimi wyrobami kaletniczymi. Wyglądał na Amerykanina podróżującego autostopem po Europie.

Szkoda, że Jane akurat ten dzień wybrała sobie na kłótnię: będzie teraz rozpamiętywała tę rozmowę i zanim się z nim spotka, wprawi się w wojowniczy nastrój.

No nic, będzie musiał poświęcić trochę czasu na wygładzenie jej nastroszonych piórek.

Usunął Jane ze swych myśli i skoncentrował się na czekającym go zadaniu.

Jeśli chodzi o tożsamość „przyjaciela” Rahmiego, tego, który finansował ich małą terrorystyczną grupę, istniały dwie możliwości. Mógł to być bogaty, kochający wolność Turek, który kierując się pobudkami politycznymi lub osobistymi doszedł do wniosku, że w walce z wojskową dyktaturą i jej poplecznikami przemoc jest całkowicie usprawiedliwiona. Gdyby tak było, Ellis czułby się zawiedziony.

Mógł to być również Borys.

W kręgach, w których obracał się Ellis - wśród obnoszących się z rewolucyjnymi poglądami studentów, palestyńskich uchodźców, niepełnoetatowych wykładowców nauk politycznych, wydawców podle drukowanych ekstremistycznych pisemek, anarchistów i maoistów, Ormian i wojujących wegetarianów - Borys był postacią legendarną. Krążyły pogłoski, że to Rosjanin, funkcjonariusz KGB, skory do finansowania wszelkich lewackich aktów przemocy na Zachodzie. Wielu, a zwłaszcza ci, którzy próbowali uzyskać finansowe wsparcie Rosjan i nie uzyskali go, wątpiło w jego istnienie. Ale Ellis zauważył, że od czasu do czasu jakaś grupa, która od miesięcy nie robiła nic poza uskarżaniem się, iż nie stać jej nawet na powielacz, przestawała nagle mówić o pieniądzach i stawiała się bardzo czuła na punkcie ostrożności; później następowało jakieś porwanie, jakaś strzelanina albo zamach bombowy.

Zdaniem Ellisa nie ulegało wątpliwości, że pieniądze na utrzymanie takich grup, jak dysydenci tureccy, łożą Rosjanie; nie potrafiliby się oprzeć mając przed sobą tak tani i mało ryzykowny sposób siania fermentu. Poza tym również Stany Zjednoczone finansowały porwania i morderstwa w Ameryce Środkowej i Ellis nie potrafił sobie wyobrazić, by Związek Radziecki miał większe skrupuły niż jego ojczysty kraj. A ponieważ przy tego typu działalności pieniędzy nie trzyma się na kontach bankowych ani nie przysyła telegraficznie, ktoś musi przekazywać banknoty z ręki do ręki; wynikało stąd, że Borys istnieje.

Ellis cholernie chciał go poznać.

Rahmi przeszedł obok niego dokładnie o dziesiątej trzydzieści; ubrany był w różową koszulę od Lacosta, nieskazitelnie odprasowane brązowe spodnie i wyglądał na zdenerwowanego. Rzucił Ellisowi rozplómięte spojrzenie i odwrócił głowę.

Ellis ruszył jego śladem trzymając się, tak jak wcześniej uzgodnili, dziesięć do piętnastu jardów za nim.

W ogródku następnej kawiarni rozpięta się muskularna, otyła postać Pepe Gozziego odzianego w czarny, jedwabny garnitur, jakby Pepe zawitał tu prosto z mszy - co zresztą nie było wykluczone. Na kolanach trzymał duży neser. Wstał i dołączył do Ellisa, niemal się z

nim zrównując, w taki jednak sposób, że postronny obserwator nie mógłby z całą pewnością stwierdzić, czy idą razem, czy też nie.

Rahmi kierował się pod górę, w stronę Łuku Tryumfalnego.

Ellis obserwował Pepe kątem oka. Korsykanin odznaczał się zwierzęcym instynktem samozachowawczym: sprawdzał dyskretnie, czy nikt go nie śledzi - raz, kiedy przechodzili na drugą stronę ulicy i całkiem naturalnie mógł obejrzeć się na bulwar, czekając na zmianę świateł, i potem znowu, kiedy mijali narożny sklep, w którego skośnej witrynie mógł dostrzec odbicia ludzi podążających za nim.

Ellis lubił Rahmiego, ale Pepe nie wzbudzał w nim sympatii. Rahmi był szczery i kierował się wzniosłymi zasadami, a ludzie, których zabił, przypuszczalnie zasłużyli sobie na śmierć. Pepe był zupełnie inny. Robił to dla pieniędzy i dlatego, że był za prymitywny i za głupi, by przetrwać w świecie legalnego biznesu.

Trzy przecznice na wschód od Łuku Triumfalnego Rahmi skręcił w boczną uliczkę. Ellis i Pepe uczynili to samo. Przeszli za Rahmim na drugą stronę jezdni i weszli do hotelu Lancaster.

A więc tu byli umówieni. Ellis żywił nadzieję, że spotkanie odbędzie się w hotelowym barze albo w restauracji: w miejscu publicznym czułby się bezpieczniej.

Wchodząc z rozgrzanej ulicy do wyłożonego marmurami holu odczuwało się przyjemny chłód. Ellis zadygotał. Portier w smokingu spojrzął z ukosa na jego dzinsy. Pepe wchodził już do maleńkiej windy w drugim końcu westybulu w kształcie litery L. A zatem będzie to hotelowy pokój. Trudno. Ellis wszedł za Rahmim do kabiny, a za nim wcisnął się Pepe. W czasie jazdy nerwy Ellisa były napięte jak postronki. Wysiedli na czwartym piętrze. Rahmi doprowadził ich pod pokój numer 41 i zapukał.

Ellis usiłował nadać swej twarzy wyraz spokoju i obojętności.

Drzwi uchylły się wolno.

To był Borys. Ellis pojął to natychmiast, gdy tylko jego oczy spoczęły na tym człowieku. Serce zabiło mu tryumfalnie, a jednocześnie przeszedł go zimny dreszcz strachu. Z całej postaci mężczyzny, od pospolitej fryzury po topornie praktyczne buty, załatywało Moskwę, a z jego twardego, taksującego spojrzenia i brutalnego układu ust wyzierał niezaprzeczalnie styl KGB. Ten człowiek w niczym nie przypominał Rahmiego ani Pepe; nie był ani w gorącej wodzie kapany idealistą, ani perfidnym mafioso. Był to profesjonalny terrorysta o kamiennym sercu, który nie zawahałby się przed rozwaleniem łąba któremuś z trzech stojących teraz przed nim ludzi, a gdyby było to konieczne, załatwiłby ich wszystkich.

Długo cię szukałem, pomyślał Ellis.

Uchyliwszy drzwi do połowy, tak by osłonić się nimi częściowo, Borys mierzył ich przez chwilę wzrokiem, po czym cofnął się o krok.

- Wchodźcie - powiedział po francusku.

Weszli do salonu hotelowego apartamentu. Był dosyć luksusowo urządzone, a jego umeblowanie stanowiły fotele, stoliczki do kawy i wyglądający na osiemnastowieczny antyk kredens. Na dosuniętym do samej ściany delikatnym stoliczku o kabłąkowatych nóżkach leżał karton papierosów marlboro i stała litrowa butelka wolnocłowej brandy. Na wpół uchylone drzwi w drugim rogu pokoju prowadziły do sypialni.

Rahmi przedstawił ich sobie z nerwową niedbałością:

- Pepe. Ellis. Mój przyjaciel.

Borys był barczystym mężczyzną ubranym w białą koszulę z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi mięsiste, owłosione przedramiona. Jego niebieskie serżowe spodnie były zbyt ciepłe jak na tę pogodę. Na oparciu krzesła wisiała marynarka w czarno-brązową kratę, zdecydowanie nie pasująca do niebieskich spodni.

Ellis położył plecak na dywanie i usiadł.

Borys wskazał na butelkę brandy.

- Napijcie się czegoś?

Ellis nie miał ochoty na brandy o jedenastej rano.

- Tak - powiedział - poproszę o kawę.

Borys rzucił mu twarde wrogie spojrzenie.

- No to wszyscy napijemy się kawy - burknął i podszedł do telefonu. Przywykł do tego, że wszyscy się go boją, pomyślał Ellis; nie podoba mu się, że traktują go jak równego sobie.

Rahmi wyraźnie czuł przed Borysem respekt i siedział jak na szpilkach, zapinając i rozpinając górny guzik swej koszulki polo, podczas gdy Rosjanin zamawiał telefonicznie kawę.

- Cieszę się, że cię wreszcie poznałem - zwrócił się Borys do Pepe po francusku. - Wydaje mi się, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Pepe skinął milcząco głową. Siedział na samym brzeжку obitego aksamitem fotela, a jego potężne cielsko opięte czarnym garniturem wyglądało na tym wykwintnym meblu dziwnie krucho, jakby lada chwila miało się rozpaść na kawałki. Pepe ma wiele wspólnego z Borysem, pomyślał Ellis. Obydwaj to silni, okrutni ludzie, nie znający uczucia przyzwoitości czy litości. Gdyby Pepe był Rosjaninem, pracowałby w KGB; a gdyby Borys był Francuzem, działałby w mafii.

- Pokażcie mi tę bombę - powiedział Borys.

Pepe otworzył neseser. Był wyładowany blokami żółtawej substancji wielkości pięć na pięć cali. Borys ukląkł na dywanie obok walizeczki i wskazującym palcem nacisnął jeden z bloków. Substancja ustąpiła pod nim jak kit. Borys powąchał ją.

- Zdaje się, że to C3 - powiedział do Pepe.

Pepe skinął głową.

- Gdzie mechanizm?

- Ellis ma go w plecaku - pośpieszył z odpowiedzią Rahmi.

- Nie, nie mam - powiedział Ellis.

W pokoju na moment zrobiło się bardzo cicho. Przez przystojną, młodą twarz Rahmiego przemknął cień paniki.

- Jak to? - wybąkał speszony. Jego przerażone oczy przesunęły się z Ellisa na Borysa i z powrotem. - Mówiłeś... powiedziałem mu, że przyniesiesz...

- Zamknij się - przerwał mu obcesowo Borys. Rahmi zamilkł. Borys patrzył wyczekująco na Ellisa.

- Obawiałem się, że to pułapka - powiedział Ellis z wystudiowaną obojętnością, do której było mu daleko - zostawiłem więc mechanizm w domu. Może tu być za parę minut. Muszę tylko zadzwonić do mojej dziewczyny.

Borys przyglądał mu się uważnie przez kilka sekund. Ellis robił co mógł, żeby wytrzymać jego wzrok.

- Dlaczego uważałeś, że to może być pułapka? - zapytał wreszcie Borys.

Ellis pomyślał, że próba usprawiedliwiania się będzie wyglądała na przejście do defensywy. Nie dało się ukryć, że pytanie było zaskakujące. Spojrzał arogancko na Borysa, potem wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Borys cały czas przyglądał mu się badawczo.

- Ja zatelefonuję - powiedział w końcu.

Ellis stłumił cisnący mu się na usta protest. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Trzymał się twardo swojej pozy „za-cholere-nie-ustapię”, a jednocześnie myślał gorączkowo. Jak Jane zareaguje na głos nieznanego? A jeśli nie będzie jej przy telefonie, jeśli postanowiła nie wywiązać się ze swojej obietnicy? Żałował teraz, że zrobił z niej swego łącznika. Ale było już za późno.

- Ostrożny z ciebie facet - powiedział do Borysa.

- Z ciebie też. Jaki jest twój numer?



Ellis podał mu go. Borys zapisał numer sobie w leżącym przy aparacie notesie i zaczął wykręcać cyfry.

Pozostali czekali w milczeniu.

- Halo - powiedział Borys - dzwonię w imieniu Ellisa.

Może obcy głos jej nie speszy, pomyślał Ellis: zresztą uprzedził ją, że tekst nie będzie się trzymał kupy. Puść wszystko mimo uszu i zapamiętaj tylko adres, tak jej powiedział.

- Co? - warknął ze złością Borys i Ellis pomyślał: jasny gwint, co ona tam wygaduje?

- Tak, jestem, ale to nieważne - podjął Borys. - Ellis prosi, żeby przyniosła pani mechanizm do hotelu Lancaster przy rue de Barri, pokój czterdzieści jeden.

Znowu nastąpiła chwila przerwy.

Nie nawal, Jane, modlił się w duchu Ellis.

- Tak, to bardzo sympatyczny hotel.

Przestań się wygłupiać! Powiedz mu tylko, że to zrobisz - błagam!

- Dziękuję - powiedział Borys i dorzucił sarkastycznie: - Miło się z panią rozmawiało.

- Z tymi słowami odłożył słuchawkę.

Ellis usiłował nadać swej twarzy taki wyraz, jakby od początku nie przewidywał żadnych problemów.

- Wiedziała, że jestem Rosjaninem - powiedział Borys. - Skąd?

Ellis nie wiedział przez chwilę, co odpowiedzieć, potem przypomniało mu się.

- Jest lingwistką - wyjaśnił - i ma ucho wyczulone na sposób mówienia.

- Czekaając na tę dziwkę - odezwał się po raz pierwszy Pepe - obejrzymy sobie pieniądze.

- Proszę bardzo. - Borys wszedł do sypialni.

Pod jego nieobecność Rahmi syknął do Ellisa:

- Nie wiedziałem, że wykręcisz taki numer!

- No i dobrze, że nie wiedziałeś - odparował Ellis, siląc się na ton znudzenia. - Gdybyś wiedział, co zamierzam, całe zabezpieczenie wzięłoby w łeb, prawda?

Borys wrócił z dużą brązową kopertą, którą wręczył Pepe. Pepe otworzył ją i przystąpił do liczenia stufrankowych banknotów.

Borys odpieczętował karton marlboro i zapalił papierosa.

Jane nie będzie chyba zwlekała z telefonem do Mustafy, pomyślał Ellis. Trzeba było jej powiedzieć, że bardzo mi zależy na natychmiastowym przekazaniu tej informacji.

- Zgadza się - stwierdził po chwili Pepe. Wsunął pieniądze z powrotem do koperty, polizał brzeg, zakleił ją i położył na stoliku.

Czterej mężczyźni siedzieli przez kilka minut w milczeniu.

- Daleko mieszkasz? - przerwał ciszę Borys, zwracając się do Ellisa.

- Piętnaście minut drogi skuterem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ellis zamarł.

- Szybko jechała - powiedział Borys. Otworzył drzwi. - To kawa - oznajmił z niesmakiem, wracając na swój fotel.

Dwaj kelnerzy w białych kurtkach wtoczyli do pokoju stół na kółkach. Wyprostowali się i odwrócili, każdy z pistoletem MAB model „D”, będącym na standardowym wyposażeniu francuskich detektywów, w rękę.

- Nie ruszać się - rzucił jeden z nich.

Ellis wyczuł, że Borys gotuje się do skoku. Dlaczego przysłali tylko dwóch detektywów? Jeśli Rahmi zrobi coś głupiego i da się zastrzelić, to może powstać takie zamieszanie, że Pepe z Borysem zdołają wspólnie unieszkodliwić tych ludzi, mimo że ci są uzbrojeni...

Drzwi do sypialni otworzyły się z impetem i stanęli w nich jeszcze dwaj ludzie w uniformach kelnerów, uzbrojeni podobnie jak ich koledzy.

Borys rozluźnił się i na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

Ellis dopiero teraz uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze z płuc w przeciągłym westchnieniu.

To był koniec.

Do pokoju wkroczył umundurowany policjant.

- Kocioł! - wybuchnął Rahmi. - To kocioł!

- Stul dziób - warknął Borys i jego obcesowy ton ponownie zamknął usta Rahmiemu.

Borys zwrócił się teraz do oficera policji. - Stanowczo protestuję przeciwko temu gwałtowi - zaczął. - Proszę zaprotokołować, że...

Policjant rąbnął go w usta pięścią w skórkowej rękawiczce.

Borys dotknął warg, potem spojrzał na rozmazaną na dłoni krew. Uświadomiwszy sobie, że sprawa wygląda o wiele za poważnie, by wykręcić się z niej sianem, zmienił całkowicie front.

- Zapamiętaj moją twarz - powiedział do oficera policji lodowato zimnym głosem. - Jeszcze ją zobaczysz.

- Ale kto zdradził? - krzyknął Rahmi. - Kto nas sypnął?

- On - powiedział Borys wskazując na Ellisa.

- Ellis? - bąknął z niedowierzaniem Rahmi.

Popatrzył na Ellisa. Sprawiał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

- Ten telefon - mruknął Borys. - Adres.

Weszło jeszcze kilku mundurowych policjantów. Oficer wskazał na Pepe.

- To Gozzi - powiedział. Dwaj policjanci zakuli Pepe w kajdanki i wyprowadzili go.

Oficer spojrział na Borysa. - A ty coś za jeden?

Borys sprawiał wrażenie znudzonego.

- Nazywam się John Hocht - powiedział. - Jestem obywatelem Argentyny...

- Nie zwracaj głowy - warknął z rozdrażnieniem oficer. - Zabrać go. - Zwrócił się teraz do Rahmiego. - No więc?

- Nie mam nic do powiedzenia - powiedział Rahmi starając się, by zabrzmiało to heroicznie.

Oficer dał znak głową i Rahmiego również zakuto w kajdanki. Kiedy go wyprowadzano, wpatrywał się w Ellisa.

Aresztowanych zwieziono na dół windą pojedynczo. Neseser Pepe i wypełnioną stufrankowymi banknotami kopertę owinięto w polietylenową folię. Do pokoju wszedł policyjny fotograf i rozstawił statyw aparatu.

- Pod hotelem zaparkowany jest czarny citroen DS - zwrócił się oficer do Ellisa. - Sir - dodał po chwili wahania.

No to z powrotem jestem po stronie prawa, pomyślał Ellis. Szkoda, że Rahmi jest facetem o wiele miłszym od tego gliny.

Zjechał windą na parter. W holu, w czarnej marynarce i spodniach w paski, stał kierownik hotelu i z twarzą zastygłą w zboląłym wyrazie obserwował wmaszerowujące z ulicy posiłki policji.

Ellis wyszedł w słoneczny blask. Czarny citroen stał po drugiej stronie ulicy. Z przodu siedział kierowca, a na tylnym siedzeniu jakiś pasażer. Ellis usiadł z tyłu. Samochód ruszył ostro z miejsca.

- Cześć, John - powiedział pasażer, odwracając się do Ellisa. Ellis uśmiechnął się. Jego nie używane od ponad roku prawdziwe imię dziwnie obco zabrzmiało mu w uszach.

- Jak się masz, Bill - powiedział.

- Jak nowo narodzony - odparł Bill. - Od trzynastu miesięcy nie mamy od ciebie żadnych wiadomości, nie licząc monitów o dostanie pieniędzy. I nagle dostajemy stanowczy telefon, z którego wynika, że mamy dwadzieścia cztery godziny na zmontowanie miejscowego oddziału do przeprowadzenia aresztowania. Nie wyobrażasz sobie, ile mieliśmy zachodu z nakłonieniem Francuzów, żeby to zrobili, nie zdradzając im po co! Oddział miał

trwać w gotowości w okolicach Champs-Élysées, ale żeby uzyskać dokładny adres, musieliśmy czekać na telefon od jakiejś kobiety, która zapyta o Mustafę. I to było wszystko, co wiedzieliśmy!

- Nie było innego sposobu - powiedział tonem usprawiedliwienia Ellis.

- No cóż, przysporzyło nam to trochę roboty - i mam teraz w tym mieście parę poważnych długów wdzięczności do spłacenia - ale udało się. Powiedz mi tylko, czy gra była warta świeczki. Kogo mamy w worku?

- Ten Rosjanin to Borys - powiedział Ellis.

Twarz Billa rozplynęła się w szerokim uśmiechu.

- A niech mnie kule biją - zapał z zachwytem. - Dopadłeś Borysa? Nie zalewaj.

- Nie zalewam.

- Jezus, lepiej zabiorę go od Francuzów, zanim zorientują się, kim jest.

Ellis wzruszył ramionami.

- I tak nikt nie wyciągnie z niego zbyt wiele. To twarda sztuka. Najważniejsze, że wycofaliśmy go z obiegu. Minie parę lat, zanim wprowadzą kogoś na jego miejsce i zanim ten nowy Borys odtworzy kontakty swojego poprzednika. Na razie poważnie ich zastopowaliśmy.

- Jeszcze jak. To sensacja!

- Korsykanin to Pepe Gozzi, handlarz bronią - ciągnął Ellis. - Dostarczał sprzęt do wszystkich niemal akcji terrorystycznych, jakie przeprowadzono w ciągu ostatnich paru lat we Francji, nie mówiąc już o tych, które miały miejsce na terenie innych krajów. Tego trzeba wymagać. Wyślijcie francuskiego detektywa do Marsylii, żeby pogadał z jego ojcem, Meme Gozzim. Przewiduję, że dowiedzie się, iż staremu nigdy nie uśmiechał się pomysł angażowania rodziny w przestępstwa polityczne. Zaproponujcie mu układ: zwolnienie Pepe w zamian za zeznania obciążające wszystkich jego politycznych klientów - z wyłączeniem zwyczajnych kryminalistów. Meme na to pójdzie, bo takie coś nie zostanie potraktowane jako zdrada przyjaciół. A jak Meme na to pójdzie, to pójdzie i Pepe. Francuzi mogą mieć roboty na ładne parę lat.

- Niewiarygodne - Bill był wyraźnie oszołomiony. - W ciągu jednego dnia zdjęłeś dwóch największych chyba prowokatorów światowego terroryzmu.

- Jednego dnia? - uśmiechnął się Ellis. - To mi zabrało rok życia.

- Warto było.

- Ten młody facet to Rahmi Coskun - powiedział Ellis. Śpieszył się, bo był jeszcze ktoś, komu chciał to wszystko opowiedzieć. - Rahmi i jego grupa dokonała kilka miesięcy

temu zamachu bombowego na Turkish Airlines, przedtem zaś zamordowała attaché ambasady tureckiej. Jeśli zgarniecie całą grupę, to możecie być pewni, że znajdziecie jakiś dowód nadający się do przedłożenia sądowi.

- Jeśli nie, to francuska policja już ich nakłoni do zwierzeń.

- Tak. Daj mi ołówek, to zapiszę ci nazwiska i adresy.

- Daruj to sobie - powiedział Bill. - Zdasz mi szczegółową relację w ambasadzie.

- Nie jadę do ambasady.

- John, nie rozwalaj mi całego programu.

- Podam ci te nazwiska i w ten sposób będziesz miał w ręku wszystkie najistotniejsze informacje, na wypadek gdyby po południu przejechał mnie jakiś zwariowany francuski taksówkarz. Jeśli przeżyję do jutra, wpadnę rano do ciebie i dorzucę parę szczegółów.

- Po co to odwlekać?

- Jestem umówiony na lunch.

Bill wznosił oczy do nieba.

- Chyba jesteśmy ci to winni - powiedział niechętnie.

- Tak właśnie myślałem.

- Kto to jest?

- Jane Lambert. Jej nazwisko figurowało na liście, którą mi wręczyłeś na wstępnej odprawie.

- Pamiętam. Powiedziałem ci wtedy, że jeśli wkradniesz się w jej łaski, to przedstawi cię każdemu obłąkanemu lewakowi, każdemu arabskiemu terroryście, każdemu sympatykowi grupy Baader-Meinhof i każdemu awangardowemu poecie w Paryżu.

- I miałeś rację, tylko że ja się w niej zakochałem.

Bill miał minę bankiera z Connecticut, któremu oznajmiono właśnie, że jego syn zamierza się ożenić z córką czarnego milionera - nie wiedział czy się zachnąć, czy przyklasnąć.

- A to dopiero! Jaka ona naprawdę jest?

- Sama nie jest zwariowana, chociaż ma kilku zwariowanych przyjaciół. Co ja ci mogę o niej powiedzieć? Śliczna jak obrazek, inteligentna jak nie wiem co i uparta jak osioł. Po prostu cudowna. Jest kobietą, której szukałem przez całe życie.

- No nic, rozumiem, dlaczego wolisz czcić swój tryumf z nią, a nie ze mną. Co zamierzasz?

Ellis uśmiechnął się. - Otworzę butelkę wina, usmażę dwa steki, powiem jej, że utrzymuję się z łapania terrorystów i poproszę ją o rękę.



## ROZDZIAŁ 2

Jean-Pierre nachylił się nad stolikiem w kantine i utkwiał w siedzącej naprzeciwko brunetce współczujący wzrok.

- Chyba wiem, co czujesz - powiedział ciepło. - Pamiętam, jak sam byłem załamany pod koniec pierwszego roku medycyny. Masz wtedy wrażenie, że zaserwowano ci więcej informacji, niż jest w stanie wchłonąć jeden mózg i po prostu nie masz pojęcia, jak zdołasz przyswoić sobie to wszystko, aby pomyślnie przebrnąć przez egzaminy.

- Właśnie tak - przyznała dziewczyna kiwając energicznie głową. Była bliska płaczu.

- To dobry znak - pocieszył ją. - To znaczy, że jesteś na fali. Ludzie, którzy oblewają, rekrutują się z tych, co się nie przejmują.

Jej brązowe oczy zwilgotniały z wdzięczności.

- Naprawdę tak uważasz?

- Jestem tego pewien.

Spojrzała na niego z uwielbieniem. Woląaby zjeść mnie, a nie swój lunch, pomyślał. Zmieniła nieznacznie pozycję i spod rozchylającego się sweterka wyjrzała koronkowa lamówka biustonosza. Jean-Pierre napalił się natychmiast. We wschodnim skrzydle szpitala mieścił się magazynek pościeli, nigdy nie używany po mniej więcej dziewiętej trzydziści rano. Jean-Pierre nieraz z niego korzystał. Można się było tara zamknąć od wewnątrz i położyć na miękkim stosie czystych prześcieradeł...

Brunetka westchnęła, nadziała na widelec kawałek steku, wsunęła go do ust i kiedy zaczęła żuć, Jean-Pierre'owi natychmiast przeszło całe zainteresowanie dziewczyną. Nie cierpiał widoku jedzących ludzi. Prawdę mówiąc, jedynie ćwiczył, by udowodnić sobie, że nadal potrafi to robić - wcale nie chciał jej uwodzić. Była bardzo ładna z tymi falującymi włosami i ciepłą, śródziemnomorską karnacją skóry, przy tym wspaniale zbudowana, ale Jean-Pierre nie miał ostatnio zacięcia do przypadkowych podbojów. Jediną dziewczyną, która potrafiła go zafascynować na dłużej niż kilka sekund, była Jane Lambert - a z nią nawet się jeszcze nie całował.

Odwrócił oczy od brunetki i zaczął błędzić znudzonym wzrokiem po szpitalnej kantine. Nie dostrzegł nikogo znajomego. Sala była niemal pusta: jadł lunch wcześniej, bo pracował na porannym dyżurze.

Mijało właśnie sześć miesięcy od chwili, kiedy w tłumie gości na koktajlu, wydanym z okazji ukazania się nowej książki z dziedziny ginekologii feministycznej, ujrzał uderzająco

ładną twarz Jane. Tłumaczył jej, że nie ma czegoś takiego, jak medycyna feministyczna, jest tylko medycyna dobra i medycyna zła. Odparła, że nie ma czegoś takiego, jak matematyka chrześcijańska, a mimo to trzeba było takiego heretyka jak Galileusz, aby dowieść, że Ziemia krąży dookoła Słońca.

- Masz rację! - wykrzyknął Jean-Pierre w swój najbardziej rozbijający sposób i tak zostali przyjaciółmi.

Była jednak odporna, jeśli nie zupełnie nieczuła, na jego wdzięki. Lubiła go, ale była chyba oddana Ellisowi, chociaż ten Amerykanin był od niej sporo starszy. Czyniło ją to w oczach Jean-Pierre'a jeszcze bardziej godną pożądania. Gdyby tak Ellis zszedł ze sceny - wpadł pod autobus albo coś w tym rodzaju... Ostatnio opór Jane zaczął jakby słabnąć - a może było to tylko jego pobożne życzenie?

- Czy to prawda, że jedziesz na dwa lata do Afganistanu? - spytała brunetka.

- Prawda.

- Dlaczego?

- Chyba dlatego, że wierzę w wolność. A poza tym nie po to studiowałem, żeby teraz zakładać bajpasy otluszczonym bogaczom. - Kłamstwa automatycznie spływały z jego ust.

- Ale po co aż na dwa lata? Ludzie jadą tam zwykle na trzy do sześciu miesięcy, góra na rok. Dwa lata to jak cała wieczność.

- Czyżby? - Jean-Pierre uśmiechnął się z przymusem. - Widzisz, w krótszym okresie trudno dokonać czegoś naprawdę znaczącego. Wysyłanie tam lekarzy na krótkie turnusy jest działaniem wysoce nieefektywnym. Rebeliantom potrzeba swego rodzaju stałej opieki medycznej, szpitali nie zmieniających z roku na rok swojej siedziby i przynajmniej częściowo obsadzonych przez stały personel. Na razie wygląda to tak, że połowa tych ludzi nie wie, dokąd zwozić chorych i rannych. Poza tym nie przestrzegają zaleceń lekarzy, ponieważ nie mają kiedy poznać ich na tyle, by zacząć im ufać, no i nikt nie ma czasu na prowadzenie oświaty zdrowotnej. A opłacenie przejazdu ochotników do kraju przeznaczenia i z powrotem czyni ich „bezpłatne” usługi dosyć kosztownymi. - Jean-Pierre włożył w tę przemowę tyle wysiłku, że sam niemal sobie uwierzył i zapomniał na chwilę o prawdziwym motywie swojego wyjazdu do Afganistanu i o rzeczywistej przyczynie, zmuszającej go do pozostania tam przez dwa lata.

- Kto zamierza świadczyć bezpłatnie swoje usługi? - rozległ się czyjś głos za jego plecami.



Odwrócił się i zobaczył drugą parę z tacami zastawionymi jedzeniem: Valerię, która tak jak on była internistką, oraz jej przyjaciela, radiologa. Przysiedli się do Jean-Pierre'a i brunetki.

- Jean-Pierre jedzie do Afganistanu, żeby leczyć partyzantów - odpowiedziała na pytanie Valerii brunetka.

- Naprawdę? - Valeria była zaskoczona. - Słyszałam, że dostałeś cudowną propozycję pracy w Houston.

- Odrzuciłem ją.

- Ale dlaczego? - Valeria była poruszona.

- Doszedłem do wniosku, że ważniejsze jest ratowanie życia bojowników o wolność, natomiast paru teksańskich milionerów więcej czy mniej nie robi wielkiej różnicy.

Radiolog nie był zafascynowany Jean-Pierre'em w takim stopniu jak jego przyjaciółka.

- Źle na tym nie wyjdiesz - mruknął przełknąwszy porcję ziemniaków. - Żadnych kłopotów z załapaniem się po powrocie na ten sam etat - nie będziesz przecież zwykłym lekarzem, lecz lekarzem bohaterem.

- Tak uważasz? - spytał chłodno Jean-Pierre. Nie był zachwycony obrotem, jaki przybierała dyskusja.

- W zeszłym roku wyjechało do Afganistanu dwóch ludzi z tego szpitala - ciągnął radiolog. - Po powrocie dostali wspaniałe angaże.

Jean-Pierre uśmiechnął się wyrozumiale.

- Dobrze wiedzieć, że jeśli uda mi się przeżyć, nie zostanę na bruku.

- Spodziewam się! - oburzyła się brunetka. - Po takim poświęceniu!

- A co na to twoi rodzice? - zainteresowała się Valeria.

- Matka aprobuje moją decyzję - powiedział Jean-Pierre. Oczywiście, że aprobowała: sama przecież kochała bohatera. Jean-Pierre potrafił sobie wyobrazić, co powiedziałyby jego ojciec o młodym lekarzu idealiście, który ma zamiar pracować dla afgańskich partyzantów. *Socjalizm nie oznacza wcale, że każdy może robić, co mu się żywnie podoba* - powiedziałyby ochryplym, podnieconym głosem, a jego twarz zaczerwieniłaby się z lekka. *Kim według ciebie są ci rebelianci? Są bandytami żerującymi na przestrzegających prawa wieśniakach. Socjalizmowi trzeba utorować drogę likwidując feudalne struktury. Tu walnąłby ogromną pięścią w stół. Żeby zrobić suflet, trzeba najpierw rozbić jajka - żeby wprowadzić socjalizm, trzeba przedtem rozbić parę głów!* Nie denerwuj się, tato, ja to wszystko wiem.

- Ojciec nie żyje - dodał Jean-Pierre. - Ale sam był bojownikiem o wolność. Podczas wojny działał w ruchu oporu.

- Co tam robił? - spytał sceptyczny radiolog, ale Jean-Pierre nie zdążył mu już odpowiedzieć, bo w tym momencie ujrzał idącego przez kantinę i pocącego się w swym odświętnym garniturze Raoula Clermonta, wydawcę pisma „La Revolte”. Co, u diabła, robi ten tusty dziennikarz w szpitalnej stołówce?

- Muszę zamienić z tobą słówko - oznajmił bez wstępów Raoul. Nie mógł złapać tchu. Jean-Pierre wskazał mu krzesło.

- Raoul...

- To pilne - przerwał mu Raoul i wyszło to tak, jakby nie życzył sobie, aby pozostali usłyszeli jego nazwisko.

- A może zjesz z nami lunch? Potem spokojnie sobie porozmawiamy.

- Żałuję, ale nie mogę.

Jean-Pierre usłyszał w głosie grubasa nutkę paniki. Popatrzył w jego oczy i dostrzegł w nich błaganie, by przestał się wygłupiać. Zdziwiony podniósł się od stolika.

- No dobrze - powiedział. Żeby zatuszować jakoś nagłość incydentu, rzucił żartobliwie do pozostałych: - Nie zjadać mojego lunchu, zaraz wracam. - Wziął Raoula pod ramię i wyszli razem z kantyny.

Jean-Pierre zamierzał rozpocząć rozmowę zaraz za drzwiami, ale Raoul szedł dalej korytarzem.

- Przysłała mnie Monsieur Leblond - wyjaśnił po drodze.

- Właśnie się domyślałem, że to on za tym stoi - powiedział Jean-Pierre. Miesiąc temu Raoul poznał go z Leblondem, a ten zaproponował mu wyjazd do Afganistanu, oficjalnie celem udzielenia pomocy rebeliantom, jak to czyniło wielu młodych francuskich lekarzy, ale w rzeczywistości po to, by podjąć działalność szpiegowską na rzecz Rosjan. Jean-Pierre poczuł się dumny, doceniony, a nade wszystko wzruszony, że oto nadarza się okazja uczynienia dla sprawy czegoś naprawdę spektakularnego. Obawiał się tylko, że jako komunista nie przejdzie przez sito kwalifikacyjne organizacji wysyłających lekarzy do Afganistanu. Nie wiedzieli, że jest członkiem partii, a sam im tego z pewnością nie powie - ale nie krył przecież, że sympatyzuje z komunistami. Z drugiej strony, wielu francuskich komunistów potępiało inwazję na Afganistan. Teoretycznie istniała jednak możliwość, że jakaś przewrażliwiona komisja kwalifikacyjna zasugeruje, iż Jean-Pierre może być równie szczęśliwy pracując dla jakiejś innej grupy bojowników o wolność - wysyłali też ludzi do pomocy partyzantom gdzie indziej, na przykład w Salwadorze. Jego obawy okazały się

plonne: został zakwalifikowany natychmiast przez *Médicins pour la Liberté*. Podzielił się dobrą nowiną z Raoulem, a ten powiedział, że umówi go na drugie spotkanie z Leblondem. Może o to właśnie chodziło.

- Co tak panikujesz? - spytał Raoula.

- On chce się z tobą natychmiast widzieć.

- Teraz? - spytał z irytacją Jean-Pierre. - Jestem na dyżurze. Mam pacjentów...

- Ktoś inny może się nimi zająć.

- Ale skąd ten pośpiech? Wyjeżdżam dopiero za dwa miesiące.

- Nie chodzi o Afganistan.

- A o co?

- Nie wiem.

No to co cię tak przeraziło, pomyślał Jean-Pierre.

- I niczego się nie domyślasz? - spytał głośno.

- Wiem, że aresztowano Rahmiego Coskuna.

- Tego tureckiego studenta?

- Tak.

- Za co?

- Nie wiem.

- A co to ma wspólnego ze mną? Ledwie go znam.

- Monsieur Leblond wszystko ci wyjaśni.

Jean-Pierre rozłożył ręce.

- Nie mogę ot tak sobie stąd wyjść.

- A co by było, gdybyś nagle źle się poczuł? - spytał Raoul.

- Zgłosiłbym to przełożonej pielęgniarek, a ona wezwałaby telefonicznie kogoś na zastępstwo. Ale...

- No to dzwoń do niej. - Doszli do głównego holu szpitala, gdzie na ścianie wisiał rząd aparatów telefonicznych łączności wewnętrznej.

To może być jakiś test, pomyślał Jean-Pierre; test na lojalność, który ma wykazać, czy jestem wystarczająco poważny, by powierzyć mi tę misję. Zdecydował, że podejmie ryzyko narażenia się na niezadowolenie dyrekcji szpitala. Podniósł słuchawkę aparatu.

- Miałem telefon w ważnej sprawie rodzinnej - powiedział po uzyskaniu połączenia. - Musi się pani natychmiast skontaktować z doktorem Roche.

- Dobrze, panie doktorze - odparła spokojnie pielęgniarka. - Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Później pani powiem - powiedział pośpiesznie. - Do widzenia. Ach, jeszcze jedno. - Miał na oddziale pacjentkę po operacji, która w nocy miała krwotok. - Jak się czuje pani Ferier?

- Świetnie. Krwawienie się nie powtórzyło.

- To dobrze. Ma być cały czas pod ścisłą obserwacją.

- Tak jest, panie doktorze.

Jean-Pierre odwiesił słuchawkę.

- Załatwione - powiedział do Raoula. - Chodźmy.

Doszli do parkingu i wsiedli do renaulta 5 Raoula. Wnętrze samochodu było nagrzane od południowego słońca. Raoul jechał szybko bocznymi uliczkami. Jean-Pierre'a ogarniał coraz większy niepokój. Nie wiedział, kim dokładnie jest Leblond, ale podejrzewał, że ma coś wspólnego z KGB. Zachodził w głowę, czy nie naraził się czasem czymś tej wzbudzającej postrach organizacji - a jeśli tak, to jaka może go czekać kara.

O Jane na pewno nie mogli się dowiedzieć.

Nie ich sprawa, że prosił ją, by pojechała z nim do Afganistanu. Zresztą i tak będzie to zapewne cała grupa: może jakaś pielęgniarka do pomocy Jean-Pierre'owi na miejscu; może jacyś inni lekarze skierowani do różnych części kraju; dlaczego Jane nie mogłaby się znaleźć między nimi? Nie była co prawda pielęgniarką, ale mogłaby przejść przyspieszony kurs, a jej wielkim atutem była znajomość farsy, narzecza języka perskiego, którym posługiwano się w rejonie, do którego udawał się Jean-Pierre.

Miał nadzieję, że wyrazi zgodę i w imię ideałów i żądy przygód pojedzie z nim. Miał nadzieję, że zapomni tam o Ellisie i zakocha się w pierwszym Europejczyku, jaki nawinie się jej pod rękę. Będzie nim, ma się rozumieć, Jean-Pierre.

Miał również nadzieję, że partia nigdy się nie dowie, iż namówił ją do wyjazdu z pobudek osobistych. Nie musieli tego wiedzieć i nie mieli jak się dowiedzieć - tak mu się przynajmniej wydawało. Być może się mylił. Być może mieli do niego pretensje.

Bzdura, powiedział sobie. Nie zrobiłem nic złego - a nawet gdyby, to nie będzie żadnej kary. To prawdziwe KGB, nie jakaś mityczna instytucja, która napawa lękiem prenumeratów „Reader's Digest”.

Raoul zaparkował wóz. Zatrzymali się przed drogą czynszową kamienicą na rue de l'Université. Poprzednie spotkanie z Leblondem również miało miejsce tutaj. Wyszli z samochodu i weszli do budynku.

W korytarzu panował mrok. Wspięli się po krętych schodach na pierwsze piętro i zadzwonili do drzwi. Jak bardzo odmieniło się moje życie od chwili, kiedy po raz pierwszy stanąłem przed tymi drzwiami, pomyślał Jean-Pierre.

Otworzył im Monsieur Leblond. Był to niski, drobny, łysiejący mężczyzna w okularach: w swoim ciemnoszarym garniturze i srebrnym krawacie wyglądał jak lokaj. Wprowadził ich do pokoju z oknami wychodzącymi na tyły posesji, w której odbywała się poprzednia rozmowa wstępna. Wysokie okna i wymyślne gzymsy sugerowały, że był to kiedyś elegancki salon, ale teraz podłogę pokrywał dywan z tworzywa sztucznego, a całe umeblowanie stanowiło zwyczajne tanie biurko oraz kilka plastikowych krzeseł pomarańczowego koloru.

- Zaczekajcie tu chwilę - powiedział Leblond. Głos miał cichy, niewyraźny i suchy jak kurz. Lekki, ale wyczuwalny akcent nasuwał podejrzenie, że Leblond nie jest jego prawdziwym nazwiskiem. Wyszedł innymi drzwiami.

Jean-Pierre usiadł na jednym z plastikowych krzeseł. Raoul nie poszedł za jego przykładem. W tym pokoju, pomyślał Jean-Pierre, ten suchy głos powiedział do mnie: „Od dziecka byliście skromnym, lojalnym członkiem partii. Wasz charakter i tradycje waszej rodziny pozwalają przypuszczać, że będziecie dobrze służyć partii w poufnej misji”.

Mam nadzieję, że nie zniszczyłem wszystkiego sprawą z Jane, pomyślał.

Leblond wrócił z jakimś mężczyzną. Stanęli w progu i gospodarz wskazał na Jean-Pierre'a. Nieznajomy przyjrzał mu się uważnie, jakby chciał sobie dobrze utrwalić w pamięci jego twarz. Jean-Pierre wytrzymał jego spojrzenie. Mężczyzna był olbrzymem o szerokich barach gracza w amerykański futbol. Włosy po bokach głowy miał długie, ale przeredzone na ciemieniu, i nosił obwisłe wąsy. Ubrany był w marynarkę z zielonego sztruksu, rozdartą na rękawie. Po kilku sekundach skinął głową i wyszedł.

Leblond zamknął za nim drzwi i usiadł za biurkiem.

- Zdarzyła się katastrofa - powiedział.

A więc nie chodzi o Jane, pomyślał z ulgą Jean-Pierre. Chwała Bogu.

- W kręgu naszych przyjaciół działa agent CIA - ciągnął Leblond.

- O Boże! - jęknął Jean-Pierre.

- To nie ta katastrofa - burknął z irytacją Leblond. - Obecność amerykańskiego szpiega wśród naszych przyjaciół nie jest niczym zaskakującym. Bez wątplenia nie brak tam również agentów wywiadu izraelskiego i południowoafrykańskiego oraz francuskiego. Od czego są ci ludzie, jeśli nie od infiltrowania grup młodych aktywistów politycznych? My, oczywiście, też mamy wśród nich swojego człowieka.

- Kogo?

- Was.

- Och! - Jean-Pierre'a zatkalo; nie uwazal siebie za szpiega, takiego prawdziwego. Ale cöz innego sugerowaly słowa „służyć partii w poufnej misji”? - Kto jest tym agentem CIA? - spytał z wielkim zainteresowaniem.

- Niejaki Ellis Thaler.

Wstrząśnięty Jean-Pierre zerwał się z krzesła.

- Ellis?

- Znaćcie go. I to dobrze.

- Ellis szpiegiem CIA?

- Siadajcie - powiedział spokojnie Leblond. - Problem nie w tym, kim jest, ale co zrobił.

Jean-Pierre pomyślał natychmiast, że jeśli Jane dowie się o tym, rzuci Ellisa jak gorącą cegłę. Czy pozwolą mi powiedzieć jej o tym? Jeśli nie, to czy dowie się tego z jakiegoś innego źródła? Czy w to uwierzy? Czy Ellis wszystkiemu zaprzeczy?

Leblond nadal coś mówił. Jean-Pierre z wysiłkiem skoncentrował się na jego słowach.

- Katastrofa, o której wspomniałem, polega na tym, że Ellis zastawił pułapkę i złowił w nią kogoś dosyć dla nas ważnego.

Jean-Pierre'owi przypomniało się, że Raoul mówił mu o aresztowaniu Rahmiego Coskuna.

- To Rahmi jest dla nas kimś ważnym?

- Nie chodzi o Rahmiego.

- A więc o kogo?

- Nie musicie wiedzieć.

- To po co mnie tu wezwano?

- Zamknijcie się i słuchajcie - warknął Leblond i po raz pierwszy Jean-Pierre poczuł przed nim respekt. - Nie miałem, oczywiście, przyjemności poznania waszego przyjaciela Ellisa. Tak się nieszczęśliwie składa, że Raoul też nie. W związku z tym żaden z nas nie wie, jak on wygląda. Ale wy to wiecie. I właśnie dlatego tu jesteście. Czy wiecie również, gdzie mieszka Ellis?

- Tak. Wynajmuje pokój nad restauracją przy rue de l'Ancienne Comédie.

- Czy okna tego pokoju wychodzą na ulicę?

Jean-Pierre zmarszczył w zamyśleniu czoło. Był tam tylko raz - Ellis rzadko zapraszał kogoś do siebie.

- Chyba tak.

- Nie macie pewności?

- Niech się zastanowię. - Był tam późnym wieczorem z Jane i paczką innych ludzi po filmie wyświetlanym na Sorbonie. Ellis poczęstował ich kawą. To był mały pokoik. Jane siedziała na podłodze pod oknem... - Tak. Okno wychodzi na ulicę. A jakie to ma znaczenie?

- Takie, że będziecie mogli dać sygnał.

- Ja? Jaki sygnał? Komu?

Leblond posłał mu groźne spojrzenie.

- Przepraszam - powiedział Jean-Pierre.

Leblond zawahał się. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był już o ton łagodniejszy, chociaż twarz miał nadal nieprzeniknioną.

- Przechodźcie chrzest bojowy. Przykro mi, że wykorzystuję was w... akcji... takiej jak ta, mimo że nic jeszcze dla nas nie zrobiliście. Ale znacie Ellisa i jesteście pod ręką, a nie mamy w tej chwili do dyspozycji nikogo innego, kto by go znał; no i jeśli to, co chcemy zrobić, nie zostanie przeprowadzone natychmiast, stracimy czynnik zaskoczenia. Jeśli będzie u siebie, wejdziecie tam - wymyślcie sobie jakiś pretekst. Podejdziecie do okna, wychylicie się i zrobicie wszystko, aby Raoul, który będzie czekał na ulicy, zauważył was.

Raoul przestąpił z nogi na nogę jak pies, który słyszy swoje imię w prowadzonej przez ludzi rozmowie.

- A jeśli Ellisa nie będzie w domu? - spytał Jean-Pierre.

- Porozmawiacie wtedy z sąsiadami. Spróbujecie się dowiedzieć, dokąd wyszedł i kiedy wróci. Jeśli okaże się, że wyszedł tylko na kilka minut, albo nawet na godzinę, poczekacie na niego. Kiedy wróci, postąpicie w następujący sposób: wejdziecie z nim do mieszkania, podejdziecie do okna i pokażecie się Raoulowi. Wasze pojawienie się w oknie będzie sygnałem, że Ellis jest w mieszkaniu - a więc cokolwiek będziecie robić, nie podchodźcie do okna, jeśli go tam nie będzie. Zrozumieliście?

- Wiem, czego ode mnie chcecie - powiedział Jean-Pierre. - Nie rozumiem tylko, co to ma na celu.

- Identyfikację Ellisa.

- A kiedy już go wskażę?

Leblond udzielił Jean-Pierre'owi odpowiedzi, której ten miał nadzieję nie usłyszeć i odpowiedź ta przeraziła go do głębi.

- Zabijemy go, oczywiście.

## ROZDZIAŁ 3

Jane rozłożyła cerowany biały obrus na malutkim stolyczku Ellisa i ustawiła na nim dwa nakrycia z zestawem sfatygowanych sztućców. W szafce pod zlewem znalazła butelkę Fleurie i otworzyła ją. Kusiło ją, żeby spróbować wina, ale postanowiła poczekać z tym na Ellisa. Wyjęła szklanki, sól, pieprz, musztardę i papierowe serwetki. Pomyślała, czyby nie zacząć czasem przygotowywania posiłku. Nie, lepiej zostawić to jemu.

Nie podobał jej się pokój Ellisa. Był pusty, ciasny i bezosobowy. Kiedy po raz pierwszy go zobaczyła, przeżyła mały szok. Umawiała się już od jakiegoś czasu z tym miłym, zrelaksowanym, dojrzałym mężczyzną i wyobrażała sobie, że mieszka w atrakcyjnym, komfortowym apartamencie pełnym pamiątek z bogatej w doświadczenia przeszłości, w warunkach odzwierciedlających jego osobowość. Tymczasem z wyglądu tej klitki trudno byłoby odgadnąć, że był już kiedyś żonaty, walczył na wojnie, zażywał LSD i kapitanował szkolnej drużynie futbolowej. Zimne białe ściany zdobiło kilka przypadkowo dobranych plakatów. Porcelanowa zastawa ze sklepów ze starzyzną, byle jakie aluminiowe garnki. W kieszonkowych wydaniach tomików poezji nie było żadnych dedykacji. Dżinsy i swetry trzymał w plastikowej walizce wsuniętej pod rozchwierutane łóżko. A gdzie stare świadectwa szkolne, gdzie fotografie siostrzeńców i siostrzenic, gdzie przechowywana jak największy skarb kopia „Heartbreak Hotel”, gdzie pamiątkowy szczyryk z Bolonii albo z Niagara Falls, gdzie talerz z drewna lękowego, który każdy wcześniej czy później otrzymuje w prezencie od rodziców? W pokoju nie było nic naprawdę ważnego, żadnego z tych przedmiotów, które trzyma się nie przez wzgląd na to, czym są, lecz na to, co sobą reprezentują; nie było najmniejszej części jego duszy.

Był to pokój mężczyzny zamkniętego w sobie, tajemniczego, mężczyzny, który nigdy nie podzielił się z nikim swoimi najskrytszymi myślami. Stopniowo, z wielkim smutkiem. Jane dochodziła do przekonania, że Ellis jest właśnie taki jak jego pokój - chłodny i skryty.

Ale to niemożliwe. Był przecież człowiekiem tak pewnym siebie. Szedł przez życie z wysoko uniesionym czołem, jakby nigdy nikogo się nie obawiał. W łóżku był całkowicie swobodny, na tle seksualnym nie miał żadnych zahamowań. Robił i mówił wszystko bez lęku, wahań czy fałszywego wstydu. Jane nie znała przedtem mężczyzny takiego jak on. Ale zbyt często zdarzało się - w łóżku, w restauracji albo po prostu na ulicy podczas spaceru - że kiedy zaczynała się z niego śmiać lub też słuchała tego, co mówi, albo kiedy patrzyła na skórę marszczącą się wokół jego oczu, gdy o czymś myślał, albo wreszcie gdy tuliła się do jego



ciepłego ciała, stwierdzała nagle, że bez żadnej określonej przyczyny wyłączał się. W owych nastrojach nieobecności przestawał być kochający, przestawał być zabawny, troskliwy, delikatny, rycerski czy namiętny. Czuła się wtedy odepchnięta, obca, czuła się intruzem w jego prywatnym świecie. Było to tak, jakby słońce zaszło za chmurę.

Zdawała sobie sprawę, że musi z nim zerwać. Kochała go do szaleństwa, ale wszystko wskazywało na to, że on nie potrafi w pełni odwzajemnić jej uczuć. Miał już trzydzieści trzy lata i jeśli nie nauczył się dotąd sztuki współżycia z bliska sobie osobą, to nigdy już się tego nie nauczy.

Usiadła na sofie i zaczęła przeglądać „The Observer”, którego kupiła po drodze w stoisku z zagranicznymi gazetami przy Boulevard Raspail. Na pierwszej stronie zamieszczono korespondencję z Afganistanu. Przyszło jej do głowy, że jeśli chce zapomnieć o Ellisie, najłatwiej jej to przyjdzie, gdy tam właśnie pojedzie.

Zapaliła się do tego pomysłu natychmiast. Chociaż kochała Paryż, a pracę miała naprawdę interesującą, pragnęła czegoś więcej: doświadczenia, przygody, no i szansy zrobienia czegoś wielkiego w imię wolności. Nie bała się. Jean-Pierre mówił, że lekarzy uważano za osoby zbyt cenne, by posyłać ich w strefę bezpośrednich działań wojennych. Istniało, co prawda, ryzyko, że oberwie się odłamkiem zabłąkanej bomby lub też wpadnie w zasadzkę, ale nie było chyba większe od niebezpieczeństwa dostania się pod koła paryskiego samochodu. Była bardzo ciekawa życia afgańskich rebeliantów.

- Co oni tam jedzą? - spytała kiedyś Jean-Pierre'a. - Jak się ubierają? Czy mieszkają w namiotach? Mają toalety?

- Nie ma tam żadnych toalet - odparł. - Nie ma elektryczności. Nie ma dróg. Nie ma wina. Nie ma samochodów. Nie ma centralnego ogrzewania. Nie ma dentystów. Nie ma listonoszy. Nie ma telefonów. Nie ma restauracji. Nie ma reklamy. Nie ma coca-coli. Nie ma prognoz pogody, nie ma notowań giełdowych, nie ma dekoratorów wnętrz, nie ma pracowników opieki społecznej, nie ma szminki do ust, nie ma tampaxu, nie ma pokazów mody, nie ma przyjęć, nie ma postojów taksówek, nie ma przystanków autobusowych.

- Poczekaj! - przerwała mu. Mógł tak wyliczać godzinami. - Muszą mieć autobusy i taksówki.

- Ale nie na wsi. Jadę do regionu zwanego Doliną Pięciu Lwów, partyzanckiej warowni na podgórzu Himalajów. Prymityw panował tam, zanim jeszcze Rosjanie ją zbombardowali.

Jane była całkowicie pewna, że doskonale potrafi obyc się bez kanalizacji, szminki do ust czy prognoz pogody. Podejrzewała, że nie docenia niebezpieczeństwa, grożącego nawet

poza strefą bezpośrednich walk, ale to jej jakoś nie zniechęcało. Matka oczywiście wpadłaby w histerię. Ojciec, gdyby żył, powiedziałby:

- No to powodzenia, Jane. - Rozumiał sens robienia czegoś ważnego z własnym życiem. Chociaż był dobrym lekarzem, nigdy się nie dorobił, bo gdziekolwiek mieszkali - w Nassau, w Kairze, w Singapurze, a najdłużej w Rodezji - biednych ludzi leczył zawsze za darmo, walili więc do niego tłumnie, odstrasżając płacących pacjentów.

Z zadumy wyrwał ją odgłos kroków na schodach. Uświadomiła sobie, że nie przeczytała więcej niż kilka linijek artykułu. Przekrzywiła głowę nadstawiając ucha. To chyba nie były kroki Ellisa, a jednak rozległo się pukanie do drzwi.

Jane odłożyła gazetę i poszła otworzyć. W progu stał Jean-Pierre. Był niemal tak samo zaskoczony jak ona. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Masz minę winowajcy. Czy ja też? - odezwała się wreszcie.

- Tak - przyznał uśmiechając się.

- Właśnie o tobie myślałam. Wejdz.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się.

- Nie ma Ellisa?

- Wkrótce powinien być. Siadaj.

Jean-Pierre opuścił swe wysmukłe ciało na kanapę. Jane nie po raz pierwszy przeszło przez myśl, że nie spotkała chyba nigdy piękniejszego mężczyzny. Jego twarz miała idealnie regularne rysy - wysokie czoło, mięsisty, dosyć arystokratyczny w zarysie nos, błyszczące, brązowe oczy, zmysłowe usta przysłonięte częściowo pełną, ciemnobrązową brodą z nieregularnymi przebłyskami kasztanu w wąsach. Ubrania miał tanie, ale pieczołowicie dobrane i nosił je z taką nonszalancką elegancją, że Jane sama zazdrościła mu tej umiejętności.

Bardzo go lubiła. Jego wielką wadą było zbyt wielkie mniemanie o sobie, ale obnosił się z nim w tak naiwny i rozbrajający sposób jak chełpliwe dziecko. Podobał jej się jego idealizm i oddanie medycynie. Emanował z niego wielki urok. Miał też zwariowana wyobraźnię, która czasami mogła rozbawić do łez: sprowokowany jakimś absurdem, choćby czymś przejęzyczeniem, podejmował fantazyjny monolog i potrafił go ciągnąć przez dziesięć, nawet piętnaście minut. Gdy ktoś zacytował kiedyś uwagę na temat piłki nożnej wypowiedzianą przez Jeana Paula Sartre'a, Jean-Pierre zaimprovizował na poczekaniu komentarz do wymyślanego meczu piłkarskiego, genialnie imitując styl, jakim mógłby posłużyć się ten egzystencjalny filozof. Jane ze śmiechu rozboleł brzuch. Mówiono, że jego

wesołe usposobienie ma też swoją odwrotną stronę, objawiającą się w napadach czarnej depresji, ale Jane nigdy jeszcze go w takim stanie nie widziała.

- Napijesz się wina? - zapytała, biorąc butelkę ze stolika.

- Nie, dziękuję.

- Przygotowujesz się do życia w muzułmańskim kraju?

- Niespecjalnie.

Nie wyglądał na skorego do żartów.

- Co się stało? - zapytała.

- Muszę z tobą poważnie porozmawiać - powiedział.

- Odbyliśmy już poważną rozmowę trzy dni temu, zapomniałeś? - przypomniała mu swobodnie. - Prosiłeś mnie, żebym zostawiła swojego przyjaciela i pojechała z tobą do Afganistanu - niewiele dziewcząt oparłoby się takiej propozycji.

- Bądź poważna.

- No dobrze. Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Jane. Dowiedziałem się czegoś strasznego o Ellisie.

Spojrzała na niego niepewnie. A to co znowu? Czyżby jeszcze raz wymyślił jakąś historyjkę i uciekając się do kłamstwa zamierzał nakłonić ją do wyjazdu? Nie wyglądało na to.

- No, co takiego?

- Nie jest tym, za kogo się podaje - wyrzucił z siebie Jean-Pierre.

Zachowywał się strasznie melodramatycznie.

- Nie musisz przemawiać tonem właściciela zakładu pogrzebowego. Co przez to rozumiesz?

- Nie jest poetą bez pensa przy duszy. Pracuje dla amerykańskiego rządu.

Jane zmarszczyła czoło.

- Dla rządu amerykańskiego? - W pierwszej chwili pomyślała, że Jean-Pierre coś pokręcił. - Udziela lekcji angielskiego paru Francuzom pracującym dla rządu amerykańskiego...

- Nie o to mi chodzi. On rozpracowuje grupy radykałów. Jest agentem wywiadu. Pracuje dla CIA.

Jane parsknęła śmiechem.

- Co ty za bzdury wygadujesz?! Spodziewałeś się, że skłonisz mnie w ten sposób do zerwania z nim?

- Ależ to prawda, Jane.

- Nie, to nie jest prawda. Ellis nie może być szpiegiem. Czy nie sądzisz, że zorientowałabym się? Od roku dzielę z nim praktycznie życie.

- A jednak się nie zorientowałaś, prawda?

- To nie zmienia postaci rzeczy. Znam go. - Nim skończyła wypowiedzanie tych słów, pomyślała, że to by wiele wyjaśniało. Tak naprawdę, to wcale Ellisa nie znała. Znała go jednak na tyle, aby mieć pewność, że nie jest nikczemnikiem, łajdakiem, zdrajcą, krótko mówiąc, nie jest zwyczajnym draniem.

- Mówi o tym całe miasto - ciągnął Jean-Pierre. - Dzisiaj rano aresztowano Rahmiego Coskuna i wszyscy twierdzą, że to sprawka Ellisa.

- Za co aresztowano Rahmiego?

Jean-Pierre wzruszył ramionami.

- Bez wątpienia za działalność wywrotową. W każdym razie Raoul Clermont ugania się po mieście szukając Ellisa. Są tacy, którzy pragną zemsty.

- Och, Jean-Pierre, to śmiechu warte - powiedziała Jane. Nagle zrobiło jej się gorąco. Podeszła do okna i rozwarła je na oścież. Spojrzała w dół, na ulicę i zobaczyła jasną głowę Ellisa, znikającą w drzwiach klatki schodowej. - No, idzie - powiedziała do Jean-Pierre'a. - Teraz będziesz musiał powtórzyć tę nedorzeczną historię w jego obecności. - Słyszała już kroki Ellisa na schodach.

- Taki mam zamiar - powiedział Jean-Pierre. - Myślisz, że po co tu jestem? Przyszedłem go ostrzec, że jest poszukiwany.

Jane uświadomiła sobie, że Jean-Pierre jest naprawdę szczery; rzeczywiście wierzył w to, co mówi. No nic, Ellis wyprowadzi go zaraz z błędu.

Drzwi otworzyły się i wszedł Ellis.

Sprawił wrażenie ogromnie uszczęśliwionego, rozpieranego dobrymi wiadomościami i kiedy ujrzała jego pełną, uśmiechniętą twarz ze złamanym nosem i przenikliwymi błękitnymi oczyma, serce ścisnęło się jej w piersiach w poczuciu winy, że flirtowała z Jean-Pierre'em.

Ellis zatrzymał się w progu zaskoczony widokiem Jean-Pierre'a. Uśmiech spełził mu z twarzy.

- Cześć wam obojgu - powiedział. Zamknął za sobą drzwi i tak jak zawsze zasunął zasuwę. Jane uważała to jego przyzwyczajenie za dziwactwo, ale teraz przyszło jej do głowy, że tak właśnie zachowałby się szpieg. Natychmiast odrzuciła od siebie te myśli.

Pierwszy odezwał się Jean-Pierre.

- Szykują się na ciebie, Ellis. Już wiedzą. Szukają cię.

Jane przenosiła wzrok z jednego na drugiego. Jean-Pierre był wyższy od Ellisa, ale Ellis był szerszy w ramionach i miał bardziej rozbudowaną klatkę piersiową. Stali patrząc na siebie jak dwa taksujące się nawzajem koty.

Jane zarzuciła Ellisowi ramiona na szyję i pocałowała go przepraszająco.

- Jean-Pierre opowiedział mi jakąś absurdalną historię o tym, że jesteś jakoby szpiegiem na usługach CIA - powiedziała.

Jean-Pierre wychylił się przez okno i przeczesał wzrokiem ulicę. Odwrócił się i spojrzał na Ellisa.

- Powiedz jej, Ellis.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał go Ellis.

- Całe miasto o tym mówi.

- A od kogo konkretnie to usłyszałeś? - pytał dalej Ellis twardym jak stal tonem.

- Od Raoula Clermonta.

Ellis pokiwał głową.

- Może byś usiadła, Jane? - powiedział przechodząc na angielski.

- Nie chce siadać - burknęła z irytacją.

- Mam ci coś do powiedzenia - nalegał.

To nie może być prawda, nie może. Jane czuła, jak panika ścisła jej gardło.

- No to mów - parsknęła - i przestań mnie prosić, żebym usiadła! Ellis spojrzał na Jean-Pierre'a.

- Mógłbyś nas zostawić samych? - zwrócił się do niego po francusku.

W Jane zaczynała wzbierać złość.

- Co mi zamierzasz powiedzieć? Dlaczego nie powiesz od razu, że Jean-Pierre się myli? Powiedz mi, że nie jesteś szpiegiem, Ellis, bo zaraz oszaleję!

- To nie takie proste - mruknął Ellis.

- Właśnie że proste! - Nie potrafiła już dłużej powstrzymać histerycznego brzmienia swego głosu. - On twierdzi, że jesteś szpiegiem, że pracujesz dla amerykańskiego rządu i że od chwili, gdy się poznaliśmy, przez cały czas bezwstydnie i podstępnie mnie okłamywałeś. Czy to prawda? Prawda czy nie? No?

- Wygląda na to, że prawda - westchnął Ellis.

Jane poczuła, że za chwilę wybuchnie.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła. - Ty pieprzony sukinsynu!

Twarz Ellisa zastygła w nieruchomą jak kamień maskę.

- Zamierzałem ci to dzisiaj powiedzieć - wycedził.

Ktoś zapukał do drzwi. Oboje nie zwrócili na to uwagi.

- Szpiegowałeś mnie i wszystkich moich przyjaciół! - krzyknęła Jane. - Tak mi wstyd.

- Moja misja tutaj dobiegła końca - powiedział Ellis. - Nie muszę cię już okłamywać.

- Nie będziesz miał okazji. Nie chcę cię więcej widzieć.

Znowu rozległo się pukanie.

- Ktoś dobija się do drzwi - powiedział po francusku Jean-Pierre.

- Nie mówisz chyba poważnie, że... - Ellis zająknął się - że nie chcesz mnie więcej widzieć.

- Ty w ogóle nie rozumiesz, co mi zrobiłeś, prawda? - powiedziała.

- Otwórzcie te cholerne drzwi, na miłość boską! - wtrącił się Jean-Pierre.

- Jezu Chryste - westchnęła Jane i podeszła do drzwi. Odsunęła zasuwę i otworzyła je.

W progu stał ogromny, barczysty mężczyzna w zielonej, sztruksowej marynarce rozdartej na rękawie. Jane nigdy przedtem go nie widziała. - Czego pan, do diabła, chce? - zapytała i wtedy dostrzegła w jego dłoni pistolet.

Następne sekundy mijały niczym na zwolnionym filmie.

Jane uświadomiła sobie błyskawicznie, że jeśli Jean-Pierre nie myli się i Ellis naprawdę jest szpiegiem, to nie myli się również twierdząc, że ktoś chce się na nim zemścić; i że w świecie, w którym potajemnie obracał się Ellis, słowo „zemsta” rzeczywiście mogło oznaczać stukanie do drzwi i stojącego za nimi człowieka z pistoletem.

Otworzyła usta do krzyku.

Nieznajomy zawahał się na ułamek sekundy. Wyglądał na zaskoczonego widokiem kobiety. Jego wzrok powędrował od Jane do Jean-Pierre'a i z powrotem: wiedział, że to nie Jean-Pierre jest jego celem. Ale nie widząc nigdzie Ellisa, ukrytego za uchylonymi do połowy drzwiami, na moment stracił głowę.

Zamiast krzyknąć, Jane spróbowała zatrzaskać facetowi drzwi przed nosem.

Gdy pchnęła je w kierunku rewolwerowca, ten zorientował się w jej zamiarach i błyskawicznie wsunął nogę między framugę a drzwi. Odbiły się od jego buta i rozwarły z powrotem. Ale intruz, robiąc wykrok w przód, rozłożył dla utrzymania równowagi ramiona i lufa jego pistoletu wycelowana była teraz w róg sufitu.

Chce zabić Ellisa, pomyślała Jane. On chce zabić Ellisa.

Rzuciła się na napastnika, waląc go po twarzy pięściami, bo chociaż nienawidziła Ellisa, uprzytomniła sobie nagie, że nie chce jego śmierci.

Mężczyzna tylko na ułamek sekundy stracił orientację. Brutalnie odepchnął Jane na bok silnym ramieniem. Padając ciężko na podłogę, stłukła sobie boleśnie kość ogonową.

Wszystko, co się później działo, widziała z przerażającą wyrazistością.

Ramię, które odsunęło ją na bok, cofnęło się i silnym pchnięciem otworzyło drzwi na oścież. Mężczyzna stanął niezdecydowanie w progu, wodząc po pokoju ręką ściskającą pistolet. W tym momencie Ellis runął na niego z uniesioną wysoko nad głową butelką wina. Butelka opadła i jednocześnie wypalił pistolet; huk strzału zlał się z brzękiem tłuczonego szkła.

Jane nie odrywała przerażonego wzroku od obu mężczyzn.

Po trwającej wieczność chwili człowiek z pistoletem osunął się na podłogę. Ellis zaś stał nadal i wtedy dotarło do niej, że pocisk chybił celu.

Ellis schylił się i wyrwał pistolet z ręki mężczyzny.

Jane z wysiłkiem podźwignęła się na nogi.

- Nic ci nie jest? - spytał ją Ellis.

- Żyję - odparła łamiącym się głosem.

- Ilu jest na ulicy? - zwrócił się Ellis do Jean-Pierre'a.

Jean-Pierre spojrzął za okno.

- Nie ma nikogo.

Na twarzy Ellisa pojawiło się zdziwienie.

- Pewnie się kryją. - Wepchnął pistolet do kieszeni i podszedł do regału z książkami. - Odsuńcie się - powiedział i przewrócił go na podłogę.

Za regałem znajdowały się drzwi.

Ellis otworzył je.

Popatrzył przeciągle na Jane, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Potem przekroczył próg i zniknął im z oczu.

Po chwili Jane podeszła wolno do ukrytych drzwi i wyjrzała. Prowadziły do drugiego skromnie umeblowanego pokoiku, tak straszliwie zakurzonego, jakby od lat nikt do niego nie wchodził. Pokoik miał drugie drzwi, które stały teraz otworem. Za nimi znajdowała się klatka schodowa.

Jane odwróciła się i popatrzyła na pokój Ellisa. Rewolwerowiec leżał bez czucia w kałuży wina na podłodze. Usiłował zabić Ellisa, tu, w jego pokoju; teraz wydawało się to już nierealne. Wszystko wydawało się nierealne: Ellis w roli szpiega, wiedzący o tym Jean-Pierre, aresztowany Rahmi i sposób ucieczki Ellisa.

Zniknął. Nie chcę cię więcej widzieć, powiedziała mu przed kilkoma zaledwie sekundami. Wyglądało na to, że jej życzenie zostanie spełnione.

Usłyszała kroki na schodach.

Oderwała oczy od rewolwerowca i podniosła je na Jean-Pierre'a. On też sprawiał wrażenie oszołomionego. Po chwili przeszedł przez pokój, zbliżył się do niej i otoczył ją ramionami. Wtuliła głowę w jego bark i wybuchnęła płaczem.



CZĘŚĆ 2: 1982

## ROZDZIAŁ 4

Rzeka spływała spod linii wiecznych lodów zimna, przejrzysta, ciągle w pośpiechu i wypełniała dolinę szumem, rwąc kipiela przez jary, przemykając błyskawicą między łanami pszenicy w swym pędzie na oślep ku odległym równinom. Ten odgłos od ponad roku już rozbrzmiewał w uszach Jane: głośny, kiedy szła się kąpać albo wędrowała z wioski do wioski krętymi górskimi ścieżkami; czasem znów cichy, jak teraz, gdy znajdowała się wysoko na zboczu wzgórza, a Rzeka Pięciu Lwów była tylko odbłaskiem i pomrukiem w oddali. Kiedy opuści wreszcie Dolinę, cisza będzie działała jej na nerwy, pomyślała, tak jak mieszcuchom, którzy nie mogą zasnąć na łonie natury, bo jest za spokojnie. Nasłuchując usłyszała coś jeszcze i zauważyła, że nowy dźwięk pozwala jej uświadomić sobie lepiej tamten stary. Ponad monotony chór rzeki wybijał się coraz wyraźniej baryton śmigłowego samolotu.

Otworzyła oczy. To był antonow, zbójceki, powolny samolot zwiadowczy, którego niezmordowany warkot był typowym zwiastunem rychłego pojawienia się szybszego, hałaśliwszego odrzutowca, odbywającego rajd bombowy. Usiadła i spojrzała niespokojnie w Dolinę.

Znajdowała się w swej sekretnej samotni, na szerokiej, płaskiej półce w połowie drogi na szczyt urwiska. Skalny nawis nad głową chronił ją przed zauważeniem z góry, nie zasłaniając przy tym słońca. Poza tym zniechęciłby każdego, prócz wytrawnego alpinisty, do schodzenia tędy w dół. Od dołu wiodło do jej samotni strome, kamieniste, pozbawione wszelkiej roślinności podejście: nikt nie mógłby wspiąć się tą drogą nie zauważony i nie usłyszany przez Jane. Tak czy inaczej nikt nie miał powodu, żeby tu przychodzić. Jane odkryła to miejsce tylko dzięki temu, że zeszła kiedyś ze szlaku i zabłądziła. Ustronność tego zakątka miała duże znaczenie, bo Jane przychodziła tutaj, aby zrzuciwszy z siebie całe ubranie wylegiwać się w słońcu, a Afgańczycy byli pruderyjni niczym zakonnice; gdyby ujrzano ją nagą, nie uniknęłaby linczu.

Z prawej strony stromo w górę uciekało zbocze. U jej stóp, tam gdzie w pobliżu rzeki stok wzgórza przechodził łagodnie w płaski teren, przycupnęła wioska Banda - pięćdziesiąt do sześćdziesięciu chat uczepionych spłachetka nierównej, kamienistej ziemi, której nikt nie mógłby uprawiać. Prymitywne chaty z szarych gładów oraz wypalanych ze szlamu cegieł pokrywały płaskie dachy ze sprasowanej, ułożonej na matach ziemi. Obok małego drewnianego meczetu widniało skupisko zrujnowanych domostw: dwa miesiące temu jeden z rosyjskich bombowców zaliczył tu bezpośrednie trafienie. Jane widziała wioskę wyraźnie,

choć dzieliło ją od niej dwadzieścia minut forsownego marszu. Przesunęła wzrokiem po dachach, otoczonych murkami podwórkach i błotnistych ścieżkach, sprawdzając, czy nie płaczą się tam pozostawione bez opieki dzieciaki, ale na szczęście nie zauważyła żadnego - wyludniona Banda drzemała pod rozgrzanym błękitnym niebem.

Po lewej Dolina rozszerzała się. Rozciągały się tam małe, kamieniste poletka podziobane lejami po bombach, a w dolnych partiach górskich zboczy sterczały resztki kilku rozwalonych ścian starożytnej tarasowatej osady. Pszenica już dojrzała, ale nikt jej nie zbierał.

Za polami, u stóp urwiska, które uformowało się po drugiej stronie Doliny, rwała Rzeka Pięciu Lwów: w jednym miejscu głęboka, w innych znów płytka; to rozlewając się szeroko, to znów zwężając; na całej długości wartka i usiana wystającymi ponad powierzchnię głazami. Jane przesunęła wzrokiem wzdłuż jej biegu. Nie spostrzegła ani jednej kąpiącej się czy piorącej kobiety, ani jednego dziecka pluskającego się na płycznach, ani jednego mężczyzny przeprowadzającego brodem konie lub osły.

Pomyślała, że czas już chyba narzucić na siebie ubranie, opuścić ustronie i wspiąć się z boczem do położonego wyżej obozowiska przy jaskiniach. Tam przebywali teraz mieszkańcy wioski - mężczyźni odsypiali nocną pracę na poletkach, kobiety gotowały posiłek i próbowały okiełznać szalejące dzieci, ryczały krowy, beczały spętane owce, a psy walczyły ze sobą o ochłapy. Tutaj była prawdopodobnie zupełnie bezpieczna, bo Rosjanie nie bombardowali nagich wzgórz tylko wioski; ale zawsze istniało niebezpieczeństwo znalezienia się w zasięgu rażenia zabłąkanej bomby, a jaskinie uchronią ją przed wszystkim, z wyjątkiem bezpośredniego trafienia.

Nie zdążyła jeszcze podjąć decyzji, kiedy usłyszała huk nadlatujących odrzutowców. Mrużąc oczy spojrzała pod słońce w niebo. Przeleciały nad nią kierując się na północny wschód i ich ryk wypełnił Dolinę, zagłuszając szum rwącej rzeki. Były wysoko, ale zaczynały już zniżać lot - jeden, dwa, trzy... Czterech srebrzystych zabójców, szczyt ludzkiego geniuszu wysłany z zadaniem okaleczania niepiśmiennych wieśniaków, rozwalania ich glinianych lepierek i powrotu z szybkością siedmiuset mil na godzinę do bazy.

Po minucie już ich nie było. Dzisiaj Banda została oszczędzona. Jane odprężyła się powoli. Odrzutowce przerażały ją. Ostatniego lata Banda nie była bombardowana ani razu, a na okres zimy odroczenie dostała cała Dolina, ale z nadejściem wiosny zaczęło się znowu i na Bandę spadło już kilka bomb, w tym jedna w samym środku wioski. Od tamtego czasu Jane nienawidziła odrzutowców.

Zadziwiająca była odwaga wieśniaków. Każda rodzina urządziła sobie w jaskiniach drugi dom. Co rano wspinali się na wzgórze, by spędzić tam cały dzień i powrócić o zmierzchu, bo w nocy naloty się nie zdarzały. Ponieważ praca w polu za dnia była niebezpieczna, mężczyźni wychodzili na nie w nocy. Ścisłej mówiąc, w pole wychodzili starsi mężczyźni, bo młodzi przebywali przeważnie poza wioską, strzelając do Rosjan w południowym końcu Doliny albo poza jej granicami. Jean-Pierre dowiedział się od jednego z partyzantów, że tego lata bombardowania na wszystkich terenach kontrolowanych przez rebeliantów były intensywniejsze niż kiedykolwiek. Jeśli Afgańczycy z innych części kraju są tacy jak ci z Doliny, to potrafią się przystosować i przetrwać - ratując, część cennego dobytku z ruin trafionej bombą domostwa, niestrudzenie odtwarzając zniszczone ogródki warzywne, pielęgnując rannych i grzebiąc zabitych i wysyłając coraz młodszych, kilkunastoletnich chłopców pod rozkazy partyzanckich przywódców. Jane wyczuwała, że Rosjanie nigdy nie zdołają pokonać tych ludzi, chyba że obróćą cały kraj w radioaktywną pustynię.

Inna sprawa - czy rebelianci zdołają kiedykolwiek pokonać Rosjan. Byli ludźmi odważnymi i nieugiętymi, kontrolowali dużą część kraju, ale rywalizujące ze sobą plemiona nienawidziły się nawzajem niemal tak samo, jak nienawidziły najeźdźców, a wobec odrzutowych bombowców i bojowych helikopterów ich karabiny były bezużyteczne.

Odsunęła od siebie myśli o wojnie. Była to najgorętsza pora dnia, czas sjeisty, który lubiła spędzać w samotności, zrelaksowana. Wsunęła rękę do torby z kozłej skóry, by nabrać na dłoń porcję oczyszczonego masła, i zaczęła nacierać tłuszczem napiętą skórę swego ogromnego brzucha, dziwiąc się przy tym sobie, jak mogła być tak głupia i zająć w ciążę w Afganistanie.

Przywiozła tu ze sobą dwuletni zapas pigułek antykoncepcyjnych i diafragm oraz cały karton spermochłonnej galaretki; a mimo to zaledwie w kilka tygodni po przyjeździe zapomniała o wznowieniu zażywania pigułek po okresie, a na domiar złego zapomniała kilka razy założyć sobie diafragmę.

- Jak mogłaś dopuścić do takiego niedopatrzienia? - wrzasnął Jean-Pierre. Nic mu wtedy nie odpowiedziała.

Ale teraz, leżąc w słońcu, uroczco ciężarna, z rozkosznie nabrzmiałymi piersiami i nieustającym bólem krzyża, dochodziła do wniosku, że było to niedopatrzenie zamierzone, rodzaj błędu w sztuce popełnionego przez jej podświadomość. Chciała mieć dziecko, ale wiedziała, że Jean-Pierre go sobie nie życzy, doprowadziła więc do poczęcia przez przypadek.

Dlaczego tak bardzo chciałam mieć dziecko, zadała sobie pytanie, i znikąd przyszła do niej odpowiedź: bo byłam samotna.

- Czy to prawda? - powiedziała na głos. Byłaby to ironia losu. W Paryżu, mieszkając samotnie, robiąc zakupy dla jednej osoby, rozmawiając ze sobą w lustrze, nigdy nie czuła się samotna; a kiedy została mężatką i spędzała z mężem każdy wieczór i każdą noc, kiedy pracowała u jego boku przez większą część dnia, zaczęła odczuwać izolację, lęk i samotność.

Pobrali się w Paryżu tuż przed wyjazdem. Ich ślub wydawał się w jakiś sposób naturalną częścią przygody: jeszcze jedno wyzwanie, jeszcze jedno ryzyko, jeszcze jeden dreszczyk emocji. Słyszeli zewsząd, jacy to oni szczęśliwi, jacy odważni i jak w sobie zakochani - i wszystko to była prawda.

Bez wątpienia zbyt wiele oczekiwała. Spodziewała się wiecznie kwitnącej miłości i zażyłości w swym pożyciu z Jean-Pierre'em. Sądziła, że dowie się od niego o chłopięcych sympatiach, o tym, czego najbardziej się obawia i czy to prawda, że mężczyźni strząsają kropelki po wysiusianiu się; ona z kolei opowiedziałaby mu, że jej ojciec był alkoholikiem i że miewała fantazje, w których gwałcił ją czarny mężczyzna, i że czasami, kiedy jest zdenerwowana, ssie kciuk. Ale Jean-Pierre uważał najwyraźniej, że ich związek powinien wyglądać dokładnie tak samo jak przed ślubem. Traktował ją z kurtuazją, rozśmieszał w swych przyływach małpiego rozumu, padał bezradnie w jej ramiona, kiedy nachodziła go depresja, dyskutował o polityce i wojnie, kochał się z nią raz na tydzień, po mistrzowsku wykorzystując wtedy swe młode, smukłe ciało i silne, wrażliwe dłonie chirurga. Pod każdym względem zachowywał się raczej jak chłopak, z którym się chodzi, a nie jak mąż. Wciąż nie czuła się na siłach, by porozmawiać z nim o głupich, kłopotliwych sprawach, na przykład o tym, czy turban wydłuża jej nos i jak jest zawsze zła, kiedy przypomni sobie bicie, jakie dostała za rozlanie czerwonego atramentu na dywan w salonie, kiedy w rzeczywistości zrobiła to jej siostra Paulina. Pragnęła zapytać kogoś, czy tak właśnie miało być, czy może się z czasem poprawi, ale przyjaciele i rodzina byli daleko, a afgańskie kobiety uznałyby jej oczekiwania za niegodziwe. Pokusie wyjawienia Jean-Pierre'owi swojego rozczarowania opierała się częściowo dlatego, że jej żal do niego był mało sprecyzowany, częściowo zaś dlatego, iż obawiała się jego reakcji.

Spoglądając teraz wstecz uświadamiała sobie, że pragnienie posiadania dziecka zrodziło się w niej już wówczas, gdy spotykała się z Ellisem Thalerem. Tamtego roku poleciała z Paryża do Londynu na chrzest trzeciego dziecka swojej siostry Pauliny, czego normalnie by nie zrobiła, bo nie lubiła formalnych uroczystości rodzinnych. Zaczęła też pilnować dziecka pewnemu małżeństwu mieszkającemu w tym samym domu, histerycznemu antykwariuszowi i jego arystokratycznej żonie, i najwięcej przyjemności czerpała z tego wtedy, kiedy dziecko płakało i musiała wyjmować je z łóżeczka i kołysać na rękach.

A potem tu, w Dolinie, gdzie do jej obowiązków należało propagowanie wśród miejscowych kobiet stosowania większego odstępu między kolejnymi porodami w imię wydawania na świat zdrowszego potomstwa, stwierdziła, że dzieli radość, z którą w najuboższych i najliczniejszych rodzinach witana jest każda nowa ciąża, i tak samotność i instynkt macierzyński sprzymierzyły się przeciwko zdrowemu rozsądkowi.

Czy był taki czas - choćby ulotna chwila - kiedy zdawała sobie sprawę, że podświadomość pcha ją do zajścia w ciążę? Czy pomyślała „mogę mieć dziecko” w chwili, kiedy Jean-Pierre wchodził w nią powolnym i lekkim ślizgiem, niczym statek do doku, a ona zaciskała ramiona wokół jego ciała; albo w sekundzie zawahania tuż po wytrysku, kiedy zaciskał mocno powieki i zdawał się wycofywać z niej głęboko w siebie, jak statek kosmiczny spadający w serce słońca: albo potem, kiedy z jego gorącym nasieniem w sobie odpływała błogo w sen?

- Czy zdawałam sobie z tego sprawę? - powiedziała głośno; wspomnienie o uprawianiu miłości podziało na nią podniecająco i zaczęła się onanizować zmysłowo śliskimi od masła dłońmi, zapominając o pytaniu, które sobie zadała i otwierając umysł na mgliste, wirujące, erotyczne fantazje.

Ryk odrzutowców przywołał ją gwałtownie do rzeczywistości. Przerazona patrzyła, jak nad Doliną przemykają i znikają w oddali kolejne cztery bombowce. Gdy grzmot ucichł, znowu zaczęła się pieścić, ale nastrój podniecenia już prysł. Legła nieruchomo w słońcu i rozmyślała o swoim dziecku.

Jean-Pierre zareagował na jej ciążę w taki sposób, jakby to sobie wcześniej zaplanował. Był tak rozjuszony, że chciał już, natychmiast, własnoręcznie dokonać skrobanki. Jane odebrała ten jego zamiar jako nieprawdopodobną makabrę i nagle Jean-Pierre wydał jej się obcy. Ale najtrudniejsze do zniesienia było poczucie odtrącenia. Świadomość, że własny mąż nie chce jej dziecka, podziała na nią nadzwyczaj przygnębiająco. Pogorszył jeszcze sprawę wzdragając się przed dotykaniem jej. Nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona. Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego ludzie próbują czasem odebrać sobie życie. Najgorszą ze wszystkiego torturą było wycofanie się ze współżycia fizycznego - tak bardzo pragnęła być dotykana, że naprawdę wolałaby, żeby Jean-Pierre bił ją raczej, niż unikał. Ilekroć o tym myślała, wzbierała w niej złość, chociaż wiedziała, że sama jest sobie winna.

Potem, pewnego ranka, objął ją ramieniem i przeprosił za swe zachowanie; i chociaż cisnęło jej się na usta: „Mam gdzieś twoje przeprosiny, sukinsynu”, to jednak przebaczyła mu natychmiast, tak rozpaczliwie tęskniła za jego miłością. Powiedział, że obawiał się już, iż ją traci; i że był bezgranicznie przerażony, bo jeśli miała zostać matką jego syna, to utraciłby

jednocześnie ich oboje. To wyznanie rozczuliło ją do łez. Zdała sobie sprawę, że tą ciążą związała się z Jean-Pierre'em na dobre i na złe, i postanowiła, że da z siebie wszystko, aby być dobrą żoną.

Od tamtej pory był dla niej czulszy. Wykazywał zainteresowanie rozwojem dziecka i, jak na przysłego ojca rodziny przystało, zaczął się niepokoić o zdrowie i bezpieczeństwo Jane. Jane oceniała ich małżeństwo jako związek niedoskonały, ale szczęśliwy i wróżyła mu idealną przyszłość, widząc już Jean-Pierre'a na stanowisku ministra zdrowia w socjalistycznym rządzie, a z trojga wybitnie uzdolnionych dzieci jedno miało być na Sorbonie, jedno w londyńskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej i jedno w nowojorskiej Wyższej Szkole Aktorskiej.

W jej marzeniach najstarszym i najbardziej udanym dzieckiem była dziewczynka. Jane dotykała brzucha naciskając go lekko palcami i wyczuwając kształt płodu: Rabia Gul, stara wioskowa akuszerka, twierdziła, że to będzie dziewczynka, bo płód jest wyczuwalny po lewej stronie, podczas gdy chłopcy rozwijają się po prawej. Rabia przepisała jej odpowiednią do tego dietę warzywną, ze szczególnym uwzględnieniem zielonego pieprzu. Dla chłopca zaleciłaby dużo mięsa i ryb. W Afganistanie mężczyźni byli lepiej odżywiani jeszcze przed narodzeniem.

Wyrwał ją z zadumy huk eksplozji. Przez chwilę nie wiedziała, co się stało i powiązała ten dźwięk z samolotami, które przelatywały nad nią kilka minut temu, by spuścić bomby na jakąś inną wioskę; potem gdzieś blisko usłyszała piskliwy, wyrażający ból i przerażenie przeciągły wrzask dziecka.

Domyśliła się od razu, co się stało. Rosjanie, wykorzystując metody walki, których nauczyli się od Amerykanów w Wietnamie, zarzucili okolicę minami przeciwpiechotnymi. Ich oficjalnym celem było odcięcie partyzantom dróg zaopatrzenia. Ponieważ jednak drogami zaopatrzenia partyzantów były górskie ścieżki uczęszczane codziennie przez starców, kobiety, dzieci i zwierzęta, rzeczywisty cel stanowiło sianie zwykłego terroru. Ten krzyk oznaczał, że dziecko weszło na minę.

Jane zerwała się na równe nogi. Krzyk dochodził chyba gdzieś z pobliza domu mułły, który stał pół mili od wioski, przy biegnącej zboczem wzgórza ścieżce. Jane widziała go stąd w dole, po swojej lewej ręce. Wzła buty, porwała z ziemi ubranie i puściła się tam biegiem. Pierwszy długi krzyk ścichł i przeszedł w serię krótkich, zszokowanych wrzasków: dla Jane brzmiało to tak, jakby dzieciak zobaczył rany zadane jego ciału przez minę i krzyczał teraz ze strachu. W głosie przerażonego dziecka było tyle rozpacz, że przedzierając się przez gęste zarośla uświadomiła sobie, iż ją samą ogarnia panika.

- Uspokój się - nakazała sobie zdyszczanym głosem. Gdyby tu nieszczęśliwie upadła, byłoby dwoje ludzi w potrzebie i nikogo do pomocy; poza tym najgorszą rzeczą dla przerażonego dziecka jest przerażony dorosły.

Była już blisko. Znajdzie dziecko nie na samej ścieżce, lecz gdzieś w zaroślach obok niej, bo chociaż miejscowi mężczyźni oczyszczali wszystkie ścieżki po każdym zaminowaniu, nie byli jednak w stanie przeczesać całej górzystej okolicy.

Przystanąła nasłuchując. Zmęczona dyszała tak głośno, że musiała wstrzymać oddech. Krzyki dochodziły z kępy wielbłądziej trawy i krzaków jałowca. Zaczęła się przedzierać przez zarośla; w gęstwinie mignął jej strzep jasnyniebieskiej kurtki. Musiał to być Mousa, dziewięcioletni syn Mohammeda Khana, jednego z powstańczych przywódców. W chwilę potem była już przy chłopcu.

Kłęczał na zakurzonej ziemi. Najwyraźniej próbował minę podnieść, bo urwała mu dłoń i teraz wrzeszcząc z przerażenia wpatrywał się dzikim wzrokiem w krwawy kikut.

Przez ostatni rok Jane widziała wiele ran, ale ta wstrząsnęła nią do głębi.

- Boże drogi - powiedziała. - Biedny dzieciaku. - Uklękła przed chłopcem i przygarnęła go do siebie mrużąc uspokajająco. Po chwili przestał krzyczeć. Bała się, żeby nie zaczął teraz płakać, ale był zbyt zszokowany i zaraz ucichł. Tuląc go do siebie wymacała mu pod pachą odpowiednie miejsce i uciskając je zatamowała tryskającą z rany krew.

Będzie potrzebowała jego pomocy. Musi skłonić go do odezwania się.

- Co to było, Mousa? - spytała w narzeczu dari.

Nie odpowiedział. Spytała jeszcze raz.

- Myślałem... - oczy rozwarły mu się szeroko na to wspomnienie, a jego głos podniósł się do krzyku. - Myślałem, że to PIŁKA!

- No już dobrze, już dobrze - zamruczała. - Powiedz mi, co zrobiłeś.

- PODNIOŚLEM TO! PODNIOŚLEM!

Przycisnęła go mocno do piersi uspokajając.

- I co się stało?

- T...to wybuchło - wymamrotał. Głos miał drżący, ale nie było już w nim hysterii. Uspokajał się szybko.

Wzięła jego prawą rękę i wsunęła mu ją pod lewe ramię.

- Naciskaj w tym miejscu co ja - powiedziała. Naprowadziła czubki jego palców na właściwy punkt, po czym wycofała swoje. Z rany znowu zaczęła płynąć krew. - Uciskaj mocno - poinstruowała go. Posłuchał. Krwotok ustał. Pocałowała go w czoło. Było wilgotne i zimne.



Swoje ubranie rzuciła na ziemię obok Mousy. Nosiła tutaj to samo co kobiety afgańskie: workowatą suknię, a pod nią bawełniane szarawary. Wzięła teraz suknię, podarła cienki materiał na kilka pasów i przystąpiła do sporządzania opaski uciskowej. Mousa szeroko otwartymi oczyma obserwował jej ruchy i nie odzywał się. Wyłamała suchą gałązkę z krzaku jałowca i zakończyła nią opaskę.

Teraz należało jeszcze założyć mu opatrunek, podać środek znieczulający, antybiotyk dla zapobieżenia infekcji i oddać w ręce matki, by go uspokoiła.

Jane naciągnęła szarawary i związała je sznurkiem. Żałowała, że tak się pośpieszyła z darcie sukni, bo mogła zachować jej tyle, żeby starczyło na okrycie górnej części ciała. Teraz wypadało jej tylko liczyć na to, że w drodze do jaskiń nie natknie się na żadnego mężczyznę.

Ale jak dojdzie tam z Mousą? Wołała, żeby nie szedł o własnych siłach. Nie mogła go nieść na barana, boby się nie utrzymał. Westchnęła: będzie musiała nieść go po prostu na rękach. Przykucnęła, otoczyła jego szyję ramieniem, drugą rękę wsunęła mu pod uda i dźwignęła chłopca z ziemi; prostując się, próbowała przerwucić cały wysiłek na mięśnie kolan, nie karku, tak jak uczyła się na kursach dla przyszłych matek. Przyciskając chłopca do piersi i podpierając go pod plecy wżgórkiem swego brzucha, ruszyła wolno pod górę. Radziła sobie tylko dlatego, że był na wpół zagłodzony - dziewięcioletni Europejczyk byłby dla niej zbyt ciężki.

Po chwili wyszła z krzaków i odnalazła ścieżkę. Ale po przebyciu czterdziestu, może pięćdziesięciu jardów opadła z sił. Od kilku tygodni bardzo szybko się męczyła, co doprowadzało ją do szewskiej pasji, ale wiedziała już, że nie ma sensu z tym walczyć. Zatrzymała się, postawiła Mousę na ziemi i odpoczywała, tuląc go łagodnie do siebie i opierając się o ścianę urwiska ciągnącą się skrajem ścieżki. Chłopiec milczał jak zakłęty, co wydało jej się bardziej niepokojące od jego krzyków. Gdy poczuła się lepiej, wzięła go znowu na ręce i ruszyła w dalszą drogę.

W piętnaście minut później, kiedy znów odpoczywała, a do szczytu wzgórza było już niedaleko, na ścieżce przed nimi pojawił się mężczyzna. Poznała go.

- Och, nie - jęknęła po angielsku. - Tylko nie Abdullah.

Był to niski i, pomimo lokalnego niedostatku żywności, dosyć korpulentny mężczyzna, liczący sobie jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Nosił brązowy turban, bufiaste czarne szarawary, a do tego akrylowy sweter i niebieską dwurzędową marynarkę w drobne prążki, jakby żywcem zdjętą z londyńskiego maklera giełdowego. Bujną brodę farbował sobie na czerwono - był mułłą wioski Banda.

Abdullah nie ufał obcym, pogardzał kobietami i nienawidził każdego, kto praktykował zagraniczną medycynę. Łącząca w sobie wszystkie te trzy cechy Jane nie miała najmniejszej szansy na zyskanie sobie jego sympatii. Na domiar złego wielu mieszkańców Doliny przekonało się, że zażywanie antybiotyków Jane jest przy wszelkiego rodzaju infekcjach kuracją o wiele skuteczniejszą, niż wdychanie dymu z płonącego strzępka papieru, zabazgranego przez Abdullaha szafranowym atramentem, no i dochody mułły drastycznie spadły. Zareagował na to nazwaniem Jane „zachodnią ladacznicą”, ale trudno mu było uczynić coś więcej, bo i Jean-Pierre, i ona znajdowali się pod ochroną Ahmeda Shaha Masuda, przywódcy partyzantów, i nawet mułła nie był skłonny do zadzierania z takim bohaterem.

Ujrzawszy ją, zatrzymał się jak wryty, a jego poważną zazwyczaj twarz wykrzywił w komiczną maskę wyraz zupełnego zaskoczenia. Było to dla niej spotkanie najgorsze z możliwych. Każdy inny wieśniak widząc ją póżną popadłby w zakłopotanie, może zgorszyłby się, ale Abdullaha wprawiło to we wściekłość.

Jane postanowiła pokryć wpadkę bezczelnością.

- Pokój z tobą - powiedziała w narzeczu dari. Był to wstęp do formalnej wymiany pozdrowień, która czasem mogła się ciągnąć przez pięć, a nawet dziesięć minut. Ale Abdullah nie odpowiedział zwyczajowym „i z tobą”. Zamiast tego z jego ust wydobył się stek wykrzykiwanych piskliwym wrzaskiem obelg w narzeczu dari pod jej adresem, zawierający odpowiedniki prostytutki, renegatki i uwodzicielki nieletnich. Zbliżył się do niej ze spurpurowiałą z wściekłości twarzą i uniósł nad głową swój kostur.

Sytuacja przybierała niebezpieczny obrót. Jane wskazała na Mouse, który stał obok niej nie odzywając się, otępiaty z bólu i osłabiony z upływu krwi.

- Popatrz tylko! - wydarła się na Abdullaha. - Czy nie widzisz...

Ale Abdullah zaślepiony był wściekłością. Nim zdążyła skończyć to, co próbowała mu powiedzieć, kostur spadł z trzaskiem na jej głowę. Jane krzyknęła z bólu i złości: była zaskoczona, że tak zabolalo i rozwścieczona, że się do tego posunął.

Abdullah nie zauważył jeszcze rany Mousy. Roziskrzzone oczy mułły wpijały się w piersi Jane i nagle zdała sobie sprawę, że oglądany w biały dzień nagi biust ciężarnej białej kobiety z Zachodu jest dla niego widokiem tak przeładowanym nie znanym mu dotąd rodzajem seksualnego wyuzdania, że zaraz wyskoczy z siebie. Nie zamierzał okładać jej kijem, jak skarciłby za niepokorność własną żonę. Jego serce pałało żądzą mordy.

Jane ogarnął raptem wielki strach - o siebie, o Mouse i o swoje nie narodzone dziecko. Odsunęła się niezgrabnie do tyłu poza zasięg jego ciosu, ale ruszył za nią, ponownie unosząc

w górę kostur. Pod wpływem nagłego impulsu rzuciła się na niego i wpakowała mu palce w oczy.

Ryknął jak zraniony byk. Nie tyle z bólu, co z oburzenia, że kobieta, którą bije, ma czelność mu się odgryzać. Korzystając z jego chwilowego oślepienia, chwyciła go obiema rękami za brodę i szarpnęła. Zatoczył się do przodu, potknął i upadł, po czym sturlał się kilka metrów po zboczu i zatrzymał na kępie karłowatych krzaków.

O Boże, co ja zrobiłam, pomyślała Jane.

Patrząc na upokorzenie nadętego, wrogo do niej nastawionego kapłana, zdała sobie sprawę, że on nigdy nie zapomni jej tego, co uczyniła. Może poskarży się „białobrodym” - wioskowej starszyźnie. Może pójdzie do Masuda i zażąda odesłania zagranicznych doktorów do domu. Może nawet podjudzi wieśniaków z Bandy do ukamienowania Jane. Ale gdy o tym myślała, niemal natychmiast uświadomiła sobie, że składając jakąkolwiek skargę, musiałby opowiedzieć swoją przygodę z wszystkimi jej kompromitującymi szczegółami, a po czymś takim na zawsze już stałby się pośmiewiskiem całej wioski - Afgańczycy potrafili być okrutni. Może więc jakoś jej się upiecze.

Odwróciła się. Miała teraz większe zmartwienie. Mousa stał tam, gdzie go postawiła, milczący i obojętny, zbyt zszokowany, by rozumieć, co się wokół niego dzieje. Jane zaczerpnęła w płuca głęboki haust powietrza, wzięła chłopca na rękę i ruszyła w dalszą drogę.

Po kilku krokach osiągnęła szczyt wzgórza i mogła przyśpieszyć, bo dalej teren był już płaski. Przecięła kamienisty płaskowyż. Była zmęczona i bolały ją plecy, ale zbliżała się do celu: jaskinie znajdowały się tuż pod szczytem góry. Minęła grań i kiedy zaczynała schodzić w dół, usłyszała dziecięce głosy. W chwilę później ujrzała grupę sześciolatek bawiących się w piekło i niebo. W tej grze jedno dziecko trzymało się za duże palce u nóg, podczas gdy dwoje innych niosło je do nieba - jeśli udało mu się nie puścić palców - albo do piekła, którym był zwykle dół na odpadki albo latryna, jeśli je puścił. Pomyślała, że Mousa nigdy już nie weźmie udziału w tej zabawie i przytłoczyło ją nagle poczucie tragedii. Dzieci zauważyły ją i przerwawszy zabawę gapiły się, kiedy je mijala.

- To Mousa - szepnęło jedno z nich. Drugie powtórzyło imię chłopca i bariery skrępowania pękły. Dzieciarnia puściła się pędem przed Jane, krzykiem ogłaszając nowinę.

Dzienna kryjówka wieśniaków Bandy wyglądała jak pustynne obozowisko plemienia nomadów: zakurzona ziemia, rozpalone południowe słońce, resztki ognisk, zakwefione kobiety, brudne dzieciaki. Jane przeszła przez mały, płaski plac przed jaskiniami. Kobiety gromadziły się już przy wejściu do największej z pieczar, w której Jane i Jean-Pierre'em

urządzili lazaret. Jean-Pierre usłyszał zamieszanie i wyszedł na zewnątrz. Jane podała mu ostrożnie Mouse.

- To była mina - powiedziała po francusku. - Stracił dłoń. Daj mi swoją koszulę.

Jean-Pierre wniósł Mouse do jaskini i położył go na kobiercu, który spełniał rolę stołu zabiegowego. Zanim zajął się chłopcem, ściągnął z siebie wypłowiata koszulę w kolorze khaki i podał Jane. Założyła ją.

Czuła lekki zawrót głowy. Przyszło jej na myśl, że najlepiej będzie, jeśli usiadzie i odpocznie w chłodzie w głębi pieczary, ale postąpiwszy kilka kroków zmieniła zamiar i usiadła tam, gdzie stała.

- Podaj mi trochę tamponów - poprosił Jean-Pierre. Nie zareagowała. Do jaskini wbiegła matka Mousy, Halima. Zobaczyła synka i zaczęła rozpaczać. Powinnam ją uspokoić, żeby mogła pocieszyć dziecko, pomyślała Jane; dlaczego nie mogę wstać? Chyba zamknę oczy. Tylko na chwilę.

\*\*\*

O zmierzchu Jane wiedziała już, że jej dziecko szykuje się do przyjścia na świat.

Kiedy odzyskała przytomność po omdleniu w jaskini, poczuła coś, co wzięła za ból krzyża - spowodowany, jak przypuszczała, dźwiganiem Mousy. Jean-Pierre potwierdził tę diagnozę, dał jej aspirynę i kazał leżeć spokojnie. Akuszerka Rabia, która przyszła do jaskini, żeby zobaczyć Mouse, obrzuciła ją uważnym spojrzeniem, ale Jane nie zrozumiała wtedy jego znaczenia. Jean-Pierre obmył i opatrzył kikut Mousy, zaaplikował mu penicylinę i zrobił zastrzyk przeciw tężcowi. Dziecko nie umrze z powodu zakażenia, co nastąpiłoby niechybnie, gdyby nie zachodnia medycyna; ale Jane mimo wszystko zastanawiała się, co warte będzie dla niego takie życie - przetrwać tutaj było trudno nawet najzdrowszym, a kalekie dzieci młodo zwykle umierały.

Późnym popołudniem Jean-Pierre przygotował się do drogi. Na jutro miał zaplanowany dyżur w lazarecie w wiosce odległej o kilka mil i - z przyczyn, których Jane nigdy w pełni nie pojmowała - zawsze skrupulatnie przestrzegał terminów tych wypraw w teren, chociaż dobrze wiedział, że żaden Afgańczyk nie byłby zdziwiony, gdyby spóźnił się o dzień, a nawet o tydzień.

Kiedy całował Jane na pożegnanie, zaczynała się właśnie zastanawiać, czy ten ból w krzyżu nie zwiastuje czasem początku porodu, przyśpieszonego przeprawą z Mousą, ale ponieważ nigdy jeszcze nie rodziła, nie mogła stwierdzić tego z całą pewnością i wydawało się jej to mało prawdopodobne. Spytała Jean-Pierre'a.

- Nie przejmuj się - powiedział beztrzesko. - Masz jeszcze przed sobą sześć tygodni oczekiwania. - Spytała, czy nie zostałaby z nią, tak na wszelki wypadek, ale jego zdaniem było to całkowicie zbyteczne i zrobiło się jej głupio. Pozwoliła mu więc odejść z objuczona medykamentami kościstą kobyłą, by zdążył dotrzeć do miejsca przeznaczenia przed zmrokiem i mógł przystąpić do pracy następnego ranka.

Gdy słońce zachodziło za ścianę urwiska, a dolinę zaczął wypełniać z wolna cień, Jane zesła z kobietami i dziećmi na dół, do pograżającej się w mroku wioski, mężczyźni zaś podążyli na pola, by zbierać plony, póki śpią bombowce.

Dom Jane i Jean-Pierre'a należał przedtem do wioskowego sklepikarza, który stracił nadzieję na robienie pieniędzy podczas wojny - nie było właściwie czym handlować - i wraz z rodziną przeniósł się do Pakistanu. Dopóki nasilone lotnie bombardowania nie zmusiły wieśniaków do chronienia się na dzień w jaskiniach, w izbie od frontu, przerobionej ze sklepu, mieściła się przychodnia Jean-Pierre'a. Na tyłach domu znajdowały się jeszcze dwie izby: jedna przeznaczona dla mężczyzn i ich gości, druga dla kobiet i dzieci. Jane i Jean-Pierre wykorzystywali je jako sypialnię i pokój dzienny. Przy domu, na otoczonym glinianym murem podwórku, znajdowało się palenisko do gotowania na wolnym powietrzu oraz mała sadzawka do prania ubrań oraz mycia naczyń i dzieci. Sklepikarz zostawił trochę drewnianych mebli własnego wyrobu, a wieśniacy wypożyczyli Jane parę pięknych kobierców do przykrycia podłóg. Jane i Jean-Pierre spali na materacach tak jak Afgańczycy, ale zamiast przykrywać się kocami, wślizgiwali się na noc do śpiworów. Podobnie jak Afgańczycy rolowali na dzień swoje materace, a przy sprzyjającej pogodzie rozkładali je na płaskim dachu, aby się wietrzyły. Latem wszyscy sypiali na dachach.

Droga z jaskiń do domu podziałała na Jane w szczególny sposób. Ból w krzyżu nasilił się i ten ból oraz wyczerpanie omal nie zwały jej z nóg, zanim dowlokła się pod swoje drzwi. Bardzo chciało się jej siusiu, ale była zbyt zmęczona, żeby wyjść na zewnątrz do latryny, usiadła więc na trzymanym na wszelki wypadek nocniku, kryjąc się za rozstawionym w sypialni parawanem. Wtedy właśnie zauważyła małą krwawą plamkę w kroczu swoich bawełnianych szarawarów.

Nie starczyło jej już energii, żeby wyjść na podwórko, wspiąć się po drabinie na dach i ściągnąć stamtąd materac, położyła się więc w sypialni na kobiercu. Ból w krzyżach powracał falami. Przy kolejnej takiej fali położyła ręce na brzuchu i wyczuła, jak się rozdyma, pęcznieje boleśnie, a potem opada i ból łagodnieje. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że to skurcze porodowe.

Zdjął ją strach. Przypomniała sobie, co opowiadała o porodzie jej siostra Paulina. Po przyjściu na świat jej pierwszego dziecka Jane odwiedziła Paulinę z butelką szampana i szczyptą marihuany. Kiedy obie rozluźniły się już maksymalnie, Jane spytała, jak to właściwie jest.

- Zupełnie, jakbyś wyduszała z siebie melona - odpowiedziała Paulina. Chichotały potem chyba przez godzinę.

Ale Paulina rodziła w University College Hospital w samym sercu Londynu, a nie w lepiance w Dolinie Pięciu Lwów.

Co ja mam robić, pomyślała Jane.

Nie wolno mi wpadać w panikę. Muszę się obmyć mydłem w ciepłej wodzie. Trzeba znaleźć ostry nóż i wrzucić go na piętnaście minut do wrzącej wody. Trzeba też wyjąć czyste prześcieradła i położyć się na nich. Muszę popijać dużo płynów i odprężyć się.

Ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, rozpoczął się kolejny skurcz i ten był naprawdę bolesny. Zamknęła oczy i usiłowała oddychać powoli, głęboko, regularnie, jak uczył ją Jean-Pierre, ale zachowanie nad sobą takiej kontroli, kiedy pragnie się tylko krzyknąć ze strachu i z bólu, nie było sprawą prostą.

Spazm minął, ale wyczerpał ją. Leżała nieruchomo, powoli dochodząc do siebie. Uświadomiła sobie, że nie jest w stanie wykonać żadnej z czynności, które sobie zaplanowała - sama nie da sobie rady. Gdy tylko poczuje się dostatecznie silna, wstanie, powlecze się do najbliższej chaty i poprosi kobiety, żeby wezwały akuszerkę.

Następny skurcz przyszedł wcześniej, niż się spodziewała, chyba po minucie, może dwóch.

- Dlaczego nie mówią, jak się przy tym cierpi? - powiedziała głośno Jane, gdy napór sięgnął szczytu.

Gdy tylko minęła kulminacja, zmusiła się do wstania. Strach przed rodzeniem w pełnym osamotnieniu dodał jej sił. Powłokła się z sypialni do izby wypoczynkowej. Z każdym krokiem czuła się silniejsza. Była już na podwórzu, kiedy nagle spomiędzy jej ud trysnął ciepły płyn, przeciekając natychmiast przez szarawary: odeszły wody płodowe.

- Och, nie - jęknęła. Oparła się o framugę. Nie miała pewności, czy z tymi opadającymi spodniami zdoła przejść choćby kilka metrów. Czuła się upokorzona. - Muszę - powiedziała sobie, ale w tym momencie rozpoczął się nowy skurcz i osunęła się na ziemię z myślą, że chyba będzie musiała poradzić sobie sama.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, ujrzała nad sobą twarz pochylonego nisko mężczyzny. Wyglądał jak arabski szejka: miał ciemnobrązową skórę, czarne włosy, czarne

wąsy, arystokratyczne rysy twarzy - wysokie kości policzkowe, rzymski nos, białe zęby i wydatną szczękę. Był to Mohammed Khan, ojciec Mousy.

- Dzięki Bogu - wymamrotała ochryple Jane.

- Przyszedłem podziękować ci za ocalenie życia memu jednemu synowi - powiedział w narzeczu dari. - Jesteś chora?

- Rodzę dziecko.

- Już? - przestraszył się.

- Wkrótce. Pomóż mi wejść do chaty.

Zawahał się - poród, podobnie jak wszystko właściwe tylko kobietom, uważany był tu za coś nieczystego - oddając mu sprawiedliwość musiała przyznać, że wahanie to trwało zaledwie chwilę. Podniósł ją z ziemi i podtrzymując zaprowadził przez izbę wypoczynkową do sypialni. Położyła się znowu na kobiercu.

- Sprowadź pomoc - poprosiła.

Zmarszczył czoło niepewny, co począć, i z tym wyrazem twarzy wyglądał bardzo chłopięco i interesująco.

- A gdzie jest Jean-Pierre?

- Poszedł do Khawak. Wezwij do mnie Rabię.

- Dobrze - obiecał. - Poślę żonę.

- Zanim wyjdiesz...

- Tak?

- Podaj mi, proszę, trochę wody.

Sprawił wrażenie zaszokowanego. Nie do pomyslenia było, aby mężczyzna usługiwał kobiecie, nawet podając jej zwykłą wodę do picia.

- Z tego specjalnego dzbana - dorzuciła Jane. Miała zawsze pod ręką dzban przegotowanej i przefiltrowanej wody: był to jedyny sposób na uchronienie się przed licznymi pasożytami przewodu pokarmowego, sprawcami chorób dręczących prawie wszystkich miejscowych od kołyski do grobowej deski.

Mohammed zdecydował się złamać tabu.

- Oczywiście - powiedział. Wyszedł do sąsiedniej izby i po chwili wrócił z kubkiem wody. Jane podziękowała mu i napiła się z rozkoszą.

- Poślę Halimę po akuszerkę - zaoferował się. Halima była jego żoną.

- Dziękuję ci - powiedziała Jane. - Powiedz jej, żeby się pośpieszyła.

Mohammed wyszedł. Jane była szczęśliwa, że znalazł ją on, a nie jakiś inny mężczyzna. Inni wzdraliby się przed dotknięciem chorej kobiety, ale Mohammed był inny.

Był jednym z najważniejszych partyzantów i praktycznie tutejszym przedstawicielem przywódcy powstania, Masuda. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, ale w tym kraju nie był za młody ani na dowódcę partyzanckiego oddziału, ani na ojca dziewięcioletniego chłopca. Studiował w Kabulu, mówił trochę po francusku i wiedział, że zwyczaje panujące w Dolinie nie są jedynymi na świecie formami przyzwoitego zachowania. Do jego podstawowych obowiązków należało organizowanie konwojów do Pakistanu i z powrotem z dostawami broni i amunicji dla rebeliantów. Z jednym z takich konwojów przybyli do Doliny Jane i Jean-Pierre.

Czekając na następny skurcz, Jane wspomniała tę okropną podróż. Uważała się za osobę zdrową, aktywną i silną, zdolną do całodziennego marszu; nie przewidziała jednak niedostatecznego odżywiania, wspinaczki pod strome zbocza, dzikich, kamienistych ścieżek i odbierającej siły biegunki. W obawie przed sowieckimi helikopterami niektóre odcinki trasy pokonywali tylko pod osłoną nocy. W kilku miejscowościach zmuszeni byli walczyć z wrogo do nich nastawionymi wieśniakami - obawiając się, że przejście konwoju sprowokuje atak Rosjan, miejscowi odmawiali partyzantom sprzedaży żywności, kryli się za zabarykadowanymi drzwiami lub kierowali karawanę na odległą o kilka mil łąkę bądź do nadającego się rzekomo idealnie na rozbiście obozowiska sadu, a potem okazywało się, że takie miejsce w ogóle nie istnieje.

Ze względu na ataki Rosjan Mohammed zmieniał bez przerwy trasy. Jeszcze w Paryżu Jean-Pierre zdobył skądś amerykańskie mapy Afganistanu, o wiele dokładniejsze od tych, którymi dysponowali rebelianci. Mohammed wpadał więc często do ich chaty i studiował je przed wyprawieniem kolejnego konwoju.

Prawdę mówiąc, Mohammed odwiedzał ich częściej, niż to było konieczne. Częściej niż to leży w zwyczaju Afgańczyków odzywał się też do Jane, trochę za często nawiązywał z nią kontakt wzrokowy i obrzucał zbyt wieloma ukradkowymi spojrzeniami na jej ciało. Podejrzewała, że jest w niej zakochany, a przynajmniej był, dopóki ciąża nie stała się widoczna.

Ją z kolei ciągnęło do niego w chwilach, kiedy doznawała przykrości od Jean-Pierre'a. Mohammed był mężczyzną smukłym, śniadym, silnym i potężnym, i po raz pierwszy w życiu Jane odczuwała pociąg do ciemnoskórego szowinistycznego drania.

Mogłaby mieć z nim romans. Jak wszyscy partyzanci był zatwardziałym muzułmaninem, ale wątpiła, by miało to jakieś znaczenie. Wierzyła w to, co zwykł mawiać jej ojciec: „Nakazy religijne mogą przeszkodzić w zaspokojeniu skrywanego pożądanego, ale nie są w stanie powstrzymać prawdziwej żądzy”. Ta właśnie złota myśl ojca doprowadzała do



wściekłości mamę. Nie, w tej purytańskiej chłopskiej społeczności cudzołóstwo istniało tak samo jak gdzie indziej. Jane doszła do takiego przekonania, słuchając nad rzeką plotek krążących wśród przychodzących po wodę lub kąpiących się kobiet. Wiedziała również, jak to było możliwe. Mohammed jej powiedział:

- O zmierzchu przy wodospadzie za ostatnim młynem wodnym można zobaczyć wyskakujące z wody ryby - powiedział któregoś dnia. - Chodzę tam czasem wieczorem, żeby je łapać. - O zmierzchu wszystkie kobiety zajęte były gotowaniem, mężczyźni zaś siedzieli na dziedzińcu meczetu gawędząc i paląc: kochankowie mogli się czuć bezpieczni w takiej odległości od wioski. Nikt nie zauważyłby ani nieobecności Jane, ani Mohammeda.

Myśl o kochaniu się przy wodospadzie z tym przystojnym, prymitywnym wieśniakiem nie odstępowała Jane. Ale zaszła w ciążę i Jean-Pierre wyznał, jak bardzo się bał, że ją straci, i postanowiła poświęcić całą swą energię sprawie doprowadzenia ich małżeństwa do ładu; nie poszła więc nigdy nad wodospad, a kiedy ciąża zaczęła rzucać się w oczy, Mohammed przestał spoglądać pożądliwie na jej ciało.

Być może to właśnie ten ich skrywany pociąg skłonił go do przyjścia tutaj i do udzielenia jej pomocy, której inni mężczyźni odmówiliby, może nawet zawrócili w progę i odeszli. A może zrobił to z wdzięczności za zaopiekowanie się Mousą. Mohammed miał jednego syna i trzy córki, toteż prawdopodobnie czuł się teraz mocno zobowiązany wobec Jane. Zyskałam sobie dzisiaj i przyjaciela, i wroga, pomyślała - Mohammeda i Abdullaha.

Ból powracał znowu i uświadomiła sobie, że ostatnia cudowna chwila wychnienia trwała dłużej od poprzednich. Czyżby skurcze traciły na regularności? Dlaczego? Jean-Pierre nic o tym nie wspominał. Ale zapomniał przecież wiele z ginekologii, którą studiował przed trzema czy czterema laty.

Ten ostatni skurcz był, jak dotąd, najgorszy i kiedy wreszcie ustąpił, dygotała na całym ciele i było jej niedobrze. Gdzie się podziewa akuszerka? Mohammed na pewno wysłał już po nią żonę - przecież nie zapomniał ani się nie rozmyślił. Ale czy posłuchała męża? Oczywiście - Afganki zawsze słuchały swoich mężów. Ale może idzie powoli, zatrzymuje się po drodze, żeby poplotkować, może nawet wstąpiła do jakiejś chaty na herbatę. Jeśli w Dolinie Pięciu Lwów istnieje cudzołóstwo, to istnieje w niej też zazdrość, a Halima na pewno wie o uczuciach, jakimi mąż darzy Jane, a przynajmniej się ich domyśla - to nigdy nie ujdzie uwagi żony. Może z niechęcią wykonuje polecenie sprowadzenia pomocy rywalce - egzotycznej, białoskórej, wykształconej przybyszce, która tak zafascynowała jej męża. Nagle w Jane wezbrała złość na Mohammeda i na Halimę. Nic złego nie zrobiłam, pomyślała. Dlaczego wszyscy mnie opuścili? Dlaczego nie ma tu mojego męża?

Gdy rozpoczął się kolejny skurcz, wybuchnęła płaczem. Tego było już za wiele.

- Nie wytrzymam dłużej - powiedziała głośno. Nie potrafiła opanować drżenia. Pragnęła umrzeć, zanim ból się nasili. - Mamo, pomóż mi, mamusiu - zaszlochała.

Nagle silne ręce otoczyły jej ramiona i kobiecy głos zamruczał w narzeczu dari do jej ucha coś niezrozumiałego, ale kojącego. Nie otwierając oczu przywarła do tej kobiety, szlochając i krzycząc z narastającego bólu; dopiero po pewnym czasie skurcz, zbyt wolno wprawdzie, ale dając jednak wrażenie czegoś ostatecznego, jak gdyby był ostatnim, a przynajmniej ostatnim tak bolesnym, zaczął ustępować.

Spojrzała w górę i zobaczyła nad sobą jasnobrażowe oczy i orzechowe policzki starej Rabii, akuszerki.

- Niech Bóg będzie z tobą, Jane Debout.

Jane poczuła taką ulgę, jakby uwolniono ją od miążdżącego ciężaru.

- I z tobą, Rabio Gul - wyszeptała z wdzięcznością.

- Czy bóle przychodzą często?

- Co minutę lub dwie.

- Dziecko rodzi się za wcześnie - rozległ się głos innej kobiety.

Jane odwróciła głowę i ujrzała Zaharę Gul, synową Rabii, zmysłową dziewczynę w wieku Jane, o falujących, niemal doskonale czarnych włosach i szerokich, roześmianych ustach. Ze wszystkich kobiet z wioski Jane do niej czuła największą sympatię.

- Cieszę się, że przyszłaś - powiedziała.

- Poród przyspieszyło dźwiganie pod górę Mousy - zawyrokowała Rabia.

- Tylko to? - spytała Jane.

- I tego było aż nadto.

A więc nie wiedzą o szamotaniu z Abdullahem, pomyślała Jane. Postanowiła zachować to dla siebie.

- Mam przygotować wszystko na przyjęcie dziecka? - zapytała Rabia.

- Tak, proszę. - Bóg jeden wie, na jak prymitywną ginekologię się zdaje, pomyślała Jane, ale przecież nie poradzę sobie sama, po prostu nie dam rady.

Kobiety zakrzętnęły się. Samo to, że były przy niej, podnosiło Jane na duchu. To miło ze strony Rabii, pomyślała Jane, że poprosiła o pozwolenie na udzielenie pomocy - zachodni lekarz wszedłby i przejął inicjatywę, tak jakby on tu był gospodarzem. Rabia zgodnie z rytuałem obmyła ręce, wzywając proroków, by wywołali rumieniec na jej twarzy - co miało zapewnić pomyślność - po czym obmyła je dokładnie jeszcze raz, nie żałując mydła ani wody. Zahara wniosła słój dzikiej ruty i Rabia podpałiła zioła. Jane przypomniała sobie, że

woń palonej ruty odstrasza podobno złe duchy. Pocieszyła się myślą, że gryzący dym wypłoszy przynajmniej muchy z izby.

Rabia była kimś więcej niż zwyczajną akuszerką. Jej główne zajęcie polegało na odbieraniu rodzących się dzieci, ale przeprowadzała również ziołowe i magiczne kuracje, wpływające pobudzająco na płodność u kobiet, które miały trudności z zajściem w ciążę. Znała też sposoby na zapobieganie niepożądanemu zapłodnieniu i na wywoływanie sztucznych poronień, ale zapotrzebowanie na te usługi było o wiele mniejsze: afgańskie kobiety pragnęły zazwyczaj mieć jak najwięcej dzieci. Do Rabii przychodziło się również po poradę w sprawie rozmaitych kobiecych przypadłości. Proszono ją też zwykle o umycie zmarłego - które to zajęcie, podobnie jak odbieranie porodów, uważano za nieczyste.

Jane obserwowała ją, jak krząta się po izbie. Mając gdzieś około sześćdziesięciu lat, była chyba najstarszą kobietą we wsi. Była niska - nie miała więcej jak pięć stóp wzrostu - i bardzo chuda, jak większość tutejszych ludzi. Pomarszczoną, brązową twarz okalały siwe włosy. Poruszała się cicho, a ruchy jej kościstych rąk były precyzyjne i efektywne.

Początkowo w stosunkach Jane z Rabia dominowały nieufność i wrogość. Kiedy Jane zapytała Rabii, kogo wzywa w przypadku komplikacji przy porodach, ta odburknęła:

- Niech szatan ogłuchnie, nigdy nie słyszałam o skomplikowanych porodach i nigdy nie zmarnowałam żadnej matki ani dziecka. - Ale później, kiedy kobiety z wioski zaczęły przychodzić do Jane ze swymi mało istotnymi problemami z miesiączkowaniem lub przebiegiem ciąży, Jane, zamiast przepisywać takim pacjentkom obojętne leki, odsyłała je do Rabii. Tak zaczęła się ich zawodowa współpraca. Rabia zwróciła się raz do Jane o poradę w sprawie położnicy, u której nastąpiła infekcja pochwowa. Jane przekazała Rabii zapas penicyliny i objaśniła zasady jej dawkowania. Prestiż Rabii wzrósł gwałtownie, gdy tylko po wsi rozeszła się wieść, że dała się przekonać do zachodniej medycyny. Jane mogła jej delikatnie napomknąć - nie obawiając się już wywołania urazy - że prawdopodobnie sama wywołała tę infekcję, przeprowadzając podczas porodu ręczne namaszczenie kanału rodnego.

Od tego czasu Rabia raz albo dwa razy w tygodniu pokazywała się w lazarecie, żeby porozmawiać z Jane i popatrzeć, jak pracuje. Jane wykorzystywała te okazje do pobieżnego objaśniania takich spraw, jak powód, dla którego tak często myje ręce oraz wkłada wszystkie przyrządy po użyciu do wrzącej wody, a także, dlaczego podaje mnóstwo płynów niemowlętom cierpiącym na biegunkę.

Rabia z kolei również zdradziła Jane kilka sekretów. Jane ciekawił skład sporządzanych przez Rabię wywarów, bo działania niektórych tylko się domyślała: leki pomagające zajść w ciążę zawierały królicze mózdzki albo kocią śledzionę, a te mogły

dostarczać pacjentce brakujących hormonów, niezbędnych dla prawidłowej przemiany materii; mięta zaś i kocimiętka w wielu preparatach pomagały prawdopodobnie w zwalczaniu przeszkadzającej w zapłodnieniu infekcji. Rabia miała również środek przeciw impotencji, który żony podawały swoim nie wywiązującym się z małżeńskich obowiązków mężom, i w tym wypadku nie było żadnych wątpliwości, w jaki sposób on działa: zawierał opium.

Nieufność ustąpiła wzajemnemu szacunkowi, ale Jane nie radziła się Rabii w sprawie własnej ciąży. Co innego pogodzić się z tym, że ludowe mikstury i czary Rabii działają być może na afgańskie kobiety, a zupełnie co innego samej się na nie zdać. Poza tym Jane spodziewała się, że poród odbierze Jean-Pierre. Kiedy więc Rabia spytała o pozycję dziecka i, twierdząc, że będzie to dziewczynka, zaleciła warzywną dietę, Jane dała jej wyraźnie do zrozumienia, że ta ciąża prowadzona będzie na sposób zachodni. Rabia sprawiała wrażenie dotkniętej, ale z godnością przyjęła tę decyzję. A teraz Jean-Pierre był w Khawak, tutaj była Rabia, i Jane cieszyła się, że może liczyć na pomoc starej, która przyjęła na świat setki dzieci i sama dała życie jedenaściorgu.

Od jakiegoś czasu nie odczuwała w ogóle bólu, ale przez ostatnie kilka minut, kiedy obserwowała Rabię krzątającą się cicho po izbie, w jej brzuchu zaczęła się pojawiać zupełnie nowa sensacja: wyraźne wrażenie ucisku, któremu towarzyszyła przemożna potrzeba parcia. Ta potrzeba stała się wreszcie tak przemożna, że spełniając ją jęknęła, nie z bólu, ale z samego wysiłku, jaki musiała w to włożyć.

- Zaczyna się - usłyszała jakby z oddali głos Rabii. - To dobrze.

Po chwili potrzeba parcia ustąpiła. Zahara przyniosła kubek zielonej herbaty. Jane usiadła prosto i napiła się z wdzięcznością. Napój był ciepły i bardzo słodki. Zahara jest w tym samym wieku co ja, pomyślała Jane, a ma już czwórkę dzieci, nie licząc ciąż nie donoszonych i dzieci, które urodziły się martwe. Należała do tych kobiet, które wydawały się pełne sił witalnych, niczym zdrowe młocie tygrysice. Prawdopodobnie urodzi jeszcze kilkoro dzieci. Kiedy w pierwszych dniach większość kobiet odnosiła się do Jane z podejrzliwością i wrogością, ona powitała ją z nie skrywanym zaciekawieniem. Jane odkryła, że Zaharę irytują co głupsze zwyczaje i tradycje panujące w Dolinie i że wychodzi ona wprost z siebie, by dowiedzieć się jak najwięcej o zagranicznych metodach leczenia, opieki nad dzieckiem i odżywiania. W konsekwencji Zahara stała się nie tylko przyjaciółką Jane, ale i czołową propagatorką jej programu oświaty zdrowotnej.

Dzisiaj jednak Jane uczyła się afgańskich metod. Obserwowała, jak Rabia rozpościera na podłodze plastikową płachtę (a czego używali dawniej, kiedy nie poniewierało się wszędzie tyle plastyku?) i pokrywa ją warstwą piaszczystej ziemi, którą Zahara przyniosła

w wiadrze z podwórka. Rabia wyłożyła na niski stolik kilka przedmiotów i Jane z ulgą zauważyła między nimi czyste bawełniane szmaty i nową, nie odpakowaną jeszcze z papierka żyletkę.

Powróciła potrzeba parcia i Jane zamknęła oczy, żeby się skoncentrować. Właściwie to nawet nie bolało; bardziej przypominało niewiarygodne, niemożliwe do przetrwania zaparcie. Stwierdziła, że jęczenie przy wysiłku przynosi ulgę i pragnęła wyjaśnić Rabii, że nie jest to jęk cierpienia, była jednak zbyt zaabsorbowana parciem, by się odezwać.

Podczas następnej przerwy między kolejnymi skurczami Rabia uklękła, rozwiązała troczki przy szarawarach Jane i rozluźniła je.

- Chcesz oddać mocz, zanim cię umyję? - spytała.

- Tak.

Pomogła Jane wstać i przejść za parawan, i gdy Jane usiadła na nocniku, podtrzymała jej szarawary.

Zahara przyniosła miskę ciepłej wody i zabrała nocnik. Rabia obmyła Jane brzuch, uda i krocze, po raz pierwszy robiąc to bez dąsów. Jane położyła się znowu. Rabia umyła sobie ręce i wytarła je do sucha.

- Ten kolor odstrasza złe duchy - powiedziała pokazując Jane słoiczek z niebieskim proszkiem. Siarczan miedziowy, domyśliła się Jane.

- Co chcesz zrobić?

- Natrzeć tym twoje czoło.

- Dobrze - zgodziła się Jane. - Dziękuję - dodała po chwili.

Rabia roztała szczyptę proszku po czole Jane. Nie mam nic przeciwko czarom, dopóki są nieszkodliwe, pomyślała Jane, ale co ona robi, jeśli wystąpią prawdziwe komplikacje medyczne? No i właściwie o ile tygodni za wcześnie odbywa się poród?

Kiedy rozpoczął się nowy skurcz, wciąż jeszcze prześladowały ją pełne niepokoju myśli, nie zdążyła się więc skoncentrować i załapać na falę ucisku, i ten skurcz był bolesny. Nie wolno mi się bać, pomyślała, muszę się odprężyć.

Poczuła się teraz wyczerpana, nawet śpiąca. Zamknęła oczy. Czuła, jak Rabia rozpina jej koszulę - tę, którą pożyczyła po południu, przed stu laty, od Jean-Pierre'a - i przystępuje do namaszczenia jej brzucha jakąś substancją, prawdopodobnie oczyszczonym masłem. Wbiła w jej brzuch palce. Jane otworzyła oczy.

- Nie próbuj ruszać mojego dziecka - wymamrotała.

Rabia skinęła głową, ale macała dalej, jedną ręką od wierzchu pękatego brzucha Jane, a drugą od dołu.

- Główka jest skierowana do dołu - stwierdziła w końcu. - Wszystko w porządku. Dziecko niedługo wyjdzie. Powinnaś teraz wstać.

Zahara z Rabia pomogły Jane podnieść się z ziemi i przejść dwa kroki do przodu na posypaną piaskiem plastikową płachtę. Rabia weszła tam za nią.

- Stań na moich stopach - powiedziała.

Jane wykonała polecenie, chociaż nie pojmowała, czemu to ma służyć. Rabia opuściła ją do pozycji kucznej, po czym przykucnęła sama. A więc tak wygląda miejscowa pozycja porodowa.

- Przysiadź na mnie - powiedziała Rabia. - Utrzymam cię. - Jane opuściła cały swój ciężar na uda starej. Pozycja ta okazała się zadziwiająco wygodna i dodała jej otuchy.

Poczuła, jak znowu napinają się jej mięśnie. Zacisnęła zęby i parła jęcząc. Zahara przykucnęła przed nią. Przez chwilę Jane nie myślała o niczym innym tylko o parciu. Zelżało wreszcie, a ona oklapła wyczerpana i na wpeł śpiąca, powierzając Rabii cały ciężar swojego ciała.

Kiedy zaczęło się znowu, doszedł nowy rodzaj bólu - ostre, promieniujące z krocza pieczenie.

- Wychodzi - zawołała nagle Zahara.

- Nie przyj teraz - powiedziała Rabia. - Niech dziecko samo wypłyne.

Napór w brzuchu zelżał. Rabia i Zahara zamieniły się miejscami i teraz Rabia siedziała w kucki między nogami Jane wpatrując się z napięciem w jej krocze. Napór znowu zaczynał przybierać na sile. Jane zacisnęła zęby.

- Nie przyj - powiedziała Rabia. - Spokojnie. - Jane próbowała się rozluźnić. Rabia spojrzała na nią i dotykając jej twarzy powiedziała: - Nie zaciskaj zębów. Rozluźnij szczęki. - Jane rozchyliła usta i przekonała się, że przynosi to ulgę.

Powróciło silniejsze niż poprzednio uczucie pieczenia i Jane wiedziała już, że dziecko jest niemal na świecie: czuła, jak jego główka przepycha się przez otwór, rozciągając go do granic możliwości. Wrzasnęła z bólu - i ten nagle zelżał. Po chwili nie czuła już nic. Spojrzała w dół. Rabia wsunęła ręce między jej uda, wywołując imiona proroków. Poprzez mgiełkę łez przesłaniającą wzrok Jane ujrzała w dłoniach akuszerki coś krągłego i ciemnego.

- Nie ciągnij - stęknęła. - Nie ciągnij za główkę.

- Wiem - mruknęła Rabia.

Jane znów poczuła napór.

- Naprzyj lekko, żeby wyszło ramię - powiedziała w tym momencie Rabia. Jane zamknęła oczy i napięła ostrożnie mięśnie brzucha.

- Teraz drugie ramię - powiedziała Rabia chwilę później.

Jane znowu napała i w tym momencie napięcie zelzało zdecydowanie. Wiedziała, że dziecko się urodziło. Spojrzała w dół i zobaczyła maleńkie ciało, spoczywające bezpiecznie w zgięciu ramienia Rabii. Skórę miało pomarszczoną i wilgotną, a główkę pokrytą zmoczonymi ciemnymi włoskami. Niesamowite wrażenie sprawiał widok pępowiny - grubego, błękitnego, pulsującego jak żyła węża.

- Zdrowe? - zapytała Jane.

Rabia nie odpowiedziała. Ułożyła usta jak do gwizdu i dmuchnęła w zmiętą, nieruchomą twarzyczkę dziecka.

O Boże, nie żyje, pomyślała Jane.

- Zdrowe? - zapytała jeszcze raz.

Rabia ponownie dmuchnęła i dziecko otworzyło maleńką buzię i zapłakało.

- Och, dzięki ci, Boże, żyje - westchnęła Jane.

Rabia wzięła ze stoliczka czystą bawełnianą szmatkę i otarła dziecku twarz.

- Jest normalne? - zapytała Jane.

Rabia spojrzała Jane w oczy, uśmiechnęła się i odezwała się nareszcie.

- Tak. Jest normalna - powiedziała.

Jest normalna, pomyślała Jane. Ona. Urodziłam dziewczynkę. Dziewczynkę.

Poczuła się nagle skrajnie wyczerpana. Nie była w stanie utrzymać się dłużej prosto.

- Chcę się położyć - powiedziała.

Zahara pomogła jej przejść z powrotem na materac i podłożyła jej pod plecy poduszki, żeby mogła usiąść, podczas gdy Rabia trzymała na rękach dziecko wciąż połączone pępowiną z Jane. Gdy Jane ułożyła się na materacu. Rabia zaczęła osuszać dziecko bawełnianymi szmatkami.

Jane zauważyła, że pępowina przestała pulsować, skurczyła się i pobieliała.

- Możesz ją już przeciąć - powiedziała do Rabii.

- Czekamy z tym zawsze do odejścia łożyska - powiedziała Rabia.

- Zrób to teraz, proszę cię.

Rabia, choć z powątpiewaniem, posłuchała. Wzięła ze stolika kawałek białej nitki i obwiązała nią pępowinę w odległości kilku cali od pępka noworodka. Powinna to zrobić bliżej, pomyślała Jane; ale mniejsza o to.

Rabia odwinęła z papierka żyletkę.

- W imię Allaha - powiedziała i przecięła pępowinę.

- Daj mi ją - poprosiła Jane.

Rabia podała jej dziecko ze słowami:

- Nie przystawiaj jej do piersi.

Jane wiedziała, że tu Rabia nie ma racji.

- To przyspiesza odejście łożyska - powiedziała.

Rabia wzruszyła ramionami.

Jane przysunęła twarzyczkę dziecka do piersi. Sutki miała nabrzmiące i rozkosznie wrażliwe, tak jak wtedy, kiedy całował je Jean-Pierre. Gdy brodawka dotknęła policzka dziecka, odwróciło instynktownie główkę i otworzyło malutką buźkę. Gdy tylko sutek znalazł się w niej, zaczęło ssać. Jane zaskoczyło wywołane tym uczucie seksualnego podniecenia. Przez chwilę była zszokowana i zakłopotana, potem pomyślała: a co tam?

Znowu wyczuła jakieś poruszenie w brzuchu. Podała się potrzebie parcia i po chwili poczuła, jak wypływa z niej łożysko; śliski, lekki poród. Rabia owinęła je pieczęlowicie w szmatkę.

Dziecko przestało ssać i chyba zasnęło.

Zahara podała Jane kubek wody. Wychyliła go jednym haustem. Smakowało cudownie. Poprosiła o jeszcze.

Cała była obolała, wyczerpana i błogo szczęśliwa. Spojrzała na małą, śpiącą spokojnie u jej piersi. Jej leż zachciało się spać.

- Trzeba owinąć maleństwo - przypomniała jej Rabia.

Jane podniosła dziecko - było lekkie jak lalka - i podała je starej.

- Chantal - powiedziała, gdy Rabia odbierała od niej małą. - Ma na imię Chantal. -

Potem zamknęła oczy.



## ROZDZIAŁ 5

Ellis Thaler przyleciał z Waszyngtonu do Nowego Jorku samolotem rejsowym linii Eastern Airlines. Z lotniska La Guardia dojechał taksówką do hotelu Plaza w New York City. Taksówka podwiozła go pod wejście od strony Piątej Alei. Wszedł do środka. W holu skręcił w lewo i przeszedł do wind od strony 58 Ulicy. Wsiadł do kabiny z mężczyzną w garniturze biznesmena i z kobietą taszczącą torbę z zakupami od Saksa. Mężczyzna wysiadł na siódmym piętrze. Ellis na ósmym, a kobieta pojechała wyżej. Ellis ruszył długim hotelowym korytarzem i nie spotkawszy po drodze nikogo dotarł nim do wind od strony 59 Ulicy. Zjechał na parter i opuścił hotel wyjściem wychodzącym na 59 Ulicę.

Upewniwszy się z zadowoleniem, że nikt za nim nie idzie, zatrzymał taksówkę na Central Park South, pojechał na dworzec kolejowy Penn Station i wsiadł do pociągu do Douglaston w Queens.

W czasie jazdy prześladowało go natrętnie kilka linijek z „Kołysanki” Audena:

*Czas z chorobą wypalają  
Piękno z gładkich dziecka lic,  
Potem w grobie je składają,  
Pękła życia wątła nić.*

Minął już rok od czasu, kiedy udawał w Paryżu gniewnego amerykańskiego poety, ale zamiłowanie do rymów jeszcze mu nie przeszło.

Sprawdzał nieustannie, czy nie ma ogona. Jego wrogowie nie mają prawa dowiedzieć się o miejscu, do którego teraz jechał. Wsiadł z pociągu przy Flushing i zaczął czekać na peronie na następnego. Nikt z nim nie czekał.

Te wyrafinowane środki ostrożności sprawiły, że dotarł do Douglaston dopiero o piątej po południu. Od stacji szedł szybkim krokiem pół godziny, przepowiadając sobie w myślach postawę, jaką przyjmie, słowa, jakich użyje, i wszelkie możliwe reakcje, z jakimi może się spotkać.

Doszedł do podmiejskiej uliczki z widokiem na cieśninę Long Island Sound i zatrzymał się przed małym, schludnym domkiem w pseudotudorowskim stylu, z oknem z barwionych szybek na całą ścianę. Na podjeździe stał mały japoński samochód. Gdy wkroczył na ścieżkę, frontowe drzwi otworzyła trzynastoletnia blondyneczka.

- Cześć, Petal - przywitał ją Ellis.

- Cześć, tato - odpowiedziała.

Schylił się, żeby ją pocałować, jak zwykle rozpierany przez dumę, a jednocześnie przytłaczany poczuciem winy.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Pod koszulką z podobizną Michaela Jacksona nosiła biustonosz. Był niemal pewien, że to coś nowego. Staje się kobietą, pomyślał. Niech mnie diabli.

- Wejdiesz na chwilę? - spytała uprzejmie.

- Jasne.

Wszedł za nią do domu. Od tyłu wyglądała jeszcze bardziej kobieco. Przypomniała mu się jego pierwsza dziewczyna. Miał wtedy piętnaście lat, a ona była niewiele starsza od Petal... Nie, zaraz, pomyślał, była młodsza - miała dwanaście lat. A ja jej wsuwałem rękę pod sweterek. Panie, strzeż moją córkę przed piętnastoletnimi gówniarzami.

Weszli do małego, czystego living-roomu.

- Może usiądziesz - zaproponowała Petal.

Ellis usiadł.

- Podać ci coś? - spytała.

- Przestań - powiedział Ellis. - Nie musisz być taka oficjalna. Jestem twoim tatą.

Sprawiła wrażenie zaskoczonej i zbitej z tropu, jakby zganiono ją za coś, co w jej mniemaniu nie było niewłaściwe.

- Muszę się tylko uczesać i możemy iść - odezwała się po chwili milczenia. - Przepraszam.

- Nie ma za co - powiedział Ellis. Wyszła z pokoju. Jej uprzejmość sprawiała mu przykrość. Był to dowód, że wciąż jest dla niej kimś obcym. Jak dotąd nie udało mu się jeszcze zostać normalnym członkiem jej rodziny.

Przez ostatni rok, od czasu gdy wrócił z Paryża, widywał się z nią przynajmniej raz w miesiącu. Czasami spędzali razem cały dzień, częściej jednak, tak jak dzisiaj, zabierał ją tylko na obiad. Żeby być z nią przez tę godzinę, odbył pięciogodzinną podróż z zachowaniem jak najdalej posuniętych środków ostrożności, ale ona, oczywiście, o tym nie wiedziała. Miał przed sobą skromny cel: pragnął bez żadnych zgrzytów i dramatów zająć niezbyt znaczące, lecz trwałe miejsce w życiu swej córki.

Wiązało się to ze zmianą charakteru wykonywanej przez niego pracy. Zrezygnował z misji w terenie. Przełożeni byli wielce niezadowoleni; dysponowali zbyt małą liczbą dobrych tajnych agentów (złych mieli setki). On również niechętnie podejmował tę decyzję, czując, że

jego obowiązkiem jest wykorzystywanie własnego talentu. Ale nie będzie w stanie zdobyć miłości córki, znikając mniej więcej raz na rok w jakimś odległym zakątku świata, bez możliwości poinformowania jej, dokąd, dlaczego ani nawet na jak długo wyjeżdża. A jednocześnie nie mógł ryzykować, że zabiją go właśnie wtedy, gdy ona nauczy się go kochać.

Brakowało mu tego podniecenia, zagrożenia, dreszczyku emocji, kiedy jest się na tropie, oraz tego poczucia, że robi coś ważnego, z czego nikt inny tak dobrze jak on nie potrafi się wywiązać. Ale zbyt długo już karmił się jedynie przelotnymi związkami uczuciowymi, a po stracie Jane czuł, że potrzebuje chociaż jednej osoby, na której miłość mógłby liczyć.

Z zadumy, w którą się pogrążył, czekając na Petal, wyrwało go wejście Gill. Ellis wstał. Żona ubrana w białą letnią sukienkę wydawała mu się zimna i stateczna. Pocałował ją w podstawiony policzek.

- Co u ciebie? - spytała.

- To co zawsze. A u ciebie?

- Jestem strasznie zabiegana. - Zaczęła mu szczegółowo opowiadać, ile ma zajęć i, jak zawsze przy takich okazjach, Ellis wyłączył się. Lubił ją, chociaż śmiertelnie go nudziła. Nie mógł uwierzyć, że kiedyś stanowili małżeńską parę. Ona była najładniejszą dziewczyną na wydziale anglistyki, on najprzystojniejszym chłopakiem i był rok 1967, kiedy każdy był podminowany i wszystko mogło się wydarzyć, zwłaszcza w Kalifornii. Pod koniec pierwszego roku studiów brali ślub w białych szatach i ktoś grał „Marsza weselnego” na gitarze. Potem Ellis oblał egzaminy i wyleciał z uczelni. Wkrótce dostał powołanie do wojska i, zamiast wyjechać do Kanady czy do Szwecji, stawiał się, niczym jagnię na rzeź, przed komisją poborową, wprawiając tym w osłupienie wszystkich z wyjątkiem Gill, która już wtedy wiedziała, że z ich małżeństwa nic nie będzie i czekała tylko, co Ellis wymyśli, żeby się od niej uwolnić.

Kiedy trafił w Sajgonie do szpitala z kulą w łydce - najczęściej spotykaną u pilota helikoptera raną, bo chociaż jego fotel jest osłonięty pancernem, podłoga kabiny pozostaje nie zabezpieczona - rozwód był sprawą przesądzoną. Ktoś rzucił mu zawiadomienie na łóżko, kiedy wyszedł na chwilę do kibla, i znalazł je po powrocie razem z jeszcze jedną, jego dwudziestą piątą, kiścią dębowych liści (stanowiły wtedy namiastkę medali za odwagę). „Właśnie się rozwiódłem” - oznajmił, a żołnierz z sąsiedniego łóżka powiedział: - „Nie pieprz. Może by tak partyjkę pokera?”

Nie powiedziała mu nic o dziecku. Dowiedział się o nim kilka lat później, kiedy pracował już w wywiadzie i dla sprawy zaczął śledzić Gill. Wykrył wtedy, że ma dziecko o

imieniu Petal, nadawanym bezsprzecznie w końcu lat sześćdziesiątych, i męża Bernarda leczącego się u specjalisty do spraw płodności. Uważał, że zatajenie przed nim istnienia Petal było jedyną naprawdę podłą rzeczą, jaką Gill zrobiła mu kiedykolwiek, chociaż ona konsekwentnie utrzymywała, że postąpiła tak dla dobra dziewczynki.

Wywalczył sobie prawo widywania się co jakiś czas z Petal i wyperswadował jej nazywanie Bernarda „tata”. Aż do ubiegłego roku nie próbował jednak stać się częścią jej rodzinnego życia.

- Chcesz wziąć mój samochód? - spytała Gill.

- Jeśli jest na chodzie, to owszem.

- Oczywiście, że jest.

- Dzięki. - Pożyczanie wozu od Gill wprawiało go w zakłopotanie, ale jazda z Waszyngtonu trwała zbyt długo, a częstego wynajmowania samochodu w okolicy Ellis unikał, bo pewnego dnia wrogowie mogli na podstawie zapisów w księgach, kart kredytowych lub poprzez wypożyczalnie samochodów wpaść na jego trop, a wówczas bardzo łatwo dowiedzieliby się o Petal. Alternatywnym wyjściem byłoby okazywanie przy wynajmowaniu samochodu za każdym razem innego dowodu tożsamości, ale dowody tożsamości były kosztowne i Agencja nie wydawała ich pracownikom, którzy odwalali papierkową robotę za biurkiem. Korzystał więc z hondy Gill albo wynajmował miejscową taksówkę.

Wróciła Petal z blond włosami powiewającymi wokół ramion. Ellis wstał.

- Kluczyki są w stacyjce - powiedziała Gill.

- Wskazuj do wozu - zwrócił się Ellis do Petal. - Zaraz przyjdę. - Petal wyszła. - Chciałbym ją zaprosić na weekend do Waszyngtonu - powiedział do Gill.

Gill była uprzejma, ale stanowcza.

- Jeśli zechce pojechać, nic nie stoi na przeszkodzie, ale jeśli nie zechce, to jej nie zmuszę.

Ellis skinął głową.

- W porządku. No to do zobaczenia.

Pojechali z Petal do chińskiej restauracyjki w Little Neck. Lubiła chińską kuchnię. Gdy znalazła się poza domem, rozluźniła się trochę. Podziękowała Ellisowi za wiersz, jaki jej przysłał na urodziny.

- Nie znam nikogo, kto dostałby kiedyś na urodziny wiersz - powiedziała.

Nie bardzo wiedział, czy to pochwała, czy wręcz przeciwnie.

- Wydaje mi się, że to lepsze niż kartka urodzinowa z podobizną wdzięcznego kotka na okładce.

- O, tak - roześmiała się. - Wszystkie moje przyjaciółki uważają cię za bardzo romantycznego. Nauczycielka angielskiego spytała nawet, czy wydałeś coś kiedyś drukiem.

- Nigdy nie udało mi się napisać czegoś na tyle dobrego - powiedział. - Wciąż jeszcze lubisz angielski?

- O wiele bardziej niż matmę. Z matmy jestem dno.

- Co przerabiacie? Jakież sztuki dramatyczne?

- Nie, ale czasami wiersze.

- Masz swój ulubiony?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Lubię ten o żonkilach.

Ellis pokiwał głową.

- Ja też go lubię.

- Zapomniałam, kto jest autorem.

- William Wordsworth.

- Ach, rzeczywiście.

- Masz jeszcze jakieś?

- Raczej nie. Bardziej interesuje mnie muzyka. Lubisz Michaela Jacksona?

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy słyszałem jego nagrania.

- On jest naprawdę super. - Zachichotała. - Wszystkie moje przyjaciółki szaleją na jego punkcie.

Już po raz drugi wspominała „wszystkie swoje przyjaciółki”. W tym właśnie okresie grupa rówieśników, w której się obraca, jest najważniejszą rzeczą w jej życiu.

- Chciałbym kiedyś poznać parę twoich koleżanek - powiedział.

- Och, tato - zgasiła go. - Na pewno byś się zawiódł - to jeszcze dziewczynki.

Po tym łagodnym odtrąceniu Ellis koncentrował się przez chwilę na swoim daniu. Popijał je kieliszkiem białego wina, pozostały mu francuskie zwyczaje.

- Posłuchaj - powiedział skończywszy - pomyślałem sobie, że mogłabyś przyjechać do Waszyngtonu i pobyć u mnie przez weekend. To tylko godzina drogi samolotem, a miło spędzilibyśmy czas.

Była zupełnie zaskoczona.

- A co jest ciekawego w Waszyngtonie?

- No cóż, moglibyśmy zwiedzić Biały Dom, gdzie mieszka prezydent. Poza tym w Waszyngtonie są najlepsze muzea na świecie. No i nigdy nie widziałas, jak mieszkam. Mam gościnną sypialnię... - Zawiesił głos. Widział, że nie jest zainteresowana.

- Och, tato, sama nie wiem - powiedziała. - Tyle mam zajęć w weekendy - szkolne prace domowe, przyjęcia, zakupy, lekcje tańca i w ogóle...

Ellis ukrył rozczarowanie.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Może kiedy indziej, jak będziesz mniej zajęta.

- Tak, oczywiście - powiedziała z wyraźną ulgą.

- Przygotuję tę gościnną sypialnię, tak żebyś mogła przyjechać, kiedy tylko będziesz chciała.

- Dobrze.

- Na jaki kolor ją pomalować?

- Nie wiem.

- A jaki jest twój ulubiony?

- Chyba różowy.

- No to na różowo - Ellis uśmiechnął się z przymusem. - Chodźmy.

W samochodzie, w drodze powrotnej, spytała go, czy miałby coś przeciwko temu, żeby przekłuła sobie uszy.

- Nie mam zdania - powiedział asekurancko. - A co na to mama?

- Powiedziała, że jak ty się zgodzisz, to ona też.

Czy Gill taktownie włączyła go do tej decyzji, czy po prostu zwała na niego całą odpowiedzialność?

- Wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł - powiedział. - Jesteś chyba trochę za młoda, żeby dziurawić się dla ozdoby.

- Uważasz, że jestem za młoda, żeby mieć chłopca?

Ellisowi cisnęło się na usta „tak”. Dla niego była o wiele za młoda. Ale nie mógł powstrzymać jej rozwoju.

- Jesteś wystarczająco dorosła, żeby umawiać się na randki, ale za wcześnie jeszcze na kogoś na stałe - zaopiniował. Spojrzał na nią, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Sprawiała wrażenie rozbawionej. Może oni już nie rozmawiają o wzięciu się ze sobą na stałe, pomyślał.

Podjeżdżając pod dom spostrzegli zaparkowanego przed wejściem forda Bernarda. Ellis zatrzymał hondę za nim i wszedł z Petal do środka. Bernard siedział w living-roomie. Był to prostoduszny niski mężczyzna o bardzo krótko przystrzyżonych włosach i całkowitym

braku wyobraźni. Petal przywitała się z nim entuzjastycznie, obejmując go i całując. Wprawilo go to chyba w pewne zakłopotanie.

- Jak tam rząd w Waszyngtonie, wciąż na pełnych obrotach? - spytał potrząsając silnie ręką Ellisa.

- Jak zawsze - odparł Ellis. Sądzi, że pracuje w Departamencie Stanu, a do jego obowiązków należy czytanie francuskich gazet i czasopism oraz przygotowywanie z nich codziennego serwisu dla wydziału francuskiego.

- Może piwa?

Ellis nie miał właściwie na nie ochoty, ale przez grzeczność skinął głową. Bernard wyszedł po piwo do kuchni. Był kierownikiem działu kredytów w jednym z nowojorskich domów towarowych. Petal chyba go lubiła i darzyła szacunkiem, a on odnosił się do niej z subtelną czułością. Nie mieli z Gill dzieci: ów specjalista od płodności nic sensownego mu nie doradził.

Wrócił z dwiema szklankami piwa i podał jedną Ellisowi.

- No, a teraz do lekcji - powiedział do Petal. - Tata przyjdzie się z tobą pożegnać, kiedy będzie wychodził.

Pocałowała go znowu i wybiegła z pokoju.

- Zwykle nie jest taka afektowana - powiedział, gdy nie mogła go już słyszeć. - Mam wrażenie, że specjalnie się tak popisuje w twojej obecności. Nie rozumiem w jakim celu.

Ellis rozumiał aż za dobrze, ale nie chciał jeszcze o tym myśleć.

- Nie przejmuj się tym - powiedział. - Jak tam interesy?

- Nieźle. Wysokie oprocentowanie kredytów nie uderzyło nas po kieszeni tak bardzo, jak się tego obawialiśmy. Wygląda na to, że ludzie nadal są skłonni pożyczać pieniądze na zakupy - przynajmniej w Nowym Jorku. - Usiadł i zaczął sączyć swoje piwo.

Ellis wyczuwał zawsze, że Bernard boi się go fizycznie. Objawiało się to w jego sposobie chodzenia, przypominającym zachowanie pokojowego pieska, który wślizgnął się do mieszkania bez pozwolenia domowników i teraz za wszelką cenę stara się trzymać o cal lub dwa poza zasięgiem mogącej wymierzyć mu kopniaka nogi.

Rozmawiali przez kilka minut o ekonomii, a Ellis pił swoje piwo tak szybko, jak potrafił. Gdy się z nim uporał, wstał i wyszedł. Przechodząc koło schodów zatrzymał się.

- Cześć, Petal - zawołał.

Podeszła do szczytu schodów.

- I co z tym przekłuciem uszu?

- Dasz mi czas do namysłu? - spytał.

- Jasne. Cześć.

Gill zeszła schodami na dół.

- Odwiozę cię na lotnisko - oznajmiła.

Ellis był zaskoczony.

- Wspaniale. Dziękuję.

- Powiedziała mi, że nie chce spędzać z tobą weekendu - odezwała się pierwsza, gdy byli już w drodze.

- Trudno.

- Jest ci przykro, prawda?

- A widać?

- Ja widzę. Było się kiedyś twoją żoną. - Urwała. - Przepraszam, John.

- Sam jestem sobie winien. Nie przemyślałem tego. Nim się pojawiłem, miała mamę, tatę i dom - to czego pragną wszystkie dzieci. Kręcąc się tutaj zagrażam jej szczęściu. Jestem intruzem, czynnikiem destabilizującym. To dlatego tuli się do Bernarda w mojej obecności. Nie chce mnie zranić. Robi to dlatego, że boi się go utracić. I to ja wzbudzam w niej ten lęk.

- Przyzwyczai się - powiedziała Gill. - Ameryka roi się od dzieciaków, które mają po dwóch tatusiów.

- To nie jest usprawiedliwienie. Pokpiłem sprawę i muszę ponieść konsekwencje.

Zaskoczyła go ponownie, poklepując po kolanie.

- Nie bądź dla siebie taki surowy - powiedziała. - Po prostu nie zostałeś do tego stworzony. Przejrzałam cię już w miesiąc po naszym ślubie. Nie chcesz mieć domu, stałej pracy, dzieci. Jesteś trochę tajemniczy. Dlatego się w tobie zakochałam i dlatego tak łatwo pozwoliłam ci odejść. Kochałam cię, bo byłeś inny - zwariowany, oryginalny, podniecający. Stać cię było na wszystko. Ale nie jesteś człowiekiem rodzinnym.

Siedział w milczeniu, rozważając w myślach to, co powiedziała, a ona skupiła się na prowadzeniu wozu. Ta życzliwość nie była udawana i był jej za to niezmiernie wdzięczny. Ale czy miała rację? Wydawało mu się, że nie. Nie chce domku na przedmieściu, pomyślał, ale dom chciałbym mieć - może willę w Maroku albo poddasze w Greenwich Village, albo apartament na dachu wieżowca w Rzymie. Nie chcę, żeby moja żona była kurą domową, gotowała, sprzątała, robiła zakupy; ale chciałbym mieć przyjaciółkę - kogoś, z kim mógłbym porozmawiać o książkach, filmach, o poezji; z kim mógłbym pogawędzić w nocy. Chciałbym również mieć dzieci i wychowywać je tak, żeby ich zainteresowania nie ograniczały się do Michaela Jacksona.

Nie podzielił się z Gill tymi refleksjami.



Zatrzymała samochód i dopiero teraz zorientował się, że stoją przed terminalem Eastern Airlines. Spojrzał na zegarek: dwudziesta piętnaście. Jeśli się pośpieszy, złapie jeszcze samolot odlatujący o dwudziestej pierwszej.

- Dzięki za podwiezienie - powiedział.

- Tobie jest potrzebna kobieta taka jak ty sam, ktoś ulepiony z tej samej gliny - powiedziała Gill.

Ellis od razu pomyślał o Jane.

- Spotkałem raz kogoś takiego.

- I co?

- Wyszła za przystojnego lekarza.

- A ten lekarz jest tak samo zwariowany jak ty?

- Raczej nie.

- A więc to nie potrwa długo. Kiedy się pobrali?

- Jakiś rok temu.

- Aha. - Gill skojarzyła sobie prawdopodobnie, że to właśnie wtedy Ellis w wielkim stylu wkroczył w życie Petal, ale miała na tyle taktu, żeby nie powiedzieć tego głośno. - Dam ci radę - mruknęła. - Sprawdź, co u niej.

Ellis wysiadł z wozu.

- Wkrótce się do ciebie odezwę.

- Cześć.

Zatrzasnął drzwiczki i odjechała.

Wszedł pośpiesznie do budynku. Na pokładzie znalazł się na dwie czy trzy minuty przed startem. Gdy samolot wzbił się w powietrze, w kieszeni fotela przed sobą znalazł gazetę i poszukał w niej korespondencji z Afganistanu.

Od chwili gdy dowiedział się w Paryżu od Billa, że Jane wprowadziła w czyn swój zamiar wyjazdu do Afganistanu z Jean-Pierre'em, uważnie śledził przebieg tej wojny. Nie pisano już o niej na pierwszych stronach. Często mijał tydzień, a nawet dwa bez jakiegokolwiek wzmianki na jej temat. Ale teraz sen zimowy się skończył i przynajmniej raz w tygodniu można już było w prasie znaleźć coś niecoś.

Gazeta podawała analizę sytuacji Rosjan w Afganistanie. Ellis rozpoczął lekturę nieufnie, wiedział bowiem, że wiele takich drukowanych w czasopiśmie artykułów wychodzi z CIA - reporter dostawał na zasadach wyłączności zwięzłą ocenę danej sytuacji od wywiadu CIA, stając się w rzeczywistości nieświadomym przekaźnikiem pakietu

dezinformacji, przeznaczonego dla służb wywiadowczych innego kraju i w rezultacie pisany przez niego reportaż miał tyle wspólnego z prawdą co artykuł w „Prawdzie”.

Ten jednak wyglądał na rzetelny. Podawał, że trwa koncentracja sowieckich żołnierzy i sprzętu wojskowego, co sugeruje przygotowania do wielkiej ofensywy letniej. Z punktu widzenia Moskwy miało to być lato przełomu: albo skruszą w tym roku opór partyzantów, albo będą zmuszeni pójść z nimi na jakiś kompromis. Ellisowi przemawiało to nawet do przekonania - sprawdzi, co mówią na ten temat ludzie CIA rezydujący w Moskwie, ale odnosił wrażenie, że opinie się pokrywają.

Wśród krytycznych rejonów, w jakie miała być wymierzona ta ofensywa, artykuł wymieniał Dolinę Panisher.

Ellisowi przypomniało się, że Jean-Pierre mówił coś o Dolinie Pięciu Lwów. Ellis liznął trochę języka farsy w Iranie i wydawało mu się, że „panisher” znaczy „pięć lwów”, ale Jean-Pierre twierdził zawsze, że to „pięć tygrysów”, być może dlatego, że w Afganistanie nie było lwów. Artykuł mówił również o Masudzie, przywódcy rebeliantów. Ellis przypomniał sobie, że Jean-Pierre o nim także wspominał.

Wyjrzał przez okno i zapatrzył się na zachód słońca. Nie ma żadnych wątpliwości, pomyślał z uczuciem lęku, że tego lata Jane znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie.

Ale to nie jego sprawa. Jane jest teraz żoną kogoś innego. A zresztą Ellis nie mógł na to nic poradzić.

Spuścił wzrok na trzymaną w ręku gazetę, przewrócił stronicę i zagłębił się w lekturze korespondencji z Salwadoru. Samolot pędził z rykiem silników w kierunku Waszyngtonu. Słońce znikło za zachodnim horyzontem i zapadł zmrok.

\*\*\*

Allen Winderman zaprosił Ellisa na lunch do restauracji nad Potomakiem, serwującej dania z owoców morza. Winderman spóźnił się pół godziny. Był typowym waszyngtońskim urzędnikiem na kierowniczym stanowisku: ciemnoszary garnitur, biała koszula, krawat w paski; śliski jak rekin. Ponieważ rachunek regulował Biały Dom, Ellis zamówił kraba i kieliszek białego wina. Winderman poprosił o ostrygi i sałatkę. Wszystko, co wiązało się z osoba Windermana, było za ciasne: jego krawat, jego buty, jego program rozmowy i jego samokontrola.

Ellis był czujny. Nie mógł odrzucić zaproszenia wystosowanego przez doradcę prezydenta, ale nie przepadał za dyskretnymi, nieoficjalnymi lunchami i nie lubił Allena Windermana.

Winderman przeszedł od razu do sedna sprawy.

- Chcę się ciebie poradzić - rozpoczął.

- Po pierwsze - powstrzymał go Ellis - muszę wiedzieć, czy powiadomiłeś o naszym spotkaniu Agencję. - Jeśli Biały Dom planował jakąś tajną akcję za plecami CIA, to on nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, że powiadomiłem - zapewnił go Winderman. - Co wiesz o Afganistanie?

Ellisa przeszedł nagle zimny dreszcz. Wcześniej czy później Jane musiała zostać w to wplątana, pomyślał. Oczywiście wiedzą o niej: nie robiłem z tego tajemnicy. W Paryżu powiedziałem Billowi, że zamierzam poprosić ją o rękę. Później prosiłem Billa telefonicznie, by dowiedział się, czy naprawdę wyjechała do Afganistanu. Wszystko to poszło do moich akt. Teraz ten sukinsyn wie o niej i zamierza to wykorzystać.

- Niewiele - powiedział ostrożnie i zacytował strofy Kiplinga, które mu właśnie przysły na myśl:

*Gdy cię na afgańskich równinach porzucą rannego*

*I wyjdą kobiety, by szczątki ciała rozwlec twego,*

*Ty po karabin sięgnij, palnij sobie w łeb z niego*

*I do Boga swego odejść jak żołnierz.*

Winderman po raz pierwszy wydał się Ellisowi zażenowany.

- Po dwóch latach odstawiania poety masz pewnie w zanadru mnóstwo takich kawałków.

- Afgańczycy również - powiedział Ellis. - Francuzi są smakoszami, Walijczycy śpiewakami, a oni poetami.

- Co ty powiesz?

- To dlatego, że nie potrafia czytać ani pisać. Poezja to mówiona forma sztuki. - Winderman zaczynał się wyraźnie niecierpliwić: program rozmowy nie przewidywał dyskusji o poezji. Ellis ciągnął: - Afgańczycy to dziki, nieokrzesany, gwałtowny góralski lud, tkwiący jeszcze właściwie w średniowieczu. Mają opinię ludzi bardzo uprzejmych, odważnych jak lwy i bezlitośnie okrutnych. Żyją w kraju surowym, jałowym i pustynnym. A co ty o nich wiesz?

- Nie ma czegoś takiego jak Afgańczyk - powiedział Winderman. - Afganistan zamieszkuje sześć milionów żyjących na południu Pusztunów, trzy miliony Tadżyków na

zachodzie, milion Uzbeków na północy i do tego niecały milion, na który składa się z tuzin innych narodowości. Współczesne granice niewiele dla nich znaczą: Tadżykowie mieszkają również w Związku Radzieckim, a Pusztuni w Pakistanie. Niektóre z tych narodowości dzielą się na plemiona. Przypominają trochę czerwonoskórych Indian, którzy do tej pory nie identyfikują się z Amerykanami tylko z Apaczami, Krukami albo Siuksami. I będą równie ochoczo walczyć między sobą, jak stawiać opór Rosjanom. Nasz problem polega na doprowadzeniu do zjednoczenia Apaczów z Siuksami przeciwko bladym twarzom.

- Rozumiem - powiedział Ellis, zastanawiając się jednocześnie, kiedy wreszcie w tym wszystkim pojawi się Jane. - A więc podstawowe pytanie brzmi: kto zostanie Wielkim Wodzem?

- To proste. Jak dotąd najbardziej obiecującym przywódcą rebeliantów jest Ahmed Shah Masud z Doliny Panisher.

Dolina Pięciu Lwów. Do czego zmierzasz, ty podstępny sukinsynu? Ellis studiował gładko wygoloną twarz Windermana. Była nieprzenikniona.

- Czym takim specjalnym wyróżnił się Masud? - spytał.

- Większość rebelianckich przywódców zadawała się kontrolą nad własnym plemieniem, pobieraniem podatków i blokowaniem rządowi wstępu na swoje terytorium. Masud robi więcej. Wychodzi ze swej górskiej warowni i atakuje. W zasięgu jego działań zaczepnych znajdują się trzy strategiczne cele: stołeczne miasto Kabul, tunel Salang na jedynej autostradzie łączącej Kabul ze Związkiem Radzieckim oraz Bagram, główna baza lotnictwa wojskowego. Jest w stanie zadawać dotkliwe ciosy i robi to. Studiował sztukę prowadzenia wojny partyzanckiej. Czytał Mao. Jest bezsprzecznie najlepszym wojskowym umysłem w kraju. I ma pieniądze. W jego dolinie wydobywane są diamenty, które sprzedaje się następnie w Pakistanie. Masud pobiera dziesięcioprocentowy podatek od każdej transakcji i przeznaczają te pieniądze na utrzymanie swojej armii. Ma dwadzieścia osiem lat i odznacza się charyzmą - ludzie go uwielbiają. Jest wreszcie Tadżykiem. Najliczniejsi są Pusztuni i wszyscy pozostali nienawidzą ich, a więc przywódcą nie może być Pusztun, Następnym pod względem liczebności ludem są Tadżykowie. Istnieje szansa doprowadzenia do zjednoczenia pod przywództwem Tadżyka.

- A my chcemy stworzyć po temu warunki?

- Właśnie. Im silniejsi będą rebelianci, tym więcej szkód wyrządzą Rosjanom. Poza tym środowisku wywiadowczemu Stanów Zjednoczonych przydałby się w tym roku jakiś sukces.

Dla Windermana i ludzi jego pokroju nie ma żadnego znaczenia, że Afgańczycy walczą z brutalnym najeźdźcą o swoją wolność, pomyślał Ellis. W Waszyngtonie moralność nie jest w modzie, liczy się tylko walka o władzę. Gdyby Winderman urodził się nie w Los Angeles tylko w Leningradzie, byłby tak samo szczęśliwy, tak samo wpływowy, z takim samym powodzeniem piałby się po szczeblach kariery i stosował tę samą taktykę walki, tyle że po przeciwnej stronie barykady.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał.

- Chcę zasięgnąć twojej opinii - powiedział Winderman. - Czy tajny agent ma szansę skłonić kilka patrzących na siebie wilkiem afgańskich plemion do zawarcia przymierza?

- Przypuszczam, że ma - powiedział Ellis. Przerwał mu kelner z zamówionymi daniami. Wykorzystał te kilka chwil na zastanowienie. Kiedy znów zostali sami, podjął: - Będzie to mieć szansę powodzenia pod warunkiem, że istnieje coś, co w zamian chcieliby od nas uzyskać - a według mnie tym czymś byłaby broń.

- Racja. - Winderman z namaszczeniem, jak człowiek cierpiący na chorobę wrzodową, zabrał się do jedzenia. - W tej chwili kupują broń przez granicę, w Pakistanie - powiedział pomiędzy dwoma mikroskopijnymi kęsami. - Wszystko, co mogą tam dostać, to kopie brytyjskich strzelb z czasów królowej Wiktorii - a jeśli nie kopie, to autentyczne muzealne eksponaty, liczące sobie sto lat, ale wciąż jeszcze sprawne. Zdobywają też na poległych rosyjskich żołnierzach kałasznikowy. Cierpią jednak na rozpaczliwy brak małokalibrowej artylerii - działek przeciwlotniczych i ręcznych wyrzutni pocisków ziemia-powietrze które umożliwiłyby im zestrzeliwanie samolotów i helikopterów.

- Czy jesteśmy skłonni dostarczyć im tego rodzaju wyposażenia?

- Tak. Ale nie bezpośrednio - pragnęlibyśmy ukryć nasze zaangażowanie, przekazując dostawy broni poprzez pośredników. Ale to żaden problem. Można tu wykorzystać Saudyjczyków.

- W porządku. - Ellis przełknął kawałek kraba. Był smaczny. - Powiem ci, jak według mnie powinien wyglądać pierwszy krok. W każdym partyzanckim oddziale trzeba wyłonić grupę ludzi znających Masuda, rozumiejących go i darzących zaufaniem. Do zadań tych grup należeć będzie utrzymywanie łączności z Masudem. Swoją działalność rozwijać będą stopniowo: najpierw zwykła wymiana informacji, potem dwustronna współpraca, a w końcu skoordynowane przygotowywanie akcji.

- To brzmi nieźle - pochwalił go Winderman. - Jak można by to wprowadzić w życie?

- Poddałbym Masudowi myśl zorganizowania czegoś w rodzaju obozu szkoleniowego w Dolinie Pięciu Lwów. Każdy oddział partyzancki oddelegowałby kilku młodych ludzi, by

przez pewien czas walczyli u boku Masuda i podpatrywali metody, dzięki którym osiąga tak znaczne sukcesy. Jeśli naprawdę jest tak dobrym przywódcą, jak twierdzisz, nauczyliby się przy okazji szacunku i zaufania do niego.

Winderman pokiwał w zamyśleniu głową.

- Propozycja tego rodzaju może spotkać się z pozytywnym przyjęciem ze strony przywódców plemiennych. Jak do tej pory odrzucają każdy plan, zobowiązujący ich do oddania się pod rozkazy Masuda.

- Czy istnieje jakiś konkretny, rywalizujący z Masudem przywódca, którego współpraca jest niezbędna dla zawiązania takiego sojuszu?

- Tak. Właściwie nawet dwóch: Jahan Kamil i Amal Azizi, obaj Pusztuni.

- Wysłałbym więc tam tajnego agenta z zadaniem nakłonienia tych dwóch, by zasiedli do rozmów przy jednym stole z Masudem. Gdyby agent wrócił z trzema podpisanymi na jednej kartce papieru, wysłałibyśmy im pierwszy transport wyrzutni rakiet. Dalsze dostawy zależałyby od rezultatów programu szkoleniowego.

Winderman odłożył widelec i zapalił papierosa. Zdecydowanie ma wrzody, pomyślał Ellis.

- Właśnie tak sobie to wyobrażałem - powiedział Winderman. Ellis był pewien, że Winderman kombinuje już, jak by tu przypisać ten pomysł sobie. Najpóźniej jutro będzie mówił: „Wysmażyliśmy przy lunchu jeden taki planik”, a w jego pisemnym raporcie znajdzie się wzmianka: „Specjaliści od tajnych operacji zaopiniowali mój plan jako nadający się do realizacji”. - Czym ewentualnie ryzykujemy?

Ellis zastanowił się chwilę.

- Gdyby Rosjanie przechwycili naszego agenta, mogliby rozpętać wokół całej sprawy wielką kampanię propagandową. W tej chwili borykają się w Afganistanie z czymś, co Biały Dom nazwałby „problemem image”. Sojusznicy Związku Radzieckiego z Trzeciego Świata nie są zachwyceni faktem najazdu tego wielkiego mocarstwa na mały, zacofany kraj. Skłonni do sympatyzowania z rebeliantami są zwłaszcza ich muzułmańscy przyjaciele. Obecnie polityka Rosjan polega na utrzymywaniu, że rebelianci to bandyci, finansowani i uzbrajani przez CIA. Byliby zachwyceni możliwością udowodnienia tego poprzez schwytywanie na gorącym uczynku prawdziwego, żywego ducha CIA właśnie w tym kraju i postawienia go przed sądem. Sądzę, że w kategoriach polityki globalnej przyniosłoby to nam wiele szkody.

- A jakie jest ryzyko, że Rosjanie dostaną naszego człowieka?

- Znikome. Skoro nie potrafią pojmać Masuda, to jak miałiby schwytać tajnego agenta, wysłanego na spotkanie z Masudem?

- Dobrze - powiedział Winderman, rozgniatając w popielniczce niedopałek papierosa.  
- Chcę, żebyś to ty był tym agentem.

Ellis zaniemówił z wrażenia. Uświadomił sobie, że właściwie powinien był przewidzieć, do czego to wszystko zmierza, ale problem zbytnio go zaabsorbował.

- Ja już się tym nie zajmuję - wybąkał, ale w jego głosie brak było zdecydowania i nie potrafił opędzić się od myśli, że zobaczyłby się z Jane. Zobaczyłby się z Jane!

- Rozmawiałem telefonicznie z twoim szefem - oznajmił Winderman. - Jego zdaniem skierowanie do Afganistanu mogłoby rozbudzić w tobie na nowo zamiłowanie do pracy w terenie.

A więc było to z góry ukartowane. Biały Dom pragnie osiągnąć w Afganistanie jakiś dramatyczny cel, zwrócił się więc do CIA o wypożyczenie agenta. CIA pragnie skłonić Ellisa do powrotu do pracy w terenie, poradziła więc Białemu Domowi, żeby jemu zaproponował podjęcie się tej misji, wiedząc albo podejrzewając, że nie oprze się raczej perspektywie ponownego spotkania z Jane.

Ellis nie znosił, kiedy nim manipulowano.

Ale chciał pojechać do Doliny Pięciu Lwów.

Milczenie przeciągało się. Przerwał je w końcu zniecierpliwiony Winderman:

- No jak, zgadzasz się?

- Zastanowię się - odparł Ellis.

\*\*\*

Ojciec Ellisa czknął cicho, przeprosił i powiedział:

- Dobrze było.

Ellis odsunął od siebie talerz z wiśniowym plackiem i otarł krem z ust. W swoim wieku musiał już dbać o wagę.

- Naprawdę wyśmienite, mamo, ale już nie mogę - westchnął przepaszająco.

- Nikt już nie je jak dawniej - powiedziała. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. -  
Wszystko przez to, że wszędzie jeździ się samochodami.

Ojciec odsunął się z krzesłem od stołu.

- Mam trochę papierkowej roboty - powiedział.

- Nadal nie zatrudniasz księgowego? - spytał Ellis.

- Nikt się tak nie zatroszczy o twoje pieniądze, jak ty sam - oświadczył ojciec. -  
Przekonasz się o tym, jeśli kiedykolwiek się ich dorobisz. - Wyszedł z pokoju, by zaszyć się w swojej kryjówce.

Ellis pomógł matce w wynoszeniu talerzy. Rodzina wprowadziła się do tego czterosypialniowego domu w Teaneck w stanie New Jersey, kiedy Ellis miał trzynaście lat, ale pamiętał tę przeprowadzkę, jakby to było wczoraj. Szykowali się do niej dosłownie latami. Ojciec stawiał ten dom z początku sam, potem zatrudnił przy budowie pracowników swego rozkręcającego się przedsiębiorstwa budowlanego, ale tylko w okresach zastoju w interesach. Kiedy interes zaczynał iść dobrze, zawieszał prace na budowie. Wprowadzali się do domu w surowym właściwie stanie: nie działało ogrzewanie, w kuchni nie było szafek i pozostawały jeszcze do wykonania prace malarskie. Co prawda następnego dnia z kranów pocięła ciepła woda, ale stało się tak tylko dlatego, że mama zagroziła rozwodem. Dom został jednak wreszcie wykończony i Ellis oraz jego bracia i siostry mogli dorastać każde we własnym pokoju. Jak na potrzeby rodziców dom był teraz za duży. Ellis miał jednak nadzieję, że się go nie pozbędą. Dobrze się tu czuł.

- Mamo, pamiętasz tę walizkę, którą zostawiłem tutaj po powrocie z Azji? - spytał, kiedy zapełnili maszynę do zmywania naczyń.

- Naturalnie. Jest w szafie w małej sypialni.

- Dzięki. Chciałbym przejrzeć zawartość.

- No to idź. Ja już tu sama skończę.

Ellis wspiał się po schodach do małej sypialni na poddaszu. Rzadko z niej korzystano i wokół pojedynczego tapczanika stały dwa połamane krzesła, stara kanapa i cztery czy pięć kartonowych pudeł, pełnych dziecięcych książek i zabawek. Ellis otworzył szafę i wyjął z niej małą czarną plastikową walizeczkę. Położył ją na tapczanie, ustawił odpowiednią kombinację cyfr szyfrowego zatrzasku i uniósł wieko. Z wnętrza buchnął odór stęchlizny - walizki nie otwierano od dobrych dziesięciu lat. Było w niej wszystko: medale, oba pociski wyjęte z jego ciała, wojskowy poradnik FM 5-31 zatytułowany „Pułapki minowe”, fotografia Ellisa na tle helikoptera - jego pierwszego Hueya - uśmiechniętego, młodo wyglądającego i (kurczę blade!) szczupłego, karteczka od Frankie Amafiego z dedykacją „*Sukinsynowi, który podprowadził mi nogę*” - heroiczny żart, bo Ellis rozwiązał wtedy ostrożnie sznurowadło Frankie’emu, pociągnął za but i w ręku zostało mu pół nogi, obciętej w kolanie przez wygiętą dziko łopatkę wirnika, zegarek Jimmy’ego Jonesa, który stanął na piątej trzydziści. „*Zatrzymaj go, synu*”, powiedział do Ellisa ojciec Jimmy’ego poprzez mgłę alkoholowego zamroczenia - „*byłeś przecież jego przyjacielem, a to więcej, niż kiedykolwiek stanowiąłem dla niego ja*”, i dziennik.

Kartkował stronicę. Wystarczyło, by przeczytał na chybił trafił kilka słów, a od razu przypominał sobie cały dzień, tydzień, bitwę. Zapiski zaczynały się beztróska, wyczierała z



nich żądza przygód i wielka pewność siebie; stopniowo jednak wkładało się do nich rozczarowanie, przychodziło otrzeźwienie, zniechęcenie, rozpacz, a w końcu myśli o samobójstwie. Pełne przygnębienia zdania wywoływały z pamięci żywe sceny: *„Te cholerne żółtki nie chciały wysiąść z helikoptera - skoro tak bardzo chcą, żeby ich bronić przed komunizmem, to czemu sami nie walczą?”* i jeszcze: *„Kapitan Johnson chyba zawsze był dupą wolową, ale żeby zginąć taką śmiercią, od granatu ciśniętego przez jednego ze swoich ludzi?”*, i dalej: *„Kobiety noszą karabiny pod sukienkami, a dzieciaki granaty za pazuchą, więc co, do kurwy nędzy, mamy robić, poddać im się?”*. Ostatnie zdanie brzmiało: *„To, co mi się w tej wojnie nie podoba, to to, że jesteśmy po niewłaściwej stronie. Źli z nas faceci. Dlatego właśnie chłopaki wykręcają się jak mogą od poboru; dlatego właśnie Wietnamczycy nie będą walczyć; dlatego właśnie generałowie okłamują polityków, politycy łżą dziennikarzom, a gazety wprowadzają w błąd opinię publiczną”*. Myśli, jakie zaczęły go potem nachodzić, były zbyt wywrotowe, by nadawały się do przelania na papier, poczucie winy zbyt wielkie, by wyrazić je słowami. Wydawało się mu, że resztę życia będzie musiał spędzić na naprawianiu zła, jakie wyrządził podczas tej wojny. Choć minęło już tyle lat, odczucie to nie opuszczało go. Kiedy policzył wszystkich morderców, jakich od tamtego czasu wpakował za kratki, wszystkich kidnaperów, porywaczy i zamachowców, jakich aresztował, liczba, którą otrzymywał, była niczym w porównaniu z tonami materiałów wybuchowych, jakie zrzucił, i tysiącami sztuk amunicji, jaką wystrzelił w Wietnamie, Laosie i Kambodży.

Wiedział, że to irracjonalne. Zdał sobie z tego sprawę po powrocie z Paryża i przez jakiś czas rozmyślał nad tym, jak praca, którą wykonywał, zrujnowała mu życie. Postanowił zaprzestać wysiłków na rzecz odkupienia grzechów Ameryki. Ale obecna propozycja... obecna propozycja była jakaś inna. Stwarzała okazję do walki we własnym imieniu, do walki przeciwko załganym generałom, handlarzom broni i zaślepionym dziennikarzom; zresztą nie tylko okazję do walki, nie tylko do dania czegoś z siebie, ale do przeważenia szali, do zmiany przebiegu tej wojny, do odmiany losu całego kraju i uczynienia czegoś naprawdę wielkiego, do zadania ciosu w imię wolności.

A poza tym była tam Jane.

Sama możliwość ponownego jej ujrzenia rozpałała w nim na nowo starą namiętność. Nie dalej jak kilka dni temu potrafił pomyśleć o niej i o grożącym jej niebezpieczeństwie, po czym odsunąć od siebie te myśli i przewrócić stronę czasopisma. Teraz wspomnienie Jane nie odstępowało go ani na chwilę. Zastanawiał się, czy włosy ma długie czy krótkie, przytyła czy zeszczuplała, czy jest zadowolona z życia, jakie sobie wybrała, czy Afgańczycy odnoszą się

do niej z sympatią i - to najczęściej - czy nadal kocha Jean-Pierre'a? „*Dam ci radę*”, powiedziała na pożegnanie Gill, „*sprawdź, co u niej*”. Mądra Gill.

Pomyślał na koniec o Petal. Próbowałem, powiedział sobie, naprawdę próbowałem i nie sędzę, żebym specjalnie źle to przeprowadził - wydaje mi się, że to był zamiar z góry skazany na niepowodzenie. Gill i Bernard dają jej wszystko, czego potrzebuje. W jej życiu nie ma miejsca dla mnie. Jest szczęśliwa beze mnie.

Zamknął dziennik i włożył go z powrotem do walizki. Wyjął teraz stamtąd niewielką tanią szkatułkę. Wewnątrz spoczywała para małych złotych kolczyków z perłami w środku. Kobieta, dla której były przeznaczone, skośnooka dziewczyna o drobnych piersiach, która nauczyła go, że nie ma żadnych tabu, zginęła - zanim zdążył jej je wręczyć, zabił ją pijany żołnierz w sajgońskim barze. Nie kochał tamtej dziewczyny - po prostu lubił ją i odczuwał wobec niej wdzięczność. Te kolczyki miały być podarunkiem pożegnalnym.

Wziął czystą kartkę papieru i wyjął pióro z kieszonki koszuli. Zastanowił się chwilę, po czym napisał:

*Do Petal:*

*Tak, możesz je przekuć.*

*Twój kochający tata.*

## ROZDZIAŁ 6

Rzeka Pięciu Lwów nigdy nie była ciepła, ale teraz, w balsamicznym wieczornym powietrzu pod koniec zakurzonego dnia, kiedy kobiety zeszły na przeznaczony wyłącznie dla nich odcinek jej brzegu, by się wykąpać, wydawała się trochę mniej lodowata. Jane zacisnęła zęby, żeby nie szczękały jej z zimna, weszła z innymi w wartki nurt i brodząc coraz głębiej, cał po calu podkasywała sukienkę, aż woda sięgnęła jej do pasa; wtedy zaczęła się myć - długa praktyka pozwoliła jej opanować szczególną afgańską umiejętność mycia całego ciała bez rozbierania się.

Skończyła, wyszła na brzeg i stanęła dygocząc z zimna obok Zahary, która z energicznym chlupotaniem i pryskaniem myła sobie włosy w sadzawce, prowadząc przy tym ożywioną konwersację. Zahara jeszcze raz zanurzyła głowę w wodzie i sięgnęła po ręcznik. Pomacała w zagłębieniu w piaszczystej ziemi, ale nie znalazła go.

- Gdzie mój ręcznik? - wrzasnęła. - Włożyłam go do tej dziury. Kto go ukradł?

Jane podniosła ręcznik leżący za plecami Zahary.

- Tu jest - powiedziała. - Włożyłaś go nie do tej dziury.

- Powiedział muła do żony! - krzyknęła Zahara i reszta kobiet wybuchnęła piskliwym śmiechem.

Wieśniaczki traktowały już Jane jak swoją. Ostatnie ślady rezerwy i nieufności zniknęły wraz z przyjściem na świat Chantal, co w ich oczach zdawało się potwierdzać, że Jane jest taką samą kobietą jak każda z nich. Rozmowa nad rzeką była zadziwiająco frywolna - może dlatego, że dzieci pozostały we wsi pod opieką starszych sióstr i babek, ale chyba raczej przez Zaharę. Dominował tu jej donośny głos, jej roziskrzona oczy i jej bogaty, gardłowy śmiech. Bez wątpienia tutaj odreagowywała stałe tłumienie swojej osobowości. Miała wulgarne poczucie humoru, którego Jane nie spotkała u żadnej innej Afganki czy Afgańczyka, a jej sprośne uwagi i dwuznaczne żarty często torowały drogę poważnej dyskusji. Dzięki temu Jane udawało się czasem przekształcić seanse wieczornej kąpieli w zaimprovizowane pogadanki na temat oświaty zdrowotnej. Najczęściej poruszonym na nich tematem była kontrola urodzeń, chociaż kobiety z Bandy bardziej interesowały się sposobami zachodzenia w ciążę niż jej unikania. Idea, że kobieta jest zdolna lepiej wykarmić i zaopiekować się dziećmi, jeśli te rodzą się nie w odstępnie dwunastu czy piętnastu miesięcy, tylko dwóch lat, którą starała się propagować Jane, spotykała się jednak z ciepłym przyjęciem. Wczoraj rozmawiały o cyklu menstruacyjnym i okazało się, że Afganki sądziły,

iż czas płodności przypada na tuż przed i tuż po okresie. Jane wyjaśniła im, że zawiera się on między dwunastym a szesnastym dniem cyklu i zdawały się przyjmować jej słowa do wiadomości. Podejrzewała jednak, iż są przekonane, że się myli, i tylko przez grzeczność jej tego nie mówią.

Tego wieczora nad rzeką panowała atmosfera podniecenia. Spodziewano się dzisiaj powrotu konwoju, który wyruszył ostatnio do Pakistanu. Mężczyźni oprócz tego, co najważniejsze do prowadzenia wojny, czyli karabinów, amunicji i materiałów wybuchowych, przywiozą też garść luksusowych towarów - może jakiś szal, trochę pomarańczy, plastikowe ozdoby.

Mąż Zahary, Ahmed Gul, jeden z synów akuszerki Rabii, prowadził ten konwój i Zahara była wyraźnie podekscytowana perspektywą ponownego z nim spotkania. Gdy byli razem, nie różnili się od innych afgańskich par - ona cicha i usłużna, on nonszalancko władczy. Ale ze sposobu, w jaki na siebie patrzyli, Jane wnioskowała, że się kochają; a poza tym z tego, co wygadywała Zahara, wynikało jasno, że w ich miłości wielką rolę spełnia pociąg fizyczny. Dzisiaj niemal wychodziła z siebie z pożądania, wycierając włosy do sucha z ognistą, zawziętą energią. Jane rozumiała ją - sama miewała czasem takie nastroje. Zostały z Zaharą przyjaciółkami bez wątpienia dlatego, że wyczuwały w sobie bratnie dusze.

W ciepłym, suchym powietrzu skóra Jane obeschła niemal natychmiast. Była pełnia lata z długimi, suchymi i upalnymi dniami. Ładna pogoda potrwa jeszcze z miesiąc, dwa, a potem do końca roku będzie już przejmujące zimno.

Zaharze wciąż nie dawał spokoju temat wczorajszej rozmowy.

- Co by tam nie mówili, najpewniejszym sposobem zajścia w ciążę jest Robić To codziennie - powiedziała przerywając na chwilę wycieranie włosów.

- A jedynym sposobem na to, żeby nie zajść w ciążę, jest Nie Robić Tego wcale - poparła ją Halima, markotna, ciemnooka żona Mohammeda Khana. Halima miała czwórkę dzieci, ale wśród nich tylko jednego chłopca - Mousę - i była bardzo zawiedziona dowiedziawszy się, że Jane nie zna żadnego sposobu na zwiększenie szans urodzenia dziecka płci męskiej.

- No ale co powiedzić mężowi, który wraca do domu po sześciu tygodniach spędzonych w konwoju? - spytała Zahara.

- Zrób tak jak żona mułły i podstaw mu nie tę dziurę - poradziła Jane.

Zahara ryknęła śmiechem. Jane uśmiechnęła się. O tej metodzie regulowania urodzin nie wspomniano na przyśpieszonych kursach w Paryżu, ale było oczywiste, że nowoczesne techniki antykoncepcyjne nie dotrą do Doliny Pięciu Lwów jeszcze przez wiele lat, uciekać

się więc trzeba do tradycyjnych środków, popartych może tylko garścią informacji uświadamiających.

Rozmowa zesłała na żniwa. Dolina przeistoczyła się w morze złocistej pszenicy i brodatego jęczmienia, ale duża część plonów marniała na polach, bo młodzi mężczyźni odeszli na wojnę, a starszym koszenie przy księżycu szło bardzo powoli. Pod koniec lata wszystkie rodziny zsumują worki mąki i kosze suszonych owoców, przejrzą stadka drobiu i kóz, policzą skromne oszczędności i zaczną się zastanawiać, czy starczy im jajek i mięsa, oraz przewidywać spodziewane zimowe ceny ryżu i jogurtu, po czym kilka z nich spakuje swój ubogi dobytek i wyruszy w długą wędrówkę przez góry, by założyć nowe domy w obozach dla uchodźców w Pakistanie, jak to już zrobił sklepikarz oraz miliony innych Afgańczyków.

Jane obawiała się, że Rosjanie uczynią z tej migracji swoją politykę, że nie będąc w stanie pokonać partyzantów, skoncentrują się na wyniszczaniu społeczności, pośród których oni żyją, tak jak to robili Amerykanie w Wietnamie; na nekaniu całych połaci kraju nalotami dywanowymi, które obrócą Dolinę Pięciu Lwów w wyludnione pustkowia i zmuszą Mohammeda, Zaharę i Rabię do dołączenia do bezdomnych, pozbawionych własnego państwa, nie mających przed sobą żadnej przyszłości mieszkańców obozów. Rebelianci nie potrafiliby stawić czoła takiej szeroko zakrojonej, błyskawicznej ofensywie, bo nie dysponowali bronią przeciwlotniczą.

Ale afgańskie kobiety nie zdawały sobie sprawy z tego zagrożenia. Nigdy nie rozmawiały o wojnie, a jeśli już, to tylko o jej konsekwencjach. Zdawały się nie żywić żadnych uczuć względem cudzoziemców, przynoszących do ich doliny śmierć gwałtowną i powolną śmierć głodową. Uważały Rosjan za wybryk natury, za coś porównywalnego z pogodowymi anomaliami - naloty bombowe były dla nich jak trzaskający mróz, fatalny w skutkach, ale przez nikogo nie zawiniony.

Zmierzchało. Kobiety zaczęły zbierać się niespiesznie do powrotu do wioski. Jane szła z Zaharą słuchając jej jednym uchem i myśląc o Chantal. Jej uczucia do dziecka przeszły już przez kilka faz. Zaraz po porodzie przepełniały ją ulga, tryumf i radość z wydania na świat żywej, idealnie zdrowej istoty ludzkiej. Euforia ta szybko jednak opadła, ustępując miejsca skrajnemu przygnębieniu. Nie miała pojęcia, jak zajmować się dzieckiem i, wbrew panującej powszechnie opinii, nie odnajdywała w sobie żadnej instynktownej wiedzy na ten temat. Bała się dziecka. Nie było w niej ani śladu matczynej miłości. Zamiast tego dręczyły ją dziwaczne i przerażające sny i wizje, w których mała umierała - upuszczona do rzeki, zabita przez bombę albo wykradziona w nocy przez śnieżną panterę. Nie zwierzyła się dotąd Jean-Pierre'owi z tych koszmarnych myśli, bojąc się, że uzna ją za wariatkę.

Dochodziło na tym tle do konfliktów z akuszerką, Rabią Gul. Rabia twierdziła, że kobiety nie powinny karmić piersią przez pierwsze trzy dni, bo to, co przez ten czas z nich wypływa, to nie mleko. Twierdzenie, że natura każe kobiecym piersiom wytwarzać coś szkodliwego dla noworodka, Jane uznała za absurdalne i zignorowała radę starej. Rabia utrzymywała również, że przez pierwsze czterdzieści dni dziecka nie należy myć, ale Chantal, jak inne zachodnie dzieci, była kąpana codziennie. Potem Jane przyłapała Rabię na podawaniu Chantal na czubku pomarszczonego palucha masła zmieszanego z cukrem; tego było już dla Jane za wiele. Następnego dnia Rabię wezwano do kolejnego porodu, przysłała więc Jane do pomocy jedną ze swych wielu wnuczek, trzynastolatkę imieniem Fara. To było zupełnie co innego. Fara nie miała żadnych z góry wyrobionych sądów co do opieki nad małym dzieckiem i robiła po prostu to, co jej kazano. Nie chciała zapłaty - pracowała za całodzienne wyżywienie, które w domu Jane było o niebo lepsze niż u rodziców Fary, oraz za przywilej nabywania umiejętności chodzenia przy dziecku w ramach przygotowań do własnego zamążpójścia, do którego dojdzie prawdopodobnie, jeśli nie za rok, to najdalej za dwa. Jane podejrzewała też, że Rabia szkoli Farę na przyszłą akuszerkę, w którym to przypadku dziewczyna mogłaby zyskać sławę jako ta, która pomagała opiekować się dzieckiem zachodniej pielęgniarki.

Po usunięciu się Rabii Jean-Pierre mógł wreszcie zająć należne sobie miejsce u boku żony i córki. Był delikatny i śmiały w stosunku do Chantal oraz kochający i czuły dla Jane. To właśnie on poddał dość stanowczą sugestię, by karmić Chantal, kiedy obudzi się w nocy, przegotowanym kozim mlekiem i poszperawszy w swoim medycznym magazynku zmajstrował prowizoryczną butelkę do tego celu, tak żeby tylko on musiał wstawać do małej. Naturalnie Jane budziła się zawsze, gdy tylko Chantal zapłakała, i nie zasypiała, dopóki Jean-Pierre jej nie nakarmił; była to jednak dla niej wielka wyręka. Pozbyła się wreszcie tego doprowadzającego ją do czarnej rozpaczycy uczucia skrajnego wyczerpania, które tak przygnębiająco na nią wpływało.

W końcu, chociaż obawa i brak wiary w siebie nadal ją prześladowały, znalazła w sobie owe pokłady cierpliwości, na której nadmiar nigdy nie narzekała; i chociaż nie była to głęboka, instynktowna wiedza i pewność, na których obudzenie się czekała, mogła już ze spokojem stawić czoło codziennym kryzysom. Uświadomiła sobie teraz, że pozostawiła Chantal prawie godzinę temu, a wcale się o nią nie niepokoi.

Grupka kobiet dotarła do skupiska chat tworzących rdzeń wioski i jedna po drugiej zaczęły znikać za błotnymi murami swoich podwórek. Wchodząc do własnej chaty Jane przepłoszyła stadko kur i odsunęła z drogi wychudzoną krowę. W środku zastała Farę nuącą

Chantal przy świetle naftowej lampy. Rozbudzone dziecko szeroko otwierało oczka, wyraźnie zafascynowane brzmieniem piosenki śpiewanej przez dziewczynę. Była to kołysanka o prostych słowach i skomplikowanej, orientalnej linii melodycznej. Jakie to ładne dziecko, pomyślała Jane; te jej tłuściutkie policzki, ten maleńki nosek i te błękitne, błękitne ślepka.

Posłała Farę, by zaparzyła herbatę. Dziewczyna była bardzo wstydliwa i kiedy przyszła tu po raz pierwszy, dygotała cała ze strachu przed pracą dla obcokrajowców; ale mijała jej już ta nerwowość i początkowy lęk przed Jane przeradzał się stopniowo w coś przypominającego pełną uwielbienia lojalność.

Kilka minut później przyszedł Jean-Pierre. Jego bufiaste bawełniane spodnie i koszula lepiły się od brudu i zbroczone były krwią, a w długich brązowych włosach i ciemnej brodzie miał pełno kurzu. Wyglądał na zmęczonego. Wracał z Khenj, leżącej w Dolinie, odległej o dziesięć mil wioski, gdzie udzielał pierwszej pomocy ocalałym z nalotu bombowego. Jane wspięła się na palce, żeby go pocałować.

- Jak było? - spytała po francusku.

- Źle. - Uścisnął ją i pochylił się nad Chantal. - Cześć, malutka. - Uśmiechnął się, a Chantal zagaworzyła.

- Co się stało? - spytała Jane.

- To była rodzina, której chata stoi w pewnej odległości od wioski, sądzili więc, że są bezpieczni. - Jean-Pierre wzruszył ramionami. - Potem przyniesiono kilku partyzantów rannych w potyczce, jaka miała miejsce dalej na południe. Dlatego tak długo mi zeszło. - Usiadł na stosie poduszek. - Jest herbata?

- Zaraz będzie - powiedziała Jane. - Co to była za potyczka?

- Zwyczajna. - Przymknął oczy. - Helikopterami nadleciało wojsko i z sobie tylko znanych powodów zajęło wioskę. Mieszkańcy zbiegli. Partyzanci przegrupowali się, wezwali posiłki i zaczęli ostrzeliwać Rosjan ze wzgórz. Są straty po obu stronach. W końcu partyzantom skończyła się amunicja i wycofali się.

Jane pokiwała głową. Żal jej było Jean-Pierre'a - opatrywanie ofiar bezcelowej bitwy nie należało do podnoszących na duchu zajęć. Banda nigdy nie była obiektem takiego desantu, ale Jane żyła w ciągłym strachu przed nim - w sennych koszmarach widziała siebie, jak biegnie, ucieka z tulącą się do niej Chantal, helikoptery młóćą wirnikami powietrze nad jej głową, a pociski karabinów maszynowych ryją suchą ziemię tuż przy jej stopach.

Weszła Fara z gorącą zieloną herbatą, kawałkiem płaskiego chleba nazywanego tutaj *nan* i kamiennym garnkiem świeżego masła. Jane i Jean-Pierre zabrali się do jedzenia. Masło było rzadkim rarytasem. Swój wieczorny *nan* moczyli zwykle w jogurcie, zsiadłym mleku lub

w oliwie. W południe jedli zazwyczaj ryż z sosem o smaku mięsa, w którym nieczęsto trafiał się kawałek samego mięsa. Raz w tygodniu był kurczak albo koza. Jane, nadal jedząca za dwoje, pozwalała sobie na luksus spożycia codziennie jednego jajka. O tej porze roku było mnóstwo świeżych owoców - morele, śliwki, jabłka i całe worki morw - nadających się na deser. Jane czuła się na tej diecie bardzo zdrowo, chociaż większość Anglików uważałaby ich codzienne racje za głodowe, a niektórzy Francuzi uznaliby je za powód do samobójstwa. Uśmiechnęła się do męża. - Może trochę sosu béarnaise do steku?

- Nie, dziękuję. - Podniósł swój kubek. - Raczej jeszcze kropelkę Château Cheval Blanc. - Jane dołączyła mu herbaty, a on udawał, że delektuje się nią jak winem, sącząc powoli płyn i przepłukując sobie nim gardło. - Po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roczniku tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi wydaje się nie doceniony, ale w moim odczuciu jego stosunkowa grzeczność i niezaprzeczalnie dobre maniere przynoszą niemal tyle rozkoszy co perfekcja elegancji, właściwa jego okrzykanemu poprzednikowi.

Jane uśmiechnęła się. Zaczynał znów być sobą.

Chantal rozplakała się i Jane poczuła natychmiast stanowiące odzew na ten sygnał klucie w piersiach. Podniosła dziecko i zaczęła je karmić. Jean-Pierre nie przerywał jedzenia.

- Zostaw trochę masła dla Fary - upomniała go Jane.

- Okay. - Wyniósł resztki kolacji i wrócił z miską morw. Jane podjadała czekając, aż Chantal przestanie ssać. Dziecko wkrótce zasnęło, ale Jane wiedziała, że za kilka minut obudzi się i zażąda repety.

- Dzisiaj znowu musiałem wysłuchiwać skarg na ciebie - powiedział Jean-Pierre odsuwając od siebie miskę.

- Od kogo? - spytała ostro Jane.

Jean-Pierre przybrał postawę obronną, ale stanowczą.

- Od Mohammeda Khana.

- Ale nie mówił chyba w swoim imieniu?

- Może nie.

- Co powiedział?

- Że uczysz kobiety z wioski, jak nie zachodzić w ciążę.

Jane westchnęła. Denerwowała ją nie tylko głupota męskiej połowy wioski, ale także przychylnie nastawienie Jean-Pierre'a do męskich skarg. Pragnęła, by jej bronił, a nie dawał posłuch tym, którzy ją oskarżają.

- Oczywiście, stoi za tym Abdullah Karim - stwierdziła. Żona mułły bywała często nad rzeką i bez wątplenia powtarzała mężowi wszystko, co tam usłyszała.



- Chyba będziesz musiała tego zaprzestać - powiedział Jean-Pierre.

- Zaprzestać czego?

- Doradzania im, jak wystrzegać się ciąży.

To nie był rzetelny obraz tego, czego Jane uczyła kobiety, nie miała jednak zamiaru ani się bronić, ani usprawiedliwiać.

- Dlaczego miałabym tego zaprzestać? - spytała.

- To stwarza niepotrzebne konflikty - wyjaśnił Jean-Pierre z cierpliwością, która doprowadzała Jane do pasji. - Jeśli ciężko obrazimy mułłę, być może będziemy zmuszeni wyjechać z Afganistanu. A co ważniejsze, może to przysporzyć złej sławy organizacji *Médicins pour la Liberté* i rebelianci zaczną odmawiać przyjmowania wysyłanych przez nią lekarzy. Widzisz, to jest święta wojna - zdrowie duchowe jest tu ważniejsze od fizycznego. Mogą zdecydować, że obejdą się bez nas.

Istniały jeszcze inne organizacje wysyłające do Afganistanu młodych przepełnionych ideałami francuskich lekarzy, ale Jane tego nie powiedziała. Zamiast tego oznajmiła stanowczo:

- Po prostu będziemy musieli zaryzykować.

- Czyżby? - powiedział i wyczuła, że wzbiera w nim złość. - A niby dlaczego?

- Bo istnieje właściwie tylko jedna rzecz o nieprzemijającej wartości, jaką możemy ofiarować tym ludziom, a jest nią *informacja*. To bardzo chwalebne opatrywać im rany i podawać lekarstwa zabijające drobnoustroje, ale zawsze będą cierpieli na brak chirurgów i niedobór leków. Możemy trwale poprawić stan zdrowotny tych ludzi, ucząc ich podstawowych zasad odżywiania się, higieny i dbałości o zdrowie. Lepiej obrazić Abdullaha, niż tego zaprzestać.

- A jednak wolałbym, żebyś nie robiła sobie z tego człowieka wroga.

- On mnie uderzył laską! - krzyknęła z wściekłością Jane. Chantal zaczęła płakać. Jane opanowała się z wysiłkiem. Pokołysała przez chwilę Chantal, po czym dała jej piersi. Czemu Jean-Pierre nie dostrzeża tchórzliwości swej postawy? Dlaczego groźba wydalenia z tego zapomnianego przez Boga kraju tak go przeraża? Jane westchnęła. Chantal odwróciła buzię od jej piersi wydając pełne niezadowolenia pomruki. Zanim zaczęli sprzeczkę, do ich uszu doleciała odległa wrzawa.

Jean-Pierre zmarszczył czoło nasłuchując. Po chwili wstał. Na ich podwórku rozległ się męski głos. Jean-Pierre podniósł z podłogi szal i zarzucił go Jane na ramiona. Ściągnęła jego końce na piersi. Był to kompromis - zgodnie z afgańskimi normami nie stanowił dostatecznego okrycia, ale zaparła się, że nie będzie wymykać się z izby, jak człowiek drugiej

kategorii, kiedy podczas karmienia do jej domu wchodzi mężczyzna. Oświadczyła, że jeśli ktoś ma coś przeciwko temu, to niech lepiej nie przychodzi do lekarza.

- Wejść - zawołał w narzeczu dari Jean-Pierre.

To był Mohammed Khan. Jane chciała mu już wygarnąć prosto z mostu, co myśli o nim i o reszcie mężczyzn z wioski, ale widząc napięcie na przystojnej twarzy Afgańczyka powstrzymała się. Poza tym nawet na nią nie spojrział.

- Konwój wpadł w zasadzkę - oznajmił bez wstępów. - Straciliśmy dwudziestu siedmiu ludzi i cały ładunek.

Jane zamknęła oczy wstrząśnięta tą nowiną. Podobnym konwojem przybyła do Doliny Pięciu Lwów i obraz tragedii sam nasunął się jej przed oczy. Zalany księżycową poświatą szereg brązowoskórych mężczyzn i wychudłych koni ciągnący w nierównych odstępach kamienistym szlakiem poprzez wąską, cienistą dolinę; zrywający się w nagłym crescendo warkot helikopterowych wirników; flary, granaty, ogień z broni maszynowej; panika wśród mężczyzn usiłujących szukać schronienia na nagim zboczu; beznadziejne strzały oddawane do niewrażliwych na nie helikopterów; a w końcu jęki rannych i krzyki umierających.

Nagle przypomniała się jej Zahara - w konwoju był jej mąż.

- Co... co z Ahmedem Gulem?

- Wrócił.

- Och, dzięki Bogu - odetchnęła Jane.

- Ale jest ranny.

- Czy zginął ktoś z naszej wioski?

- Nikt. Banda miała szczęście. Mój brat Matullah wyszedł z tego cało. Tak samo Alishan Karim, brat muły. Jest jeszcze trzech ocalałych - dwaj z nich są ranni.

- Zaraz tam będę - powiedział Jean-Pierre. Przeszedł do frontowej izby domu, izby, w której kiedyś mieścił się sklep, potem lazaret. Teraz służyła za magazyn na medykamenty.

Jane włożyła Chantal do prowizorycznej kołyski stojącej w kącie izby i pośpiesznie doprowadziła się do porządku. Jean-Pierre będzie prawdopodobnie potrzebował jej pomocy, a jeśli nie, to może Zaharze przyda się trochę współczucia.

- Nasze zapasy amunicji są na wyczerpaniu - powiedział Mohammed.

Jane nie zmartwiło to zbytnio. Wojna wzbudzała w niej obrzydzenie i nie uroniłaby ani jednej łzy, gdyby siła wyższa zmusiła rebeliantów do zaprzestania na jakiś czas zabijania biednych, nieszczęsnych, tęskniących za domem siedemnastoletnich sowieckich żołnierzyków.

- W tym roku straciliśmy już cztery konwoje - ciągnął Mohammed. - Przeszły tylko trzy.

- W jaki sposób Rosjanie je wytropili? - spytała Jane.

- Musieli wzmóc obserwację przełęczą z nisko lecących helikopterów - rzucił z sąsiedniej izby Jean-Pierre, który słyszał wszystko przez otwarte drzwi - a może korzystają także z fotografii satelitarnych.

Mohammed pokręcił głową.

- Nie, to Pusztuni nas zdradzili.

Jane pomyślała sobie, że to całkiem możliwe. W wioskach, przez które przechodziły konwoje, uważano czasem, że ściągają one sowieckie naloty i nie było wykluczone, że niektórzy wieśniacy kupują sobie bezpieczeństwo informując Rosjan o trasie danego konwoju - chociaż Jane nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, jak przekazują te informacje Rosjanom.

Przypomniała sobie, czego się spodziewała w ładunku przewożonym przez zaatakowany konwój. Prosiła o więcej antybiotyków, trochę igieł jednorazowego użytku i mnóstwo sterylnych opatrunków. Jean-Pierre wypisał długą listę lekarstw. Organizacja *Médicins pour la Liberté* miała swojego przedstawiciela w Peszawarze, mieście w północno-zachodniej części Pakistanu, w którym partyzanci zaopatrywali się w broń. Podstawowym asortymentem środków farmaceutycznych dysponował na miejscu, ale niektóre leki musiał czasem sprowadzać drogą lotniczą z zachodniej Europy. Cóż za strata czasu. Realizacja takiego zamówienia mogła potrwać nawet kilka miesięcy. Z punktu widzenia Jane była to strata o wiele większa niż brak amunicji.

Wrócił Jean-Pierre ze swoją torbą. Wyszli w trójkę na podwórko. Było ciemno. Jane zatrzymała się jeszcze na chwilę, żeby przypomnieć Farze o konieczności przewinięcia Chantal, po czym pobiegła za Jean-Pierre'em i Mohammedem.

Dogoniła ich przed meczetem. Nie była to imponująca budowla. Nie miała w sobie nic z przepięknych barw ani wyszukanych ornamentów, kuszących z kart popularnych przewodników po sztuce islamu. Była to konstrukcja bez ścian, której strop stanowiła podparta kamiennymi kolumnami mata, i w odczuciu Jane przypominała wiatę na przystanku autobusowym, a może werandę zrujnowanego kolonialnego dworku. Wieśniacy nie traktowali tego miejsca z przesadną czcią. Modlili się tutaj, ale wykorzystywali je również w charakterze sali zgromadzeń, hali targowej, szkolnej klasy i domu gościnnego. A dziś wieczorem urządzono tu szpital.

Przypominający werandę budynek meczetu oświetlały naftowe lampy, wiszące na hakach wbitych w kamienne kolumny. Wieśniacy zgromadzili się tłumnie na lewo od

sklepionego wejścia. Zachowywali się spokojnie. Kilka kobiet szlochało cicho i słychać było głosy dwóch mężczyzn, z których jeden zadawał pytania, a drugi na nie odpowiadał. Tłum rozstał się przepuszczając Jean-Pierre'a, Mohammeda i Jane.

Szóstka ocalała z zasadzki zbiła się w grupkę na klepisku z ubitej ziemi. Trzej mężczyźni, którzy nie odnieśli żadnych ran, siedzieli w kucki w okrągłych czapkach chitrali; byli brudni, przygnębieni i wyczerpani Jane rozpoznała wśród nich Matullaha Khana, stanowiącego młodszą wersję jego brata Mohammeda oraz Alishana Karima, chudsze od swego brata mułły, ale o równie odpychającej powierzchowności. Dwaj ranni, jeden z głową owiniętą brudnym, zbroczonym krwią bandażem, drugi z ramieniem na zaimprovizowanym temblaku, siedzieli na ziemi opierając się plecami o ścianę. Jane nie знаła żadnego z nich. Automatycznie oszacowała ich rany - na pierwszy rzut oka wyglądały na lekkie.

Trzeci z rannych mężczyzn, Ahmed Gul, leżał płasko na noszach sporządzonych z dwóch kijów i koca. Oczy miał zamknięte, a skórę poszarzałą. Klęczała przy nim jego żona, Zahara; trzymając głowę męża na kolanach gładziła go po włosach i płakała cicho. Jane nie musiała widzieć jego ran, aby się domyślić, że są poważne.

Jean-Pierre kazał przynieść stół, gorącą wodę i ręczniki, po czym przyklęknął przy Ahmedzie. Po kilku sekundach podniósł wzrok na pozostałych partyzantów.

- To był jakiś wybuch? - spytał w dari.

- Helikoptery strzelały rakietami - odparł jeden ze zdrowych. - Jedna rozerwała się obok niego.

Jean-Pierre zwrócił się do Jane przechodząc na francuski:

- Źle z nim. To cud, że przeżył podróż.

Jane dostrzegła plamy zakrzepłej krwi na brodzie Ahmeda; kasłał krwią - znak, że doznał obrażeń wewnętrznych.

Zahara spojrzała błagalnie na Jane.

- Co z nim? - spytała w dari.

- Przykro mi, przyjaciółko - odparła Jane tak łagodnie, jak tylko potrafiła. - Niedobrze.

Zahara pokiwała głową zrezygnowana: wiedziała to, ale potwierdzenie sprawiło, że po jej ładnej twarzy pociekły nowe strumienie łez.

- Obejrzyj tamtych - zwrócił się Jean-Pierre do Jane. - Tutaj ważna jest każda minuta.

Jane zbadała dwóch pozostałych rannych.

- Rana głowy to właściwie zadrapanie - stwierdziła po chwili.

- Zajmij się tym - polecił jej Jean-Pierre. Nadzorował przenoszenie Ahmeda na stół.

Jane spojrzała na mężczyznę z ręką na temblaku. Był ciężiej kontuzjowany: wyglądało na to, że pocisk strzaskał mu kość.

- Musi cię boleć - powiedziała w dari do partyzanta. Uśmiechnął się tylko i skinął głową. Ci ludzie byli z hartowanej stali. - Kula uszkodziła kość - zgłosiła Jean-Pierre'owi.

- Zaaplikuj mu znieczulenie miejscowe - powiedział Jean-Pierre nie odrywając wzroku od Ahmeda - oczyść ranę, wyjmij odpryski kości i daj mu czysty temblak. Kość złożymy później.

Zajęła się przygotowaniem zastrzyku. Kiedy Jean-Pierre będzie potrzebował jej pomocy, zawoła. Zanosilo się na długą noc.

\*\*\*

Ahmed umarł kilka minut po północy i Jean-Pierre o mało się nie rozplakał - nie z żalu, bo ledwie znał Ahmeda, lecz ze zwykłej bezsilności, gdyż zdawał sobie sprawę, że potrafiłby ocalić temu człowiekowi życie, gdyby tylko miał do pomocy anestezjologa oraz dysponował elektrycznością i salą operacyjną.

Przykrył twarz zmarłego i spojrzał na jego żonę, która od kilku godzin stała nieruchomo, śledząc jego wysiłki.

- Przykro mi - odezwał się do niej. Skinęła głową. Rad był, że kobieta panuje nad sobą. Czasami zarzucali mu, że nie próbował wszystkiego. Sądził chyba, że skoro wie tak dużo, to nie ma takiego czegoś, czego nie potrafiłby wyleczyć, a on miał wtedy ochotę wykrzyknąć im w twarz: „Nie jestem Bogiem”. Ale ta kobieta zdawała się rozumieć.

Odwrócił się od zwłok. Padał z nóg ze zmęczenia. Cały dzień zajmował się pokiereszowanymi ciałami, ale ten pacjent był pierwszy, który mu skonał. Obserwujący go do tej pory ludzie, w większości krewni zmarłego, podeszli teraz do stołu, żeby zająć się ciałem. Wdowa zaczęła zawodzić i Jane wyprowadziła ją przed meczet.

Jean-Pierre poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciwszy głowę ujrzał Mohammeda, partyzanta zajmującego się organizowaniem konwojów. Przeszyło go poczucie winy.

- Taka była wola Allaha - powiedział Mohammed. Jean-Pierre pokiwał głową. Mohammed wyjął z kieszeni paczkę pakistańskich papierosów, wyciągnął jednego i zapalił. Jean-Pierre zaczął zbierać swoje narzędzia i pakować je do torby.

- Co teraz zamierzacie? - spytał nie patrząc na Mohammeda.

- Wysyłamy natychmiast następny konwój - odparł Mohammed. - Potrzebna nam na gwałt amunicja.

Pomimo zmęczenia Jean-Pierre ożywił się nagle.

- Chcesz popatrzeć na mapy?

- Tak.

Jean-Pierre zamknął torbę i obaj mężczyźni oddalili się spod meczetu. Gwiazdy oświetlały im drogę przez wieś do chaty sklepikarza. W izbie gościnnej na kobiercu obok kołyski Chantal spała Fara. Obudziła się natychmiast i zerwała na nogi.

- Możesz już iść do domu - powiedział Jean-Pierre. Wyszła bez słowa.

Jean-Pierre postawił na podłodze torbę, dźwignął ostrożnie kołyskę i wyniósł ją do sypialni. Kiedy stawiał kołyskę na ziemi, Chantal obudziła się i zaczęła płakać.

- No, o co ci chodzi? - zamruczał do niej Jean-Pierre. Zerknął na zegarek i uświadomił sobie, że pewnie jest głodna. - Mamusia zaraz przyjdzie - powiedział uspokajająco. Nie odniosło to żadnego skutku. Wyjąwszy małą z kołyski zaczął ją kołysać na rękach. Przestała płakać. Wrócił z nią do izby gościnnej.

Mohammed czekał na niego stojąc.

- Wiesz, gdzie są - powiedział Jean-Pierre.

Mohammed skinął głową i otworzył malowaną drewnianą skrzynię. Wyjął stamtąd gruby plik składanych map, wybrał z nich kilka i rozpostarł na podłodze. Jean-Pierre, kołysząc wciąż Chantal, zjrzał Mohammedowi przez ramię.

- Gdzie wpadliście w zasadzkę? - spytał.

Mohammed pokazał palcem miejsce w pobliżu miasta Dżalalabad.

Szlaki, którymi podążały konwoje Mohammeda, nie były zaznaczone ani na tych, ani na żadnych innych mapach. Na mapach Jean-Pierre'a naniesiono jednak doliny, płaskowyże i sezonowe strumienie, którymi mogły przebiegać te szlaki. Czasami Mohammed sam wiedział, jak tam jest, a czasami domyślał się tylko i wtedy omawiał z Jean-Pierre'em dokładne znaczenie linii konturowych lub mniej zrozumiałych typów ukształtowania terenu, takich, jak na przykład, moreny.

- Moglibyście odbić bardziej na północ obchodząc Dżalalabad - zasugerował Jean-Pierre. Ponad równiną, na której wznosiło się miasto, znajdował się labirynt dolin przypominający pajęczynę rozpiętą pomiędzy rzekami Konar i Nuristan.

Mohammed zapalił następnego papierosa - jak większość partyzantów był namiętym palaczem - i wydmuchując dym pokręcił z powątpiewaniem głową.

- W tym rejonie bywało zbyt wiele zasadzek - stwierdził. - Jeśli jeszcze nas nie zdradzili, to wkrótce to zrobią. Nie - następnym konwój obejdzie Dżalalabad od południa.

Jean-Pierre zmarszczył czoło.

- Nie pojmuję, jak to możliwe. Kierując się na południe, przez całą drogę do przełęczy Khyber będziecie się musieli posuwać otwartym terenem. Wykryją was.

- Nie pójdziemy na przełęcz Khyber - powiedział Mohammed. Przytknął palec do mapy i przesunął nim w kierunku południowym, wzdłuż granicy afgańsko-pakistańskiej. - Przekroczymy granicę pod Teremengal. - Jego palec dotarł do miasta, którego nazwę przed chwilą wymienił, a stamtąd powędrował ku Dolinie Pięciu Lwów wyznaczając trasę nowego konwoju.

Jean-Pierre pokiwał głową, maskując starannie radosne podniecenie.

- Teraz to co innego. Kiedy konwój wyrusza w drogę?

- Pojutrze. - Mohammed zaczął składać mapy. - Nie ma czasu do stracenia. - Włożył mapy z powrotem do malowanej skrzyni i podszedł do drzwi.

Wychodząc natknął się na wracającą z meczetu Jane. Pożegnał ją roztargnionym „dobranoc”. Jean-Pierre był rad, że ten przystojny partyzant od czasu ciąży Jane przestał się już nią interesować. Zdaniem Jean-Pierre’a Jane była stanowczo za seksowna i nie miała nic przeciwko temu, żeby dać się uwieść; a nawiązując romans z Afgańczykiem uwikłałaby się w nie mające końca tarapaty.

Torba lekarska Jean-Pierre’a stała na podłodze, tam gdzie ją zostawił, i Jane schyliła się, żeby ją podnieść. Na moment serce mu zamarło. Pośpiesznie odebrał od niej torbę. Obrzuciła go lekko zdziwionym spojrzeniem.

- Ja ją wyniosę - powiedział. - Ty zajmij się Chantal. Trzeba ją nakarmić. - Oddał Jane dziecko.

Usiadła, żeby dać Chantal piersi, a Jean-Pierre, zabierając ze sobą lampę, wyszedł z torbą do izby frontowej. Na klepisku stały tam stosy kartonów z zapasami leków i sprzętu medycznego. Otwarte już pudła zostały rozmieszczone na prowizorycznych drewnianych półkach zmajstrowanych przez sklepikarza. Jean-Pierre postawił torbę na wyłożonej niebieskimi kafelkami ladzie i wyjął z niej czarny plastikowy przedmiot, wielkością i kształtem przypominający trochę przenośny aparat telefoniczny. Wsunął go do kieszeni spodni.

Następnie rozpakował torbę, instrumenty przeznaczone do sterylizacji odkładając na bok, a te, z których nie korzystał, z powrotem na półki.

Uporawszy się z tym wrócił do izby gościnniej.

- Idę się wykapać nad rzekę - powiedział do Jane. - Nie położę się taki brudny do łóżka.

Posłała mu rozmarzony, pełen zadowolenia uśmiech, który często gościł na jej ustach podczas karmienia.

- Pośpiesz się - powiedziała.

Wyszedł.

Wioska układała się wreszcie do snu. W kilku chatach paliły się jeszcze lampy, a z jednego z okien doleciał go gorzki kobiecy szloch, ale większość domostw była już cicha i ciemna. Mijając ostatnią chatę wioski usłyszał kobiecy głos, wznoszący się zawodzącą nutą ponurej żałobnej pieśni i przez chwilę poczuł przygniatający ciężar śmierci, za które był odpowiedzialny; zaraz jednak odpędził od siebie to uczucie.

Szedł kamienistą ścieżką pomiędzy dwoma pustymi polami, rozglądając się bez przerwy dokoła i nasłuchując czujnie; dla mężczyzn z wioski była to pora pracy. Słyszał syk kos dochodzący z jednego z poletek, a na wąskim tarasie ujrzał dwóch wieśniaków pielących chwasty w świetle naftowej lampy. Nie zagadał do nich.

Dotarł nad rzekę, przeszedł ją w bród i zaczął się wspinać krętą ścieżynką na przeciwległe zbocze. Wiedział, że nic mu tu nie grozi, ale podchodząc w zupełnych niemal ciemnościach stromą ścieżką pod górę, czuł jednak wzrastające napięcie.

Po dziesięciu minutach osiągnął wysoko położony punkt terenu, którego szukał. Wyjął radio z kieszeni spodni i wysunął teleskopową antenę, w którą było wyposażone. Był to najnowocześniejszy i najbardziej wyrafinowany miniaturowy nadajnik, jakim dysponowało KGB, ale ukształtowanie terenu było tutaj tak niekorzystne dla transmisji na falach radiowych, że na szczycie wzgórza wznoszącego się tuż na granicy kontrolowanego przez siebie terytorium Rosjanie musieli zbudować specjalną stację przekaźnikową, której zadaniem był odbiór nadawanych przez niego meldunków i przekazywanie ich dalej. Wcisnął przycisk nadawania.

- Tu Simpleks. Zgłoś się, proszę - powiedział szyfrem po angielsku.

Odczekał chwilę i ponowił wywołanie.

Po trzeciej próbie odebrał zakłóconą trzaskami, silnie akcentowaną odpowiedź.

- *Tu Lokaj. Słucham, Simpleks.*

- Twoje przyjęcie było wielkim sukcesem.

- *Powtarzam: przyjęcie było wielkim sukcesem* - nadeszła odpowiedź.

- Obecnych było dwadzieścia siedem osób, a jeszcze jedna doszła później.

- *Powtarzam: obecnych było dwadzieścia siedem osób, a jedna doszła później.*

- W ramach przygotowań do następnego przyjęcia potrzebuję trzech wielbłądów. - Był to szyfr, który oznaczał: „Proszę o spotkanie za trzy dni”.



- *Powtarzam: potrzebne ci trzy wielbłądy.*

- Spotkamy się przy meczecie. - To również był szyfr: „meczec” oznaczał oddalone o kilka mil stąd miejsce, gdzie zbiegały się trzy doliny.

- *Powtarzam: w meczecie.*

- Dziś jest niedziela. - To już nie był kod - był to środek ostrożności na wypadek, gdyby tępak spisujący treść meldunku nie zwrócił uwagi, że już po północy, w konsekwencji czego łącznik Jean-Pierre'a przybyłby na miejsce spotkania o dzień wcześniej.

- *Powtarzam: dziś jest niedziela.*

- Koniec, bez odbioru.

Jean-Pierre złożył antenę i wsunął radio z powrotem do kieszeni spodni.

Szybko zrzucił z siebie ubranie. Z kieszonki koszuli wyjął szczoteczkę do paznokci i mały kawałek mydła. Mydło należało do artykułów deficytowych, ale jako lekarz miał pierwszeństwo w jego przydziale.

Wszedł ostrożnie do Rzeki Pięciu Lwów, ukląkł i ochlapał się całą lodowatą wodą. Namydlił skórę i zaczął się szorować: nogi, brzuch, klatkę piersiową, twarz, ramiona i dłonie. Szczególną uwagę poświęcił dłoniom mydląc je zapamiętane. Klęczał nagi i dygoczący na płyciźnie pod sklepieniem z gwiazd, trąc i trąc, jakby miał nigdy nie przestać.

## ROZDZIAŁ 7

- Dzieciak ma różyczkę, nieżyt żołądka i jelit, a do tego grzybicę - zawyrokował Jean-Pierre. - Poza tym jest brudny i niedożywiony.

- Jak one wszystkie - powiedziała Jane.

Rozmawiali po francusku, jak zawsze między sobą, i matka dziecka przenosiła wzrok to na Jean-Pierre'a, to na Jane, niepewna, co mówią. Jean-Pierre zauważył jej niepokój i zwrócił się do niej w dari:

- Twój syn wyzdrowieje.

Przeszedł w drugi koniec pieczary i otworzył skrzynkę z lekarstwami. Wszystkie dzieci przyprawdane do lazaretu były automatycznie poddawane szczepieniu przeciw gruźlicy. Przygotowując zastrzyk BCG kątem oka obserwował Jane. Podawała chłopcu małymi łydkami napój nawadniający - rozpuszczoną w czystej wodzie mieszaninę glukozy, soli, sody oczyszczonej i chlorku potasu - i pomiędzy poszczególnymi łykami obmywała mu delikatnie brudną buzię. Ruchy miała szybkie i pełne gracji jak garncarz nadający kształt bryłę gliny albo murarz machający kielnią. Obserwował, jak jej wysmukłe dłonie dotykają przestraszonego dziecka z lekkością i dodającą otuchy troskliwością. Podobały mu się jej ręce.

Wyciągając igłę odwrócił się, żeby chłopiec jej nie widział, potem ukrył ją w rękawie i odwróciwszy się znowu czekał, aż Jane skończy. Przyglądał się jej twarzy, gdy przemywała skórę na prawym ramieniu chłopca i dezynfekowała alkoholem miejsce wkłucia. Była to twarz figlarna - duże oczy, zadarty nos i szerokie usta, na których przeważnie gościł uśmiech. Teraz malowała się na niej powaga, a szczęka poruszała się na boki, jak przy zgrzytaniu zębami - oznaka koncentracji. Jean-Pierre znał każdy wyraz twarzy Jane, nie znał jednak zupełnie jej myśli.

Próbował często - niemal bez przerwy - odgadnąć, o czym myśli, ale bał się spytać, bo takie rozmowy mogły bardzo łatwo zboczyć na terytorium zakazane. Z obawy, że jakieś nieostrożne słowo czy nawet wyraz twarzy mogą go zdradzić, musiał mieć się ciągle na baczności jak niewierny mąż. Jakiegokolwiek rozmowy o prawdzie i nieuczciwości, o zaufaniu i zdradzie lub o wolności i tyranii stanowiły tabu, podobnie jak wszelkie tematy, które mogłyby do nich doprowadzić - takie jak miłość, wojna i polityka. Był czujny nawet wtedy, gdy gawędzili o sprawach całkiem niewinnych. W konsekwencji w ich małżeństwie i j występował specyficzny brak duchowej więzi. Odbijało się to także i na współżyciu

fizycznym. Nie potrafił osiągnąć orgazmu, jeśli nie zamknął oczu i nie zaczął sobie wyobrażać, że jest gdzie indziej. Z ulgą przyjął kilkutygodniową abstynencję seksualną po przyjściu na świat Chantal.

- Pacjent gotowy - powiedziała Jane i wyrwany z zadumy spostrzegł, że uśmiecha się do niego.

- Ile masz lat? - zapytał ujmując rękę dziecka.

- Siedem.

Wbił igłę, nim chłopiec skończył mówić. Dzieciak rozwrzeszczał się natychmiast. Ten krzyk przypomniał Jean-Pierre'owi, jak mając siedem lat przewrócił się na rowerze i zaczął tak samo wyć, wywrzaskując ostrymi nutami swój protest przeciwko niespodziewanemu bólowi. Wpatrywał się w wykrzywioną twarzyczkę siedmioletniego pacjenta wspominając, jak to bolało i jaki był wtedy zły, i w jego głowie zrodziło się pytanie: jaką drogę przebyłem, aby *stamtąd* znaleźć się *tutaj*.

Puścił dziecko i podszedł do matki. Odliczył trzydzieści 250-miligramowych kapsułek griseofulvitu i wręczył je kobiecie.

- Dawaj mu po jednej dziennie, dopóki się nie skończą - powiedział w dari. - Nie odstępuj ich nikomu, musi zjeść wszystkie. - To na grzybicę. Teraz różyczka i niezbyt jelit. - Trzymaj go w łóżku, dopóki nie zanikną krosty, i dopilnuj, żeby dużo pił.

Kobieta pokiwała głową.

- Ma rodzeństwo? - spytał jeszcze Jean-Pierre.

- Pięciu braci i dwie siostry - odparła z dumą kobieta.

- Powinien spać osobno, bo inaczej i oni zachorują. - Kobieta spojrzała na niego z powątpiewaniem - prawdopodobnie miała tylko jedno łóżko dla wszystkich dzieci. Na to Jean-Pierre nie mógł już nic poradzić. - Jeśli tabletki się skończą, a syn nie poczuje się lepiej - ciągnął - przyprowadź go znowu do mnie. - Ani Jean-Pierre, ani matka nie byli w stanie dostarczyć dziecku tego, czego naprawdę potrzebowało - dużo dobrego, pożywnego jedzenia.

Wychudzone, schorowane dziecko i wątła, sterana życiem matka opuścili pieczarę. Przybyli tu pieszo, prawdopodobnie z odległości kilku mil, i ona przez większość drogi niosła chłopca na rękach. Teraz czeka ich taka sama droga powrotna. Chłopiec i tak może umrzeć, ale już nie na gruźlicę.

Czekał jeszcze jeden pacjent: *malang*. Był świętym mężem Bandy, człowiekiem na wpół obłąkanym i często bardziej niż półnagim. Przewędrował Dolinę Pięciu Lwów z Comar, miejscowości leżącej dwadzieścia pięć mil w górę rzeki od Bandy, do Charikar leżącego sześćdziesiąt mil na południowy wschód stąd, na kontrolowanej przez Rosjan równinie.

Mówił bełkotliwie i miewał wizje. Afgańczycy wierzyli, że *malangowie* przynoszą szczęście, i nie tylko tolerowali ich zachowanie, ale też karmili ich, poili i odziewali.

Wszedł do pieczary w porwanej przepasce na biodrach i sowieckiej oficerskiej czapce na głowie. Przycisnąwszy ręce do brzucha wykrzywił twarz w grymasie bólu. Jean-Pierre wytrząsnął z buteleczki garść tabletek diamorfiny i wręczył mu je. Szaleniec wybiegł z lazaretu zaciskając kurczowo dłonie na zdobyczym zapasie syntetycznej heroiny.

- Pewnie już się uzależnił od tego świństwa - zauważyła Jane. W jej głosie przebijała wyraźna nuta dezaprobaty.

- Owszem - przyznał Jean-Pierre.

- Czemu mu to dajesz?

- Ten człowiek cierpi na chorobę wrzodową. Jak inaczej mam mu pomóc - operować?

- Jesteś lekarzem.

Jean-Pierre zabrał się do pakowania swojej torby. Od rana miał przyjmować w lazarecie w Cobak, miejscowości odległej o sześć albo i siedem mil marszu przez góry - a po drodze musiał się jeszcze z kimś spotkać.

Placz siedmiolatka ściągnął do pieczary aurę przeszłości, coś w rodzaju zapachu starych zabawek albo dziwnego światła, które zmusza do przecierania oczu. Jean-Pierre'a nastroiło to do wspomnień. Przed oczami stawali mu znajomi z dzieciństwa, ich twarze nakładały się na otaczające go sprzęty niczym sceny z filmu wyświetlanego ze źle ustawionego projektora nie na ekranie, lecz na plecach widowni. Ujrzał swoją pierwszą nauczycielkę, Mademoiselle Médecin w okularach w drucianej oprawie; Jacques'a Lafontaine'a, który rozkwasił mu nos za to, że nazywał go kujonem; matkę, chudą, źle ubraną i wciąż zamyśloną kobiecinę; postać ojca, wielkiego, muskularnego, gniewnego mężczyzny po drugiej stronie rozdzielającej ich kraty.

Z wysiłkiem udało mu się skupić uwagę na sprzęcie i lekarstwach, jakie mogą mu się przydać w Cobak. Napełnił butelkę oczyszczoną wodą do picia na drogę. Jeść dadzą mu tamtejsi wieśniacy.

Wyniósł pakunki przed jaskinię i załadował je na upartą starą kobyłę, która towarzyszyła mu w takich wyprawach. Zwierzę mogło iść potulnie cały boży dzień po linii prostej, zapierało się jednak na zakrętach; Jane nazwała ją z tego powodu Maggie, po brytyjskiej premier Margaret Thatcher.

Jean-Pierre był gotów. Wszedł z powrotem do pieczary i pocałował miękkie usta Jane. Gdy się odwracał, żeby wyjść, weszła Fara z Chantal. Dziecko płakało. Jane rozpięła

natychmiast koszulę i przystawiła małą do piersi. Jean-Pierre dotknął różowego policzka córki.

- *Bon appétit* - powiedział i wyszedł.

Sprowadził Maggie z boczem do wyludnionej wioski i ruszył brzegiem rzeki, kierując się na południowy zachód. Szedł szybko i niestrudzenie w gorących promieniach słońca - przywykł już do tego.

Zostawiwszy za sobą swoje lekarskie wcielenie i będąc już myślami przy umówionym spotkaniu, zaczął odczuwać niepokój. Czy Anatolij się zjawi? Może się spóźnić. Mogli go nawet schwytać. Czy zaczął sypać, jeśli go schwytali? Czy zdradził na torturach? Czy na Jean-Pierre'a czekać będzie grupa bezlitosnych, sadystycznych i pałających żądzą zemsty partyzantów?

Mimo swojego zamiłowania do poezji i swojej pobożności Afgańczycy pozostawali wciąż barbarzyńcami. Ich narodowym sportem było *buzkashi*, niebezpieczne i krwawe zawody: pośrodku pola gry umieszczano bezgłowe ciało cielęcia, a dwie współzawodniczące drużyny konnych stawały szeregiem naprzeciwko siebie; potem, na strzał z karabinu, ruszali z kopyta, aby je zdobyć. Zwycięzał ten, kto nie zsiadając z konia porwał je z ziemi, dowiózł do odległego mniej więcej o milę, wyznaczonego wcześniej punktu zwrotnego i wrócił do kręgu, nie dając sobie wyrwać cielaka z ręki pozostałym zawodnikom. Gdy przerażający przedmiot współzawodnictwa uległ rozdarciu na części, do czego często dochodziło, o tym, która z drużyn wyszarpała więcej szczątków, decydował sędzia. Zeszłej zimy Jean-Pierre'owi zdarzyło się obserwować te zawody pod miasteczkiem Rokha w Dolinie i dopiero po kilku minutach zorientował się, że uczestnicy *buzkashi* nie walczą o martwego cielaka, lecz o człowieka, i to żywego. Do głębi wzburzony usiłował przerwać makabryczną zabawę, ale ktoś szepnął mu do ucha, że tym człowiekiem jest sowiecki oficer, jakby to miało wszystko wyjaśniać. Zresztą zawodnicy po prostu ignorowali protesty Jean-Pierre'a i nie było mowy, żeby uzyskał posłuch u pięćdziesięciu rozemocjonowanych jeźdźców, pochłoniętych bez reszty okrutną grą. Nie został do końca, by obserwować agonię nieszczęśnika, choć może powinien. Obrazem, który wrył mu się w pamięć i powracał za każdym razem, kiedy ogarniał go strach przed zdemaskowaniem, był widok tego bezsilnego i zakrwawionego Rosjanina, rozrywanego żywcem na kawałki.

Wspomnienia z przeszłości nie opuszczały go. Gdy spoglądał na omszałe ściany skalnego wąwozu, przez który maszerował, widział na nich sceny z dzieciństwa przemieszane z koszmarami, w których wpadał w ręce partyzantów. Z najwcześniejszymi wspomnieniami powracała do niego rozprawa sądowa oraz przytłaczające poczucie wściekłości i

niesprawiedliwości, jakie ogarnęło go, kiedy tatę skazano na karę więzienia. Ledwie umiał czytać, ale potrafił rozpoznać nazwisko ojca w nagłówkach gazet. W tym wieku - musiał mieć wtedy cztery lata - nie wiedział jeszcze, co to znaczy być bohaterem ruchu oporu Resistance. Wiedział, że ojciec podobnie jak jego przyjaciele - ksiądz, szewc i człowiek z wiejskiego urzędu pocztowego - jest komunistą; ale sądził, że nazywają go Czerwonym Rolandem z racji czerstwej cery. Kiedy ojca oskarżono o zdradę i skazano na pięć lat więzienia. Jean-Pierre'owi powiedziano, że to za Wuję Abdula, załęcznionego, brązowoskórego mężczyznę, który przez kilka tygodni mieszkał w ich domu i był z FLN. Ale Jean-Pierre nie miał pojęcia, co to takiego FLN, a jedyna rzecz, którą dobrze rozumiał i w którą zawsze wierzył, było przekonanie, że policja jest okrutna, sędziowie nieuczciwi, a ludzie ogłupieni przez gazety.

W miarę upływu lat zaczynał coraz więcej rozumieć, coraz bardziej cierpieć i rosła jego wściekłość. Kiedy poszedł do szkoły, koledzy mówili, że jego ojciec jest zdrajcą. Tłumaczył im, że wprost przeciwnie, jego ojciec walczył odważnie i ryzykował życiem na wojnie, ale mu nie wierzyli. Razem z matką przenieśli się na jakiś czas do innej wsi, ale nowi sąsiedzi nie wiadomo skąd dowiedzieli się, kim są, i zakazali swoim dzieciom bawić się z Jean-Pierre'em. Ale najgorsze były wizyty w więzieniu. Ojciec zmieniał się w oczach, chudł, bladł i za każdym razem wyglądał gorzej; a jeszcze gorzej było widzieć go skazanego, ubranego w szary uniform, zastraszonego i przerażonego, zwracającego się per pan do wyniosłych zbirów z pałkami. Po paru takich wizytach smród więzienia zaczął przyprawiać Jean-Pierre'a o mdłości i gdy tylko przestąpił jego próg, chciało mu się wymiotować; matka przestała go ze sobą zabierać. Dopiero kiedy tata wyszedł z więzienia i mogli swobodnie porozmawiać, Jean-Pierre zrozumiał wszystko i uświadomił sobie, że niesprawiedliwość tego, co się wydarzyło, była jeszcze większa, niż myślał. Po wkroczeniu Niemców do Francji komuniści, zorganizowani już w komórki, odgrywali w Resistance przewodnią rolę. Po zakończeniu wojny ojciec nadal prowadził walkę przeciwko prawicowej tyranii. Algieria była wtedy francuską kolonią. Jej uciskana i wyzyskiwana ludność bohatersko walczyła o wolność. Młodych Francuzów wcielano do armii i zmuszano do udziału w okrutnej wojnie przeciwko Algierczykom. Nieludzkie czyny, jakich dopuszczały się wojska francuskie, wielu ludziom przypominały zbrodnie nazistów. FLN było skrótem od *Front de Libération Nationale*, Frontu Wyzwolenia Narodowego utworzonego przez algierski lud.

Ojciec Jean-Pierre'a był jedną ze 121 znanych osobistości, które podpisały petycję żądającą wolności dla Algierczyków. Francja znajdowała się w stanie wojny i petycję obwołano dokumentem wywrotowym, ponieważ można ją było interpretować jako odezwę zachęcającą francuskich żołnierzy do dezercji. Ale tata uczynił coś jeszcze gorszego: z

walizką pełną pieniędzy zebranych przez Francuzów dla FLN przedostał się przez granicę do Szwajcarii, gdzie zdeponował całą sumę w banku. Udzielił też schronienia Wujowi Abdulowi, który wcale nie był wujkiem, tylko poszukiwanym przez tajną policję DST Algierczykiem.

Ojciec wyjaśnił Jean-Pierre'owi, że podobną działalność prowadził w czasie wojny przeciwko nazistom i że nadal toczy tę samą walkę. Wrogiem nigdy nie byli dla niego Niemcy, tak jak teraz nie byli nimi Francuzi: wrogiem byli kapitaliści, posiadacze, bogaci i uprzywilejowani, klasa rządząca, która zdolna była do zastosowania wszelkich środków, nawet najbardziej bezprawnych, do obrony swojej pozycji. Byli tak potężni, że kontrolowali pół świata - ale mimo to istniała nadzieja dla biednych, słabych i uciskanych, bo w Moskwie rządy sprawował lud, i klasa pracująca całej reszty świata szukała w Związku Radzieckim oparcia, rady i inspiracji w walce o wolność.

Obraz ten stracił wiele ze swego blasku, gdy Jean-Pierre dorósł i przekonał się, że Związek Radziecki nie jest wcale robotniczym rajem; ale nie dowiedział się niczego takiego, co zmieniłoby jego podstawowe przekonanie, że kierowany z Moskwy ruch komunistyczny jest jedyną nadzieją ciemionych ludzi świata i jedyną drogą prowadzącą do zniszczenia sędziów, policji i gazet, które tak brutalnie zdradziły tatę.

Ojcu udało się przekazać synowi pałeczkę. I, jakby w poczuciu spełnionego obowiązku, wycofał się z aktywnego życia. Nigdy nie odzyskał swej czerwonej twarzy. Nie chodził już na demonstracje, nie organizował zabaw, z których dochód zasiliał fundusze na rozmaite cele, ani nie pisał listów do lokalnych gazet. Zajmował się teraz mało ważną robotą papierkową. Oczywiście należał do partii i do związków zawodowych, ale nie udzielał się w żadnych komitetach, nie protokołował przebiegu obrad, nie układał porządków dziennych. Nadal grywał w szachy i popijał anyżówkę z księdzem, szewcem oraz z człowiekiem prowadzącym wiejski urząd pocztowy, ale ich polityczne dyskusje, w które wkładali kiedyś tyle pasji, były teraz jakieś przygaszone, jakby na zawsze zaniechali rewolucji, na której rzecz tak ciężko pracowali. Po kilku latach tata zmarł. Dopiero wtedy Jean-Pierre dowiedział się, że w więzieniu nabawił się gruźlicy - i nigdy już nie wyzdrowiał. Odebrano mu wolność, złamano jego ducha i zrujnowano mu zdrowie. Ale najgorsze, co mu zrobiono, to napiętnowanie mianem zdrajcy. Był bohaterem, który ryzykował życie za swych rodaków, a zmarł oskarżony o zdradę.

Żałowałiby teraz tego, tato, gdyby wiedzieli, jaki odwet za ciebie biorę, pomyślał Jean-Pierre prowadząc kościstą kobyłę przez afgańskie góry. Dzięki informacjom, jakich dostarczam rosyjskiemu wywiadowi, komuniści są tutaj w stanie odcinać Masudowi drogi

zaopatrzenia. Zeszłej zimy nie zdołał zgromadzić dostatecznych zapasów broni i amunicji. Tego lata, zamiast przypuszczać ataki na bazę lotniczą, elektrownie i konwoje ciężarówek dostawczych, walczy o przetrwanie, broniąc się przed wypadami wojsk rządowych na kontrolowane przez siebie terytorium. Jedną ręką, tato, niemal sparaliżowałem poczynania tego barbarzyńcy, który chce cofnąć swój kraj do mrocznych wieków okrucieństwa, zacofania i islamskiej ciemnoty.

Odcięcie Masudowi dróg zaopatrzenia na pewno nie wystarczało. Ten człowiek był już postacią o wymiarze narodowym. Co więcej, dysponował takim umysłem i siłą charakteru, że z przywódcy rebeliantów mógł awansować na legalnego prezydenta. Był Titem, de Gaulle'em, Mugabem. Trzeba go nie tylko zneutralizować, ale zniszczyć - wydać w ręce Rosjan żywego czy martwego.

Problem w tym, że Masud przemieszczał się po swym terytorium szybko i bezszelestnie niczym jeleń w lesie, wyłaniając się niespodziewanie z zarośli, a potem równie nagle - znikając. Ale Jean-Pierre, tak jak Rosjanie, był cierpliwy; wcześniej czy później nadejdzie taka chwila, kiedy dowie się, gdzie dokładnie będzie przebywał Masud przez następne dwadzieścia cztery godziny - może kiedy zostanie ranny albo zaplanuje sobie uczestnictwo w którymś pogrzebie - a wtedy nada za pomocą swojego radia specjalny kod i jastrząb zaatakuje.

Żałował, że nie może powiedzieć Jane, czym się tu naprawdę zajmuje. Może nawet potrafiłby ją przekonać, że działa w słusznej sprawie. Przekonałby ją, że udzielanie pomocy medycznej rebeliantom jest bezcelowe, gdyż służy tylko utrwalaniu nędzy i ciemnoty, w jakiej żyją ci ludzie, i odwlekaniu chwili, kiedy Związek Radziecki pochwyci ten kraj za kołnierz i wciągnie wierzgający i kwiczący w dwudziesty wiek. Całkiem możliwe, że zrozumiałaby to. Przeczuwał jednak instynktownie, iż nie przebaczyłaby mu tego, że ją oszukiwał. Właściwie to wiedział, że wpadłaby we wściekłość. Już ją sobie wyobrażał - zawziętą, nieprzejednaną, wyniosłą. Porzuciłaby go natychmiast, tak jak porzuciła Ellisa Thalera. Niewątpliwie do furii doprowadziłby ją fakt, że została w ten sam sposób oszukana przez dwóch kolejnych partnerów.

I tak, bojąc się panicznie, że ją utraci, brnął dalej w kłamstwa jak sparaliżowany strachem człowiek w przepaść.

Oczywiście domyślała się, że coś jest nie w porządku; widział to po sposobie, w jaki czasem na niego spoglądała. Ale był pewien, że w jej odczuciu problem tkwi w ich wzajemnych stosunkach - nie przychodziło jej nawet do głowy, iż całe jego życie jest jednym wielkim pozorem.



Całkowite zabezpieczenie się nie było możliwe, przedsięwziął jednak wszelkie środki ostrożności, aby ani ona, ani nikt inny nie mógł go zdemaskować. Posługując się radiem mówił szyfrem nie dlatego, że transmisję mogli przechwycić rebelianci - nie mieli przecież sprzętu radiowego - ale dlatego, iż mogła to uczynić afgańska armia rządowa, a ta była tak naszpikowana zdrajcami, że nie miała przed Masudem żadnych sekretów. Radio Jean-Pierre'a było wystarczająco małe, by mógł je chować w podwójnym dniu torby lekarskiej lub, gdy nie brał ze sobą torby, w kieszeni bufiastych afgańskich szarawarów. Jednak ze względu na małą moc nadawało się tylko do prowadzenia krótkich rozmów z najbliższą placówką Rosjan, czyli z odległą o pięćdziesiąt mil bazą lotnictwa wojskowego pod Bagram. Transmisja obejmująca podyktowanie wyczerpujących szczegółów na temat tras konwojów oraz ich terminów trwałaby bardzo długo, zwłaszcza że prowadzona była szyfrem. Musiałby też mieć do jej przeprowadzenia znacznie silniejsze radio oraz zasilacz bateryjny. Jean-Pierre i Monsieur Leblond zrezygnowali z tej możliwości. W konsekwencji Jean-Pierre, chcąc przekazać szczegółowe informacje, musiał się spotykać ze swoim łącznikiem.

Wspiął się na wzniesienie i spojrzał w dół. Znajdował się u wylotu małej doliny. Szlak, którym podążał, wiódł w dół, w inną dolinę usytuowaną od tej pod kątem prostym i przepołowioną wzburzonym górskim strumieniem, połyskującym w promieniach wieczornego słońca. Jeszcze jedna dolina, zaczynająca się po drugiej stronie strumienia, wrzynała się w góry w kierunku na Cobak, docelowy punkt jego podróży. W miejscu, gdzie po tej stronie strumienia spotykały się trzy doliny, stała mała chata z kamienia. Okolica roiała się od takich prymitywnych budowli. Zdaniem Jean-Pierre'a wznosili je nomadzi i wędrowni kupcy, by chronić się w nich później na noc.

Ruszył z boczem w dół, prowadząc za sobą Maggie. Anatolij już tam prawdopodobnie był. Jean-Pierre nie znał jego prawdziwego nazwiska ani stopnia wojskowego, ale przypuszczał, że reprezentuje KGB, a z tego, jak swojego czasu wyraził się o generałach, wnosił, iż jest pułkownikiem. Bez względu jednak na stopień nie był to człowiek z za biurka. Stąd do Bagram było pięćdziesiąt mil drogi górzystą krainą, a Anatolij pokonywał ją samotnie pieszo w ciągu półtora dnia. Był to Rosjanin orientального pochodzenia. Ze swymi wysokimi kośćmi policzkowymi i żółtą skórą mógł w afgańskim odcieniu uchodzić za Uzbeka, członka mongoloidalnej grupy etnicznej, zamieszkującej północny Afganistan. Wyjaśniało to również niepewność, z jaką posługiwał się narzeczem dari - Uzbekowie mieli własny język. Anatolij był odważny. Ponieważ nie znał uzbeckiego, istniało ryzyko zdemaskowania, a wiedział, że rebelianci organizują specjalne *buzkashi*, w których tradycyjnego cielaka zastępują pojmani sowieccy oficerowie.

Dla Jean-Pierre'a spotkania te stanowiły nieco mniejsze ryzyko. Jego częste wyprawy z pomocą lekarską do odległych wiosek traktowane były jako rzecz raczej naturalna. Gdyby jednak ktoś zauważył, że dziwnym trafem natyka się po drodze więcej niż raz czy dwa na tego samego wędrownego Uzbeka, mogłoby to już wzbudzić podejrzenia. A gdyby jakiś Afgańczyk znający francuski (a ci, którzy ukończyli szkoły, znali ten język) podsłuchał przypadkowo rozmowę lekarza z owym wędrownym Uzbekiem, Jean-Pierre mógłby się tylko modlić o szybką śmierć.

Jego sandały nie wydawały na ścieżce żadnego odgłosu, a kopyta Maggie tonęły cicho w pylistym podłożu. Zbliżając się do chaty, zagwizdał więc na wypadek, gdyby w środku przebywał nie Anatolij, tylko ktoś inny - wystrzegał się zaskakiwania Afgańczyków, którzy przeważnie nosili przy sobie broń i byli bardzo porywczy. Schylił głowę i wszedł. Ku jego zdziwieniu chłodne wnętrze chaty było puste. Usiadł opierając się plecami o kamienną ścianę, żeby poczekać. Po kilku minutach zamknął oczy. Był zmęczony, ale zbyt spięty, by zasnąć. W tym, co robił, najgorsze było właśnie uczucie strachu pomieszanego ze znużeniem, które nadochodziło go podczas długich oczekiwań. Nauczył się już w tym kraju bez zegarków ze zrozumieniem podchodzić do spóźnień, ale nigdy nie zdołał nabyć stoickiej cierpliwości Afgańczyków. Nie potrafił się powstrzymać od wyobrażania sobie rozmaitych nieszczęść, jakie mogły spotkać Anatolija. Jaką ironią losu byłoby, gdyby Anatolij nadepnął na sowiecką minę przeciwpiechotną i urwało mu stopę. Prawdę mówiąc, miny te wyrządzały więcej szkód wśród inwentarza żywego niż wśród ludzi, co jednak wcale nie świadczyło źle o ich skuteczności - utrata krowy potrafiła zabić afgańską rodzinę z taką samą nieuchronnością, jak bomba spadająca na dom, w którym są akurat wszyscy jej członkowie. Jean-Pierre nie wybuchał już śmiechem na widok krowy czy kozy, kuśtykającej na prowizorycznej drewnianej protezie.

Pogrążony w rozmyślaniach, wyczuł w pewnym momencie czyjaś obecność i otworzywszy oczy tuż przed sobą ujrzał orientalną twarz Anatolija.

- Mógłbym cię okraść - powiedział Anatolij nienaganną francuszczyzną.
- Nie spałem.

Anatolij usiadł na klepisku ze skrzyżowanymi nogami. Był to krępy, muskularny mężczyzna ubrany w workowatą, bawełnianą koszulę, takie sarnę spodnie i turban. Chusta w kratę i zarzucony na ramiona wełniany koc w kolorze gliny, zwany tutaj paltu, dopełniały jego stroju. Opuścił przysłaniającą mu twarz chustę i obnażył w uśmiechu poźółkłe od nikotyny zęby.

- Jak się masz, przyjacielu?

- Dobrze.

- A jak żona?

W tym ciągłym dopytywaniu się Anatolija o Jane było coś złowieszczonego. Rosjanie stanowczo sprzeciwiali się jego pomysłowi sprowadzania do Afganistanu Jane, twierdząc, że będzie mu przeszkadzała w pracy. Jean-Pierre tłumaczył im, że i tak musi zabrać ze sobą pielęgniarkę - organizacja *Médicins pour la Liberté* zawsze wysyłała swoich przedstawicieli parami - i że prawdopodobnie będzie sypiał ze swoją towarzyszką, jeśli tylko nie będzie przypominała wyglądem King Konga. Wreszcie Rosjanie, choć niechętnie, wyrazili zgodę.

- Jane czuje się świetnie - odparł. - Przed sześcioma tygodniami urodziła dziecko. Dziewczynkę.

- Moje gratulacje! - Anatolij sprawiał wrażenie szczerze uradowanego. - Ale czy to trochę nie za wcześnie?

- Trochę. Na szczęście obyło się bez komplikacji. Prawdę mówiąc, dziecko odbierała wiejska akuszerka.

- Nie ty?

- Nie było mnie w domu. Akurat wtedy wypadło mi spotkanie z tobą.

- Mój Boże. - Anatolij zrobił przerażoną minę. - Że też musiałem cię wyciągnąć w tak ważny dzień...

Zainteresowanie Anatolija mile polectało Jean-Pierre'a, ale nie okazał tego.

- Sam się nie spodziewałem - powiedział. - Poza tym warto było - dostaliście ten konwój, o którym ci powiedziałem.

- Tak. Twoje informacje są bardzo rzetelne. Jeszcze raz moje gratulacje.

Jean-Pierre poczuł przypływ dumy, ale starał się nadać swej twarzy obojętny wyraz.

- Wszystko wskazuje na to, że nasz system się sprawdza - powiedział skromnie.

Anatolij pokiwał głową.

- Jaka była ich reakcja na zasadzkę?

- Popadają w coraz większy rozpacz. - Mówiąc te słowa, Jean-Pierre uświadomił sobie, że jeszcze jedną dobrą stroną osobistych spotkań z łącznikiem stanowi możliwość przekazywania również tych drugorzędnych informacji, dotyczących odczuć i wrażeń - materiału zbyt mało konkretnego, by przekazywać go szyfrem drogą radiową. - Cierpią teraz na chroniczny brak amunicji.

- A następny konwój? Kiedy wyrusza?

- Wyruszył wczoraj.

- A więc są zrozpaczeni. To dobrze. - Anatolij sięgnął za pazuchę i wydobyl stamtąd mapę. Rozłożył ją na klepisku. Przedstawiała obszar między Doliną Pięciu Lwów a granicą z Pakistanem.

Jean-Pierre skoncentrował się i przypominając sobie szczegóły zapamiętane z rozmowy z Mohammedem, zaczął odtwarzać Anatolijowi trasę, jaką miał obrać konwój w drodze powrotnej z Pakistanu. Nie znał dokładnego terminu powrotu, gdyż sam Mohammed nie wiedział, ile czasu zajmą im w Peszawarze zakupy potrzebnych rzeczy. Anatolij miał jednak w Peszawarze ludzi, którzy dadzą mu znać o wyjściu konwoju w drogę powrotną do Doliny Pięciu Lwów i na podstawie tej informacji będzie mógł określić rozkład czasowy ich marszruty.

Anatolij nie robił żadnych notatek, tylko zapamiętywał każde słowo Jean-Pierre'a. Kiedy skończyli, powtórzył Jean-Pierre'owi wszystko od początku do końca dla sprawdzenia.

Potem złożył mapę i schował ją z powrotem za pazuchę.

- A co z Masudem? - spytał cicho.

- Nie pokazał się od czasu, kiedy ostatni raz z tobą rozmawiałem - powiedział Jean-Pierre. - Widziałem tylko Mohammeda, a on nigdy nie wie na pewno, gdzie znajduje się Masud, ani gdzie się pojawi.

- Masud to lis - stwierdził Anatolij z rzadkim u niego przebłyskiem emocji na twarzy.

- Dostaniemy go - powiedział Jean-Pierre.

- O, dostaniemy, dostaniemy - powiedział Anatolij. - Wie, że polowanie idzie pełną parą, zaciera więc za sobą ślady. Ale psy podjęły jego trop i nie może nas zwodzić w nieskończoność - dużo nas, jesteśmy silni i krew w nas kipi. - Zdał sobie nagle sprawę, że zdradza swe emocje. Uśmiechnął się i opanował. - Baterie - powiedział i wyciągnął z za pazuchy komplet baterii.

Jean-Pierre wyjął miniaturową krótkofalówkę ze skrytki w podwójnym dnie swojej lekarskiej torby, usunął stare ogniwa i wstawił na ich miejsce nowe. Robili to przy okazji każdego spotkania, by mieć pewność, iż Jean-Pierre nie straci kontaktu tylko z powodu wyczerpania się baterii zasilających. Anatolij zabierze ze sobą stare do Bagram, bo wyrzucanie rosyjskich baterii w Dolinie Pięciu Lwów, gdzie nie znalazłoby się ani jedno urządzenie elektryczne, byłoby bezsensownym ryzykiem.

- Masz tam może coś na odciski? - spytał Anatolij, gdy Jean-Pierre wkładał radio z powrotem do torby lekarskiej. - Moje stopy... - urwał nagle, ściągnął brwi i przekrzywił głowę nasłuchując.

Jean-Pierre zmarł. Jak dotąd nie widziano ich razem. Zdawali sobie sprawę, że wcześniej czy później musi to nastąpić, i zawczasu zaplanowali, jak się wtedy zachowają. Będą udawali obcych sobie ludzi, którzy dzielą miejsce odpoczynku, i podejmą rozmowę, kiedy intruz odejdzie, a jeśli zorientują się, że zamierza zatrzymać się na dłużej, wyjdą razem, niby to przypadkiem zmierzając w tym samym kierunku. Wszystko to zostało już wcześniej ustalone, niemniej jednak Jean-Pierre czuł, iż poczucie winy ma wyraźnie wypisane na twarzy.

Po chwili usłyszał dobiegające z zewnątrz kroki i czyjś zdyszany oddech; potem cień przesłonił oświetlone słońcem wejście i do chaty weszła Jane.

- Jane! - wykrzyknął.

Obaj mężczyźni zerwali się na równe nogi.

- Co się stało? - wyrzucił z siebie Jean-Pierre. - Co ty tu robisz?

- Dzięki Bogu, że cię dogoniłam - wysapała.

Kącikiem oka Jean-Pierre zauważył, że Anatolij zasłania sobie twarz chustą i odwraca się, tak jak odwróciłby się Afgańczyk od bezwstydnego kobiety. Ten gest pomógł Jean-Pierre'owi otrząsnąć się z szoku, w jaki wprowadził go widok Jane. Rozejrzał się szybko dookoła. Na szczęście Anatolij złożył przed kilkoma minutami mapy. Ale radio - radio wciąż wystawało na jakiś cal z torby lekarskiej. Szczęściem Jane nie zauważyła go. Jeszcze nie zauważyła.

- Usiądź - powiedział. - Odsapnij. - Sam też usiadł, wykorzystując ten ruch jako pretekst do przesunięcia ku sobie tego boku torby, z którego sterczało radio. - Co się stało? - zapytał.

- Mam przypadek, z którym nie potrafię sobie poradzić. Napięcie Jean-Pierre'a spadło o jeden stopień - obawiał się już, że śledziła go, bo zaczęła coś podejrzewać.

- Napij się wody - powiedział. Sięgnął jedną ręką do torby i grzebiąc w niej drugą, wepchnął głębiej radio. Gdy nie było go już widać, wyciągnął flaszkę oczyszczonej wody i podał Jane. Tętno wracało mu do normy. Odzyskiwał przytomność umysłu. Dowód został usunięty z pola widzenia. Co jeszcze mogło wzbudzić jej podejrzania? Mogła słyszeć, jak Anatolij mówi po francusku, ale nie było to taką rzadkością - jeśli Afgańczyk znał jakiś drugi język, był nim zazwyczaj francuski, a Uzbek mógł mówić po francusku lepiej niż narzeczem dari. Co mówił Anatolij, kiedy nadchodziła? Jean-Pierre wyteżył pamięć: pytał o środek na odciski. Lepiej nie można było. Afgańczycy, spotykając lekarza, zawsze pytają o medykamenty, nawet jeśli cieszą się idealnym zdrowiem.

Jane popiła z flaszki i zaczęła:

- Parę minut po twoim wyjściu przyniesiono osiemnastoletniego chłopca z paskudną raną uda. - Łyknęła znowu. Ignorowała całkowicie Anatolija i Jean-Pierre zorientował się, że jest tak przejęta szukaniem porady medycznej, że chyba nawet nie zauważyła obecności drugiego mężczyzny w chacie. - Odniósł tę ranę w potyczce pod Rokha i ojciec niósł go tu przez całą Dolinę - siedł dwa dni. Zanim tu dotarli, rana poważnie się zgangrenowała. Zaaplikowałam mu zastrzyk z sześciuset miligramów krystalicznej penicyliny w pośladek, a potem oczyściłam ranę.

- Prawidłowo - pochwalił ją Jean-Pierre.

- Po kilku minutach oblał się zimnym potem i zaczął majaczyć. Zmierzyłam puls: był szybki, ale słabo wyczuwalny.

- Czy zbladł albo poszarzał i miał trudności z oddychaniem?

- Tak.

- Co zrobiłaś?

- Zastosowałam kurację przeciwwstrząsową, uniosłam mu nogi, przykryłam kocem i podałam herbatę - potem wybiegłam za tobą. - Była bliska płaczu. - Ojciec niósł go dwa dni - nie mogę pozwolić, żeby umarł.

- Nie ma obawy - uspokoił ją Jean-Pierre. - Szok alergiczny jest rzadką, ale dosyć dobrze rozpoznaną reakcją na zastrzyki z penicyliny. Neutralizuje się go domięśniowym zastrzykiem z pół milimetra adrenaliny, a następnie podaniem antyhistaminy - w postaci, powiedzmy, sześciomilimetrowej dawki diphenhydraminy. Chcesz, żebym z tobą wrócił? - Wysuwając tę propozycję zerknął na Anatolija, ale Rosjanin nie okazał żadnej reakcji.

Jane westchnęła.

- Nie - powiedziała. - Po drugiej stronie wzgórza umiera może ktoś inny. Idź do Cobak.

- Jesteś pewna, że dasz sobie sama radę?

- Tak.

Zapłonęła zapalka, od której Anatolij przypalał sobie papierosa. Jane spojrzała na niego, a potem znowu na Jean-Pierre'a.

- Pół milimetra adrenaliny, a potem sześć milimetrów diphenhydraminy - powtórzyła i wstała.

- Tak - Jean-Pierre podniósł się z ziemi razem z Jane i pocałował ją. - Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

- Oczywiście.

- Musisz się pośpieszyć.

- Wiem.

- Może chcesz zabrać Maggie?

Jane zastanowiła się.

- Chyba nie. Szybciej będzie piechotą.

- Jak chcesz.

- Do widzenia.

- Do widzenia, Jane.

Jean-Pierre patrzył za nią, jak wychodzi z chaty. Stał przez chwilę nieruchomo. Ani on, ani Anatolij nie odzywali się. Po minucie podszedł do wyjścia i wyjrzał na zewnątrz. W odległości trzystu jardów zobaczył Jane - małą, drobną figurkę w cienkiej, bawełnianej sukience kroczącą zdecydowanym krokiem Doliną, samotną w kurzu drogi. Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za fałdem wzgórza.

Wrócił do środka i usiadł opierając się plecami o ścianę. Spojrzeli z Anatolijem po sobie.

- Jezu Chryste - westchnął Jean-Pierre. - Mało brakowało.

## ROZDZIAŁ 8

Chłopiec umarł.

Gdy Jane zgrzana, zakurzona i słaniająca się na nogach ze zmęczenia wróciła, nie żył już od prawie godziny. Odrętwiały ojciec czekający u wylotu pieczary przywitał ją pełnym wyrzutu spojrzeniem. Z jego zrezygnowanej postawy i przygasłych brązowych oczu wyczytała, że już po wszystkim. Nie powiedział nic. Weszła do pieczary i spojrzała na chłopca. Ogarnęło ją zniechęcenie; była zbyt znużona, by odczuwać złość. Jean-Pierre'a nie było. Zahara pozostawała w głębokiej żałobie, nie miała więc z kim dzielić swego przygnębienia.

Później, leżąc na dachu chaty sklepikarza z Chantal śpiącą na malutkim materacyku obok i wymrukującą od czasu do czasu przez sen nieświadome zadowolenie, płakała. Opłakiwała zmarłego chłopca i płakała nad jego ojcem. Podobnie jak ona zdobył się na nadludzki wysiłek, by ratować syna. O ile większy był jego smutek. Zasypiała z zamazanymi przez łzy gwiazdami przed oczyma.

Śniło się jej, że do jej łóżka przyszedł Mohammed i kochał się z nią na oczach całej wioski; potem powiedział, że Jean-Pierre ma romans z Simone, żoną tego grubego dziennikarza, Raoula Clermonta, i że kochankowie spotykają się w Cobak, kiedy Jean-Pierre udaje się tam z lekarską wizytą.

Nazajutrz, po drodze, którą do małej kamiennej chaty i z powrotem w większej części odbyła biegiem, cała była obolała. Na szczęście, pomyślała przystępując do codziennej krzątania, Jean-Pierre zatrzymał się w niej - pewnie na odpoczynek - dzięki czemu zdołała go dogonić. Jakąż ulgę poczuła na widok uwiązanej na zewnątrz Maggie i zastając w środku Jean-Pierre'a z tym śmiesznym, małym Uzbekiem. Obaj omal nie wyskoczyli ze skóry, kiedy weszła. Komicznie to wyglądało. Po raz pierwszy zobaczyła, jak Afgańczyk wstaje na widok wchodzącej kobiety.

Wspięła się pod górę z torbą lekarską i otworzyła lazaret w jaskini. Zajmując się pospolitymi przypadkami niedożywienia, malarii, zainfekowanych ran i pasożytów jelit, rozmyślała o wczorajszym kryzysie. Nigdy dotąd nie słyszała o szoku alergicznym. Ludzi robiących zastrzyki z penicyliny bez wątplenia uczą, jak postępować w takich wypadkach, ale jej szkolenie było tak pośpieszne, że nie obejmowało mnóstwa zagadnień. Wychodząc z założenia, iż Jean-Pierre jest w pełni wykwalifikowanym lekarzem i zawsze będzie się go mogła poradzić, organizatorzy pominęli prawie całkowicie niuanse sztuki medycznej.



Ileż się nadenerwowała, gdy z innymi szkolącymi się pielęgniarkami lub też sama przesiadywała w klasach, starając się wchłonąć zasady i metody medycyny oraz oświaty zdrowotnej, a jednocześnie zastanawiając się, co ją czeka w Afganistanie. Z niektórych lekcji wychodziła zniechęcona. Dowiedziała się, na przykład, że jej pierwszym zadaniem będzie wykopanie dla siebie latryny. Dlaczego? Ponieważ najszybszym sposobem poprawy zdrowotności mieszkańców zacofanych krajów jest przekonanie ich, by przestali wykorzystywać rzeki i strumienie w charakterze toalet, a można im to wpoić jedynie dając osobisty przykład. Jej nauczycielka, Stephanie, czterdziestoletnia okularniczka, typowa matka-ziemia w drelichowych spodniach i sandałach, kładła również nacisk na niebezpieczeństwo zbyt rozrzutnego szafowania środkami farmakologicznymi. Większość niedomagań i lżejszych obrażeń ustępuje zwykle bez interwencji medycznej, ale prymitywni (ci mniej prymitywni również) ludzie zawsze żądają pigułek i mikstur. Jane przypomniało się, jak tamten mały Uzbek prosił Jean-Pierrela o masć na odciski. Całe życie przemierzał pewnie wielkie odległości, a jednak spotkawszy lekarza powiedział, że bołą go stopy. Zalecenie ostrożnego posługiwania się lekami - nie mówiąc już o oszczędności - miało jeszcze to uzasadnienie, że leczenie pospolitych dolegliwości środkami farmakologicznymi może wytworzyć u pacjenta tolerancję i kiedy ten poważnie zachoruje, kuracja nie skutkuje. Stephanie doradzała również Jane raczej współpracę niż walkę z miejscowymi znachorami. Z akuszerką Rabią udało się, ale z mułłą Abdullahem już nie.

Najłatwiej przychodziła jej nauka języka. W Paryżu, zanim jeszcze zaczęła myśleć o wyjeździe do Afganistanu, uczyła się perskiego języka farsi z myślą o poszerzeniu swoich kwalifikacji tłumaczki. Farsi i dari są dialektami tego samego języka. Drugim głównym językiem używanym w Afganistanie jest pashto, którym mówią Pusztuni, ale Tadżykowie porozumiewają się w dari, a Dolina Pięciu Lwów leży na terytorium tadżyckim. Ci nieliczni Afgańczycy, którzy wędrują - na przykład nomadzi - znają zazwyczaj zarówno pashto, jak i dari. Jeśli znają oprócz tego jakiś język europejski, jest to angielski lub francuski. Uzbek z kamiennej chaty rozmawiał z Jean-Pierre'em po francusku. Jane po raz pierwszy słyszała język francuski mówiony z uzbeckim akcentem. Brzmiał tak samo jak w ustach Rosjanina.

Ten Uzbek przez cały dzień nie dawał jej spokoju. Nie mogła wyrzucić go z myśli. Było to uczucie, jakie nachodziło ją czasami, kiedy pamiętała, że miała zrobić coś ważnego, ale nie mogła sobie przypomnieć co. Chyba było w nim coś dziwnego.

W południe zamknęła lazaret, nakarmiła i przewinęła Chantal, potem przyrządziła lunch składający się z ryżu i mięsnego sosu i zjadła go w towarzystwie Fary. Dziewczyna była już całkowicie oddana Jane, wychodziła z siebie, żeby tylko jej się przypodobać, i nie

chciała wracać na noc do domu. Jane starała się traktować ją jak równą sobie, ale to chyba jeszcze potęgowało uwielbienie Fary dla jej osoby.

W najupalniejszą porę dnia Jane zostawiła Chantal pod opieką Fary i zeszła do swojego ustronnego zakątka, na ukrytą pod skalnym nawisem, nasłonecznioną półkę na zboczu, gdzie od jakiegoś czasu z niezłomnym postanowieniem powrotu do dawnej figury wykonywała ćwiczenia poporodowe. Zaciskając teraz mięśnie miednicowe odtwarzała uparcie w pamięci postać tamtego Uzbeka zrywającego się na równe nogi w małej kamiennej chacie i wyraz zaskoczenia na jego orientalnej twarzy. Nie wiadomo dlaczego prześladowało ją przeczucie zbliżającej się tragedii.

Gdy uświadomiła sobie wreszcie prawdę, nie nastąpiło to w nagłym przebłysku intuicji, lecz przypominało raczej lawinę, z początku niewielką, ale rosnącą nieubłaganie, by w końcu porwać za sobą wszystko.

Żaden Afgańczyk, nawet symulujący, nie uskarżałby się na odciski, bo oni czegoś takiego nie znali. Było to tak samo nieprawdopodobne, jak farmer z Gloucestershire utrzymujący, że cierpi na beri-beri. I żaden Afgańczyk, bez względu na to jak zaskoczony, nie zareagowałby wstaniem na widok wchodzącej kobiety. Jeśli więc nie był Afgańczykiem, to kim? Powiedział jej to jego akcent, chociaż niewielu ludzi by go rozpoznało. Zorientowała się, że nieznajomy mówi po francusku z rosyjskim akcentem tylko dlatego, iż była lingwistką znającą zarówno rosyjski, jak i francuski.

A więc Jean-Pierre spotkał się w kamiennej chacie stojącej w ustronnym miejscu z ucharakteryzowanym na Uzbeka Rosjaninem.

Czy był to przypadek? Niewykluczone, ale przypomniała sobie wyraz twarzy męża na jej widok i teraz udało jej się odcyfrować to, na co wtedy nie zwróciła uwagi - była to mina człowieka przyłapanego na gorącym uczynku.

Nie, to nie było przypadkowe spotkanie - oni się tam umówili. Być może nie po raz pierwszy. Jean-Pierre bez przerwy podróżował po odległych wioskach niosąc pomoc lekarską - prawdę mówiąc, z przesadną skrupulatnością podchodził do przestrzegania terminarza swoich wizyt, co dziwnie wyglądało w kraju bez kalendarzy i harmonogramów - ale nie tak dziwnie, jeśli w grę wchodził inny terminarz, nieoficjalny grafik serii potajemnych spotkań.

I po co spotykał się z tym Rosjaninem? To również było oczywiste, i gorące łzy napłynęły Jane do oczu, gdy uświadomiła sobie, że w grę musi tu wchodzić zdrada. To jasne, że przekazywał im informacje. Mówił im o konwojach. Znał zawsze trasy, bo widział mężczyzn wyruszających w drogę z Bandy i z innych wiosek leżących w Dolinie Pięciu Lwów. Najwyraźniej przekazywał te informacje Rosjanom; to dlatego przez ostatni rok

Sowieci odnosili takie sukcesy w przechwytywaniu konwojów; i dlatego było teraz w Dolinie tyle pograżonych w żałobie wdów i smutnych sierot.

Co we mnie jest, pomyślała w nagłym przypiływie litości dla samej siebie i nowe łzy popłynęły jej po policzkach. Najpierw Ellis, teraz Jean-Pierre - dlaczego trafiają mi się takie sukinsyny? Czy jest w szpiclu coś, co mnie pociąga? Czy to jakaś podświadoma dążność do przebijania się przez ochronny pancierz takiego kogoś? Czy mam jakieś odchylenia od normy?

Przypomniała sobie, że Jean-Pierre upierał się przy twierdzeniu, że sowiecka inwazja na Afganistan jest usprawiedliwiona. W pewnym momencie zmienił zdanie i myślała, że udało jej się przekonać go, iż jest w błędzie. Ta zmiana poglądów była najwyraźniej udawana. Kiedy zdecydował się przyjechać do Afganistanu, żeby szpiegować na rzecz Rosjan, przyjął dla niepoznaki antysowiecki punkt widzenia.

Czy jego miłość do niej również była udawana?

Samo to pytanie rozdzierało jej serce. Ukryła twarz w dłoniach. To było niemal nie do pomyślenia. Zakochała się w nim, poślubiła, całowała jego zgorzkniałą matkę, przywykła do jego upodobań we współżyciu fizycznym, przetrwała pierwszą małżeńską awanturę, starała się, by w ich związku wszystko układało się jak najlepiej, w strachu i bólu wydała na świat jego dziecko... I robiła to wszystko dla iluzji, kartonowej wycinanki męża i człowieka, którego nic nie obchodziła? Przypomniał jej się tamten wielomilowy marszobieg po poradę w sprawie ratowania osiemnastoletniego chłopca, który odbyła po to tylko, by po powrocie znaleźć go już martwym. To było gorsze. Wyobraziła sobie, że tak jak teraz ona, czuł się ojciec chłopca, który niósł go przez dwa dni tylko po to, by zobaczyć, jak umiera.

Do rzeczywistości przywołało ją sygnalizujące zbliżającą się porę karmienia Chantal uczucie pełności w piersiach. Ubrała się, otarła rękawem twarz i ruszyła z powrotem w górę zbocza. Gdy chwilowy nastrój przygnębienia minął i powróciła jasność myślenia, wydało się jej, że od początku tego małżeństwa odczuwała jakiś nieokreślony niedosyt. Zaczynała teraz rozumieć jego przyczynę. W pewnym sensie przez cały ten czas wyczuwała nieszczęście Jean-Pierre'a. Ta dzieląca ich bariera sprawiła, że właściwie nigdy nie stali się sobie bliscy.

Wszedłszy do jaskini zastała Farę kołyszącą Chantal, która głośnym krzykiem wyrażała swój protest. Wyjęła dziecko z kołyski i przystawiła je do piersi. Chantal zaczęła ssać. Jane ogarnęło z początku przykre, przypominające skurcz w żołądku uczucie, a potem w piersiach zrobiło się jakoś przyjemnie, niemal erotycznie.

Chciała zostać sama. Odprawiła Farę na czas sjesty do jaskini matki.

Karmienie Chantal podziałało na nią uspokajająco. Zdrada Jean-Pierre'a wydała jej się teraz czymś mniej katastrofalnym. Była pewna, że jego miłość do niej nie jest udawana. Jaki

miałby w tym cel? Po co zabierałby ją tu ze sobą? W swojej działalności szpiegowskiej nie miał z niej żadnego pożytku. Postąpił tak z pewnością dlatego, że ją kochał.

A jeśli ją kocha, to wszystkie inne problemy dadzą się rozwiązać. Naturalnie, będzie musiał zaprzestać pracy na rzecz Rosjan. Przez chwilę nie bardzo sobie wyobrażała, jak będzie z nim rozmawiać. Ma powiedzieć: „wszystko się wydało!”? Nie. Kiedy będzie trzeba, odpowiednie słowa same do niej przyjdą. Potem będzie musiał zabrać ją i Chantal z powrotem do Europy...

Z powrotem do Europy. Kiedy uświadomiła sobie, że będą musieli wrócić do domu, ogarnęło ją uczucie ulgi. Była zaskoczona. Gdyby ktoś spytał ją jak jej się podoba w Afganistanie, odparłaby, że to, co robi, jest fascynujące i pożyteczne, i że właściwie bardzo dobrze sobie radzi, a nawet czerpie z tego satysfakcję. Ale teraz, kiedy stanęła wobec perspektywy powrotu do cywilizacji, jej hart ducha skruszał i przyznała przed sobą, że ten przygnębiający krajobraz, te surowe zimy, ci obcy ludzie, te bombardowania i nie kończący się potok okaleczonych i pokiereszowanych mężczyzn i chłopców napinają jej nerwy do granic wytrzymałości.

Prawda jest taka, pomyślała, że tutaj jest okropnie.

Chantal przestała ssać i zapadła w sen. Nie obudziła się, kiedy Jane kładła ją na kocu, przewijała i przenosiła na materacyk. Spokojne usposobienie tego dziecka było wielkim błogosławieństwem. Przesypiała wszelkiego rodzaju kryzysy - jeśli była nakarmiona i miała sucho, nie obudził jej żaden hałas ani poruszenie. Była jednak wrażliwa na nastroje Jane i często, gdy Jane popadała w stres, budziła się, nawet jeśli było stosunkowo cicho.

Jane usiadła po turecku na swoim materacu i patrząc na śpiące maleństwo powróciła myślami do Jean-Pierre'a. Żałowała, że nie ma go tu teraz i że nie może od razu przeprowadzić z nim rozstrzygającej rozmowy. Zastanawiające, że minęła jej złość - nie mówiąc już o wściekłości - na niego za zdradę partyzantów i wydanie ich Rosjanom. Czy to dlatego, że pogodziła się z myślą, iż wszyscy mężczyźni to kłamcy? A może dlatego, że doszła do wniosku, iż jedynymi niewinnymi ludźmi w tej wojnie są matki, żony i córki po obu stronach? Czy może to rola matki i żony do tego stopnia odmieniła jej osobowość, że taka zdrada nie wprawia jej już we wściekłość? A może po prostu kocha Jean-Pierre'a? Nie wiedziała.

Nie był to zresztą czas na rozpamiętywanie przeszłości, lecz na myślenie o przyszłości. Pojadą do Paryża, gdzie są listonosze i księgarnie, i woda w kranie. Chantal będzie miała ładne ubranka i wózek, i pieluszki jednorazowego użytku. Będą mieszkali we trójkę w małym mieszkanku w porządnej dzielnicy, gdzie jedyne realne zagrożenie dla życia

stanowią taksówki. Zaczną z Jean-Pierre'em od początku i tym razem naprawdę poznają się nawzajem. Będą oboje pracować nad ulepszeniem świata w sposób stopniowy i cywilizowanymi środkami, bez uciekania się do intryg i zdrad. Doświadczenia z Afganistanu pomogą im znaleźć dobre posady w jakiejś instytucji zajmującej się rozwojem Trzeciego Świata; może w Światowej Organizacji Zdrowia. Życie małżeńskie wyglądać będzie tak, jak je sobie wyobrażała - ich trójka czyniąca dobro, szczęśliwa i ciesząca się poczuciem bezpieczeństwa.

Weszła Fara. Czas sjeisty dobiegł końca. Pozdrowiła z szacunkiem Jane, spojrzała na Chantal i widząc, że dziecko śpi, usiadła po turecku na ziemi czekając na polecenia. Była córką najstarszego syna Rabii, Ismaela Gula, który wyruszył z ostatnim konwojem...

Jane westchnęła. Fara spojrzała na nią pytająco. Jane machnęła z dezaprobatą ręką i Fara odwróciła wzrok.

Jej ojciec idzie z konwojem, pomyślała Jane.

Jean-Pierre wydał ten konwój Rosjanom. Ojciec Fary zginie w zasadzce - o ile Jane nie uczyni czegoś, by temu zapobiec. Ale co zrobić? Można by wysiać gońca, aby zaczekał na konwój na przełęczy Khyber i skierował go inną trasą. Mohammed mógłby to zorganizować. Ale Jane musiałaby mu powiedzieć, skąd wie o zasadzce na konwój - a wtedy Mohammed niewątpliwie zabiłby Jean-Pierre'a, i to prawdopodobnie gołymi rękami.

Jeśli jeden z nich ma umrzeć, lepiej już, żeby był to Ismael, nie Jean-Pierre, pomyślała Jane.

Ale przypomniała sobie trzydziestu innych mężczyzn z Doliny idących z konwojem i doznała wstrząsu. Czy wszyscy oni mają zginąć w imię ratowania mego męża? - Kahmir Khan z kędzierzawą brodą; i stary Shahazi Gul z pokrytą bliznami twarzą; i Yussuf Gul, który tak pięknie śpiewa; i Sher Kador, pasterz kóz; i Abdur Mohammed bez przednich zębów; i Ali Ghanim, który ma czternaścioro dzieci?

Musi być jakiś inny sposób.

Podeszła do wylotu jaskini i stanęła tam wyglądając na świat. Było już po sjeście i dzieciarnia wyległa z pieczar, by pośród skał i ciemnych krzaków podjąć przerwane zabawy. Hasał między nimi dziewięcioletni Mousa, jedyny syn Mohammeda - od kiedy została mu tylko jedna ręka, jeszcze bardziej rozpieszczony - wymachując nowym nożem, który dostał od nie widzącego za nim świata ojca. Dojrzała matkę Fary, gramolącą się z wysiłkiem pod górę i dźwigająca na głowie wiązkę chrustu na ognisko. Zobaczyła żonę muły, piorącą koszulę Abdullaha. Nie widziała Mohammeda ani jego żony Halimy. Wiedziała, że Mohammed jest w Bandzie, gdyż spotkała go rano. Pewnie z żoną i dziećmi spożywa posiłek w jaskini -

większość rodzin miała swoją osobną jaskinię. Na pewno tam teraz jest, ale nie chciała szukać go otwarcie, wywołałoby to bowiem skandal wśród wioskowej społeczności, a jej zależało na dyskrecji.

Co mam mu powiedzieć, zastanawiała się.

Rozważyła prosty apel: *zrób to dla mnie, bo cię o to proszę*. Taka prośba podziałałaby na każdego mężczyznę z Zachodu, który by się w niej podkochiwał, ale muzułmanie zdawali się nie pojmować miłości i w kategoriach romantycznych - to co odczuwał w stosunku do niej Mohammed, było raczej łagodniejszym rodzajem pożądania. Na pewno nie stawiało go to do jej dyspozycji. A poza tym me była pewna, czy j nadal darzy ją tym uczuciem. A więc co? Nic jej nie zawdzięczał. Nigdy nie leczyła ani jego, ani jego żony. Ale zaopiekowała się Mousą - ocaliła chłopcu życie. Mohammed ma wobec niej dług honorowy.

*Zrób to dla mnie, bo ocaliłam twojego syna*. To mogłoby podziałać.

Ale Mohammed spytałby, dlaczego.

Pojawiało się coraz więcej kobiet. Nabierały wodę i zamiatały swoje i jaskinie, zajmowały się zwierzętami i przygotowywały posiłek. Jane spodziewała się, że wkrótce ujrzy Mohammeda.

Co ja mu powiem?

*Sowieci znają trasę konwoju.*

Skąd się o niej dowiedzieli?

*Nie wiem, Mohammedzie.*

To skąd u ciebie ta pewność?

*Nie mogę ci powiedzieć. Podśluchałam pewną rozmowę. Dostałam tę informację od brytyjskiego wywiadu. Mam przecucie. Wyczytałam to z kart. Miałam sen.*

To jest to: sen.

Zobaczyła go. Wyszedł z jaskini wysoki, przystojny w podróżnym ubraniu - okrągła czapka chitrali, taka jaką miał Masud i w jakich paradowała większość partyzantów; *pattu* w kolorze gliny, które służyło jednocześnie za opończę, ręcznik, koc i kamuflaż, oraz skórzane buty do pół łydki, zdjęte z nóg zabitego, sowieckiego żołnierza. Przeszedł przez polanę krokiem kogoś, kto do zachodu słońca musi przebyć długą drogę. Wybrał ścieżkę biegnącą w dół zbocza, ku opuszczonej wiosce.

Jane patrzyła za jego znikającą wysoką postacią. Teraz albo nigdy, pomyślała i ruszyła za nim. Z początku szła powoli i jak gdyby nigdy nic, żeby nie było widać, że idzie za Mohammedem; kiedy już jaskinie zniknęły jej z oczu, puściła się biegiem. Zjeżdżała stromą ścieżką ślizgając się, potykając, z prześladowającą ją cały czas myślą, co na to bieganie

powiedzą jej wnętrzości. Ujrzawszy przed sobą Mohammeda zawołała go. Przystanął, odwrócił się i zaczekał na nią.

- Bóg niech będzie z tobą, Mohammedzie Khan - powiedziała zrównawszy się z nim.

- I z tobą, Jane Debout - odparł uprzejmie.

Milczała przez chwilę łapiąc oddech. Obserwował ją z wyrazem rozbawionej pobłażliwości na twarzy.

- Jak tam Mousa? - spytała wreszcie.

- Czuje się dobrze, jest szczęśliwy i uczy się posługiwać lewą ręką. Pewnego dnia będzie nią zabijał Rosjan.

Był to żart: tradycja nakazywała, by lewej ręki używać do wykonywania czynności „nieczystych”, a prawej do jedzenia. Jane uśmiechnęła się, dając tym do zrozumienia, że docenia jego dowcip.

- Tak się cieszę, że zdołaliśmy ocalić mu życie - powiedziała.

Jeśli nawet pomyślał, że jest nieskromna, nie dał tego po sobie poznać.

- Jestem na zawsze twoim dłużnikiem - oznajmił uroczyście.

Na to tylko czekała.

- Chciałam cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobił - wyrzuciła z siebie.

Z jego twarzy nie można było nic wyczytać.

- Jeśli to tylko w mojej mocy...

Rozejrzała się dokoła za miejscem, gdzie można by usiąść. Stali w pobliżu domu, w który trafiła bomba. Kamienie i ziemia ze zwałonej ściany frontowej rozsypały się po ścieżce i widać było wewnątrz budynek, gdzie z całego wyposażenia pozostał tylko pęknięty dzban i absurdalna kolorowa fotografia cadillaca, przypięta pinezkami do ściany. Jane przysiadła na rumowisku. Mohammed po chwili wahania zajął miejsce obok niej.

- To jest w twojej mocy - powiedziała. - Ale wywoła trochę zamieszania.

- O co chodzi?

- Możesz to wziąć za urojenia głupiej kobiety.

- Być może.

- Będzie cię kusiło, żeby mnie zbyć obiecując spełnienie mojej prośby, a potem „zapominając” o tej obietnicy.

- Nie zrobię tego.

- Proszę cię, żebyś szczerze mi powiedział, czy mnie posłuchasz, czy nie.

- Dobrze.

Dosyć już tego, pomyślała.

- Chciałabym cię prosić, żebyś wysłał za konwojem gońca z rozkazem zmiany trasy powrotu do domu.

Zatkało go - prawdopodobnie spodziewał się jakiejś zwyczajnej prośby dotyczącej lokalnej sprawy.

- Ale dlaczego? - spytał.

- Wierzysz w sny, Mohammedzie Khan?

Wzruszył ramionami.

- Sny są snami - bąknął wymijająco.

Może nie jest to najwłaściwsze podejście, pomyślała; lepiej chyba powołać się na wizję.

- Kiedy leżałam sama w swojej jaskini w najgorętszej porze dnia, wydało mi się, że widzę białego gołębia.

Nastawił nagle ucha i zorientowała się, że dobrze trafiła: Afgańczycy wierzyli, że pod postacią białych gołębi objawiają się czasami duchy.

- Ale chyba mi się to śniło - ciągnęła - bo ten ptak próbował do mnie przemówić.

- Ach!

Wziął to za znak, że miałam wizję, nie sen, pomyślała Jane.

- Nie mogłam zrozumieć, co mówi - kontynuowała - chociaż wsłuchiwałam się tak pilnie, jak tylko potrafię. Wydaje mi się, że mówił w narzeczu pashto.

Mohammed wytrzeszczył oczy.

- Posłaniec z terytorium Pusztunów...

- Potem ujrzałam Ismaela Gula, syna Rabii, ojca Fary, jak stoi za tym gołębiem. - Położyła dłoń na ramieniu Mohammeda i spojrzała mu w oczy myśląc: mogę cię włączyć jak elektryczną lampę nieszczęsny, ciemny człowieku. - W jego sercu tkwił nóż, a on płakał krwawymi łzami. Wskazywał na rękojeść noża, jakby prosił, żebym wyciągnęła mu go z piersi. Ta rękojeść była wysadzana drogimi kamieniami. - Gdzieś w głębi ducha myślała: skąd mi przychodzą do głowy takie bzdury? - Wstałam z łóżka i podeszłam do niego. Bałam się, ale musiałam ratować jego życie. I kiedy wyciągnęłam rękę, aby pochwycić za nóż...

- Co się stało?

- Znikł. Chyba się obudziłam.

Mohammed zamknął szeroko rozdziawione usta, przybrał z powrotem poważny wyraz twarzy i zmarszczył z namaszczeniem czoło, jak gdyby zastanawiał się usilnie nad znaczeniem snu. Teraz pora, pomyślała Jane, żeby mu trochę pomóc w interpretacji.



- Może to zwyczajne brednie - powiedziała układając twarz w minę małej dziewczynki gotowej przyjąć bez zastrzeżeń jego trzeźwy, męski osąd. - Dlatego proszę cię, żebyś zrobił to dla mnie, dla osoby, która ocaliła życie twemu synowi; żebym odzyskała spokój ducha.

Natychmiast przyjął wyniosłą postawę.

- Długu honorowego nie trzeba przypominać.

- Czy to znaczy, że spełnisz moją prośbę?

Odpowiedział pytaniem.

- Jakimi drogami kamieniami była wysadzana rękojeść noża?

O Boże, pomyślała, co tu odpowiedzieć? Na usta cisnęło jej się „szmaragdy”, ale te związane były z Doliną Pięciu Lwów, mogły więc podsuwać domysł, że Ismael zostanie zamordowany przez zdrajcę w Dolinie.

- Rubiny - powiedziała.

Pokiwał powoli głową.

- Czy Ismael nie przemówił do ciebie?

- Miałam wrażenie, że usiłuje mówić, ale nie może.

Znowu pokiwał głową, a Jane pomyślała: - no dalej, zdecyduj się, do cholery. W końcu odezwał się:

- Omen jest jasny. Trzeba zmienić trasę konwoju. Dzięki ci za to, Boże.

- Tak mi ulżyło - powiedziała szczerze. - Nie wiedziałam, co robić. Teraz mogę być pewna, że Ahmed ocaleje. - Zastanawiała się gorączkowo, co by tu zrobić, żeby przygwoździć Mohammeda i uniemożliwić mu zmianę decyzji. Nie mogła zażądać od niego przysięgi. Przyszło jej do głowy, żeby ucisnąć mu rękę. W końcu zdecydowała się przypieczętować umowę jeszcze starszym gestem: nachyliła się i szybko, ale czule pocałowała go w usta, nie dając mu szansy ani na unik, ani na odwzajemnienie. - Dziękuję! - powiedziała. - Wiem, że należysz do ludzi, którzy dotrzymują raz danego słowa. - Wstała, odwróciła się i pobiegła w kierunku jaskiń, pozostawiając go tak jak siedział, chyba trochę oszołomionego.

Dotarłszy do szczytu wzniesienia przystanąła i obejrzała się. Mohammed był już spory kawałek od zburzonego przez bombę domu i z wysoko uniesioną głową schodził wydłużonym krokiem ze wzgórza wymachując zamasyściami rękami. Ten pocałunek naładował go sporą dawką energii, pomyślała Jane. Powinnam się wstydzić. Zagrałam na jego zacofaniu, próżności i męskości. Jako feministka nie powinnam wykorzystywać jego

przekonań - kobieta oddana, kobieta pokorna, kobieta zalotna - by nim manipulować. Ale odniosło skutek. Udało się!

Ruszyła dalej. Teraz musi rozmówić się z Jean-Pierre'em. Będzie w domu gdzieś o zmierzchu: wyruszy w drogę powrotną tak samo jak Mohammed, dopiero po południu, kiedy słońce już tak nie przygrzewa. Czowała, że z Jean-Pierre'em sprawa będzie prostsza niż z Mohammedem. Po pierwsze, z Jean-Pierre'em może rozmawiać bez owijania w bawełnę. Po drugie, Jean-Pierre jest w opałach.

Dotarła do jaskiń. W małym obozowisku panowała napięta atmosfera. Na niebie pojawił się dywizjon sowieckich odrzutowców. Kto żyw przerywał pracę i z niepokojem obserwował samoloty, chociaż leciały za wysoko i były zbyt daleko, by obawiać się z ich strony bombardowania. Gdy znikły, chłopcy rozpostarli ręce na podobieństwo skrzydeł i zaczęli biegać po polanie naśladując ryk odrzutowych silników. Kogo bombardują w swoich wyimaginowanych rajdach, pomyślała Jane.

Weszła do swojej pieczary, sprawdziła, czy Chantal ma sucho, uśmiechnęła się do Fary i wzięła dziennik. Ona i Jean-Pierre dokonywali do niego wpisów niemal codziennie. Była to przede wszystkim kronika działalności medycznej i zabierze ją ze sobą do Europy jako materiał pomocniczy dla tych, którzy przyjadą do Afganistanu na ich miejsce. Zachęcano ich do zapisywania w niej również osobistych odczuć i problemów, by następcy wiedzieli z góry, czego mogą się spodziewać, i Jane prowadziła dosyć szczegółowe notatki ze swej ciąży i porodu; zapis jej życia emocjonalnego był jednak ściśle ocenowany.

Usiadła, oparła się plecami o ścianę jaskini i położywszy sobie notatnik na kolanach opisała historię osiemnastoletniego chłopca, który zmarł w wyniku szoku alergicznego. Zrobiło się jej smutno, ale do przygnębienia było jeszcze daleko. Zdrowa reakcja, pomyślała.

Dopisała kilka zwięzłych relacji z pomniejszych przypadków, z jakimi zetknęła się dzisiaj, a potem machinalnie przekartkowała zeszyt wstecz. Wpisy dokonywane niedbałym, pająkowatym pismem Jean-Pierre'a odznaczały się maksymalną skrótością i podawały jedynie objawy, diagnozy, sposób leczenia i rezultaty: *Robaki* pisał, albo *Malaria*; a dalej *Wyleczony* albo *Bez zmian*, albo czasami *Zmarł*. Jane miała tendencje do pisania całymi zdaniem, na przykład: *Dziś rano czuła się lepiej* albo *Matka ma gruźlicę*. Przeczytała wpisy z wczesnego okresu swej ciąży - obolałe sutki, grubiejące uda i poranne nudności. Z zaskoczeniem odczytała dokonany przez siebie wpis sprzed niemal roku: *Boję się Abdullaha*. Zapomniała, że to napisała.

Odłożyła dziennik. Następne godziny spędziły z Farą na sprzątaniu i porządkowaniu jaskiniowego lazaretu; potem przyszła pora na zejście do wioski i przygotowanie się na nocny

spoczynek. Przez cały czas, schodząc z boczem góry, a potem krzątając się po chacie sklepiarza, Jane zastanawiała się, jak rozmówi się z Jean-Pierre'em. Wiedziała, co zrobi - postanowiła, że wyciągnie go na spacer - ale nie była pewna, co mu powie.

Kiedy kilka minut później wszedł do chaty, jeszcze się nie zdecydowała. Otarła mu kurz z twarzy wilgotnym ręcznikiem i przyniosła zielonej herbaty w chińskiej filiżance. Wiedziała, że jest raczej rozleniwiające zmęczony niż wyczerpany - potrafił przebywać piechotą większe odległości. Usiadła, żeby dotrzymać mu towarzystwa przy herbacie, ale starała się na niego nie patrzeć. Okłamałaś mnie, myślała.

- Chodźmy się przejść - zaproponowała jak dawniej, kiedy trochę odetchnął.

- Dokąd chcesz iść? - spytał trochę zaskoczony.

- Donikąd. Pamiętasz, jak zeszłego lata spacerowaliśmy sobie bez celu, rozkoszując się wieczornym chłodem?

Uśmiechnął się.

- Tak, pamiętam. - Kochała go, kiedy tak się uśmiechał. - Zabierzemy Chantal? - zapytał.

- Nie. - Jane wołała, żeby nic nie rozpraszało jej uwagi. - Fara z nią zostanie.

- No dobrze - przystał lekko otumaniony.

Jane poleciła Farze przygotowanie dla nich wieczornego posiłku - herbaty, chleba i jogurtu - i wyszli z Jean-Pierre'em z chaty. Zmierzchało już, a wieczorne powietrze było łagodne i aromatyczne. Była to w lecie najprzyjemniejsza pora dnia. Gdy szli polami ku rzece, przypomniała sobie, co odczuwała na tej samej ścieżce zeszłego lata: niepokój, dezorientację, podniecenie i determinację. Dumna była, że tak dobrze sobie poradziła, ale i zadowolona, że przygoda dobiega końca.

W miarę jak zbliżał się moment konfrontacji, czuła się coraz bardziej spięta, chociaż bez przerwy wmawiała sobie, że nie ma nic do ukrycia, nie musi się niczego wstydzić i niczego obawiać. Przebrnęli rzekę w bród w miejscu, gdzie rozlewała się szeroko na skalnej płycie, a potem wspięli stromą, krętą ścieżką na szczyt urwiska, wznoszącego się na drugim brzegu. Tam przysiedli na ziemi z nogami zwieszonymi nad przepaścią. Sto stóp pod nimi rwała Rzeka Pięciu Lwów, przeciskając się między głazami i pieniać ze złością na progach. Jane patrzyła na Dolinę. Widziała ziemie uprawne pocięte kanałami irygacyjnymi i ścianami kamiennych tarasów. Jasne, zielonożółte kolory dojrzewających zbóż upodabniały te pola do kawałków barwnego szkła z rozbitej zabawki. Tu i ówdzie ten sielski krajobraz szpeciły wyrządzone przez bomby zniszczenia - zburzone mury, zablokowane kanały, kratery gliny pośród falujących łąnów. Pojawiająca się gdzieś tam okrągła czapka albo ciemny turban

świadczyły, że niektórzy mężczyźni, korzystając z okazji, że Rosjanie wprowadzili swoje odrzutowce na noc do hangarów i odczepili od nich bomby, wyszli już do pracy przy zbiorze plonów. Okutane głowy lub drobniejsze postacie należały do kobiet i starszych dzieci, pomagających w polu do zapadnięcia ciemności. Po drugiej stronie Doliny ziemi uprawne usiłowały wspiąć się pod dolne partie góry, ale szybko ustępowały miejsca skalistym nieużytkom. Ze skupiska chat po lewej unosiły się w niebo dymy kilku palenisk, proste jak narysowane ołówkiem, dopóki nie rozproszył ich w górze lekki wietrzyk. Ten sam wietrzyk przynosił nierozróżnialne strzępy rozmów kobiet kąpiących się w górze rzeki, za zakrętem. Głosy miały przytłumione i nie było słycać serdecznego śmiechu pogrążonej w żałobie Zahary. A wszystko przez Jean-Pierre'a...

Ta myśl dodała Jane odwagi.

- Chcę, żebyś zabrał mnie do domu - odezwała się nagle.

W pierwszej chwili źle ją zrozumiał.

- Dopiero co z niego wyszliśmy - powiedział z irytacją, potem spojrzał na nią i czoło mu się wygładziło. - Och - wyrwało mu się.

W jego głosie rozbrzmiewała nutka niewzruszoności, którą Jane uznała za złowrogą i uświadomiła sobie, że postawienie na swoim nie przyjdzie jej chyba łatwo.

- Tak - powtórzyła stanowczo: - Do domu.

Objął ją ramieniem.

- Ten kraj załamuje czasami ludzi - powiedział. Nie patrzył na nią, lecz na rwącą w dole, daleko pod ich stopami wodę. - Teraz, krótko po porodzie, jesteś szczególnie podatna na depresję. Za kilka tygodni stwierdzisz...

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie! - przerwała mu. Nie zamierzała pozwolić, aby zbył ją takimi nonsensami. - Zachowaj te frazesy dla swoich pacjentów.

- W porządku. - Cofnął rękę. - Przed wyjazdem zadecydowaliśmy, że pozostaniemy tutaj przez dwa lata. Zgodziliśmy się co do tego, że krótkie wyprawy są bezsensowne, bo mnóstwo czasu i pieniędzy traci się na szkolenie, podróż i aklimatyzację. Postanowiliśmy dokonać czegoś naprawdę pożytecznego i w związku z tym skazaliśmy się dobrowolnie na dwuletnie zesłanie...

- A potem urodziło nam się dziecko.

- To nie był mój pomysł!

- Tak czy inaczej, zmieniłam zdanie.

- Nie masz prawa do zmiany zdania.

- Nie jestem twoją własnością! - wyrzuciła z siebie ze złością.

- Wcale tego nie twierdzę. Skończmy tę dyskusję.

- Dopiero ją zaczęliśmy - powiedziała.

Jego postawa doprowadzała ją do białej gorączki. Rozmowa przerodziła się w spór na temat jej praw jako jednostki i coś nie pozwalało jej przeważać szali zwycięstwa na swoją korzyść poprzez wyjawienie mu, że wie o jego szpiegowskiej działalności. W każdym razie jeszcze nie teraz; pragnęła, by przyznał, że jest wolna i może o sobie decydować. - Nie masz prawa mnie ignorować ani przechodzić do porządku dziennego nad moimi życzeniami - powiedziała. - Chcę stąd wyjechać jeszcze tego lata.

- Odpowiedź brzmi: nie.

Podjęła próbę przemówienia mu do rozsądku.

- Jesteśmy tu już rok. Dokonaliśmy już czegoś pożytecznego. Kosztowało to nas też wiele wyrzeczeń, więcej niż się spodziewaliśmy. Czy nie dosyć zrobiliśmy?

- Zgodziliśmy się na dwa lata - powtórzył uparcie.

- To było dawno temu i przed przyjściem na świat Chantal.

- A zatem wyjedźcie we dwie i zostawcie mnie tutaj.

Jane rozważała przez chwilę tę propozycję. Podróż z konwojem do Pakistanu z dzieckiem na rękę była trudna i niebezpieczna. Bez męża byłby to koszmar. Ale taka możliwość istniała. Oznaczałoby to jednak pozostawienie Jean-Pierre'a na miejscu. Mógłby dalej zdradzać trasy konwojów i każdego tygodnia ginęliby następni mężowie i synowie z Doliny. Istniała jeszcze jedna przyczyna, dla której nie mogła go tu zostawić: zniszczyłoby to ich małżeństwo.

- Nie - odparła. - Sama nigdzie się nie ruszę. Musisz jechać ze mną.

- Nie pojedę! - warknął ze złością. - Nie pojedę!

Teraz już musiała wyjawić mu to, co wie. Wzięła głęboki oddech.

- Będziesz musiał - zaczęła.

- Nic nie będę musiał - wpadł jej w słowo. Wycelowwał w nią palec wskazujący, a ona spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich coś, co ją przeraziło. - Nie zmusisz mnie do tego. Nawet nie próbuj.

- Ale ja mogę...

- Nie radzę ci próbować - powiedział, a z jego głosu przebijał straszny chłód.

Nagle wydał się jej kimś obcym, mężczyzną, którego nie zna. Milczała przez chwilę, zastanawiając się. Obserwowała gołębia, wzbijającego się z wioski do lotu i szybującego w jej kierunku. Przysiadł na ścianie urwiska nieco poniżej jej stóp. Nie znam tego człowieka! - pomyślała zdjeta paniką. Po całym roku pożycia wciąż nie wiem, kim jest!

- Czy ty mnie kochasz? - zapytała go.
- Miłość do ciebie nie oznacza, że muszę spełniać wszystkie twoje zachcianki.
- Czy to ma znaczyć, że tak?

Wpatrywał się w nią bacznie. Wytrzymała jego wzrok bez zmruczenia oka. Groźne, maniackie światło płonące w jego oczach powoli przygasło i odprężył się. W końcu zdobył się na uśmiech.

- To znaczy, że tak - powiedział. Nachyliła się ku niemu, a on znowu objął ją ramieniem. - Tak, Kocham cię - powiedział łagodnie. Pocałował ją w czoło.

Oparła policzek o jego pierś i spojrzała w dół. Gołąb, którego przed chwilą obserwowała, znowu wzniósł się w powietrze, jak tamten z jej rzekomej wizji. Odleciał spływając bez wysiłku w dół, ku przeciwległemu brzegowi rzeki. O, Boże, pomyślała Jane, co ja teraz zrobię?

\*\*\*

Tym pierwszym, który dostrzegł powracający konwój, był syn Mohammeda, Mousa - nazywany teraz Leworęcznym. Wpadł jak bomba na polanę przed jaskiniami, wrzeszcząc co sił w płucach:

- Wracają! Wracają! - Nikt nie musiał pytać, kto wraca.

Było przedpołudnie i Jane z Jean-Pierre'em przebywali w jaskiniowym lazarecie. Jane spojrzała na Jean-Pierre'a. Przez twarz przemknął mu ledwie zauważalny cień zaskoczenia: zastanawia się, czemu Rosjanie nie wykorzystali jego informacji i nie zastawili zasadzki na konwój. Jane odwróciła się do niego plecami, żeby nie zauważył jej tryumfu. Ocaliła im życie! Yussuf zaśpiewa dziś wieczorem, Sher Kador będzie liczył swoje kozy, a Ali Ghanim pocałuje każde ze swoich czternaściorga dzieci. Yussuf był jednym z synów Rabii: ocalając mu życie odwdzięczyła się Rabii za pomoc w wydaniu na świat Chantal. Wszystkie matki i córki, które pograżyłyby się w żałobie, będą się teraz radować.

Ciekawe, co czuje Jean-Pierre. Czy jest zły, czy też sfrustrowany albo zawiedziony? Trudno wyobrazić sobie kogoś zawiedzionego tym, że nie zginęli ludzie. Zerknęła na niego ukradkiem, ale twarz miał obojętną. Chciałabym wiedzieć, co dzieje się w jego duszy, pomyślała.

W ciągu kilku minut z lazaretu wymiotło wszystkich pacjentów - każdy śpieszył się na dół, do wioski, żeby powitać wędrowców.

- Zejdziemy tam? - spytała Jane.
- Idź - powiedział Jean-Pierre. - Ja tu skończę i zaraz do ciebie dobiję.

- Dobrze - przystała Jane. Potrzebuje trochę czasu na pozbieranie myśli, żeby mógł udawać radość z bezpiecznego powrotu tych ludzi, kiedy stanie z nimi oko w oko, domyśliła się.

Wzięła na ręce Chantal i ruszyła stromą ścieżką w dół, w kierunku wioski. Przez cienkie podeszwy sandałów czuła ciepło nagrzaną słońcem skały.

Wciąż jeszcze nie przeprowadziła decydującej rozmowy z Jean-Pierre'em. Nie mogła jednak odwlekać tego w nieskończoność. Wcześniej czy później dowie się, że Mohammed wysłał za konwojem gońca z rozkazem obrania innej trasy w drodze powrotnej. Naturalnie spyta wtedy Mohammeda, co było tego przyczyną i Mohammed opowie mu o „wizji” Jane. Ale Jean-Pierre wie, że Jane nie wierzy w żadne wizje...

Czego się boję? - spytała samą siebie. To nie ja jestem tu winna - to on. A mimo to mam wrażenie, że jego tajemnica jest czymś, czego ja muszę się wstydzić. Powinnam porozmawiać z nim o tym od razu, jeszcze tamtego wieczora, kiedy weszliśmy na szczyt urwiska. Zachowując to tak długo dla siebie, sama staję się kłamczynią. Może stąd wynika mój strach. A może to ten szczególny błysk, jaki pojawia się czasami w jego oczach...

Nie zrezygnowała z postanowienia powrotu do domu, ale jak dotąd nie udało się jej wymyślić sposobu skłonienia Jean-Pierre'a, żeby wyjechał razem z nią. Snuło jej się po głowie z tuzin fantastycznych planów, od fałszywego zawiadomienia o ciężkiej chorobie jego matki, po zatrucie mu jogurtu czymś, co dałoby objawy choroby, zmuszającej go do powrotu na kurację do Europy. Najprostszy i najmniej naciągany z tych pomysłów było postraszenie Jean-Pierre'a, że powie Mohammedowi, iż jest szpiegiem. Oczywiście, nigdy by tego nie zrobiła - równie dobrze mogła go od razu zabić. Ale czy Jean-Pierre uwierzyłby, że byłoby ją stać na spełnienie takiej groźby? Prawdopodobnie nie. W to, że jest zdolna praktycznie zabić własnego męża, mógłby uwierzyć tylko człowiek twardy, bezlitosny, o sercu z kamienia - a gdyby Jean-Pierre okazał się takim twardym, bezlitosnym człowiekiem o sercu z kamienia - on sam mógłby zabić Jane.

Zadrzała mimo panującego upału. Te rozważania o zabijaniu były groteskowe. Kiedy dwoje ludzi odnajduje w swych ciałach tyle rozkoszy co my, pomyślała, jak jedno drugiemu może zadawać gwałt?

Gdy zbliżała się do wioski, do jej uszu dobiegły pojedyncze, głośne wystrzały oznaczające afgańskie święto. Skierowała się do meczetu - wszystko odbywało się pod meczetem. Konwój zatrzymał się na dziedzińcu. Mężczyzn, konie i bagaże otaczały roześmiane kobiety i piszcząca dzieciarnia. Jane przystanęła na skraju ciżby i patrzyła. Warto było, pomyślała. Warto było się martwić i bać i warto było podpuścić Mohammeda w ten

niegodny sposób, żeby to zobaczyć - zdrowych i całych mężczyzn, znowu połączonych z żonami, matkami, synami i córkami.

To co teraz nastąpiło, było chyba największym szokiem w jej życiu.

Tam, w tłumie, wśród czapek i turbanów pojawiła się głowa o falującej blond czuprynie. W pierwszej chwili nie rozpoznała jej, mimo że ten widok poruszył czułe struny w jej sercu. Potem głowa oddzieliła się od tłumu i pod niesamowicie bujną blond brodą zobaczyła twarz Ellisa Thalera.

Pod Jane ugięły się nagle nogi. Ellis? Tutaj? To niemożliwe.

Szedł w jej stronę. Miał na sobie obszerny, pidżamowaty afgański strój i brudny koc, narzucony na szerokie ramiona. Te trochę twarzy widoczne nad brodą było opalone na brąz, co jeszcze bardziej podkreślało niesamowity błękit jego chabrowych oczu.

Jane oniemiała.

Ellis stanął przed nią z poważną twarzą.

- Cześć, Jane.

Uświadomiła sobie, że już go nie nienawidzi. Jeszcze przed miesiącem skłębaby go za to, że ją oszukiwał i szpiegował jej przyjaciół, teraz jednak gniew gdzieś się ulotnił. Nigdy go już nie polubi, ale potrafi tolerować.

I przyjemnie było po raz pierwszy od ponad roku usłyszeć, jak ktoś mówi po angielsku.

- Ellis - bąknęła niepewnie. - Co ty tu, na miłość boską, robisz?

- To samo co ty - odparł.

Co to miało znaczyć? Że szpieguje? Nie, Ellis nie wie, kim jest Jean-Pierre.

Dostrzegł zmieszanie na twarzy Jane i wyjaśnił:

- To znaczy, przyjechałem, żeby pomagać rebeliantom.

Czy odkryje działalność Jean-Pierre'a? Jane zaniepokoiła się nagle o męża. Ellis mógłby go zabić...

- Czyje to dziecko? - spytał Ellis.

- Moje. I Jean-Pierre'a. Ma na imię Chantal. - Zauważyła, że Ellis nagle bardzo posmutniał. Domyśliła się, że miał nadzieję zastać ją nieszczęśliwą w małżeństwie z Jean-Pierre'em. O Boże, on mnie chyba nadal kocha, pomyślała. Podjęła próbę zmiany tematu. - Ale w jaki sposób będziesz pomagał rebeliantom?

Zważył w rękę swoją torbę. Był to wielki, kiefbaskowaty w kształcie toboń z brezentu z kolorze khaki, podobny do staromodnych wojskowych worków.



- Będę ich uczył wysadzania dróg i mostów - wyjaśnił. - Tak więc, jak widzisz, w tej wojnie jestem po tej samej stronie co ty.

Ale nie po tej samej co Jean-Pierre, pomyślała. I co teraz będzie? Afgańczycy ani przez chwilę nie podejrzewali Jean-Pierre'a, ale Ellis był fachowcem w wykrywaniu wrogiej działalności. Wcześniej czy później zorientuje się w sytuacji.

- Jak długo zamierzasz tu pozostać? - spytała. Jeśli nie będzie to długi pobyt, nie zdąży może powziąć podejrzeń.

- Przez lato - odparł nie precyzując okresu.

Może nie będzie się zbyt często stykał z Jean-Pierre'em.

- Gdzie będziesz mieszkał? - spytała.

- W tej wiosce.

- Och.

Wyłowił w jej głosie niezadowolenie i uśmiechnął się z przymusem.

- Chyba nie powinienem się spodziewać, że będziesz uszczęśliwiona moim widokiem...

Jane wybiegła myślami w przyszłość. Gdyby zdołała skłonić Jean-Pierre'a do zaprzestania działalności, nic by mu już nie groziło. Nagle poczuła się zdolna do konfrontacji z mężem. Skąd ta zmiana? - zdumiała się. Bo już się go nie boję. A dlaczego się go nie boję? Bo jest tu Ellis.

Nie zdawałam sobie sprawy, że boję się własnego męża.

- Wprost przeciwnie - odezwała się do Ellisa myśląc: ależ ze mnie bryła lodu! - Jestem szczęśliwa, że tu jesteś.

Zapadło milczenie. Ellis wyraźnie nie wiedział, jak rozumieć reakcję Jane. Po chwili powiedział:

- Hmm, gdzieś w tym zoo mam mnóstwo materiałów wybuchowych i podobnego chłamu. Lepiej się tym zajmę.

Jane skinęła głową.

- Okay.

Ellis odwrócił się i wmieszał w tłum. Jane z uczuciem oszołomienia wyszła wolnym krokiem z dziedzińca meczetu. Ellis jest tu, w Dolinie Pięciu Lwów, i najwyraźniej nadal ją kocha.

Gdy zbliżyła się do chaty sklepikarza, z drzwi wyszedł Jean-Pierre.

Wstąpił tam po drodze do meczetu prawdopodobnie po to, żeby zostawić torbę lekarską. Jane nic bardzo wiedziała, co mu powiedzieć.

- Z konwojem przybył ktoś, kogo znasz - zaczęła.

- Europejczyk?

- Tak.

- Co ty powiesz? Kto?

- Idź i zobacz. Zdziwisz się.

Odszedł pośpiesznie. Jane weszła do chaty. Jak Jean-Pierre zareaguje na widok Ellisa - zastanawiała się. Tak, będzie chciał powiadomić o jego pojawieniu się Rosjan. A Rosjanie będą chcieli zabić Ellisa.

Ta myśl rozżłościła ją.

- Dostyc tego zabijania! - powiedziała na głos. - Nie dopuszczę do tego! - Chantal rozplakała się na dźwięk jej głosu. Jane wzięła ją na ręce i mała uspokoiła się.

Jak mam teraz postąpić? - myślała Jane.

Muszę mu uniemożliwić dalsze kontakty z Rosjanami.

Ale jak?

Nie może się spotykać ze swoim łącznikiem tutaj, w wiosce. A więc wystarczy, żebym go tu przytrzymała.

Powiem mu: musisz obiecać, że nie będziesz oddalał się z wioski. Jeśli tego nie zrobisz, powiem Ellisowi, że jesteś szpiegiem, a on już zadba o to, żebyś nie wychylił nosa poza opłotki.

Przypuścmy teraz, że Jean-Pierre składa takie przyrzeczenie, a potem je łamie?

No cóż, odkryłabym, że wyszedł z wioski, wiedziałabym, że udał się na spotkanie z łącznikiem i mogłabym ostrzec Ellisa.

Czy on nie ma czasem jakiegoś innego sposobu kontaktowania się z Rosjanami?

Musi mieć taki, na wypadek sytuacji awaryjnej.

Ale tutaj nie ma telefonów, nie ma poczty, nie ma posłańców, nie ma gołębi pocztowych...

*Musi mieć radio.*

Jeśli ma radio, to nie ma mowy, żebym zdołała go powstrzymać.

Im więcej się nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do przekonania, że Jean-Pierre ma radio. Musiał się przecież jakoś umawiać na te spotkania w kamiennych chatach. Teoretycznie mogli sobie ustalić harmonogram spotkań jeszcze przed wyjazdem z Paryża, ale w praktyce było to niemal niemożliwe - co by się stało, gdyby nie mógł się stawić w umówionym terminie albo gdyby się spóźnił, lub też gdyby musiał spotkać się z łącznikiem w nagłej sprawie?

*Musi mieć radio.*

Co robić, jeśli je ma?

Zabrać mu je.

Włożyła Chantal z powrotem do kołyski i rozejrzała się po domu. Weszła do izby frontowej. Na znajdującej się tam wykładanej kafelkami ladzie, pośrodku dawnego pomieszczenia sklepowego stała torba lekarska Jean-Pierre'a.

To było wymarzone miejsce na schowek. Nikomu poza Jane nie wolno było otwierać tej torby, a ona nigdy nie miała powodu, by to robić.

Odpięła zatrzask i jedną po drugiej zaczęła wyjmować znajdujące się w niej rzeczy.

Radia tam nie było.

To nie będzie wcale takie proste.

*Musi je mieć*, pomyślała, i ja muszę je znaleźć - jeśli mi się nie uda, to albo Ellis zabije jego, albo on Ellisa.

Postanowiła przeszukać cały dom.

Przejrzała zapasy leków i sprzętu medycznego na półkach sklepikarza, zaglądając do wszystkich odpiętotowanych pudeł i paczek; śpieszyła się w obawie, że Jean-Pierre wróci, zanim ona zdąży skończyć. Nie znalazła nic.

Przeszła do sypialni. Przetrasnęła jego ubrania, a potem zimową pościel, rzuconą na stos w kącie izby. Nic. Wbiegła do izby gościnnej i rozejrzała się gorączkowo za miejscami nadającymi się na schowek. Skrzynia z mapami! Otworzyła ją. Były tam same mapy. Zatrzęsnęła z hukiem wieko. Chantal drgnęła niespokojnie, ale nie zaczęła płakać, chociaż zbliżała się już pora karmienia. Grzeczny z ciebie dzidziuś, pomyślała Jane - dzięki Bogu! Zajrzała za kredens i uniosła kobierzec sprawdzając, czy nie ma pod nim dziury w podłodze.

Nic.

Musi tu gdzieś być. Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby Jean-Pierre podjął ryzyko ukrycia radia poza domem, gdyż istniałoby wtedy ogromne niebezpieczeństwo, że ktoś znajdzie je przez przypadek.

Wróciła do izby sklepowej. Gdyby tylko udało jej się znaleźć radio, wszystko byłoby w porządku - nie miałby innego wyjścia, jak tylko poddać się.

Torba Jean-Pierre'a była jednak najbardziej oczywistym miejscem, bo nosił ją wszędzie ze sobą. Podniosła ją. Była ciężka. Obmacała jeszcze raz wnętrze. Miała dziwnie gruby spód.

Doznała olśnienia.

Torba może mieć podwójne dno.

Zbadała denko palcami. Musi tu być, myślała, *musi*.

Wcisnęła palce pod spód i pociągnęła w górę.

Fałszywe dno uniosło się bez oporu.

Z sercem podchodzącym do gardła zajrzała do torby.

W odsłoniętej przed chwilą tajnej skrytce spoczywało czarne, plastikowe pudełeczko.

Wyjęła je.

To jest to, pomyślała; kontaktuje się z nimi za pośrednictwem tego małego radjka.

Dlaczego spotyka się z nimi również osobiście?

Może nie chce zdradzać im tajemnic przez radio w obawie, że ktoś podsłucha. Może radio służy tylko do umawiania się na spotkania i do kontaktowania się w pilnych sprawach.

Na przykład, kiedy nie może oddalić się z wioski.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi od tyłu chaty. Prerażona rzuciła radio na podłogę i odwróciwszy się błyskawicznie zajrzała do izby gościnnej. Zobaczyła wchodzącą z miotłą Farę.

- O Chryste - westchnęła głośno. Odwróciła się - serce waliło jej jak młotem.

Musi pozbyć się tego radia, zanim wróci Jean-Pierre.

Ale jak? Nie może go wyrzucić - ktoś mógłby je znaleźć.

Musi je roztrzaskać.

Czym?

Nie ma młotka.

No to kamieniem.

Przebiegła przez izbę gościnną i wypadła na podwórko. Otaczał je mur z polnych kamieni spojonych piaskową zaprawą. Podniosła ręce i spróbowała poruszyć jeden z kamieni z wierzchniej warstwy. Trzymał się raczej pewnie. Przymierzyła się do sąsiedniego i do następnego. Czwarty kamień tkwił w murze jakby luźniej. Poprawiła chwyt i pociągnęła. Drgnął.

- Chodź tu, no wyłaź! - krzyknęła. Szarpnęła z całych sił. Szorstka powierzchnia kamienia przecięła jej skórę na dłoniach. Natężyła mięśnie i kamień wysunął się z muru. Odskokzyła w tył, kiedy spadał na ziemię. Był mniej więcej wielkości puszki fasoli - w sam raz. Podniosła go oburącz i wróciła biegiem do chaty.

Wpadła do izby frontowej. Podniosła z podłogi czarny, plastikowy radionadajnik i położyła go na wykładanym kafelkami kontuarze. Potem uniosła kamień nad głowę i opuściła go z całych sił na radio.

Plastikowa obudowa pękła.

Trzeba walnąć mocniej.

Ponownie uniosła kamień nad głowę i opuściła go. Tym razem obudowa rozleciała się na kawałki odsłaniając wnętrze aparatu: ujrzała płytkę drukowaną, stożek głośnika i dwie baterie z napisami w języku rosyjskim. Wyszarpnęła baterie, cisnęła je na podłogę i zaczęła miażdżyć urządzenie.

Nagle ktoś chwycił ją od tyłu.

- Co ty wyprawiasz?! - usłyszała krzyk Jean-Pierre'a.

Wyrwała mu się na chwilę i jeszcze raz rąbnęła kamieniem w radyjko. Chwycił ją za ramiona i odepchnął brutalnie na bok. Potknęła się i rozciągnęła jak długa na podłodze. Upadła tak nieszczęśliwie, że skrzyła sobie nadgarstek.

Jean-Pierre wpatrywał się dzikim wzrokiem w radio.

- Szelc! - krzyknął - Nie ma nawet co zbierać! - złapał ją za koszulę i poderwał ostro na nogi. - Nie wiesz nawet, co zrobiłaś! - wrzasnął. Z jego oczu wycierała rozpacz i dzika wściekłość.

- Puść mnie! - krzyknęła. Nie miał prawa tak się zachowywać, bo to on ją oszukiwał. - Jak śmiesz podnosić na mnie rękę!

- Jak śmiem? - wypuścił z rąk jej koszulę, zamachnął się i wyprowadził silny cios. Pięść wylądowała na jej żołądku. Na ułamek sekundy szok po prostu ją sparaliżował; potem przyszedł ból umiejscowiony gdzieś głęboko, w miejscu wciąż obolałym po porodzie. Krzyknęła i zgięła się wpół, przyciskając ręce do brzucha.

Powieki miała zaciśnięte, nie widziała więc zbliżającej się ponownie pięści.

Wylądowała na jej ustach. Krzyknęła. Nie dawała wprost wiary, że mógł jej to robić. Otworzyła oczy i spojrzała na niego bojąc się panicznie, że znowu ją uderzy.

- Jak śmiem?! - wrzasnął. - Jak śmiem?

Padła na kolana na klepisko i zaczęła szlochać z szoku, bólu i upokorzenia. Usta bolały ją tak, że ledwie mogła mówić.

- Proszę cię, nie bij mnie - wybełkotała. - Nie bij mnie już. - Zasłoniła twarz ręką w obronnym geście.

Ukląkł, oderwał jej rękę od twarzy i pochylił się tak, że ich nosy niemal zetknęły się ze sobą.

- Od kiedy wiesz? - wysyczał.

Oblizwała wargi. Puchły już. Dotknęła ich rękawem; kiedy go od nich oderwała, był zakrwawiony.

- Od kiedy zobaczyłam cię w kamiennej chacie... w drodze do Cobak - wybełkotała.

- Ale przecież nic tam nie zauważyłaś!

- On mówił z rosyjskim akcentem i skarżył się na odciski. Na tej podstawie wszystko wydedukowałam.

Milczał przez chwilę zbierając myśli.

- Dlaczego właśnie teraz? - spytał. - Dlaczego nie rozbiłaś radia wcześniej?

- Bałam się.

- A teraz nie?

- Ellis tu jest.

- No to co?

Jane zebrała te resztki odwagi, jakie jej jeszcze pozostały.

- Jeśli z tym nie skończysz... z tym szpiegowaniem... powiem Ellisowi i on cię powstrzyma.

Złapał ją za gardło.

- A co będzie, jeśli cię uduszę, ty suko?

- Jeśli coś mi się stanie... Ellis będzie dociekał dlaczego. On nadal mnie kocha.

Wpatrywała się w niego. W jego oczach płonęła nienawiść.

- Teraz nigdy go nie dostanę! - wycedził przez zęby. Nie wiedziała, o kogo mu chodzi. O Ellisa? Nie. O Masuda? Czyżby docelowym zadaniem Jean-Pierre'a było zabicie Masuda? Jego dłonie wciąż obejmowały jej gardło. Czowała, jak ich chwyt się zaciesnia. Obserwowała ze strachem jego twarz.

I wtedy zapłakała Chantal.

Wyraz twarzy Jean-Pierre'a zmienił się zdecydowanie. Z jego oczu zniknęła wrogość, złagodniało nieruchome, napięte, pełne wściekłości spojrzenie; po chwili, ku zdumieniu Jane, zakrył oczy dłońmi i rozplakał się.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Nagle zdała sobie sprawę, że jest jej go żal i pomyślała: nie bądź głupia, ten sukinsyn dopiero co cię pobił. Ale wbrew samej sobie czuła się poruszona jego łzami.

- Nie płacz - powiedziała cicho. Głos miała zadziwiająco łagodny. Dotknęła jego policzka.

- Przepraszam - wyszlochał. - Przepraszam za to, co ci zrobiłem. Praca całego mojego życia... wszystko na marne.

Uświadomiła sobie ze zdziwieniem i odrobiną odrazy, że pomimo opuchniętych warg i nie ustępującego bólu w dole brzucha, nie jest już na niego zła. Dopuszczała do głosu wzruszenie, objęła go ramieniem i zaczęła poklepywać po plecach, jakby uspokajała dziecko.

- Tylko przez akcent Anatolija - wymamrotał. - Tylko przez ten akcent.

- Zapomnij o Anatoliju - powiedziała. - Wyjedziemy z Afganistanu i wrócimy do Europy. Wyruszymy z następnym konwojem.

Oderwał ręce od twarzy i spojrzał na nią.

- Kiedy wrócimy do Paryża...

- Tak?

- Kiedy znajdziemy się już w domu... nadal chcę, żebyśmy byli razem. Potrafisz mi wybaczyć? Kocham cię... naprawdę, zawsze cię kochałem. I jesteśmy małżeństwem. I mamy Chantal. Proszę cię, Jane... proszę cię, nie zostawiaj mnie. Błagam!

Ku własnemu zaskoczeniu nie wahała się ani przez chwilę. Był mężczyzną, którego kochała, był jej mężem, ojcem jej dziecka; i był teraz w kłopotach, i prosił o pomoc.

- Nigdzie nie odchodzę - odparła.

- Obiecaj - powiedział. - Obiecaj, że mnie nie zostawisz.

Uśmiechnęła się do niego zakrwawionymi ustami.

- Kocham cię - powiedziała. - Obiecuję, że cię nie porzucę.

## ROZDZIAŁ 9

Ellis był sfrustrowany, zniecierpliwiony i zły. Sfrustrowany, bo przebywał już siedem dni w Dolinie Pięciu Lwów i nie widział się jeszcze z Masudem. Zniecierpliwiony, bo widok Jane i Jean-Pierre'a wiodących wspólne życie, pracujących razem i dzielących radość ze swej udanej dziewczynki stanowił dla niego codzienny czyściec. I zły, bo za wrobienie w tę paskudną sytuację nie mógł winić nikogo, tylko siebie samego.

Powiedziano mu, że zobaczy się z Masudem dzisiaj, ale jak dotąd ten wielki człowiek nie pojawił się. Żeby tu dotrzeć, Ellis maszerował cały wczorajszy dzień. Znajdował się teraz na południowo-zachodnim krańcu Doliny Pięciu Lwów, na terytorium zajęтым przez agresora. Wyruszył z Bandy w towarzystwie trzech partyzantów - Ali Ghanima, Matullaha Khana i Yussufa Gula - ale w każdej mijanej wiosce dołączało do nich po dwóch, trzech ludzi i teraz było ich w sumie trzydziestu. Siedzieli kręgiem pod drzewem figowym niedaleko szczytu wzgórza, zajadali figi i czekali.

U stóp wzgórza, na którym siedzieli, zaczynała się płaska równina, ciągnąca się ku południowi - w istocie aż do samego Kabulu, ale było do niego pięćdziesiąt mil i nie mogli go widzieć. O wiele bliżej, zaledwie dziesięć mil w tym samym kierunku, znajdowała się baza sił powietrznych Bagram: jej zabudowania nie były wprawdzie widoczne, ale od czasu do czasu dostrzegali wzbijający się w powietrze odrzutowiec. Równina stanowiła mozaikę żyznych pól i ogrodów, poprzecinanych strumieniami, z których wszystkie wpadały do Rzeki Pięciu Lwów, rozlewającej się tu coraz szerzej i coraz głębszej, ale nadal bystro toczącej swe wody w kierunku stołecznego miasta. Podnóżem wzgórza biegł wyboisty trakt, wiodący w Dolinę aż do miasteczka Rokha, które stanowiło tutaj najdalej na północ wysunięty punkt okupowanego terytorium. Ruch na traktach nie był wielki - paru wieśniaków na wozach i od czasu do czasu opancerzony samochód. Tam gdzie trakt przecinał rzekę, znajdował się nowy, wzniesiony przez sowieckich saperów most.

Ellis miał wysadzić ten most w powietrze.

Lekcje posługiwania się materiałami wybuchowymi, których udzielał dla możliwie najdłuższego maskowania prawdziwego celu swej misji, cieszyły się ogromną popularnością i był zmuszony do ograniczania liczby słuchaczy. Nie umniejszała tego jego słaba znajomość narzecza dari. Pamiętał trochę farsi z pobytu w Teheranie i liznął sporo dari wędrując tu z konwojem, potrafił więc rozmawiać o krajobrazie, jedzeniu, koniach i broni, ale wciąż nie umiał wyrazić w miejscowym języku takich fachowych pojęć, jak na przykład *Efektem*



*nacięcia wykonanego w materiale wybuchowym jest zogniskowanie siły eksplozji.* Mimo to, idea wysadzania w powietrze rozmaitych rzeczy tak bardzo przemawiała do afgańskiej wyobraźni, że zawsze mógł liczyć na słuchające w skupieniu audytorium. Nie był w stanie nauczyć ich wzorów służących do wyliczania ilości TNT, niezbędnej do wykonania określonego zadania, ani nawet posługiwania się przeznaczoną dla najgłupszych taśmą przeliczeniową, opracowaną na użytek U. S. Army, bo żaden z nich nie wyznawał się na arytmetyce choćby na poziomie podstawówki, a większość nie umiała nawet czytać. Niemniej potrafił pokazać im, jak niszczyć obiekty z pewniejszym skutkiem, zużywając jednocześnie do tego mniej materiału - co było dla nich bardzo ważne, bo wciąż cierpieli na braki w zaopatrzeniu. Próbował również wpoić im podstawowe zasady bezpieczeństwa, ale tutaj poniósł porażkę - dbałość o bezpieczeństwo uchodziła w ich oczach za oznakę tchórzostwa.

Przez cały ten czas przeżywał tortury z powodu Jane.

Był zazdrosny widząc, jak dotyka Jean-Pierre'a; odczuwał zawiść widząc ich dwoje w jaskiniowym lazarecie, tak wydajnie i w takiej harmonii ze sobą współpracujących; i zżerało go pożądanie na widok nabrzmiałych piersi Jane karmiącej dziecko. Nocami, nie mogąc zasnąć, leżał w śpiworze w chacie Ismaela Gula, u którego kwaterował, i przewracał się z boku na bok to pocąc się, to znów dygocząc z zimna, nie mogąc znaleźć sobie miejsca na twardym klepisku z udeptanej ziemi, usiłując nie zwracać uwagi na przytłumione głosy Ismaela i jego żony, kochających się kilka metrów od niego, w sąsiedniej izbie; dłonie wprost swędziały go, by dotykać Jane.

Winą za to wszystko mógł obarczać tylko siebie samego. Zgodził się na podjęcie tej misji w daremnej nadziei, że może skłoni Jane do powrotu. Było to rozumowanie równie nieprofesjonalne, co niedojrzałe. Pozostawało mu tylko jak najprędzej się stąd wynieść.

Dopóki jednak nie spotka się z Masudem, nie może przedsięwziąć niczego w tym kierunku.

Wstał i zaczął się przechadzać niecierpliwie, nie dbając o trzymanie się w cieniu drzewa, który chronił oddział przed dostrzeżeniem z drogi. Kilka jardów dalej, w miejscu, gdzie kiedyś rozbił się helikopter, leżała kupa pogiętego, poskręcane go żelastwa. Wypatrzył w niej kawałek stalowej blachy wielkości mniej więcej talerza i podsunęło mu to pewien pomysł. Od jakiegoś czasu zastanawiał się nad sposobem zademonstrowania działania ładunków kumulacyjnych i teraz go znalazł.

Wyjął z torby polowej mały, płaski kawałek TNT i nóż sprężynowy. Partyzanci przysunęli się bliżej. Był wśród nich Ali Ghanim, drobny, nieszczęsny człowieczek - krzywy nos, zdeformowane zęby i lekko przygarbione plecy - o którym mówiono, że ma

czternaścioro dzieci. Ellis wyrzezał w TNT perskim pismem *Ali*. Pokazał wszystkim swoje dzieło. Ali rozpoznał swoje imię.

- Ali - powiedział odsłaniając w uśmiechu swe okropne zęby.

Ellis położył materiał wybuchowy na kawałku stalowej blachy, stroną z wyciętym imieniem do dołu.

- Miejmy nadzieję, że się uda - powiedział z uśmiechem i oni też się uśmiechnęli, chociaż żaden nie znał angielskiego. Wydobył ze swej pojemnej torby zwój wolnopalnego lontu i odciął czterostopowy kawałek. Wyjął teraz pudełko z zapalnikami, wybrał z niego jeden detonator i wsunął koniec lontu w cylindryczny zacisk. Przymocował detonator do kawałka TNT taśmą samoprzylepną.

Spojrzał w dół, na drogę. Nie zobaczył na niej nikogo. Odszedł na pięćdziesiąt kroków stokiem wzgórza i tam położył swoją małą bombę na ziemi. Zapalił lont zapalką i wrócił pod drzewo.

Lont był wolnopalny. Czekać, aż dopali się do końca, Ellis zastanawiał się, czy Masud nie kazał go czasem obserwować i rozpracować innym partyzantom. Może przywódca chciał się najpierw upewnić, czy Ellis jest osobą poważną, zasługującą na szacunek partyzantów? Protokół w armii, nawet rewolucyjnej, był zawsze rzeczą ważną. Ale Ellis nie mógł dłużej dreptać w miejscu. Jeśli Masud nie pojawi się dzisiaj, będzie zmuszony zarzucić tę zabawę z materiałami wybuchowymi, wyjawic, że jest wysłannikiem Białego Domu i zażądać natychmiastowego skontaktowania go z przywódcą rebeliantów.

Rozległ się niezbyt imponujący huk, któremu towarzyszył mały obłoczek kurzu. Partyzanci z rozczarowaniem przyjęli tę mizerną eksplozję. Ellis poszedł po kawałek blachy i podniósł go przez swój szal na wypadek, gdyby metal był jeszcze gorący. Widniało na nim imię Ali przepalone na wylot postrzępionymi na krawędziach literami perskiego pisma. Pokazał blachę partyzantom, którzy rozjazgotali się podnieconym gwarem. Ellis nie krył zadowolenia - to była praktyczna demonstracja tezy, że materiał wybuchowy, wbrew temu, co dyktuje zdrowy rozsądek, jest silniejszy w miejscu, w którym się go natnie.

Nagle partyzanci zamilkli. Ellis rozejrzał się i zobaczył nadchodzącą wzgórzem grupkę siedmiu czy ośmiu ludzi. Po strzelbach i okrągłych czapkach chitrali można było w nich rozpoznać partyzantów. Gdy podeszli bliżej, Ali zeszywniał niemal w postawie na baczność.

- Kto to? - spytał go Ellis.

- Masud - odparł Ali.

- Który to?

- Ten w środku.

Ellis utkwiał wzrok w postaci kroczącej pośrodku grupy. Na pierwszy rzut oka Masud nie wyróżniał się niczym spośród pozostałych: szczupły mężczyzna średniego wzrostu w ubraniu koloru khaki i zdobycznych butach. Ellis przyjrzał się badawczo jego twarzy. Mężczyzna był jasnoskóry i nosił rzadki wąsik oraz rachityczną bródkę nastolatka. Miał długi, haczykowato zakończony nos. Czuźne, ciemne oczy otoczone były głębokimi zmarszczkami, co nadawało mu wygląd starszego o co najmniej pięć lat od dwudziestu ośmiu, jakie podobno sobie liczył. Nie była to twarz przystojna, ale bijące z niej żywa inteligencja i chłodny autorytet wyróżniały go spośród otaczających go ludzi.

Podszedł z wyciągniętą ręką prosto do Ellisa.

- Jestem Masud.

- Ellis Thaler. - Ellis potrząsnął jego ręką.

- Zamierzamy wysadzić ten most - powiedział Masud po francusku.

- Teraz?

- Tak.

Ellis zabrał się do pakowania sprzętu do torby, a Masud obszedł tymczasem grupę partyzantów wymieniając z jednymi uściski dłoni, innych pozdrawiając skinieniem głowy, biorąc paru w objęcia, do każdego odzywając się kilkoma słowami.

Gdy byli już gotowi, ruszyli w dół zbocza luźną gromadą.

Jak domyślał się Ellis, miało to zwiększyć prawdopodobieństwo, że w przypadku dostrzeżenia zostaną wzięci nie za oddział rebelianckiej armii, lecz za grupę wieśniaków. Gdy znaleźli się u stóp wzgórza, przestali być widoczni z drogi, chociaż nadal groziło im dostrzeżenie z przelatującego helikoptera - Ellis zakładał, że ukryją się, kiedy usłyszą warkot silnika. Podążali ścieżką biegnącą wśród uprawnych pól, kierując się ku rzece. Minęli kilka małych chat i zostali dostrzeżeni przez pracujących w polu ludzi, z których jedni ostentacyjnie ich ignorowali, a inni machali rękami i wykrzykiwali pozdrowienia. Dotarwszy do rzeki ruszyli jej brzegiem, wykorzystując do maksimum osłonę, jaką mogły zapewnić głazy i niezbyt wybijająca roślinność nad sama wodą. Gdy od mostu dzieliło ich około trzystu jardów, wtoczyła się nań mała kolumna wojskowych ciężarówek. Partyzanci ukryli się czekając, aż turkot pojazdów ścichnie na trakcie do Rokhy. Ellis przypadł do ziemi pod wierzbą obok Masuda.

- Niszcząc most - powiedział Masud - odcinamy im drogę zaopatrzenia do Rokhy.

Gdy ciężarówki przejechały, odczekali jeszcze kilka minut, po czym pokonali resztę drogi dzielącej ich od mostu i niewidoczni z drogi zbili się pod nim w gromadkę.

W swym środkowym punkcie most wznosił się na dwadzieścia stóp ponad poziom wody, której głębokość w tym miejscu nie przekraczała chyba dziesięciu stóp. Ellis przekonał się, że jest to prosta konstrukcja podłużnicowa - dwie długie stalowe belki, sięgające od brzegu do brzegu i nie podpierane na swej długości żadnym pośrednim wspornikiem, na których ułożono jezdnię z płaskich betonowych płyt. Beton stanowił obciążenie statyczne, przejmowane w całości przez belki. Zerwać je, a most runie.

Ellis przystąpił do przy gotowań. Dysponował TNT w postaci jednofuntowych, żółtych laseczek. Sporządził wiązkę składającą się z dziesięciu lasek oklejonych taśmą. Materiału wybuchowego starczyło akurat na jeszcze trzy takie wiązki. Stosował TNT, bo można go było najczęściej spotkać w bombach, pociskach artyleryjskich, minach i w granatach ręcznych, a większość materiałów wybuchowych partyzanci pozyskiwali z sowieckich niewypałów. Na ich potrzeby bardziej nadawałby się plastik, gdyż można go było upychać w dziury, owijać wokół metalowych dźwigarów i w ogóle formować w dowolny kształt - zmuszeni byli jednak pracować z takim materiałem, jaki byli w stanie znaleźć albo ukraść. Od czasu do czasu udawało im się zdobyć trochę plastiku od sowieckich saperów w zamian za uprawianą w Dolinie marihuanę, ale wymagająca udziału pośredników z regularnej armii afgańskiej transakcja była ryzykowna, a wielkość dostaw ograniczona. Ellis dowiedział się tego wszystkiego od agenta CIA, rezydującego w Peszawarze, i informacja okazała się rzetelna.

Na podłużnice mostu zastosowano dwie stalowe belki dwuteownikowe, ułożone w odległości ośmiu stóp od siebie.

- Niech mi któryś znajdzie kij tej długości - powiedział Ellis, pokazując odległość dzielącą podłużnice. Jeden z partyzantów podbiegł do młodego drzewka rosnącego nad brzegiem rzeki i wyrwał je z korzeniami. - Potrzeba mi jeszcze jednego tej samej długości - powiedział Ellis.

Położył wiązkę TNT na dolnym występie jednego z dwuteowników i poprosił pierwszego z brzegu partyzanta, żeby ją tam przytrzymał. Drugą wiązkę umieścił naprzeciwko, na drugim dwuteowniku; następnie między oba ładunki wcisnął drzewko, które rozpierając się unieruchomiło je.

Przebrnął rzekę w bród i zrobił dokładnie to samo z drugiego końca mostu.

Objasniał wszystkie swe czynności posługując się mieszaniną dari, francuskiego i angielskiego, obserwującym go partyzantom pozostawiając zmartwienie, jak wyłapać z tego wszystkiego jak najwięcej - i tak najważniejsze, żeby zobaczyli, jak się to robi i jaki jest tego skutek. Zainstalował przystosowany do detonowania silnych ładunków burzących lont

primacord, palący się z szybkością 21 stóp na sekundę, i połączył cztery wiązki tak, by eksplodowały równocześnie. Następnie sporządził lont podwójny składając odcinek primacordu na pół i skręcając ze sobą obie części. Wyjaśnił Masudowi po francusku, że dzięki temu płomień biegnie lontem do TNT z dwóch stron i w przypadku przerwania jednej z nitek bomba i tak wybucha. Zalecił stosowanie tej metody jako rutynowego środka bezpieczeństwa.

Czerpał z tej pracy dziwne zadowolenie. W wykonywanych mechanicznie czynnościach i beznamiętnym wyliczaniu ciężaru ładunku było coś kojącego. No i teraz, kiedy Masud w końcu się ujawnił, mógł wreszcie podjąć swoją misję.

Przeciągnął primacord po dnie, gdzie był mniej widoczny - pod wodą będzie się palił równie dobrze, jak na powietrzu - i wyprowadził na brzeg sam jego koniec. Przyczepił do niego sponkę, a do niej czterominutowy odcinek zwykłego wolnopalnego lontu.

- Gotowi? - zwrócił się do Masuda.

- Tak - powiedział Masud.

Ellis podpalił lont.

Oddalili się szybko brzegiem w górę rzeki. Odczuwał tajoną chłopięcą radość na myśl o potwornym wybuchu, jaki zaraz za jego sprawą nastąpi. Pozostali również wyglądali na podnieconych i ciekaw był, czy skrywa swój entuzjazm tak samo źle jak oni. Gdy tak popatrywał po towarzyszących mu partyzantach, zauważył, że twarze ich zmieniły się raptownie. Pojawiła się na nich czujność jak u ptaków, które nasłuchują szmeru robaków w ziemi; on też to usłyszał - odległy chrzęst gąsienic czołgów.

Z miejsca, gdzie się znajdowali, nie było widać drogi, ale jeden z partyzantów wspiął się zwinnie na drzewo.

- Dwa - zameldował.

Masud ujął Ellisa pod ramię.

- Czy możesz wysadzić most, kiedy te czołgi znajdą się na nim? - spytał.

O, cholera, pomyślał Ellis - ale wymagania.

- Nie nią sprawy - odparł zuchowato.

Masud skinął głową, uśmiechając się nieznacznie.

- Świetnie.

Ellis wdrapał się na drzewo, na którym siedział partyzant, i spojrzał ponad polami na drogę. Wąskim, brukowanym kamieniami traktem z Kabulu pełzły ciężko dwa czarne czołgi. Była to pełna emocji chwila - po raz pierwszy stawał oko w oko z nieprzyjacielem. Uzbrojony w potężne działa, skryty za pancernymi płytami, wydawał się niedosięgly, zwłaszcza w

zestawieniu z obszarpanymi partyzantami i ich strzelbami; mimo to Dolina zasłana była wrakami czołgów, które partyzanci zniszczyli minami własnej produkcji, celnie rzuconymi granatami i kradzionymi raketami.

Czołgom nie towarzyszyły żadne inne pojazdy. Nie był to zatem patrol ani oddział szturmowy; czołgi odstawiano pewnie do Rokha po naprawie przeprowadzonej w Bagram lub też przybyły dopiero transportem ze Związku Radzieckiego.

Zaczął obliczać.

Czołgi poruszały się z prędkością około dziesięciu mil na godzinę, dotrą więc do mostu za półtorej minuty. Lont pali się już prawie od minuty. Pozostały jeszcze co najmniej trzy minuty, zanim płomień dotrze do spłonki. Jeśli tak to zostawi, czołgi zdołają przejechać przez most i zanim nastąpi wybuch, znajdą się w bezpiecznej od niego odległości.

Zeskoczył z drzewa i puścił się biegiem myśląc - ile to już, u diabła, lat, kiedy ostatni raz znajdowałem się w strefie działań wojennych?

Usłyszał za sobą tupot nóg i obejrzał się. Tuż za nim biegł Ali, szczerząc w uśmiechu straszne zęby, a po piętach deptało mu jeszcze dwóch mężczyzn. Reszta ukryła się na brzegu rzeki.

W chwilę później dopadł do mostu i, przyklękając na jedno kolano nad wolnopalnym lontem, zsunął z ramienia torbę. Rozpinając torbę i grzebiąc w niej w poszukiwaniu noża, nie zaprzestawał obliczeń. Czołgi znajdują się teraz o minutę drogi od mostu, myślał. Lont detonujący płonie z szybkością jednej stopy na jakieś trzydzieści do czterdziestu pięciu sekund. Czy ten, który zastosował, należy do wolno-, średnio-, czy szybkoopalnych? O ile dobrze pamiętał, to chyba jednak do szybkoopalnych. Powiedzmy zatem, że stopa na trzydzieści sekund. W ciągu trzydziestu sekund zdołają odbiec na około stu pięćdziesięciu jardów - odległość właściwie bezpieczna, ale na styk.

Wysunął ostrze noża i podał go Alemu, który przyklął obok. Sam pochwycił lont w miejscu oddalonym o stopę od punktu jego połączenia ze spłonką i trzymając go oburącz dał Alemu znak, żeby ciął. Koniec skróconego lontu został mu w lewej ręce, a płonący odcinek w prawej. Nie był pewien, czy należy już podpalić skrócony lont. Musi sprawdzić, jak daleko są czołgi.

Nie wypuszczając z rąk obu kawałków lontu i wlokąc za sobą po dnie rzeki primacord, wdrapał się na skarpe. Wystawił głowę ponad krawędź mostu. Wielkie, czarne czołgi podpełzały coraz bliżej. Ile jeszcze - zastanawiał się gorączkowo. Liczył sekundy, oceniając jednocześnie na oko drogę pokonywaną przez maszyny; potem, już nie licząc, tylko

zdając się na los szczęścia, przytknął płonący koniec odciętego lontu detonującego do skróconego odcinka nadal połączonego z ładunkami wybuchowymi.

Położył ostrożnie zapalony lont na ziemi i rzucił się do ucieczki.

Ali i pozostali dwaj partyzanci pognali w ślad za nim.

Z początku przed wzrokiem czołgistów zasłaniał ich brzeg rzeki, ale gdy maszyny zbliżyły się, czwórka biegnących mężczyzn stała się z nich widoczna jak na dłoni. Ellis odliczał w myślach wolno upływające sekundy słysząc, jak stłumione dudnienie czołgów przeradza się z wolna w ryk.

Artylerzyści w czołgach wahali się tylko przez chwilę - można było z góry założyć, że uciekający Afgańczycy to partyzanci, a zatem odpowiedni cel do poćwiczenia. Huknęło dwa razy i nad głową Ellisa przeleciały dwa pociski. Zmienił kierunek i popędził w bok oddalając się od rzeki. Wyobraźnia podpowiadała mu, co dzieje się za jego plecami: artylerzysta koryguje odległość... teraz obraca wieżyczkę z lufą w moim kierunku... celuje... teraz. Ponownie wykonał unik, skręcając ostro z powrotem ku rzece i w sekundę później usłyszał kolejny huk. Następnym dostanę, pomyślał, chyba że najpierw wybuchnie ta cholerna bomba. Kurczę. Że też musiałem popisywać się przed Masudem, jaki to ze mnie fachura. I wtedy usłyszał, jak budzi się do życia karabin maszynowy. Trudno dobrze celować ze znajdującego się w ruchu czołgu, pocieszył się w duchu; ale mogą się zatrzymać. Oczyma wyobraźni ujrzał grad pocisków z karabinu maszynowego rwący w jego kierunku, zaczął więc kluczyć i lawirować. Nieoczekiwanie uświadomił sobie, że potrafi dokładnie przewidzieć, co zrobią Rosjanie: zatrzymają czołgi w miejscu, skąd nic nie będzie im przesłaniało widoku uciekających partyzantów, a tym miejscem będzie most. Ale czy bomby zdążą wybuchnąć, zanim strzelcy skoszą swoje cele? Przyśpieszył biegu. Serce waliło mu jak młotem; wielkimi, łapczywymi haustami chwycił powietrze. Nie chcę umierać, nawet jeśli ona go kocha, pomyślał. Dostrzegł, jak pociski dziobią głąz leżący niemal na jego drodze. Skręcił gwałtownie, ale strumień ognia podążył w ślad za nim. To chyba beznadziejne - jest łatwym celem. Usłyszał krzyk jednego z biegnących za nim partyzantów, potem sam oberwał, i to dwa razy z rzędu; poczuł piekący ból przeszywający biodro, a potem uderzenie, jakby silny klaps, w pośladek. Druga kula sparaliżowała mu na moment nogę. Zatoczył się i upadł na twarz, objając sobie boleśnie klatkę piersiową, ale zaraz przetoczył się na plecy. Usiadł nie zwracając uwagi na ból i spróbował wstać. Czołgi zatrzymały się na moście. Biegnący przez cały czas tuż za Ellisem Ali wsuwał mu już ręce pod pachy i usiłował podnieść z ziemi. Byli teraz obaj jak tarcza na strzelnicy - strzelcy z czołgów nie mogą chybić.

I w tym momencie wybuchła bomba.

To było piękne.

Cztery jednoczesne eksplozje ścięły most z obu końców, pozostawiając jego część środkową - ze stojącymi na niej dwoma czołgami - bez jakiegokolwiek punktu podparcia. Z początku zapadała się powoli ze zgrzytem trących o siebie krawędzi, potem uwolniła się i runęła widowiskowo w rwącą rzekę, lądując w niej na płask z niesamowitym pluskiem. Woda rozstąpiła się majestatycznie odsłaniając na chwilę dno, a potem z odgłosem przypominającym grzmot pioruna wypełniła z powrotem powstałą pustkę.

Gdy wszystko ucichło, Ellis usłyszał wiwaty partyzantów.

Kilku z nich wyskoczyło z ukrycia i rzuciło się ku zatopionym do połowy czołgom. Ali pomógł Ellisowi wstać. Czucie powróciło mu raptownie do nóg, a wraz z nim ból.

- Nie wiem, czy dam radę iść - powiedział do Alego w dari. Postąpił krok i byłby upadł, gdyby Ali go nie podtrzymał. - Jasny gwint - jęknął po angielsku. - Chyba dostałem w dupę.

Usłyszał strzelaninę. Spojrzawszy w tamtym kierunku zobaczył, jak ocalali Rosjanie usiłują wydostać się z czołgów, a partyzanci wyłapują ukazujących się we włączach nieszczęśników. Ci Afgańczycy to jednak zimnokrwiste dranie, pomyślał. Odwrócił wzrok od tej sceny i spostrzegł, że prawą nogawkę spodni ma moką od krwi. To pewnie z tej powierzchni rany, domyślił się; czuł, że pocisk nadal zatyka tę drugą.

Masud podszedł do niego, uśmiechając się szeroko.

- Dobra robota, ten most - pochwalił po francusku z silnym akcentem. - Wspaniała!

- Dzięki - powiedział Ellis. - Ale nie przyjechałem tutaj, żeby wysadzać mosty. - Poczuł się nagle słaby i lekko oszołomiony, ale była to przecież idealna okazja do wyłożenia kart. - Jestem tu, żeby ubić pewien interes.

Masud popatrzył na niego zaintrygowany.

- Skąd jesteś?

- Z Waszyngtonu. Z Białego Domu. Reprezentuję prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Masud skinął głową wcale tym nie zdziwiony.

- Świetnie. Cieszę się.

W tym momencie Ellis zemdłał.

\*\*\*

Wyłożył Masudowi cel swej misji jeszcze tego wieczora.

Partyzanci zmajstrowali prowizoryczne nosze i przenieśli Ellisa do leżącej w wyższych partiach Doliny Astany, gdzie zatrzymali się na noc. Masud posłał już gońca do



Bandy po Jean-Pierre'a, który miał przybyć nazajutrz, by wydobyć pocisk z tylnej części ciała Ellisa. Do tego czasu rozlokowali się na podwórku wiejskiej chaty. Ból nieco zelżał, ale podróż osłabiła Ellisa. Partyzanci założyli mu na rany prymitywne opatrunki.

W jakąś godzinę po zarządzeniu postoju podano mu gorącą, słodką, zieloną herbatę, po której poczuł się trochę lepiej, a w chwilę później zasiedli wszyscy do kolacji składającej się z morw i jogurtu. Wędrując z konwojem z Pakistanu do Doliny Ellis zaobserwował, że partyzanci postępują zawsze w ten sam sposób: w godzinę albo dwie po przybyciu do miejsca przeznaczenia pojawiał się posiłek. Nie orientował się, czy produkty kupowali, rekwirowali, czy też dostawali w darze, ale domyślał się, że jednak dawano im je za darmo - czasami z dobrej woli, czasami pod przymusem.

Kiedy się posilili, Masud przysiadł się do Ellisa i w ciągu kilku minut większość partyzantów ostentacyjnie usunęła się, pozostawiając Ellisa sam na sam z Masudem i jego dwoma adiutantami. Ellis zdawał sobie sprawę, że jeśli chce porozmawiać z Masudem, musi to zrobić teraz, bo na drugą taką okazję może czekać przez kolejny tydzień. Czuł się jednak zbyt osłabiony i wyczerpany, by podejmować się tak delikatnego i trudnego zadania.

Rozmowę zagał Masud.

- Wiele lat temu - powiedział - pewien obcy kraj prowadzący wojnę poprosił króla Afganistanu o posiłki w sile pięciuset wojowników. Afgański król wysłał mu pięciu wojowników z naszej Doliny z listem, w którym napisał, że lepiej mieć pięć lwów niż pięćset lisów. Stąd właśnie nasza Dolina nazywana jest Doliną Pięciu Lwów. - Uśmiechnął się. - Dzisiaj byłeś lwem.

- Słyszałem inna legendę - powiedział Ellis - mówiącą, że było sobie pięciu wielkich wojowników nazywanych Pięcioma Lwami, z których każdy strzegł jednej z pięciu dróg wiodących w Dolinę. I słyszałem też, że nazywają ciebie Szóstym Lwem.

- Skończmy z legendami - powiedział z uśmiechem Masud. - Co masz mi do powiedzenia?

Ellis starannie przygotowywał się do tej rozmowy, ale w jego scenariuszu nie dochodziło do niej tak raptownie. Orientalne dochodzenie do sedna sprawy określonymi drogami nie leżało najwyraźniej w stylu Masuda.

- Muszę cię najpierw zapytać - zaczął - o twoją ocenę tej wojny.

Masud skinął głową, zastanowił się i po kilku sekundach odparł:

- Rosjanie mają dwanaście tysięcy żołnierzy w mieście Rokha, które jest bramą do Doliny. Ich taktyka jest tradycyjna: najpierw pola minowe, potem afgańska armia rządowa i na koniec wojska sowieckie do powstrzymywania cofających się Afgańczyków. Spodziewają

się posiłków w sile tysiąca dwustu ludzi. Planują rozpoczęcie wielkiej ofensywy na Dolinę w ciągu dwóch tygodni. Za cel stawiają sobie zniszczenie naszych sił.

Ellis był ciekaw, skąd Masud zdobył tak precyzyjne informacje wywiadowcze, ale takt nie pozwolił mu o to spytać. Zamiast tego zadał inne pytanie:

- I ta ofensywa ma szansę powodzenia?

- Nie - odparł Masud z niezachwianą pewnością siebie. - Kiedy zaatakują, wtopimy się we wzgórza, nie będą więc mieli z kim walczyć. Gdy się zatrzymają, spadniemy z góry i odetniemy im drogi zaopatrzenia. Stopniowo wyniszczymy ich. Dojdą do wniosku, że utrzymywanie terytorium nie dającego żadnej przewagi militarnej kosztuje ich zbyt wiele. W rezultacie wycofają się. Zawsze tak się kończy.

To cytując z podręcznika prowadzenia wojny partyzanckiej, zauważył Ellis. Nie ma wątpliwości, że inni przywódcy plemienni mogliby się wiele nauczyć od Masuda.

- Jak długo, twoim zdaniem, Rosjanie będą się upierali przy przypuszczaniu takich daremnych ataków?

Masud wzruszył ramionami.

- Wszystko w rękach Boga.

- Czy zdołacie ich kiedykolwiek wyprzeć z kraju?

- Wietnamczycy wyparli Amerykanów - zauważył z uśmiechem Masud.

- Wiem, byłem tam - powiedział Ellis. - Wiesz, jak tego dokonali?

- Moim zdaniem, do ich zwycięstwa przyczyniły się walenie sowieckie dostawy najnowocześniejszej broni, zwłaszcza przenośnych wyrzutni pocisków ziemia-powietrze. To dla sił partyzanckich jedyny sposób na zwalczanie samolotów i helikopterów.

- Zgadzasz się z tobą - stwierdził Ellis. - Co więcej, tego samego zdania jest rząd Stanów Zjednoczonych. Bylibyśmy skłonni pomóc wam w pozyskaniu lepszej broni, ale chcielibyśmy mieć pewność, że dysponując nią poczynicie realne postępy w walce z nieprzyjacielem. Amerykańscy podatnicy lubią wiedzieć, co dostają za swoje pieniądze. Kiedy, według ciebie, afgański ruch oporu wreszcie się zjednoczy i będzie w stanie nękać Rosjan w zorganizowany sposób na obszarze całego kraju, tak jak robili to Wietnamczycy pod koniec tamtej wojny?

Masud potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Proces jednoczenia ruchu oporu znajduje się w bardzo wczesnym stadium.

- Jakie są główne przeszkody? - Ellis wstrzymał oddech, modląc się w duchu, by Masud udzielił odpowiedzi, której od niego oczekiwał.

- Podstawową przeszkodą jest wzajemna nieufność między poszczególnymi walczącymi ugrupowaniami.

Ellis odetchnął ze skrywaną ulgą.

- Stanowimy zbitek różnych plemion, różnych narodowości, z których każda ma swojego przywódcę - ciągnął Masud. - Inne oddziały partyzanckie napadają na moje konwoje i przechwytyją moje dostawy.

- Nieufność - powtórzył za nim Ellis. - Co jeszcze?

- Łączność. Potrzebna nam regularna sieć kurierów. Docelowo dążymy do zorganizowania radiowej służby łącznościowej, ale to pieśń odległej przyszłości.

- Nieufność i zła łączność. - To właśnie pragnął usłyszeć Ellis. - Porozmawiajmy teraz o czymś innym. - Czuł się straszliwie zmęczony - stracił przecież sporo krwi. Przewycięzył nieprzeparłą pokusę zamknięcia oczu. - Wprowadziłeś tu w Dolinie sztukę wojny partyzanckiej z lepszym skutkiem, niż to się udało gdziekolwiek indziej w Afganistanie. Reszta przywódców nadal trwoni siły i środki, broniąc nizinnych terenów i przypuszczając szturm na silnie umocnione pozycje nieprzyjaciela. Chcielibyśmy, żebyś przeszkolił ludzi z innych rejonów kraju w dziedzinie taktyki nowoczesnej wojny partyzanckiej. Rozważysz to?

- Tak, i wydaje mi się, że wiem, do czego zmierzasz - powiedział Masud. - Mniej więcej za rok, w każdej strefie działania ruchu oporu, istniałaby już mała kadra ludzi przeszkolonych w Dolinie Pięciu Lwów. Mogliby stać się zaczątkiem zorganizowanej sieci łączności. Rozumieliby się nawzajem, darzyliby mnie zaufaniem... - Zawiesił głos, ale Ellis odczytywał z jego twarzy, że nadal snuje w myślach implikacje takiego posunięcia.

- W porządku - powiedział Ellis. Wyczerpał swoje zasoby energii, ale już prawie skończył. - A więc umowa stoi. Jeśli zdołasz dojść do porozumienia z innymi przywódcami i zorganizować to szkolenie, Stany Zjednoczone dostarczą wam wyrzutnie raketowe typu RPG-7, pociski ziemia-powietrze oraz sprzęt radiowy. Są jednak jeszcze co najmniej dwaj przywódcy, na których udziale w tym sojuszu szczególnie nam zależy. To Jahan Kamil z doliny Pich oraz Amal Azizi, komendant Faizabadu.

Masud uśmiechnął się ponuro.

- Wybraliście najmniej skorych do współpracy.

- Wiem - przyznał Ellis. - Potrafisz to zrobić?

- Daj mi czas do namysłu - powiedział Masud.

- W porządku. - Ellis położył się wyczerpany na zimnej ziemi i zamknął oczy. W chwilę później już spał.

## ROZDZIAŁ 10

Jean-Pierre włóczył się bez celu po skąpanych w księżycowej poświacie polach, pograżony w czarnej rozpacz. Jeszcze tydzień temu miał cel w życiu i był szczęśliwy, był panem sytuacji, wykonywał pożyteczną pracę i czekał na swą wielką szansę. Teraz, kiedy wszystko się skończyło, czuł się niepotrzebny, przegrany, niedowartościowany.

Nie było wyjścia. Analizował wiele razy wszystkie możliwe warianty i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: musi opuścić Afganistan.

Jako szpieg był skończony. Nie miał żadnych szans na kontakt z Anatolijem. Gdyby nawet Jane nie roztrzaskała radia, nie mógłby oddalić się z wioski na spotkanie z Rosjaninem, bo zorientowałaby się natychmiast, co zamierza, i powiadomiła Ellisa. Mógłby jakoś uciszyć Jane (*nie myśl o tym, nawet o tym nie myśl*), ale gdyby jej się coś stało, Ellis zacząłby dociekać dlaczego. Wszystko sprowadzało się do Ellisa. Gdybym miał dość odwagi, zabiłbym Ellisa, pomyślał. Ale jak? Nie mam pistoletu. Jak to zrobić, poderżnąć mu gardło skalpelem? Jest ode mnie o wiele silniejszy - nigdy nie dam mu rady.

Nie mógł sobie darować, że doszło do tej wpadki. Zgubiła ich zbytnia pewność siebie. Powinni spotykać się w miejscu, z którego mieliby dobre pole obserwacji podejść od wszystkich stron i zawczasu widzieli, że ktoś się zbliża. Ale kto mógł przewidzieć, że Jane za nim pójdzie? Padł ofiarą najzłośliwszego pecha: ranny chłopak uczulony na penicylinę; Jane słyszająca Anatolija i rozpoznająca jego rosyjski akcent; wreszcie pojawienie się Ellisa, które dodało jej odwagi. To był zwyczajny pech. Ale podręczniki historii nie pamiętają o ludziach, którym do wielkości niewiele brakowało. Staralem się, jak mogłem, tato, pomyślał. Wydało mu się, że słyszy odpowiedź ojca: nie obchodzi mnie, czy się starałeś, czy nie. Chcę wiedzieć, czy odniosłeś sukces, czy przegrałeś.

Zbliżał się do wioski. Postanowił wracać. Bardzo źle sypiał, ale nie miał do roboty nic lepszego, jak tylko pójść do łóżka. Skręcił w stronę domu.

Fakt, że nadal ma Jane, nie przynosił jakoś wielkiej pociechy. Odkrycie przez nią jego tajemnicy nie tylko nie zbliżyło ich do siebie, ale oddaliło jeszcze bardziej. Chociaż snuli wspólne plany powrotu do domu, a nawet rozmawiali o rozpoczęciu nowego życia, kiedy znajdą się już w Europie, powstała między nimi nowa przepaść.

Ale nocami tulili się jeszcze do siebie. To już było coś.

Wszedł do chaty sklepikarza. Spodziewał się, że zastanie Jane już w łóżku, ale ku jego zaskoczeniu była jeszcze na nogach.

- Przybiegł do ciebie goniec od Masuda - powiedziała, kiedy tylko wszedł. - Masz się stawić w Astanie. Ellis jest ranny.

*Ellis ranny. Serce Jean-Pierre'a zabiło żywiej.*

- Co mu jest?

- Nic poważnego. Z tego, co zrozumiałam, dostał postrzał w tyłek.

- Wyruszę z samego rana.

Jane pokiwała głową.

- Goniec pójdzie z tobą. Zdasz wrócić przed zmrokiem.

- Rozumiem. - Jane chciała mieć pewność, że nie będzie miał okazji spotkać się z Anatolijem. Ta ostrożność była zupełnie niepotrzebna - Jean-Pierre nie miał jak zaaranżować takiego spotkania. Poza tym Jane ubezpieczała się przed mniejszym zagrożeniem, a nie dostrzegała większego. Ellis jest ranny. Czyni go to bezbronnym. A to zmienia wszystko.

Teraz Jean-Pierre może go zabić.

\*\*\*

Rozmyślając nad tym, nie zmrużył oka przez całą noc. Wyobrażał sobie Ellisa leżącego na materacu pod drzewem figowym, zaciskającego zęby z bólu promieniującego od strzaskanej kości albo bladego i osłabionego z upływu krwi. Ujrzał samego siebie przygotowującego zastrzyk. - To antybiotyk, który zapobiegnie zainfekowaniu rany - wyjaśni, a potem wstrzyknie mu końską dawkę digitaliny, która spowoduje atak serca.

Naturalny atak serca był mało prawdopodobny, ale wcale niewykluczony u trzydziestoczteroletniego mężczyzny, zwłaszcza takiego, który po długim okresie względnie siedzącego trybu życia zdobył się nagle na znaczny wysiłek fizyczny. Tak czy inaczej nie będzie żadnego dochodzenia przyczyny zgonu, żadnej sekcji zwłok i żadnych podejrzeń - na Zachodzie będą przekonani, że Ellis został trafiony podczas akcji i zmarł z odniesionych ran. Tutaj, w Dolinie, każdy zaakceptuje diagnozę Jean-Pierre'a. Wśród miejscowych cieszył się takim samym zaufaniem jak każdy z najbliższych adiutantów Masuda, i było to zupełnie naturalne, w ich mniemaniu bowiem poświęcił dla sprawy tyle samo co każdy z nich. Jediną wątpliwą osobą byłaby Jane. I co by zrobiła?

Nie był pewien. Jane była groźnym przeciwnikiem, kiedy miała oparcie w Ellisie; w osamotnieniu stawała się nieszkodliwa. Jean-Pierre zdołałby ją może namówić, by pozostali w Dolinie jeszcze przez rok. Mógłby jej obiecać, że nie będzie zdradzał konwojów, a potem znaleźć sposób na odnowienie kontaktu z Anatolijem i po prostu czekać na okazję podania Masuda na widelcu Rosjanom.

O drugiej w nocy nakarmił Chantal z butelki i wrócił do łóżka. Nawet nie próbował zasnąć. Był zbyt pobudzony, zbyt podniecony i zbyt przestraszony. Leżąc tak i czekając na wschód słońca analizował wszystko, co mogłoby mu przeszkodzić. Ellis może, na przykład, nie wyrazić zgody na zastrzyk, on, Jean-Pierre, może źle obliczyć dawkę, rana może być tylko powierzchownym zadrapaniem i Ellis chodzi sobie w najlepsze o własnych siłach. Ellis z Masudem mogli już nawet opuścić Astanę.

Jane dręczyły złe sny. Rzuciła się obok niego i przewracała z boku na bok, wymrukując od czasu do czasu niezrozumiałe sylaby. Tylko Chantal spała dobrze.

Tuż przed świtem Jean-Pierre wstał, rozpałił ogień i poszedł się umyć nad rzekę. Kiedy wrócił, goniec czekał już na podwórku popijając zaparzoną przez Farę herbatę i zagryzając chlebem pozostałym z wczorajszej kolacji. Jean-Pierre też napił się herbaty, ale na jedzenie nie mógł patrzeć.

Jane karmiła Chantal na dachu chaty. Jean-Pierre wspiał się tam i pocałował obie na pożegnanie. Za każdym razem, kiedy dotykał Jane, przypominało mu się, jak ją zbił, i cały wzdrygał się ze wstydu. Wydawało się, że mu wybaczyła, ale on sobie nie potrafił tego wybaczyć.

Przeprowadził swoją starą kobyłę przez wioskę i dotarłszy z gońcem u boku do rzeki, ruszył brzegiem wraz z jej prądem. Stąd do Astany wiodła droga, a raczej coś, co w Dolinie Pięciu Lwów mogło uchodzić za drogę: szeroki na osiem do dziesięciu stóp i mniej więcej płaski pas usłanej kamieniami ziemi, nadający się dla drewnianych wózków albo wojskowych jeepów, ale nie dla zwyczajnego samochodu, który rozkraczyłby się na nim po kilku minutach. Dolina stanowiła pasmo wąskich, skalistych wąwozów, rozszerzających się co jakiś czas w małe uprawne równiny, długie na milę do dwóch i szerokie na milę, gdzie wieśniacy znojną pracą i za pomocą przemyślnych systemów irygacyjnych wydzielali odpornej glebie środki do życia. Droga była wystarczająco dobra, by Jean-Pierre mógł zjeżdżać na oklep na jej odcinkach wiodących w dół stoku. Kobyła była za słaba, by wnieść go na swym grzbiecie pod górę.

Dolina musiała kiedyś stanowić idylliczne miejsce, pomyślał zmierzając na południe w jasnych promieniach porannego słońca. Nawadniana przez Rzekę Pięciu Lwów, bezpieczna za otaczającymi ją wysokimi górami, zorganizowana w myśl starożytnych tradycji i nie niepokojona przez nikogo poza nielicznymi dostawcami masła z Nurystanu i od czasu do czasu przez kramarza z Kabulu, musiała być enklawą średniowiecza. Dwudziesty wiek brał teraz na niej odwet. Prawie każda wioska ucierpiała od bomb - tu zrujnowany młyn wodny, tam łąka zryta lejami, roztrzaskany w drzazgi starożytny akwedukt, kamienny most

zredukowany do kilku głązów wystających z wartkiego nurtu. Wpływ tego wszystkiego na ekonomiczne życie Doliny dla takiego baczego obserwatora jak Jean-Pierre był oczywisty. W tej chacie mieścił się sklepik rzeźnika, ale na drewnianej ławie od frontu nie uświadczyloby się kawałka mięsa. Ta kępa zielska była kiedyś ogródkiem warzywnym, ale jej właściciel zbiegł do Pakistanu. Tam był sad zasłany opadłymi gnijącymi owocami, które powinno się suszyć na dachu z myślą o zapasach na długą, chłodną zimę. Kobieta i dzieci opiekujące się sadem zginęli, a mężczyzna był w partyzantce. Tamten stos wysuszonego błota i połamanych belek był kiedyś meczetem, ale wieśniacy zdecydowali, że nie będą go odbudowywać, bo prawdopodobnie i tak zbombardowano by go ponownie. Wina za cały ten ogrom strat i zniszczeń spadała na ludzi pokroju Masuda, usiłujących przeciwstawiać się biegowi historii i podstępem szukających poparcia u ciemnych wieśniaków. Po usunięciu Masuda położy się temu wszystkiemu kres.

A Masudem Jean-Pierre będzie się mógł zająć po usunięciu Ellisa.

Gdy koło południa zbliżali się do Astany, naszła go wątpliwość, czy potrafi z zimną krwią wbić tę igłę. Myśl o zabiciu pacjenta była tak groteskowa, że sam nie wiedział, jak zareaguje. Oczywiście widział umierających pacjentów, ale wtedy ubolewał, że nie potrafił ich uratować. A kiedy z igłą w rękę stanie nad bezbronnym Ellisem, czy nie zaczną nim targać wątpliwości jak Makbetem, albo nie ogarnie niezdecydowanie jak Raskolnikowa w „Zbrodni i karze”?

Minęli Sanganę z jej cmentarzem i piaszczystą plażą i podążając dalej drogą znaleźli się za zakrętem rzeki. Przed nimi rozpościerał się spłachetek ziemi uprawnej i skupisko chat, które przycupnęły na stoku wzgórza. Nie minęły dwie minuty, jak od pól nadbiegł jedenastoletni chłopiec i poprowadził ich nie do wioski na wzgórzu, lecz do wielkiego domu na skraju pola.

Jean-Pierre nadal nie odczuwał żadnych wątpliwości, żadnych wahań; był tylko lekko podenerwowany, jak na godzinę przed ważnym egzaminem.

Zdjął z końskiego grzbietu lekarską torbę, oddał lejce chłopcu i wszedł na podwórkę wiejskiej chaty.

Siedziało tam w kucki co najmniej dwudziestu zapatrzonych w przestrzeń partyzantów, czekających nie wiadomo na co z właściwą sobie cierpliwością. Masuda wśród nich nie było, ale rozglądając się dookoła Jean-Pierre dostrzegł dwóch jego najbliższych adiutantów. Ellis leżał na kocu w ocienionym kącie podwórka.

Jean-Pierre przyklął przy nim. Kula najwyraźniej sprawiała Ellisowi ból. Leżał na brzuchu. Twarz miał stężoną i zaciskał zęby. Był blady, a czoło zraszał mu pot. Oddychał chrapliwie.

- Boli, co? - spytał po angielsku Jean-Pierre.

- Cholernie trafnie powiedziane - wycedził Ellis przez zaciśnięte zęby.

Jean-Pierre ściągnął z niego prześcieradło. Partyzanci przecięli mu spodnie i założyli na ranę prowizoryczny opatrunek. Jean-Pierre odwinął bandaż. Zorientował się od razu, że rana nie jest śmiertelna. Ellis bardzo się wykrwawił, a pocisk tkwił wciąż w mięśniu, sprawiając wyraźnie piekielny ból, ale znajdował się dosyć daleko od kości i od głównych naczyń krwionośnych - rana szybko się wygoi.

Nie, nie wygoi się, przypomniał sobie Jean-Pierre. Wcale się nie wygoi.

- Najpierw dam ci coś na uśmierzenie bólu - powiedział.

- Będę wdzięczny - stęknął skwapliwie Ellis.

Jean-Pierre podciągnął koc. Ellis miał na plecach ogromną bliznę w kształcie krzyża. Ciekawe skąd, zainteresował się Jean-Pierre.

Nigdy się już tego nie dowiem, pomyślał zaraz.

Otworzył torbę medyczną. Teraz zabiję Ellisa, powiedział sobie w duchu. Nigdy nikogo nie zabiłem, nawet nieumyślnie. Co to znaczy być mordercą? Ludzie robią to codziennie, na całym świecie: mężowie zabijają żony, matki dzieci, płatni zabójcy polityków, włamywacze lokatorów mieszkań, kaci morderców. Wyjął dużą strzykawkę i zaczął ją napełniać digitaliną: lek przychodził w małych fiolkach i żeby uzyskać śmiertelną dawkę musiał ich opróżnić cztery.

Jak będzie wyglądało konanie Ellisa? Pierwszym efektem działania leku będzie przyspieszenie akcji serca. Wyczuje to, zaniepokoi się i przestraszy. Potem, kiedy trucizna zakłóci pracę mechanizmu odmierzającego rytm serca, pojawia się dodatkowe uderzenia: jedno słabe po każdym normalnym. Wtedy poczuje się naprawdę źle. W końcu wystąpi totalna arytmia, skurcze komór serca, dolnej i górnej, zaczną następować całkowicie niezależnie od siebie i Ellis umrze w cierpieniu i strachu. Co zrobię, pomyślał Jean-Pierre, kiedy będzie krzyczał z bólu prosząc mnie, lekarza, bym mu pomógł? Czy dam mu do zrozumienia, że pragnę jego śmierci? Czy odgadnie, że podałem mu truciznę? Czy może będę przemawiał do niego uspokajająco, tak jak to potrafię, i starał się ułatwić mu zejście? *Nie denerwuj się, to normalny efekt uboczny działania środka przeciwbólowego, wszystko będzie dobrze.*

Zastryk był gotowy.



Potrafię to zrobić, uświadomił sobie Jean-Pierre. Potrafię go zabić. Nie wiem tylko, co się ze mną stanie potem.

Odsłonił Ellisowi ramię i wiedziony zawodowym nawykiem przemył miejsce wkłucia alkoholem.

W tym momencie pojawił się Masud.

Jean-Pierre nie słyszał, jak nadchodzi, i aż podskoczył, kiedy Afgańczyk wyrósł tuż obok jak spod ziemi. Masud położył mu rękę na ramieniu.

- Przestraszyłem cię, *Monsieur le docteur* - powiedział. Ukłękł przy głowie Ellisa. - Rozważyłem tę propozycję amerykańskiego rządu - zwrócił się po francusku do Ellisa.

Jean-Pierre klęczał jak skamieniały ze strzykawką w prawej dłoni. Jaką propozycję? O co tu, u diabła, chodzi? Masud mówi otwarcie, jakby Jean-Pierre był jednym z jego towarzyszy - którym zresztą, w jakimś sensie był - tylko że Ellis... Ellis może zasugerować, żeby porozmawiali o tym na osobności.

Ellis uniósł się z wysiłkiem na łokciu. Jean-Pierre wstrzymał oddech, ale Ellis powiedział tylko:

- Mów dalej.

Jest zbyt wyczerpany, pomyślał Jean-Pierre, i za bardzo cierpi, by zawracać sobie głowę podejmowaniem wyrafinowanych środków bezpieczeństwa; poza tym powodów do podejrzewania mnie ma nie więcej niż Masud.

- Podoba mi się - podjął Masud. - Zadaję sobie jednak pytanie, jak się wywiążę z mojej części umowy.

Oczywiście! - pomyślał Jean-Pierre. - Amerykanie nie wysyłaliby najlepszego agenta CIA po to, żeby uczył partyzantów wysadzania mostów i tuneli. Ellis przybył tutaj, by dobić jakiegoś targu!

- Trzeba przekonać resztę przywódców do tego planu szkolenia kadr z innych stref - ciągnął Masud. - Nie będzie to łatwe. Zaczną węszyć jakiś podstęp - zwłaszcza jeśli to ja wysunę tę propozycję. Sądzę, że to ty musisz im ją przedstawić i powiedzieć, co w zamian oferuje twój rząd.

Jean-Pierre nastawił ucha. Plan szkolenia kadr z innych stref! Co to, u diabła, za pomysł?

- Z przyjemnością to zrobię - powiedział z pewną trudnością Ellis. - Ty będziesz musiał tylko zebrać ich wszystkich w jednym miejscu.

- Dobrze. - Masud uśmiechnął się. - Zwołam naradę wszystkich przywódców ruchu oporu i odbędzie się ona tutaj, w Dolinie Pięciu Lwów, w wiosce Darg za osiem dni. Jeszcze

dzisiaj roześle gońców z wiadomością, że jest tu przedstawiciel rządu Stanów Zjednoczonych, który pragnie omówić kwestię dostaw broni.

Narada! Dostawy broni! W głowie Jean-Pierre'a zaczynał się klarować kształt tej umowy. Tylko co robić?

- Przyjdą? - spytał Ellis.

- Wielu, tak - odparł Masud. - Nasi towarzysze z zachodnich pustyń - nie; to za daleko i nie znają nas.

- A tych dwóch, o których szczególnie nam chodzi - Kamil i Azizi? Masud wzruszył ramionami.

- Wszystko w rękach Boga.

Jean-Pierre drżał z podniecenia. To byłoby najważniejsze wydarzenie w dziejach afgańskiego ruchu oporu.

Ellis szperał w swojej torbie polowej leżącej na ziemi koło jego głowy.

- Może potrafię ci pomóc w przekonaniu Kamila i Aziziego - mówił. Wydobył z torby dwie małe paczuszki i otworzył je. Zawierały płaskie, prostokątne sztabki żółtego metalu. - Złoto - powiedział. - Każda z tych sztabek jest warta około pięciu tysięcy dolarów.

To była fortuna - pięć tysięcy dolarów to więcej niż dwuletni dochód przeciętnego Afgańczyka.

Masud wziął sztabkę złota i zważył ją w dłoni.

- A to co? - spytał wskazując na znak wybity pośrodku prostokąta.

- Pieczęć prezydenta Stanów Zjednoczonych - odparł Ellis.

Sprytne, pomyślał Jean-Pierre. Taka rzecz zrobi wrażenie na przywódcach plemiennych, a jednocześnie wzbudzi w nich nieprzepatą chęć spotkania się z Ellisem.

- Czy to pomoże przekonać Kamila i Aziziego? - spytał Ellis.

Masud skinął głową.

- Sądzę, że przyjdą.

Mógłbyś zaręczyć własnym życiem, że przyjdą, pomyślał Jean-Pierre.

I nagle wiedział już dokładnie, co ma zrobić. Masud, Kamil i Azizi, trzech wielcy przywódcy ruchu oporu, znajdą się jednocześnie w wiosce Darg za osiem dni.

Musi powiadomić o tym Anatolija.

Wtedy Anatolij będzie mógł zgładzić całą trójkę za jednym zamachem.

To jest to, pomyślał Jean-Pierre; to ta chwila, na którą czekałem od dnia przybycia do Doliny. Mam Masuda tam, gdzie chciałem go mieć - a razem z nim jeszcze dwóch rebelianckich przywódców.

Ale jak skontaktuję się z Anatolijem?

Musi istnieć jakiś sposób.

- Spotkanie na szczycie - mówił Masud. Uśmiechał się przy tym z dumą. - To będzie dobry początek nowej jedności ruchu oporu, czyż nie?

Albo dobry początek, pomyślał Jean-Pierre, albo początek końca. Opuścił rękę, skierował igłę ku ziemi i nacisnął tłoczek opróżniając strzykawkę. Patrzył, jak trucizna wsiąka w piasek. Dobry początek albo początek końca.

\*\*\*

Jean-Pierre zaaplikował Ellisowi środek znieczulający, wyjął pocisk, oczyścił ranę, założył na nią nowy opatrunek i zrobił mu zastrzyk z antybiotyku, żeby zapobiec infekcji. Następnie udzielił pierwszej pomocy dwóm partyzantom, którzy również odnieśli lekkie rany w potyczce. Tymczasem po wsi rozniosła się wieść, że przybył lekarz i na podwórku chaty zebrała się grupka pacjentów. Jean-Pierre zbadał dziecko cierpiące na bronchit, trzy niegroźne przypadki infekcji i żonę muły, która miała robaki. Potem zjadł lunch. Wczesnym popołudniem spakował torbę i wgramolił się na Maggie, by wyruszyć w drogę powrotną do domu.

Zostawiał Ellisa. Będzie dla niego o wiele lepiej, jeśli pozostanie tu przez kilka dni - rana szybciej się goi, kiedy pacjent leży spokojnie. Choć zakrawało to na paradoks, teraz Jean-Pierre'owi zależało na tym, by Ellis cieszył się jak najlepszym zdrowiem. Gdyby umarł, narada zostałaby odwołana.

Jadąc Doliną na starej szkapie, łamał sobie głowę nad sposobem skontaktowania się z Anatolijem. Oczywiście, mógłby od razu zawrócić, skierować się do Rokhy i oddać w ręce Rosjan. Zakładając, że nie zastrzeliliby go na miejscu, trafiłby przed oblicze Anatolija praktycznie natychmiast. Ale wtedy Jane domyśliłaby się, gdzie przepadł i po co, i powiadomiłaby Ellisa, a Ellis zmieniłby termin i miejsce spotkania.

Musi powiadomić Anatolija listownie. Ale kto mu doręczy ten list?

Przez Dolinę ciągnął się nieustannie niewielki, ale nieprzerwany potok ludzi zmierzających do Charikar, zajmowanego przez Rosjan miasteczka, leżącego jakieś sześćdziesiąt mil dalej na równinie, albo do Kabulu, odległego o sto mil miasta stołecznego; byli wśród nich objuczeni masłem i serem mleczarze z Nurystanu, wędrowni handlarze sprzedający garnki i patelnie, pasterze pędzący na targ małe stadka płaskoogoniastych owiec oraz rodziny koczowników, przemierzające kraj w swoich tajemniczych, koczowniczych interesach. Za niewielką zapłatę każdy z tych podróżnych chętnie nada list na najbliższej

poczcie, albo nawet wetknie go bezpośrednio w ręce napotkanego po drodze sowieckiego żołnierza. Do Kabulu było trzy dni drogi, do Charikar dwa, a do Rokhy, gdzie stacjonowali Rosjanie, ale nie było urzędu pocztowego, tylko jeden dzień. Jean-Pierre był przekonany, że potrafi znaleźć kogoś, kto podejmie się tej misji. Naturalnie istniało niebezpieczeństwo, że list otworzy i przeczyta osoba niepowołana, Jean-Pierre zostanie zdemaskowany i umrze męczeńską śmiercią. Przed tym ryzykiem mógłby się zawczasu zabezpieczyć. Pozostawało jednak jeszcze jedno. Powiedzmy, że posłaniec weźmie pieniądze - ale czy dostarczy list? Nie ma żadnej gwarancji, że nie „zgubi” go po drodze. Jean-Pierre nigdy by się nie dowiedział, co się stało. Cały ten plan był po prostu zbyt *niepewny*.

Docierając o zmierzchu do Bandy nie rozwiązał jeszcze problemu. Jane siedziała z Chantal na kolanach na dachu chaty sklepikarza, rozkoszując się wieczornym powiewem. Jean-Pierre pomachał do nich, wszedł do środka i postawił torbę medyczną na wykładanej kafelkami ladzie w izbie służącej teraz za magazynek. Opróżniał właśnie torbę, gdy jego wzrok padł na tabletki diamorfiny i w tym momencie uświadomił sobie, że jest taka osoba, której mógł bez obaw powierzyć list do Anatolija.

Znalazł w torbie ołówek. Odwinął bawełniane bandaże z opakowania i wydarł z niego równy, prostokątny arkusik papieru - papier listowy był z Dolinie nie do zdobycia. Zaczął pisać po francusku:

*Do pułkownika Anatolija z KGB...*

Brzmiało to dziwnie melodramatycznie, ale żaden inny początek nie przychodził mu do głowy. Pisał dalej:

*Masud zwołał naradę przywódców rebelii. Spotykają się za osiem dni licząc od dzisiaj, czyli w czwartek 27 sierpnia, w Darg. Jest to następna wioska na południe od Bandy. Uczestnicy prześlą prawdopodobnie tę noc w meczecie i pozostaną ze sobą cały piątek, który jest ich dniem świątecznym. Program narady przewiduje rozmowy z agentem CIA, znanym mi pod nazwiskiem Ellisa Thalera, który przed tygodniem przybył do Doliny.*

*To nasza szansa!*

Dodał jeszcze datę i podpisał się *Simpleks*.

Nie miał koperty - nie widział ani jednej od chwili, gdy opuścił Europę. Zastanawiał się, w co najlepiej byłoby opakować list. Gdy rozglądał się tak dookoła, jego wzrok padł na

karton plastikowych pojemniczków z tabletkami, które rozdzielali między chorych. Przyszły z samoprzylepnymi etykietkami, których Jean-Pierre nigdy nie używał, bo nie potrafił pisać po persku. Zwinął swój list w rulonik i włożył go do jednego z pojemniczków.

Jak go teraz oznakować? W pewnym punkcie swej drogi paczuszka trafi do rąk prostego sowieckiego żołnierza. Jean-Pierre wyobraził sobie załężnionego urzędnika w okularach, siedzącego w chłodnym biurze, albo jeszcze gorzej - przygłupiego osiłka, pełniącego wartę przed ogrodzeniem z drutu kolczastego. Bez wątpienia w armii sowieckiej, tak samo jak we francuskiej, co pamiętał z okresu swojej służby wojskowej, sztuka wymigiwania się od odpowiedzialności była dobrze rozwinięta. Przesyłka musi wyglądać na dostatecznie ważną, by kwalifikowała się do wręczenia wyższemu rangą oficerowi. Nie ma sensu opatrywać jej uwagą *Ważne* czy *KGB* ani żadnym innym napisem po francusku, angielsku czy w dari, bo żołnierz może nie znać liter ani łacińskich, ani perskich. Jean-Pierre zaś nie umiał pisać po rosyjsku. Czyż to nie ironia losu, że siedząca na dachu kobieta, którą słyszy w tej chwili, jak śpiewa kołysankę, płynnie mówi po rosyjsku i gdyby chciała, potrafiłaby mu pomóc napisać, co tylko by sobie zażyczył. W końcu wykaligrafował łacińskimi literami *Anatolij - KGB*, przykleił etykietkę do pojemniczka, a pojemniczek wpechnął do pustego pudełka po lekarstwach, opatrzonego ostrzeżeniem *Truczna!* w piętnastu językach oraz trzema międzynarodowymi symbolami, oznaczającymi artykuły trujące. Przewiązał pudełko sznurkiem.

Wrzucił wszystko w pośpiechu z powrotem do torby medycznej, a pozycje, z których korzystał w Astanie, odłożył na półkę. Odsypał garść tabletek diamorfiny i wysypał je sobie do kieszeni koszuli. Na koniec zawinął pudełko z ostrzegawczym napisem *Truczna!* w wytarty ręcznik.

- Idę się umyć nad rzekę - zawołał do Jane wyszedłszy przed dom.

- Dobrze.

Przemaszerował szybkim krokiem przez wieś, pozdrawiając skinieniem głowy kilka napotkanych po drodze osób, i ruszył połami. Był pełen optymizmu. Z jego planem wiązały się wszystkie rodzaje ryzyka, ale znów mógł żywić nadzieję na wielki sukces. Obszedł należący do mułły zagon koniczyny i zaczął schodzić szeregiem tarasów. O milę od wioski, na skalnym wybrzuszeniu góry stała samotna, rozwalona przez bombę chatka. Ściemniało się już, kiedy Jean-Pierre ją dojrzał. Podeszedł wolno, stąpając ostrożnie po nierównym podłożu i żałując, że nie zabrał latarki. Zatrzymał się przy kupie gruzu, która stanowiła kiedyś ścianę frontową domku. Chciał już wejść, ale smród i ciemności panujące w środku odwiodły go od tego zamiaru.

- Hej! - zawołał.

Tuż przed nim podniosła się z ziemi bezkształtna postać. Zaklął i odskoczył przerażony.

Stał przed nim *malang*.

Jean-Pierre patrzył w wychudzoną, okoloną wypłowiałą brodą twarz szaleńca.

- Niech Bóg będzie z tobą, święty mężu - pozdrowił go w dari ochłonawszy.

- I z tobą, doktorze.

A więc trafił na fazę przebłysku jego świadomości. Dobrze.

- Jak twój brzuch?

Mężczyzna wykrzywił twarz w grymasie cierpienia - jak zawsze chciał w ten sposób wyłudzić narkotyki. Jean-Pierre pokazał szaleńcowi garść tabletek diamorfny, dał mu jedną, a resztę schował z powrotem do kieszeni. *Malang* połknął natychmiast pigułkę z heroiną.

- Daj jeszcze - poprosił.

- Możesz dostać więcej - powiedział Jean-Pierre. - Dużo więcej.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Ale musisz coś dla mnie zrobić - dokończył Jean-Pierre.

*Malang* pokiwał ochoczo głową.

- Musisz pójść do Charikar i oddać to rosyjskiemu żołnierzowi. - Pomimo dłuższej o dzień drogi zdecydował się na Charikar w obawie, iż w Rokha, które było miastem rebelianckim znajdującym się pod czasową okupacją sowiecką, panuje chaos i przesyłka może zaginąć; natomiast Charikar leżał na terytorium trwale opanowanym przez Rosjan. Z dwóch możliwości przekazania paczuszki wybrał wręczenie jej jakiemuś żołnierzowi, rezygnując z usług poczty, gdyż *malang* mógłby nie poradzić sobie z formalnościami związanymi z zakupieniem znaczka i nadaniem przesyłki.

Spojrzał uważnie w niedomytą twarz mężczyzny. Zwątpił przez chwilę, że ten człowiek jest zdolny do przyswojenia sobie choćby takich prostych instrukcji, ale wyraz strachu, jaki pojawił się na jego twarzy na wspomnienie o rosyjskim żołnierzu, wskazywał, że doskonale wszystko rozumie.

No a czy istnieje jakikolwiek sposób sprawdzenia, czy *malang* rzeczywiście zrobił, co mu kazano? Przecież on także mógł wyrzucić paczuszkę, a po powrocie przysięgać, że wykonał polecenie, jeśli bowiem jest dostatecznie inteligentny, by zrozumieć, co ma zrobić, może być również zdolny do skłamania, że to zrobił.

Jean-Pierre'owi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- I kup mi paczkę rosyjskich papierosów - powiedział.

- Nie ma pieniędzy. - *Malang* pokazał mu puste ręce.

Jean-Pierre orientował się, że szaleniec nie ma pieniędzy. Dał mu sto afganów. To powinno stanowić gwarancję, że naprawdę pójdzie do Charikar. Czy istnieje również sposób na zmuszenie go do oddania przesyłki komu trzeba?

- Jeśli dobrze się spiszesz - powiedział Jean-Pierre - dam ci tyle pastylek, ile będziesz chciał. Ale nie próbuj mnie oszukać - jeśli to zrobisz, dowiem się i nigdy nie dam ci już ani jednej, i ból brzucha będzie się stawał coraz większy i większy, spuchniesz, a w końcu twoje kiszki wybuchną jak granat i umrzesz w męczarniach. Zrozumiałeś?

- Tak.

Jean-Pierre przyglądał mu się w zapadających ciemnościach. Widział połyskujące białka szalonych oczu. *Malang* był chyba nie na żarty przerażony. Jean-Pierre dał mu resztę tabletek diamorfiny.

- Jedz po jednej co rano, dopóki nie wrócisz do Bandy.

Tamten pokiwał skwapliwie głową.

- Teraz idź już i nie próbuj mnie oszukać.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył wyboistą ścieżką dziwacznym, zwierzęcym kłusem. Patrząc za nim, jak znika w gęstniejącym mroku, Jean-Pierre pomyślał: w twoich brudnych łapach leży teraz przyszłość tego kraju, nieszczęsna, szalona kanalio. Niech cię Bóg prowadzi.

\*\*\*

Minął tydzień, a *malang* nie wracał.

W środę, na dzień przed zwołaną naradą, Jean-Pierre wychodził już z siebie. Co godzinę wmawiał sobie, że posłaniec pojawi się przed upływem następnej godziny. Pod koniec dnia łudził się jeszcze, że może przybędzie jutro.

Ku jeszcze większej rozterce Jean-Pierre'a nad Doliną wzmogła się aktywność lotnictwa. Przez cały tydzień nie milkło wycie odrzutowców, odbywających naloty bombowe na wioski. Banda miała szczęście - spadła na nią tylko jedna bomba, która wyrwała wielką dziurę w zagonie koniczyny Abdullaha, ale na skutek nieustannego hałasu i poczucia zagrożenia wszyscy chodzili rozdrażnieni. Napięta atmosfera zaowocowała łatwym do przewidzenia napływem pacjentów z objawami stresu: poronienia, wypadki przy pracy, nie wyjaśnione wymioty i bóle głowy. Na bóle głowy uskarżały się przeważnie dzieci. W Europie Jean-Pierre zaleciłby badania psychiatryczne. Tutaj wysyłał je do muły. Ani psychiatria, ani islam nie na wiele się tu zdawały, gdyż tym dzieciom dolegała po prosi u wojna.

Badał mechanicznie przybyłych rano pacjentów, zadając im w dani rutynowe pytania, przekazywał Jane po francusku swoją diagnozę, opatrywał rany, robił zastrzyki oraz wręczał plastikowe pojemniczki z tabletkami i szklane buteleczki z lekarstwami w płynie. Droga do Charikar powinna zająć *malangowi* dwa dni. Dodajmy do tego dzień na zdobywanie się na odwagę, by podejść do sowieckiego żołnierza, i noc na realizację tego heroicznego czynu. Wyruszając w drogę powrotną następnego ranka miał przed sobą dwa dni marszu. Powinien wrócić przedwczoraj. Co się stało? Czyżby zgubił paczuszkę i roztrzęsiony bał się wracać? A może zażył wszystkie pastylki naraz i rozchorował się od tego? Albo wpadł do tej przeklętej rzeki i utopił się? A może Rosjanie zrobili sobie z niego tarcze strzelniczą?

Zerknął na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści. *Malang* mógł teraz nadejść w każdej minucie z paczką rosyjskich papierosów na dowód, że był w Charikar. Poświecił chwilę na zastanowienie się, jak wyjaśni te papierosy Jane, bo przecież nie palił. Doszedł do wniosku, że żadne wyjaśnienia nie będą potrzebne, nikt bowiem nie będzie się zastanawiał nad pobudkami, jakimi kieruje się obłąkany.

Bandażował właśnie chłopcu z sąsiedniej doliny dłoń poparzona w palenisku, kiedy z zewnątrz dobiegł tupot stóp i pozdrowienia świadczące o czymś przybyciu. Jean-Pierre stłumił przemożną chęć wybiegnięcia przed jaskinię i spokojnie bandażował dalej rękę chłopca. Usłyszawszy głos Jane obejrzał się i ku swemu niezmiernemu rozczarowaniu zobaczył nie *malanga*, lecz dwóch nieznanym.

- Niech Bóg będzie z tobą, doktorze - powiedział pierwszy z nich.

- I z tobą - odparł Jean-Pierre. Żeby nie dopuścić do dalszej wymiany uprzejmości, spytał od razu: - O co chodzi?

- Skabun przeżyto straszne bombardowanie. Wielu ludzi zginęło i wielu jest rannych.

Jean-Pierre spojrzał na Jane. Nadal nie mógł opuszczać Bandy bez jej pozwolenia, bo obawiała się, że zdoła jakoś nawiązać znowu kontakt z Rosjanami. Ale jasne było, że nie on spreprował to wezwanie.

- Mam iść? - zapytał ją po francusku. - A może ty pójdziesz? - naprawdę nie chciało mu się iść, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa musiałby tam pozostać przez całą noc, a bardzo chciał się spotkać z *malangiem*.

Jane zawahała się. Jean-Pierre wiedział, że pomyślała o tym, iż musiałaby zabrać ze sobą Chantal. Poza tym zdawała sobie sprawę, że nie potrafi sobie poradzić z poważnymi ranami urazowymi.

- Decyzja należy do ciebie - powiedział.

- Idź ty - zdecydowała.



- Dobrze. - Do Skabun było dwie godziny drogi. Jeśli się uwinie i jeśli nie będzie tam wielu rannych, może zdąży wrócić jeszcze przed zmierzchem. - Postaram się być na noc z powrotem - powiedział.

Podeszła i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję - powiedziała.

Sprawdził szybko zawartość torby: morfina na ból, penicylina na zapobieganie infekcji ran, igły i nici chirurgiczne, dużo bandaży. Założył czapkę i zarzucił koc na ramiona.

- Nie biorę Maggie - powiedział do Jane. - Do Skabun nie jest daleko, a droga bardzo zła. - Pocałował ją jeszcze raz, po czym odwrócił się do dwóch posłańców. - Idziemy - rzucił.

Zeszli do wsi, przebrnęli w bród rzekę i wspięli się na strome urwisko na drugim brzegu. Jean-Pierre rozpamiętywał pocałunek z Jane. Jak zareaguje Jane, jeśli jego plan się powiedzie i Rosjanie zabiją Masuda? Będzie wiedziała, że maczał w tym palce. Ale nie zdradzi go, tego był pewien. Czy nadal będzie go kochała? Pragnął jej. Od kiedy byli razem, coraz rzadziej miewał napady ostrej depresji, które dawniej prześladowały go z taką regularnością. Jej miłość dawała mu poczucie, że wszystko z nim w porządku. Potrzebował tego. Ale potrzebował również sukcesu w tej misji. Wydaje mi się, pomyślał, że tego sukcesu pragnę chyba bardziej niż szczęścia i dlatego dla zgładzenia Masuda jestem gotów utracić Jane.

Szli w trójkę ścieżką biegnącą szczytem urwiska na południowy wschód, a w uszach rozbrzmiewał im głośny szum rwącej w dole rzeki.

- Ilu jest zabitych? - spytał Jean-Pierre.

- Wielu - odparł jeden z posłańców.

Jean-Pierre przywykł już do tej zdawkowości tubylców.

- Pięciu? Dziesięciu? Dwudziestu? Czterdziestu? - dociekał cierpliwie.

- Stu.

Nie uwierzył mu - Skabun nie miało nawet setki mieszkańców.

- A ilu rannych?

- Dwustu.

To niedorzeczne. Czy ten człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy?, pomyślał Jean-Pierre. A może przesadza w obawie, że jeśli poda zbyt niskie liczby poszkodowanych, lekarz odwróci się na pięcie i pomaszeruje z powrotem do domu? Ale najprawdopodobniej wygaduje takie bzdury po prostu dlatego, że nie umie zliczyć do dziesięciu.

- Jakie to rany? - spytał jeszcze.

- Dziury, rozcięcia, krwotoki.

To wyglądało raczej na rany odniesione w walce. Po bombardowaniu dominowały wstrząsy, oparzenia i obrażenia spowodowane przygnieciem pod gruzami walących się budynków. Ten człowiek stanowczo nie był wiarygodnym świadkiem. Dalsze wypytywanie nie miało sensu.

Dwie mile za Bandą zeszli ze ścieżki biegnącej urwiskiem i szlakiem, którego Jean-Pierre nie znał, skierowali się na północ.

- Czy to droga do Skabun? - zapytał.

- Tak.

To najwyraźniej skrót, którego dotąd nie odkrył. Zasadniczy kierunek marszu był z pewnością prawidłowy.

Po kilku minutach ujrzeli przed sobą jedną z tych małych kamiennych chat, w których wędrowcy mogą odpocząć albo spędzić noc. Ku zaskoczeniu Jean-Pierre'a posłańcy skierowali się prosto ku jej pozbawionemu drzwi otworowi wejściowemu.

- Nie mamy czasu na odpoczywanie - przypomniał im z irytacją. - Czekają na mnie chorzy.

I wtedy z chaty wyszedł Anatolij.

Jean-Pierre oniemiał. Nie wiedział, czy powinien skakać z radości, że ma teraz możliwość poinformowania Anatolija o narodzie, czy też przerazić się, że Afgańczycy zabijają Anatolija.

- Nie obawiaj się - uspokoił go Anatolij trafnie odczytując wyraz jego twarzy. - To żołnierze regularnej armii afgańskiej. Posłałem ich po ciebie.

- Mój Boże! - To było genialne posunięcie. W Skabun nie było żadnego bombardowania - to tylko fortel wymyślony przez Anatolija, by wyciągnąć Jean-Pierre'a na spotkanie. - Jutro - wyrzucił z siebie podniecony Jean-Pierre - jutro wydarzy się coś strasznie ważnego...

- Wiem, wiem, dostałem twoją wiadomość. Dlatego właśnie tu jestem.

- A więc dopadniesz Masuda...?

- Dostaniemy Masuda. - Anatolij uśmiechnął się ponuro, odsłaniając poźółkłe od nikotyny zęby. - Uspokój się.

Jean-Pierre uświadomił sobie, że zachowuje się jak podekscytowane dziecko w święta Bożego Narodzenia. Z ledwością stłumił swoją euforię.

- Kiedy *malang* nie wracał, pomyślałem...

- Dotarł do Charikar wczoraj - powiedział Anatolij. - Bóg jeden wie, co się z nim działo po drodze. Dlaczego nie skorzystałeś z radia?

- Popsuło się - wyjaśnił Jean-Pierre. Wolał nie mówić jeszcze o Jane. - *Malang* zrobi dla mnie wszystko, bo zaopatruję go w heroinę, od której jest uzależniony.

Anatolij popatrzył przenikliwie na Jean-Pierre'a, a w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju podziwu.

- Cieszę się, że jesteś po mojej stronie - powiedział po chwili.

Jean-Pierre uśmiechnął się.

- Muszę poznać więcej szczegółów - powiedział Anatolij. Otoczył ręką ramiona Jean-Pierre'a i wprowadził go do chaty. Usiedli na klepisku i Anatolij zapalił papierosa. - Jak dowiedziałeś się o tej naradzie - zaczął.

Jean-Pierre opowiedział mu o Ellisie i jego ranie postrzałowej, o rozmowie Masuda z Ellisem rozpoczętej w chwili, gdy już miał zrobić temu ostatniemu zastrzyk, o sztabkach złota i projekcie zorganizowania szkolenia oraz o obiecanej broni.

- To fantastyczne - powiedział Anatolij. - Gdzie jest teraz Masud?

- Nie wiem. Ale prawdopodobnie dzisiaj pojawi się w Darg. Najpóźniej jutro.

- Skąd wiesz?

- Zwołał naradę, jak więc mógłby się na niej nie zjawić?

Anatolij skinął głową.

- Opisz mi tego człowieka z CIA.

- No więc, wzrost pięć stóp i dziesięć cali, waga sto pięćdziesiąt funtów, włosy blond, oczy niebieskie, wiek trzydzieści cztery lata, ale wygląda trochę starzej, wykształcenie wyższe.

- Wrzucę te dane na komputer. - Anatolij wstał i wyszedł przed chatę. Jean-Pierre poszedł za nim.

Anatolij wyjął z kieszeni mały nadajnik radiowy. Wysunął z niego teleskopowa antenę. Wcisnął przycisk i mruknął coś po rosyjsku do mikrofonu. Potem odwrócił się znowu do Jean-Pierre'a.

- Mój przyjacielu, wypełniłeś swą misję z sukcesem - powiedział.

To prawda, pomyślał Jean-Pierre. Odniosłem sukces.

- Kiedy uderzycie? - zapytał głośno.

- Naturalnie, że jutro.

Jutro. Jean-Pierre poczuł, że zalewa go fala dzikiej radości. Jutro.

Otoczający go ludzie patrzyli w górę. Poszedł za ich spojrzeniem i zobaczył opuszczający się z nieba helikopter - przypuszczalnie wezwał go przez radionadajnik Anatolij. Rosjanie zarzucili teraz wszystkie środki ostrożności; gra zbliżała się do końca, to

było ostatnie rozdanie i od podchodów oraz dywersji trzeba było przejść do otwartego i zdecydowanego działania. Maszyna zniżyła się i wylądowała z trudem na małym skrawku płaskiego terenu sto jardów od nich.

Jean-Pierre wraz z trzema mężczyznami podszedł do helikoptera. Zastanawiał się, co ze sobą pocnie, kiedy odlecą. Nie miał nic do roboty w Skabun, ale nie mógł wracać od razu do Bandy, gdyż wydałoby się wówczas, że nie było żadnych ofiar bombardowania, wymagających jego interwencji medycznej. Postanowił, że lepiej przesiedzi kijka godzin w kamiennej chacie i dopiero potem wróci do domu.

Wyciągnął rękę, żeby pożegnać się z Anatolijem.

- *Au revoir.*

- Wsiadaj - powiedział Anatolij udając, że nie widzi tego gestu.

- Co?

- Wsiadaj do helikoptera.

- Dlaczego? - Jean-Pierre'owi ze zdumienia odebrało mowę.

- Lecisz z nami.

- Dokąd? Do Bagram? Na wasze terytorium?

- Tak.

- Ale ja nie mogę...

- Zamknij się i posłuchaj - powiedział cierpliwie Anatolij. - Po pierwsze, wykonałeś swoje zadanie. Twoja misja w Afganistanie dobiegła końca. Osiągnąłeś swój cel. Jutro pojmy Masuda. Możesz wracać do domu. Po drugie, stanowisz teraz dla nas zagrożenie. Wiesz, co planujemy na jutro. Tak więc przez wzgląd na zachowanie tajemnicy nie możesz pozostać na terytorium kontrolowanym przez rebeliantów.

- Ale ja bym nikomu nie powiedział!

- A gdyby poddali cię torturom? A gdyby na twoich oczach zaczęli torturować twoją żonę? A gdyby na oczach żony rozrywali po kawałeczku twoją córeczkę?

- Ale co się z nimi stanie, jeśli z wami polecę?

- Jutro, podczas akcji, zgarniemy je i przywieziemy do ciebie.

- Nie wierzę. - Jean-Pierre zdawał sobie sprawę, że Anatolij ma rację, ale myślał, że miałby już nie wrócić do Bandy, spadła na niego tak nieoczekiwanie, iż stracił głowę. Czy Jane i Chantal nic nie grozi? Czy Rosjanie naprawdę je zabiorą? Czy Anatolij pozwoli całej ich trójce wrócić do Paryża? Kiedy będą mogli wyjechać?

- Wsiadaj - powtórzył Anatolij.

Po obu stronach Jean-Pierre'a stali dwaj afgańscy posłańcy i to przekonało go, że nie ma wyboru - jeśli odmówi wejścia do maszyny, podniosą go za łokcie i siłą wrzucą do środka.

Wdrapał się do helikoptera.

Anatolij i Afgańczycy wskoczyli za nim i maszyna oderwała się od ziemi. Nikt nie zawracał sobie głowy zamykaniem drzwi.

Gdy helikopter nabrał wysokości, Jean-Pierre po raz pierwszy ujrzał Dolinę Pięciu Lwów z lotu ptaka. Biała rzeka wijąca się zygzakami poprzez ciemnobrązową krainę skojarzyła mu się z blizną po starej ranie od noża na śniadym czole Shahaziego Gula, brata akuszerki. Dostrzegł wioskę Banda z jej zielonożółtymi spłachetkami poletek. Wytężył wzrok wpatrując się w szczyt wzgórza, gdzie znajdowały się jaskinie, ale nie zauważył tam żadnych śladów życia - wieśniacy wybrali sobie dobre miejsce na kryjówkę. Helikopter wzniósł się wyżej, wykonał zwrot i Banda zniknęła mu z oczu. Poszukał wzrokiem innych punktów orientacyjnych na ziemi. Spędziłem tu rok swego życia, pomyślał, a teraz nigdy już nie zobaczę tego miejsca. Rozpoznał wioskę Darg ze zburzonym meczetem. Ta Dolina jest fortecą ruchu oporu, przyszło mu na myśl. Jutro stanie się pomnikiem nieudanej rebelii. A wszystko dzięki mnie.

Helikopter wszedł nagle w ostry wiraż obierając kurs na południe, przeleciał nad łańcuchem gór i po kilku sekundach stracili Dolinę z oczu.

## ROZDZIAŁ 11

Gdy Fara dowiedziała się, że Jane i Jean-Pierre odjeżdżają z następnym konwojem, płakała przez cały dzień. Przywiązała się bardzo do Jane i pokochała Chantal. Jane było przyjemnie, ale czuła się zakłopotana - czasami odnosiła wrażenie, że Fara przedkłada ją nad własną matkę. Jednak dziewczyna pogodziła się chyba w końcu z myślą o wyjeździe Jane i następnego dnia znowu była oddaną, ale już nie załamaną Farą.

Teraz Jane zaczęła odczuwać niepokój przed czekającą ją podróżą do domu. Z Doliny do przełęczy Khyber było sto pięćdziesiąt mil. Podróż w tę stronę trwała czternaście dni. Nabawiła się wtedy odcisków i biegunki, nie mówiąc już o nieuchronnych siniakach i stłuczeniach. Teraz musiała pokonać drogę powrotną z dwumiesięcznym dzieckiem na rękę. Będą co prawda konie, ale przez dużą część drogi jazda na nich nie należy do bezpiecznych, bo konwoje podążają najwęższymi i najbardziej stromymi górskimi ścieżkami, często pod osłoną nocy.

Z kawałka bawełnianej płachty sporządziła rodzaj hamaka, w którym poniesie Chantal, przewiesiwszy go sobie przez szyję. Na Jean-Pierre'a spadnie obowiązek dźwigania wszystkiego, co będzie im potrzebne w ciągu dnia, bo - jak się zorientowała podczas podróży w tę stronę - konie i ludzie posuwają się w różnym tempie - konie idą pod górę szybciej od ludzi, a wolniej schodzą w dół, przez co ludzie są przez długie okresy odseparowani od swojego bagażu.

Problemem, który absorbował ją tego popołudnia, kiedy Jean-Pierre przebywał w Skabun, było zadecydowanie, co zabrać ze sobą. Na pewno podstawowy zestaw pierwszej pomocy medycznej - antybiotyki, środki opatrunkowe, morfina - który Jean-Pierre spakuje osobno. Będą musieli zabrać trochę żywności. Idąc w tę stronę mieli ze sobą cały zapas wysokokalorycznych zachodnich racji, czekolady, torebek z zupą w proszku oraz konserw. W drogę powrotną zabiorą tylko to, w co zdołają zaopatrzyć się w Dolinie: ryż, suszone owoce, ser, twardy chleb i co tylko uda im się kupić po drodze. Dobrze chociaż, że nie muszą się martwić o prowiant dla Chantal.

Z dzieckiem były jednak inne problemy. Tutejsze matki nie stosowały pieluch, tylko dolną połowę ciała niemowlęcia pozostawiały nie owiniętą i prały często ręcznik, na którym leżało. Zdaniem Jane było to postępowanie o wiele zdrowsze od przyjętego na Zachodzie, ale nie nadawało się do wykorzystania w podróży. Jane przeznaczyła na pieluchy trzy ręczniki, a z polietylenowej folii, w którą owijane były medykamenty sprowadzane przez Jean-Pierre'a,

zrobiła Chantal prowizoryczne nieprzemakalne majteczki. Będzie musiała prać jedną pieluchę co wieczór - ma się rozumieć, w zimnej wodzie - i przez noc starać się ją wysuszyć. Na wypadek gdyby nie wyschła, miała jedną w zapasie; a gdyby obie były mokre, to najwyżej Chantal dostanie odparzeń. Żadne dziecko nie umarło jeszcze od obcierającej skórę pieluchy, pocieszała się. Konwój na pewno nie będzie się zatrzymywał za każdym razem na pory snu, karmienia czy na przewinięcie dziecka.

Jane była teraz w pewien sposób bardziej zahartowana niż przed rokiem. Skórę na podszwach stóp miała twardą, a żołądek odporny na pospolitsze miejscowe bakterie. Jej nogi, które tyle wycierpiały podczas podróży w tę stronę, były teraz nawykłe do wielomilowych marszów. Ale ciąża wywołała chyba u niej skłonność do bólów krzyża i martwiła się, czy da radę dźwigać dziecko przez cały dzień. Obrażenia poporodowe już się chyba wygoiły. Czuła się zdolna do uprawiania miłości, chociaż nie powiedziała tego jeszcze Jean-Pierre'owi - nie bardzo wiedziała dlaczego.

Zaraz po przybyciu narobiła mnóstwo zdjęć polaroidem. Aparat zostawi - niewiele był wart - ale pragnęła, oczywiście, zabrać większość fotografii. Przejrzała je niezdecydowana, które odrzucić. Miała zdjęcia większości mieszkańców wioski. Tu partyzanci: Mohammed, Alishan, Kahmir i Matullah prężący się ze srogimi minami w zabawnie heroicznym pozach. Tu kobiety: zmysłowa Zahara, stara, pomarszczona Rabia i ciemnooka Halima, wszystkie rozchichotane jak uczennice. Tu dzieci: trzy dziewczynki Mohammeda i jego chłopiec Mousa; pędraki Zahary w wieku dwóch, trzech, czterech i pięciu lat; czwórka dzieci mułły. Nie mogła wyrzucić żadnego z tych zdjęć - będzie musiała zabrać wszystkie.

Fara zamiatała podłogę, Chantal spała w sąsiedniej izbie, a ona pakowała ubrania do torby. Zeszli wcześniej z jaskiń, żeby uwinąć się z pracą. Ale do pakowania nie było dużo; poza pieluchami Chantal tylko jedna czysta para majtek dla niej i jedna dla Jean-Pierre'a oraz zapasowa para skarpetek dla każdego z nich. Żadne nie miało zmiany wierzchniego odzienia. Chantal nie posiadała w ogóle żadnych ubranek - od urodzenia leżała owinięta w szal albo tak jak ją Pan Bóg stworzył. Dla Jane i Jean-Pierre'a na całą podróż wystarczy po jednej parze spodni, jednej koszuli, chuście i kocu typu *pattu*, i wszystko to prawdopodobnie spalą w hotelu w Peszawarze, świętując swój powrót do cywilizacji.

Ta myśl będzie jej dodawała sił w podróży. Pamiętała jak przez mgłę, że Dearfs Hotel w Peszawarze wydawał jej się prymitywny, ale nie bardzo pamiętała, na czym polegał ten prymityw. Czy to możliwe, że uskarżała się na hałasującą instalację klimatyzacyjną? Na miłość boską, tam były przecież *prysznice!*

- Cywilizacja - powiedziała na głos i Fara spojrzała na nią pytająco. Jane uśmiechnęła się i przeszła na dari: - Jestem szczęśliwa, że wracam do dużego miasta.

- Lubię duże miasto - powiedziała Fara. - Byłam raz w Rokha. - Nie przerywała zamiatania. - Mój brat poszedł do Dżalalabadu - dodała z nutką zazdrości w głosie.

- Kiedy wróci? - spytała Jane, ale Fara nabrała wody w usta i zawstydziła się. Po chwili Jane uświadomiła sobie dlaczego: z podwórka dobiegło gwizdanie i męskie kroki, ktoś zapukał do drzwi i głos Ellisa Thalera zapytał:

- Jest tam kto?

- Wejdz - zawołała Jane.

Wszedł utykając. Chociaż uczuciowo nie była nim już zainteresowana, martwiła się jego raną. Pewnie wrócił dzisiaj z Astany, gdzie pozostał, by kurować się z ran. - Jak się czujesz? - zapytała.

- Głupio - odparł z ponurym uśmieszkiem. - Wstyd zarobić postrzał w takie miejsce.

- Jeśli odczuwasz tylko wstyd, to na pewno ci lepiej.

Pokiwał głową.

- Jest doktor?

- Poszedł do Skabun - powiedziała. - Był tam duży nalot bombowy i przysłali po niego. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Chciałem mu tylko powiedzieć, że moja rekonwalescencja dobiegła końca.

- Wróci dziś wieczorem albo jutro rano. - Przyglądała się ciekawie Ellisowi; z tą grzywą blond włosów i kędzierzawą, złocistą brodą wyglądał jak lew. - Czemu nie obetniesz sobie włosów?

- Partyzanci powiedzieli mi, żebym je zapuszczał i nie golił się.

- Każdemu to mówią. Chcą w ten sposób sprawić, by ludzie z Zachodu mniej rzucali się w oczy. W twoim przypadku przynosi to odwrotny efekt.

- W tym kraju będę się rzucać w oczy bez względu na fryzurę.

- To prawda. - Jane uświadomiła sobie, że po raz pierwszy jest z Ellisem bez Jean-Pierre'a. Bardzo łatwo przeszli do swojego dawnego stylu prowadzenia rozmowy. Z trudnością przypominała sobie, jak strasznie była na niego zła.

Przyglądał się z zaciekawieniem jej krzątaninie.

- Czemu się pakujesz?

- Wracamy do domu.

- Jak się stąd wydostaniecie?

- Tak jak tu przybyliśmy, z konwojem.



- Przez ostatnie kilka dni Rosjanie zajęli spore terytorium - powiedział. - Nie wiedziałaś?

- Po co mi to mówisz? - Jane przeszedł dreszcz niepokoju.

- Rosjanie rozpoczęli letnią ofensywę. Nacierają na tereny, przez które idą zwykle konwoje.

- Chcesz przez to powiedzieć, że szlak do Pakistanu jest odcięty?

- Regularny szlak jest odcięty. Nie można się stąd przedostać do przełęczy Khyber. Może istnieją inne trasy...

Jane zrozumiała, że rozwiewa się jej sen o powrocie do domu.

- Nikt mi nie powiedział! - wybuchnęła.

- Sądzę, że Jean-Pierre tego nie wiedział. Rozmawiałem dużo z Masudem, jestem więc na bieżąco.

- Tak - burknęła Jane nie spoglądając na niego. Może Jean-Pierre naprawdę niczego nie wiedział. A może wiedział, ale nie podzielił się z nią tymi informacjami, bo wcale nie chce wracać do Europy. Tak czy inaczej, nie zamierzała biernie godzić się z zaistniałą sytuacją. Po pierwsze upewni się, czy Ellis mówi prawdę. Potem zastanowi się nad rozwiązaniem problemu.

Podeszła do skrzyni Jean-Pierre'a i wyjęła z niej amerykańskie mapy Afganistanu. Były zwinięte w rulon i obwiązane elastyczną taśmą. Rozerwała niecierpliwie taśmę i rzuciła mapy na podłogę. Wewnętrzny głos odpowiedział jej gdzieś z głębi podświadomości, że może to być jedyna gumka w promieniu stu mil.

Uspokój się, nakazała sobie.

Uklękła na podłodze i zaczęła rozkładać mapy. Wszystkie były w bardzo dużej skali, musiała więc złączyć kilka, żeby odtworzyć całe terytorium leżące między Doliną a przełęczą Khyber. Ellis zaglądał jej przez ramię.

- To dobre mapy! - powiedział zdziwiony. - Skąd je masz?

- Jean-Pierre kupił je w Paryżu.

- Są lepsze od tych, które ma Masud.

- Wiem. Mohammed korzysta z nich zawsze, kiedy planuje trasy konwojów. Gotowe. Pokaż mi teraz, jak daleko posunęli się Rosjanie.

Ellis ukląkł obok niej na kobiercu i przesunął palcem po mapie. Jane poczuła przypływ nadziei.

- Dla mnie wcale z tego nie wynika, że przełęcz Khyber została odcięta - powiedziała.  
- Dlaczego nie możemy przejść tędy? - przeciągnęła wyimaginowaną linię nieco na północ od frontu.

- Nie wiem, czy wiecie tam jakiś szlak - powiedział Ellis. - Może nie da się tamtędy przejść. Musiałabys spytać partyzantów. Ale trzeba pamiętać, że informacje Masuda pochodzą sprzed co najmniej jednego albo dwóch dni, a Rosjanie wciąż nacierają. Jakaś dolina albo przełęcz może być jednego dnia otwarta, a drugiego już zamknięta.

- Cholera! - Nie zamierzała się tak łatwo poddać. Pochyliła się nad mapą i przyjrzała z bliska strefie granicznej. - Spójrz, przełęcz Khyber nie jest jedyną drogą przez granicę.

- Wzdłuż całej granicy ciągnie się dolina, której dnem płynie rzeka. Góry znajdują się po stronie afgańskiej. Być może do tych innych przejść dotrzeć można tylko od południa, to znaczy z terytorium okupowanego przez Rosjan.

- Takie spekulacje nie mają sensu - podsumowała Jane. Złożyła mapy i zwinęła je z powrotem w rulon. - Ktoś musi to wiedzieć.

- Chyba tak.

Wstała.

- Z tego cholernego kraju musi prowadzić więcej niż jedna droga - powiedziała. Wepchnęła sobie mapy pod pachę i wyszła, pozostawiając Ellisa klęczącego na kobiercu.

Kobiety wróciły już z dziećmi z jaskiń i wioska budziła się do życia. Nad murami podwórek dryfowały dymy z palenisk. Przed meczetem siedziała w kółku piątka dzieci bawiąc się w grę zwaną nie wiadomo dlaczego melonem. Polegała na opowiadaniu historyjek, przy czym opowiadający przerywał przed końcem i narrację musiało podjąć następne w kolejności dziecko. Jane dostrzegła w kółku Mousę, syna Mohammeda. Zza paska sterczał mu jakoś złowieszczo wyglądający nóż, który dostał od ojca po wypadku z miną. Mousa akurat ciągnął opowieść.

- ...i niedźwiedź próbował odgryźć chłopcu rękę - usłyszała Jane - ale chłopiec wyciągnął nóż...

Kierowała się do chaty Mohammeda. Samego Mohammeda może nie ma w domu - dawno go już nie widziała - ale mieszkał z braćmi w normalnej u Afgańczyków licznej rodzinie, a oni również byli partyzantami - byli nimi wszyscy młodzi mężczyźni zdolni do noszenia broni - jeśli więc ich zastanie, będą może w stanie udzielić jej niezbędnych informacji.

Przystanęła niezdecydowanie przed chatą. Zwyczaj nakazywał, by zatrzymała się na podwórku i porozmawiała z kobietami, które przygotowują tam wieczorny posiłek; a potem,

po wymianie uprzejmości, najstarsza z kobiet wejdzie może do domu i zapyta, czy mężczyźni raczą porozmawiać z Jane. Usłyszała głos swej matki: „Nie rób z siebie widowiska!”

- Idź do diabła, mamó - powiedziała głośno, wkroczyła zdecydowanym krokiem na podwórko i ignorując znajdujące się tam kobiety pomaszerowała prosto ku frontowym drzwiom chaty - salonu mężczyzn.

W środku zastała ich trzech: osiemnastoletniego brata Mohammeda, Kahmira Khana o przystojnej twarzy i rzadkiej brodzie; jego szwagra Matullaha i samego Mohammeda. Nie było rzeczą zwyczajną, by tak wielu partyzantów naraz przebywało w domu. Spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Niech Bóg będzie z tobą, Mohammedzie Khan - powiedziała Jane. Nie czekając na odpowiedź ciągnęła: - Kiedy wróciłeś?

- Dzisiaj - odparł automatycznie.

Przykucnęła podobnie jak oni. Zdumienie odebrało im mowę. Rozpostarła na podłodze przyniesione mapy. Trzej mężczyźni pochyłili się nad nimi odruchowo - zapomnieli już o naruszeniu przez Jane zasad etykiety.

- Spójrzcie - powiedziała. - Rosjanie przesunęli się dotąd, prawda? - nakreśliła palcem linię frontu, którą pokazywał jej Ellis.

Mohammed pokiwał potakująco głową.

- Tak więc regularny szlak konwojów został odcięty.

Mohammed znowu pokiwał głową.

- Jaka jest teraz najlepsza droga przez granicę?

Spojrzeli na nią niepewnie i potrząsnęli głowami. Było to normalne - rozmawiając o trudnościach, lubili robić z tego wielką ceremonię. Jane domyślała się, że wynika to z faktu, iż ich znajomość okolic stanowiła jedyną przewagę, jaką posiadali nad takimi jak ona cudzoziemcami. Zwykle podchodziła do tego tolerancyjnie, ale dzisiaj nie miała cierpliwości.

- Dlaczego nie tędy? - spytała stanowczo, wykreślając linię równoległą do frontu.

- Za blisko Rosjan - powiedział Mohammed.

- No to tędy. - Przeciągnęła palcem po mapie, wyznaczając bardziej bezpieczną trasę, biegnącą wzdłuż konturów ukształtowania terenu.

- Nie - odparł znowu.

- Dlaczego nie?

- Tutaj... - Wskazał na mapie miejsce pomiędzy czołami dwóch dolin, gdzie Jane beztrudnie przejechała palcem przez górskie pasmo. - ...tutaj nie ma żadnego siodła. - Siodło oznaczało u niego przełęcz.

- A tędy? - Jane nakreśliła trasę biegnącą bardziej na północ.

- Jeszcze gorzej.

- Musi istnieć jakaś droga na tamtą stronę! - krzyknęła Jane. Odnosiła wrażenie, że bawi ich jej frustracja. Postanowiła powiedzieć coś lekko obraźliwego, żeby ich trochę ożywić. - Czy ten kraj to dom o jednych drzwiach, odcięty od reszty świata tylko dlatego, że nie możecie dotrzeć do przełęczy Khyber? - określenie *dom o jednych drzwiach* było eufemizmem dla wtajemniczonych.

- Oczywiście, że nie - odparł wyniośle Mohammed. - W lecie jest jeszcze Szlak Maślany.

- Pokaż mi go.

Palec Mohammeda wykreślił skomplikowaną trasę, biorącą swój początek od wschodniego krańca Doliny i biegnącą poprzez szereg wysokogórskich przełęczy i koryt wyschniętych rzek, a potem skręcającą na północ w Himalaje i przecinającą wreszcie granicę w pobliżu wejścia do nie zamieszkanego Korytarza Waikhańskiego, by następnie podążyć zakosami na południowy wschód ku pakistańskiemu miastu Chitral.

- Tędy ludzie z Nurystanu noszą masło, jogurt i ser na jarmark do Pakistanu. - Uśmiechnął się i dotknął swojej okrągłej czapki. - Stamtąd mamy te nakrycia głowy. - Jane przypomniało się, że nazywają je czapkami chitrali.

- O to mi chodziło - powiedziała Jane. - Tędy wrócimy do domu.

Mohammed potrząsnął głową.

- Nie możecie.

- A dlaczego nie?

Kahmir i Matullah uśmiechnęli się porozumiewawczo. Jane zignorowała ich. Po chwili milczenia Mohammed powiedział:

- Pierwszym problemem jest wysokość. Te trasy prowadzą ponad granicą wiecznych lodów. Oznacza to, że śnieg nigdy tam nie topnieje i nawet w lecie nie płynie tam woda. Drugim jest ukształtowanie terenu. Wzgórza są bardzo stronne, a ścieżki wąskie i zdradliwe. Trudno jest znaleźć drogę - gubią się tam nawet miejscowi przewodnicy. Ale najpoważniejszy problem stanowią tubylcy. Ten obszar nazywa się Nurystanem, ale kiedyś mówiono o nim Kafiristan, bo zamieszkujący go ludzie byli niewiernymi i pili wino. Nawrócili się już, ale wciąż oszukują, okradają, czasami nawet mordują podróżnych. Ten szlak jest trudny dla Europejczyków, a dla kobiet w ogóle nie do przebycia. Tylko najmłodszy i najsilniejsi mężczyźni mogą z niego korzystać - a i tak wielu wędrowców przypłaca to życiem.

- Będziecie wysyłać tamtędy konwoje?
- Nie. Poczekamy na otwarcie szlaku południowego.

Obserwowała jego przystojną twarz. Czytała z niej, że nie przesadza, że trzyma się suchych faktów. Wstała i zaczęła składać mapy. Była gorzko rozczarowana. Powrót do domu zostaje odłożony na czas nieokreślony. Napięcie związane z życiem w Dolinie wydało jej się nagle nie do zniesienia i zbierało się jej na płacz.

Zwinęła mapy w rulon i zmusiła się do uprzejmości.

- Długo cię nie było - zwróciła się do Mohammeda.
- Byłem w Faizabadzie.
- To długa podróż. - Faizabad był dużym miastem daleko na północy. Słynął z silnego ruchu oporu: tamtejsza armia zbuntowała się i Sowieci nigdy nie odzyskali kontroli nad miastem. - Nie jesteś zmęczony?

Było to pytanie formalne, typu angielskiego *Jak się masz?* i Mohammed udzielił formalnej odpowiedzi:

- Jakoś żyję!

Upchnęła rulon map pod pachą i wyszła.

Gdy mijala kobiety krzątające się po podwórku, popatrzyły na nią z przestachem. Skinęła głową Halimie, ciemnokookiej żonie Mohammeda, która odwzajemniła jej się nerwowym półuśmiechem.

Partyzanci wiele ostatnio podróżowali. Mohammed był w Faizabadzie, brat Fary poszedł do Dżalalabadu... Jane przypomniała sobie, jak jedna z pacjentek lazaretu, kobieta z Dash-i-Rewat, mówiła, że jej męża wysłano do Pagman, niedaleko Kabulu. A szwagier Zahary, Yussuf Gul, brat jej zmarłego męża, udał się do leżącej za Kabulem doliny Logar. Wszystkie cztery miejsca były warowniami rebelii.

Coś się szykowało.

Próbując odgadnąć, co się dzieje, Jane zapomniła na chwilę o swoim rozczarowaniu. Masud rozesłał kurierów do wielu - może nawet wszystkich - przywódców ruchu oporu. Czy tylko za sprawą zwykłego zbiegu okoliczności stało się to wkrótce po przybyciu do Doliny Ellisa? Jeśli nie, to jaka mogła być w tym wszystkim rola Ellisa? Być może Stany Zjednoczone współpracują z Masudem w organizowaniu zsynchronizowanej ofensywy. Gdyby wszyscy rebelianci połączyli swe siły, mogliby j naprawdę coś osiągnąć - zdołaliby prawdopodobnie zająć nawet na jakiś czas Kabul.

Jane weszła do swojej chaty i wrzuciła mapy do skrzyni. Chantal jeszcze spała. Fara przygotowywała kolację: chleb, jogurt i jabłka.

- Po co twój brat poszedł do Dżalalabadu? - spytała ją Jane.

- Wysłali go - odparła Fara tonem kogoś, kto mówi rzecz oczywistą.

- Kto go wysłał?

- Masud.

- A po co?

- Nie wiem. - Fara wyglądała na zdziwioną, że Jane zadaje takie pytanie - kto mógłby być tak niemądry, żeby sądzić, iż mężczyzna wyjawia siostrze cel swojej podróży?

- Ma tam coś do załatwienia, znosi wiadomość czy co?

- Nie wiem - powtórzyła Fara. Zaczynała się denerwować.

- Nieważne - powiedziała Jane z uśmiechem. Ze wszystkich kobiet we wsi Fara prawdopodobnie najmniej orientowała się w sytuacji. Kto mógł być lepiej poinformowany? Oczywiście Zahara.

Jane wzięła ręcznik i ruszyła nad rzekę.

Zahara nie rozpaczała już po mężu, ale dużo straciła ze swej dawnej pogody ducha. Jane ciekawiło, kiedy ponownie wyjdzie za mąż. Ze wszystkich afgańskich par, jakie знаła, Zahara i Ahmed stanowili jedyną, w której wzajemnych stosunkach dostrzec można było miłość. Jednak Zahara należała do kobiet bardzo zmysłowych, które nie potrafią obyć się długo bez mężczyzny. Śpiewak Yussuf, młodszy brat Ahmeda, mieszkał z Zaharą pod jednym dachem i mając osiemnaście lat nadal nie był żonaty - wśród kobiet z wioski krążyła opinia, że być może Yussuf poślubi Zaharę.

Bracia mieszkali tutaj razem; siostry były zawsze rozdzielane. Panna młoda przenosiła się zgodnie ze zwyczajem do domu rodziców męża. Był to jeszcze jeden przejaw ucisku, jakiego nie szczędzili swoim kobietom mężczyźni w tym kraju.

Jane kroczyła rażno ścieżką biegnącą wśród pól. W wieczornym świetle pracowało na nich kilku mężczyzn. Żniwa zbliżały się ku końcowi. Wkrótce i tak będzie za późno, by wyruszyć Maślanym Szlakiem, pomyślała Jane. Mohammed powiedział, że to wyłącznie letnia trasa.

Doszła do babskiej plaży. W rzece i sadzawkach przy brzegu kąpało się osiem czy dziesięć kobiet z wioski. Zahara stała pośrodku rzeki czyniąc jak zwykle wiele plusku, ale nie śmiejąc się ani nie żartując.

Jane rzuciła ręcznik na ziemię i weszła do wody. Postanowiła, że będzie rozmawiać z Zaharą trochę mniej bezpośrednio niż z Farą. Oczywiście, nie uda jej się zwieść Zahary, ale spróbuje podejść ją tak, aby wyglądało to na plotki, a nie na wypytywanie. Nie od razu zbliżyła się do Zahary. Gdy kobiety wyszły z wody, po minucie czy dwóch zrobiła to samo i

w milczeniu zaczęła się wycierać ręcznikiem. Odezwała się dopiero wtedy, gdy Zahara w towarzystwie kilku innych kobiet ruszyła w drogę powrotną do wioski.

- Kiedy wróci Yussuf? - zapytała Zaharę w dari.
- Dzisiaj albo jutro. Poszedł do doliny Logar.
- Wiem. Sam poszedł?
- Tak, ale mówił, że może kogoś ze sobą przyprowadzi.
- Kogo?

Zahara wzruszyła ramionami.

- Może żonę.

Jane poczuła się przez chwilę zbита z tropu. Zahara odnosiła się do niej ze zbyt chłodną obojętnością. Świadczyło to o jej zaniepokojeniu - nie chciała, żeby Yussuf przyprowadził do domu żonę. Wyglądało na to, że w wiejskich plotkach tkwi jednak ziarenko prawdy. Jane miała taką nadzieję. Zaharze potrzebny był mężczyzna.

- Nie sądzę, żeby poszedł po żonę - powiedziała.
- Skąd wiesz?

- Dzieje się coś ważnego. Masud rozesłał wielu posłańców. Niemożliwe, żeby wszyscy poszli po żony.

Zahara nadal starała się sprawiać wrażenie, że nic ją to nie obchodzi, ale Jane zauważyła, że humor jej się nieco poprawił. Czy fakt, że Yussuf poszedł do doliny Logar, by kogoś stamtąd przyprowadzić, ma jakieś znaczenie?, pomyślała Jane.

Kiedy wchodziły do wioski, zapadała już noc. Z meczetu dobiegało ciche zawodzenie - niesamowity w brzmieniu chór modlących się, najbardziej żądnych krwi mężczyzn na świecie. Jane przypominało to zawsze Józefa, młodego rosyjskiego żołnierza ocalałego z helikoptera, który rozbił się o górskie zbocze niedaleko Bandy. Kilka kobiet przyniosło go do chaty sklepikarza - było to w zimie, przed przeniesieniem lazaretu do jaskini - i Jean-Pierre z Jane opatrywali mu rany, a tymczasem wysłano do Masuda kuriera z pytaniem, co robić. Jane poznała odpowiedź Masuda pewnego wieczora, kiedy do frontowej izby chaty sklepikarza, gdzie cały w bandażach leżał Józef, wszedł Alishan Karim, przyłożył lufę karabinu do ucha chłopca i jednym strzałem rozwalił mu głowę. Było to mniej więcej o tej właśnie porze dnia i kiedy Jane zmywała ze ściany krew i zbierała z podłogi mózg chłopca, w powietrzu unosiło się zawodzenie pogrążonych w modlitwie mężczyzn.

Kobiety pokonały ostatni odcinek ścieżki prowadzącej od rzeki pod górę i przystanąły przed meczetem, by przed rozejściem się do domów zakończyć prowadzone po drodze rozmowy. Jane popatrzyła na meczet. Mężczyźni modlili się na klęczkach, a ceremonię

proceedził mułła Abdullah. Ich broń, zbieranina starych strzelb i nowoczesnych pistoletów maszynowych, leżała na stosie w rogu. Modlący się właśnie kończyli. Gdy wstali, Jane zauważyła wśród nich wielu obcych.

- Kim oni są? - spytała Zahary.

- Sądząc po turbanach, muszą pochodzić z doliny Pich i z Dżalalabadu - odparła Zahara. - To Pusztuni; są właściwie naszymi nieprzyjaciółmi. Co oni tu robią? - Gdy to mówiła, z tłumu wystąpił bardzo wysoki mężczyzna z przepaską na oku. - To musi być Jahan Kamil, największy wróg Masuda!

- Ale Masud też tam jest i rozmawia z nimi - zauważyła Jane, po czym dorzuciła po angielsku: - A to ci dopiero!

- A to si topielo! - przedrzeźniła ją Zahara.

To był pierwszy żart Zahary od śmierci męża. Dobry znak - Zahara dochodzi do siebie.

Mężczyźni zaczęli wychodzić z meczetu i wszystkie kobiety prócz Jane rozbiegły się po domach. Wydało jej się, że zaczyna rozumieć, co się dzieje; musiała zdobyć potwierdzenie swych domysłów. Dojrawszy Mohammeda podeszła doń i powiedziała po francusku:

- Zapomniałam cię spytać, czy udała się twoja podróż do Faizabadu.

- Udała - odparł nie zwalniając kroku: nie chciał, by jego towarzysze albo Pusztuni widzieli, jak odpowiada na pytania kobiety.

Kierował się do domu, a Jane dreptała obok usiłując dotrzymać mu kroku.

- A więc dowódca Faizabadu tu jest?

- Tak.

Domysły Jane były słuszne - Masud zaprosił tu wszystkich przywódców rebelii.

- Co o tym wszystkim sądzisz? - spytała Mohammeda. Nadal nie znała szczegółów.

Mohammed zamyślił się i zwolnił trochę kroku, jak zawsze, kiedy wciągał go temat rozmowy.

- Wszystko zależy od tego, jak spisie się jutro Ellis - powiedział. - Jeśli wyrze na nich wrażenie człowieka honoru i zdobędzie ich szacunek, sądzę, że przystaną na jego plan.

- A według ciebie jego plan jest dobry?

- Jasne, że dobrze by było, gdyby ruch oporu się zjednoczył i dostał broń od Stanów Zjednoczonych.

A więc o to chodzi! Amerykańska broń dla rebeliantów pod warunkiem, że zamiast marnować czas i energię na zwalczanie się nawzajem, zjednoczą swe siły przeciwko Rosjanom.



Doszli do chaty Mohammeda i Jane zawróciła machając mu ręką na pożegnanie. Piersi miała pełne - zbliżał się czas karmienia Chantal. Prawa pierś sprawiała wrażenie nieco cięższej, gdyż przy ostatnim karmieniu zaczęła od lewej, a Chantal pierwszą opróżniała zawsze dokładniej.

Dotarła do chaty i weszła do sypialni. Chantal leżała nago na złożonym ręczniku w kołysce, której role spełniało przecięte na pół kartonowe pudło. W ciepłym letnim klimacie Afganistanu nie potrzebowała żadnych ubranek. W nocy przykryje się ją prześcieradłem i to wystarczy. Rebelianci i wojna, Ellis, Mohammed i Masud, wszystko straciło na ważności, gdy Jane spojrzała na swe dziecko. Zawsze uważała niemowlęta za okropnie brzydkie, ale Chantal wydawała jej się bardzo ładna. Gdy tak patrzyła, Chantal poruszyła się niespokojnie, otworzyła buzię i zapłakała. W odpowiedzi z prawej piersi Jane wyciekło natychmiast trochę mleka i na koszuli rozlała się ciepła, mokra plama. Rozpięła guziki i wzięła Chantal na ręce.

Jean-Pierre mówił, że przed każdym karmieniem powinna przemywać piersi chirurgicznym spirytusem, ale nigdy tego nie robiła wiedząc, że Chantal nie spodobałby się jego smak. Usiadła na kobiercu opierając się plecami o ścianę i położyła sobie Chantal w zgięciu prawego ramienia. Dziecko zatrzepotało w powietrzu małymi rączkami i pokręciło główką, szukając czegoś niecierpliwie otwartą buzią. Jane podsunęła jej sutek. Bezzębne dziąsła zacisnęły się na nim mocno i dziecko zaczęło ssać łapczywie. Jane skrzywiła się z bólu przy pierwszym silnym pociągnięciu, potem przy drugim. Trzecie było łagodniejsze. Mała pulchna rączka sięgnęła w górę i dotknęła krągłego boku nabrzmiałej piersi Jane, pociskając ją ze ślepą, niezdarną pieśczołą. Jane rozluźniła się.

Karmienie dziecka napełniało ją uczuciem ogromnej czułości i opiekuńczości. Ku swemu zaskoczeniu, czerpała z niego również wrażenia erotyczne. Z początku krępowo ją podniecenie, jakiego doznawała podczas karmienia, ale szybko doszła do wniosku, że jeśli to naturalne, to nie ma w tym nic złego i postanowiła nie wzbraniać się przed tym doznaniem.

Wybiegła myślą w przód, do chwili, kiedy pochwali się Chantal, jeśli kiedykolwiek wróci do Europy. Matka Jean-Pierre'a niewątpliwie od razu powie, że wszystko robi źle, a jej matka będzie nalegała na ochrzzczenie małej, ale ojciec zacznie adorować Chantal poprzez mgiełkę alkoholowego odurzenia, a siostra będzie dumna i nastawiona entuzjastycznie. Kto jeszcze? Ojciec Jean-Pierre'a nie żyje...

- Jest tam kto? - dobiegł z podwórka czyjś głos.

To był Ellis.

- Wejdz - zawołała Jane. Uznała, że nie musi się okrywać - Ellis nie jest Afgańczykiem, a zresztą byli kiedyś kochankami.

Wszedł, zobaczył, że Jane karmi małą, i zmieszany nie wiedział, co ze sobą począć.

- Mam wyjść?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Widziałeś już przecież moje piersi.

- Nie wydaje mi się - powiedział. - Musiałeś je podmienić.

Roześmiała się.

- Przy ciąży piersi rosną. - Wiedziała, że Ellis był już żonaty i miał dziecko, chociaż wszystko wskazywało na to, że nie widuje już ani tego dziecka, ani jego matki. Był to jeden z tematów, które niechętnie poruszał. - Nie pamiętasz tego z czasów, kiedy twoja żona chodziła w ciąży?

- Niestety - odparł owym suchym tonem, który przybierał zawsze, kiedy chciał, aby ktoś się zamknął. - Nie było mnie przy tym.

Była zbyt rozluźniona, by odpowiedzieć mu w podobnym tonie. Prawdę mówiąc, było jej go żal. Zmarnował sobie życie, choć nie tylko z własnej winy; i na pewno został ukarany za swe grzechy - nie tylko przez nią.

- Jean-Pierre nie wrócił? - spytał Ellis.

- Nie. - W miarę opróżniania się piersi, Chantal ssała coraz łagodniej. Jane wyciągnęła delikatnie sutek z buzi małej i uniósłszy dziecko na wysokość ramion dała jej lekkiego klapsa w wąską pupę, żeby jej się odbiło.

- Masud chciałby pożyczyć te mapy - powiedział Ellis.

- Oczywiście. Wiesz, gdzie są. - Chantal beknęła głośno. - Grzeczna dziewczynka - pochwaliła ją Jane. Przystawiła teraz dziecko do lewej piersi. Chantal, znowu głodna po beknięciu, zaczęła ssać. Działając pod wpływem nagłego impulsu Jane spytała: - Dlaczego nie widzisz się ze swoim dzieckiem?

Ellis wyjął mapy ze skrzyni, zamknął wieko i wyprostował się.

- Widuję się - powiedział. - Ale nie za często.

Jane była wstrząśnięta. Żyłam z nim przez niemal sześć miesięcy, pomyślała, i tak naprawdę - wcale go nie poznałam.

- To chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczyna.

- Musi mieć z...

- Trzynaście lat.

- Mój Boże. - Była praktycznie dorosła. Jane ogarnęła nagle nieprzeparta ciekawość. Dlaczego nigdy nie wypytała go o to wszystko? Może dopóki sama nie urodziła dziecka, te sprawy jej nie interesowały.

- Gdzie mieszka?

Zawahał się.

- Lepiej już nie mów - powiedziała. Potrafiła czytać z jego twarzy. - Właśnie chciałeś mi skłamać.

- Masz rację - przyznał. - Ale czy rozumiesz, dlaczego w tym przypadku nie mogę ci powiedzieć prawdy?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Obawiasz się, że wrogowie zaatakują cię poprzez twoje dziecko?

- Tak.

- To wystarczający powód.

- Dziękuję. I dzięki za to. - Pomachał jej mapami na pożegnanie i wyszedł.

Chantal zasnęła z sutkiem Jane w buzi. Jane odsunęła ją delikatnie od piersi i uniosła na wysokość ramion. Mała beknęła przez sen. To dziecko prześpi wszystko.

Jane zaczynała niepokoić się o Jean-Pierre'a. Była pewna, że jest teraz nieszkodliwy, ale mając go na oku czułaby się jednak pewniej. Nie miał możliwości skontaktowania się z Rosjanami, bo rozwaliła mu radio. Żadnej innej drogi łączności pomiędzy Bandą a ich terytorium nie było. Oczywiście Masud mógł przysyłać wiadomości poprzez kurierów; ale Jean-Pierre nie miał kurierów do dyspozycji, a nawet gdyby kogoś wysłał, dowiedziałyby się o tym cała wioska. Jedyne, co mógłby w tej sytuacji zrobić, to pójść na piechotę do Rokhy, a na to nie miał czasu.

Nie dość, że dręczył ją niepokój, to jeszcze nie cierpiała spać sama. W Europie nie robiło jej to różnicy, ale tutaj bała się brutalnych, nieobliczalnych tubylców, którzy bicie żony przez mężczyznę uważali za coś tak samo normalnego, jak bicie dziecka przez matkę. A w ich oczach Jane nie była zwyczajną kobietą - ze swoimi postępowymi poglądami, śmiałym spojrzeniem i bezpośredniością stanowiła symbol zakazanych rozkoszy cielesnych. Nie stosowała się do przyjętych kanonów seksualnego zachowania, a ich zdaniem tylko nierządnicę mogły tak postępować.

Kiedy był przy niej Jean-Pierre, przed zaśnięciem wyciągała zawsze rękę, żeby go dotknąć. Zwykł sypiać zwinięty w kłębek, odwrócony plecami do niej i chociaż wiercił się przez sen, robił to tak, że nigdy nawet się o nią nie otarł. Oprócz niego jedynym mężczyzną, z którym przez dłuższy czas dzieliła łóżko, był Ellis. Stanowił całkowite przeciwieństwo Jean-

Pierre'a - dotykał jej przez całą noc, tulił i całował; czasami na wpeł rozbudzony, a czasami śpiąc twardo. Dwa czy trzy razy próbował się z nią kochać przez sen; chichotała i próbowała mu to ułatwić, ale po kilku sekundach zsuwał się z niej i zaczynał chrapać, a rano nie pamiętał, co wyczyniał. Jak bardzo różnił się od Jean-Pierre'a. Pieścił ją z niezgrabną czułością bawiącego się z ukochanym zwierzątkiem dziecka; Jean-Pierre dotykał jej jak skrzypek grający na stradivariusie. Kochali ją inaczej, ale zdradzili w ten sam sposób.

Chantal zagaworzyła. Nie spała. Jane posadziła ją sobie na kolanach, podparła jej główkę tak, by mogły na siebie patrzeć, i zaczęła do niej przemawiać trochę bezsensownymi sylabami, trochę prawdziwymi słowami. Chantal to lubiła. Po chwili Jane wyczerpała swój repertuar dziecinnych rozmówek i zaczęła śpiewać. Była właśnie w środku piosenki *Tatusz pojechał ciuchcią do Londynu*, kiedy przerwał jej głos z zewnątrz.

- Wejść - zawołała i zwracając się Chantal powiedziała: - Goście walą do nas drzwiami i oknami, prawda? Zupełnie jakbyśmy mieszkali w Galerii Narodowej, co? - Ściągnęła przód koszuli, żeby zakryć dolinę między piersiami.

Wszedł Mohammed.

- Gdzie jest Jean-Pierre? - spytał w narzeczu dari.

- Poszedł do Skabun. Mogę ci w czymś pomóc?

- Kiedy wróci?

- Spodziewam się go rano. Powiesz mi, o co chodzi, czy wolisz dalej prowadzić tę rozmowę w stylu policjanta z Kabulu?

Uśmiechnął się. Odzywając się do niego obcesowo podniecała go, chociaż wcale nie było to jej zamiarem.

- Z Masudem przybył Alishan - powiedział. - Chce jeszcze pigulek.

- Ach, tak. - Alishan Karim był bratem mułły i chorował na anginę pectoris. Oczywiście nie chciał słyszeć o przerwaniu swojej partyzanckiej działalności, więc Jean-Pierre dał mu trinitrinę z zaleceniem zażywania bezpośrednio przed bitwą albo innym wysiłkiem fizycznym. - Dam ci trochę pastylek - powiedziała. Wstała i dała Mohammedowi Chantal do potrzymania.

Mohammed automatycznie wziął od niej dziecko i natychmiast się zmieszał. Jane uśmiechnęła się do niego i weszła do izby frontowej. Znalazła tabletki na półce pod ladą sklepiarza. Odsypała około setki do pojemniczka i wróciła do izby gościnnej. Chantal zafascynowana wpatrywała się w Mohammeda. Jane odebrała od niego małą i wręczyła mu pastylki.

- Powiedz Alishanowi, żeby więcej odpoczywał - powiedziała.

Mohammed potrząsnął głową.

- On się mnie nie słucha - oznajmił. - Ty mu powiedz.

Jane roześmiała się. W ustach Afgańczyka żart ten brzmiał niemal feministycznie.

- Po co Jean-Pierre poszedł do Skabun? - spytał Mohammed.

- Dziś rano było tam bombardowanie.

- Nic podobnego.

- Oczywiście, że by... - Jane urwała nagle.

Mohammed wzruszył ramionami.

- Byłem tam cały dzień z Masudem. Coś ci się pewnie pomyliło. Starła się zachować spokojny wyraz twarzy.

- Tak. Musiałam się przestyszeć.

- Dziękuję za pigułki. - Wyszedł.

Jane usiadła ciężko na stołku. W Skabun nie było żadnego bombardowania. Jean-Pierre poszedł na spotkanie z Anatolijem. Nie bardzo rozumiała, jak to zorganizował, ale nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Co robić?

Jeśli Jean-Pierre wiedział o jutrzejszym spotkaniu przywódców i zdołał przekazać tę informację Rosjanom, to Rosjanie mogą zaatakować...

Mogą w jeden dzień zlikwidować całe dowództwo afgańskiego ruchu oporu.

Musi się zobaczyć z Ellisem.

Owinęła Chantal w szal - na dworze już się trochę ochłodziło - i wyszła z chaty, kierując się w stronę meczetu. Ellis był wśród mężczyzn zgromadzonych na dziedzińcu i wraz z Masudem, Mohammedem oraz człowiekiem w przepasce na oku studiował mapy Jean-Pierre'a. Część partyzantów przekazywała sobie nargile, inni jedli. Patrzyli w osłupieniu na mijającą ich kobietę z dzieckiem na biodrze.

- Ellis - powiedziała. Podniósł wzrok. - Muszę z tobą pomówić. Możesz mi poświęcić chwilę?

Wstał. Wyszli przez sklepioną bramę i stanęli przed meczetem.

- O co chodzi? - spytał.

- Czy Jean-Pierre wie o tej naradzie, którą zwołałeś, o spotkaniu wszystkich przywódców ruchu oporu?

- Tak. Był przy tym, kiedy po raz pierwszy poruszaliśmy ten temat z Masudem. Wyciągał mi kulę z tyłka. Czemu pytasz?

Serce Jane zamarło. Łudziła się jeszcze, że Jean-Pierre o niczym nie wie. Teraz nie miała wyboru. Rozejrzała się dokoła. W zasięgu głosu nie było nikogo; zresztą rozmawiali po angielsku.

- Mam ci coś do powiedzenia - zaczęła - ale musisz mi obiecać, że nie stanie mu się żadna krzywda.

Przez moment patrzył na nią oszołomiony.

- O, kurczę - wykrzyknął nagle rozogniony. - Ja chromolę, o kurczę. Pracuje dla nich. Oczywiście! Że też wcześniej na to nie wpadłem. To pewnie on nadał tym skurwielom moje mieszkanie w Paryżu! To on ich informował o konwojach - dlatego tyle wpadło! Sukinsyn... - Urwał nagle i po chwili odezwał się nieco łagodniej. - To musi być dla ciebie straszne.

- Tak - przyznała. Twarz sama jej się wykrzywiła, z oczu trysnęły łzy i zaczęła szlochać. Zrobiło się jej słabo, głupio i wstyd, że płacze, ale czuła jednocześnie, jak wielki ciężar spada jej z serca.

Ellis otoczył ją i Chantal ramieniem.

- Biedactwo - powiedział.

- Tak - zaszlochała. - To było okropne.

- Od kiedy wiesz?

- Od kilku tygodni.

- Nie wiedziałaś, kiedy za niego wychodziłaś?

- Nie.

- Obaj - powiedział. - Obaj ci to zrobiliśmy.

- Tak.

- Wdepnęłaś w niewłaściwe towarzystwo.

Ukryła twarz w jego koszuli i na wspomnienie tych wszystkich kłamstw, tych zrad, tego straconego czasu i zawiedzionej miłości rozplakała się na dobre. Chantal też zaczęła płakać. Ellis przytulił Jane i głaskał ją po włosach, aż wreszcie przestała drżeć. Uspokajała się powoli. W końcu wytarła nos rękawem.

- Bo to było tak - powiedziała. - Rozwaliłam mu radio i myślałam, że już nie będzie mógł się z nimi porozumiewać; ale dzisiaj został wezwany do Skabun do rannych podczas bombardowania, tylko że dzisiaj nie było w Skabun żadnego bombardowania...

Z meczetu wyszedł Mohammed. Ellis zmieszał się i wypuścił Jane z objęć.

- O co chodzi? - spytał Mohammeda po francusku.

- Kłóć się - padła odpowiedź. - Jedni mówią, że to dobry plan i pomoże nam pokonać Rosjan. Inni pytają, dlaczego to Masud jest uważany za jedyne go dobrego przywódcę i kim

takim jest Ellis Thaler, że ocenia afgańskich przywódców. Musisz wrócić i jeszcze trochę z nimi porozmawiać.

- Zaraz - powiedział Ellis. - Wynikło coś nowego.

O Boże, pomyślała Jane, Mohammed kogoś zabije, kiedy to usłyszy...

- Był przeciek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Mohammed z groźną nutą w głosie.

Ellis zawahał się, jakby miał jakieś opory przed wyjawieniem tajemnicy.

- Istnieje możliwość, że Rosjanie wiedzą o naradzie... - wydusił w końcu z siebie.

- Kto? - syknął Mohammed. - Kto jest zdrajcą?

- Prawdopodobnie lekarz, ale...

- Od kiedy to wiesz? - ryknął Mohammed na Jane.

- Zwracaj się do mnie grzecznie albo wcale - odpysknęła.

- Przestańcie - wtrącił się Ellis.

Jane nie zamierzała darować Mohammedowi tego oskarżycielskiego tonu.

- Ostrzegłam cię, nie pamiętasz? - wyrzuciła z siebie. - Powiedziałam ci, żebyś zmienił trasę konwoju. Ocaliłam ci twoje cholerne życie, więc teraz nie wytykaj mnie palcem.

Wściekłość wyparowała z Mohammeda; wyglądał na trochę zakłopotanego.

- A więc to dlatego zmieniono trasę - powiedział Ellis. Spojrzał na Jane z pewnym podziwem.

- Gdzie on teraz jest? - spytał Mohammed.

- Nie wiemy - odparł Ellis.

- Kiedy wróci, musi zginąć.

- Nie! - krzyknęła Jane.

Ellis położył jej ostrzegawczo dłoń na ramieniu i zwrócił się do Mohammeda:

- Zabiłbyś człowieka, który ocalił życie tylu twoim towarzyszom?

- Musi za to odpowiedzieć.

Mohammed mówił o tym, co będzie, jeśli Jean-Pierre wróci, a Jane uświadomiła sobie, iż wierzy w jego powrót. Na pewno nie porzuciłby jej z ich dzieckiem!

- Jeśli jest zdrajcą - mówił Ellis - i jeśli udało mu się skontaktować z Rosjanami, to powiedział im o jutrzejszym spotkaniu. W takim przypadku na pewno zaatakują i spróbują pojmać Masuda.

- Niedobrze - stwierdził Mohammed. - Masud musi natychmiast odejść. Trzeba będzie odwołać naradę...

- Niekoniecznie - powiedział Ellis. - Zastanów się tylko. Możemy to wykorzystać.

- Jak?

- Szczerze mówiąc, im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się to podoba. Może się okazać, że to najlepsze, co mogło się zdarzyć...



## ROZDZIAŁ 12

O świcie ewakuowali wioskę Darg. Ludzie Masuda chodzili od chaty do chaty, budzili łagodnie mieszkańców i mówili im, że ich wioska ma dzisiaj zostać zaatakowana przez Rosjan i muszą się przenieść w wyższe partie Doliny, do Bandy, zabierając ze sobą swój najcenniejszy dobytek. Gdy wschodziło słońce, bezładny sznur kobiet, dzieci, starców i inwentarza opuszczał wioskę i ciągnął gościńcem biegnącym brzegiem rzeki.

Darg różniła się kształtem od Bandy. W Bandzie chaty skupiały się na wschodnim krańcu równiny, gdzie Dolina zwężała się i podłoże było skaliste. W Darg wszystkie chaty stłoczone były na maleńkiej półce pomiędzy podnóżem urwiska a brzegiem rzeki. Na wprost meczetu był most, a pola uprawne rozciągały się po drugiej stronie rzeki.

Było to idealne miejsce na urządzenie zasadzki.

Masud przez noc obmyślił plan i teraz Mohammed z Alishanem wydawali stosowne dyspozycje. Obydwaj - wysoki, przystojny i pełen gracji Mohammed oraz niski i brzydki Alishan, poruszali się ze spokojną pewnością i wydawali instrukcje przyciszonymi głosami, naśladując opanowany sposób bycia swego przywódcy.

Zakładając ładunki Ellis zastanawiał się, czy Sowietci się pojawią. Jean-Pierre nie wrócił, raczej więc na pewno udało mu się skontaktować ze swoimi mocodawcami; było niemal nie do pomyślenia, żeby ci oparli się pokusie pojmania lub zabicia Masuda. Ale to tylko przypuszczenia. Gdyby się nie zjawili, Ellis wyszedłby na głupca nakłaniającego Masuda do zastawienia wymyślnej pułapki na ofiarę, która się nie pojawiła. Partyzanci nie zawarliby paktu z głupcem. Jeśli jednak Sowietci przyjdą, rozumował Ellis, i jeśli zasadzka zda egzamin, wzrost prestiżu Masuda może wystarczyć do przypieczętowania całego układu.

Starał się nie myśleć o Jane. Kiedy objął ją wraz z dzieckiem ramionami, a ona zmoczyła mu łzami koszule, namiętność do niej rozgorzała w nim na nowo. Podziałało to niczym dolanie benzyny do ognia. Pragnął zostać tam tak na zawsze i czuć pod swoją ręką drżenie jej wąskich ramion oraz ciężar jej głowy na piersi. Biedna Jane. Była tak prawa, a trafiali jej się tacy podszyci zdradą mężczyźni.

Przeciągnął lont detonujący przez rzekę i wyprowadził jego koniec nad wodę obok swojego stanowiska, które znajdowało się w maleńkiej drewnianej chatce nad brzegiem, jakieś dwieście jardów w górę rzeki od meczetu. Przymocował szczypcami splotkę do lontu, po czym zakończył instalację prostym wojskowym urządzeniem odpalającym, wyzwalanym poprzez pociągnięcie za pierścień zawleczeni.

Zaprobował plan Masuda. Nauczył się urządzania zasadzek i kontr-zasadzek w forcie Bragg w roku przedzielającym jego dwie wyprawy do Azji i planowi Masuda dałby dziewięć punktów na dziesięć możliwych. Obciął jeden punkt, ponieważ Masud nie przewidział drogi odwrotu dla swoich żołnierzy w przypadku, gdyby szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Sowietów. Oczywiście Masud mógł tego wcale nie uważać za błąd w sztuce.

Do dziewiątej wszystko było już gotowe i partyzanci zasiedli do śniadania. Ten posiłek także był uwzględniony w scenariuszu zasadzki: w ciągu kilku minut, jeśli nie sekund, wszyscy mogli się znaleźć na swoich stanowiskach. Wioska oglądana z powietrza wyglądałaby wtedy bardziej naturalnie, jak gdyby wieśniacy rozpiechali się w poszukiwaniu kryjówki przed helikopterem, pozostawiając po sobie garnki, kobierce i płonące paleniska; dzięki temu dowódca sił sowieckich nie będzie miał powodu, by spodziewać się pułapki.

Ellis zjadł trochę chleba, popił kilkoma kubkami zielonej herbaty i położył się w oczekiwaniu, aż słońce wzniesie się wysoko nad Dolinę. Takich oczekiwań przeszedł w życiu dużo. Pamiętał je z Azji. Był wtedy często naćpany marihuaną, haszyszem czy kokainą i czekanie wcale go nie nużyło - sprawiało mu wręcz przyjemność. Ciekawe, że po wojnie stracił wszelkie zainteresowanie narkotykami.

Spodziewał się ataku albo tego popołudnia, albo nazajutrz o świcie. Gdyby był na miejscu sowieckiego dowódcy, rozumowałby, że przywódcy rebelii zebrali się wczoraj, a rozejdą dzisiaj, i przypuściłby atak dostatecznie późno, aby pojmać ewentualnych spóźnialskich, ale nie tak późno, by nie zastać już na miejscu części uczestników.

Przed południem przybyła ciężka broń - dwa przeciwlotnicze karabiny maszynowe 12,7 mm typu Dashoka, każdy ciągnięty drogą na dwukołowej podstawie przez jednego partyzanta. Pochód zamykał osioł obładowany skrzynkami chińskich pocisków przeciwpancernych 5-0.

Masud zarządził, że jeden z tych karabinów obsługiwany będzie przez śpiewaka Yussufa, który według krążących po wsi plotek miał prawdopodobnie poślubić przyjaciółkę Jane, Zaharę, a drugi przez partyzanta z Doliny Pich, niejakiego Abdura, którego Ellis nie znał, Yussuf zestrzelił już podobno trzy helikoptery ze swojego kałasznikowa. Ellis nie bardzo w to wierzył - latał helikopterami w Azji i wiedział, że zestrzelenie śmigłowca z karabinu jest prawie niemożliwe. Yussuf wyjaśnił mu jednak z uśmiechem, że cała sztuka polega na znalezieniu się nad celem i otwarciu do niego ognia od góry, co w Wietnamie było niemożliwe ze względu na odmienne niż tutaj warunki terenowe.

Chociaż Yussuf dysponował dzisiaj bronią większego kalibru, zamierzał zastosować tę samą technikę. Karabiny zdemontowano, po czym wyznaczono do każdego po dwóch ludzi, którzy wtaszczyli je na górę po stromych stopniach wykutych w zboczu urwiska wznoszącego się nad wioską. To samo uczyniono z podstawami i amunicją.

Ellis obserwował z dołu ponowny montaż karabinów. Pod szczytem urwiska znajdowała się skalna półka szeroka na dziesięć do piętnastu stóp. Dalej zbocze wznosiło się już mniej stromo. Partyzanci ustawili karabiny na półce w odległości dziesięciu jardów od siebie i zamaskowali je. Oczywiście piloci helikopterów szybko zorientują się w lokalizacji karabinów, ale będzie im bardzo trudno zestrzelić je stamtąd.

Gdy montaż dobiegł końca, Ellis udał się na swoje stanowisko w małej drewnianej chatce nad rzeką. Jego myśli wracały wciąż uparcie do lat sześćdziesiątych. Zaczynał tę dekadę jako uczeń, a kończył jako żołnierz. Wstąpił na Berkeley w 1967, pewny, że wie, co niesie mu przyszłość - chciał być producentem telewizyjnych filmów dokumentalnych, a ponieważ nie brakowało mu inteligencji i zdolności twórczych, no i była to Kalifornia, w której każdy, jeśli tylko dostatecznie ciężko pracował, mógł zostać, kim sobie zamarzy, nie widział żadnych powodów, dla których miałby zwątpić w ziszczenie swoich ambicji. Potem dostał fioła na punkcie ruchów pokojowych i siły kwiatów, antywojennych marszów, wolnej miłości, muzyki Doorsów, rozszerzanych dzinsów i LSD; i znowu myślał, że wie, jak i co chce robić w przyszłości: zamierzał zmieniać świat. Ten sen również szybko się skończył i wkrótce znowu go dopadło, tym razem była to bezmyślna brutalność armii i zaćpany horror Wietnamu. Ilekroć tak jak teraz spoglądał za siebie, przypominał sobie, że w tamtych czasach czuł się pewny, iż życie zaskoczy go naprawdę wielkimi zmianami, i godził się z tym.

W południe posiłku nie było. Partyzantom skończyła się już żywność. Ellis stwierdził, iż trudno mu przywyknąć do prostej raczej zasady, że kiedy żywności nie ma, nikt nie je lunchu. Uświadomił sobie, że może właśnie dlatego prawie wszyscy partyzanci są namiętymi palaczami - tytoń zabijał apetyt.

Gorąco było nawet w cieniu. Siedział na progu małej drewnianej chatki nadstawiając się pod najłżejszy powiew wiatorku. Widział pola, rzekę z przerzuconym nad nią łukowatym mostem ze spojonych glinianą zaprawą kamieni, wioskę z meczetem i górujące nad nią urwisko. Większość partyzantów zajęła już wyznaczone stanowiska, które zapewniały im zarówno osłonę, jak i schronienie przed słońcem. Przeważająca część ludzi znajdowała się w chatkach pod urwiskiem, gdzie trudno będzie ostrzeliwać ich z helikopterów; ale byli i tacy, którzy zajmowali z konieczności bardziej wysunięte i narażone na ostrzał pozycje bliżej rzeki. W surowej, kamiennej fasadzie meczetu ziały trzy sklepione łukowo otwory wejściowe i pod

każdym łukiem siedział ze skrzyżowanymi nogami partyzant. Przypominali Ellisowi strażników w budkach wartowniczych. Ellis znał wszystkich trzech: pod najdalszym łukiem siedział Mohammed, pod środkowym jego brat Kahmir z rzadką bródką, a pod najbliższym Ali Ghanim, brzydal z garbem i czternaściorgiem dzieci, człowiek, który razem z Ellisem został ranny na równinie. Każdy z tej trójki trzymał na kolanach kałasznikowa i papierosa w zębach. Ellis zastanawiał się, kto z nich dożyje jutra.

Pierwszy z napisanych przez niego w college'u esejów dotyczył oczekiwania przed bitwą, widzianego oczyma Szekspira. Przeciwwstawił sobie dwie przedbitewne przemowy: inspirującą z *Henryka V*, w której Król mówi: „Jeszcze raz do wyłomu, drodzy przyjaciele, jeszcze raz; albo zatkamy mur naszą angielską śmiercią”; i cyniczny monolog Falstaffa o honorze w *Henryku IV*: „Czy honor może wyleczyć nogę? Nie. Albo ramię? Nie... A zatem honor nie zna się na chirurgii? Nie... To kto się na niej zna? Ten, który umarł w środę”. Dziewiętnastoletni Ellis dostał za to wypracowanie ocenę bardzo dobrą - swoją pierwszą i ostatnią. Później był już zbyt zajęty, by dowodzić, że Szekspir, a właściwie cały program nauczania angielskiego, jest „oderwany od rzeczywistości”.

Z zadumy wyrwała go seria następujących jeden po drugim okrzyków. Nie rozumiał wykrzykiwanych w dani słów, ale też nie musiał - z naglącego tonu domyślił się, że obserwatorzy rozmieszczeni na zboczach okolicznych wzgórz dostrzegli w oddali helikoptery i zasygnalizowali to znajdującemu się na szczycie urwiska Yussufowi, który przekazał informację dalej. W skąpanej w słońcu wiosce zakotłowało się - to partyzanci obsadzali przydzielone sobie stanowiska, poprawiali się w swoich kryjówkach, sprawdzali broń i zapalali nowe papierosy. Trzej mężczyźni siedzący do tej pory w łukowatych drzwiach meczetu wtopili się w mroczne wnętrza budowli. Teraz widziana z powietrza wioska będzie wyglądała na wyludnioną, jak zawsze w najgorętszej porze dnia, kiedy większość ludzi wypoczywa.

Ellis wyteżył słuch i usłyszał złowrogi warkot wirników nadlatujących helikopterów. Zakotłowało mu się w żołądku: nerwy. Tak zapewne czuły się żółtki kryjące się w ociekającej wilgocią dżungli, pomyślał, kiedy słyszały, jak przez deszczowe chmury nadlatuje ku nim mój szturmowy helikopter. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, mój drogi.

Poluzował zawleczeni w odpalaczu.

Ryk helikopterów przybliżył się, ale wciąż nie było ich widać. Ciekawe, ile ich jest? Na podstawie hałasu, jaki robiły, nie potrafił tego stwierdzić. Dostrzegł coś kątem oka i spojrzawszy w tamtą stronę, zobaczył partyzanta dającego nura w rzekę z przeciwległego brzegu i płynącego w jego kierunku. Kiedy postać pływaka wynurzyła się nie opodal,

rozpoznał pokiereszowaną twarz Shahaziego Gula, brata akuszerki. Specjalnością Shahaziego były miny. Przemknął obok Ellisa i skrył się w chacie.

Na kilka minut w wiosce zapanował bezruch i nie słychać było nic, prócz przerażającego warkotu łopatek helikopterów. Gdy Ellis pomyślał - Jezu, ile ich, do diabła, przysłali? - znad urwiska na pełnym gazie wyprysnął pierwszy i skierował się ku wiosce. Niczym gigantyczny koliber zawisł niezdecydowanie nad mostem.

Był to Mi-24, znany na Zachodzie jako Hind (Rosjanie nazywali go Garbusem z powodu beczkowatych, bliźniaczych silników turbośmigłowych, zamontowanych na dachu kabiny pasażerskiej). Strzelec zajmował pozycję nisko w dziobie maszyny, mając trochę wyżej za sobą pilota, wyglądającego, jakby siedział temu pierwszemu na barana, a otaczające cały pokład nawigacyjny okna przypominały wielofasetkowe oko jakiegoś monstrualnego owada. Helikopter wyposażony był w trójkołowe podwozie i krótkie, grube płetwy z podwieszonymi wyrzutniami rakiet.

Jak, do cholery, garstka obszarpanych dzikusów mogła walczyć przeciwko takiej maszynie zniszczenia?

Znad urwiska wypadło kolejno jeszcze pięć Hindów. Przeleciały nad wioską i okolicznymi terenami węsząc, jak domyślał się Ellis, w poszukiwaniu pozycji wroga. Były to rutynowe środki ostrożności - Rosjanie nie mieli żadnych podstaw, by spodziewać się zdecydowanego oporu, sądzili bowiem, że ich atak będzie zaskoczeniem.

Zaczęły się pojawiać helikoptery innego typu i Ellis rozpoznał w nich nazywane Hipami Mi-8. Większe, ale mniej groźne od Hindów, mogły zabierać na pokład dwudziestu kilku ludzi i przystosowane były raczej do transportu wojska niż do walki. Pierwszy zawisł na chwilę nad wioską, potem odleciał w bok i osiadł na polu jęczmienia. W jego ślady poszło jeszcze pięć takich maszyn. Stu pięćdziesięciu ludzi, obliczył szybko Ellis.

Z lądujących Hipów wyskakiwali żołnierze i padając na ziemię kierowali lufy karabinów na wioskę, ale nie otwierali ognia.

Żeby zająć wioskę, musieli przedostać się przez rzekę, żeby zaś przedostać się przez rzekę, musieli zdobyć most. Ale tego jeszcze nie wiedzieli. Byli po prostu ostrożni - spodziewali się, że zaskoczenie ułatwi im zwycięstwo.

Ellis obawiał się, że wioska może im się wydać podejrzanie wyludniona. W kilka minut po pojawieniu się pierwszego helikoptera powinno się już pojawić kilka uciekających postaci. Wyteżając słuch czekał na pierwszy strzał. Nie bał się już. Koncentrował się zbyt mocno i na zbyt wielu rzeczach, by odczuwać strach. Gdzieś z podświadomości wyłoniła się myśl; zawsze tak jest, kiedy już się zacznie.

Shahazi zaminował tamto pole jęczmienia, przypomniało się Ellisowi. Dlaczego żadna z min jeszcze nie wybuchła? W chwilę później przyszła odpowiedź. Jeden z żołnierzy - przypuszczalnie oficer - wstał i wydał krzykiem rozkaz. Dwudziestu kilku ludzi poderwało się na nogi i ruszyło biegiem w kierunku mostu. Nagle rozległ się ogłuszający huk, głośny nawet na tle helikopterowego hurgotu, po nim drugi i jeszcze jeden. Ziemia zdawała się eksplodować pod stopami biegnących żołnierzy (Ellis pomyślał, że Shahazi nafaszerował swoje miny dodatkowym ładunkiem TNT). Przesłoniły ich chmury brązowej ziemi i złocistego jęczmienia; wszystkich prócz jednego, którego wyrzuciło wysoko w powietrze i spadał teraz wolno, wirując w locie jak akrobata, aż w końcu rąbnął o ziemię i znieruchomiał w powykręcanej pozie. Gdy zamarły echa wybuchów, rozległ się inny dźwięk - głębokie, wyczuwalne żołądkiem dudnienie dolatujące szczytu urwiska; to Yussuf i Abdur otworzyli ogień. Zawtórowali im, grzejąc z kałasznikowów przez rzekę, partyzanci skryci w wiosce i Rosjanie wycofali się w rozsypce.

Zaskoczenie dało partyzantom ogromną przewagę wstępną, ale nie będzie ona trwać wiecznie: sowiecki dowódca szybko wprowadzi ład w szeregi swoich żołnierzy. Ale zanim zdoła cokolwiek osiągnąć, musi oczyścić podejście do mostu.

Ekspłodował jeden z Hipów stojących na polu jęczmienia i Ellis pomyślał, że pewnie trafili go Yussuf z Abdurem. Zrobiło to na nim wrażenie - chociaż donośność dashoki wynosi milę, a helikoptery nie stały dalej jak pół mili, trzeba było nie lada strzelca, żeby zniszczyć jednego z nich z takiej odległości.

Hindy - garbate maszyny szturmowe - znajdowały się wciąż w powietrzu i krążyły nad wioską. Rosyjski dowódca wprowadził je teraz do akcji. Jeden przeleciał lotem koszącym nad rzeką i zasypał gradem pocisków pole minowe Shahaziego. Yussuf i Abdur otworzyli do niego ogień, ale chybili. Miny Shahaziego wybuchły jedna po drugiej nie czyniąc nikomu krzywdy. Wolałbym, żeby te miny bardziej przetrzebiły nieprzyjaciela, pomyślał z niepokojem Ellis. Dwudziestu ludzi ze stu pięćdziesięciu to niewiele. Hind wzbił się znowu w górę przegnany przez Yussufa, ale na pole minowe, ziejąc ogniem, nurkował już drugi. Yussuf i Abdur przywitani go długimi seriami. Maszyna zatoczyła się nagle tracąc część pletwy i helikopter runął nosem w dół do rzeki. Piękny strzał, Yussuf! - pomyślał Ellis. Ale podejście do mostu zostało oczyszczone, a Rosjanie wciąż mieli ponad stu ludzi i dziesięć helikopterów, i Ellis uświadomił sobie z dreszczem niepokoju, że partyzanci mogą przegrać tę bitwę.

Rosjanie nabrali teraz animuszu i większość z nich - według oceny Ellisa ponad osiemdziesięciu - prowadząc ciągły ogień, zaczęła pełznąć w kierunku mostu. Nie wyglądają

na pozbawionych morale czy niezdyscyplinowanych, jak twierdzą amerykańskie gazety, pomyślał Ellis, chyba że to jakiś doborowy oddział. Potem zauważył, że wszyscy żołnierze są białoskórzy. Nie było między nimi Afgańczyków. Zupełnie jak w Wietnamie, gdzie południowych żołtków zawsze trzymano z dala od wszystkiego, co ważne.

Nagle zaległa cisza. Wymiana ognia między Rosjanami zajmującymi pozycje na polu jęczmienia a partyzantami kryjącymi się w wiosce prowadzona była w sposób chaotyczny, przy czym Rosjanie strzelali mniej lub bardziej na oślep, a partyzanci oszczędzali amunicję. Ellis spojrział w górę. Hindy skierowały się teraz w stronę urwiska, skąd prowadzili, ogień Yussuf z Abdurem. Sowiecki dowódca słusznie uznał ciężkie karabiny maszynowe za swój główny cel.

Obserwując Hinda spadającego lotem ślizgowym na strzelców ukrytych pod szczytem urwiska, Ellis nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu dla pilota, który szedł prosto na karabiny. Wiedział, ile nerwów to kosztuje. Maszyna położyła się w ciasny wiraż i odbiła w bok - nie trafili się nawzajem.

Szansę mają mniej więcej równe, pomyślał Ellis: Yussufowi łatwiej było ze stacjonarnej pozycji dokładnie celować do znajdującego się w ruchu helikoptera, ale z tego samego powodu sam stanowił łatwiejszy cel, bo tkwił w jednym miejscu. Ellis przypomniał sobie, że rakiety podwieszane pod płetwami Hinda są odpalane przez pilota, natomiast karabin maszynowy w nosie maszyny obsługuje strzelec pokładowy. W tak przerażających okolicznościach trudno będzie pilotowi celować dokładnie, pomyślał; a ponieważ dashoki przewyższały donośnością czterolufowe karabiny typu Gatling, w jakie uzbrojony był helikopter, być może Yussuf z Abdurem mają minimalną przewagę.

Przez wzgląd na dobro nas wszystkich mam taką nadzieję, pomyślał Ellis.

Niczym jastrzęb spadający na królika opuścił się w kierunku urwiska następny Hind, przywitał go jednak terkot karabinów maszynowych i maszyna eksplodowała nagle w powietrzu. Ellis miał ochotę wiwatować głośno, w czym było sporo ironii, ponieważ bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z przerażenia i ledwie kontrolowanej paniki, jaka ogarnia załogę ostrzeliwanego helikoptera.

Na stanowiska karabinów maszynowych zanurkował następny Hind. Tym razem strzelcy chybili o włos, ale odstrzelili maszynie ogon i helikopter tracąc sterowność, roztrzaskał się o ścianę urwiska, a Ellis pomyślał - Jezu Chryste, mało brakuje, a skosimy je wszystkie! Ale ton karabinów uległ zmianie i po chwili Ellis uświadomił sobie, że ogień prowadzi już tylko jeden z nich. Drugi zamilkł. Przebił wzrokiem tumany pyłu i dostrzegł poruszającą się w górze czapkę chitrali. Yussuf nadal żył. Dostał Abdur.

Pozostałe trzy Hindy zatoczyły koło i przeformowały się. Jeden wzniósł się wysoko ponad pole bitwy - na jego pokładzie znajduje się pewnie dowódca sowieckich sił, pomyślał Ellis - a dwa zaczęły spadać na Yussufa z dwóch stron wykonując manewr oskrzydłający. Sprytne zagranie, pomyślał z niepokojeni Ellis - Yussuf nie może przecież strzelać do dwóch maszyn naraz. Obserwował je, jak schodzą coraz niżej. Kiedy Yussuf wziął na cel jednego, drugi opadł jeszcze bardziej. Ellis zauważył, że Rosjanie lecą z otwartymi drzwiami, zupełnie jak Amerykanie w Wietnamie.

Hindy zanurkowały w Yussufa. Jeden odbił raptownie w bok, zarobił jednak bezpośrednie trafienie i stanął w płomieniach; ale z góry spadał już drugi, zionąc raketami i ogniem z pokładowej broni maszynowej. Ellis pomyślał, że Yussuf nie da rady, i w tym momencie maszyna jakby zawahała się w locie. Czyżby dostał? Helikopter runął nagle pionowo w dół z wysokości dwudziestu paru stóp - *Gdy siadają silniki* - mawiał instruktor w szkółce pilotażu - *helikopter wali się w dół jak stare pianino* - i spadł na skalną półkę o kilka jardów zaledwie od Yussufa; ale nagle jego silniki chyba znowu zaskoczyły i ku zdumieniu Ellisa maszyna zaczęła się unosić. Są wytrzymalsze od cholernego Hueya, pomyślał; ostatnie lata przyniosły spory postęp w dziedzinie konstrukcji helikopterów. Strzelec pokładowy puł ze swojego karabinu przez cały czas, ale teraz przerwał ogień. Ellis zobaczył dlaczego i poczuł skurcz w sercu. Dashoka w przybraniu z maskujących gałęzi przechyliła się przez krawędź urwiska i koziołkując zwała w dół; tuż za nią runął bezwładny toból koloru błota, to był Yussuf. Spadając wzdłuż ściany urwiska odbił się w połowie drogi o ostry występ i zleciała mu z głowy okrągła czapka chitrali. W chwilę później Ellis stracił go z oczu. Mało brakowało, a Yussuf w pojedynkę rozstrzygnąłby losy tej bitwy: nie dostanie medalu, ale legenda o nim opowiadana będzie przy ogniskach w zimnych afgańskich górach przez następne sto lat.

Rosjanie stracili jak dotąd cztery z sześciu Hindów, jednego Hipa i około dwudziestu pięciu ludzi; ale partyzanci przypłacili to stratą obu ciężkich karabinów maszynowych i teraz, kiedy dwa pozostałe Hindy zaczęły ostrzeliwać wioskę, byli wobec nich bezbroni. Ellis kulił się w chacie żałując, że jest zbudowana z drewna. Ostrzał stanowił element taktyki zmiękczonej; po minucie czy dwóch Rosjanie zalegający do tej pory w polu jęczmienia, jak na komendę poderwali się z ziemi i pognali w kierunku mostu.

Nareszcie, pomyślał Ellis; teraz się rozstrzygnie - wóz albo przewóz.

Partyzanci zajmujący pozycje w wiosce otworzyli ogień do nacierających żołnierzy, ale ze względu na ostrzał z powietrza nie był on skuteczny i niewielu Rosjan padło. Na nogach byli już prawie wszyscy Sowietci, osiemdziesięciu paru chłopca. Biegli prując na oślep



seriami przez rzekę i wrzeszcząc entuzjastycznie, podbudowani kruchością obrony. Gdy nacierający dobiegli do mostu, skuteczność ognia prowadzonego przez partyzantów poprawiła się nieco i padło jeszcze kilku Rosjan, ale nie tylu, by natarcie się załamało. W kilka sekund później pierwszy z nich sforsował most i wpadł między wioskowe zabudowania szukając tam schronienia.

W chwili gdy Ellis pociągał za kółko odpalacza, na moście i w jego pobliżu znajdowało się około sześćdziesięciu ludzi.

Starożytna kamienna budowla wyleciała w powietrze niczym wulkan.

Ellis zakładał ładunki z myślą nie o eleganckiej rozbiórce mostu, lecz o zabijaniu, i eksplozja rozruciła śmiertelne szczątki budowli niczym grad kartaczy z jakiejś gigantycznej maszyny, porywając ze sobą wszystkich ludzi z mostu i rażąc wielu znajdujących się jeszcze wśród jęczmienia. Ellis skrył się szybko w swojej chatce przed deszczem kamieni zasypującym wioskę. Gdy wszystko ucichło, wyrzął znowu na świat.

Tam, gdzie przed chwilą stał most, wznosił się teraz makabryczny stos przemieszanych ze sobą kamieni i ciał. Zawaliła się również część meczetu i dwie chaty we wsi. A Rosjanie znajdowali się w pełnym odwrocie.

Widział dwudziestu paru niedobitków wskakujących w pośpiechu w otwarte drzwi Hipów. Ellis wcale im się nie dziwił. Gdyby pozostali na polu jęczmienia, gdzie pozbawieni byli jakiegokolwiek osłony, partyzanci wystrzelaliby ich co do jednego ze swych dobrych stanowisk we wsi; a gdyby próbowali jeszcze raz sforsować rzekę, wystrzelano by ich w wodzie jak kaczki.

W kilka sekund później trzy ocalałe z pogromu Hipy wystartowały z pola, by połączyć się z dwoma krążącymi w powietrzu Hindami, po czym, nie oddając nawet pożegnalnej salwy, wszystkie helikoptery nabrały wysokości i znikły za krawędzią urwiska.

Gdy ścichł dudniący warkot ich silników, Ellis usłyszał inny hałas. Dopiero po chwili zorientował się, że czynią go wiwatujący mężczyźni. Zwyciężyliśmy, pomyślał. I też zaczął krzyczeć z radości.

## ROZDZIAŁ 13

- I dokąd poszli partyzanci? - spytała Jane.

- Rozproszyli się - odparł Ellis. - To technika Masuda. Wtapia się we wzgórze, zanim Rosjanie zdążą ochłonać. Mogą wrócić z posiłkami - może nawet już są w Darg - ale nie znajdą nikogo, z kim mogliby walczyć. Partyzanci odeszli wszyscy z wyjątkiem kilku.

W lazarecie Jane przebywało siedmiu rannych mężczyzn. Życiu żadnego z nich nie zagrażało. Dwunastu innych z lżejszymi obrażeniami odesłano już po opatrzeniu do oddziałów. W bitwie poległo tylko dwóch ludzi, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że jednym z nich był Yussuf. Zahara znowu pograży się w żałobie - i powtórnie z winy Jean-Pierre'a.

Ellis był w euforii, Jane natomiast czuła się przygnębiona. Muszę skończyć z tym rozpamiętywaniem, pomyślała. Jean-Pierre odszedł i nie wraca i nie ma sensu się zamartwiać. Powinnam zacząć myśleć realnie. Powinnam się zainteresować życiem innych.

- A co z naradą? - spytała Ellisa. - Jeśli wszyscy partyzanci odeszli...

- Zgodzili się jednogłośnie - powiedział Ellis. - Po udanej zasadzce ogarnął ich taki entuzjazm, że gotowi byli przystać na wszystko. To zwycięstwo dowiodło w pewnym sensie tego, w co niektórzy z nich powątpiewali: że Masud jest błyskotliwym przywódcą i że jednocząc się pod jego rozkazami mogą osiągać wielkie zwycięstwa. Sukces przypieczętował również mój prestiż jako fachowca, co nie było bez znaczenia.

- Udało ci się.

- Tak. Mam nawet traktat, podpisany przez wszystkich rebelianckich przywódców i poświadczony przez mułę.

- Jesteś pewnie dumny. - Wyciągnęła rękę, uścisnęła go za ramię i szybko ją cofnęła. Tak ją cieszyła jego obecność, dzięki której nie czuła się samotna, że wyrzucała sobie, iż tak długo nie potrafiła mu wybaczyć. Obawiała się jednak, że mogłaby niechcący wzbudzić w nim fałszywe wrażenie, iż nadal, tak jak dawniej zależy jej na nim, bo głupio by wyszło.

Odwróciła się od niego i rozejrzała po jaskini. Bandaże i strzykawki spoczywały w swoich pudełkach, a lekarstwa w jej torbie. Ranni partyzanci leżeli wygodnie na kobiercach i kocach. Pozostaną w jaskini przez noc: zbyt trudno byłoby znieść ich wszystkich ze wzgórza. Mieli tu wodę, trochę chleba, a dwóch czy trzech z nich czuło się na tyle dobrze, żeby wstać i zaparzyć herbatę. U wylotu jaskini siedział w kucki Mousa, syn Mohammeda, i bawił się w kurzu w tajemniczą grę nożem, który podarował mu ojciec: zostanie z rannymi i gdyby któryś

z nich potrzebował w nocy pomocy lekarskiej, co było raczej mało prawdopodobne, chłopiec zbiegł do wsi i sprowadzi Jane.

Wszystko było w najlepszym porządku. Pożyczyła im dobrej nocy, pogłaskała Mouse po głowie i wyszła na zewnątrz. Ellis wyszedł za nią. W wieczornym powiewie wyczuła przyjemny chłód. To pierwsza oznaka zbliżającego się końca lata. Podniosła wzrok na odległe pasmo Hindukuszu, skąd nadciągnie zima. Promienie zachodzącego słońca barwiły ośnieżone szczyty na różowo. To piękny kraj - tak łatwo się o tym zapominało, zwłaszcza w nawale pracy. Cieszę się, że go zobaczyłam, pomyślała, choć nie mogę się doczekać, kiedy znowu znajdę się w domu.

Zaczęli schodzić z Ellisem ze wzgórza. Zerknęła na niego od czasu do czasu. W zachodzącym słońcu jego twarz była jak odlana z brązu i ściągnięta. Uświadomiła sobie, że prawdopodobnie niewiele spał ostatniej nocy.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała.

- Już dawno nie byłem na prawdziwej wojnie - odparł. - Pokój rozmiękcza człowieka.

Mówił całkiem poważnie. Dobrze przynajmniej, że w odróżnieniu od Afgańczyków nie przejawia upodobania do rzezi. Wyciągnęła z niego tylko suchy fakt, że wysadził w powietrze most w Darg, ale jeden z partyzantów opowiedział jej wszystko ze szczegółami, wyjaśniając, jaki wpływ miało odpowiednie wybranie momentu odpalenia ładunków wybuchowych na przebieg bitwy i obrazowo opisując jatkę, jaką pociągnęła za sobą eksplozja.

W wiosce Banda panowała świąteczna atmosfera. Mężczyźni i kobiety, zamiast zaszyć się w zaciszu swoich podwórek, stali w grupkach pośrodku wioski, rozprawiając z ożywieniem. Dzieci, naśladując starszych braci, bawiły się hałaśliwie w wojnę, urządzając zasadzki na wymaganych Rosjan. Skądś dolatywał głos mężczyzny, śpiewającego przy akompaniamencie bębna. Myśl o spędzeniu tego wieczora w samotności wydała się nagle Jane nie do zniesienia i pod wpływem nieoczekiwanego impulsu zaproponowała Ellisowi:

- Zajdź do mnie na herbatę - jeśli ci nie przeszkadza, że będę karmiła Chantal.

- Lubię patrzeć, jak to robisz - odparł.

Gdy wchodzili do chaty, mała płakała i u Jane, jak zwykle, pojawiła się natychmiastowa reakcja: z jednej piersi trysnął nie kontrolowany strumyczek mleka.

- Siadaj, Fara przyniesie ci zaraz herbatę - powiedziała pośpiesznie do Ellisa, a sama wpadła do sąsiedniej izby, zanim zdążył zauważyć zenujący ją zaciek na koszuli.

Rozpięła szybko guziki i wzięła dziecko na ręce. U małej nastąpiła zwykła w takiej chwili ślepa panika i gorączkowe poszukiwania sutka. Wreszcie zaczęła ssać, początkowo ze

sprawiającą ból zachłannością, potem stopniowo coraz łagodniej. Jane uświadomiła sobie teraz, że krępuje się wracać do izby gościnnej. Nie wygłupiaj się, skarciła samą siebie; zaprosiłaś go i zgodził się, a zresztą swego czasu spędzałaś w jego łóżku praktycznie każdą noc... Mimo to, przestępując próg czuła, że się rumieni.

Ellis przeglądał mapy Jean-Pierre'a.

- To było najsprytniejsze posunięcie - powiedział, kiedy weszła. - Znał wszystkie trasy, bo Mohammed zawsze korzystał z tych map. - Podniósł na nią wzrok, zobaczył wyraz jej twarzy i rzucił pośpiesznie: - Ale nie mówmy już o tym. Co teraz zrobisz?

Usiadła na poduszce opierając się plecami o ścianę. To była jej ulubiona pozycja przy karmieniu. Nic nie wskazywało, by jej odsłonięta pierś wprawiała Ellisa w zakłopotanie, poczuła się więc trochę swobodniej.

- Muszę poczekać - powiedziała. - Gdy tylko otworzy się szlak do Pakistanu i znowu ruszą konwoje, wracam do domu. A ty?

- Ja też. Wykonałem tu swoje zadanie. Oczywiście, trzeba pilnować dotrzymywania warunków porozumienia, ale Agencja ma w Pakistanie ludzi, którzy mogą się tym zająć.

Weszła Fara z herbatą. Jane zastanawiała się, jakie może być następne zadanie Ellisa - przygotowywanie zamachu stanu w Nikaragui, szantażowanie sowieckiego dyplomaty w Waszyngtonie, czy też zamordowanie afrykańskiego komunisty? Kiedy byli kochankami, wypytywała go, jak trafił do Wietnamu, i opowiedział jej o przekonaniu wszystkich jego znajomych, że będzie się wymigiwał od poboru, i o tym, że okazał się jednak przewrotnym sukinsynem i zrobił coś zupełnie przeciwnego. Nie wiedziała, czy może mu wierzyć - jeśli nawet to prawda, nadal było dla niej niejasne, dlaczego już po odejściu z wojska pozostał przy tej brudnej robocie.

- A co będziesz robił po powrocie? - spytała. - Zajmiesz się znowu obmyślaniem sposobów zlikwidowania Castra?

- Agencja nie jest powołana do zabijania - odparł.

- Ale to robi.

- Działa w jej ramach obłąkany element, który wyrabia nam taką opinie. Niestety, prezydenci nie potrafią się oprzeć pokusie zabawy w tajnych agentów, i to ośmiela ten szajbnięty odłam.

- Dlaczego się na nich nie wypniesz i nie dołączysz do rasy ludzkiej?

- Słuchaj. Ameryka jest pełna ludzi, którzy są wprawdzie świecie przekonani, że ich kraj tak jak i inne kraje ma prawo do wolności - ale należą jednocześnie do takiego typu ludzi, którzy się wypinają i dołączają do rasy ludzkiej. W konsekwencji Agencja zatrudnia zbyt

wielu psychopatów, a zbyt mało przyzwoitych, zaangażowanych obywateli. Kiedy więc Agencja obala w imieniu prezydenta rząd obcego kraju, ci ludzie pytają, jak w ogóle może dochodzić do tego rodzaju rzeczy. Odpowiedź brzmi: bo do tego dopuszczacie. Mój kraj jest demokratyczny, a więc kiedy coś źle się w nim dzieje, mogę za to winić tylko siebie; i jeśli trzeba coś naprawić, ja to muszę zrobić, bo na mnie spoczywa cała odpowiedzialność.

Jane nie była przekonana.

- Czyli twierdzisz, że najlepszym sposobem na zreformowanie KGB jest wstąpienie w jego szeregi?

- Nie, ponieważ KGB nie jest kontrolowany bez reszty przez naród. Agencja jest.

- Z tą kontrolą to nie takie proste - zaproponowała Jane. - CIA okłamuje społeczeństwo.

Nie można jej kontrolować, nie wiedząc, co robi.

- Ale to jest w końcu nasza Agencja i nasza odpowiedzialność.

- Zamiast do niej wstępować, lepiej przyczyniłbyś się do jej likwidacji.

- Ale przecież Centralna Agencja Wywiadowcza jest nam potrzebna. Żyjemy we wrogim świecie i informacje o naszych nieprzyjaciółach są nam niezbędne.

Jane westchnęła.

- Ale spójrz, do czego to prowadzi - powiedziała. - Planujecie podeśłanie Masudowi więcej i większych karabinów, żeby mógł szybciej i więcej zabijać. I do tego sprowadza się zawsze wasza działalność.

- Nie chodzi tylko o to, żeby mógł więcej i szybciej zabijać - zaprotestował Ellis. - Afgańczycy walczą o wolność przeciwko zgrai morderców...

- Oni wszyscy walczą o wolność - przerwała mu Jane. - OWP, kubańscy uchodźcy, biali z Afryki Południowej, IRA, Armia Wolnej Walii.

- Jedni mają rację, inni nie.

- I CIA potrafi rozwiązać ten dylemat?

- Powinna...

- Ale nie potrafi. O czyją wolność walczy Masud?

- O wolność wszystkich Afgańczyków.

- Gówna prawda - zaperzyła się Jane. - Jest muzułmańskim fundamentalistą i jeśli kiedykolwiek obejmie władzę, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie ograniczenie wolności kobiet. Nigdy nie pozwoli im głodować - chce odebrać im tę garstkę praw, jakie jeszcze mają. A jak według ciebie potraktuje swoich przeciwników politycznych, skoro jego politycznym ideałem jest ajatollah Chomeini? Czy będą się cieszyć wolnością akademicką uczeni i

nauczyciele? Czy będą mieli swobodę seksualną pederaści i lesbijki? Co się stanie z hinduistami, buddystami, ateistami i ewangelistami?

- Poważnie jesteś zdania, że reżim Masuda byłby, gorszy od sowieckiego? - spytał Ellis.

Jane zastanowiła się chwilę.

- Nie wiem. Jedno co pewne, to to, że rządy Masuda byłyby tyranią afgańską wprowadzoną w miejsce tyranii sowieckiej. I nie warto zabijać ludzi tylko po to, by zastąpić dyktatora obcego miejscowym.

- Afgańczycy zdają się być zdania, że jednak warto.

- Większości z nich nigdy o to nie pytano.

- Według mnie to oczywiste. A nawiasem mówiąc, nie zajmuję się na co dzień tego rodzaju zadaniami. To co zazwyczaj robię, przypomina bardziej pracę detektywa.

To właśnie od roku nie dawało Jane spokoju.

- Na czym dokładnie polegała twoja misja w Paryżu?

- Kiedy szpiegowałem wszystkich naszych znajomych? - uśmiechnął się blado. - Jean-Pierre ci nie powiedział?

- Mówił, że właściwie to nie wie.

- Może i nie wiedział. Tropiłem terrorystów.

- W kręgu naszych znajomych?

- Tam się ich zwykle znajduje - wśród dysydentów, anarchistów i kryminalistów.

- Czy Rahmi Coskun był terrorystą? - Jean-Pierre powiedział wtedy, że przez Ellisa aresztowano Rahmiego Coskuna.

- Tak. Miał na sumieniu zamach bombowy na Turkish Airlines na Avenue Felix Faure.

- Rahmi? Skąd to wiesz?

- Sam mi powiedział. A kiedy go aresztowałem, nosił się z zamiarem dokonania kolejnego zamachu bombowego.

- To też ci powiedział?

- Prosił mnie, żebym mu pomógł przy bombie.

- Mój Boże. - Przystojny Rahmi o płonących oczach, z całego serca nienawidzący rządu swojego nieszczęsnego kraju...

Ellis jeszcze nie skończył.

- Pamiętasz Pepe Gozziego?

Jane zmarszczyła czoło.

- Chodzi ci o tego zabawnego małego Korsykanina, który jeździł rolls-royce'em?

- Tak. Dostarczał broń i materiały wybuchowe wszystkim paryskim świrusom. Handlował z każdym, kto godził się na jego ceny, ale specjalizował się w dostawach dla klientów „politycznych”.

Jane zaniemówiła. Zawsze miała Pepe za osobnika z racji jego zamożności i korsykańskiego pochodzenia trochę podejrzanego, ale przypuszczała, że w najgorszym razie zamieszany jest w jakieś pospolite machinacje w rodzaju przemytu albo handlu narkotykami. Pomyśleć, że sprzedawał broń mordercom! Rodziło się w niej wrażenie, że żyła wówczas jak we śnie, podczas gdy realny świat wokoło rządził się przemocą i intrygą. Czyż jestem tak naiwna? - pomyślała.

- Namierzyłem również Rosjanina, który finansował wiele zabójstw i porwań - ciągnął Ellis. - Potem, podczas przesłuchania, Pepe puścił farbę i wydał połowę terrorystów Europy.

- To tym się zajmowałeś przez cały ten czas, kiedy byliśmy kochankami? - spytała sennie Jane. Przypomniały jej się prywatki, koncerty rockowe, demonstracje, polityczne dyskusje w kafejkach i niezliczone butelki *vin rouge ordinaire*, osuszane w pokoikach na poddaszu... Od chwili zerwania była nie wiadomo dlaczego przekonana, że pisał donosy na wszystkich radykałów, wskazując w nich, kto jest wpływowy, kto jest ekstremistą, kto ma pieniądze, kto ma najwięcej zwolenników wśród studentów, kto ma powiązania z partią komunistyczną i tym podobne. Trudno było oswoić się teraz z myślą, że ściagał prawdziwych kryminalistów i że rzeczywiście znalazł paru takich w gronie ich wspólnych znajomych. - Nie mogę w to uwierzyć - mruknęła w osłupieniu.

- To był wielki tryumf, jeśli chcesz wiedzieć.

- Zdaje się, że nie powinieneś mi tego mówić.

- Nie powinienem. Ale tego okłamywania cię w przeszłości gorzko potem pożałowałem - delikatnie mówiąc.

Jane poczuła się zażenowana i nie wiedziała, co powiedzieć. Przełożyła Chantal do lewej piersi i, przechwytyjąc spojrzenie Ellisa, okryła prawą koszulą. Rozmowa stawała się krępująco osobista, ale bardzo chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Chociaż nie zgadzała się z jego sposobem rozumowania, pojmowała teraz argumentację, jaką przytoczył na swoje usprawiedliwienie, nadal jednak nie знаła motywów, jakimi się kierował. Jeśli nie poznam ich teraz, pomyślała, taka okazja może się już nie powtórzyć.

- Nie rozumiem, co skłania człowieka do poświęcania życia na zajmowanie się takimi rzeczami - powiedziała.

Odwrócił wzrok.

- Jestem w tym dobry, a praca jest pożyteczna i doskonale płatna.

- A ja myślałam, że zadowala cię stała pensyjka i posiłki w stołówce. W porządku - jeśli nie chcesz, nie musisz się przede mną wywnętrzać.

Spojrzał na nią surowo, jakby chciał odczytać jej myśli.

- Nie mam przed tobą żadnych tajemnic - powiedział. - Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć?

- Tak. Chcę.

- Wiąże się to z wojną - zaczął i Jane wiedziała, że zaraz powie coś, czego nie mówił dotąd nikomu. - Jedną ze strasznych rzeczy, w jakie obfitowało latanie w Wietnamie, była ogromna trudność w odróżnieniu partyzantów z Vietcongu od cywilów. Kiedy wspieraliśmy z powietrza akcje piechoty, minowaliśmy szlaki przez dżunglę albo prowadziliśmy prewencyjny ostrzał jakiejś strefy, wiedzieliśmy z góry, że zabijemy więcej kobiet, dzieci i starców niż partyzantów. Twierdziliśmy, że osłaniają wroga, ale kto to mógł wiedzieć. I co to miało do rzeczy? My ich zabijaliśmy. *Byliśmy wtedy terrorystami*. Nie mówię tu o odosobnionych przypadkach - chociaż widziałem również czyny nieludzkie - mam na myśli regularną, powszechną praktykę. A nie było dla niej żadnego usprawiedliwienia - to był bandytyzm. Popełnialiśmy wszystkie te okropieństwa w sprawie, u której podstaw, jak się potem okazało, leżały same kłamstwa, korupcja i oszukiwanie samych siebie. Walczyliśmy po niewłaściwej stronie barykady - twarz mu się ściągnęła, jakby męczył go ból jakiejś nie zagojonej, wewnętrznej rany. W migotliwym świetle lampy skóra jego poszarzała i przybrała ziemista barwę. - Nie ma tu żadnego usprawiedliwienia, nie ma wybaczenia.

- To dlaczego zostałeś? - Jane zachęcała go delikatnie do dalszych zwierzeń. - Dlaczego zgłosiłeś się na ochotnika na drugi turnus?

- Bo wtedy jeszcze nie widziałem tego tak wyraźnie; bo walczyłem dla mojego kraju, a z wojny nie można sobie tak po prostu odejść; bo byłem dobrym oficerem i gdybym wrócił do domu na moje miejsce mógłby przyjść jakiś głąb, który wytraciłby wszystkich moich ludzi. Żaden z tych powodów nie jest oczywiście wystarczający, tak więc w pewnym momencie zadałem sobie pytanie o to, co zamierzam z tym zrobić. Chciałem... nie zdawałem sobie jeszcze wówczas z tego sprawy, ale chciałem zrobić coś dla odkupienia moich win. W latach sześćdziesiątych nazywaliśmy to drogą pokuty.

- Tak, ale... - Sprawiał wrażenie tak niepewnego i bezbronnego, że z trudem przychodziło jej nękanie go bezpośrednimi pytaniami. Najwyraźniej odczuwał jednak potrzebę mówienia, ona zaś chciała tego słuchać, brnęła więc dalej. - Ale dlaczego wybrałeś akurat taką?



- Pod koniec służyłem w wywiadzie i po przejściu do cywila zaproponowano mi kontynuowanie tego samego rodzaju działalności poza wojskiem. Powiedziano mi, że ponieważ znam środowisko, mógłbym pracować jako tajny agent. Wiedzieli o mojej radykalnej przeszłości. Pomyślałem sobie, że ścigając terrorystów być może zrekompensuję część zła, które wyrządziłem. I tak zostałem ekspertem od antyterroryzmu. Brzmi to w moich ustach trochę naiwnie - ale powiodło mi się. Agencja za mną nie przepada, gdyż czasami odmawiam podjęcia się jakiejś misji, tak jak wtedy, kiedy zabili prezydenta Chile, a agent nie powinien tego robić, ale przyczyniłem się do wpakowania za kratki kilku bardzo nieprzyjemnych typków i jestem z siebie dumny.

Chantal zasnęła. Jane włożyła ją do pudła pełniącego rolę kołyski.

- Zdaje się, że powinnam powiedzieć, że... że chyba niewłaściwie cię osądziłam - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- No, dzięki Bogu.

Przez chwilę, kiedy pomyślała o tym okresie - czyżby to było przed półtora rokiem? - gdy ona i Ellis byli szczęśliwi i nic jeszcze nie zmąciło ich szczęścia - żadne CIA, żaden Jean-Pierre, żaden Afganistan - poczuła ogarniającą ją nostalgię.

- Ale nie można już tego wymazać, prawda? - spytała. - Tego wszystkiego, co się stało - twoich kłamstw, mojego gniewu?

- Nie. - Siedział na stołku i uniósłszy głowę wpatrywał się z napięciem w stojącą przed nim Jane. Wyciągnął ręce, zawahał się, po czym położył dłonie na jej biodrach w geście, który można by uznać za braterską afektację, a może i za coś więcej. I wtedy Chantal zagaworzyła:

- Mumumumummmm...

Jane odwróciła się i spojrzała na małą, a Ellis zdjął dłonie z jej bioder. Chantal leżała zupełnie rozbudzona przebierając w powietrzu rączkami i nóżkami. Jane wzięła ją na ręce i dziecku od razu się odbiło.

Odwróciła się znowu do Ellisa. Siedział z rękami założonymi na piersi i przyglądał się jej z uśmiechem. I nagle poczuła, że nie chce, by odchodził. Wiedziona jakimś impulsem powiedziała:

- A może byś zjadł ze mną kolację? Ale mam tylko chleb i zsiadłe mleko.

- Chętnie.

Podawała mu Chantal.

- Pójdę powiedzieć Farze.

Wziął od niej małą, a ona wyszła na podwórko. Fara grzała wodę na kąpiel dla Chantal. Jane sprawdziła łokciem temperaturę i stwierdziła, że jest akurat.

- Ukrój chleba dla dwojga ludzi - powiedziała w dari. Fara zrobiła wielkie oczy i Jane uświadomiła sobie, że zaproszenie na kolację mężczyzny przez samotną kobietę było dla niej czymś szokującym. Do diabła z tym, pomyślała. Podźwignęła garnek z wodą i wniosła go do chaty.

Ellis siedział na wielkiej poduszce pod naftową lampą i bujał Chantal na kolanie, recytując jej przyciszonym głosem wierszyk. Jego wielkie owłosione dłonie opasywały malutkie, różowe ciało. Mała patrzyła na niego zadzierając główkę, gaworzyła radośnie i wymachiwała tłustymi nóżkami. Jane zatrzymała się w progu zafascynowana tą sceną. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to Ellis powinien być ojcem Chantal.

Naprawdę? - zapytała samą siebie patrząc na tych dwoje. Naprawdę chciałabym tego? Ellis skończył rymowanekę, spojrzał na Jane i uśmiechnął się trochę zakłopotany, a ona pomyślała - tak, naprawdę.

\*\*\*

O północy wybrali się na spacer na wzgórze. Jane szła przodem, Ellis postępował za nią ze swoim wielkim śpiworem pod pachą. Wykapali Chantal, zjedli skromną kolację składającą się z chleba i zsiadłego mleka, Jane nakarmiła jeszcze raz małą i ułożyła ją na noc na dachu, gdzie spała teraz twardo u boku Fary, która oddałaby za nią życie. Ellis pragnął wziąć Jane poza domem, w którym była żoną kogoś innego. Jane rozumiała go dobrze. Sama też miała podobne odczucia, powiedziała więc:

- Znam miejsce, do którego możemy pójść.

Teraz zeszła z górskiej ścieżki i poprowadziła Ellisa kamienistą pochyłością ku swej sekretnej samotni, ukrytej skalnej półce, gdzie opalała się nago i natłuszczała brzuch przed przyjściem Chantal na świat. Odnalazła ją łatwo w świetle księżyca. Spojrzała na leżącą w dole wioskę, gdzie na podwórkach żarzyły się jeszcze głównie z palenisk, a za oszklonymi oknami migotało kilka naftowych lamp. Ledwie odróżniała zarysy swej chaty. Za kilka godzin, o brzasku, zobaczy śpiące na dachu postacie Chantal i Fary. Będzie zadowolona - po raz pierwszy zostawiła Chantal na noc.

Odwróciła się. Ellis rozsunął już suwak śpiwora i rozkładał go na ziemi jak koc. Jane była skrepowana i czuła się nieswojo. Przypływ ciepła i pożądania, który naszedł ją w domu, gdy obserwowała go, jak recytuje dziecienną rymowanekę jej dziecku, gdzieś się rozplątał. Wtedy powróciły na chwilę wszystkie dawne odczucia - pragnienie dotknięcia go,

uwielbienie dla sposobu, w jaki się uśmiechał, gdy był zakłopotany, potrzeba odczuwania dotyku jego wielkich dłoni na swej skórze, obsesyjne pragnienie ujrzenia go nagim. Na kilka tygodni przed urodzeniem Chantal straciła wszelkie zainteresowanie seksem i nie wróciło ono aż do tej chwili. Ale ten nastrój rozmył się powoli przez ostatnie godziny, kiedy czynili niezdarnie praktyczne zabiegi, by znaleźć się sam na sam, niczym para nastolatków, usiłująca urwać się rodzicom na sesję pettingu.

- Chodź tu i usiądź - odezwał się Ellis.

Przysiadła obok niego na rozpostartym śpiworze. Patrzyli oboje na pogrążoną w mroku wioskę. Nie dotykali się. Nastąpiła chwila napiętej ciszy.

- Nikt poza mną nigdy tu nie był - oznajmiła Jane, żeby coś powiedzieć.

- Po co tu przychodziłaś?

- Och, żeby sobie poleżeć w słońcu i myśleć o niczym - odparła i zaraz pomyślała: O rany, a co mi tam, do diabła, i wyrzuciła z siebie: - Nie, to niezupełnie prawda, onanizowałam się.

Roześmiał się, otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Cieszę się, że nie nauczyłaś się jeszcze dobierać słów - powiedział.

Odwróciła ku niemu twarz. Pocałował ją delikatnie w usta. Lubi mnie za moje wady, pomyślała: za mój nietakt, popędliwość, niewyparzony język, za mój upór i zawziętość.

- Chyba nie chcesz mnie zmieniać? - spytała.

- Och, Jane, brakowało mi ciebie. - Zamknął oczy i ciągnął przyciszonym głosem: - Prawie przez cały czas nie zdawałem sobie sprawy, jak mi ciebie brak. - Położył się pociągając ją za sobą tak, że spoczęła na nim. Całował delikatnie jej twarz. Uczucie zakłopotania nagle ustąpiło. Kiedy ostatni raz go całowałam, pomyślała, nie miał brody. Poczula ruch jego dłoni - rozpiął jej koszulę. Nie nosiła biustonosza - nie miała wystarczająco dużego - i wydawało się jej ciągle, że ma piersi na wierzchu. Wsunęła mu rękę pod koszulę i dotknęła długich włosów otaczających brodawkę. Prawie już zapomniała, jak to jest być z mężczyzną. Od paru miesięcy jej życie pełne było melodyjnych głosów i gładkich twarzy kobiet i dzieci; teraz nagle zapragnęła poczuć pod palcami szorstką skórę, twarde uda i drapiące policzki. Zagłębiła palce w jego brodzie i wpychając mu język między wargi rozwarła je. Jego ręce odnalazły jej nabrzmiałe piersi, przeszedł ją dreszcz rozkoszy i już wiedziała, co się za chwilę zdarzy, ale nie była w stanie temu zapobiec, bo chociaż oderwała się od niego gwałtownie, poczuła, jak z obu sutków trysnęły na jego dłonie strużki ciepłego mleka. Zaczerwieniła się ze wstydu.

- O Boże, przepraszam - wybąkała. - Co za obrzydliwość. Nie mogłam tego powstrzymać...

Uciszył ją kładąc jej palec na ustach.

- Nic się nie stało - powiedział. Mówiąc pieścił jej piersi i po chwili całe były wilgotne i śliskie. - To normalne. Zdarza się. To podnieca.

To nie może podniecać, pomyślała, ale przysunął się, wtulił twarz w jej piersi i zaczął je całować pieszcząc jednocześnie. Powoli odprężyła się i zaczęła poddawać wrażeniu, jakie to na niej wywierało. W końcu znowu z sutków pociekło mleko, a ją przeszedł dreszcz rozkoszy, ale tym razem nie speszyła się.

- Aaaach - jęknął Ellis i szorstka powierzchnia jego języka dotknęła wrażliwych brodawek. Jak zacznie ssać, to nie wytrzymam, pomyślała.

Zupełnie jakby odczytał jej myśli. Otoczył wargami długi sutek, wciągnął go do ust i zaczął ssać, ujmując jednocześnie drugi pomiędzy kciuk a palec wskazujący i pociskając delikatnie i rytmicznie. Jane wydała mimowolny okrzyk i uczucie towarzyszące wytryskowi dwóch strużek mleka, jednej w jego dłoń, drugiej do ust, było tak rozkoszne, że jej ciałem zaczęły wstrząsać nie kontrolowane dreszcze.

- O Boże, o Boże, o Boże - jęczała, dopóki to uczucie nie ustało, a wtedy osunęła się na Ellisa.

Przez chwilę nie mogła myśleć o niczym innym, jak o swoich wrażeniach - jego ciepły oddech na jej wilgotnych piersiach, jego broda szorująca po jej skórze, chłodne nocne powietrze omywające jej rozpalone policzki, nylonowy śpiwór i twarda ziemia pod nim.

- Duszę się - rozległ się po chwili stłumiony głos Ellisa.

Zsunęła się z niego.

- Czy myśmy powariowali? - spytała.

- Tak.

Zaśmiała się.

- Robiłeś to już kiedyś?

- Tak - odparł po chwili wahania.

- I jak... - Wciąż odczuwała lekkie zakłopotanie. - I jakie to jest w smaku?

- Ciepłe i słodkie. Jak mleko z puszki. Miałaś orgazm?

- Nie zauważyłeś?

- Nie byłem pewien. U dziewczyn trudno to czasami stwierdzić na sto procent.

Pocałowała go.

- Miałam. Mały, ale niewątpliwy. Taki orgazm pocieszenia.

- Mnie niewiele brakowało.

- Naprawdę? - Przesunęła dłonią po jego ciele. Miał na sobie cienką, bawełnianą pidżamową koszulę i szarawary, jakie nosili Afgańczycy. Pod materiałem wyczuwała jego żebra i kości biodrowe - zniknęła gdzieś ta miękka, podskórna warstewka tłuszczu, w którą obrastają wszyscy ludzie Zachodu, z wyjątkiem najchudszych. Natrafiła na sterczący pionowo, wypychający spodnie penis.

- Ooooo - powiedziała i zamknęła na nim dłoń. - Jak przyjemnie.

- Po tej stronie też.

Chciała dać mu tyle przyjemności, ile on dał jej. Usiadła prosto, rozwiązała tasiemki jego spodni i wyjęła penis na wierzch. Pocierając go delikatnie, pochyliła się i pocałowała jego czubek.

- Ile dziewcząt miałeś po mnie? - spytała po chwili wpadając w figlarny nastrój.

- Rób tak dalej, to ci powiem.

- W porządku. - Znowu zaczęła pieścić i całować jego członek. Milczał. - No - ponagliła go po minucie - ile?

- Cierpliwości, jeszcze liczę.

- Świntuch! - powiedziała i ugryzła go w penis.

- Uuch! Niewiele, naprawdę... Przysięgam!

- A co robisz, kiedy nie masz dziewczyny?

- Zgadnij. Do trzech razy sztuka. Nie dała się zbyć.

- Robisz to ręką?

- Oj, co też panna, panno Jane, wstyd mi za pannę.

- A więc ręką - wykrzyknęła tryumfalnie. - O czym myślisz, kiedy to robisz?

- A uwierzysz, że o księżniczce Dianie?

- Nie.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Musisz mi powiedzieć prawdę. - Jane zżerała ciekawość.

- O Pam Ewing.

- A któż to taki, u diabła?

- Nie jesteś na bieżąco. To żona Bobby Ewinga z „Dallas”.

Jane przypomniała sobie telewizyjny serial, aktorkę i zdziwiła się.

- Nie mówisz chyba poważnie?

- Chciałaś wiedzieć prawdę.

- Ależ to plastikowa lala!

- Mówimy tu o *fantazjach*.

- Nie możesz snuć fantazji z jakąś kobietą wyzwoloną?

- W fantazjach nie ma miejsca na politykę.

- Jestem zaszokowana. - Zawahała się. - A jak to robisz?

- Co?

- To co robisz. Ręką.

- Mniej więcej tak, jak ty teraz, tylko bardziej zdecydowanie.

- Pokaż mi.

- Teraz czuję się więcej niż zakłopotany - wyznał. - Czuję się upokorzony.

- Proszę cię, pokaż mi. Bardzo cię proszę. Zawsze chciałam zobaczyć, jak mężczyźni to robią, ale nigdy nie miałam śmiałości poprosić... jeśli mi teraz odmówisz, może już nigdy się nie dowiem. - Wzięła jego rękę i umieściła ją tam, gdzie przed chwilą trzymała swoją.

Po chwili zaczął poruszać powoli dłonią. Wykonał kilka raczej mało zdecydowanych suwów, potem westchnął, zamknął oczy i zabrał się poważnie do pracy.

- Jaki ty jesteś dla niego brutalny! - wykrzyknęła.

Przerwał.

- Nie mogę tego robić... jeśli i ty nie zaczniesz.

- Zgoda - przystała ochoczo. Ściągnęła szybko spodnie i majtki. Ukłękła obok niego i zaczęła się pieścić.

- Przysuń się bliżej - powiedział. Głos miał trochę chrapliwy. - Nie widzę cię.

Leżał płasko na wznak. Przysunęła się bliżej, tak że klęczała teraz wyprostowana tuż przy jego głowie, a światło księżycy srebrzyło jej sutki i włosy na wzgórku łonowym. Ellis znowu zaczął pocierać penis, tym razem szybciej, jak zahipnotyzowany wpatrując się w rękę, którą onanizowała się Jane.

- Och, Jane - wymamrotał.

Zaczynała odczuwać znajome dreszcze rozkoszy rozchodzące się od czubków palców po całym jej ciele. Zauważyła, że biodra Ellisa zaczynają się poruszać w górę i w dół w rytm posuwistych ruchów jego ręki.

- Chcę, żebyś się spuścił - wyszeptwała. - Chcę zobaczyć, jak wytryskuje. - Jakaś jej część była zaszokowana sobą, ale ta częśćka tonęła w morzu podniecenia i pożądania.

Ellis jęknął. Spojrzała na jego twarz. Usta miał otwarte i dyszał ciężko. Nie odrywał oczu od jej krocza. Pocierała sobie wargi sromowe środkowym palcem.

- Włóż go sobie - wysapał Ellis. - Chcę zobaczyć, jak wkładasz sobie palec.

Takiego czegoś normalnie nie robiła. Wsunęła koniec palca w pochwę. Poczowała gładkość i śliskość. Wepchnęła go do oporu. Ellis stęknął i Jane udzieliło się podniecenie, w jakie wprawiał go widok tego, co robiła. Przesunęła wzrok na jego członek. Ellis trzepał w zapamiętaniu ręką rzucając coraz szybciej biodrami. Jane z narastającym uczuciem podniecenia wsuwała i wysuwała palec z pochwy. Nagle Ellis wygiął się z jękiem w łuk, wyrzucając biodra wysoko w powietrze. Wystrzeliła z niego fontanna białego nasienia.

- O mój Boże! - wyrwało się mimowolnie Jane i gdy tak patrzyła zafascynowana, z maleńkiej szparki w czubku jego członka trysnęła kolejna struga i jeszcze jedna, i czwarta, wznosząc się w powietrze i połyskując w świetle księżyca wylądowała na jego piersi, na jej ramieniu i w jej włosach; a kiedy Ellis osunął się bezwładnie na ziemię, ją z kolei przeszyły spazmy rozkoszy wznieconej przez szybko poruszający się palec, doprowadzając ją w końcu do wyczerpania.

Opadła na śpiwór i legła obok Ellisa kładąc głowę na jego udzie. Penis sterczał jeszcze sztywno. Przekreśliła się niespiesznie i pocałowała go. Wyczuła słonawy smak nasienia na czubku. W odpowiedzi Ellis wtulił twarz między jej uda.

Przez chwilę leżeli tak nie odzywając się. Słysząc było tylko ich oddechy i szum rzeki rwącej po drugiej stronie Doliny. Jane spojrzała na gwiazdy. Były bardzo jasne i nie przysłaniały ich chmury. Ochłodziło się. Niedługo będziemy musieli wleźć do tego śpiwora, pomyślała. Widziała się już, jak zasypia u jego boku.

- Czy myśmy powariowali? - przerwał ciszę Ellis.

- O, tak - odparła.

Członek zwiotczał i opadł mu na brzuch. Zaczęła czochoać czubkami palców rudozłote włosy porastające jego krocze. Prawie zapomniała, jak wygląda uprawianie miłości z Ellisem. Tak bardzo był w tym inny od Jean-Pierre'a. Jean-Pierre lubił mnóstwo przygotowań - olejek do kąpieli, zapach perfum, światło świec, wino, skrzypce. Był wymagającym kochankiem. Lubił, żeby kąpała się przed stosunkiem, i po nim zawsze wyganiał ją do łazienki. Za żadne skarby nie dotknąłby jej w czasie miesiączki i na pewno nie ssałby jej piersi i nie połykał mleka, jak przed chwilą Ellis. Ellis zrobiłby wszystko, pomyślała, a im bardziej byłoby to niehigieniczne, tym lepiej. Uśmiechnęła się w ciemnościach. Uświadomiła sobie teraz, że nadal nie jest do końca przekonana, czy Jean-Pierre lubi uprawiać seks oralny, chociaż był w nim dobry. W przypadku Ellisa nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Na to wspomnienie zapragnęła, aby to zrobił. Rozwarła zapraszająco uda. Poczowała, jak ją całuje. Przesunął najpierw wargami po jej sztywnych włosach, a potem jego język zaczął

błądzić zmysłowo po fałdzie warg sromowych. Po chwili przetoczył ją na plecy, ukląkł między jej udami i unosząc jej nogi zarzucił je sobie na ramiona. Poczwała się zupełnie naga, strasznie otwarta i bezbronna, a przy tym ogromnie pożądana. Język Ellisa poruszał się długim, powolnym łukiem, poczynając od nasady jej kręgosłupa - O Boże, pomyślała... pamiętam, jak to robił - przesuwa się wzdłuż linii zbiegu pośladków, zatrzymuje, by zanurzyć się głębiej w pochwie, a potem sunie w górę, by popieścić wrażliwą skórę w miejscu, gdzie przy mrowiącej łechtaczce spotykają się wargi sromowe. Po siedmiu czy ośmiu takich przedłużonych przejściach przytrzymała jego głowę nad łechtaczką dając mu w ten sposób do zrozumienia, by się nad nią skoncentrował, a sama zaczęła unosić i opuszczać biodra sygnalizując mu naciskiem palców na skronie, czy ma lizać mocniej, czy delikatniej, wyżej, czy niżej, w lewo, czy w prawo. Poczwała na kroczu jego dłoń wciskającą się w jej wilgotne wnętrze i domyśliła się, co chce zrobić; w chwilę później cofnął rękę i powoli wepchnął jej zwilżony palec w odbyt. Pamiętała, jakiego wstrząsu doznała, gdy zrobił to po raz pierwszy, i jak szybko to polubiła. Jean-Pierre nie zdobyłby się na to za milion lat. Gdy mięśnie jej ciała zaczęły tężeć przed spełnieniem, zrozumiała, że brakowało jej Ellisa bardziej, niż sama to przed sobą przyznawała; nie dało się ukryć, że przyczyną, dla której tak długo nie opuszczała jej wściekłość na niego, było to, iż przez cały ten czas go kochała i nadal go kocha. Gdy powiedziała to sobie, straszny ciężar spadł jej z serca. Weszła w orgazm drżąc jak liść na wietrze i trąc mu w szale swoim seksem po twarzy, podczas gdy Ellis, który wiedział, co lubi, wcisnął język głęboko w jej wnętrze.

Zdawało się to trwać wiecznie. Kiedy tylko podniecenie słabło wpychał jej głębiej palec w odbyt, lizał łechtaczkę albo przygryzał wargi sromowe i odżywało na nowo, aż wyczerpana do ostatnich granic zaczęły błagać:

- Przestań już, przestań, nie mam już siły, to mnie zabije - wreszcie oderwał twarz od jej krocza i opuścił jej nogi na ziemię.

Pochylił się nad nią podpierając na wyprostowanych rękach i pocałował ją w usta. Jego broda pachniała jej śluzem. Leżała zbyt zmęczona, by otworzyć oczy, zbyt nawet zmęczona, by odwzajemnić jego pocałunek. Poczwała, jak jego ręka sunie po jej kroczu, rozchyła wargi i jak jego penis toruje sobie drogę do jej wnętrza, i pomyślała: szybko znowu stwardniał, a zaraz potem - to było tak dawno, o Boże, jak dobrze.

Zaczął wykonywać ciałem posuwiste ruchy, z początku powoli, potem coraz szybciej. Otworzyła oczy. Ujrzała nad sobą jego twarz i wlepiony w siebie wzrok. W pewnej chwili pochylił głowę i spojrzał pod siebie, tam gdzie łączyły się ich ciała. Na widok swojego penisa zagłębiającego się w niej i wyłaniającego znowu oczy mu się rozszerzyły, otworzył usta i jego



podniecenie stało się tak wielkie, że zapragnęła zobaczyć to co on. Nagle zwolnił, wszedł w nią głębiej i przypomniała sobie, że robi to zawsze przed spełnieniem. Spojrzał jej w oczy.

- Pocałuj mnie, kiedy będę się spuszczał - wydyszał i przysunął pachnące śluzem z pochwy wargi do jej ust. Wepchnęła mu język między zęby. Uwielbiała, kiedy osiągał orgazm. Plecy wygięły mu się w łuk, poderwał głowę i zawył jak dzikie zwierzę, i poczuła, jak tryska w niej nasieniem.

Kiedy było już po wszystkim, opuścił głowę na jej ramię i zaczął przesuwając delikatnie ustami po gładkiej skórze jej szyi, szepcząc słowa, których nie mogła zrozumieć. Po minucie wydał głębokie westchnienie zaspokojenia, pocałował ją w usta, uniósł się na kolana i pocałował, jedna po drugiej, jej piersi. Na koniec złożył pocałunek na jej kroczu. Jej ciało zareagowało natychmiast i podrzuciła biodra wciskając mu je w twarz. Widząc, że ponownie zbliża się do spełnienia, wprawił w ruch swój język; i jak zawsze myślał, że liże ją, kiedy z pochwy wycieka wciąż jego nasienie, doprowadziła Jane niemal do szaleństwa i spełniła się od razu wykrzykując jego imię tak długo, dopóki spazmy nie ustały.

Osunął się w końcu obok niej. Automatycznie przyjęli pozycję, w której leżeli zawsze po stosunku: jego ręka wokół jej ramion, jej głowa na jego barku, jej udo w poprzek jego bioder. Ziewnął szeroko, a ona zaśmiała się. Pieścili się jeszcze lunatycznie, ona sięgnęła w dół, by dotknąć zwiotczającego penisa, on wsuwał i wysuwał palec z jej ociekającej pochwy. Polizała jego pierś i wyczuła słony smak potu zraszającego mu skórę. Spojrzała na jego szyję. Księżyc podkreślał złośliwie ją zmarszczki i bruzdy zdradzając jego wiek. Jest ode mnie dziesięć lat starszy, pomyślała. Może właśnie z powodu różnicy wieku jest w tym taki dobry.

- Czemu jesteś w tym taki dobry? - spytała na głos. Nie odpowiedział; spał. - Kocham cię, najdroższy, śpij dobrze - szepnęła i zamknęła oczy.

\*\*\*

Po roku spędzonym w Dolinie, Kabul wydał się Jean-Pierre'owi miejscem oszałamiającym i przerażającym. Budynki były zbyt wysokie, samochody jeździły za szybko, a na ulicach było zbyt tłoczno. Pod oknem przetoczyła się z rykiem kolumna wielkich rosyjskich ciężarówek i musiał zatkać sobie uszy. Wszystko atakowało go szokiem nowości: domy mieszkalne, uczennice w mundurkach, latarnie uliczne, windy, obrusy na stołach i smak wina. Po dwudziestu czterech godzinach nadal był podminowany. Co za paradoks - jest przecież paryżaninem!

Przydzielono mu pokój w kwaterach nieżonatych oficerów. Obiecano samodzielne mieszkanie zaraz po przybyciu Jane z Chantal. Na razie miał wrażenie, że mieszka w

podrzednym hoteliku. Zresztą budynek przed przyjściem Rosjan był prawdopodobnie hotelem. Gdyby Jane zjawiała się teraz - a spodziewał się jej w każdej chwili - w trójkę mogliby tu co najwyżej przenocować. Nie mam prawa się uskarżać, pomyślał Jean-Pierre; nie jestem żadnym bohaterem - jeszcze nim nie jestem.

Stał w oknie i wyglądał na pogrążony w ciemności nocy Kabul. Przez kilka godzin w całym mieście nie było prądu - przypuszczalnie za sprawą ludzi, którzy robili to samo co Masud i jego partyzanci, tyle że w mieście - ale kilka minut temu ponownie go włączono i nad śródmieściem, które miało oświetlenie uliczne, unosiła się blada luna. Słysząc było tylko wycie silników wojskowych samochodów, ciężarówek i czołgów przetaczających się z łomotem przez miasto, w drodze do swych tajemniczych miejsc przeznaczenia. Do czego można się tak śpieszyć o północy w Kabulu? Jean-Pierre był w wojsku i przypuszczał, że jeśli armia sowiecka jest choć trochę podobna do francuskiej, to zadanie wykonywane w gorączkowym pośpiechu w środku nocy mogło polegać na przewiezieniu pięciuset krzeseł z baraków do znajdującej się w drugim końcu miasta sali, w ramach przygotowań do koncertu, który ma się odbyć za dwa tygodnie i zostanie prawdopodobnie odwołany.

Nie czuł zapachu nocnego powietrza, gdyż okno jego pokoju zabito na głucho gwoździami. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale w końcu korytarza, pod toaletą, na krześle z prostym oparciem siedział z obojętną twarzą rosyjski sierżant z pistoletem i Jean-Pierre wyczuwał, że gdyby chciał wyjść, sierżant prawdopodobnie by go nie przepuścił.

Gdzie jest Jane? Desant na Darg powinien był zakończyć się przed zmierzchem. Dla helikoptera droga z Darg do Bandy po Jane i Chantal była kwestią kilku minut. Z Bandy do Kabulu helikopter doleci w niecałą godzinę. Ale może siły wypadowe wracały do Bagram, bazy wojsk lotniczych w pobliżu wylotu Doliny, a wówczas Jane będzie czekała podróż z Bagram do Kabulu drogą lądową, bez wątpienia w towarzystwie Anatolija.

Z pewnością tak się uraduje widokiem męża, że będzie skłonna darować mu to małe sprzeniewierzenie i zrozumieć jego punkt widzenia w sprawie Masuda. A wtedy - co było, to było, myślał Jean-Pierre. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest to czasem tylko jego pobożne życzenie. Nie, zdecydował - dość dobrze znał Jane i wiedział, że w zasadzie może ją sobie owinać wokół palca.

I Jane *dowie się*. Tylko garstka ludzi będzie znała ten sekret i doceniała znaczenie tego, czego dokonał - cieszył się, że wśród nich będzie Jane.

Miał nadzieję, że Masuda raczej pojmano niż zabito. W takim przypadku Rosjanie mogliby wytoczyć mu proces, aby wszyscy rebelianci przekonali się na własne oczy, iż jest skończony. Jeśli zginie, też nie będzie źle, pod warunkiem, że zabezpieczą ciało. Gdyby nie

przywieźli ze sobą ciała albo też przywieźli, ale zmasakrowanego nie do poznania trupa, rebelianccy propagandowcy z Peszawaru zdementowaliby doniesienia prasowe twierdząc, że Masud żyje. Oczywiście w końcu wyszłoby na jaw, że zginął, ale wstrząs zostałby nieco złagodzony. Jean-Pierre miał jednak nadzieję, że przywiozą ciało.

Usłyszał kroki na korytarzu. Czyżby to Anatolij albo Jane - a może oboje? Brzmiały jakoś po męsku. Otworzył drzwi i ujrzał dwóch potężnych sowieckich żołnierzy i trzeciego, drobniejszego mężczyznę w oficerskim mundurze. Niewątpliwie przyszli po to, by go zabrać tam, gdzie są Anatolij z Jane. Był zawiedziony. Spojrzał pytająco na oficera, który wykonał ręką jakiś gest. Żołnierze wtargnęli obcesowo w drzwi. Jean-Pierre zatoczył się do tyłu i na usta cisnął mu się już protest, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, bliższy z tej dwójki złapał go za koszulę i rąbnął ogromną pięścią w twarz.

Jean-Pierre wydał skowyt bólu i strachu. Drugi żołnierz kopnął go ciężkim bucioem w krocze - ból był rozdzierający i Jean-Pierre osunął się na kolana, uświadamiając sobie, że nadszedł najstraszniejszy moment w jego życiu.

Żołnierze podnieśli go na nogi i przytrzymali pod pachy w postawie stojącej. Do pokoju wszedł teraz oficer. Poprzez mgiełkę łez Jean-Pierre ujrzał niskiego, krępego, młodego mężczyznę oszpeconego przez jakąś deformację, która sprawiała, że połowę twarzy miał zaognioną i spuchniętą i wyglądał z tym, jakby się wciąż szyderczo uśmiechał. W obleczonej w rękawiczkę dłoni ścisnął pałkę.

Przez następne pięć minut dwaj żołnierze trzymali wijące się, rozdygotane ciało Jean-Pierre'a, a oficer walił go raz po raz drewnianą pałką to w twarz, to w ramiona, to w kolana, to w golenie, to w brzuch, to w krocze - zwłaszcza w krocze. Każdy cios był precyzyjnie odmierzony i zadawany z wyrachowanym okrucieństwem, a między kolejnymi uderzeniami następowała zawsze pauza, aby cierpienie spowodowane ostatnim zdążyło wystarczająco opaść i Jean-Pierre mógł z nowym lękiem oczekiwać nadejścia następnego. Każdy cios wyrывał mu z piersi wrzask bólu, a każda pauza krzyk strachu przed spodziewanym następnym ciosem. Wreszcie nastąpiła dłuższa przerwa i Jean-Pierre, nie wiedząc nawet, czy go rozumieją, zaczął bełkotać.

- Och, proszę was, nie bijcie mnie, błagam, nie bijcie mnie już, panowie. Zrobię wszystko, co każecie, błagam, nie bijcie mnie, nie bijcie...

- Wystarczy! - rzucił po francusku czyjś głos.

Jean-Pierre otworzył oczy i poprzez krew spływającą mu strumyczkami po twarzy usiłował spojrzeć na swego wybawcę, który powiedział: *Wystarczy*. Był nim Anatolij.

Dwaj żołnierze powoli opuścili Jean-Pierre'a na podłogę. Ciało paliło go, jakby trawił je ogień. Każdy ruch był straszliwą torturą. Każda kość zdawała się być złamana, genitalia zgruchotane, a twarz potwornie spuchnięta. Otworzył usta i bluznęła z nich krew. Przełknął z wysiłkiem i wymamrotał rozbitymi wargami:

- Za co... za co mi to zrobili?

- Dobrze wiesz, za co - odparł Anatolij.

Jean-Pierre wolno pokręcił głową na boki, usiłując ratować się przed popadnięciem w szaleństwo.

- Rzykowałem dla was życiem... dałem z siebie wszystko... za co?

- Zastawiłeś pułapkę - powiedział Anatolij. - Przez ciebie zginęło dzisiaj osiemdziesięciu jeden ludzi.

Desant musiał się nie udać, dotarło do Jean-Pierre'a, i nie wiadomo dlaczego jego za to winią.

- Nie - jęknął - to nie ja...

- Spodziewałeś się, że zanim pułapka spełni swoje zadanie, będziesz daleko stąd - ciągnął Anatolij. - Ale nie przewidziałeś, że wsadzę cię do helikoptera i zabiorę ze sobą. No i jesteś tutaj, żeby ponieść karę - a będzie ona pełna bólu i bardzo przedłużona w czasie. - Odwrócił się do Jean-Pierre'a plecami.

- Nie - krzyknął Jean-Pierre. - Zaczekaj!

Anatolij odwrócił się.

Pomimo przejmującego bólu ze wszystkich sił starał się zebrać myśli.

- Przyjechałem tutaj... ryzykowałem życiem... przekazywałem ci informacje o konwojach... atakowaliście te konwoje... wyrządziliście o wiele więcej szkód, niż kosztuje was strata tych osiemdziesięciu jeden ludzi... to nielogiczne, zupełnie nielogiczne. - Zmobilizował całą siłę woli, by sformułować jedno składne zdanie. - Gdybym wiedział o pułapce, ostrzegłbym was wczoraj i błagał o litość.

- To skąd wiedzieli, że zaatakujemy dzisiaj wioskę?

- Musieli się domyślić...

- Na jakiej podstawie?

Jean-Pierre wysilił skołowany mózg.

- Czy Skabun zostało zbombardowane?

- Chyba nie.

No właśnie, uświadomił sobie Jean-Pierre; ktoś odkrył, że nie było żadnego bombardowania.

- Trzeba je było zbombardować - wymamrotał.

Anatolij zamyślił się.

- Ktoś tam jest bardzo dobry w kojarzeniu faktów - wycodził przez zęby.

To Jane, pomyślał Jean-Pierre i przez sekundę zapalał do niej nienawiścią.

- Czy Ellis Thaler ma jakieś znaki szczególne? - zapytał Anatolij.

Jean-Pierre bardzo pragnął zemdleć, ale bał się, że wtedy znowu oberwie.

- Tak - wyjęczał zboliałym głosem. - Wielką bliznę w kształcie krzyża na plecach.

- A wiec to on - stwierdził niemal szeptem Anatolij.

- Kto?

- John Michael Raleigh, wiek trzydzieści cztery lata, urodzony w New Jersey, najstarszy syn przedsiębiorcy budowlanego. Został wyrzucony z uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley i dosłużył się stopnia kapitana amerykańskiej piechoty morskiej. Od roku 1972 pracuje w CIA. Stan cywilny: raz rozwiedziony, jedno dziecko, miejsce pobytu rodziny objęte ścisłą tajemnicą. - Anatolij machnął ręką, jakby opędał się od takich nieistotnych szczegółów. - Nie ma wątpliwości, że to on podłożył mi dzisiaj nogę w Darg. Jest inteligentny i bardzo niebezpieczny. Gdybym ze wszystkich agentów imperialistycznego Zachodu miał wybierać tego, którego chciałbym dostać w swoje ręce, wybrałbym jego. Przez ostatnie dziesięć lat wyrządził nam niepowetowane szkody przy co najmniej trzech okazjach. W zeszłym roku zniszczył w Paryżu sieć, której montowanie kosztowało nas ponad siedem lat żmudnej pracy. To on zdemaskował rok wcześniej agenta, którego zainstalowaliśmy w amerykańskich Tajnych Służbach w *tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym* - człowieka, który pewnego dnia mógłby dokonać zamach u na prezydenta. A teraz - teraz mamy go tutaj.

Klęcząc na podłodze i obejmując ramionami swe zmaltretowane ciało, Jean-Pierre opuścił głowę na piersi i zrozpaczony zamknął oczy - przez cały czas nie miał pojęcia, w czym bierze udział, i stając beztrąsko w szranki przeciwko wielkim mistrzom tej bezlitosnej gry był jak nagie dziecko w jaskini lwów.

A robił sobie takie nadzieje. Łudził się, że pracując w pojedynkę zada afgańskiemu ruchowi oporu cios, po którym ten już się nic podniesie. Że zmieni bieg historii tym rejonie kuli ziemskiej. Że weźmie odwet na kołtuńskich władcach Zachodu - pognębi i wpędzi w konsternację system, który zdradził i zabił jego ojca. Ale zamiast cieszyć się teraz tryumfem, smakował gorycz klęski. W ostatniej chwili wyrwano mu to wszystko z rąk - a zrobił to Ellis.

Usłyszał dochodzący gdzieś z oddali głos Anatolija:

- Nie mamy pewności, czy osiągnął u rebeliantów wszystko, co chciał. Nie znamy szczegółów, ale wystarczy, że wiemy z grubsza, o co chodzi: pakt zjednoczeniowy zawarty pomiędzy przywódcami band w zamian za amerykańską broń. Takie coś może przedłużyć rebelię o wiele lat. Musimy temu zapobiec, zanim zacznie dochodzić do skutku.

Jean-Pierre otworzył oczy i podniósł wzrok na Anatolija.

- Jak?

- Musimy pojmać tego człowieka, zanim zdoła wrócić do Stanów Zjednoczonych. Wtedy nikt się nie dowie, że doprowadził do podpisania traktatu, rebelianci nigdy nie dostaną broni i cała intryga spali na panewce.

Pomimo bólu Jean-Pierre słuchał zafascynowany - czyżby istniała jeszcze szansa doprowadzenia zemsty do skutku?

- Pojmanie go skompensowałoby niemal fakt wymknięcia się Masuda z obławy - ciągnął Anatolij i pobudzone nową nadzieją serce Jean-Pierre'a zabiło żywiej. - Nie tylko zneutralizowalibyśmy jednego z najniebezpieczniejszych agentów, jakim dysponują imperialiści. Pomyśl tylko: realny, żywy człowiek CIA pojmany tutaj, w Afganistanie... Od trzech lat amerykańska machina propagandowa rozgłasza, że afgańscy bandyci to bojownicy o wolność, prowadzący heroiczną walkę Dawida z Goliatem przeciwko potężnemu Związkowi Radzieckiemu. Teraz mamy dowód tego, co cały czas sygnalizujemy - że Masud i reszta są jedynie lokajami amerykańskiego imperializmu. Możemy wytoczyć Ellisowi proces...

- Ale zachodnie gazety wszystkiemu zaprzeczą - podsunął Jean-Pierre. - Kapitalistyczna prasa...

- A co tam Zachód! My chcemy wyrzucić wrażenie na krajach niezaangażowanych, na niezdecydowanych państwach Trzeciego Świata, a zwłaszcza na narodach muzułmańskich.

Możliwe, uświadomił sobie Jean-Pierre, że uda się to obrócić w tryumf i byłby to wciąż jego własny tryumf, gdyż to on powiadomił Rosjan o obecności agenta CIA w Dolinie Pięciu Lwów.

- Powiedz mi teraz - zwrócił się do niego Anatolij - gdzie dziś wieczorem przebywa Ellis?

- Zmienia cały czas miejsce pobytu towarzysząc Masudowi - powiedział Jean-Pierre. Łatwiej było mówić o schwytaniu Ellisa, niż tego dokonać; namierzenie Masuda zajęło Jean-Pierre'owi cały rok.

- Nie widzę powodu, dla którego miałby dalej przebywać z Masudem - powiedział Anatolij. - Ma jakąś bazę wypadową?

- Tak. Teoretycznie mieszka przy rodzinie w Bandzie. Ale rzadko tam przebywa.

- Niemniej jest to miejsce, od którego trzeba zacząć.

No tak, oczywiście, pomyślał Jean-Pierre. Jeśli nawet Ellisa nie ma w Bandzie, ktoś z mieszkańców może wiedzieć, dokąd się udał... Ktoś taki jak Jane. Gdyby Anatolij rozpoczął poszukiwania Ellisa od Bandy mógłby przy okazji odnaleźć Jane. Ból jakby zelżał, gdy Jean-Pierre uświadomił sobie, że za jednym zamachem może zrealizować swoją zemstę pojmać Ellisa, który ukradł mu tryumf, i sprowadzić do siebie Jane z Chantal.

- Mam lecieć z tobą do Bandy? - spytał.

Anatolij zastanowił się.

- Chyba tak. Znasz wioskę i ludzi - możesz się tam przydać.

Jean-Pierre podźwignął się z podłogi, zaciskając zęby z przeszywającego mu krocze bólu.

- Kiedy ruszamy?

- Natychmiast - warknął Anatolij.

## ROZDZIAŁ 14

Ellis śpieszył się na pociąg i cały był w nerwach, chociaż wiedział, że to tylko sen. Najpierw nie mógł znaleźć miejsca na zaparkowanie samochodu - prowadził hondę Gill - potem nie mógł trafić do kas biletowych. Postanowił wsiąść do pociągu bez biletu i zaczął się przepychać przez zbity tłum wypełniający halę dworcową Grand Central Station. W tym momencie przypomniał sobie, że śniło mu się to już kilka razy, i to całkiem niedawno, i w żadnym z tych snów nie zdążył na pociąg. Budził się z nich zawsze z nieznośnym wrażeniem, że całe szczęście przeszło mimo niego i nigdy już nie wróci. Teraz też się tego bał. Torował sobie drogę przez tłum z coraz większą brutalnością i w końcu dotarł do bramki. To tutaj stał ostatnio patrząc na znikające w dali światła pociągu, ale dzisiaj skład stał jeszcze na peronie. Podbiegł i wskoczył do wagonu w chwili, gdy pociąg ruszał.

Był pijany z radości, że zdążył. Zajął miejsce i wcale nie wydało mu się dziwne, że znalazł się w śpiworze z Jane. Za oknami wagonu, nad Doliną Pięciu Lwów wstawał świt.

Nie było wyraźnej granicy między snem a jawą. Pociąg rozplywał się stopniowo, aż w końcu pozostał tylko śpiwór, Dolina, Jane i uczucie radości. W jakimś momencie tej krótkiej nocy zasunęli śpiwór i leżeli teraz bardzo blisko siebie, niezdolni niemal do żadnego ruchu. Czuł na szyi ciepły oddech Jane, a jej powiększone piersi rozpląszczały się o jego żebra. Uciskały go jej kości, jej biodra, kolano, łokieć, stopa, ale lubił to. Jak pamiętał, zawsze sypiali blisko siebie. Starodawne łoże w paryskim mieszkaniu Jane było zresztą za małe, aby można było inaczej. Jego łóżko było większe, ale w nim także leżeli przytuleni. Twierdziła zawsze, że napastuje ją w nocy, ale rano nigdy tego nie pamiętał.

Dawno już nie przespał całej nocy z kobietą. Spróbował sobie przypomnieć, kim była ta ostatnia, i doszedł do wniosku, że właśnie Jane: dziewczyny, które sprowadzał do swojego mieszkania w Waszyngtonie, nigdy nie zostawały na śniadanie.

Jane była ostatnią i *jedyną* kobietą, z którą uprawiał tak nieskrępowany seks. Przebiegł w myślach rzeczy, jakie wyprawiali tej nocy, i poczuł, że dostaje wzwołu.

Ilość razy, jaką mógł mu przy niej stanąć, zdawała się nieograniczona. W Paryżu pozostawali czasami w łóżku przez cały dzień, wstając tylko do toalety albo na szklaneczkę wina, i miewał szczytowanie z siedem razy, a ona gubiła po prostu rachubę swoich orgazmów. Nigdy nie uważał siebie za seksualnego wyczynowca i późniejsze doświadczenia przekonały go dobitnie, że nim nie jest. Na wyżyny wznosił się tylko z nią. Wyzwalała w nim coś uwięzionego, coś, co - czy to z poczucia winy, ze strachu, czy nie wiadomo z jakiego



powodu - nie objawiało się, kiedy był z innymi kobietami. Żadna inna tak na niego nie działała, chociaż jedna była już tego bliska: Wietnamka, z którą miał krótki, tragiczny romans w 1970.

Zrozumiał teraz, że nigdy nie przestał kochać Jane. Przez miniony rok pracował, umawiał się z kobietami, odwiedzał Petal i chodził do supermarketu niczym aktor grający wyuczoną rolę; udając w imię pozorów, że to prawdziwy on, a zarazem wyczuwając intuicyjnie, iż tak nie jest. Gdyby nie przyjechał do Afganistanu, mógłby utracić ją na zawsze.

Wydało mu się, że był często ślepy na najważniejsze fakty dotyczące własnej osoby. W 1968 nie zdawał sobie sprawy, że chce walczyć dla swojego kraju; nie zdawał sobie sprawy, że nie chce poślubić Gill; w Wietnamie nie zdawał sobie sprawy, że jest przeciwny wojnie. Każda z tych rewelacji zaskakiwała go i przewracała mu całe życie. Uważał, że oszukiwanie samego siebie niekoniecznie musi być czymś złym - bez tego nie przetrwałby wojny, a gdyby nie przyjechał do Afganistanu, co by mu pozostało, jak tylko wmówić sobie, że nie pragnie już mieć Jane?

A czy teraz ją mam - zadał sobie pytanie. Poza słowami *Kocham cię, najdroższy, śpij dobrze*, kiedy już zasypiał, nie powiedziała wiele. Uznał to za najcudowniejszą rzecz, jaką w swym życiu usłyszał.

- Czemu się uśmiechasz?

Otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Myślałem, że śpisz - mruknął.

- Obserwowałam cię. Wyglądałeś na takiego szczęśliwego.

- Tak. - Wciągnął w płuca głęboki haust chłodnego porannego powietrza i uniósł się na łokciu, by spojrzeć na Dolinę. W świetle przedświt u pola były niemal bezbarwne, a niebo perłowszare. Już chciał jej wyznać, co go tak uszczęśliwia, gdy usłyszał stłumione brzęczenie. Przekrzywił głowę nasłuchując.

- Co się stało? - spytała Jane.

Położył jej palec na ustach. W chwilę później i ona usłyszała. Brzęczenie przybierało na sile i po kilku sekundach przerodziło się nieomylnie w warkot helikopterów. Ellisa ogarnęło przeczucie zbliżającej się katastrofy.

- O kurwa - zaklął mocno.

Zobaczyli nagle nad głowami wyłaniającą się znad góry formację maszyn: trzy garbate Hindy najeżone bronią pokładową i jeden wielki Hip do transportu wojska.

- Schowaj głowę - warknął Ellis do Jane.

Śpiwór był brązowy i zakurzony jak ziemia wokół nich - jeśli ukryją się pod nim, może nie zostaną dostrzeżeni z powietrza. Partyzanci stosowali tę samą metodę krycia się przed samolotami - nakrywali się nazywanym tu *pattu*, kocem w kolorze błota, który każdy z nich wszędzie ze sobą nosił.

Jane zagrzebała się w śpiwór. Po swej otwartej stronie śpiwór miał pokrowiec na poduszkę, której teraz w nim nie było. Jeśli narzucą ten pokrowiec na siebie, przykryje im głowy. Przyciskając Jane mocno do siebie, Ellis przeturlał się na brzuch i pokrowiec na poduszkę opadł na nich. Byli teraz praktycznie niewidoczni.

Leżeli na brzuchach, on połową ciała na niej, i patrzyli w dół, na wioskę. Helikoptery zniżały lot.

- Nie zamierzają tu chyba lądować? - mruknęła Jane.

- Wydaje mi się, że jednak... - odparł powoli Ellis.

- Muszę iść tam na dół... - mówiąc te słowa Jane zaczęła wstawać.

- Nie! - Ellis przytrzymał ją za ramiona i przygniół całym ciężarem swego ciała do ziemi. - Zaczekaj... kilka sekund. Zobaczmy, co się będzie działo...

- Ale Chantal...

- Zaczekaj!

Przestała się szamotać, ale Ellis nie rozluźniał uścisku. Na dachach domów zaczęli siadać zaspani ludzie i przecierając oczy gapili się w oszołomieniu na wielkie maszyny, przecinające nad nimi powietrze niczym gigantyczne ptaszyska. Ellis skierował wzrok na chatę Jane. Dostrzegł Farę, która właśnie wstawała i owijała się prześcieradłem. Chantal leżała obok niej na małym materacyku, skryta pod pościelą.

Helikoptery krążyły ostrożnie nad wioską. Chcą tu wylądować, pomyślał Ellis, ale po zasadzce w Darg są czujni.

We wsi zakotłowało się. Jedni wybiegali z chat, inni do nich wbiegali. Zapędzano do środka dzieci i inwentarz. Kilku wieśniaków próbowało uciekać, ale jeden z Hindów przeleciał nisko nad ścieżkami prowadzącymi poza opłotki i zmusił ich do powrotu.

Ta scena przekonała sowieckiego dowódcę, że tutaj nie ma żadnej zasadzki. Hip z żołnierzami i jeden z trzech Hindów opuściły się niezgrabnie i usiadły na polu. W parę sekund później pojawili się żołnierze, wyskakujący niczym insekty z ogromnego brzucha Hipa.

- Nie podoba mi się to! - krzyknęła Jane. - Muszę tam zaraz zejść.

- Posłuchaj! - powiedział z naciskiem Ellis. - Nic jej nie grozi - cokolwiek zamierzają Rosjanie, nie przylecieli tu w sprawie dzieci. Ale niewykluczone, że szukają ciebie.

- Muszę być przy niej...

- Przestań panikować! - krzyknął. - Właśnie gdybyś z nią była, groziłoby jej niebezpieczeństwo. Dopóki tu jesteś, będzie bezpieczna. Czy nie rozumiesz? Najgorsza rzecz, jaką mogłabyś zrobić, to popędzić teraz do niej.

- Ellis, ja nie mogę...

- Musisz.

- O Boże! - Zamknęła oczy. - Przytul mnie mocno.

Objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

Żołnierze otoczyli wioskę. Poza ich pierścieniem pozostał tylko jeden dom - chata mułły, która stała dobre czterysta jardów od reszty zabudowań, przy ścieżce wiodącej w górę zbocza. Gdy Ellis spojrział w tamtym kierunku, z chaty wymknął się jakiś człowiek. Odległość nie była zbyt wielka i Ellis dostrzegł jego farbowaną na czerwono brodę: to był Abdullah. Po chwili z chaty wyszła jeszcze trójka dzieci różnego wzrostu oraz kobieta z niemowlęciem na ręku i cała gromadka ruszyła biegiem pod górę w ślad za mułłą.

Rosjanie dostrzegli ich natychmiast. Jeden ze znajdujących się w powietrzu helikopterów odleciał znad wioski i zawisł nad ścieżką, którą uciekała rodzina mułły. Ellis z Jane naciągnęli sobie śpiwór jeszcze bardziej na głowy. Z dolnej części nosa maszyny poszła seria i przy stopach Abdullaha eksplodował równym ściegiem pył. Mułła zatrzymał się jak wryty, balansując komicznie ciałem i rękoma, aby się nie przewrócić, potem zawrócił na pięcie i pobiegł z powrotem wymachując rękoma i wrzeszcząc do swoich, żeby wracali. Gdy dobiegli do domu, druga ostrzegawcza seria z karabinu maszynowego uniemożliwiła im wejście do środka i po chwili cała rodzina kierowała się już w dół stoku, ku wiosce.

Poprzez zagłuszający wszystko ryk silników przebijały się co jakiś czas pojedyncze wystrzały, ale żołnierze oddawali je chyba w powietrze, żeby zastraszyć wieśniaków. Wchodzili do domów i wywlekali z nich mieszkańców w nocnych koszulach i bieliźnie. Hind, który zawrócił mułłą z rodziną, zaczął teraz krążyć nisko nad wioską, jakby szukając innych uciekinierów.

- Co oni chcą zrobić? - spytała Jane roztrzęsionym głosem.

- Nie wiem.

- Czy to odwet?

- Bron Boże.

- To co? - nie ustępowała.

Ellis miał już na końcu języka: *skąd, do cholery, mam wiedzieć?*, ale zamiast tego powiedział:

- Może to kolejna próba pojmania Masuda.

- Ale on przecież nigdy nie zostaje w pobliżu pola bitwy.

- Może mają nadzieję, że zaniechał środków ostrożności albo zwlekał z odejściem, lub też że został ranny... - Prawdę mówiąc Ellis nie wiedział, o co tu chodziło, ale obawiał się masakry w stylu My Lai.

Wieśniaków spędzano na dziedzińcu meczetu. Żołnierze traktowali ich obcesowo, ale nie brutalnie.

- Fara! - krzyknęła nagle Jane.

- Co się stało?

- Co ona robi?

Ellis spojrzał na dach chaty Jane. Fara klęczała przy małym materacyku Chantal i Ellis widział wystającą z niego małą różową główkę. Chantal chyba wciąż spała. Fara nakarmiła ją pewnie w nocy z butelki, ale chociaż Chantal jeszcze nie zgłodniała, huk helikopterów mógł ją obudzić. Ellis miał nadzieję, że jednak śpi.

Ujrzał, jak Fara kładzie obok główki Chantal poduszkę, a potem naciąga na twarzyczkę dziecka prześcieradło.

- Ukrywa ją - wyszeptała Jane. - Poduszka podtrzymuje w górze prześcieradło, żeby miała czym oddychać.

- Bystra dziewczyna.

- Że też mnie tam nie ma.

Fara miętoszyła prześcieradło, a potem narzuciła byle jak drugie na ciało Chantal. Zwlekała jeszcze przez chwilę, oceniając efekt swoich zabiegów. Z daleka dziecko wyglądało zupełnie jak porzucony w pośpiechu stos pościeli. Wrażenie to zadowoliło chyba Farę, bo dziewczyna zbliżyła się do krawędzi dachu i zeszła po schodkach na podwórko.

- Zostawia ją - jęknęła Jane.

- Chantal jest tak bezpieczna, jak to możliwe w tych okolicznościach...

- Wiem, wiem!

Farę pognano wraz z innymi do meczetu. Wchodziła tam jako jedna z ostatnich.

- Wszystkie dzieci są ze swoimi matkami - zauważyła Jane. - Wydaje mi się, że Fara powinna zabrać Chantal ze sobą...

- Nie - powiedział Ellis. - Zaczekaj. Zobaczysz. - Wciąż nie wiedział, co się dalej stanie, ale jeśli to miała być masakra, Chantal była najbezpieczniejsza tam, gdzie się znajdowała.

Gdy uznano, że wszyscy już znaleźli się w murach meczetu, żołnierze znowu przystąpili do przeszukiwania wioski, wbiegając i wybiegając z chat i strzelając od czasu do czasu w powietrze. Nie cierpią na brak amunicji, pomyślał Ellis. Helikopter, który pozostał w powietrzu, przeczesywał na małej wysokości obrzeża wioski zataczając coraz szersze kręgi, jakby czegoś szukał.

Jeden z żołnierzy wszedł na podwórko chaty Jane.

Ellis poczuł, jak Jane sztywnieje.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął jej do ucha.

Żołnierz zniknął w chacie. Ellis z Jane nie odrywali wzroku od drzwi. - Po kilku sekundach wyszedł stamtąd i szybko wbiegł na górę po schodkach.

- Boże, ocal ją - wyszeptała Jane.

Żołnierz stanął na dachu, zerknął na kupę zmiętej pościeli, rozejrzał się dookoła po dachach pobliskich chat i znowu zainteresował się dachem Jane. Najbliżej miał do materaca Fary: Chantal leżała na swoim zaraz za nim. Żołnierz szturchnął materac Fary czubkiem buta.

Nagle odwrócił się i zbiegł na dół.

Ellis wypuścił powietrze z płuc i spojrzął na Jane. Była przeraźliwie blada.

- A mówiłem, że dobrze się skończy - powiedział. Zaczęła dygotać.

Ellis spojrzął teraz na meczet. Widział tylko część dziedzińca za murem. Wyglądało na to, że wieśniacy siedzą na ziemi w rzędach, ale panował tam jakiś ruch, jakieś chodzenie tam i z powrotem. Usiłował odgadnąć, co się dzieje. Czyżby wypytywali ich o Masuda i miejsce jego pobytu? Było tam tylko trzech ludzi, którzy mogli coś wiedzieć, trzech partyzantów z Bandy, którzy nie odeszli wczoraj z Masudem w góry: Shahazi Gul, ten z bliźną; Alishan Karim, brat mułły Abdullaha; i Sher Kador, pasterz kóz. Shahazi i Alishan mieli po czterdzieści kilka lat i łatwo mogli odgrywać rolę zalęknionych starców. Sher Kador był zaledwie czternastoletnim wyrostkiem. Wszyscy trzej mogli się zapierać, że nic nie wiedzą o Masudzie. Całe szczęście, że nie było tu Mohammeda - Rosjanie nie uwierzyliby tak łatwo w jego niewinność. Broń partyzantów została fachowo ukryta w miejscach, w które Rosjanie nie zajrzają: na dachu ustępu, pośród liści drzewa morwowego, w głębokiej dziurze na brzegu rzeki.

- Och, spójrz! - krzyknęła Jane. - Popatrz na tego człowieka przed meczetem!

Ellis spojrzął w tę stronę.

- Ten sowiecki oficer w spiczastym kapeluszu?

- Tak. Wiem, kto to jest. Widziałam go już. To człowiek, który był z Jean-Pierre'em w kamiennej chacie. To Anatolij.

- Jego łącznik - Ellis sapnął. Wyteżył wzrok usiłując rozpoznać rysy twarzy mężczyzny; z tej odległości wyglądał jakoś orientalnie. Co to za człowiek? Zapuścił się samotnie na rebelianckie terytorium, żeby spotkać się z Jean-Pierre'em, musi więc być odważny. Dzisiaj jest na pewno wściekły, bo wprowadził Rosjan w pułapkę pod Darg. Będzie się chciał szybko zemścić, żeby odzyskać twarz...

Ellis przerwał raptem swoje spekulacje, bo z meczetu wyłoniła się postać brodatego mężczyzny w rozchełstanej pod szyją białej koszuli i ciemnych zachodnich spodniach.

- Boże wszechmogący - powiedział Ellis. - Przecież to Jean-Pierre.

- Och! - wyrwało się Jane.

- Co tu jest, do cholery, grane? - mruknął Ellis.

- Myślałam, że już go nigdy nie zobaczę - powiedziała Jane. Ellis spojrzał na nią. Miała dziwny wyraz twarzy. Po chwili zdał sobie sprawę, że to żal.

Ponownie skupił swoją uwagę na tym, co działo się we wsi. Jean-Pierre rozmawiał z sowieckim oficerem gestykulując przy tym i pokazując na góry.

- Dziwnie stoi - zauważyła Jane. - Chyba sobie coś zrobił.

- Czy on pokazuje w naszym kierunku? - spytał Ellis.

- Nie wie o tym miejscu... nikt o nim nie wie. Widzi nas?

- Nie.

- My go widzimy - powiedziała z powątpiewaniem.

- Ale on stoi wyprostowany na płaskim tle. My leżymy pod śpiworem na upstrzonym górskim zboczu. Nie może nas dostrzec, bo nie wie, gdzie spojrzeć.

- A więc pokazuje chyba na jaskinie.

- Tak.

- Mówi pewnie Rosjanom, żeby do nich zajrzeli.

- Tak.

- Ależ to okropne. Jak on może... - Głos jej się załamał. Po chwili powiedziała: - Ale przecież robił to od chwili, kiedy tu przyjechaliśmy, od początku wydawał ludzi Rosjanom.

Ellis zauważył, że Anatolij mówi coś do przenośnej krótkofalówki. W chwilę później jeden z krążących w powietrzu Hindów przeleciał z rykiem nad przykrytymi głowami Ellisa i Jane i choć zniknął im z oczu, usłyszeli, jak ląduje na szczycie wzgórza.

Jean-Pierre z Anatolijem oddalali się od meczetu. Jean-Pierre utykał.

- Jest ranny - powiedział Ellis.

- Zastanawiam się właśnie, co mu się stało.

Na Ellisie sprawiało to wrażenie, że Jean-Pierre został pobity, ale nie powiedział tego głośno. Dla niego ważne było, co dzieje się w umyśle Jane. Tam jest jej mąż, który idzie z oficerem KGB - sądząc po mundurze, pułkownikiem, myślał Ellis. Ona jest tutaj, na prowizorycznym posłaniu z innym mężczyzną. Czy czuje się winna? Zawstydzona? Nielojalna? A może nie żałuje swego czynu? Czy nienawidzi Jean-Pierre'a, czy też jest nim jedynie zawiedziona? Była w nim zakochana - czy pozostało coś z tej miłości?

- Co odczuwasz patrząc teraz na niego? - spytał.

Posłała mu długie, przenikliwe spojrzenie i przez chwilę myślał, że dostaje obłędu, ale ona tylko bardzo poważnie potraktowała jego pytanie.

- Smutek - powiedziała w końcu i odwróciła wzrok z powrotem na wioskę.

Jean-Pierre z Anatolijem kierowali się do chaty Jane, gdzie na dachu leżała ukryta Chantal.

- Wydaje mi się, że szukają mnie - powiedziała Jane.

Kiedy tak patrzyła na dwóch mężczyzn w dole, twarz jej się ściągnęła i pojawił się na niej strach. Ellis nie przypuszczał, aby Rosjanie przebyli taki kawał drogi w takiej liczbie z powodu Jane, ale nie powiedział tego.

Jean-Pierre z Anatolijem przeszli przez podwórko chaty sklepikarza i weszli do środka.

- Tylko nie zapłacz, malutka - wyszeptała Jane.

To cud, że dziecko wciąż śpi, pomyślał Ellis. A może nie śpi, może obudziła się i płacze, ale jej krzyki toną w warkocie helikopterów. Może żołnierze jej nie usłyszeli, bo akurat bezpośrednio nad chatą przelatywała któraś z maszyn. Może bardziej wyczułone uszy ojca wychwycą dźwięki, które nie zwróciły dotąd uwagi człowieka obcego. Może...

Dwaj mężczyźni wyszli z domu.

Przystanęli na chwilę na podwórku dyskutując zawzięcie. Jean-Pierre pokuśtykał do drewnianych schodków prowadzących na dach. Z wyraźną trudnością wstąpił na pierwszy stopień i zrezygnował z dalszej wspinaczki. Znowu nastąpiła krótka wymiana słów i na schodki wszedł Rosjanin.

Ellis wstrzymał oddech.

Anatolij dotarł do szczytu schodków i wszedł na dach. Podobnie jak wcześniej żołnierz rzucił okiem na rozmemłane posłanie, rozejrzał się po sąsiednich dachach i ponownie zainteresował się tym, na którym stał. I podobnie jak wcześniej żołnierz szturchnął czubkiem buta materac Fary. Potem przykląkł obok Chantal.

Delikatnie unióś prześcieradło.

Gdy ukazała się spod niego różowa buzia Chantal, Jane wydała nienaturalny okrzyk.

Jeśli chodzi im o Jane, pomyślał Ellis, zabiorą Chantal, bo wiedzą, że odda się w ich ręce, aby tylko być znowu razem z córeczką.

Anatolij patrzył przez kilka sekund na maleńkie zawiniątko.

- O Boże, nie wytrzymam tego, nie wytrzymam - jęknęła Jane.

- Zaczekaj, zaczekaj. Zobaczymy - powiedział Ellis przyciskając ją mocno do siebie.

Wyteżył wzrok, by dostrzec twarzączkę dziecka, ale odległość była zbyt wielka.

Rosjanin zdawał się nad czymś zastanawiać.

Nagle powziął jakąś decyzję.

Opuścił z powrotem prześcieradło, opatulił nim dziecko, wstał i odszedł.

Jane zalała się łzami.

Anatolij powiedział coś z dachu do Jean-Pierre'a, kręcąc przecząco głową. Potem zszedł na podwórko.

- Dlaczego to zrobił? - myślał głośno Ellis. To kręcenie głową oznaczało, że Anatolij okłamał Jean-Pierre'a mówiąc mu: *na dachu nikogo nie ma*. A więc Jean-Pierre chciał zabrać dziecko, a Anatolij nie. Znaczyłoby to również, że Jean-Pierre chciał odnaleźć Jane, ale Rosjanie nie byli nią zainteresowani.

A więc kto ich interesował?

To oczywiście. Szukali jego, Ellisa.

- A niech mnie diabli - powiedział Ellis głośno do siebie. Jean-Pierre pragnie odzyskać Jane i Chantal, ale Anatolij szuka jego. Anatolij chciał się zemścić za wczorajsze upokorzenie; chciał przeszkodzić Ellisowi w powrocie na Zachód z podpisanym przez rebelianckich dowódców traktatem; chciał też postawić Ellisa przed sądem, by dowieść światu, że za afgańską rebelią stoi CIA. Powinienem pomyśleć o tym wczoraj, zganił gorzko swą beztroskę Ellis, ale byłem pod wrażeniem sukcesu i tylko Jane była mi w głowie. Poza tym Anatolij nie mógł wiedzieć, że tu jestem - mogłem zostać w Darg, udać się do Astany albo ukryć w górach z Masudem - a więc musiał to być strzał w ciemno. Ale niemal mu się udało. Anatolij ma instynkt. Jest groźnym przeciwnikiem - i bitwa nie została jeszcze zakończona.

Jane szlochała. Ellis pogładził ją po włosach i zaczął mówić coś uspokajająco, obserwując jednocześnie Jean-Pierre'a i Anatolija wracających do helikopterów, które stały wciąż na polu z młóćącymi powietrze wirnikami.

Hind, który wylądował na szczycie wzgórza w pobliżu jaskiń, znowu wzniósł się w powietrze i przeleciał nad głowami Ellisa i Jane. Ellis zastanawiał się, czy siedmiu rannych



partyzantów przebywających w jaskini poddano przesłuchaniu, wzięto do niewoli, czy też i jedno i drugie.

Wszystko skończyło się bardzo szybko. Żołnierze wybiegli w pośpiechu z meczetu i załadowali się do Hipa równie szybko, jak z niego uprzednio wyskoczyli. Jean-Pierre z Anatolijem wsiedli do jednego z Hindów. Złowroga flotylla powietrzna oderwała się, maszyna po maszynie, od ziemi, wzniosła ociążale ponad szczyt wzgórza i odleciała szybko prosto na południe.

Ellis wiedząc, co chce zrobić Jane, powiedział:

- Poczekaj jeszcze chwilę, dopóki wszystkie helikoptery nie odlecą - nie popsuj teraz wszystkiego.

Zapłakana, skinęła potakująco głową.

Wystraszeni wieśniacy zaczęli wymykać się pojedynczo z meczetu. Ostatni helikopter wystartował i skierował się na południe. Jane wygramoliła się ze śpiwora, naciągnęła spodnie, narzuciła na siebie koszulę i ślizgając się, potykając i zapinając po drodze guziki koszuli puściła się biegiem w dół zbocza. Ellis patrzył za nią czując się w jakiś sposób odtrącony i chociaż zdawał sobie sprawę, że to irracjonalne uczucie, nie mógł się z niego otrząsnąć. Nie pobiegnie za nią jeszcze, zdecydował. Zostawi ją samą i pozwoli nacieszyć się odzyskaniem Chantal.

Zniknęła mu z oczu za chatą muły. Ellis popatrzył na wioskę. Życie zaczynało tam wracać do normy. Docierały do niego podniesione, podekscytowane głosy. Między domami uganiała się dzieciarnia, udając helikoptery albo celując z wymagowanych karabinów i zapędzając kurczęta na podwórka na przesłuchanie. Większość dorosłych wracała powoli do swoich domów. Sprawiali wrażenie wystraszonych.

Ellis przypomniał sobie o siedmiu partyzantach i jednorękim chłopcu z jaskiniowego lazaretu. Postanowił sprawdzić, co się z nimi stało. Ubrał się, zrolował śpiwór i ruszył ścieżką pod górę.

Przypomniał mu się Allen Winderman w swoim szarym garniturze i krawacie w paski, dziobiący widelcem sałatkę w waszyngtońskiej restauracji i pytający: *A jakie jest ryzyko, że Rosjanie dostaną naszego człowieka? Znikome*, odparł wtedy Ellis. *Skoro nie potrafią pojmać Massuda, tojiak mieliby schwytać tajnego agenta wysłanego na spotkanie z Masudem?* Teraz znał już odpowiedź na to pytanie: dzięki Jean-Pierre'owi.

- Przeklęty Jean-Pierre - powiedział na głos.

Dotarł do polanki. Z jaskiniowego lazaretu nie dochodził żaden dźwięk. Miał nadzieję, że Rosjanie nie zabrali razem z partyzantami tego chłopca, Mousy - Mohammed byłby zrozpaczony.

Wszedł do jaskini. Słońce stało już wysoko i widział zupełnie wyraźnie. Byli tam wszyscy. Leżeli cisi i nieruchomi.

- Nic się wam nie stało? - zapytał Ellis w dani.

Żaden mu nie odpowiedział. Żaden się nie poruszył.

- O Boże - wyszeptał Ellis.

Ukląkł przy najbliższym z partyzantów i dotknął jego brodatej twarzy. Mężczyzna leżał w kałuży krwi. Zastrzelono go przykładając mu pistolet do głowy.

Ellis sprawdził szybko wszystkich pozostałych.

Wszyscy nie żyli.

Chłopiec też.

## ROZDZIAŁ 15

Jane gnana paniką pędziła przez wioskę roztrzając na boki ludzi, objając się o ściany, potykając, padając i ponownie wstając, szlochając, dysząc ciężko i zawodząc, a wszystko to naraz.

- Nic nie mogło jej się stać - powtarzała sobie w kółko jak litanie, a równocześnie nękały ją pytania: *Czemu Chantal się nie obudziła? Czy Anatolij coś jej zrobił? Czy coś jej się stało?*

Wpadła na podwórko chaty sklepikarza i przeskakując po dwa stopnie wspięła się na dach. Padła na kolana i ściągnęła z małego materacyka prześcieradło. Chantal miała zamknięte oczy. Oddycha? - przemknęło przez myśl Jane - oddycha? W tym momencie mała otworzyła oczka, spojrzała na matkę i pierwszy raz w swoim życiu uśmiechnęła się.

Jane porwała ją na ręce i przytuliła mocno. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Chantal rozplakała się przestraszona tym niespodziewanym uściskiem i Jane również zalała się łzami radości i ulgi. Jej mała dziewczynka znowu była przy niej - żywa, ciepła i wrzeszcząca - i po raz pierwszy uśmiechnęła się do matki.

Po chwili Jane ochłonęła i dziecko, wyczuwając tę zmianę nastroju, również się uspokoiło. Zaczęła kołysać małą, rytmicznie poklepując ją po plecach, głaszcząc i całując czubek miękkiej, łysej główki. Wreszcie przypomniała sobie, że na świecie istnieją też inni ludzie i pomyślała o wieśniakach zapędzonych do meczetu. Czy wszyscy są cali i zdrowi? Zeszła na podwórko i natknęła się tani na Farę.

Popatrzyła przez chwilę na dziewczynę. Milcząca, trwożliwa Fara, która tak łatwo się denerwowała. Skąd wzięło się u niej tyle odwagi, przytomności umysłu i zimnej krwi, by ukryć Chantal pod zmiętym prześcieradłem, gdy tuż obok lądowały sowieckie helikoptery i grzmiąły strzały?

- Ocaliłaś ją - powiedziała Jane.

Fara wystraszyła się, zupełnie jakby ją o coś oskarżono.

Jane przełożyła Chantal do lewej ręki, prawą zaś objęła dziewczynę.

- Ocaliłaś moje dziecko - powiedziała. - Dziękuję ci! Dziękuję!

Fara pokraśniała na moment z zadowolenia, a potem wybuchnęła płaczem. Jane uspokajała ją, poklepując po plecach jak przed chwilą Chantal. Gdy Fara doszła do siebie, Jane spytała:

- Co się działo w meczecie? Czego od was chcieli? Czy są ranni?

- No tak - bąknęła Fara z niezbyt rozgarniętą miną.

Jane uśmiechnęła się wyrozumiale - nie można przecież zadawać Farze trzech pytań naraz i oczekiwać sensownej odpowiedzi.

- Co się wydarzyło, kiedy weszłaś do meczetu?

- Pytali, gdzie jest Amerykanin.

- Kogo pytali?

- Każdego. Ale nikt nie wiedział. Doktor pytał mnie o ciebie i o dziecko, ale powiedziałam, że nic nie wiem. Wtedy wzięli trzech mężczyzn: najpierw mojego wuja Shahaziego, potem mułłę i Alishana Karima, brata mułły. Znowu ich wypytywali, ale to nic nie dało, bo żaden z nich nie wiedział, co się stało z Amerykaninem. No to ich pobili.

- Czy są ranni?

- Tylko pobici.

- Obejrzę ich. - Jane przypomniała sobie z niepokojem, że Alishan przeszedł zawał serca. - Gdzie teraz są?

- Wciąż w meczecie.

- Chodź ze mną. - Jane weszła do domu, a Fara za nią. Na ladzie w izbie frontowej znalazła swoją torbę medyczną. Do jej zwykłej zawartości dorzuciła kilka pigułek nitrogliceryny i wyszła. Nadal ściskając kurczowo Chantal w ramionach skierowała się do meczetu.

- No i co się jeszcze stało? - spytała po drodze Farę.

- Doktor pytał mnie, gdzie jesteś. Powiedziałam, że nie wiem. Naprawdę nie wiedziałam.

- Zrobili ci coś?

- Nie. Doktor był bardzo rozgniewany, ale mnie nie bili.

Jane przyszło do głowy, że złość Jean-Pierre'a mogła być spowodowana tym, że domyślał się, iż spędziła tę noc z Ellisem. Zdaje się, że cała wioska to podejrzewała. Ciekawe, jaka będzie ich reakcja. Mogli to uznać za ostateczny dowód, że jednak jest Nierządnicą z Babilonu.

Na razie, dopóki są wśród nich potrzebujący pomocy ranni, nie będą jej unikać. Dotarła do meczetu i weszła na dziedziniec. Pierwsza zauważyła ją krzątająca się w skupieniu żona Abdullaha i zaprowadziła do leżącego na ziemi męża. Od razu widać było, że nic mu nie jest, a ponieważ Jane martwiła się o serce Alishana, więc mimo protestów oburzonej żony zostawiła mułłę i podeszła do jego brata, który leżał tuż obok.

Miał szara twarz, oddychał z trudem i jedną ręką trzymał się za pierś: tak jak się obawiała, pobicie wywołało atak anginy pectoris. Dała mu tabletkę, mówiąc:

- Ssij to, nie łykaj.

Oddała Chantal Farze i zbadała go szybko. Był strasznie posiniaczony, ale kości miał całe.

- Czym cię bili? - spytała.

- Kolbami karabinów - odpowiedział ochryple.

Pokiwała głową. Miał szczęście: jedyną poważną krzywdą, jaką mu wyrządzili, był niebezpieczny dla jego serca stres i już z niego wychodził. Przemysła mu tylko skaleczenia jodyną i kazała się nie ruszać przez co najmniej godzinę.

Następnie wróciła do Abdullaha. Kiedy jednak muła zobaczył, że się zbliża, zaczął machać rękoma i wrzeszczeć gniewnie, by nie podchodziła. Wiedziała, co go tak rozwścieczyło - uważał, że jemu należy się pierwszeństwo i obraził się, iż zajęła się wpierv Alishanem. Nie miała zamiaru go przeproszać. Już wcześniej próbowała mu wytłumaczyć, że dla mej najważniejszy jest stan chorego, a nie jego status. Odwróciła się teraz. Nie było sensu upierać się przy badaniu starego głupca. Skoro czuł się na tyle dobrze, żeby na nią wrzeszczeć, to znaczy, że wyżyje.

Podeszła do Shahaziego, zaprawionego w bojach, pokrytego bliznami wojownika. Jego siostra, akuszerka Rabia, zbadała go już i przemysła skaleczenia. Maści ziołowe Rabii nie były tak antyseptyczne jak powinny, ale na pewno nie zaszkodzą, pomyślała Jane. Kazała mu tylko poruszyć palcami u rąk i nóg. Były sprawne.

Mieliśmy szczęście, pomyślała. Przyszli Rosjanie, ale wykpiłiśmy się niegroźnymi obrażeniami. Dzięki Bogu. Być może teraz zostawią nas na jakiś czas w spokoju. Miejmy nadzieję, że aż do otwarcia szlaku przez przełęcz Khyber.

- Czy doktor jest Rosjaninem? - spytała nagle Rabia.

- Nie. - Po raz pierwszy Jane zastanowiła się nad motywacją, którą kierował się Jean-Pierre. Co by powiedział, gdyby mnie znalazł? - pomyślała. - Nie, Rabio, nie jest Rosjaninem. Ale wygląda na to, że przeszedł na ich stronę.

- Więc jest zdrajcą?

- Tak, chyba jest. - Jane zastanowiło, do czego zmierza Rabia.

- Czy chrześcijanka może rozwieść się z mężem, który okazał się zdrajcą?

W Europie można rozwieść się z błaższego powodu, pomyślała Jane, odpowiedziała więc:

- Tak, może.

- Czy dlatego właśnie poślubiłaś teraz Amerykanina?

Teraz zorientowała się, o co chodzi Rabii. Spędzając z Ellisem noc na stoku wzgórza potwierdziła oskarżenia Abdullaha, że jest zachodnią nierządnicą. Rabia, która długi czas była w wiosce jej poplecniczka, chciała przeciwstawić temu oskarżeniu alternatywną interpretację. W myśl której Jane, zgodnie z pokrętnymi chrześcijańskimi prawami, nie znanymi Prawdziwym Wiernym, rozwiodła się z dnia na dzień ze zdrajcą, i zgodnie z tymi samymi prawami poślubiła Ellisa. Niech ci będzie, pomyślała Jane.

- Tak - powiedziała. - Właśnie dlatego poślubiłam Amerykanina.

Rabia pokiwała głową usatysfakcjonowana.

Jane przyszło na myśl, że w epitecie mułły tkwi jednak ziarnko prawdy. W końcu przechodziła przecież z nieprzyzwoitą wręcz szybkością z łóżka jednego mężczyzny do łóżka drugiego. Poczula coś w rodzaju zawstydenia, ale zaraz się z tego otrząsnęła: nigdy nie starała się postępować, kierując się oczekiwaniami innych. Niech sobie myślą, co chcą.

Nie zastanawiała się wcześniej nad możliwością poślubienia Ellisa. Czy czuję się rozwiedziona z Jean-Pierre'em? - zadała sobie pytanie. Odpowiedź brzmiała: nie. Uważała jednak, że nie ma już w stosunku do niego żadnych zobowiązań. Po tym wszystkim, co zrobił, nic mu nie jestem winna, pomyślała. Takie postawienie sprawy powinno przynieść jej jakąś ulgę, ale mimo wszystko odczuwała tylko smutek.

Rozważania zostały nagle przerwane. Przed wejściem do meczetu powstało zamieszanie. Odwróciła się i zobaczyła Ellisa niosącego coś na rękach. Kiedy podszedł bliżej, zauważyła, że na jego twarzy maluje się wściekłość. Przemknęło jej przez myśl, że widziała go już takim w Paryżu, kiedy nieostrożny taksówkarz, zawracając raptownie, wpadł na młodego motocyklistę, ciężko go raniąc. Byli świadkami tego wypadku i wezwali karetkę - Jane nie miała jeszcze pojęcia o medycynie - a Ellis powtarzał w kółko: „To bez sensu, to zupełnie bez sensu”.

Rozpoznała kształt, który trzymał w ramionach: to było dziecko i po wyrazie twarzy Ellisa zorientowała się, że nie żyje. Jej pierwszą reakcją, która natychmiast napełniła ją wstydem, była myśl - dzięki Bogu, że to nie Chantal; ale kiedy popatrzyła uważniej, zobaczyła, że było to jedyne we wsi dziecko, które traktowała chwilami jak własne - jednoręki Mousa, chłopiec, któremu ocaliła życie. Poczula przypływ strasznego żalu oraz poczucie straty, tak jak wtedy, gdy z Jean-Pierre'em długo walczyli o życie pacjenta, który i tak umarł. Ale ten ból miał w sobie coś szczególnego, bo Mousa był dzielnym chłopcem i tak świetnie radził sobie ze swoim kalectwem, a ojciec był z niego taki dumny. Dlaczego on? -

pomyślała i łzy napłynęły jej do oczu. Dlaczego właśnie on? Mieszkańcy wioski otoczyli ciasno Ellisa, ale on patrzył na Jane.

- Wszyscy nie żyją - powiedział w dani, aby inni też mogli go zrozumieć. Kilka kobiet z wioski zaczęło zawodzić.

- Jak to się stało? - spytała.

- Zastrzelili ich Rosjanie, każdego.

- O mój Boże. - A jeszcze tej nocy, myśląc o odniesionych przez nich ranach, mówiła, że żaden nie umrze. Przewidywała, że pod jej opieką każdy z nich wcześniej czy później poczuje się lepiej, wróci do zdrowia i odzyska pełnię sił. A teraz wszyscy nie żyją.

- Ale dlaczego zabili dziecko?! - krzyknęła.

- Chyba im zaszedł za skórę.

Zmarszczyła brwi z niemym pytaniem w oczach.

Ellis uniósł małego tak, aby widoczna była ręka Mousy. Małe palce ścisnęły silnie rękojeść noża, który chłopiec dostał od ojca. Na ostrzu była krew.

Nagle rozległ się straszny lament i przez tłum przedarła się Halima. Wzięła od Ellisa ciało syna i kucnęła na ziemi z martwym dzieckiem w ramionach, wykrzykując jego imię. Wokół niej zebrały się kobiety. Jane odwróciła się od tej sceny.

Skinęła na trzymającą na rękach Chantal Farę, wyszła z meczetu i skierowała się wolnym krokiem w stronę domu. Jeszcze kilka minut temu myślała, że wioska wyszła szczęśliwie z opresji. A teraz nie żyje siedmiu mężczyzn i chłopiec. Tyle łez wylała, że nie miała już czym płakać. Żal odbierał jej siły.

Weszła do domu i usiadła, aby nakarmić Chantal.

- Jakaś ty cierpliwa, dziecinko - powiedziała i przystawiła małą do piersi.

W parę minut później wszedł Ellis, pochylił się i pocałował ją. Patrzył na nią przez chwilę.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś na mnie zła - powiedział w końcu.

Uświadomiła sobie, że rzeczywiście tak jest.

- Mężczyźni to jednak sukinsyny - odparła z goryczą. - Ten dzieciak próbował najwyraźniej rzucić się na uzbrojonych żołnierzy z nożem myśliwskim. Kto go nauczył takiej nieroztropności? Kto mu powiedział, że celem jego życia jest zabijanie Rosjan? Z kogo brał przykład, porywając się z nożem na mężczyzn uzbrojonych w kałasznikowy? Przecież nie ze swojej matki. Z ojca; to Mohammed jest winien jego śmierci. Mohammed i ty.

- Dlaczego ja? - zapytał Ellis zdziwiony.

Wiedziała, że jest surowa w swej ocenie, ale nie mogła się powstrzymać.

- Pobili Abdullaha, Alishana i Shahaziego, bo chcieli z nich wyciągnąć, gdzie jesteś. Szukali ciebie. To było powodem ich przybycia.

- Wiem. Ale czy znaczy to, że z mojej winy zastrzelili tego chłopca?

- Doszło do tego przez to, że ty tu jesteś.

- Być może. W każdym razie postaram się rozwiązać ten problem. Wyjeżdżam. Moja obecność, jak zdążyłaś zauważyć, ściąga przemoc i doprowadza do przelewu krwi. Zostając narażam się na pojmanie - bo tej nocy mieliśmy dużo szczęścia - a wtedy mój plan zjednoczenia rozproszonych plemion do walki ze wspólnym wrogiem upadnie. Prawdę mówiąc, byłoby jeszcze gorzej. Rosjanie wytoczyliby mi publiczny proces, żeby osiągnąć jak największy efekt propagandowy: „Patrzcie, jak CIA próbuje wykorzystać wewnętrzne problemy krajów Trzeciego Świata”. Coś w tym rodzaju.

- Ważna z ciebie figura, co? - Dziwny wydawał się fakt, że to, co wydarzyło się tu, w Dolinie, wśród tej małej grupy ludzi, mogło mieć tak poważne, niemal globalne następstwa. - Ale nie możesz odejść. Szlak do przełęczy Khyber jest zablokowany.

- Jest inna droga: Szlak Maślany.

- Och, Ellis... Jest bardzo trudny i niebezpieczny. - Wyobraziła go sobie, jak smagany ostrym wichrem wspina się na wysokie przełęcz. Mógł zgubić drogę i zamarznąć na śmierć w śniegu, mogli go obrabować i zamordować barbarzyńscy Nurystańczycy. - Proszę cię, nie rób tego.

- Gdybym miał inną możliwość, skorzystałbym z niej.

A więc znów go utraci, znów będzie sama. Przygnębiła ją ta myśl. To zadziwiające. Spędziła z nim tylko jedną noc. Czego właściwie oczekiwała? Nie była pewna. W każdym razie czegoś więcej niż to nagłe rozstanie.

- Nie myślałam, że tak szybko znowu cię stracę - powiedziała.

Podążyła Chantal drugą pierś.

Ukląkł przed nią i wziął ją za rękę.

- Nie zastanawiaś się nad sytuacją - powiedział. - Pomyśl tylko. Nie wydaje ci się, że Jean-Pierre będzie chciał cię mieć z powrotem?

Ma rację, pomyślała. Jean-Pierre może się teraz czuć poniżony i upokorzony: jedyną rzeczą, która uleczyłaby jego rany i urażoną ambicję, byłby jej powrót do jego łóżka i pod jego władanie.

- Ale co on ze mną zrobi? - spytała.



- Będzie chciał, żebyście razem z Chantal spędziły resztę życia w jakimś górniczym miasteczku na Syberii, podczas gdy on będzie nadal prowadził działalność szpiegowską w Europie i odwiedzał was co jakieś dwa, trzy lata w przerwach między kolejnymi zadaniami.

- Co by zrobił, gdybym odmówiła?

- Mógłby cię zmusić albo by cię zabił.

Przypomniała sobie, jak Jean-Pierre ją uderzył. Zrobiło jej się niedobrze.

- Czy Rosjanie pomogą mu mnie znaleźć?

- Tak.

- Ale dlaczego? Co ja ich mogę obchodzić?

- Po pierwsze dlatego, że wiele mu zawdzięczają. Po drugie, bo wyobrażają sobie, że możesz uczynić go szczęśliwym. Po trzecie, bo zbyt dużo wiesz. Znasz blisko Jean-Pierre'a, widziałaś także Anatolija. Gdybyś zdołała wrócić do Europy, byłabyś w stanie dostarczyć komputerom CIA wyczerpującego opisu ich obydwu.

A więc to nie koniec rozlewu krwi, pomyślała Jane. Sowieci będą napadali na wioski, przesłuchiwali, bili i torturowali, aby się dowiedzieć, gdzie ona przebywa.

- A ten sowiecki oficer... Anatolij. Widział przecież Chantal. - Na wspomnienie tamtej strasznej chwili przytuliła mocniej córkę. - Myślałam, że ją zabierze. Nie wpadł na to, że gdyby ją wziął, sama przyszedłabym do niego, byleby tylko być z nią?

Ellis pokiwał głową.

- I mnie wydało się to wtedy dziwne. Ale ja jestem dla nich ważniejszy niż ty i sadzę, że postąpił tak, bo najbardziej zależy mu na schwytaniu mnie. A dla ciebie przewidział na razie inną rolę.

- Jaką rolę? Co miałabym według nich zrobić?

- Opóźniać moją ucieczkę.

- Zatrzymując cię tutaj?

- Nie, idąc ze mną.

Ledwie to powiedział, a już wiedziała, że ma rację i że nie da się uniknąć swego przeznaczenia. Musi z nim iść, razem z dzieckiem, nie ma innego wyjścia. Jeżeli zginiemy, to trudno, widocznie tak już musi być, pomyślała.

- Wydaje mi się, że mam większe szansę uciekając z tobą stąd niż potem samotnie z Syberii - powiedziała.

Ellis skinął głową.

- Właśnie.

- A więc zaczynam się pakować - zdecydowała. Nie było czasu do stracenia. -  
Wyruszymy z samego rana.

Ellis potrząsnął głową.

- Chcę stąd zniknąć za godzinę.

Jane wpadła w panikę. Oczywiście, zamierzała stąd wyjechać, ale nie tak nagle, i teraz wydało jej się, że nie ma nawet czasu na myślenie.

Zaczęła miotać się po małej chacie, beładnie wrzucając do torby ubrania, żywność i lekarstwa, przerażona, że zapomni czegoś istotnego, ale zbyt zaaferowana, by pakować się z sensem.

Zdając sobie sprawę z jej nastroju, Ellis objął ją, pocałował w czoło i zapytał spokojnie:

- Czy wiesz, jaka jest najwyższa góra w Wielkiej Brytanii?

Pomyślała, że zwariował.

- Ben Nevis - odparła. - W Szkocji.

- Ile ma wysokości?

- Ponad cztery tysiące stóp.

- Niektóre z przełęczy, na które będziemy się wspinać, znajdują się na wysokości szesnastu, siedemnastu tysięcy stóp, czyli czterokrotnie wyżej niż najwyższy szczyt Wielkiej Brytanii. Chociaż odległość wynosi tylko sto pięćdziesiąt mil, pokonanie jej zajmie nam co najmniej dwa tygodnie. A więc uspokój się, zastanów i pakuj planowo. Jeśli zajmie ci to trochę więcej niż godzinę, to trudno - lepsze to, niż nie wziąć antybiotyków.

Skinęła głową, wzięła głębszy oddech i zaczęła od początku.

Miała dwie torby przytraczone do siodła, które można było również nosić jak plecaki. Do jednej włożyła ubrania: pieluszki Chantal, bieliznę na zmianę dla nich wszystkich, pikowany płaszcz Ellisa z Nowego Jorku i podbite futrem palto z kapturem, które zabrała z Paryża. Do drugiej torby wrzuciła medykamenty i prowiant - żelazne racje awaryjne. Oczywiście, nie było wśród nich ciasteczek Kendal Mint, ale znalazła substytut - miejscowe placuszki robione z suszonej morwy i orzechów włoskich, prawie niejadalne, niemal nie do ugryzienia, ale za to nasycone skoncentrowaną energią. Wzięła też mnóstwo ryżu i bryłę twardego sera. Jako pamiątkę zabrała jedynie kolekcję polaroidowskich fotografii mieszkańców wioski. Wzięli także śpiwory, rondel oraz wojskowy worek Ellisa z materiałami wybuchowymi i detonatorami - ich jedyną bronią. Ellis objuczył wszystkimi bagażami „jednokierunkową” kobyłę Maggie.

Pośpiesznemu pożegnaniu towarzyszyły łzy. Jane została wyściskana przez Zaharę, starą Rabię, a nawet Halimę, żonę Mohammeda. Gorzkim akcentem było pojawienie się Abdullaha, który przed samym ich odjazdem przeparadował obok nich popędzając przed sobą swoją rodzinę i tylko splunął na ziemię. W chwilę później wróciła jednak jego żona - wyglądała na wystraszoną, ale zdecydowaną - i wcisnęła Jane w rękę prezent dla Chantal: prymitywną, szmacianą lalkę z miniaturowym szalem i woalką.

Jane uścisnęła i ucałowała Farę, która była niepokieszona. Dziewczyna miała trzynaście lat: wkrótce będzie mogła obdarować swymi uczuciami męża. Za rok lub dwa wyjdzie za mąż i przeniesie się do domu teściów. Urodzi ośmioro czy dziesięcioro dzieci, z czego połowa dożyje może więcej niż pięciu lat. Jej córki powychodzą za mąż i opuszczają dom, a ci synowie, którzy ujdą z życiem z wojny, pożenią się i sprowadzą swoje żony. W końcu, gdy rodzina za bardzo się rozrośnie, dom zaczną opuszczać synowie i wnuki, by na własną rękę dalej przedłużać ród. Wtedy Fara zostanie akuszerką, jak jej babka Rabia. Mam nadzieję, pomyślała Jane, że zapamięta choć trochę z lekcji, których jej udzieliłam.

Alishan i Shahazi uściskali Ellisa i uciekinierzy ruszyli w drogę żegnani okrzykami „Bóg z wami!”. Dzieciaki z wioski towarzyszyły im do zakrętu rzeki. Jane zatrzymała się tam i obejrzała. Patrzyła przez chwilę na małe skupisko glinianych chat, które przez rok było jej domem. Wiedziała, że nigdy tu nie wróci, ale czuła, że jeżeli przeżyje, będzie opowiadać historię Bandy swoim wnukom.

Szli spiesznie brzegiem rzeki. Jane przyłapała się na tym, że wyteża słuch, aby usłyszeć nadlatujące helikoptery. Kiedy Rosjanie zaczną ich szukać? Czy licząc na szczęśliwy traf wyślą tylko kilka helikopterów, czy też poświęcą więcej czasu na zorganizowanie szeroko zakrojonych poszukiwań? Nie wiedziała, co byłoby lepsze.

W niecałą godzinę dotarli do Dash-i-Rewat, „Równiny z Fortem”, ładnej wioski, której chaty z ocienionymi podwórkami rozrzucone były wzdłuż północnego brzegu rzeki. Tutaj kończył się szlak dla wozów - pełna dziur kręta ścieżka z rodzaju tych, które raz widać, raz nie, w Dolinie Pięciu Lwów uchodząca za drogę. Każdy pojazd kołowy wystarczająco solidny, by przetrzymać jazdę tą drogą, tu musiał się już zatrzymać, wioska robiła więc niezły interes na handlu końmi. Wymieniony w nazwie wioski fort znajdował się w bocznej dolinie i spełniał teraz rolę więzienia, w którym partyzanci trzymali kilku żołnierzy armii rządowej, ze dwóch Rosjan i czasami jakiegoś złodzieja. Jane była tam kiedyś, wezwana do wynędzniałego nomada z zachodniej pustyni, którego siłą wcielono do rządowej armii; zdezerterował, gdy nabawił się zapalenia płuc podczas mroźnej kabałskiej zimy. Przed przyjęciem w szeregi partyzantów musiał przejść „reedukację”.

Było południe, ale żadne z nich nie chciało zatrzymać się na posiłek. Mieli nadzieję dotrzeć przed zmrokiem do Saniz, oddalonego o dziesięć mil stąd w kierunku wylotu Doliny; i chociaż w płaskim terenie dziesięć mil nie było duża odległością, tutaj pokonanie ich mogło zająć wiele godzin.

Ostatni odcinek drogi wił się pomiędzy chatami stojącymi na północnym brzegu rzeki. Południowy brzeg stanowiło wysokie na dwieście stóp urwisko. Ellis prowadził konia, a Jane niosła Chantal we własnoręcznie wykonanym nosidełku, które umożliwiała karmienie małej bez zatrzymywania się. Wioska kończyła się przy młynie wodnym, u wylotu bocznej doliny zwanej Rewat, którą wiodła droga do więzienia. Gdy minęli to miejsce, nie mogli już iść tak szybko. Teren zaczął się wznosić, początkowo łagodnie, potem coraz bardziej stromo. Wspinali się uparcie w gorących promieniach słońca. Jane nakryła sobie głowę swoją *pattu*, brązową derką noszoną tutaj przez wędrowców. Chantal ocieniało nosidełko, a Ellis miał na głowie czapkę chitrali, którą dostał w podarunku od Mohammeda.

Kiedy dotarli do szczytu przełęczy, Jane z satysfakcją stwierdziła, że nawet się zbyt nie zasapała. Nigdy w życiu nie była jeszcze w tak dobrej kondycji i chyba już nie będzie. Ellis natomiast nie tylko dyszał ciężko, ale i pocił się. Był w zasadzie wysportowany, ale nie nawykł jak ona do tak długich pieszych marszów. Przez chwilę poczuła się bardzo z siebie dumna, ale zaraz przypomniała sobie, że nie dalej jak dziewięć dni temu Ellis odniósł dwie rany postrzałowe.

Za przełęczą szlak biegł górskim zboczem, wysoko nad Doliną Pięciu Lwów. Rzeka płynęła tutaj leniwie. W głębszych miejscach i tam, gdzie powierzchnia jej była wygładzona, woda miała jasnozielone zabarwienie - kolor szmaragdów wydobywanych w okolicy Dash-i-Rewat i wywożonych na sprzedaż do Pakistanu. Wyczulone ucho Jane wyłowiło odległy ryk nadlatujących samolotów. Wystraszyła się: tu, na tym nagim szczycie, nie było się nawet gdzie schować. Naszła ją nagle irracjonalna pokusa, aby skoczyć z urwiska do płynącej sto stóp niżej rzeki. Wkrótce okazało się, że to tylko dywizjon odrzutowców lecących zbyt wysoko, aby kogokolwiek na ziemi zauważyć. Mimo to Jane ciągle wypatrywała drzew, krzaków i jam, w których w razie potrzeby mogliby się ukryć. Jakiś wewnętrzny, natrętny głos podpowiadał jej: *Nie musisz się tak poświęcać, w każdej chwili możesz zrezygnować i wrócić do męża*. Wiedziała jednak doskonale, że były to czysto akademickie rozważania.

Ścieżka pięła się wciąż pod górę, lecz już trochę łagodniej, mogli więc przyspieszyć kroku. Co milę lub dwie przegradzały im drogę strumienie, które spływały z bocznych dolin, by w końcu zasilić główną rzekę: szlak zbaczał wtedy do brodu albo kładki. Ellis musiał tam

siłą wciągać oporną Maggie do wody, a Jane pomagała mu w tym pokrzykując i rzucając w szkapę kamieniami.

Przez całą długość wąwozu wysoko ponad rzeką ciągnął się urwiskiem kanał irygacyjny. Jego zadaniem było powiększenie obszaru równiny zdanego pod uprawy. Jane zastanawiało, kiedy w historii Doliny mógł być taki okres, w którym dostatecznie długo panował pokój i dysponowano wystarczającą liczbą ludzi, by zrealizować tak skomplikowany i pełen rozmachu projekt. Prawdopodobnie od tamtej chwili minęły setki lat.

Wąwóz się zwężił i w rzece płynącej jego dnem pojawiało się coraz więcej granitowych głazów. W wapiennych skałach widać było wiele jaskiń. Jane pomyślała od razu, że mogą w razie czego posłużyć za kryjówkę. Krajobraz stał się ponury i Doliną powiał zimny wiatr. Zadygotała pomimo świecącego słońca. Skalisty teren i strome urwiska cieszyły się powodzeniem u ptaków, w których rozpoznała azjatyckie sroki.

Wreszcie wąwóz przeszedł w kolejną równinę. Daleko na wschodzie Jane zobaczyła pasmo wzgórz, a ponad nimi ośnieżone szczyty Nurystanu. O mój Boże, pomyślała, to tam idziemy. Ogarnął ją strach.

Na równinie wyrastało małe skupisko nędznych chat.

- To chyba tu - powiedział Ellis. - Jesteśmy w Saniz.

Wkroczyli na równinę rozglądając się za meczetem lub kamienną chatą dla wędrowców. Kiedy doszli do pierwszego z domów, wyszedł z niego mężczyzna i Jane rozpoznała przystojną twarz Mohammeda. Był równie zaskoczony jak ona. Jej zaskoczenie ustąpiło miejsca przerażeniu na myśl, że będzie musiała powiedzieć mu o śmierci syna.

Ellis dał jej trochę czasu na zebranie myśli pytając Mohammeda w dari:

- Co ty tu robisz?

- Masud tu jest - odparł Mohammed. Jane zorientowała się, że musi się tu znajdować kryjówka partyzantów. - Ale co wy tu robicie? - spytał zaraz.

- Idziemy do Pakistanu.

- Tędy? - jego twarz spoważniała. - Co się stało?

Jane wiedziała, że to ona musi mu powiedzieć, znają się przecież dłużej.

- Przynosimy złe wieści, przyjacielu Mohammedzie. Do Bandy przyszli Rosjanie. Zabili siedmiu mężczyzn... i dziecko... - Domyślił się, co chciała mu powiedzieć. Widząc ból malujący się na jego twarzy, omał się nie rozplakała. - Tym dzieckiem był Mousa - dokończyła.

Mohammed usiłował nie dać poznać po sobie, jakim wstrząsem była dla niego ta wiadomość.

- Jak umarł mój syn? - spytał.

- Ellis go znalazł - powiedziała Jane.

Ellis poszukał w pamięci potrzebnych mu słów narzecza dari i powiedział:

- Zginął... z nożem w ręku, krew na nożu.

Oczy Mohammeda rozszerzyły się.

- Opowiedzcie mi wszystko.

Ponieważ Jane lepiej znała język, wzięła to na siebie.

- Rosjanie przylecieli o świcie - zaczęła. - Szukali mnie i Ellisa. Byliśmy na zboczu, więc nas nie znaleźli. Pobili Alishana, Shahaziego i Abdullaha, ale ich nie zabili. Potem znaleźli jaskinię. Było tam siedmiu rannych mudżahedinów, a z nimi Mousa, który miał przybiec do wioski po pomoc, gdyby któryś z rannych potrzebował jej w nocy. Kiedy Rosjanie odeszli, Ellis poszedł do jaskini. Wszyscy mężczyźni nie żyli i Mousa również...

- Jak? - przerwał jej Mohammed. - Jak go zabito?

Jane popatrzyła na Ellisa.

- Z kałasznikowa - powiedział Ellis używając słowa, które nie wymagało tłumaczenia i wskazując na serce, by pokazać, gdzie trafił pocisk.

- Próbował pewnie bronić rannych - dodała Jane - gdyż na ostrzu jego noża była krew. Mohammed aż pokraśniał z dumy, mimo iż w oczach kręciły mu się łzy.

- Zaatakował ich - dorosłych mężczyzn uzbrojonych w karabiny - rzucił się na nich z nożem! Z nożem, który mu podarował ojciec! Jednoręki chłopiec jest teraz na pewno w niebie wojowników.

Śmierć poniesiona w świętej wojnie była dla muzułmanina największym z możliwych zaszczytów, przypomniało się Jane. Mały Mousa stanie się pewno jakimś pomniejszym świętym. Rada była, że chociaż to będzie pociechą dla Mohammeda, ale jednocześnie nie mogła uwolnić się od gorzkiej refleksji, że tak właśnie ludzie prowadzący wojny uspokajają swoje sumienia - głosząc chwałę poległych.

Ellis, nic nie mówiąc, uściskał uroczyście Mohammeda.

Jane przypomniała sobie nagle o fotografiach. Miała kilka zdjęć Mousy. Afgańczycy uwielbiali fotografie. Mohammed będzie na pewno uradowany mając zdjęcie syna. Otworzyła torbę przytroczoną do grzbietu Maggie, pogrzebała wśród lekarstw i znalazła kartonowe pudło z polaroidowskimi fotografiami. Wyjęła jedno ze zdjęć przedstawiających Mousę i zapięła torbę z powrotem. Wręczyła zdjęcie Mohammedowi.

Nigdy nie widziała tak poruszonego Afgańczyka. Nie mógł wydusić z siebie słowa. Przez moment wyglądało na to, że się rozplacze. Odwrócił się, próbując zapanować nad sobą. Kiedy znowu na nich spojrział, twarz miał już spokojną, ale moką od łez.

- Chodźcie ze mną - powiedział.

Poprowadził ich przez wioskę aż na brzeg rzeki, gdzie przy ognisku siedziało w kucki kilkunastu partyzantów. Mohammed wszedł dumnym krokiem pomiędzy nich i bez wstępów zaczął opowiadać historię śmierci Mousy, gestykulując przy tym i płacząc.

Jane odwróciła się. Zbyt wiele widziała już żaloby.

Rozejrzała się niespokojnie. Gdzie można by uciekać w razie pojawienia się Rosjan? Były tu tylko pole, rzeka i kilka chat. Ale Masud zdawał się uważać to miejsce za bezpieczne. Może wychodził z założenia, że wioska jest zbyt mała, by przyciągnąć uwagę wojska.

Nie miała siły dłużej się tym gryźć. Siadła na ziemi opierając się plecami o drzewo i z rozkoszą dając wytchnienie nogom przystawiła Chantal do piersi. Ellis spętał Maggie i zdjął z niej torby. Koń zaczął się paść na porośniętej bujną trawą nadrzecznej łące. To był długi, okropny dzień, pomyślała Jane. I tak mało spałam zeszłej nocy. Uśmiechnęła się lekko na jej wspomnienie.

Ellis wyjął mapy Jean-Pierre'a i usiadł obok Jane, by je przejrzeć w szybko zapadającym zmroku. Zajrzała mu przez ramię. Zaplanowana przez nich trasa biegła dalej Doliną aż do wioski Comar, gdzie powinni skręcić na południowy wschód, w prowadzącą do Nurystanu boczną dolinę, która również nosiła nazwę Comar. Tak samo nazywała się pierwsza wysoka przełęcz, którą będą musieli pokonać.

- Piętnaście tysięcy stóp - powiedział Ellis wskazując na mapę. - Tu się robi zimno.

Jane wzdrygnęła się.

Kiedy Chantal napiła się do syta, Jane zmieniła jej pieluszkę, a brudną poszła wypłukać do rzeki. Gdy wróciła, Ellis był pogrążony w rozmowie z Masudem. Kucnęła obok nich.

- Podjąłeś dobrą decyzję - mówił Masud. - Musisz wydostać się z Afganistanu z naszym traktatem w kieszeni. Jeśli Rosjanie cię złapią, wszystko stracone.

Ellis przyznał mu rację, a Jane pomyślała: nigdy go takim nie widziałam; traktuje Masuda z takim szacunkiem.

- Podróż ta jest jednak niezwykle trudna - kontynuował Masud. - Na dużej przestrzeni szlak biegnie powyżej linii wiecznych lodów. Czasem w śniegu trudno jest znaleźć właściwą drogę, a jeśli się zgubisz - zginiesz.

Zastanawiała się, do czego to wszystko zmierza. Odnosiła wrażenie, że Masud zwraca się wyłącznie do Ellisa, nie do niej.

- Mogę ci pomóc, ale tak jak ty, chcę ubić interes - mówił dalej Masud.

- Mów, o co chodzi - powiedział Ellis.

- Dam ci Mohammeda za przewodnika, a on przeprowadzi cię przez Nurystan do Pakistanu.

Serce Jane zabiło mocniej. Mohammed jako przewodnik! To mogło całkowicie zmienić przebieg podróży.

- Na czym polega moja rola w tym interesie? - spytał Ellis.

- Pójdiesz sam. Żona doktora i dziecko zostaną tutaj.

Dla Jane stało się jasne, że musi się zgodzić. Szaleństwem było iść tam we dwójkę, do tego bez przewodnika. Prawdopodobnie zginęliby oboje. A tak mogłaby przynajmniej uratować Ellisowi życie.

- Musisz się zgodzić - odezwała się do niego.

Ellis spojrzał na nią z uśmiechem i zwrócił się do Masuda.

- To nie wchodzi w rachubę - powiedział.

Masud wstał wyraźnie urażony i wrócił do swoich ludzi.

- Och, Ellis, czy to było rozsądne? - spytała Jane.

- Nie - odpowiedział. Wziął ją za rękę. - Ale nie pozwolę ci tak łatwo odejść.

Ścisnęła jego dłoń.

- Ja... ja niczego ci nie obiecywałam.

- Wiem. Kiedy wrócimy do cywilizacji, będziesz mogła robić, co ci się podoba, nawet wrócić do Jean-Pierre'a, jeżeli takie będziesz miała życzenie i jeśli zdołasz go odnaleźć. Zostaniesz ze mną tylko przez najbliższe dwa tygodnie, jeśli to wszystko, co mogę uzyskać. Zresztą kto wie, czy pożyjemy tak długo.

Miał rację. Po co martwić się o przyszłość, pomyślała, skoro prawdopodobnie jej przed nami nie ma? Wrócił Masud. Znowu był uśmiechnięty.

- Marny ze mnie negocjator - stwierdził. - Dam wam jednak Mohammeda.



Wystartowali pół godziny przed świtem. Helikoptery unosiły się jeden po drugim z betonowej płyty lotniska i oddalając się poza zasięg światła reflektorów znikwały w ciemnościach nocy. Przyszła kolej na Mi-24 z Jean-Pierre'em i Anatolijem na pokładzie; maszyna wzbiła się w powietrze niczym niezgrabne ptaszysko i dołączyła do formacji. Wkrótce światła bazy lotniczej zniknęły im z oczu i Jean-Pierre z Anatolijem znowu lecieli nad szczytami gór w kierunku Doliny Pięciu Lwów.

Anatolij dokonał cudu. W niespełna dwadzieścia cztery godziny zmontował największą być może w historii wojny afgańskiej operację i objął nad nią dowództwo.

Niemal cały wczorajszy dzień spędził na wydzwanianiu do Moskwy. Musiał pobudzić do działania sennych biurokratów z armii, tłumacząc najpierw swoim zwierzchnikom z KGB, a w końcu całej masie wojskowych bonzów, jak ważne jest schwytanie Ellisa Thalera. Jean-Pierre przysłuchiwał się tym rozmowom nie rozumiejąc ani słowa, ale podziwiając precyzyjną kombinację autorytetu, opanowania i przynaglania w tonie Anatolija.

Formalna zgoda przyszła późnym popołudniem i Anatolij od razu przystąpił do pokonywania trudności, jakich nie brakowało przy wprowadzaniu planu w życie. Żeby uzyskać potrzebną mu liczbę helikopterów, zabiegał o względy, powoływał się na stare długie wdzięczności, słał pogróżki i obietnice od Dżalalabadu do Moskwy. Kiedy generał w Kabulu odmówił mu udostępnienia swoich maszyn bez pisemnego rozkazu, Anatolij zatelefonował do KGB w Moskwie i nakłonił starego przyjaciela, by ten rzucił okiem w tajne akta generała. Następnie zadzwonił do generała i zagroził mu, że utnie dostawę dziecięcej pornografii, sprowadzanej dla niego z Niemiec.

Rosjanie mieli w Afganistanie sześćset helikopterów. O trzeciej nad ranem pięćset z nich stało na płycie lotniska w Bagram do dyspozycji Anatolija.

Ostatnią godzinę Anatolij i Jean-Pierre spędzili nad mapami, wyznaczając trasy poszczególnych helikopterów i wydając stosowne rozkazy oficerom. Dzięki dbałości o szczegóły, jaką przejawiał Anatolij, i znajomości terenu wnoszonej w udziale przez Jean-Pierre'a, instrukcje były precyzyjne.

Chociaż Ellisa i Jane nie było w wiosce wczoraj, kiedy szukający ich Anatolij z Jean-Pierre'em zawitali tam po raz pierwszy, to niemal na pewno dowiedzieli się już o obławie i ukryli w bezpiecznym miejscu. W Bandzie ich nie będzie. Mogli się zatrzymać w meczecie w innej wiosce - wędrowcy często nocowali w meczetach - albo jeśli doszli do wniosku, że

wioski nie są bezpieczne, schronić w którejś z jednoizbowych kamiennych chat dla podróżnych, rozsianych po całej okolicy. Mogli być gdzieś na terenie Doliny lub w którejś z sąsiadujących z nią bocznych dolin.

Anatolij brał pod uwagę wszystkie te możliwości.

Helikoptery wylądają w każdej wiosce w Dolinie i w każdej najmniejszej osadzie w bocznych dolinach. Piloci przelecą nad wszystkimi ścieżkami i szlakami. Żołnierze w sile ponad tysiąca ludzi dostali rozkaz przeszukania każdego budynku, zagładania pod każde większe drzewo i do każdej jaskini. Anatolij nie miał zamiaru wracać znowu z pustymi rękami. Jeszcze dzisiaj znajdą Ellisa i Jane.

Wnętrze Mi-24 było ciasne i urządzone po spartańsku. Całe wyposażenie kabiny pasażerskiej stanowiła przymocowana do kadłuba, naprzeciwko otwartych drzwi, ławka. Siedzieli na niej Jean-Pierre z Anatolijem. Widzieli stamtąd pokład nawigacyjny helikoptera. Fotel pilota wznosił się na mniej więcej dwie stopy ponad poziom podłogi i wchodziło się tam po schodku za oparciem. Wszystkie pieniądze, które władowano w ten typ helikoptera, poszły na uzbrojenie oraz zapewnienie szybkości i zdolności manewrowej. Na komfort nie wydano ani kopiejki.

Jean-Pierre siedział zamyślony w lecącej na północ maszynie. Ellis mienił się jego przyjacielem, a cały czas pracował dla Amerykanów. Wykorzystując tę przyjaźń zepsuł mu plan pojmania Masuda, niweczając tym samym efekty trwających cały rok żmudnych przygotowań. A na koniec uwiódł mi żonę, pomyślał Jean-Pierre.

Jego myśli zataczały kręgi, powracając wciąż do tego uwiedzenia. Patrzył w ciemność obserwując światła innych helikopterów i próbował wyobrazić sobie poczynania dwojga kochanków ostatniej nocy: leżeli pewnie gdzieś pod gołym niebem, pieścili się nawzajem i szeptali sobie czułe słówka. Zastanawiał się, czy Ellis jest dobry w łóżku. Spytał kiedyś Jane, który z nich jest lepszym kochankiem, ale mu odpowiedziała, że żaden, że są po prostu różni. Czy to samo mówiła Ellisowi, czy raczej przymilnie mruzczała: *Jesteś najlepszy, kochanie, najlepszy*. Jean-Pierre zaczynał odczuwać nienawiść także i do niej. Jak mogła wrócić do starszego od niej o dziesięć lat mężczyzny, bezdennie głupiego Amerykanina, a na dodatek szpiega CIA?

Spojrzał na Anatolija. Rosjanin wciąż siedział nieruchomo z kamienną twarzą, niczym statua chińskiego mandaryna. Bardzo mało spał przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, ale nie wyglądał na zmęczonego; biła od niego stanowczość i zdecydowanie. Jean-Pierre poznał go teraz od nowej strony. Podczas ich spotkań w ciągu minionego roku Anatolij sprawiał wrażenie człowieka uprzejmego, sympatycznego i rozluźnionego, teraz był spięty, wyprany z

uczuciu i wymagający zarówno w stosunku do siebie, jak i swoich podwładnych. Wyglądał jak ktoś owładnięty jakąś obsesją.

Rozwidniło się i zobaczyli pozostałe helikoptery. Był to wzbudzający grozę widok: formacja przypominała ogromny rój gigantycznych pszczoł unoszący się nad górami. Ich warkot dla kogoś stojącego na ziemi musiał być ogłuszający.

Dotarłszy do Doliny zaczęli się rozdzielać na mniejsze grupy. Jean-Pierre z Anatolijem znaleźli się w grupie biorącej kurs na Comar, najdalej na północ wysuniętą wieś w Dolinie. Ostatni odcinek drogi pokonywali lecąc wzdłuż rzeki. Szybko wstający świt oświetlił kopczyki pszenicy poustawiane na polach w karnych rzędach. Widać tutaj, w wyższych partiach Doliny, bombardowania nie do końca przerwały prace polowe.

Gdy znizali lot nad Comar, słońce świeciło im prosto w oczy. Wioskę tworzyła grupka chat, uczepionych skalistego stoku wzgórza. Przypomniało to Jean-Pierre'owi wysokogórskie wioski w południowej Francji i poczuł ukłucie tęsknoty za domem. Jak dobrze byłoby wrócić do kraju, usłyszeć znowu ludzi mówiących poprawnie po francusku, jeść świeży chleb i smaczne potrawy albo wsiąść do taksówki i pojechać do kina!

Poprawił się na twardej ławce. Na razie dobrze byłoby wsiąść chociaż z tego helikoptera. Od czasu pobicia cały czas odczuwał mniej lub bardziej dokuczliwy ból. Ale gorsze od bólu było wspomnienie poniżenia, tego, jak krzyczał i płakał błagając o litość. Za każdym razem, gdy to wspominał, wdrygał się z obrzydzenia i miał ochotę zapaść się pod ziemię. Pragnął zemścić się za to. Czuł, że nie zaśnie spokojnie, dopóki nie wyrówna rachunków. A zadośćuczynienie mogło być tylko jedno. Chciał widzieć, jak ci sami brutalni żołnierze w ten sam sposób będą bić Ellisa, dopóki ten nie zacznie szlochać, skamleć i błagać o litość, tyle że z drobną poprawką: Jane będzie na to patrzeć.

\*\*\*

W południe w oczy zajrzało im znowu widmo porażki.

Przeszukali wioskę Comar, okoliczne osady, wszystkie boczne doliny w tym rejonie i po kolei każdą chatę na nieużytkach na północ od wsi. Anatolij cały czas utrzymywał radiowy kontakt z dowódcami pozostałych oddziałów, z równą skrupulatnością przeczesujących całą Dolinę wzdłuż i wszerz. W kilku jaskiniach i domach znaleźli ukrytą broń, doszło do kilku utarczek z małymi grupkami uzbrojonych mężczyzn, prawdopodobnie rebeliantów, zwłaszcza na wzgórzach wokół Saniz, ale potyczki te godne były wzmianki tylko z uwagi na większe od normalnych straty w ludziach po stronie Rosjan, a to dzięki nowo nabytym przez rebeliantów umiejętnościom w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi. Rosjanie zaglądali w twarze

wszystkich zakwefionych kobiet i sprawdzali kolor skóry każdego niemowlęcia, w dalszym ciągu jednak nie mogli natrafić na ślad zbiegów.

Jean-Pierre i Anatolij zakończyli poszukiwania w stadninie koni wśród wzgórz wznoszących się nad Comar. Miejsce to nie miało nazwy - była to garstka kamiennych chat na wypalanej słońcem łące, na której szczypały rzadko rosnącą trawę mizerne kucyki. Jedynym mieszkańcem płci męskiej był tu handlarz koni, bosonogi starzec ubrany w długą koszulę z obszernym kapturem chroniącym przed muchami. Mieszkało tam jeszcze kilka młodych kobiet i gromadka wystraszonych dzieci. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy młodzi mężczyźni to rebelianci, włóczący się gdzieś z Masudem. Przeszukanie osady nie zabrało dużo czasu. Kiedy skończyli, Anatolij usiadł zamyślony na zakurzonej ziemi, opierając się plecami o kamienną ścianę. Jean-Pierre przycupnął obok.

Za wzgórzami widać było biały szczyt Mesmer, góry liczącej sobie niemal dwadzieścia tysięcy stóp wysokości, która dawniej stanowiła wielką atrakcję dla alpinistów z Europy.

- Zorientuj się, czy możemy dostać herbaty - powiedział Anatolij. Jean-Pierre rozejrzał się i zobaczył przyczajonego w pobliżu starca w kapturze.

- Zrób herbaty - krzyknął do niego w dari. Mężczyzna oddalił się truchtem. W chwilę później słychać było, jak krzyczy na kobiety.

- Zaraz będzie herbata - powiedział do Anatolija po francusku. Ludzie Anatolija widząc, że zatrzymują się tutaj na jakiś czas, wyłączyli silniki helikopterów i siedli w kurzu przy maszynach, czekając cierpliwie.

Anatolij patrzył bezmyślnie przed siebie. Na jego płaskiej twarzy malowało się znużenie.

- Źle z nami - mruknął.

Liczba mnoga w ustach Anatolija zabrzmiała Jean-Pierre'owi jakoś złowieszczo.

- W naszym fachu rozsądnie jest minimalizować doniosłość misji, dopóki nie jest się pewnym sukcesu - wtedy z kolei zaczyna się wyolbrzymiać jej wagę - ciągnął Anatolij. - Tym razem nie mogłem postąpić zgodnie z tą zasadą. Aby zorganizować akcje z udziałem setek helikopterów i tysiąca ludzi, musiałem przekonać swoich zwierzchników, jak istotne dla naszej sprawy jest pojmanie Ellisa Thalara. Musiałem im uzmysłowić, jakie grozi nam niebezpieczeństwo, jeśli zdoła zbiec. Powiodło mi się. Gdyby teraz nie udało się go schwytać, tym większa będzie ich wściekłość na mnie. Oczywiście twoja przyszłość jest ściśle związana z moją.

Jean-Pierre'owi nie przyszło to do tej pory do głowy.

- Co zrobią?

- Moja kariera po prostu się skończy. Pensja pozostanie teoretycznie taka sama, ale stracę wszystkie przywileje. Nie będzie więcej whisky, Rive Gauche dla mojej żony, wakacji rodzinnych nad Morzem Czarnym, dzinsów i płyt Rolling Stonesów dla moich dzieci... Ja mogę się bez tego obyć, nie mógłbym tylko znieść nudnej pracy, jaką przydzielają tym przedstawicielom mojego fachu, którym się nie powiodło. Wysłaliby mnie do jakiejś zabitej dechami dziury na Dalekim Wschodzie, gdzie dla kogoś takiego jak ja nie ma nic do roboty. Wiem, jak nasi ludzie spędzają czas i jak udowadniają swoją przydatność w takich miejscach. Trzeba tam wkradać się w łaski ludzi sfrustrowanych i niezadowolonych, starać się zdobyć ich zaufanie, by zaczęli z tobą rozmawiać, zachęcać do czynienia krytycznych uwag pod adresem rządu i Partii, aby wreszcie w końcu aresztować ich pod zarzutem nieprawomyślności. To zwyczajna strata czasu... - urwał, zorientowawszy się, że mówi bez związku.

- A ja? - spytał Jean-Pierre. - Co będzie ze mną?

- Staniesz się nikim - odparł Anatolij. - Nie będziesz już dla nas pracował. Może pozwolą ci zostać w Moskwie, ale najprawdopodobniej odprawią cię.

- Jeśli Ellis umknie, nie będę mógł nigdy wrócić do Francji. Zabiliby mnie.

- Nie popełniłeś we Francji żadnego przestępstwa.

- Mój ojciec też nie, a zabili go.

- Może będziesz mógł pojechać do jakiegoś neutralnego kraju, powiedzmy Nikaragui albo Egiptu.

- Cholera.

- Ale nie traćmy nadziei - powiedział trochę raźniej Anatolij. - Ludzie nie rozptywiają się w powietrzu. Nasi zbiegowie gdzieś tu są.

- Jeśli nie możemy ich znaleźć z tysiącem ludzi, wątpię, byśmy byli w stanie dokonać tego choćby z dziesięcioma tysiącami - stwierdził ponuro Jean-Pierre.

- Obawiam się, że i tego tysiąca możemy wkrótce nie mieć - powiedział Anatolij. - Od tej chwili musimy używać naszych mózgów i minimum środków. Nasz kredyt się wyczerpał. Spróbujmy innego podejścia. Pomyśl: ktoś musiał pomóc im w ukryciu się, a to oznacza, że ktoś wie, gdzie są.

- Jeśli im ktoś pomagał, byli to prawdopodobnie rebelianci, a oni nie będą mówić - zauważył Jean-Pierre.

- Mogą o tym wiedzieć inni.

- Może, ale czy powiedzą?

- Nasi zbiegowie muszą mieć jakichś wrogów.

Jean-Pierre potrząsnął głową.

- Ellis przebywał tu zbyt krótko, by narobić sobie wrogów, a Jane była bohaterką; traktowali ją jak Joannę d'Arc. Wszyscy ją lubili. Ale chwileczkę... - uświadomił sobie nagle, że to nie jest cała prawda.

- Taak?!

- Mułła.

- A jednak.

- Z jakiegoś niewiadomego powodu nie cierpiał jej. Być może dlatego, że jej sposoby leczenia były skuteczniejsze niż jego, ale chyba nie tylko, bo przecież moje też, ale mnie nigdy nie okazywał specjalnej niechęci.

- Prawdopodobnie nazywał ją zachodnią nierządnicą.

- Skąd wiesz?

- To u nich normalne. Gdzie mieszka ten mułła?

- Abdullah mieszka w Bandzie, w domu oddalonym pół mili od wioski.

- Będzie mówił?

- Chyba wystarczająco nienawidzi Jane, aby nam ją wydać - powiedział z namysłem Jean-Pierre. - Ale nikt nie może widzieć, jak z nami rozmawia. Nie możemy tak po prostu wylądować w wiosce i wziąć go na spytki - wszyscy wiedzieliby, co się stało, i mułła nie puściłby pary z ust. Muszę się z nim spotkać potajemnie... - Jean-Pierre spróbował przewidzieć niebezpieczeństwo, w jakie może się wpakować kontynuując tę linię rozumowania. Wtedy przypomniał sobie upokorzenie, którego doznał; zemsta była warta ryzyka. - Gdybyś mnie wysadził w pobliżu wioski, mógłbym się przemknąć do ścieżki prowadzącej ze wsi do jego domu i zaczekać tam w ukryciu, dopóki nie nadejdzie.

- A jeśli nie nadejdzie przez cały dzień?

- No tak...

- Musimy mieć pewność, że będzie tamtędy przechodził - Anatolij zmarszczył czoło. - Spędzimy wszystkich wieśniaków do meczetu, tak jak to zrobiliśmy poprzednio, a po jakimś czasie wypuścimy ich. Abdullah niemal na pewno wróci prosto do domu.

- Ale czy będzie szedł sam?

- Zastanówmy się. Powiedzmy, że najpierw puszczamy kobiety i każemy im wracać do domów. Kiedy w następnej kolejności wypuścimy mężczyzn, na pewno będą chcieli sprawdzić, co z żonami. Czy ktoś jeszcze mieszka w pobliżu Abdullaha?

- Nie.

- A więc powinien zdążyć tą ścieżką sam. Wyjdiesz z za krzaka...

- A on mi poderżnie gardło od ucha do ucha.

- Nosi nóż?

- A czy spotkałeś kiedyś Afgańczyka, który by go nie nosił?

Anatolij wzruszył ramionami.

- Możesz wziąć mój pistolet.

Jean-Pierre, chociaż nie umiał posługiwać się pistoletem, poczuł się mile połączony, a jednocześnie zaskoczony takim przejawem zaufania.

- Może się przydać, jak będę musiał go postraszyć - powiedział podniecony. - Potrzebuję jeszcze tutejszego ubrania na wypadek, gdyby zobaczył mnie ktoś poza Abdullahem. A jeśli natknę się na kogoś, kto mnie zna? Muszę zasłonić twarz chustką czy czymś w tym rodzaju...

- Żaden problem - powiedział Anatolij. Krzyknął coś po rosyjsku i trzech żołnierzy poderwało się na nogi. Rozbiegli się po chatach i po chwili z jednej z nich wyprowadzili starego handlarza koni.

- Możesz wziąć jego rzeczy - powiedział Anatolij.

- Dobrze się składa - ucieszył się Jean-Pierre. - Kaptur zasłoni mi twarz. Ściągaj ubranie - wrzasnął na starego przechodząc na dani.

Mężczyzna zaczął protestować - nagość była dla Afgańczyka straszliwą hańbą. Anatolij krzyknął coś po rosyjsku do żołnierzy, a ci powalili starca na ziemię i ściągnęli z niego koszulę. Rozrechotali się głośno na widok jego patyczkowatych nóg wystających z obszarpanych, dziurawych gaci. Gdy go puścili, rzucił się do ucieczki przykrywając jedną ręką genitalia, co wzbudziło nowe salwy śmiechu.

Jean-Pierre był zbyt zdenerwowany, by dostrzegać w tym coś zabawnego. Ściągnął swoją europejską koszulę i spodnie i wdział koszulę z kapturem.

- Śmierdzisz końskimi szczynami - stwierdził Anatolij.

- Od środka jeszcze gorzej zajeżdża - odparł Jean-Pierre.

Wdrapali się do helikoptera. Anatolij wziął słuchawki pilota i długo mówił coś po rosyjsku do mikrofonu. Jean-Pierre był podenerwowany czekającym go zadaniem. Przypuśćmy, że do wioski zawitają z gór partyzanci i przydybią go, kiedy będzie groził Abdullahowi pistoletem? W Dolinie zna go dosłownie każdy. Wieść o tym, że odwiedził Bandę w towarzystwie Rosjan, na pewno szybko się rozniesie. Bez wątpienia większość ludzi już wie, że jest szpiegiem. Jest teraz pewnie wrogiem publicznym numer jeden. Mogą go rozerwać na kawałki.

A może przedobrzamy? Może powinniśmy zwyczajnie wylądować, złapać Abdullaha i biciem wymusić z niego prawdę?

Nie, próbowaliśmy już tego wczoraj i nic nie osiągnęliśmy. To jedyny sposób.

Anatolij oddał słuchawki pilotowi, który zajął tymczasem swoje miejsce i rozgrzewał silnik helikoptera. Anatolij wyjął pistolet i pokazał go Jean-Pierre'owi.

- To jest dziewięćmilimetrowy makarow - powiedział przekrzykując hałas wirników. Nacisnął zatrzask u dołu rękojeści i wyciągnął magazynek. Zawierał osiem pocisków. Wepchnął magazynek z powrotem i wskazał na inny zatrzask, znajdujący się po lewej stronie rękojeści.

- To bezpiecznik. Kiedy czerwony punkt jest niewidoczny, bezpiecznik znajduje się w pozycji „zabezpieczenia”. - Trzymając broń w lewej ręce, prawą odciągnął suwadło nad rękojeścią. - Tak repetuje się pistolet. Żeby ponownie zarepetować go po oddaniu strzału, musisz przytrzymać chwilę spust w położeniu wciśniętym. - Podał broń Jean-Pierre'owi.

On mi naprawdę ufa, pomyślał Jean-Pierre z satysfakcją, która przytłumiła na chwilę targające nim wątpliwości.

Helikoptery wystartowały. Lecieli nad Rzeką Pięciu Lwów na południowy zachód, zapuszczając się coraz dalej w głąb Doliny. Jean-Pierre'owi przeszło przez myśl, że tworzą z Anatolijem dobrany zespół. Anatolij przypominał mu ojca: mądry, stanowczy, odważny mężczyzna, całym sercem zaangażowany w budowę światowego komunizmu. Jeśli nam się powiedzie, pomyślał, prawdopodobnie znowu będziemy mogli pracować razem. Ta myśl bardzo go podbudowała.

Nad Dash-i-Rewat, gdzie Dolina zaczynała się obniżać, helikopter skręcił na południowy wschód i poleciał w górę strumienia Rewat, w stronę wzgórz, aby zbliżyć się do Bandy niepostrzeżenie, pod osłoną góry.

Anatolij ponownie wziął od pilota słuchawki, a po chwili podszedł do Jean-Pierre'a i krzyknął mu do ucha:

- Wszyscy są już w meczecie. Ile zajmie żonie mułły droga do domu?

- Pięć do dziesięciu minut.

- Gdzie cię wysadzić?

Jean-Pierre zastanowił się.

- Wszyscy wieśniacy są w meczecie, tak?

- Tak.

- Sprawdzili jaskinie?

Anatolij podszedł znowu do radia i zapytał.



- Sprawdzili - powiedział wracając do Jean-Pierre'a.

- W porządku. Tu mnie wysadź.

- Ile czasu potrzebujesz na dotarcie do miejsca, w którym chcesz się zaciąć?

- Daj mi dziesięć minut, potem wypuść kobiety i dzieci, a mężczyźni dziesięć minut po nich.

- Załatwione.

Helikopter opuścił się w cień góry. Było późne popołudnie, ale do zmierzchu pozostało jeszcze około godziny. Wylądowali za granią, kilka jardów od jaskiń.

- Nie wychodź na razie, sprawdzimy jeszcze raz jaskinie - powiedział do Jean-Pierre'a Anatolij.

Przez otwarte drzwi Jean-Pierre zobaczył, że nie opodal ląduje inny Hind. Wskoczyło z niego sześciu ludzi. Wbiegli na grani.

- Jak wam potem zasygnalizować, żebyście po mnie wylądowali? - spytał Jean-Pierre.

- Będziemy czekać tu na ciebie.

- A jeśli przed moim powrotem przyplączą się tu jacyś wieśniacy?

- Zlikwidujemy ich.

To była jeszcze jedna cecha wspólna dla Anatolija i ojca Jean-Pierre: bezwzględność.

Grupa rozpoznawcza wróciła zza grani i jeden z żołnierzy zamachał ręką na znak, że teren jest czysty.

- No idź - powiedział Anatolij.

Jean-Pierre odsunął drzwi i ściskając w dłoni pistolet wyskoczył z helikoptera. Przebiegł szybko ze schyloną głową pod wirującymi łopatkami. Dotarłszy do grani obejrzał się - oba helikoptery czekały.

Przebiegł znajomą polankę przed dawnym jaskiniowym lazaretem i popatrzył w dół na wioskę. Widział stąd dziedziniec meczetu, ale nie był w stanie rozpoznać żadnej ze znajdujących się na nim postaci. Istniała jednak możliwość, że któraś z nich spojrzy w nieodpowiednim momencie w górę i zobaczy go - mogli mieć lepszy wzrok - naciągnął więc na głowę kaptur i zakrył nim twarz.

W miarę oddalania się od gwarantujących bezpieczeństwo sowieckich helikopterów serce biło mu coraz mocniej. Zbiegł ze wzgórza, mijając dom muły. Mimo wszechobecnego szumu rzeki i odległego warkotu helikopterowych wirników, Dolina wydawała się dziwnie cicha i spokojna. Uświadomił sobie, że to przez brak głosów dzieci.

Minął zakręt i stwierdził, że nie jest już widoczny z domu mułły. Obok ścieżki rosły kępy wielbłądziej trawy i krzaki jałowca. Wbiegł za nie i przykucnął. Był dobrze ukryty, a jednocześnie miał dobry widok na ścieżkę. Teraz pozostawało tylko czekać.

Zaczął sobie układać w głowie, co powie Abdullahowi. Mułła histerycznie nienawidził kobiet - to właśnie będzie można wykorzystać.

Po wrzawie piskliwych głosów, jaka rozpętała się raptem w położonej niżej wiosce, zorientował się, że Anatolij kazał właśnie wypuścić z meczetu kobiety i dzieci. Mieszkańcy wioski będą się zastanawiali, czemu to wszystko ma służyć, ale pewnie zrzucą to w końcu na karb bezsensu, kierującego notorycznie działaniami wszystkich armii świata.

Po kilku minutach na ścieżce pojawiła się żona mułły z dzieckiem na ręku, prowadząca za sobą trójkę starszych pędraków. Poczul nieprzyjemne napięcie - czy aby na pewno go tu nie widać? Czy dzieci nie zbiegną ze ścieżki w krzaki, w których się przyczaił? Byłoby strasznie głupio, gdyby nakryły go dzieciaki. Przypomniawszy sobie o pistolecie, który ścisnął w dłoni. Czy potrafiłbym zastrzelić dziecko? - zadał sobie pytanie.

Przeszli obok i zniknęli za zakrętem, zmierzając w stronę domu.

Wkrótce potem z pola pszenicy zaczęły startować sowieckie helikoptery. Znaczyło to, że wypuszczono mężczyzn. Zgodnie z jego przewidywaniami na ścieżce pojawił się Abdullah - wspinająca się z posapywaniem pod górę baryłkowata postać w turbanie i angielskiej marynarce w prążki. Jean-Pierre pomyślał, że między Europą a Wschodem musi kwitnąć wielki handel używaną odzieżą, ponieważ mnóstwo tubylców nosi szyte niewątpliwie w Paryżu bądź w Londynie części garderoby, których pozbyli się pierwotni właściciele, bo chociaż daleko im jeszcze było do zupełnego znoszenia, wyszły już pewnie z mody. I pomyśleć tylko, przyszło do głowy Jean-Pierre'owi obserwującemu zbliżającą się doń komiczną postać, że w rękach tego pajaca w marynarce maklera giełdowego spoczywa klucz do mojej przyszłości. Wstał i wyszedł z krzaków.

Mułła wzdrygnął się zaskoczony i krzyknął z przestachu. Spojrzał na Jean-Pierre'a i poznał go.

- To ty?! - wydusił z siebie w narzeczu dari. Jego ręka powędrowała za pasek. Jean-Pierre pokazał mu pistolet. Abdullah spotulniał.

- Nie bój się - powiedział Jean-Pierre w dari. Drzenie w jego głosie zdradzało, że jest zdenerwowany, uczynił więc wysiłek, by nad nim zapanować. - Nikt nie wie, że tu jestem. Twoja żona przeszła z dziećmi nie zauważając mnie. Nic im nie grozi.

Abdullah spojrzawszy na niego podejrzliwie.

- Czego chcesz?

- Moja żona jest cudzołożnicą - powiedział Jean-Pierre i chociaż z pełnym wyrachowaniem wykorzystywał nieprzychylnie nastawienie mułły do Jane, jego wściekłość nie była jednak całkiem udawana. - Zabrała moje dziecko i opuściła mnie. Poszła się kurwić z tym Amerykaninem.

- Wiem - mruknął mułła i Jean-Pierre zauważył, że mężczyzna zaczyna wzbierać świętym oburzeniem.

- Szukam jej, aby sprowadzić z powrotem i ukarać.

Abdullah pokiwał z entuzjazmem głową, a w jego oczach pojawił się błysk nienawiści. Podobał mu się zamysł ukarania cudzołożnicy.

- Ale ta niegodziwa para ukryła się - kontynuował Jean-Pierre wolno i rozważnie. Teraz liczył się każdy niuans. - Jesteś sługą bożym. Powiedz mi, gdzie oni są. Nikt się nigdy nie dowie, jak wpadłem na ich trop. Będziemy to wiedzieć tylko ty, ja i Bóg.

- Odeszli - Abdullah splunął i ślina pociekła mu po ufarbowanej na czerwono brodzie.

- Dokąd? - Jean-Pierre wstrzymał oddech.

- Opuścili Dolinę.

- Ale dokąd poszli?

- Do Pakistanu.

Do Pakistanu! Co ten stary dureń wygaduje?

- Przecież wszystkie szlaki są odcięte! - wrzasnął z irytacją Jean-Pierre.

- Oprócz Szlaku Maślanego.

- *Mon Dieu* - szepnął Jean-Pierre w swym rodzinnym języku. - Szlak Maślany. - Poczuł podziw dla odwagi Ellisa i Jane, a jednocześnie gorzkie rozczarowanie, gdyż w tej sytuacji odnalezienie ich stawało się niemożliwe. - Wzięli ze sobą dziecko?

- Tak.

- A więc nigdy nie zobaczę już córki.

- Zginą w Nurystanie - pocieszył go Abdullah z nie ukrywaną satysfakcją. - Kobieta z Zachodu z dzieckiem nie przeżyje na tych wysokich przełęczach, a Amerykanin zginie próbując ją ratować. Tak Bóg karze tych, którzy umknęli ludzkiemu wymiarowi sprawiedliwości.

Jean-Pierre uświadomił sobie, że powinien jak najszybciej wrócić do helikoptera.

- Wracaj teraz do domu - powiedział do Abdullaha.

- Traktat przepadnie wraz z nimi, bo Ellis ma go ze sobą - dorzucił Abdullah. - To nawet dobrze, bo chociaż potrzebujemy amerykańskiej broni, jednak niebezpiecznie jest zadawać się z niewiernymi.

- Idź! - burknął Jean-Pierre. - Jeśli nie chcesz, żeby zobaczyła mnie twoja rodzina, zatrzymaj ich przez kilka minut w chacie.

Abdullah miał przez chwilę taką minę, jakby oburzyło go, że ktoś śmie wydawać mu rozkazy, ale doszedł zapewne do wniosku, że stoi nie po tej stronie pistoletu, aby pozwolić sobie na protesty i oddalił się spiesźnie.

Czy zbiegowie rzeczywiście zginą w Nurystanie, jak z taką satysfakcją przepowiadał Abdullah?, zastanowił się Jean-Pierre. Nie o to mu chodziło. Nie zaspokoiłoby to ani jego żądzy zemsty, ani nie przyniosłoby mu satysfakcji. Chciał odzyskać córkę. Pragnął Jane żywej, zdanej na jego łaskę i niełaskę. Chciał, by Ellis cierpiał ból i poniżenie.

Począł, aż Abdullah dotrze do domu, po czym naciągnął kaptur na twarz i zawiedziony ruszył pod górę. Mijając chatę muły odwrócił głowę na wypadek, gdyby wyrzało stamtąd któreś z dzieci.

Anatolij czekał na niego na polance przed jaskiniami. Wyciągnął rękę po broń.

- No i? - spytał.

Jean-Pierre oddał pistolet.

- Wymknęli się nam - powiedział. - Opuścili Dolinę.

- Nie mogą nam się wymknąć - warknął ze złością Anatolij. - Dokąd poszli?

- Do Nurystanu - Jean-Pierre wskazał w kierunku helikopterów - Czy nie czas na nas?

- W helikopterze nie można rozmawiać.

- A jeśli nadejdą wieśniacy...

- Do diabła z wieśniakami! Przestań wreszcie trząść portkami! Co oni robią w Nurystanie?

- Przedzierają się do Pakistanu trasą zwaną Maślanym Szlakiem.

- Skoro wiemy, którą idą, możemy ich odnaleźć.

- Nie sądzę. Szlak jest jeden, ale ma liczne warianty.

- Sprawdzimy z powietrza wszystkie.

- Nie da się lecieć nad tymi ścieżkami. Ciężko będzie także iść nimi bez tutejszego przewodnika.

- Mamy mapy...

- Jakie mapy? - spytał Jean-Pierre. - Te, które u ciebie widziałem, nie są wcale lepsze od moich amerykańskich, a i na nich, choć to najlepsze z istniejących, nie ma tego szlaku i niektórych przełęczy. Nie wiesz, że są na świecie rejony nie zbadane jeszcze przez kartografów? Znajdujesz się właśnie w jednym z nich!

- Wiem, pracuję w wywiadzie, zapomniałeś? - Anatolij zniżył głos. - Zbyt łatwo się zniechęcasz, przyjacielu. Pomyśl. Skoro Ellis zdołał znaleźć przewodnika, to i ja mogę to zrobić.

Czy to możliwe, pomyślał Jean-Pierre, a głośno powiedział:

- Ale nie wiadomo, którą z tras wybrali.

- Przypuśćmy, że jest ich w sumie dziesięć. Potrzebujemy więc dziesięciu przewodników, którzy poprowadzą dziesięć grup pościgowych.

Entuzjazm Jean-Pierre'a wzrósł gwałtownie, gdy dotarło doń, że może jeszcze odzyskać Chantal i Jane oraz zobaczyć pojmanego Ellisa.

- Może nie będzie tak źle - powiedział z nowym zapałem. - Po drodze możemy zasięgać języka. Po opuszczeniu tej przekłetej Doliny na pewno natkniemy się na ludzi bardziej skorych do rozmowy. Nurystańczycy nie są tak zaangażowani w tę wojnę.

- No - rzucił Anatolij - ściemnia się. Mamy sporo roboty na tę noc. Wyruszmy z samego rana. Idziemy.

## ROZDZIAŁ 17

Jane obudziła się wystraszona. Nie wiedziała, gdzie i z kim jest i czy nie znajduje się czasem w rękach Rosjan. Przez sekundę wpatrywała się w sufit lepianki zastanawiając się, czy to aby nie więzienie. Serce waliło jej jak młotem. Potem usiadła gwałtownie, zobaczyła Ellisa śpiącego z otwartymi ustami w śpiworze i wszystko sobie przypomniała: to już nie Dolina. Uciekliśmy. Rosjanie nie wiedzą, gdzie jesteśmy, i nie mogą nas znaleźć.

Położyła się z powrotem i czekała, aż rytm serca powróci do normy.

Nie podążali trasą, którą Ellis zaplanował początkowo. Zamiast iść na północ do Comar, a później na wschód doliną Comar do Nurystanu, zawrócili z Saniz na południe i skręcili na wschód w dolinę Aryu. Trasę tę zasugerował Mohammed twierdząc, że wyprowadzi ich dużo szybciej z Doliny Pięciu Lwów i Ellis się zgodził.

Wyruszyli przed świtem i przez cały dzień maszerowali pod górę. Ellis z Jane nieśli na zmianę Chantal, a Mohammed prowadził Maggie. W poradnie zatrzymali się w składającej się z kilku nędznych lepianek wiosce Aryu i kupili chleb od podejrzliwego starca z ujadającym psem. Wioska Aryu była ostatnim słupem granicznym cywilizacji. Dalej na przestrzeni wielu mil nie było już nic oprócz usianej głazami rzeki i niebotycznych nagich gór w kolorze kości słoniowej po obu stronach, i tak aż do późnego popołudnia, kiedy to znużeni dotarli do tego miejsca.

Jane znowu usiadła. Chantal leżała obok oddychając miarowo i promieniując ciepłym niczym termofor. Ellis zagrzebał się we własnym śpiworze. Mogli połączyć dwa w jeden, ale Jane obawiała się, by Ellis nie przygniótł w nocy Chantal, położyli się więc osobno i zadowolili swoją bliskością, dotykając się nawzajem raz po raz. Mohammed spał w sąsiedniej izbie.

Jane wstała ostrożnie, starając się nie obudzić małej. Naciągnęła majtki i kiedy zaczęła zakładać spodnie, poczuła ból w mięśniach pleców i nóg. Przyzwyczajona była do marszów, ale nie do całodziennych wspinaczek bez chwili wytchnienia i do tego w tak trudnym terenie.

Wzwała buty i nie zawiązując sznurowadeł wyszła przed chatę. Zimne, jaskrawe górskie światło zmusiło ją do przymrużenia oczu. Stała na wysokogórskiej hali - rozległej zielonej łące, przez którą wił się strumień. Z jednego krańca łąki wynosiły się strome góry, a do ich podnóża tuliły się kamienne chaty i zagrody dla bydła. Domy stały puste, nie było też zwierząt. Znajdowało się tu letnie pastwisko i stada krów odeszły do swoich zimowych

zagród. W Dolinie Pięciu Lwów wciąż jeszcze trwało lato, ale na tej wysokości jesień przychodziła już we wrześniu.

Jane pobiegła do strumienia. Płynął dostatecznie daleko od kamiennych chat, aby mogła zdjąć ubranie bez obawy, że zgorszy Mohammeda. Wbiegła do strumienia i zanurzyła się szybko. Woda była paraliżująco zimna. Wskoczyła natychmiast na brzeg szczękając zębami.

- Diabli nadali - wymamrotała na głos. Postanowiła, że nie będzie się myć, dopóki nie powrócą do cywilizacji.

Włożyła ubranie - mieli tylko jeden ręcznik zarezerwowany dla Chantal - i pobiegła z powrotem do chaty podnosząc po drodze z ziemi kilka patyków. Położyła je na resztkach wczorajszego ogniska i dmuchała tak długo, aż patyki zajęły się od drzemiącego w zgliszczach żaru. Wyciągnęła zmarznięte ręce i trzymała je nad płomieniem, dopóki nie poczuła, że jest jej ciepłej.

Wstawiła garnek z wodą na kąpiel dla Chantal. Kiedy czekała, aż się zagrzeje, obudzili się kolejno pozostali. Najpierw Mohammed, który poszedł się zaraz umyć, później Ellis, skarżąc się, że cały jest obolały, a na końcu Chantal, której wystarczyło dać jeść, by ją zadowolić.

Jane znajdowała się w stanie dziwnej euforii. Powinam się niepokoić, i pomyślała, zapuszczając się z dwumiesięcznym dzieckiem w ten dziki zakątek świata. Ale nie wiadomo dlaczego nad wszystkimi jej ewentualnymi obawami dominowało uczucie szczęścia. Co mnie tak uszczęśliwia? - zadała sobie pytanie i odpowiedź nasunęła się sama: bo jestem z Ellisem.

Chantal także wydawała się szczęśliwa, jakby wysysała ten stan ducha z mlekiem matki. Ostatniego wieczoru nie zdołali kupić nic do jedzenia, ponieważ pasterze była odeszli i nie było od kogo kupować. Mieli jednak w zapasach prowiantu trochę soli i ryżu, który ugotowali - nie bez trudności, bo na tej wysokości na zagotowanie się wody można czekać w nieskończoność. Na śniadanie została reszta zimnego ryżu. To trochę ostudziło euforię Jane.

Jadła, karmiąc jednocześnie Chantal. Później umyła i przewinęła małą. Zapasowa pielucha uprana wczoraj w strumieniu wyschła przez noc nad ogniem. Podłożyła ją Chantal, a z zasiusianą poszła nad strumień. Liczyła na to, że wiatr i ciepło końskiego ciała wysuszą ją w drodze. Co by powiedziała mama dowiedziawszy się, że jej wnuczka leży cały dzień w jednej pieluszce? Byłaby przerażona. Nieważne...

Ellis z Mohammedem objuczyli kobyłę i siłą ustawili ją we właściwym kierunku. Dzisiaj będzie gorzej niż wczoraj. Mają przeciąć pasmo górskie, które od stuleci z niniejszym lub większym skutkiem izoluje Nurystan od reszty świata. Będą się wspinać ku znajdującej

się na wysokości czternastu tysięcy stóp przełęczy Aryu. Przez większość drogi będą musieli brnąć przez śnieg i lód. Spodziewali się dotrzeć jeszcze dzisiaj do wioski Linar w Nurystanie. W prostej linii to zaledwie dziesięć mil, ale będzie dobrze, jeśli dowloką się tam późnym popołudniem.

Gdy ruszali w drogę, słońce przygrzewało już silniej niż rano, ale powietrze nadal było zimne. Jane założyła grube skarpety i rękawice z jednym palcem, a pod podbite futrem palto wdziała sweter. Chantal niosła w nosidełku między paltem a swetrem, rozpiąwszy górne guziki, aby mała miała czym oddychać.

Opuścili łąkę i ruszyli w górę rzeki Aryu. Krajobraz momentalnie stał się znowu surowy i wrogi. Zimne urwiska pozbawione były jakiegokolwiek roślinności. W pewnej chwili Jane dostrzegła w oddali obozowisko nomadów - kilka namiotów rozbitych na nagim stoku. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że w Dolinie są oprócz nich jeszcze jacyś ludzie, czy też raczej się ich obawiać. Jediną inną żywą istotą, jaką zauważyła, był sęp brodaty, szybujący w ostrych podmuchach wiatru.

Nie było tu żadnej wyraźnie wytyczonej ścieżki. Jane cieszyła się niezmiernie, że jest z nimi Mohammed. Z początku podążali brzegiem rzeki, ale kiedy ta się zwężyła i w końcu znikła pod ziemią, prowadził ich dalej z taką samą pewnością. Spytała go, skąd zna drogę, i wyjaśnił jej, że szlak wytyczają usypane co kawałek kupki kamieni. Nie zauważyła ich, dopóki jej nie pokazał.

Wkrótce stąpali już po gruncie pokrytym cienką warstwą śniegu i Jane, pomimo grubych skarpet i butów, zaczęły marznąć stopy.

Zdumiewające, że Chantal prawie się nie budziła. Co kilka godzin zatrzymywali się na parę minut odpoczynku i Jane wykorzystywała te okazje, by nakarmić małą, krzywiąc się z zimna przy wystawianiu na mróz wrażliwej piersi. Podzieliła się z Ellisem spostrzeżeniem, że według niej Chantal nadzwyczaj dobrze znosi trudy podróży.

- To wprost niewiarygodne. Niewiarygodne - przyznał.

W południe, w miejscu, skąd roztaczał się widok na przełęcz Aryu, zatrzymali się na upragniony półgodzinny odpoczynek. Jane była już zmęczona i bolały ją plecy. Do tego straszliwie zgłodniała. Łapczywie pochłaniała morwowo-orzechowe placuszki, które stanowiły cały ich lunch.

Podejście do przełęczy nie wyglądało zachęcająco. Przyglądając się stromemu stokowi, Jane zaczęła mieć poważne wątpliwości. Chyba posiedzę tu trochę dłużej, przeleciało jej przez myśl. Było jednak zimno i zaczęła dygotać. Ellis zauważył to i wstał.



- Chodźmy, zanim przymarzniemy do tych kamieni - powiedział wesoło, a Jane pomyślała: patrzcie go, jaki rozkoszny.

Wysiłkiem woli zmusiła się, by wstać.

- Daj, poniosę Chantal - zaproponował Ellis.

Z wdzięcznością oddała mu dziecko. Mohammed ruszył przodem prowadząc za uzdę Maggie. Jane powlokła się niechętnie za nim. Ellis zamykał pochód.

Stok był stromy, a pokryte śniegiem podłoże śliskie. Po kilku minutach Jane była bardziej zmęczona niż przed zatrzymaniem się na odpoczynek. Kiedy tak szła potykając się i sapiąc, przypomniało jej się, jak mówiła Ellisowi: *Chyba mam większe szansę ucieczki z tobą stąd, niż potem samotnie z Syberii.* Może nie dam rady i tutaj, pomyślała teraz. Nie zdawałam sobie sprawy, że będzie aż tak źle. Ale zaraz przywołała się do porządku. Oczywiście, że zdawałaś sobie sprawę, przyznała w duchu, i wiesz, że aby było lepiej, najpierw musi być gorzej. Przestań wreszcie biadolić, ty patetyczna idiotko. W tym momencie poślizgnęła się na obludzonym kamieniu i zatoczyła. Ellis idący tuż za nią złapał ją za ramię i podtrzymał, chroniąc przed upadkiem. Uświadomiła sobie, że uważał na nią przez cały czas i poczuła przypływ miłości do tego człowieka. Jean-Pierre nigdy by się tak o nią nie troszczył. Szedłby przodem wychodząc z założenia, że jeśli będzie potrzebowała pomocy, sama o nią poprosi: gdyby miała mu to za złe, spytałby, czy w końcu chce, by ją traktować na równi z mężczyznami, czy nie.

Zbliżali się do szczytu. Jane pochyliła się w przód, żeby skompensować pochyłość, i powtarzała sobie w duchu: jeszcze kawałek, jeszcze kawałek. Kręciło jej się w głowie. Idąca przed nią Maggie poślizgnęła się na obluzowanych kamieniach i ostatnie kilka stóp podbiegła wierzgając i pociągając za sobą Mohammeda. Jane brnęła za nią ostatkiem sił, licząc kroki, w końcu postawiła nogę na płaskim terenie. Zatrzymała się. Świat wirował jej przed oczami. Otoczyło ją ramię Ellisa. Zamknęła oczy i wsparła się na nim.

- Stąd będzie cały dzień marszu z górki - powiedział.

Otworzyła oczy. Nigdy nie widziała tak surowego krajobrazu: nic tylko śnieg, wiatr i skały - wszędzie i zawsze.

- Co za straszne pustkowio - szepnęła.

Przez chwilę patrzyli na roztaczający się przed nimi widok.

- Musimy ruszać dalej - powiedział w końcu Ellis.

Ruszyli. Droga w dół była bardziej stroma. Mohammed, który podczas wspinaczki cały czas ciągnął Maggie za uzdę, teraz czepiał się jej ogona spełniając rolę hamulca i pilnując, by kobyła nie zsunęła się bezwładnie po śliskim stoku. Pośród bełzadu luźnych,

przysypanych śniegiem skał trudno było wypatrzeć kopczyki kamieni, ale Mohammed szedł bez wahania naprzód. Jane przyszło na myśl, że powinna wziąć Chantal od Ellisa, aby trochę odetchnął, ale wiedziała, że nie da rady jej nieść.

Schodzili coraz niżej i pokrywa śnieżna stopniowo stawała się coraz cieńsza, aż w końcu znikła zupełnie odsłaniając szlak. Jane słyszała od jakiegoś czasu dziwne pogwizdywania i wreszcie wykrzesła z siebie tyle energii, by zapytać Mohammeda, co to jest. Odpowiedział słowem z narzecza dari, którego nie znała. On z kolei nie znał jego francuskiego odpowiednika. Wreszcie pokazał jej małe wiewiórkowate zwierzątko, przebiegające im drogę - był to świstak. Później zobaczyła ich jeszcze kilka i zastanowiło ją, czym się tu odżywiają.

Wkrótce podążali już z biegiem małego strumienia i monotonię ciągnących się bez końca szarobiałych skał zaczęły ożywiać kępki rachitycznej trawy oraz niskie krzaki porastające brzegi. W wąwozie hulał wciąż jednak wiatr, przenikając ubranie Jane tysiącem lodowatych igiełek.

Tak jak przedtem wspinaczka stawała się z każdą chwilą trudniejsza, tak teraz schodzenie szło coraz to łatwiej; ścieżka wygładzała się stopniowo, powietrze stawało się cieplejsze, a krajobraz miłszy dla oka. Jane w dalszym ciągu była skrajnie wyczerpana, ale nie czuła się już załamana i przygnębiona. Po przejściu kilku mil dotarli do pierwszej wioski Nurystanu. Tutejsi mężczyźni nosili grube swetry bez rękawów w krzykliwe białe-czarne wzory i mówili własnym językiem, który Mohammed ledwie rozumiał. Udało mu się jednak kupić od nich chleb za trochę afgańskich pieniędzy Ellisa.

Jane miała wielką chęć poprosić Ellisa, aby zostali tutaj na noc, bo czuła się straszliwie skonana, ale do zmierzchu pozostało jeszcze kilka godzin i postanowili, że spróbują dotrzeć do Linar jeszcze dziś. Ugryzła się w język i przymusiła obolałe nogi do marszu.

Ku jej niezmiernej uldze okazało się, że przez ostatnie cztery mile z kawałkiem szło się łatwiej i dotarli do celu dobrze przed zmrokiem. Usiadła pod ogromnym drzewem morwowym i dłuższą chwilę siedziała w bezruchu. Mohammed rozpałił ognisko i zabrał się do przyrządzania herbaty.

Nie wiadomo w jaki sposób po wsi rozniosła się wieść, że Jane jest pielęgniarką z Zachodu, i po jakimś czasie, kiedy karmiła i przewijała Chantal, w przyzwoitej odległości ustawiła się mała grupka oczekujących pacjentów. Zebrała siły i przebadła ich. Stwierdziła jak zwykle infekcje ran, pasożyty jelit i dolegliwości oskrzeli, ale zauważyła, że dzieci są tu

trochę lepiej odżywione niż w Dolinie Pięciu Lwów, prawdopodobnie dlatego, iż w tym dzikim zakątku wojna nie poczyniła tak wielkich spustoszeń.

W zamian za tę zaimprovizowaną pomoc medyczną Mohammed otrzymał kurczaka, którego ugotował zaraz w swoim rondlu. Jane wolałaby iść spać, ale zmusiła się, by poczekać na posiłek i pochłonęła go żarłocznie. Kurczak był łykowaty i bez smaku, ale nigdy jeszcze nie była tak głodna.

Jane z Ellisem dostali izbę w jednej z wiejskich chat. Był tam dla nich materac i drewniana kołyska dla Chantal. Spięli ze sobą śpiwory i kochali się z leniwą czułością. Jane rozkoszowała się ciepłem i pozycją leżącą niemal tak jak seksem. Ellis zasnął potem natychmiast, a ona leżała jeszcze kilka minut z otwartymi oczyma. Teraz, gdy się odprężyła, mięśnie sprawiały wrażenie jeszcze bardziej obolałych. Rozmyślała o leżeniu w prawdziwym łóżku w zwyczajnej sypialni, do której poprzez zasłony przenika blask ulicznych świateł, a z zewnątrz dociera trzask drzwiczek samochodów, o ubikacji ze spuszczaną wodą, o kranie z ciepłą wodą, o sklepiku za rogiem, gdzie można kupić waciki, jednorazowe pieluszki i szampon dla dzieci. Uciekliśmy Rosjanom, myślała czując, jak ogarnia ją senność; być może uda nam się dotrzeć do domu. Może naprawdę się uda...

\*\*\*

Obudziła się jednocześnie z Ellisem wyczuwając, jak nagle drgnął i spiął się w sobie. Przez chwilę leżał obok bez ruchu, wsłuchując się w szczenie dwóch psów. Potem szybko zsunął się z posłania.

W izbie panowały absolutne ciemności. Usłyszała trzask zapalniczki i w rogu zapłonęła świeca. Spojrzała na Chantal - dziecko spało spokojnie.

- Co się stało? - spytała.

- Nie wiem - szepnął. Wciągnął dzinsy, wskoczył w buty, narzucił płaszcz i wyszedł.

Jane wrzuciła na siebie to, co miała pod ręką, i wybiegła za nim. Światło księżyca wpadające przez otwarte drzwi sąsiedniej izby wyławiało i mroku czwórkę dzieci leżących rzędem w jednym łóżku. Żadne z nich nie spało. Widać było tylko ich wytrzeszczone oczy, wyzierające spod krawędzi wspólnego koca. Ich rodzice spali w izbie obok. Ellis stał w progu i wyglądał na zewnątrz.

Jane stanęła obok. W blasku księżyca dostrzegła na wzgórzu samotną postać biegnącą w ich kierunku.

- Psy go usłyszały - szepnął Ellis.

- Ale kto to jest? - spytała Jane.

Nagle stanął przy nich ktoś jeszcze. Jane wzdrygnęła się, ale zaraz poznała Mohammeda. W jego rękę połyskiwało ostrze noża.

Postać zbliżyła się. Jej chód wydał się Jane znajomy. Mohammed chrząknął i opuścił nóż.

- To Ali Ghanim - powiedział.

Rozpoznała charakterystyczny krok Alego, któremu w bieganiu przeszkadzał skrzywiony kręgosłup.

- Ale co on tu robi? - wyszeptała.

Mohammed wyszedł przed chatę i pomachał: Ali dojrzał go, pomachał również i podbiegł do nich. Uścisnęli się z Mohammedem. Jane czekała niecierpliwie, aż Ali złapie oddech.

- Rosjanie są na waszym tropie - wysapał w końcu.

Jane zamarło serce. Myślała już, że ucieczka się udała. Co się mogło stać?

Ali dyszał jeszcze ciężko kilka sekund, po czym podjął:

- Masud mnie wysłał, abym was ostrzegł. Dzień po waszym odejściu przeszukali całą Dolinę Pięciu Lwów. Mieli setki helikopterów i tysiące ludzi. Ponieważ was nie znaleźli, rozesłali dzisiaj grupy pościgowe do wszystkich bocznych dolin prowadzących do Nurystanu.

- Co on mówi? - wtrącił się Ellis.

Jane podniosła rękę, by powstrzymać na chwilę Alego i przetłumaczyć jego słowa Ellisowi, który nie mógł nadążyć za szybką i zdyszana relacją posłańca.

- Skąd wiedzą, że poszliśmy do Nurystanu? - spytał Ellis. - Mogliśmy przecież zdecydować, że ukryjemy się gdziekolwiek w tym przeklętym kraju.

Jane przetłumaczyła to pytanie Alemu. Nie wiedział.

- Czy któraś z grup pościgowych podąża tą doliną? - spytała Alego.

- Tak. Wyprzedziłem ich tuż przed przełęczą Aryu. Mogli dotrzeć do ostatniej wioski jeszcze przed zmrokiem.

- Och, nie - szepnęła zrozpaczona. Przetłumaczyła Ellisowi słowa Alego. - W jaki sposób są w stanie poruszać się o tyle szybciej od nas? - spytała. Ellis wzruszył ramionami, a ona odpowiedziała sobie sama. - Z pewnością dlatego, że ich marszu nie opóźnia kobieta z dzieckiem. Cholera.

- Jeśli wyruszą z samego rana, dopadną nas jutro - stwierdził Ellis.

- Co robimy?

- Ruszamy natychmiast.

Jane czuła w kościach zmęczenie. Ogarnęło ją bezsensowne oburzenie na Ellisa.

- Nie lepiej gdzieś się ukryć? - spytała z irytacją w głosie.

- Gdzie? - spytał Ellis. - Tędy wiedzie tylko jedna droga. Rosjanie mają dostatecznie dużo ludzi, aby przeszukać wszystkie domy, a nie ma ich wiele. Poza tym mieszkańcy wioski niekoniecznie muszą trzymać naszą stronę. Mogą łatwo zdradzić Rosjanom, gdzie się ukryliśmy. Jedyne wyjście to utrzymywanie stałego dystansu między nami a pościgiem.

Jane spojrzała na zegarek. Była druga. Czuła, że jest gotowa ustąpić.

- Objuczę konia - powiedział Ellis. - Ty nakarm Chantal. - Przeszedł na dary i zwrócił się do Mohammeda: - Zrobisz nam herbaty? I daj Alemu coś do zjedzenia.

Jane weszła z powrotem do chaty, skończyła się ubierać i nakarmiła dziecko. Gdy to robiła, Ellis przyniósł jej słodką zieloną herbatę w kamionkowym kubku. Wypiła ją z przyjemnością.

Karmiąc małą zastanawiała się nad zaangażowaniem Jean-Pierre'a w ten nieustępliwy pościg za nią i Ellisem. Wiedziała, że brał udział w desancie na Bandę, gdyż sama go tam widziała. Podczas przeszukiwania Doliny Pięciu Lwów jego znajomość terenu musiała być nieoceniona. Zdaje sobie pewnie sprawę, że niczym psy w pogoni za szczurami polują na jego żonę i dziecko. Jak może im w tym pomagać? Urażona ambicja i zazdrość musiały sprawić, że jego miłość do niej przerodziła się w nienawiść.

Chantal miała dosyć. Jak to musi być błogo, pomyślała Jane, kiedy nie wie się nic o namiętności, zdradzie i zazdrości, kiedy nie zna się innych odczuć poza ciepłem i zimnem albo głodem lub sytością.

- Ciesz się tym, dopóki możesz, malutka - powiedziała na głos.

W pośpiechu zapięła bluzkę i wciągnęła przez głowę grubego sweter. Przewiesiła sobie przez szyję nosidełko dla Chantal, moszcząc jej wygodne posłanie. Na koniec zarzuciła na ramiona płaszcz i wyszła przed chatę.

Ellis z Mohammedem studiowali mapę przy świetle latarni. Ellis pokazał Jane trasę.

- Pójdziemy z biegiem strumienia Linar aż do miejsca, gdzie wpada do rzeki Nurystan, tam skręcimy znów w góry i podążymy jej brzegiem na północ. Potem wejdziemy w jedną z tych bocznych dolin - Mohammed nie jest w tej chwili pewny w którą - i skierujemy się na przełęcz Kantiwar. Chciałbym jeszcze dzisiaj wydostać się z doliny Nurystan - utrudni to Rosjanom podążanie naszym śladem, bo nie będą wiedzieli, którą z bocznych dolin wybraliśmy.

- Ile do niej jest? - spytała Jane.

- Tylko piętnaście mil, ale to czy będzie łatwo, czy trudno, zależy oczywiście od ukształtowania terenu.

Jane skinęła głową.

- No to ruszajmy - powiedziała. Była z siebie dumna, że powiedziała to bardziej rześko, niż się w rzeczywistości czuła.

Wyruszyli w blasku księżyca. Mohammed narzucił z miejsca szybkie tempo marszu, bezlitośnie biczując kobyłę skórzanym rzemieniem, kiedy ta próbowała się ociągać. Jane bolała trochę głowa i dokuczało przyprawiające o mdłości uczucie pustki w żołądku. Nie była jednak śpiąca, raczej podenerwowana i obolała.

Szlak w nocy wydawał jej się straszny. Jakiś czas posuwali się wśród rzadkiej trawy rosnącej nad rzeką i szło im całkiem łatwo, ale wkrótce ścieżka zaczęła się piąć zakosami pod górę, by wyprostować się znowu setki stóp wyżej i pobiec dalej krawędzią urwiska, gdzie grunt pokryty był śniegiem i Jane nie mogła się opędzić od przerażającej myśli, że może się poślizgnąć i z dzieckiem w ramionach spaść w objęcia śmierci.

Czasami stawali przed wyborem - ścieżka rozwidlała się i jedna odnoga biegła w dół, a druga pod górę. Ponieważ żadne z nich nie wiedziało, w którą z nich skręcić, zdawali się na instynkt Mohammeda. Za pierwszym razem poszli dołem i okazało się, że postąpili słusznie. Szlak poprowadził ich przez małą plażę, gdzie musieli wprawdzie brodzić po kostki w wodzie, ale zaoszczędziło im to nadłożenia drogi. Kiedy jednak przyszło im wybierać po raz drugi i znowu postanowili trzymać się brzegu rzeki, pożałowali. Około mili dalej ścieżka kończyła się na nagiej skalnej ścianie, którą obejść można było tylko wpław. Zniechęceni wrócili po własnych śladach do rozwidlenia i skręcili w ścieżkę pnącą się pod górę.

Następnym razem znowu zeszli nad brzeg rzeki. Tym razem ścieżka zaprowadziła ich na występ skalny, biegnący wzdłuż ściany urwiska sto stóp nad rzeką. Kobyła zaczęła się denerwować, prawdopodobnie dlatego, że ścieżka była wąska. Jane również się bała. Światło gwiazd było zbyt słabe, by wyłuskać z mroku płynącą dołem rzekę, przez co wąwóz wydawał się jej bezdenną, ziejącą tuż obok czarną otchłanią. Maggie wciąż przystawała i Mohammed musiał szarpać za wodze, aby zmusić ją do podjęcia marszu.

Kiedy w pewnym momencie ścieżka zakręcała znikając za skarpą urwiska, Maggie spłoszyła się, zaparła i nie chciała przejść za występ. Jane cofnęła się przed kopytami przebierającej tylnymi nogami kobyły. Chantal zaczęła płakać. Albo wyczuła dramatyczny moment, albo też nie mogła zasnąć po karmieniu o drugiej nad ranem. Ellis oddał Chantal Jane i podsunął się do Mohammeda, żeby mu pomóc w szarpaniu z koniem.

Zaofiarował się, że weźmie od niego cugle, ale Mohammed odmówił opryskliwie ich oddania: jemu też udzieliło się zdenerwowanie. Ellis poprzestał na popychaniu zwierzęcia od tyłu i pokrzykiwaniach „Hej, hop, hej hop”. Jane pomyślała właśnie, że to niemal zabawne,

kiedy nagle Maggie szarpnęła się gwałtownie w tył. Mohammed puścił cugle i zatoczył się, klacz zaś naparła zadem na Ellisa, przewróciła go i cofała się dalej.

Na szczęście Ellis upadł na lewo, wpadając na skalną ścianę. Kiedy cofający się koń zbliżył się do Jane i zaczął się przepychać obok niej, znajdowała się po niewłaściwej stronie ścieżki, na samej jej krawędzi. Chwyliła się umocowanej do uprzęży torby i przytrzymała jej kurczowo, aby nie dać się zepchnąć kobyle w przepaść.

- Ty głupie bydło! - wrzasnęła. Chantal ściskana między końskim bokiem a matką również zaczęła krzyczeć. Jane bała się początkowo rozluźnić chwyt i klacz pociągnęła je kawałek do tyłu. Potem Jane ryzykując życiem puściła torbę, a jednocześnie prawą ręką chwyciła za cugle, wymacała oparcie dla stóp, przecisnęła się wzdłuż boku zwierzęcia i znalazła tuż przy jego łbie.

- Stój! - krzyknęła głośno, ciągnąc mocno za uzdę.

Ku jej zaskoczeniu Maggie zatrzymała się.

Jane odwróciła się. Ellis i Mohammed podnosili się z ziemi.

- Nic wam nie jest? - spytała po francusku.

- O tyle, o ile - odpowiedział Ellis.

- Zgubiłem latarnię - stwierdził Mohammed.

- Mam nadzieję, że ci pieprzeni Sowieci mają takie same kłopoty - powiedział Ellis po angielsku.

Jane zorientowała się, że nawet nie zauważyli, jak koń o mały włos nie zepchnął jej w przepaść. Postanowiła nic im nie mówić. Oddała uzdę Ellisowi.

- Idźmy dalej - powiedziała. - Później będziemy lizać rany. - Przeszła przed Ellisa.

- Prowadź - zwróciła się do Mohammeda.

Uwolnwszy się od Maggie, Mohammed po kilku minutach poweselał. Jane ogarnęły wątpliwości, czy koń naprawdę jest im potrzebny, ale doszła do wniosku, że jednak tak - mieli zbyt dużo bagażu, by go nieść, a wszystko niezbędne - i tak powinni wziąć więcej żywności.

Przeszli szybko przez cichą, pogrążoną w śnie osadę. Właściwie było to tylko kilka chat nad wodospadem. W jednej z nich ujadął histerycznie pies, aż ktoś go uciszył przekleństwem. I znowu znaleźli się w pustkowiu.

Niebo z czarnego zrobiło się szare. Gwiazdy zaczęły znikać; dniało. Jane zastanawiała się, co robią Rosjanie. Może oficerowie podrywają właśnie na nogi swoich ludzi, budząc ich pokrzykiwaniem i rozdzielając kopniaki tym, którzy zbyt opieszale wyłażą ze śpiworów. Kucharz parzy już może kawę, a oficer dowodzący studiuje mapy. A może wstali wcześniej,

jakaś godzinę temu, gdy było jeszcze ciemno, pozbiali się w ciągu paru minut i maszerują teraz gęsiego brzegiem rzeki Linar; może minęli już wioskę Linar; może wybierali same właściwe rozwidlenia i są już tylko milę od nich albo jeszcze bliżej.

Przyśpieszyła kroku.

Półka wiła się wzdłuż urwiska, by w końcu opaść ku brzegowi rzeki. Wokół nie było śladu działalności rolniczej, ale górskie zbocza po obu stronach były gęsto zalesione i kiedy się przejaśniło, Jane rozpoznała w drzewach dęby.

- A może ukryjemy się wśród drzew? - spytała Ellisa wskazując na porośnięte stoki.

- W ostateczności moglibyśmy - odparł. - Ale Rosjanie szybko zorientowaliby się, że się zatrzymaliśmy, bo przecież wypytują po drodze wieśniaków. Gdyby dowiedzieli się od nich, że nie przechodziliśmy, zawróciliby i przystąpili do dokładnego przeczesywania terenu.

Pokiwała z rezygnacją głową. Wciąż szukała pretekstu do zatrzymania się.

Jeszcze przed wschodem słońca, po pokonaniu kolejnego zakrętu zatrzymali się jak wryci: ściana wąwozu osunęła się, tarasując całkowicie przejście zwałami ziemi i luźnych skał.

Jane czuła, że za chwilę wybuchnie płaczem. Pokonali ponad dwie mile brzegiem rzeki oraz wąską półką: powrót oznaczał nadłożenie dodatkowych pięciu mil, włączając w to odcinek, na którym tak się spłoszyła Maggie.

Stali tak w trójkę przez chwilę i patrzyli na osuwisko.

- Nie moglibyśmy przeleźć przez to górą? - spytała Jane.

- Koń nie da rady - odpowiedział Ellis.

Była na niego zła, że powiedział to, co i tak wiedziała.

- Jedno z nas mogłoby wrócić z koniem - powiedziała niecierpliwie. - A pozostała dwójka odetchnęłaby trochę, czekając po drugiej stronie, aż koń do nich dołączy.

- Nie sadzę, aby mądrze było się rozdzielać.

- Tylko nie myśl sobie, że będziemy robić wszystko, co tobie wydaje się mądre. - Jane zdenerwował ten ton moja-decyzja-jest-ostateczna w jego głosie.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- No dobrze. Ale wydaje mi się też, że ta hałda ziemi i kamieni może się osypać, kiedy ktoś zacznie się na nią wspinać. I od razu oznajmiam, że ja nie mam zamiaru tego próbować, bez względu na to, co wy oboje postanowicie.

- Rozumiem z tego, że dyskusja skończona. - Kipiąc ze złości Jane odwróciła się i ruszyła z powrotem, pozostawiając obu mężczyznom decyzję, czy podążą za nią, czy nie. Dlaczego tak jest, zastanawiała się, że zawsze kiedy pojawia się jakiś problem czy to natury



psychologicznej, czy technicznej, mężczyźni uderzają w ten przywódca, wszytkowiedzący ton.

Ellis też nie jest bez wad, uświadomiła sobie. Może nawet przeszedł pranie mózgu; gada wciąż, że jest ekspertem od antyterroryzmu, a pracuje w CIA, która reprezentuje największą chyba bandę terrorystów na świecie. Jest faktem niezaprzeczalnym, że lubi niebezpieczeństwo, przemoc i podstęp. Jeżeli chcesz, żeby mężczyzna liczył się z twoim zdaniem, pomyślała, nie bierz sobie romantycznego supermana.

Jean-Pierre'owi trzeba było natomiast przyznać, że nie traktował kobiet protekcjonalnie. Mógł odnosić się do nich lekceważąco, okłamywać je lub ignorować, ale nigdy nie był protekcjonalny. Może dlatego, że był młodszy.

Minęła miejsce, gdzie cofnęła się Maggie. Nie zaczekała na mężczyzn - tym razem niech sami się użerają z tym cholernym koniem.

Chantal marudziła trochę, ale Jane nie zareagowała. Maszerowała zdecydowanie, dopóki nie dotarła do miejsca, gdzie przebiegała chyba ścieżka prowadząca na szczyt urwiska. Tam usiadła i podjęła jednostronną decyzję o zarządzeniu odpoczynku.

Po minucie dobili do niej Ellis z Mohammedem. Mohammed wyjął z torby trochę morwowo-orzechowych placuszków i rozdał je im. Ellis nie odzywał się do Jane.

Odetchnąwszy trochę ruszyli pod górę. Kiedy dotarli na szczyt, oślepiło ich słońce i Jane poczuła, że złość jej przechodzi. Po chwili Ellis otoczył ją ramieniem.

- Przepraszam za to dyrygowanie - mruknął.
- Nie ma za co - odparła wyniośle.
- Nie sądzisz, że trochę przesadziłaś ze swoją reakcją?
- Bez wątpienia. Przepraszam.
- No właśnie. Daj, wezmę Chantal.

Oddała mu małą. Gdy uwolniła się od ciężaru, poczuła, jak bardzo bola ją plecy. Chantal nigdy nie wydawała jej się ciężka, ale ciężar rośnie wraz z odległością. To było jak dźwiganie przez dziesięć mil ciężkiej torby z zakupami.

W miarę jak słońce pięło się po porannym niebie, robiło się coraz cieplej. Jane rozpięła płaszcz, a Ellis zdjął swój. Mohammed natomiast, z charakterystyczną dla Afgańczyków niewrażliwością na wszelkie, prócz tych najbardziej zdecydowanych, zmiany pogody, pozostał w swoim rosyjskim mundurowym szynelu.

Koło południa wynurzyli się z wąskiego wąwozu Linar i znaleźli w rozległej dolinie Nurystan. Tutaj droga znowu była dosyć wyraźnie oznakowana, a ścieżka niemal tak dobra,

jak szlak dla wozów biegnący przez Dolinę Pięciu Lwów. Skręcili na północ i ruszyli pod górę.

Jane czuła się okropnie zmęczona i zniechęcona. Od momentu gdy wstała, czyli od drugiej nad ranem, szła już dziesięć godzin, a przebyli zaledwie niecałe pięć mil. Ellis chciał zrobić dziś jeszcze dziesięć. Dla Jane był to trzeci z rzędu dzień marszu i wiedziała, że nie da rady iść aż do zmroku. Nawet Ellis miał ponurą minę, a wiedziała, że było to u niego oznaką zmęczenia. Tylko Mohammed wydawał się niezmordowany.

W dolinie Linar poza granicami wioski nie widzieli żywego ducha, ale tutaj spotkali kilku podróżnych, większość w białych szatach i w turbanach. Nurystańczycy z ciekawością popatrywali na dwoje skrajnie wyczerpanych białych, Mohammeda zaś pozdrawiali z ostrożnym respektem, prawdopodobnie przez wzgląd na przewieszzonego przez jego ramię kałasznikowa.

Kiedy wspinali się z mozołem pod górę brzegiem rzeki Nurystan, dogonił ich czarnobrody, jasnooki młody mężczyzna, niosący dziesięć świeżych ryb nadzianych na oścień. Zagadał do Mohammeda posługując się mieszaniną kilku języków - Jane wyłapała kilka słów w dari i od czasu do czasu jakieś francuskie - i porozumieli się ze sobą na tyle dobrze, że Mohammed kupił od niego trzy ryby.

Ellis odliczył pieniądze.

- Pięćset afganów za rybę - ile to jest? - spytał Jane.

- Pięćset afganów to pięćdziesiąt francuskich franków, czyli pięć funtów.

- Dziesięć dolców - przeliczył Ellis. - Droga ta ryba.

Jane irytowała jego gadanina. Ona ledwie powłóczy nogami, a on tu rozprawia o cenie ryby.

Młody mężczyzna imieniem Halam twierdził, że złapał ryby w jeziorze Mundol, kawałek stąd w dolinie, ale prawdopodobnie je kupił, gdyż nie wyglądał na rybaka. Zwolnił kroku, aby dostosować się do tempa ich marszu, i mówił bez przerwy, najwyraźniej nie przejmując się tym, czy go rozumieją, czy nie.

Podobnie jak Dolina Pięciu Lwów, Nurystan był skalistym kanionem rozszerzającym się co kilka mil w małe równiny z tarasowymi poletkami uprawnymi. Najbardziej zauważalną różnicę stanowiły dębowe lasy porastające górskie zbocza jak wełna owczy grzbiet, które Jane upatrzyła sobie na kryjówkę, gdyby miało się coś stać.

Szli teraz szybciej. Nie było tu doprowadzających do furii zakosów pod górę, za co Jane była głęboko wdzięczna losowi. W pewnym momencie drogę zablokowało im osuwisko, ale tym razem Ellis z Jane zdołali pokonać przeszkodę górą, a Mohammed przepawił się z

koniem na drugi brzeg rzeki i kilkanaście jardów dalej z powrotem. Trochę później, w miejscu, gdzie skarpa wrzynała się w wodę i droga biegła wzdłuż skalnej ściany po chwiejnym drewnianym pomoście, na który kobyła znowu nie chciała wejść, Mohammed rozwiązał problem w identyczny sposób - przeprowadził konia na drugi brzeg i z powrotem.

Jane była już bliska załamania. Kiedy Mohammed przeprowadził się z koniem z drugiego brzegu rzeki, powiedziała:

- Muszę się zatrzymać i odpocząć.

- Jesteśmy prawie w Gadwal - powiedział Mohammed.

- Jak to daleko?

Mohammed posługując się dari i francuskim porozumiał się z Halamem.

- Pół godziny drogi - odpowiedział.

Dla niej była to wieczność. Oczywiście, mogę iść jeszcze pół godziny, powiedziała sobie w duchu i spróbowała myśleć o czymś innym niż o bólu pleców i nieodpartej potrzebie położenia się.

Ale kiedy pokonali następny zakręt, zobaczyła wioskę.

Był to widok równie zaskakujący, co radosny - drewniane chatki pięły się pod strome górskie zbocze niczym dzieci wdrapujące się jedno drugiemu na plecy. Nasuwało to myśl, że gdyby jedna z chatek na spodzie zawałiła się, cała wioska zsunęłaby się po stoku i zjechała do rzeki.

Kiedy dowlekli się do pierwszego domu, Jane po prostu stanęła i usiadła nad brzegiem rzeki. Bolał ją każdy miesiąc i ledwie miała siłę wziąć Chantal od Ellisa, który skwapliwie usiadł obok. Widać było, że też ma dosyć. Z domu wyjrzała zaciekawiona kobieta i Halam od razu wdał się z nią w rozmowę, opowiadając zapewne, co wie o Ellisie i Jane. Mohammed spędzał Maggie tam, gdzie mogła sobie skubać sztywną trawę, a sam kucnął obok Ellisa.

- Musimy kupić chleb i herbatę - powiedział.

Jane pomyślała, że przydałoby się im coś konkretniejszego.

- A co z rybą? - spytała.

- Zbyt długo trzeba by ją czyścić i gotować - stwierdził Ellis. - Zjemy ją wieczorem.

Nie mam zamiaru pozostać tu dłużej niż pół godziny.

- W porządku - zgodziła się, chociaż nie była pewna, czy po półgodzinnym odpoczynku będzie w stanie iść dalej. Może odżyję, jak coś przegryzę, pomyślała.

Halam coś do nich zawołał. Spojrzała w jego stronę i zobaczyła, że macha przywołujące ręką. Kobieta też machała - zapraszała ich do domu. Ellis i Mohammed podnieśli się. Jane położyła Chantal na ziemi, wstała, po czym schyliła się, by ją podnieść.

Nagle wszystko zawirowało, przed oczami zrobiło jej się szaro i zaczęła tracić równowagę. Walczyła z tym przez moment, widząc tylko jak przez mgłę drobną buzię Chantal. W końcu kolana zrobiły się jej jak z waty, osunęła się na ziemię i na wszystko opuściła się ciemność.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą krąg zaniepokojonych twarzy.

- Jak się czujesz? - spytał Ellis.

- Głupio - odparła. - Co się stało?

- Zemdlałaś.

Usiadła.

- Już w porządku.

- Nie, nie jest w porządku. Nie możesz dzisiaj iść dalej.

W głowie jej przejaśniało. Wiedziała, że Ellis ma rację. Jej obolałe ciało nie zniosłoby więcej i żaden wysiłek woli na nic się tu nie zda. Zaczęła mówić po francusku, żeby Mohammed też mógł zrozumieć:

- Ale Rosjanie na pewno dzisiaj tu dotrą.

- Musimy się ukryć - powiedział Ellis.

- Spójrz na tych ludzi - wtrącił Mohammed. - Sądzisz, że nas nie zdradzą?

Jane spojrzała na Halama i kobietę. Obserwowali ich przysłuchując się rozmowie, chociaż nie rozumieli ani słowa. Przybycie cudzoziemców było prawdopodobnie najbardziej ekscytującym wydarzeniem roku. Za kilka minut będzie tutaj cała wioska. Przyjrzała się uważniej Halamowi. Zakazanie mu paplania odniosłoby taki sam skutek, co upomnienie psa, żeby nie szczekał. Do zmroku cały Nurystan wiedziałby, gdzie się ukryli. Czy istnieje możliwość, aby uwolnić się od tych ludzi i niepostrzeżenie wślizgnąć w jedną z bocznych dolin? Może. Ale nie przeżyliby długo bez pomocy okolicznych mieszkańców. W pewnym momencie skończyłaby im się żywność, a do tego czasu Rosjanie zorientowałiby się, że zbiegowie się zatrzymali i zaczęliby przeszukiwać lasy i kaniony. Ellis miał rację twierdząc, że ich jedyną szansę stanowi utrzymywanie stałego dystansu między nimi a pościgiem.

Zamyślony Mohammed palił zachłannie papierosa.

- Ty i ja będziemy musieli ruszyć dalej, a Jane trzeba zostawić tutaj - odezwał się po chwili do Ellisa.

- Nie - odparł Ellis.

- Ten kawałek papieru z podpisami Masuda, Kamila i Aziziego, który masz przy sobie, jest ważniejszy niż życie kogokolwiek z nas - powiedział Mohammed. - Zależy od niego przyszłość Afganistanu, wolność, za którą zginął mój syn.

Ellis musi iść dalej sam, pomyślała Jane. Przynajmniej on ocaleje. Zawstydziała się sama przed sobą strasznej rozpaczy, jaka ogarnęła ją na myśl o rozstaniu. Powinna starać się mu pomóc, a nie zastanawiać, jak go przy sobie zatrzymać. Nagle wpadła na genialny pomysł.

- Mogłabym wprowadzić Rosjan w błąd - powiedziała. - Dałabym się złapać i niby to z oporami przekazać Jean-Pierre'owi fałszywe informacje o trasie waszej ucieczki i sposobie, w jaki podróżujecie... Gdybym wskazała im zupełnie inną drogę, moglibyście zyskać kilka dni przewagi - tyle żeby bezpiecznie wydostać się z tego kraju! - Ten pomysł napełnił ją entuzjazmem, chociaż w głębi duszy kołatała się myśl: nie zostawiaj mnie, proszę cię, nie zostawiaj mnie.

Mohammed spojrzał na Ellisa.

- To jedyne wyjście, Ellis - powiedział.

- Odpada - warknął Ellis. - Nic z tego.

- Ale Ellis...

- Nic z tego - powtórzył Ellis - Odpada.

Mohammed zamilkł.

- Co w takim razie zrobimy? - spytała Jane.

- Dzisiaj Rosjanie jeszcze nas nie dopadną - powiedział Ellis. - Nadal mamy nad nimi przewagę, wstaliśmy dziś bardzo wcześnie. Zostaniemy tu na noc i wyruszymy z samego rana. Pamiętaj, że walczy się do końca. Wszystko może się jeszcze wydarzyć. Ktoś w Moskwie może dojść do wniosku, że Anatolij zwariował i zarządzić wstrzymanie pościgu.

- Pieprzysz - powiedziała Jane po angielsku, chociaż w głębi duszy wbrew rozsądkowi cieszyła się, że nie chce iść dalej sam.

- Mam inny pomysł - odezwał się nagle Mohammed. - Wrócę i skieruję Rosjan na fałszywy trop.

Serce Jane podskoczyło. Czy to możliwe?

- Jak? - spytał Ellis.

- Zaofiaruję się im na przewodnika i tłumacza, i odciągnę od was, prowadząc ich doliną Nurystan w przeciwnym kierunku, na południe, w stronę jeziora Mundol.

Jane dostrzegła niedoskonałość tego planu i serce znowu się jej ścisnęło.

- Ale oni mają już pewnie przewodnika - powiedziała.

- Może to jakiś uczciwy człowiek z Doliny Pięciu Lwów, którego siłą zmuszono do pomagania Rosjanom. W takim wypadku porozmawiam z nim i jakoś to zaaranżujemy.

- A jeśli nie będzie skory do pomocy?

Mohammed zastanowił się.

- W takim razie nie będzie to uczciwy człowiek, którego zmusili do pomocy, tylko zdrajca, który z własnej woli współpracuje z wrogiem dla osobistych korzyści. Wówczas zabiję go.

- Nie chcę, aby ktokolwiek zginął z mojego powodu - zaproponowała natychmiast Jane.

- To nie z twojego powodu - wtrącił szorstko Ellis. - To z mojego - ja się zaparłem, że nie pójdę dalej sam.

Zamilkła.

Ellis myślał już o praktycznej realizacji fortelu.

- Nie jesteś ubrany jak Nurystańczyk - powiedział do Mohammeda.

- Zamienię się ubraniem z Halamem.

- Nie mówisz dobrze tutejszym językiem.

- W Nurystanie mówi się wieloma językami. Będę udawał, że pochodzę z okolic, gdzie używają jakiegoś innego języka. Rosjanie nie mówią żadnym z nich, więc się nie zorientują.

- A co zrobisz z karabinem?

Mohammed pomyślał chwilę.

- Dasz mi swoją torbę?

- Jest za mała.

- Mój kałasznikow ma składaną kolbę.

- Oczywiście - powiedział Ellis. - Bierz torbę.

Jane pomyślała, że torba mogłaby wzbudzić jakieś podejrzenia, ale doszła do wniosku, że raczej nie: torby Afgańczyków były tak samo dziwne i różnorodne jak ich ubrania. Mimo to Mohammed stanie się wcześniej czy później podejrzany.

- A co zrobisz, kiedy w końcu zorientują się, że podążają złym tropem? - spytała.

- Zanim do tego dojdzie, ucieknę w nocy porzucając ich na jakimś odludziu.

- To strasznie niebezpieczne - stwierdziła Jane.

Mohammed próbował udawać, że nic sobie z tego nie robi. Jak większość powstańców był naprawdę odważny, a równocześnie niedorzecznie próżny.

- Jeśli będziesz miał pecha i zaczną cię podejrzewać, zanim zdecydujesz się ich opuścić, poddadzą cię torturom, aby wydobyć z ciebie informacje, którą drogą poszliśmy.

- Nigdy nie dostaną mnie żywego.

Jane wierzyła mu.

- Ale w ten sposób my zostaniemy bez przewodnika - zauważył Ellis.

- Znajdę wam kogoś innego. - Mohammed odwrócił się do Halama i zaczął z nim prowadzić szybką, wielojęzyczną rozmowę. Jane rozumiała piąte przez dziesiąte, że proponuje Halamowi, aby się najął jako ich przewodnik. Halam nie za bardzo się jej podobał - był zbyt dobrym handlarzem, aby można mu było ufać - ale był najwyraźniej wytrawnym wędrowcem, więc wybór był oczywisty. Większość tubylców nigdy prawdopodobnie nie zapuszczała się poza granice tej doliny.

- On twierdzi, że zna drogę - powiedział Mohammed przechodząc z powrotem na francuski. Na słowa *on twierdzi*, Jane poczuła ukłucie niepokoju. Mohammed ciągnął dalej: - Doprowadzi was do Kantiwar. Tam znajdzie innego przewodnika, który przeprowadzi was przez następną przełęcz. W ten sposób dojdziecie do Pakistanu. Weźmie za to pięć tysięcy afganów.

- To chyba uczciwa cena - mruknął Ellis - ale ilu przewodników będziemy musieli nająć za tę stawkę, zanim dotrzemy do Chitral?

- Pięciu, może sześciu.

Ellis pokręcił głową.

- Nie mamy trzydziestu tysięcy afganów, a poza tym musimy mieć pieniądze na żywność.

- Będziecie musieli zdobywać żywność w zamian za pomoc medyczną - powiedział Mohammed. - Gdy znajdziecie się już w Pakistanie, droga będzie łatwiejsza. Możliwe, że pod koniec nie będziecie już potrzebowali przewodników.

Ellis popatrzył z powątpiewaniem na Jane.

- Co o tym myślisz? - spytał.

- Jest jeszcze inne wyjście - powiedziała. - Możesz pójść dalej beze mnie.

- Nie - powiedział. - To nie jest wyjście. Pójdziemy razem.

## ROZDZIAŁ 18

Przez cały pierwszy dzień grupy pościgowe nie natrafiły na najmniejszy ślad Ellisa i Jane.

Jean-Pierre i Anatolij siedzieli na twardych drewnianych krzesłach w urządzonym po spartańsku, pozbawionym okien biurze w bazie sił powietrznych Bagram, śledząc na bieżąco napływające drogą radiową meldunki. Grupy pościgowe wyruszyły znowu na trasy przed świtem. Na początek było ich sześć: po jednej na każdą z pięciu bocznych dolin wiodących z Doliny Pięciu Lwów na wschód i jedna, posuwająca się na północ wzdłuż Rzeki Pięciu Lwów do jej źródła i dalej. W skład każdej grupy wchodził przynajmniej jeden oficer regularnej armii afgańskiej władający narzeczem dari. Grupy wylądowały helikopterami w sześciu różnych wioskach Doliny i w pół godziny później wszystkie zameldowały, że znalazły miejscowych przewodników.

- Szybko im poszło - stwierdził Jean-Pierre po nadejściu meldunku od szóstej. - Jak to zrobili?

- Zwyczajnie - odparł Anatolij. - Pytają kogoś, czy zostanie ich przewodnikiem. Mówi nie. Rozwalają go. Pytają następnego. Znalezienie ochotnika nie trwa zwykle długo.

Jedna z grup próbowała przeczesać przydzieloną im trasę z powietrza, ale eksperyment się nie powiódł. Tymi szlakami trudno było posuwać się pieszo, a przelecieć nad nimi nie dało się w ogóle. Co więcej, żaden z przewodników nie latał nigdy dotąd samolotem, nowe przeżycie całkowicie ich dezorientowało. Tak więc wszystkie grupy pościgowe ruszyły piechotą, w tym niektóre z zarekwirowanymi końmi dźwigającymi ich bagaż.

Jean-Pierre nie spodziewał się już tego ranka żadnych nowych wiadomości, gdyż zbiegowie mieli nad pościgiem cały dzień przewagi. Żołnierze na pewno jednak będą się posuwać szybciej niż Jane, zwłaszcza że ta niesie Chantal...

Każda myśl o Chantal wywoływała w nim wyrzuty sumienia. Wściekłość, w jaką wprawiały go poczynania żony, córki już nie obejmowała, a przecież dziecko cierpiało, wiedział to na pewno - całodzienne marsze, przeprawy przez przełęcz wysoko ponad linią wiecznego śniegu, podmuchy lodowatych wichrów.

Znów przyszło mu na myśl prześladowające go w ostatnim okresie pytanie, co będzie, jeśli Jane umrze, a Chantal pozostanie przy życiu. Wyobraził sobie pojmanie uciekającego samotnie Ellisa; znalezione w drodze powrotnej jakąś milę od tego miejsca martwe i zimne ciało Jane z cudem ocalałym dzieckiem w ramionach. Wróciłbym do Paryża jako postać



tragiczna i romantyczna zarazem, marzył Jean-Pierre: wdowiec z córeczką, weteran wojny afgańskiej... Ale by mnie podziwiali! Jestem idealnie przygotowany do wychowywania dziecka. Jakaż ścisła więź powstałaby między nami, kiedy byłaby już starsza. Oczywiście musiałbym wynająć nianię, ale zadbałbym już o to, żeby nie zajęła w sercu dziecka miejsca matki. Nie, ja byłbym dla niej i ojcem, i matką.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej był wściekły, że Jane wystawia życie Chantal na niebezpieczeństwo. Zabierając dziecko na taką eskapadę z całą pewnością traciła wszelkie prawa rodzicielskie. Przypuszczał, że w europejskim sądzie zdołałby na tej podstawie uzyskać wyrok odbierający jej dziecko...

Słońce chyliło się ku zachodowi i Anatolija ogarniało coraz większe zdenerwowanie, a Jean-Pierre'a zdenerwowanie. Obaj byli rozdrażnieni. Anatolij nawiązywał długie rozmowy po rosyjsku z innymi oficerami, którzy wchodzili do małego, ślepego pomieszczenia i ich nie kończąca się gadanina działała Jean-Pierre'owi na nerwy. Z początku Anatolij tłumaczył mu wszystkie radiowe meldunki, jakie napływały od grup pościgowych, ale teraz kwitował każdy jedynie krótkim stwierdzeniem „Nic”. Jean-Pierre wykreślał trasy grup na zestawie map, czerwonymi szpilkami oznaczając miejsca, w których się znajdowały, ale pod wieczór grupy posuwały się już szlakami i korytami wyschniętych rzek, których nie było na mapach, a jeśli nawet podawały swoje położenie w meldunkach radiowych, Anatolij mu tego nie przekazywał.

O zmierzchu grupy pościgowe rozbiły obozy, nie zgłaszając natrafienia na jakikolwiek ślad zbiegów. Ścigających poinstruowano, by wypytywali mieszkańców mijanych wiosek. Jak dotąd wieśniacy twierdzili, że nie widzieli żadnych obcych. Nie było to zaskakujące, gdyż pościg znajdował się wciąż na terenie Doliny Pięciu Lwów, na podejściach do wielkich przełęczy wiodących do Nurystanu. Wypytywani tubylcy byli przeważnie lojalni Masudowi i pomaganie Rosjanom uchodziło wśród nich za zdradę. Jutro, kiedy grupy pościgowe wkroczą do Nurystanu, tamtejsi ludzie będą bardziej skorzy do współpracy.

Kiedy o zmroku opuścili z Anatolijem biuro i szli przez betonową płytę lotniska w kierunku kantyny, Jean-Pierre'a ogarnęło zniechęcenie. Zjedli marny obiad składający się z puszkowanych kielbasek i odgrzewanych tłuczonych ziemniaków, po którym Anatolij poszedł na wódkę z jakimiś zaprzyjaźnionymi oficerami, zostawiając Jean-Pierre'a pod opieką mówiącego tylko po rosyjsku sierżanta. Rozegrali partyjkę szachów, ale - ku konsternacji Jean-Pierre'a - sierżant był w nich dla niego o wiele za dobry. Udał się wcześniej na spoczynek i leżąc z otwartymi oczyma na twardym wojskowym materacu wyobrażał sobie Jane i Ellisa razem w łóżku.

Następnego ranka obudził go Anatolij. Jego orientalna twarz rozplywała się w uśmiechach, zniknęła z niej cała irytacja i Jean-Pierre poczuł się jak niegrzeczne dziecko, któremu wybaczone, chociaż, o ile się orientował, nie uczynił nic złego. Zjedli razem w kantynie poranną owsiankę. Anatolij rozmawiał już ze wszystkimi grupami pościgowymi, z których każda zwinęła o świcie obóz i znajdowała się teraz na trasie.

- Dzisiaj schwytemy twoją żonę, przyjacielu - oznajmił wesoło Anatolij i Jean-Pierre poczuł przyływ radosnego podniecenia.

Po wejściu do biura Anatolij ponownie połączył się przez radio ze ścigającymi. Pytał, co wokół siebie widzą, i na podstawie opisów strumieni, jezior, kotlin i moren Jean-Pierre określał, gdzie się mniej więcej znajdują. Zdawali się posuwać w straszliwie ślimaczym tempie jednego kilometra na godzinę, ale szli przecież pod górę w trudnym terenie i te same czynniki spowolniały również marsz Ellisa i Jane.

Każda grupa pościgowa miała swego przewodnika i kiedy docierała do miejsca, gdzie szlak się rozwidłał, a obie drogi prowadziły do Nurystanu, brali siłą dodatkowego przewodnika z najbliższej wioski i rozdzielali się na dwie grupy. Do południa mapy Jean-Pierre'a niczym dotknięte odrą upstrzone były małymi czerwonymi łebkami szpilek.

Pod wieczór nastąpiło niespodziewane urozmaicenie. W Bagram wylądował generał, który odbywał pięciodniowy objazd służbowy rosyjskich garnizonów w Afganistanie i postanowił sprawdzić, jak Anatolij wydaje pieniądze radzieckich podatników. Anatolij poinformował o tym Jean-Pierre'a w kilku słowach na parę sekund przed zjawieniem się generała, który wpadł jak bomba do małego pomieszczenia na czele grupy zaaferowanych oficerów, drepczących za nim spieszenie niczym kacuszki za matką.

Jean-Pierre był zafascynowany mistrzostwem, z jakim Anatolij przyjął gościa. Zerwał się sprężysto na nogi z wielką energią i niezmaconym spokojem zarazem, potrząsnął ręką generała, po czym podsunął mu krzesło, przez otwarte drzwi wydał kilka zwięzłych rozkazów, przez jakąś minutę szybko, ale wyraźnie mówił coś do generała, przeprosił go, rzucił do mikrofonu radia jakieś pytanie, przetłumaczył Jean-Pierre'owi zakłócaną trzaskami odpowiedź, jaka nadeszła z Nurystanu, a wreszcie po francusku przedstawił generałowi Jean-Pierre'a.

Generał zapytał o coś i Anatolij odpowiedział, pokazując łebki szpilek tkwiących w mapie Jean-Pierre'a. Nagle w wirze tego wszystkiego nie wywołana zgłosiła się jedna z grup pościgowych i podniecony głos zaszwargotał coś po rosyjsku. Anatolij uciszył generała w połowie zdania i nastawił ucha.

Jean-Pierre siedział na brzeжку twardego krzesła i nie mógł się doczekać tłumaczenia.

Głos zamilkł. Anatolij zadał pytanie i otrzymał odpowiedź.

- Co zobaczył? - nie wytrzymał Jean-Pierre.

Anatolij zignorował go przez chwilę i powiedział coś do generała. W końcu zwrócił się do Jean-Pierre'a.

- Znaleźli dwoje Amerykanów w wiosce o nazwie Atati w dolinie Nurystan.

- Wspaniale! - wykrzyknął Jean-Pierre. - To oni!

- Tak przypuszczam - zgodził się Anatolij.

Jean-Pierre nie mógł zrozumieć jego braku entuzjazmu.

- Oczywiście, że oni! Twoi żołnierze nie potrafią przecież odróżnić Amerykanina od Anglika.

- Prawdopodobnie nie. Ale mówią, że nie ma z nimi żadnego dziecka.

- Nie ma dziecka! - Jean-Pierre zasepił się. Jak to? Czyżby Jane zostawiła Chantal na wychowanie Rabii, Zaharze albo Farze w Dolinie Pięciu Lwów? To raczej niemożliwe. A może ukryła dziecko u jakiejś rodziny w tej wiosce na kilka sekund przed pojmaniem przez grupę pościgową? To także nie wydawało się prawdopodobne - w chwili zagrożenia instynkt nakazywałby Jane trzymać dziecko przy sobie.

Czyżby Chantal umarła?

To pewnie pomyłka, zdecydował - jakiś błąd w nadawaniu, zakłócenia atmosferyczne na łączu radiowym albo nawet ślepowy oficer w grupie pościgowej, który po prostu nie zauważył maleńkiego dziecka.

- Nie ma co spekulować - zwrócił się do Anatolija. - Trzeba tam polecieć i sprawdzić na miejscu.

- Chciałbym, żebyś zabrał się z oddziałem przechwytyjącym - powiedział Anatolij.

- Ma się rozumieć - odparł gorliwie Jean-Pierre i nagle uderzył go sens tego zdania. - To znaczy, że ty nie lecisz?

- Właśnie.

- Dlaczego?

- Jestem potrzebny tutaj - Anatolij wskazał wzrokiem generała.

- Rozumiem. - Bez wątplenia w kręgach wojskowej biurokracji toczyła się podjazdowa walka o stołki: Anatolij obawiał się opuścić bazę i zostawić w niej wężącego wszędzie generała, bo jakiś rywal korzystając z okazji mógłby podłożyć mu świnie.

Anatolij podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu i wydał po rosyjsku serię rozkazów. Jeszcze nie skończył, gdy do pomieszczenia wszedł oficer dyżurny i skinął na Jean-Pierre'a. Anatolij przykrył mikrofon dłonią i powiedział:

- Dadzą ci ciepły płaszcz - w Nurystanie jest już zima. *À bientôt.*

Jean-Pierre wyszedł za dyżurnym. Wkroczyli na betonową płytę lotniska. Czekali tam dwa helikoptery z obracającymi się już wirnikami: pluskwooki Hind z wyrzutniami rakiet podwieszonymi pod krótkie płetwy i sporo większy Hip, z rzędem okrągłych okienek wzdłuż kadłuba. Jean-Pierre'a zastanowiła obecność Hipa, ale natychmiast uświadomił sobie, że trzeba przecież ściągnąć z powrotem całą grupę pościgową. Gdy dochodzili już do maszyn, dogonił ich żołnierz z mundurowym ocieplanym płaszczem i wręczył go Jean-Pierre'owi. Jean-Pierre zarzucił płaszcz na ramiona i wspiął się do Hinda.

Wystartowali natychmiast. Jean-Pierre'a zżerała gorączka oczekiwania. Siedział na ławce w kabinie pasażerskiej z sześcioma żołnierzami. Lecieli na północny wschód.

Kiedy zostawili już bazę za sobą, pilot skinął na Jean-Pierre'a. Jean-Pierre przeszedł na przód maszyny i stanął na schodku, żeby usłyszeć, czego od niego chce.

- Ja będę twoim tłumaczem - powiedział tamten w niepewnej francuszczyźnie.

- Dziękuję. Wiesz, dokąd lecimy?

- Wiem. Mamy współrzędne i mogę rozmawiać przez radio z dowódcą każdej grupy.

- Świetnie. - Jean-Pierre był zaskoczony, że traktują go z takim szacunkiem.

Wyglądało na to, że dzięki powiązaniom z pułkownikiem KGB uzyskał honorowy stopień.

Wróciwszy na miejsce zaczął sobie wyobrazać, jak zareaguje na jego widok Jane. Odetchnie z ulgą? Będzie się stawiała? A może będzie po prostu wyczerpana? Ellis będzie, oczywiście, wściekły i załamany. A jak ja się zachowam? - zastanowił się. Pragnę ich upokorzyć, ale muszę zachowywać się godnie. Co powiem?

Spróbował wyobrazić sobie tę scenę. Ellis z Jane stoją na dziedzińcu jakiegoś meczetu albo siedzą na klepisku w jakiejś kamiennej chacie, prawdopodobnie związani, pilnowani przez żołnierzy z kałasznikowami. Prawdopodobnie są przemarznięci, głodni i załamani. Jean-Pierre wchodzi energicznym krokiem w rosyjskim szynelu, pewny siebie i władczy, w towarzystwie nadskakujących mu młodszych oficerów. Obrzuca ich przeciągłym, przenikliwym spojrzeniem i mówi...

No właśnie, co mówi? *Znowu się spotykamy* - brzmi strasznie melodramatycznie. *Naprawdę sądziliście, że zdołacie się nam wymknąć?* - to znów zbyt retorycznie. Lepiej już: *od początku nie mieliście szans*, tylko że mało efektownie.

W miarę jak zbliżali się do gór, temperatura spadała szybko. Jean-Pierre założył płaszcz i stojąc przy otwartych drzwiach helikoptera spoglądał w dół. Rozpościerała się tam dolina przypominająca trochę Dolinę Pięciu Lwów, z płynącą w cieniu gór rzeką pośrodku.

Na szczytach i skalnych półkach po obu stronach zalegał śnieg, ale w samej dolinie go nie było.

Jean-Pierre przeszedł na przód maszyny i zbliżywszy się do pokładu nawigacyjnego nachylił się do ucha pilota.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- Nazywają to doliną Sakardara - odparł tamten. - Dalej na północ zmienia nazwę na dolinę Nurystan. Zaprowadzi nas do samego Atati.

- Kiedy tam będziemy?

- Za dwadzieścia minut.

Wydawało mu się to wiecznością. Z wysiłkiem opanowując niecierpliwość wrócił na swoje miejsce na ławce między żołnierzami. Siedzieli nieruchomi i przyglądali mu się w milczeniu. Chyba się go obawiali. Sądził może, że jest z KGB.

Bo jestem z KGB, przyszło mu nagle do głowy.

Ciekaw był, o czym myślą teraz ci żołnierze. Może o swoich dziewczynach i żonach, które zostawili w domach? Ich dom będzie od tej chwili jego domem. Otrzyma mieszkanie w Moskwie. Czy teraz jego życie z Jane będzie się układało szczęśliwie? Zamierzał zainstalować ją wraz z Chantal w moskiewskim mieszkaniu, on sam zaś, podobnie jak ci żołnierze, miał prowadzić dalej walkę o słuszną sprawę w obcych krajach i z niecierpliwością wyczekiwać urlopu, by móc wrócić do domu, znowu spać z żoną i patrzeć, jak rośnie córeczka. Ja zdradziłem Jane, a ona mnie, pomyślał, może zdołamy sobie nawzajem wybaczyć, choćby tylko przez wzgląd na Chantal.

Co się stało z Chantal?

Wkrótce się dowie. Helikopter wytracał wysokość. Byli prawie na miejscu. Jean-Pierre wstał, żeby ponownie wyjrzeć przez otwarte drzwi. Opuszczali się na łąkę, na której strumień wpadał do głównej rzeki. Okolica była ładna, z kilkoma zaledwie chatkami w typowy dla Nurystanu sposób przylepionymi do stoku jedna nad drugą: Jean-Pierre pamiętał to z fotografii w albumach poświęconych Himalajom.

Helikopter osiadł na ziemi.

Jean-Pierre wyskoczył z maszyny. Z najniższego z piramidy drewnianych domów po drugiej stronie łąki wyszło kilku rosyjskich żołnierzy - niewątpliwie grupa pościgowa. Jean-Pierre czekał niecierpliwie na pilota, który miał być jego tłumaczem. Rosjanin wysiadł wreszcie z helikoptera.

- Idziemy! - rzucił do niego Jean-Pierre i ruszył przodem przez łąkę. Z trudnością powstrzymywał się, by nie puścić się biegiem. Ellis z Jane znajdują się prawdopodobnie w

domu, z którego wyszła grupa pościgowa, myślał, i szybkim krokiem zdążył w tamtą stronę. Zaczynała w nim zbierać złość - długo tłumiona wściekłość wypływała na powierzchnię. Do diabła z zachowaniem godności, pomyślał, wygarnę tej wstrętnej parze, co o nich myślę.

Gdy zbliżył się do grupy pościgowej, oficer stojący na przedzie zaczął coś mówić. Ignorując go Jean-Pierre zwrócił się do pilota:

- Spytaj go, gdzie są - warknął.

Pilot spełnił polecenie i oficer wskazał na drewniany dom. Bez dalszych ceregieli Jean-Pierre minął żołnierzy i wparował do środka.

Gdy wpadał jak burza w drzwi prostej chaty, jego rozjuszenie sięgało punktu wrzenia. Pod ścianą stało jeszcze kilku żołnierzy z grupy pościgowej. Spojrzeli na Jean-Pierre'a i usunęli mu się z drogi.

Na posłaniu w kącie leżało dwoje związanych ludzi.

Jean-Pierre gapił się na nich oniemiały. Szczeka mu opadła, a krew odpłynęła z twarzy. Miał przed sobą chudego, anemicznego chłopaka w wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat z długimi, przetłuszczonymi włosami i obwisłymi wąsami oraz piersiastą blondynkę z kwiatami we włosach. Chłopak spojrzał z ulgą na Jean-Pierre'a i odezwał się po angielsku:

- Hej, człowieku, pomożesz nam? Wdepnęliśmy w to gównno po pachy.

Jean-Pierre miał wrażenie, że zaraz wybuchnie. To była po prostu zdążająca do Katmandu para hipisów, rzadkie okazy miłośników turystyki, która mimo toczącej się wojny nie całkiem jeszcze zamarała. Co za zawód! Że też musieli się znaleźć akurat tutaj w momencie, gdy cały świat śledzi w napięciu ucieczkę pary z Zachodu!

Jean-Pierre na pewno nie pomoże dwójce zaćpanych degeneratów. Odwrócił się do nich plecami i wyszedł.

Zderzył się w progu z wchodzącym do chaty pilotem.

- Co jest? - spytał Rosjanin widząc wyraz twarzy Jean-Pierre'a.

- To nie oni. Chodź ze mną.

Pilot potruchtał za Jean-Pierre'em.

- Nie oni? To nie Amerykanie?

- Amerykanie, ale nie ci, których szukamy.

- Co pan teraz zamierza?

- Porozmawiać z Anatolijem. Połączysz mnie z nim przez radio.

Przeszli przez łąkę i wdrapali się do helikoptera. Jean-Pierre usiadł na miejscu strzelca pokładowego i założył na głowę słuchawki. Postukiwał niecierpliwie butem w podłogę nie mogąc się doczekać, kiedy pilot skończy wreszcie przedłużającą się niemiłosiernie,

prowadzoną po rosyjsku rozmowę przez radio. W końcu w słuchawkach rozległ się odległy, zniekształcony trzaskami zakłóceń atmosferycznych głos Anatolija:

- Jean-Pierre, przyjacielu, tu Anatolij. Gdzie jesteś?

- W Atati. Tych dwoje złapanych Amerykanów to nie Ellis z Jane. Powtarzam, to nie są Ellis i Jane. To para gówniarzy szukających nirwany. Odbiór.

- Wcale mnie to nie zaskakuje, Jean-Pierre - odpowiedział głos Anatolija.

- Co? - chciał mu przerwać Jean-Pierre zapominając, że łączność jest jednokierunkowa.

- ...otrzymałem serię meldunków donoszących, że Ellisa i Jane widziano w dolinie Linar. Grupa pościgowa nie doszła ich jeszcze, ale podąża świeżym tropem. Odbiór.

Złość Jean-Pierre'a na hipisów wyparowała i zapal wrócił mu częściowo.

- Dolina Linar... gdzie to jest? Odbiór.

- Niedaleko miejsca, w którym się teraz znajdujesz. Przechodzi w dolinę Nurystan niespełna dwadzieścia mil od Atati. Odbiór.

Tak blisko!

- Jesteś pewien? Odbiór.

- Grupa pościgowa zebrała kilka zeznań w wioskach, przez które przechodzili. Opisy pasują do Ellisa i Jane. Wspominają też o dziecku. Odbiór.

A więc to oni.

- Czy można już określić, gdzie się w tej chwili znajdują? Odbiór.

- Jeszcze nie. Jestem już w drodze, żeby dołączyć do grupy pościgowej. Wtedy będę znał więcej szczegółów. Odbiór.

- To znaczy, że nie mówisz z Bagram? A co z twoim... hmm... gościem? Odbiór.

- Wyjechał - rzucił lakonicznie Anatolij. - Jestem teraz w powietrzu i niebawem mam się spotkać z oddziałem w wiosce o nazwie Mundol. Leży w dolinie Nurystan, poniżej miejsca, gdzie Linar łączy się z Nurystanem, w pobliżu wielkiego jeziora noszącego również nazwę Mundol. Dobij tam do mnie. Przenocujemy i od rana przejmujemy nadzór nad poszukiwaniami. Odbiór.

- Będę tam! - powiedział z podnieceniem Jean-Pierre. Uderzyła go pewna myśl. - A co zrobimy z tymi hipisami? Odbiór.

- Kazałem ich przewieźć do Kabulu na przesłuchanie. Mamy tam paru ludzi, którzy przypomną im o realiach materialistycznego świata. Daj mi teraz twojego pilota. Odbiór.

- Do zobaczenia w Mundol. Odbiór.

Anatolij zaczął rozmawiać po rosyjsku z pilotem i Jean-Pierre zdjął z głowy słuchawki. Nie rozumiał, dlaczego Anatolij chce tracić czas na przesłuchanie pary nieszkodliwych hipisów. Na pewno nie byli szpiegami. Potem dotarło do niego, że jedyną osobą, która naprawdę wie, czy tych dwoje to Ellis i Jane, jest on sam, Jean-Pierre. Istniała przecież możliwość - chociaż zupełnie nieprawdopodobna - że Ellis z Jane mogli go przekonać, aby puścił ich wolno, a Anatolijowi powiedział, że jego grupa pościgowa ujęła parę hipisów.

Z tego Rosjanina był jednak kawał podejrzliwego sukinsyna.

Jean-Pierre czekał niecierpliwie, aż Anatolij skończy rozmowę z pilotem. Z tego, czego się przed chwilą dowiedział, wynikało, że grupa pościgowa przebywająca w wiosce Mundol depcze już zbiegom po piętach. Być może jutro Ellis i Jane zostaną ujęci. Prawdę mówiąc, ich próba ucieczki od samego początku była skazana na niepowodzenie; ale nie oszczędziło to Jean-Pierre'owi zmartwień i dopóki tych dwoje nie zostanie wtrąconych do rosyjskiej celi ze związanymi rękami i nogami, nadal cierpieć będzie męki niepewności.

Pilot zdjął z głowy słuchawki i powiedział:

- Podrzucimy pana tym helikopterem do Mundol. Hip zabierze resztę grupy z powrotem do bazy.

- W porządku.

Kilka minut później byli już w powietrzu, pozostawiając ludzi z grupy pościgowej samym sobie. Ściemniało się i Jean-Pierre'a ogarnęła obawa, że mogą mieć trudności z odnalezieniem wioski Mundol.

Noc zaskoczyła ich, gdy lecieli w dół rzeki. Krajobraz pod nimi pogrążył się nagle w ciemnościach. Pilot rozmawiał bez przerwy przez radio i Jean-Pierre przypuszczał, że to ludzie przebywający w Mundol naprowadzają go na wioskę. Po kilkunastu minutach w dole rozbłysły silne światła. Mniej więcej pół mili za światłami na powierzchni jakiegoś wielkiego zbiornika wodnego odbijał się księżyc. Helikopter zszedł w dół.

Wylądował w polu w pobliżu innego helikoptera. Oczekujący ich żołnierz poprowadził Jean-Pierre'a przez trawę do wioski na zboczu wzgórza. Blask księżyca podkreślał sylwetki drewnianych chat. Jean-Pierre wszedł za żołnierzem do jednej z nich. Na składanym krzeselku, owinięty w ogromne futro z wilczych skór, siedział Anatolij.

Był bardzo podniecony.

- Jean-Pierre, mój francuski przyjacielu, jesteśmy bliscy sukcesu! - zawołał głośno na jego widok. Dziwnie wyglądał człowiek o orientalnych rysach twarzy zachowujący się tak serdecznie i jowialnie. - Masz, napij się kawy - dolałem do niej trochę wódki.



Jean-Pierre wziął papierowy kubek od Afganki, która, jak się okazało, obsługiwała Anatolijowi. Usiadł na takim samym składanym krzeselku. Wyglądały na krzeselka z wyposażenia armii. Jeśli Rosjanie taszczą ze sobą tyle sprzętu - składane krzesła, kawę, papierowe kubki i wódkę - to całkiem możliwe, że mimo wszystko nie poruszają się szybciej od Ellisa i Jane.

Anatolij czytał w jego myślach.

- Przywiozłem trochę luksusowych artykułów moim helikopterem - wyjaśnił z uśmiechem. - Orientujesz się chyba, że KGB ma swoje przywileje.

Jean-Pierre nie potrafił rozszyfrować wyrazu jego twarzy i nie był pewien, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- Jest coś nowego?

- Nasi zbiegowie na pewno przechodzili dzisiaj przez wioskę Bosaydur w Linar. Po południu grupa pościgowa straciła na trasie swego przewodnika - po prostu zniknął. Prawdopodobnie postanowił wracać do domu. - Anatolij zmarszczył czoło, jak gdyby zaintrygowany tym mało istotnym, ale niejasnym incydentem, zaraz jednak podjął swoją relację. - Na szczęście niemal natychmiast znaleźli na jego miejsce innego.

- Uciekając się, bez wątpienia, do twojej wysoce przekonującej metody werbunku - odpowiedział Jean-Pierre.

- Dziwne, ale nie. Powiedzieli mi, że ten naprawdę zgłosił się na ochotnika. Jest tu gdzieś w wiosce.

- To oczywiste, że tutaj, w Nurystanie, łatwiej o ochotników - mruknął w zamyśleniu Jean-Pierre. - Nie angażują się właściwie w wojnę, a poza tym mają opinię ludzi całkowicie pozbawionych skrupułów.

- Ten nowy człowiek twierdzi, że dzisiaj, zanim natknął się na nas, rzeczywiście widział zbiegów. Minał się z nimi gdzieś w okolicach miejsca, w którym Linar wpada do Nurystanu. Widział, jak skręcają na południe i kierują się w tę stronę.

- Boże!

- Po przybyciu grupy pościgowej tu, do Mundol, nasz człowiek wypytał paru wieśniaków i dowiedział się, że przed wieczorem przechodziło tędy dwoje cudzoziemców z dzieckiem. Zmierzali na południe.

- A zatem nie ma żadnych wątpiwości - powiedział z satysfakcją Jean-Pierre.

- Absolutnie - przyznał Anatolij. - Jutro ich schwytamy. Na pewno.

\*\*\*

Jean-Pierre obudził się na nadmuchiwanym materacu - jeszcze jeden luksus KGB - rozłożonym na klepisku chaty. Ogień w nocy wygasi i było zimno. Poślanie Anatolija pod drugą ścianą słabo oświetlonej izby było puste. Jean-Pierre nie miał pojęcia, gdzie spędzają noc właściciele chaty. Gdy tylko zorganizowali żywność i przyrządzili z niej posiłek, Anatolij odprawił ich. Traktował cały Afganistan tak, jakby to było jego własne królestwo. Być może i nim było.

Jean-Pierre usiadł, przetarł oczy i w tym momencie ujrzał Anatolija stojącego w progu i przyglądającego mu się dziwnie.

- Dzień dobry - pozdrowił Rosjanina.

- Czy byłeś tu już kiedyś? - spytał bez wstępów Anatolij.

Umysł Jean-Pierre'a jeszcze się na dobre nie rozbudził.

- Gdzie?

- W Nurystanie - rzucił niecierpliwie Anatolij.

- Nie.

- Dziwne.

Ten enigmatyczny styl rozmowy o tak wczesnej porze rozdrażnił Jean-Pierre'a.

- A co? - spytał z irytacją. - Co w tym dziwnego?

- Przed paroma minutami rozmawiałem z nowym przewodnikiem.

- Jak się nazywa?

- Mohammed, Muhammed, Mahomet, Mahmoud - jedno z tych imion, które nosi jeszcze z milion innych ludzi.

- Jakim językiem się posługuje, nurystańskim?

- Francuskim, rosyjskim, dari i angielskim - normalna mieszanina. Pytał mnie, kto przyleciał wieczorem drugim helikopterem. Odpowiedziałem: „Francuz, który może zidentyfikować zbiegów” albo coś w tym sensie. Spytał mnie o twoje imię, więc mu je podałem - chciałem wciągnąć go w rozmowę, żeby się dowiedzieć, czemu go to tak interesuje. Ale o nic już więcej nie spytał. Wyglądało to tak, jakby cię znał.

- Niemożliwe.

- Tak przypuszczam.

- Dlaczego nie spytałeś go wprost? - Komu jak komu, ale Anatolijowi nie można zarzucić nieśmiałości, pomyślał Jean-Pierre.

- Nie ma sensu zadawać komuś pytania, dopóki się nie ustali, czy ma powody, aby skłamać. - Z tymi słowami Anatolij odwrócił się i wyszedł.

Jean-Pierre wstał. Spał w koszuli i bieliźnie. Naciągnął spodnie, wzuł buty, narzucił sobie na ramiona płaszcz i wyszedł z chaty.

Znalazł się na werandzie z surowego drewna, z której roztaczał się widok na całą dolinę. W dole, wśród uprawnych pól, wiła się leniwie szeroka rzeka, która dalej na południe wpadała do wąskiego jeziora obramowanego górami. Słońce jeszcze nie wzeszło. Drugi brzeg jeziora skrywał się za snującą się nad wodą mgiełką. Ładnie to wyglądało. Jean-Pierre przypomniał sobie, że to najżyźniejsza i najgęściej zaludniona część Nurystanu: reszta to odludzie.

Jean-Pierre z uznaniem zauważył, że Rosjanie wykopali połowę latryny. Afgański zwyczaj wykorzystywania w tym celu strumieni, z których czerpano potem wodę do picia, sprawiał, że wszyscy tubylcy mieli robaki. Obejmując nad tym krajem kontrolę, pomyślał, Rosjanie naprawdę zaprowadzą tu porządek.

Zszedł na łąkę, skorzystał z latryny, umył się w rzece i wziął kubek kawy od grupki żołnierzy stojącej wokół ogniska.

Grupa pościgowa była gotowa do wymarszu. Anatolij jeszcze wieczorem zdecydował, że będzie kierował poszukiwaniami stąd, pozostając z grupą w stałym kontakcie radiowym. Helikopter miał czekać w gotowości, by zaraz po zlokalizowaniu zbiegów przerzucić Anatolija z Jean-Pierre'em na miejsce akcji.

Gdy Jean-Pierre siorbał jeszcze swoją kawę, polem od strony wioski nadszedł Anatolij.

- Widzieliście tego cholernego przewodnika? - warknął ze złością.

- Nie.

- Wygląda na to, że znikł.

Jean-Pierre uniósł brwi.

- Tak samo jak poprzedni.

- Ci ludzie są niemożliwi. Będę musiał popytać wieśniaków. Chodź ze mną, będiesz tłumaczył.

- Nie znam ich języka.

- Może zrozumieją twój dari.

Jean-Pierre podążył za Anatolijem przez łąkę w stronę wioski. Gdy podchodzili pod górę wydeptaną ścieżką biegnącą pomiędzy rozchwierutanyimi chatami, ktoś krzyknął coś po rosyjsku do Anatolija. Zatrzymali się i spojrzeli w tamtą stronę. Na werandzie jednej z chat tłoczyło się kilkunastu mężczyzn - Nurystańczycy w bieli i Rosjanie w mundurach - patrząc

na coś rozciągniętego na ziemi. Rozstąpili się robiąc przejście Anatolijowi i Jean-Pierre'owi. Na podłodze werandy leżał trup mężczyzny.

Wieśniacy trajkotali coś rozeźlonymi głosami i pokazywali na ciało. Mężczyzna miał poderżnięte gardło: rana rozwierała się odrażająco, a głowa ledwie trzymała się tułowia. Krew już zakrzepła - prawdopodobnie został zamordowany jeszcze wczoraj.

- Czy to ten przewodnik Mohammed? - spytał Jean-Pierre.

- Nie - odparł Anatolij. - To poprzedni przewodnik, ten, który znikł - dodał po chwili po przepytaniu kilku żołnierzy.

- Co tu się dzieje? - zwrócił się do wieśniaków Jean-Pierre mówiąc powoli i wyraźnie w dari.

Zapadła chwila milczenia.

- Został zamordowany! - wykrzyknął po chwili oskarżycielsko w tym samym języku pomarszczony starzec z okropną okluzją w prawym oku.

Jean-Pierre zaczął go wypytywać i kawałek po kawałku wyłoniła się z tego cała historia. Zamordowany był wieśniakiem z doliny Linar, którego Rosjanie zwerbowali na przewodnika. Jego ciało, ukryte niedbale w kępie krzaków, znalazł pies pasterza kóz. Rodzina mężczyzny uważała, że zamordowali go Rosjanie, przyniosła więc tu ciało rano, z dramatycznym żądaniem wyjaśnienia powodu.

Jean-Pierre powtórzył to Anatolijowi.

- Są rozjuszeni, bo sądzą, że zabili go twoi ludzie - zakończył.

- Rozjuszeni? - zachnął się Anatolij. - Nie wiedzą, że toczy się wojna? Co dzień giną ludzie - na tym to właśnie polega.

- Najwyraźniej nie odczuwają tutaj tak jej skutków. Zabiliście go?

- Zaraz się dowiem. - Anatolij spytał o coś żołnierzy. Kilku z nich odpowiedziało ożywionym chórem. - Nie zabiliśmy go - przetłumaczył Anatolij Jean-Pierre'owi.

- Ciekawe więc, kto to zrobił? Czyżby miejscowi mordowali naszych przewodników za współpracę z wrogiem?

- Nie - stwierdził Anatolij. - Gdyby czuli nienawiść do kolaborantów, nie robiliby takiej afery z tego zabitego. Powiedz im, że jesteśmy niewinni - uspokój ich.

Jean-Pierre zwrócił się do jednookiego:

- Cudzoziemcy nie zabili tego człowieka. Też chcą wiedzieć, kto zamordował ich przewodnika.

Jednooki przetłumaczył to swoim ziomkom i wieśniacy zareagowali konsternacją.

- Może to ten Mohammed, który gdzieś się zapodział, zabił tego człowieka, aby objąć po nim funkcję przewodnika - zastanawiał się głośno Anatolij.

- Dobrze płacicie? - spytał Jean-Pierre.

- Wątpię. - Anatolij zwrócił się z pytaniem do sierżanta i przetłumaczył jego odpowiedź: - Pięćset afganów dziennie.

- Dla Afgańczyka to dobra zapłata, ale chyba nie aż tak, żeby za nią zabijać... chociaż mówią, że Nurystańczyk zamordowałby cię za sandały, gdyby te były nowe.

- Zapytaj ich, czy wiedzą, gdzie jest Mohammed.

Jean-Pierre spytał. Rozpętała się dyskusja. Większość wieśniaków kręciła głowami, ale jeden z nich przekrzykując resztę podniósł głos i zaczął z ożywieniem wskazywać na północ. W końcu jednooki zwrócił się do Jean-Pierre'a:

- Opuścił wioskę wczesnym rankiem. Abdul widział go, jak szedł na północ.

- Wyruszył przed czy po przyniesieniu tutaj tego ciała?

- Przed.

Jean-Pierre przekazał te informacje Anatolijowi i dodał od siebie:

- Zastanawia mnie, dlaczego w takim razie odszedł?

- Zachowuje się jak człowiek mający coś na sumieniu.

- Musiał wyruszyć z samego rana, zaraz po rozmowie z tobą. Wygląda to zupełnie tak, jakby odszedł, bo ja się tu zjawiłem.

Anatolij pokiwał w zamyśleniu głową.

- Nie bardzo rozumiem, co to wszystko znaczy, ale sądzę, że on wie coś, czego my nie wiemy. Lepiej ruszyć za nim w pościg. Jeśli stracimy trochę czasu, to trudno - możemy sobie na to pozwolić.

- Jak dawno z nim rozmawiałaś?

Anatolij popatrzył na zegarek.

- Niewiele ponad godzinę temu.

- A więc nie mógł ujść daleko.

- Racja. - Anatolij odwrócił się i wyrzucił z siebie kilka rozkazów. Żołnierze ożywili się nagle. Dwaj chwycili pod ręce jednookiego i poprowadzili go w dół, w stronę pola. Trzeci pobiegł przodem ku helikopterom. Anatolij wziął Jean-Pierre'a pod ramię i ruszyli szybkim krokiem za żołnierzami.

- Zabieramy tego jednookiego na wypadek, gdybyśmy potrzebowali tłumacza - wyjaśnił po drodze Jean-Pierre'owi.

Gdy dotarli na łąkę, oba helikoptery zapuszczały już silniki. Wsiedli do jednego z nich. Jednooki był już w środku i wyglądał na przejętego i przerażonego jednocześnie. Będzie opowiadał o tym dniu przez resztę życia, pomyślał Jean-Pierre.

Kilka minut później byli już w powietrzu. Anatolij i Jean-Pierre stali w otwartych drzwiach i spoglądali w dół. Dobrze wydeptany, wyraźnie widoczny trakt prowadził z wioski na szczyt wzgórza, po czym znikał między drzewami. Anatolij powiedział coś do mikrofonu radia pilota, a potem wyjaśnił Jean-Pierre'owi:

- Wysłałem kilku żołnierzy, żeby przetrząsnęli ten las na wypadek, gdyby postanowił się ukryć.

Uciekinier zapewne poszedł już dalej, pomyślał Jean-Pierre, ale Anatolij jak zwykle wołał dmuchać na zimne.

Przez jakąś milę lecieli równolegle do rzeki i tak dotarli do wylotu doliny Linar. Czy Mohammed poszedł dalej na północ, zapuszczając się w zimne serce Nurystanu, czy też skręcił na wschód, w dolinę Linar, kierując się na Dolinę Pięciu Lwów?

- Skąd pochodzi Mohammed? - spytał Jean-Pierre jednookiego.

- Nie wiem - odparł starzec. - Ale to Tadżyk.

To by znaczyło, że jest raczej z doliny Linar niż z Nurystanu. Jean-Pierre podzielił się swym spostrzeżeniem z Anatolijem i ten kazał pilotowi skręcić w lewo i lecieć dalej nad doliną Linar.

Oto najlepszy przykład, że poszukiwań Ellisa i Jane nie można prowadzić z helikoptera. Mohammed miał tylko godzinę przewagi nad pościgiem, a już mogli zgubić jego trop. Gdy zbiegów tak jak Ellisa i Jane dzieli od ścigających cały dzień drogi, w grę wchodzi o wiele więcej możliwości wyboru alternatywnych tras i kryjówek.

Jeśli nawet doliną Linar wiódł jakiś trakt, to z powietrza nie było go widać. Pilot helikoptera trzymał się po prostu rzeki. Zbocza wzgórz pozbawione były roślinności, ale nie pokrywał ich jeszcze śnieg, jeśli więc zbieg gdzieś tutaj był, to me miał się gdzie ukryć.

Spostrzegli go kilka minut później.

Jego białe szaty i turban odcinały się wyraźnie od szaroburego podłoża. Maszerował krawędzią urwiska miarowym, niezmordowanym krokiem afgańskiego wędrowca, z torbą z dobytkiem przewieszoną przez ramię. Usłyszawszy warkot helikopterów zatrzymał się i obejrzał, po czym ruszył dalej.

- To on? - spytał Jean-Pierre.

- Chyba tak - odparł Anatolij. - Zaraz sprawdzimy. - Wziął od pilota słuchawki i połączył się z drugą maszyną. Helikopter przeleciał nad maszerującą w dole postacją i wylądował jakieś sto metrów przed nią. Wędrowiec zbliżał się do niego nie zwalniając kroku.

- A dlaczego my nie lądujemy? - spytał Jean-Pierre Anatolija.

- Środki ostrożności.

Otworzyły się boczne drzwi drugiego helikoptera i wyskoczyło z niego sześciu żołnierzy. Człowiek w bieli szedł dalej w ich kierunku ściągając po drodze torbę z ramienia. Była długa, przypominała worki wojskowe, i jej widok uruchomił w pamięci Jean-Pierre'a sygnał alarmowy. Zanim jednak zdołał sobie uzmysłwić, z czym mu się kojarzyła, Mohammed poderwał torbę i wycelował z niej do żołnierzy. Jean-Pierre zrozumiał, co się za chwilę stanie, i już otwierał usta, by wykrzyknąć daremne ostrzeżenie.

Było to jak próba krzyknienia we śnie albo jak bieg pod wodą: zdarzenia następowały niczym w zwolnionym filmie, ale jego reakcje były jeszcze wolniejsze. Zanim zdążył wydobyć głos z krtani, ujrzał wynurzającą się z torby lufę karabinu maszynowego.

Huk strzałów utonął w warkocie helikopterów, co dawało dziwaczne wrażenie, że wszystko odbywa się w martwej ciszy. Jeden z rosyjskich żołnierzy chwycił się za brzuch i runął na twarz, drugi rozrzucił ręce i upadł na wznak, twarz trzeciego bryznęła krwią i strzępami ciała. Trzej pozostali poderwali broń. Jeden padł, zanim zdążył pociągnąć za spust, ale kałasznikowy jego kolegów rzygnęły gradem pocisków, i podczas gdy Anatolij darł się do radia: „*Niet! Niet! Niet! Niet!*”, ciało Mohammeda wleciało w powietrze i odrzucone do tyłu zważyło się na zimną ziemię krwawym ochłapem.

Anatolij wrzeszczał wciąż wściekle do radia. Helikopter opadał szybko. Jean-Pierre poczuł, że dygocze cały z podniecenia. Widok walki podzielał na niego jak dawka kokainy i miał ochotę śmiać się, skakać, biec albo tańczyć. Przez głowę przebiegła mu myśl - przecież zawsze chciałem ludzi leczyć.

Helikopter osiadł na ziemi. Anatolij ściągnął z głowy słuchawki krzywiąc się z niesmakiem.

- Teraz już się nie dowiemy, dlaczego poderżnął gardło temu przewodnikowi - powiedział i wyskoczył z maszyny. Jean-Pierre poszedł w jego ślady.

Podeszli do martwego Afgańczyka. Przód jego ciała stanowił miazgę rozszarpanego mięsa, a twarz była zmasakrowana nie do poznania, ale Anatolij stwierdził:

- To ten przewodnik, jestem pewien. Taka sama budowa ciała, ta sama barwa skóry i poznaję torbę. - Schylił się i podniósł ostrożnie karabin. - Ale po co nosił ze sobą karabin maszynowy?

Z torby wypadł arkusik papieru i wirując opadł na ziemię. Jean-Pierre podniósł go. Była to polaroidowska fotografia Mousy.

- O Boże - powiedział. - Chyba rozumiem.

- Co to? - spytał Anatolij. - Co rozumiesz?

- Ten zabity jest z Doliny Pięciu Lwów - powiedział Jean-Pierre. - Był jednym z najbardziej zaufanych adiutantów Masuda. To fotografia jego syna, Mousy. Zrobiła ją Jane. Poznają też torbę, w której ukrył karabin: należała wcześniej do Ellisa.

- No i co z tego? - rzucił niecierpliwie Anatolij. - Co z tego wnioskujeś?

Mózg Jean-Pierre'a był naładowany informacjami i przetwarzał je szybciej, niż Jean-Pierre potrafił je wyjaśnić.

- Mohammed zabił waszego przewodnika, żeby zająć jego miejsce - zaczął. - Nie byliście w stanie stwierdzić, że nie jest tym, za kogo się podaje. Nurystańczycy wiedzieli oczywiście, że nie jest jednym z nich, ale to nie miało znaczenia, bo po pierwsze, nie orientowali się, że udaje miejscowego, a po drugie, nawet gdyby się zorientowali, nie mogliby wam tego powiedzieć, gdyż był jednocześnie waszym tłumaczem. Właściwie tylko jedna osoba mogłaby go zdemaskować...

- Ty - wpadł mu w słowo Anatolij. - Bo go znałeś.

- Zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa i był na nie wyczulony. To dlatego spytał cię rano, kto przyleciał wczoraj po zapadnięciu zmroku. Wymieniłeś moje nazwisko, a wtedy natychmiast odszedł. - Jean-Pierre zmarszczył czoło: coś tu się niezupełnie zgadzało. - Ale dlaczego szedł otwartym terenem? Mógł przecież kryć się między drzewami albo zaszyć w jakiejś jaskini - nie znaleźlibyśmy go wtedy tak szybko. To wygląda zupełnie tak, jakby się nie spodziewał pościgu.

- A dlaczego miałby się go spodziewać? - spytał Anatolij. - Kiedy zniknął pierwszy przewodnik, nie wszczęliśmy poszukiwań - wzięliśmy po prostu innego przewodnika i szliśmy dalej; żadnego śledztwa, żadnej pogoni. Tym razem na nieszczęście dla Mohammeda tubylcy znaleźli ciało i oskarżyli nas o morderstwo. To skierowało nasze podejrzenia na Mohammeda. I mimo to zastanawialiśmy się jeszcze, czy nie dać sobie z nim spokoju i nie iść dalej. Miał pecha.

- Nie wiedział, z jak ostrożnym człowiekiem ma do czynienia - powiedział Jean-Pierre. - A teraz pytanie, co chciał w ten sposób osiągnąć? Dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby zająć miejsce właściwego przewodnika?

- Przypuszczalnie po to, żeby sprowadzić nas na fałszywy trop. Prawdopodobnie wszystko, co nam powiedział, było kłamstwem. Nie widział Ellisa z Jane wczoraj po południu



u wylotu doliny Linar. Nie skręcili na południe w Nurystan. Wieśniacy z Mundol nie potwierdzili faktu, że przechodziła tędy wczoraj dwójka cudzoziemców z dzieckiem, kierując się na południe - Mohammed nie zadał im ani jednego pytania. On wiedział, gdzie są zbiegowie.

- I, ma się rozumieć, poprowadził nas w przeciwnym kierunku! - Jean-Pierre znów się podniecił. - Poprzedni przewodnik zniknął zaraz po opuszczeniu przez grupę pościgową wioski Linar, prawda?

- Tak. Możemy więc przyjąć, że do tego miejsca meldunki są rzetelne - a zatem Ellis z Jane przechodzili przez tę wioskę. Potem funkcję przewodnika objął Mohammed i poprowadził nas na południe...

- Bo Ellis i Jane poszli na północ! - wykrzyknął tryumfalnie Jean-Pierre.

Anatolij pokiwał ponuro głową.

- Mohammed zyskał dla nich najwyżej jeden dzień - mruknął w zamyśleniu. - Zapłacił za to życiem. Czy warto było?

Jean-Pierre spojrzał znowu na polaroidowską fotografię Mousy. Trzepotała mu w dłoni w podmuchach zimnego wiatru.

- Wiesz? - powiedział cicho. - Wydaje mi się, że Mohammed odpowiedziałby: tak, warto było.

## ROZDZIAŁ 19

Opuścili Gadwał w głębokich ciemnościach jeszcze przed brzaskiem, mając nadzieję, że w ten sposób pozostawią Rosjan w tyle. Ellis orientował się, jak trudno najlepszemu nawet oficerowi ruszyć oddział żołnierzy przed świtem - kucharz musi przyrządzić śniadanie, kwatermistrz zwinąć obóz, radiooperator nawiązać łączność z dowództwem, a ludzie zjeść; a wszystkie te czynności trwają. Ellis miał tę przewagę nad sowieckim oficerem, że jego przygotowania do wymarszu sprowadzały się do objuczenia kobyły w czasie, gdy Jane karmiła Chantal, a potem obudzenia potrząśnięciem Halama.

Czekała ich dzisiaj długa, powolna wspinaczka przez osiem, dziewięć mil na zbocza doliny Nurystan, a potem dalej, w wyższe partie jednej z dolin bocznych. Pierwszy nurystański odcinek drogi nie powinien przysporzyć zbytnich trudności nawet po ciemku, myślał Ellis, bo posuwali się czymś w rodzaju drogi. Jeśli tylko Jane nie opadnie z sił, powinni dotrzeć po południu do doliny bocznej i przed zapadnięciem zmierzchu pokonać jeszcze kilka mil pod górę. Kiedy już wydostaną się z doliny Nurystan, wytopienie ich stanie się o wiele trudniejsze, gdyż Rosjanie nie będą wiedzieli, którą z bocznych dolin poszli.

Pierwszy szedł Halam w ubraniu Mohammeda, nawet w jego czapce chitrali. Za nim podążała Jane z Chantal, pochód zamykał prowadzący Maggie Ellis. Koń dźwigał teraz o jedną torbę mniej - Mohammed zabrał wojskowy worek i Ellis nie znalazł stosownego zamiennika. Zmuszony był zostawić większość sprzętu minerskiego w Gadwał. Zatrzymał jednak trochę TNT, odcinek lontu primacord, kilka spłonek i ręczny odpalacz, upychając to wszystko w obszernych kieszeniach swego płaszcza.

Jane tryskała humorem i energią. Wczorajszy odpoczynek odnowił rezerwy jej sił. Odnaczała się zadziwiającym hartem i Ellis był z niej dumny, chociaż nie bardzo rozumiał, co upoważnia go do odczuwania dumy z jej wytrzymałości.

Halam niósł świecową latarnię, która rzucała groteskowe cienie na ściany urwiska. Był chyba w złym humorze. Wczoraj rozpływał się w uśmiechach, wyraźnie zadowolony z udziału w tej dziwacznej wyprawie, ale tego ranka mina mu zrzędła i milczał. Ellis sądził, że spowodował to tak wczesny wymarsz.

Ścieżka wiła się podnóżem urwiska omijając wcinające się w strumień skalne występy; raz biegła tuż nad wodą, to znów pięła się aż na szczyt skarpy. Po przebyciu mniej więcej mili dotarli do miejsca, gdzie utarty szlak zniknął i po lewej stronie mieli urwisko, a po

prawej rzekę. Halam powiedział, że ścieżkę rozmył deszcz i żeby znaleźć obejście, będą musieli poczekać, aż się rozwidni.

Ellisowi szkoda było czasu. Zdjął buty, ściągnął spodnie i wszedł w lodowato zimną wodę. W najgłębszym miejscu sięgała mu zaledwie do pasa i z łatwością dotarł do drugiego brzegu. Wrócił i przeprowadził Maggie, potem wrócił jeszcze raz po Jane i Chantal. Halam przeszedł na końcu, ale ponieważ mimo ciemności wstydził się rozebrać, musiał iść dalej w ociekających wodą spodniach, co jeszcze bardziej pogorszyło jego nastrój.

Minęli w ciemnościach jakąś wioskę, odprowadzani kawałek przez dwa parszywe psy obszczekujące ich z bezpiecznej odległości. Wkrótce potem brzask zarysował niebo na wschodzie i Halam zdmuchnął świecę w latarni.

Jeszcze kilka razy musieli przeprować się przez rzekę w miejscach, gdzie ścieżka była rozmyta albo zablokowana osuwiskami ziemi. Halam dał za wygraną i podwinął do kolan bufiaste szarawary. Przy jednej z takich przepraw spotkali nadchodzącego z przeciwnej strony podróżnego, niskiego, chudego jak szkapę człowieczka prowadzącego grubo-ogoniastą owcę, którą przeniósł przez rzekę na rękach. Halam wdał się z nim w długą pogawędkę w jakimś nurystańskim języku i z ich gestykulacji Ellis wywnioskował, że rozmawiają o szlakach przez góry.

Gdy pożegnali się z podróżnym, Ellis zwrócił się w dani do Halama:

- Nie mów ludziom, dokąd idziemy.

Halam udał, że nie rozumie.

Jane powtórzyła mu słowa Ellisa. Mówiła bieglej i akcentowała swoje słowa gestami i skinieniami głowy, jak to mieli w zwyczaju afgańscy mężczyźni.

- Rosjanie będą wypytywali podróżnych - wyjaśniła od siebie.

Halam chyba zrozumiał, ale dokładnie tak samo postąpił, gdy spotkali kolejnego wędrowca, młodego człowieka o groźnej powierzchowności, uzbrojonego w sędziwą strzelbę Lee-Enfielda. Ellisowi wydało się, że z ich rozmowy wyłowił wypowiedziane przez Halama słowo „Kantiwar”, nazwę przełęczy, ku której zmierzali; i w chwilę później nieznajomy powtórzył je. Ellis zdenerwował się: Halam szastał na prawo i lewo ich życiem. Ale stało się, stłumił więc pokusę wtrącenia się i czekał cierpliwie do momentu, kiedy ruszyli dalej.

Gdy tylko młodzieniec ze strzelbą zniknął im z oczu, Ellis wydarł się na Halama:

- Mówiłem ci, żebyś nie rozpowiadał ludziom, dokąd idziemy.

Tym razem Halam nie udawał, że nie rozumie.

- Nic mu nie powiedziałem - zachnął się oburzony.

- Powiedziałeś - warknął z naciskiem Ellis. - Od tej chwili nie będziesz rozmawiał z żadnym przechodniem.

Halam nic nie odpowiedział.

- Nie będziesz rozmawiał z innymi podróżnymi, rozumiałeś? - powiedziała Jane.

- Tak - odparł niechętnie Halam.

Ellis czuł przez skórę, że zamknięcie mu ust jest sprawą najwyższej wagi. Domyślał się, dlaczego Halam omawia z napotykanymi ludźmi trasę ich podróży: mogli wiedzieć o takich czynnikach jak osuwiska ziemi, lawiny śnieżne i powodzie w górach, które blokują jedną dolinę i zmuszają do wyboru innego podejścia. Fakt, że Ellis i Jane uciekają przed Rosjanami, niezupełnie do niego docierał. Istnienie różnych tras było chyba jedynym czynnikiem działającym na korzyść zbiegów, Rosjanie bowiem musieli sprawdzać wszystkie możliwości. Solidnie się napracują wypytyując ludzi, zwłaszcza podróżnych, by wyeliminować niektóre szlaki. Im mniej informacji zbiorą w ten sposób, tym trudniejsze i szerzej zakrojone będą poszukiwania i tym większe będą szansę Ellisa i Jane, by się im wymknąć.

Niedługo potem spotkali odzianego w białą szatę mułę z ufarbowaną na czerwono brodą i ku rozpaczy Ellisa Halam nawiązał z nim rozmowę dokładnie w ten sam sposób co z poprzednimi dwoma podróżnymi.

Ellis wahał się tylko przez chwilę. Podeszedł do Halama, pochwycił go bez ceremonii za ramiona i zmusił do podjęcia marszu.

Halam szamotał się trochę, ale szybko dał za wygraną, bo to bolało. Zawołał coś, ale muła patrzył tylko z rozdziawionymi ustami i nie zareagował. Obejrząwszy się, Ellis zobaczył, że Jane bierze Maggie za uzdę i rusza za nim.

Po przejściu stu jardów Ellis puścił Halama mówiąc:

- Jeśli Rosjanie mnie znajdą, zabiją mnie. Dlatego nie wolno ci z nikim rozmawiać.

Halam nic nie odpowiedział, ale obraził się.

Szli tak jakiś czas, wreszcie milczenie przerwała Jane:

- Boję się, że on już się postara, abyśmy tego pożałowali.

- Też tak przypuszczam - powiedział Ellis. - Ale muszę mu jakoś zamknąć gębę.

- Wydaje mi się tylko, że można by mu inaczej przemówić do rozumu.

Ellis opanował nagły przyptyw irytacji. Cisnęło mu się na usta: *No to dlaczego tego nie robisz, mądralo?*, ale nie był to odpowiedni moment na wszczynanie kłótni. Halam minął kolejnego wędrowca wymieniając z nim tylko najkrótsze z formalnych pozdrowień i Ellis pomyślał, że jego podejście przynosi jednak efekty.

Z początku posuwali się o wiele wolniej, niż Ellis się spodziewał. Wijąca się ścieżka, pofałdowany teren, nachylenie stoku i ciągle zbaczenie z drogi spowodowały, że mimo zbliżającego się już południa przebyli według jego oceny cztery, najwyżej pięć mil w prostej linii. Później jednak droga stała się łatwiejsza i biegła przez las, wysoko ponad poziomem rzeki.

Nadal mniej więcej co milę natykali się na wioskę albo osadę, ale teraz w miejsce prowizorycznych drewnianych chat, piętrzących się na zboczach jedna nad drugą jak składane krzesła rzucone na stos, zaczęły się pojawiać pudełkowate domostwa z tego samego kamienia co urwiska, których czepiały się ryzykownie, niczym gniazda mew.

W południe zatrzymali się w jednej z wiosek i Halam zaprosił ich do domu na herbatę. Był to piętrowy budynek, przy czym parter służył najwyraźniej za magazyn, zupełnie jak w średniowiecznych angielskich domach, co Ellis zapamiętał z lekcji historii w dziewiątej klasie. Jane dała gospodyni małą buteleczkę różowej mikstury przeciw pasożytom jelit dla jej dzieci i otrzymała w zamian pieczony na blasze chleb oraz wyśmienity ser z koziego mleka. Siedzieli wokół otwartego paleniska na kobiercach rozłożonych na glinianej podłodze, pod dachem z topolowych belek pokrytym wierzbowym gontem. Nie było tu komina i dym z paleniska dryfował pod dach, by w końcu przesączyć się na zewnątrz przez szpary między gontami; to dlatego, domyślił się Ellis, te domy nie mają sufitów.

Najchętniej dałby Jane odpocząć po posiłku, ale nie chciał ryzykować, bo nie wiedział, jak blisko mogą już być Rosjanie. Wyglądała na zmęczoną, ale miała jeszcze zapas sił. Natychmiastowy wymarsz miał też i tę zaletę, że uniemożliwiał Halamowi wdanie się w rozmowę z mieszkańcami wioski.

Jednak gdy szli dalej doliną, Ellis obserwował Jane bacznie. Podał jej uzdę Maggie, a sam wziął na ręce Chantal ocenając, że niesienie dziecka jest bardziej męczące.

Za każdym razem, gdy natykali się na prowadzącą w kierunku zachodnim dolinę boczną, Halam zatrzymywał się, rozglądał po niej uważnie, po czym potrząsał głową i ruszał dalej. Najwyraźniej nie znalazł dobrze drogi, chociaż zaprzeczył temu zdecydowanie, kiedy Jane spytała go wprost. Ellisa doprowadzało to do szewskiej pasji, zwłaszcza że tak bardzo pragnął wydostać się wreszcie z doliny Nurystan; uspokajał się jednak myślą, że jeśli Halam nie jest pewien, w którą dolinę skręcić, to Rosjanie tym bardziej nie będą mogli dojść, którą z dróg wybrali zbiegowie.

Zaczynał się już zastanawiać, czy Halam kiedykolwiek zdecyduje się skręcić, kiedy ten w końcu zatrzymał się w miejscu, gdzie szemrzący strumyk wpadał do rzeki Nurystan i oznajmił, że dalej pójdą tą doliną. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się zatrzymać na

odpoczynek, aby odwlec chwilę opuszczenia znajomego terytorium, ale Ellisowi się śpieszyło.

Wkrótce pięli się już pod górę lasem srebrzystych brzoź, tracąc z oczu pozostającą w tyle dolinę główną. Przed sobą widzieli ogromną, pokrytą śniegiem ścianę wypełniającą ćwierć nieba - pasmo górskie, które musieli przeciąć. Ellisa nie opuszczała myśl - jeśli nawet ujdziemy Rosjanom, to jak się na to wdramiemy? Jane potknęła się kilka razy klnąc pod nosem, i chociaż się nie skarżyła, Ellis uznał to za oznakę zmęczenia.

O zmierzchu wyszli z lasu i ujrzeli przed sobą nagą, ponurą, odludną krainę. Ellisowi przyszło na myśl, że w takim terenie mogą nie znaleźć schronienia, zaproponował więc, żeby spędzić noc w kamiennej chacie, którą minęli przed niespełną pół godziny. Jane i Halam przystali na to, zawrócili więc.

Ellis kazał Halamowi rozpaścić ognisko nie na zewnątrz, tylko w chacie, żeby płomień nie był widoczny z powietrza i nie zdradził ich unoszący się w górę słup dymu. Jego ostrożność okazała się zbawienna, bo wkrótce usłyszeli warkot helikoptera. Oznaczało to, jak przypuszczał Ellis, że Rosjanie są niedaleko; ale to, co w tym kraju stanowiło krótki dystans dla helikoptera, mogło być nie do przebycia pieszo. Rosjanie mogli się znajdować po drugiej stronie niezdobytej góry - albo zaledwie milę od nich drogą. Całe szczęście, że okolica była zbyt dzika, a szlak zbyt trudny do dostrzeżenia z powietrza, aby poszukiwania prowadzone helikopterem dały jakieś rezultaty.

Ellis podsypał kobyłę trochę ziarna. Jane nakarmiła i przewinęła Chantal, po czym natychmiast zasnęła. Ellis obudził ją, kazał wejść do śpiwora, zasunął zamek błyskawiczny, poszedł nad strumień z pieluszką Chantal, wypłukał ją i rozwiesił przy ognisku, żeby wyschła. Halam pochrapywał pod drugą ścianą chaty, a on leżał przez chwilę obok Jane przyglądając się jej twarzy, oświetlanej migotliwym blaskiem padającym od ogniska. Z tą wymizerowaną i napiętą twarzą, z brudnymi włosami i policzkami uwalanymi ziemią wyglądała na zupełnie wykończoną.

Spała niespokojnie, mrugając powiekami, krzywiąc się i poruszając ustami w bezgłośnej mowie. Zastanawiał się, ile jeszcze wytrzyma. Zabijało ją to tempo marszu. Gdyby mogli iść wolniej, lepiej znosiłaby trudy podróży. Żeby tak Rosjanie zrezygnowali z pościgu albo zostali odwołani na jakąś większą bitwę, toczącą się w innej części tego nieszczęsnego kraju...

Przypomniał mu się helikopter, którego warkot niedawno słyszał. Może wykonywał zadanie nie związane z Ellisem. Nie wydawało się to prawdopodobne. Jeśli była to maszyna

należąca do grupy pościgowej, to podjęta przez Mohammeda próba zmylenia Rosjan nie w pełni się udała.

Zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby ich pojmano. Jemu wytoczono by proces, na którym Rosjanie dowiedliby sceptycznym krajom niezaangażowanym, że afgańscy rebelianci to jedynie marionetki CIA. Układ zawarty pomiędzy Masudem, Kamilem i Azizim runąłby. Rebelianci nie otrzymaliby amerykańskiej broni. Rozproszony ruch oporu traciłby coraz bardziej siły i mógłby nie dotrzeć do następnego lata.

Po procesie za Ellisa zabrałyby się służby śledcze KGB. Dałby wstępny pokaz wytrzymałości na tortury, potem udałby, że się złamał i wyśpiewał im wszystko, ale nie byłoby w tym ziarenka prawdy. Oczywiście są na to przygotowani, torturowaliby go więc dalej: odegrałby więc przed nimi bardziej przekonującą scenkę załamania i uraczył mieszaniną faktów i fikcji, którą trudno byłoby im zweryfikować. Miał nadzieję przetrwać w ten sposób. Gdyby mu się udało, wysłaliby go na Syberię. Mógłby tam żyć nadzieją, że po kilku latach wymienią go na jakiegoś sowieckiego szpiega ujętego w Stanach. Jeśliby wcześniej nie umarł w jakimś obozie.

Najstraszniejsze jednak byłoby rozstanie z Jane. Znalazł ją, stracił, i znowu znalazł - łut szczęścia przyprawiający go o zawrót głowy za każdym razem, gdy o tym pomyślał. Ponowna jej utrata byłaby nie do zniesienia, nie do zniesienia. Leżał tak przez długi czas wpatrując się w nią. Starał się nie zasnąć w obawie, że gdy się obudzi, już jej tam nie będzie.

\*\*\*

Jane śniła, że jest w hotelu George'a V w Peszawarze. Hotel George'a V znajdował się właściwie w Paryżu, ale we śnie nie robiło jej to żadnej różnicy. Wezwała służbę hotelową i zamówiła stek średnio wysmażony, tłuczone ziemniaki i butelkę Château Ausone. Była straszliwie głodna, ale nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego tak długo czeka na realizację zamówienia. Żeby skrócić sobie czas oczekiwania, postanowiła się wykąpać. Łazienka była ciepła i wyłożona dywanem. Odkręciła wodę, dosypała do wanny trochę soli kąpielowych i pomieszczenie wypełniła wonna para. Nie potrafiła zrozumieć, jak mogła się doprowadzić do takiego zaniedbania - cud, że wpuścili ją taką brudną do hotelu! Miała już wejść do gorącej wody, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu. To pewnie służba, pomyślała; wściec się można - teraz będzie musiała jeść brudna albo danie ostygnie. Korciło ją, by nie zwracając uwagi na wołanie wyciągnąć się w gorącej wodzie - zresztą to niegrzecznie z ich strony zwracać się do niej per „Jane”, powinni wołać „proszę pani” - ale głos był bardzo natarczywy i jakiś znajomy. Właściwie to nie służba hotelowa, lecz Ellis potrząsający ją za ramię; i z

najwyższym, tragicznym wręcz rozczarowaniem uświadomiła sobie, że hotel George'a V był snem, w rzeczywistości zaś znajduje się w kamiennej chacie w Nurystanie, milion mil od gorącej kąpieli.

Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Ellisa.

- Musisz się obudzić - mówił.

Jane czuła się jak sparaliżowana letargiem.

- To już rano?

- Nie, środek nocy.

- Która godzina?

- Pierwsza trzydzieści.

- Cholera. - Była wściekła, że wyrwał ją ze snu. - Po co mnie obudziłeś? - spytała ze złością.

- Hałam odszedł.

- Odszedł? - Wciąż jeszcze była zaspana i rozkojarzona. - Dokąd? Dlaczego? Wróci?

- Nie powiedział mi. Kiedy się obudziłem, już go nie było.

- Myślisz, że nas zostawił?

- Tak.

- O Boże. Jak teraz znajdziemy drogę bez przewodnika? - Jane zdjął koszmarny lęk przed zabłądzeniem w śniegach z Chantal w ramionach.

- Obawiam się czegoś gorszego - powiedział Ellis.

- Czego?

- Powiedziałaś, że będzie chciał się na nas zemścić za upokorzenie na oczach mułły. Być może porzucenie nas na tym odludziu jest w jego mniemaniu dostatecznym rewanzem. Mam taką nadzieję. Ale zakładam, że ruszył z powrotem drogą, którą przyszliśmy. Może natknąć się na Rosjan. Nie sądzę, aby przekonanie go, by powiedział, gdzie dokładnie nas zostawił, zajęło im wiele czasu.

- Tego już za wiele - jęknęła Jane ogarnięta niemal namacalnym poczuciem beznadziei. Zupełnie jakby uwzięto się na nich jakieś złośliwe bóstwo. - Jestem zbyt zmęczona - powiedziała. - Położę się tutaj i będę spała, dopóki nie przyjdą Rosjanie i nie wezmą mnie do niewoli. Chantal poruszyła główką na boki wydając przy tym odgłosy ssania i nagle rozplakała się. Jane usiadła i wzięła ją na ręce.

- Jeśli zaraz ruszymy, możemy jeszcze uciec - powiedział Ellis. - Nakarm ją, a ja tymczasem objuczę konia.



- Dobrze - powiedziała Jane. Przystawiła Chantal do piersi. Ellis patrzył na nią przez chwilę uśmiechając się blado, a potem wyszedł w noc. Jane przeszło przez myśl, że gdyby nie Chantal, ucieczka byłaby łatwiejsza. Zastanawiała się, co myśli o tym Ellis. To przecież dziecko innego mężczyzny. Ale on chyba tak na to nie patrzył. Uważał Chantal za część Jane. A może ukrywał niechęć?

Zadała sobie pytanie, czy chciałby być ojcem Chantal. Popatrzyła na małą buzię córeczki i napotkała spojrzenie szeroko otwartych błękitnych oczek. Kto mógłby nie pokochać tej bezbronnej istotki?

Nie wiadomo dlaczego nagle przestała być czegokolwiek pewna. Nie potrafiła ocenić, jak bardzo kocha Ellisa; nie wiedziała, co czuje do Jean-Pierre'a, męża, który ją ściga; nie potrafiła sobie uzmysłwić, jakie ma obowiązki wobec swego dziecka. Bała się śniegu i gór, i Rosjan; i zbyt długo cierpiała zmęczenie, napięcie i zimno.

Automatycznie przewinęła Chantal w pieluszkę wiszącą przy ognisku. Nie przypominała sobie, żeby przewijała ją wieczorem. Wydawało jej się, że zasnęła natychmiast po nakarmieniu małej. Zmarszczyła czoło nie ufając swej pamięci i po chwili przypomniało jej się, jak Ellis obudził ją na chwilę, żeby zapiąć śpiwór. Musiał pójść z zasyjaną pieluchą nad strumień, wypłukać ją, wyżąć i powiesić na patyku przy ognisku, żeby wyschła. Zaczęła płakać.

Czuła się okropnie głupio, ale nie mogła się powstrzymać, przewijała więc dalej Chantal, a łzy spływały jej po twarzy. Gdy mościła małej wygodne poślanie w nosidełku, wrócił Ellis.

- Ta cholerna kobyła też się nie chce obudzić - powiedział i wtedy zobaczył jej twarz.  
- Co się stało?

- Nie wiem, dlaczego w ogóle cię rzuciłam - odparła. - Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam, i nigdy nie przestałam cię kochać. Wybacz mi, proszę.

Otoczył ramieniem ją i Chantal.

- Po prostu nie rób tego więcej i tyle - mruknął.

Stali tak przez chwilę.

- Jestem gotowa - powiedziała w końcu Jane.

- Dobrze. Idziemy.

Wyszli na dwór i ruszyli pod górę przez rzadniejący las. Halam zabrał latarnię, ale świecił księżyc i dobrze widzieli drogę. Powietrze było tak zimne, że oddychanie sprawiało ból. Jane martwiła się o Chantal. Niosła małą znowu pod swoim podbitym futrem płaszczem i

miała nadzieję, że powietrze, którym Chantal oddycha, ogrzewa się od jej ciała. Nie miała pojęcia, czy dziecku może zaszkodzić oddychanie zimnym powietrzem.

Mieli przed sobą przełęcz Kantiwar, położoną o dobre piętnaście tysięcy stóp wyżej od ostatniej przełęcz Aryu. Jane zdawała sobie sprawę, że będzie jej zimniej i ciężiej niż kiedykolwiek w życiu i całkiem możliwe, że straszniej, ale była dobrej myśli. Czuła, że rozwiązała coś, co do tej pory nie dawało jej spokoju. Jeśli przeżyje, myślała, chce zostać z Ellisem. Pewnego dnia powiem mu, że przeważał szalę piorąc brudną pieluchę.

Wkrótce zostawili za sobą drzewa i posuwali się usianym głazami, kraterami i osobliwymi łachami śniegu płaskowyżem przypominającym księżycowy krajobraz. Szli po ogromnych, płaskich kamieniach, które mogłyby służyć za ścieżkę olbrzymom. Droga wiodła wciąż pod górę, choć przez chwilę była mniej stroma, temperatura ciągle spadała i białe łachy powiększały się, aż w końcu grunt przypominał jakaś zwariowaną szachownicę.

Przez godzinę nerwy dodawały Jane energii, ale potem monotonia nie kończącego się marszu sprawiła, że ponownie ogarnęło ją znużenie. Na usta cisnęły się jej pytania: *Jak jeszcze daleko?* i *Długo jeszcze?*, które jako dziecko zadawała z tylnego siedzenia samochodu ojca podczas ich długich podróży przez rodezyjski busz.

W pewnym punkcie tej pnącej się wciąż pod górę krainy przecięli granicę wiecznych lodów. Jane uświadomiła sobie nowe niebezpieczeństwo, kiedy koń poślizgnął się, parsknął ze strachu i ledwie odzyskał równowagę. Potem zauważyła, że światło księżycy odbija się od głazów, jakby pokrywało je szkliwo; skały były jak diamenty - zimne, twarde i błyszczące. Jej buty trzymały się podłoża lepiej niż podkowy Maggie, ale mimo to niedługo potem poślizgnęła się i omal nie upadła. Od tej chwili nie opuszczał jej strach, że przewróci się i zgniecie swym ciężarem Chantal, truchtała zatem z posuniętą do przesady ostrożnością i z nerwami tak napiętymi, że odnosiła wrażenie, iż zaraz jej trzasną.

Nieco ponad dwie godziny później dotarli do przeciwległego krańca płaskowyżu i stanęli przed stromą ścieżką, pnącą się pod pokryte śniegiem górskie zbocze. Ellis wszedł na nią pierwszy ciągnąc za sobą Maggie. Jane ruszyła w bezpiecznej odległości za nimi na wypadek, gdyby kobyła ześlizgnęła się. Podchodzili zygzakami pod górę.

Ścieżka nie była wyraźnie oznakowana. Przypuszczali, że biegnie rynną, gdzie grunt opada poniżej poziomu najbliższego otoczenia. Jane z utęsknieniem wypatrywała bardziej konkretnego znaku, że to właśnie ten szlak: resztek ogniska, obgryzionych do czysta kości kurczaka, nawet wyrzuconego pudełka po zapalkach - czegoś, co świadczyłoby, że przechodziły już kiedyś tędy istoty ludzkie. Prześladowała ją obsesyjna myśl, że zupełnie zabłądzili, są daleko od ścieżki i brną bez celu przez nie kończące się śniegi; i że kluczą tak

przez wiele dni, aż wreszcie kończą im się zapasy żywności, energii i siły woli, i kładą się wszyscy troje w śniegu, żeby razem zamarznąć na śmierć.

Ból w plecach stawał się nie do zniesienia. Z wielkimi oporami oddała Chantal Ellisowi i wzięła od niego uzdę konia, żeby przenieść wysiłek na inną grupę mięśni. Zwariowana kobyła potykała się teraz bez przerwy. W pewnym momencie poślizgnęła się na oblodzonym gładzie i zsunęła w dół. Jane musiała ciągnąć bezlitośnie za uzdę, żeby zmusić zwierzę do powstania na nogi. Kiedy koń podniósł się wreszcie z ziemi, Jane zauważyła na śniegu, w miejscu, w którym leżał, ciemną plamę: to była krew. Przyglądając się uważniej dostrzegła ciętą ranę na lewym kolanie kobyły. Nie wyglądało to poważnie, zmusiła więc Maggie do podjęcia marszu.

Teraz, kiedy szła na przodzie, sama musiała ustalać, którądy biegnie ścieżka, i koszmar nieodwrotnego zabłądzenia nawiedzał ją w chwili każdego zawahania. Czasami szlak zdawał się rozwidlać i musiała w takich miejscach podejmować intuicyjną decyzję: w prawo czy w lewo? Często podłoże stawało się mniej więcej płaskie. Szła wtedy na wycucie, dopóki ponownie nie natrafiła na coś w rodzaju ścieżki. Raz ugrzęzła z kobyłą w śnieżnej zaspie i Ellis musiał je stamtąd wyciągać.

W końcu ścieżka zaprowadziła ją na skalny występ, wijący się zboczem daleko w górę. Byli już wysoko; oglądając się na leżący daleko w dole płaskowyż odczuwała lekkie zawroty głowy. Do przełęczycy z pewnością było już blisko.

Występ był stromy, oblodzony i szeroki na kilka zaledwie stóp, a za jego krawędzią ziała niemal pionowa przepaść. Jane stawiała kroki z jeszcze większą niż dotychczas ostrożnością, ale i tak potknęła się kilkakrotnie, a raz upadła na kolana objając je sobie dotkliwie. Całe ciało miała tak obolałe, że ledwie zwróciła na to uwagę. Maggie wciąż się ślizgała i Jane przestała się już nawet odwracać na odgłos obsuwających się kopyt, tylko ciągnęła mocniej za uzdę. Najchętniej przesunęłaby tak bagaż dźwigany przez kobyłę, by ciężkie torby znalazły się bardziej z przodu, co pomogłoby zwierzęciu utrzymać stabilność przy wspinaczce: ale na występie nie było na to miejsca i bała się, że jeśli przystanie, nie będzie już mogła ruszyć dalej.

Występ zwężał się, okrążając wybrzuszenie skalnej ściany. Jane stawiała uważnie kroki na jego najwęższym odcinku, ale pomimo całej ostrożności - a może dlatego, że czyniła to w takim napięciu - poślizgnęła się. Przez mrozący krew w żyłach moment myślała już, że przeleci przez krawędź, ale wylądowała na kolanach i zapała się obiema rękami. Kątem oka widziała ośnieżone zbocza setki stóp niżej. Zaczęła dygotać, opanowała się jednak z wysiłkiem.

Wstała powoli i odwróciła się. Musiała puścić uzdę, która zwisała teraz nad przepaścią. Koń stał na sztywnych nogach wyraźnie przerażony i wpatrywał się w nią drżąc na całym ciele. Kiedy znowu sięgnęła po uzdę, Maggie w panice postąpiła krok wstecz.

- Stój! - wrzasnęła Jane, ale zaraz uspokoiła głos i powiedziała łagodnie: - Nie rób tego. Chodź tu do mnie. Nic ci się nie stanie.

- Co się stało? - zawołał Ellis z drugiej strony wybrzuszenia.

- Cicho! - odkrzyknęła przytłumionym głosem. - Maggie się przestraszyła. Zostań tam. - Miała przerażającą świadomość, że Ellis niesie Chantal. Zaczęła znowu przemawiać uspokajająco do kobyły, podsuwając się do niej powoli. Maggie wpatrywała się w nią szeroko rozwartymi oczami, a z jej rozdętych chrap buchała para przyśpieszonego oddechu. Jane zbliżyła się do niej na odległość wyciągniętego ramienia i sięgnęła po uzdę.

Koń szarpnął łbem, cofnął się, poślizgnął i stracił równowagę.

Gdy łeb Maggie odskakiwał do tyłu, Jane złapała za uzdę, ale ziemia usunęła się kobyle spod kopyt, zwierzę przewróciło się na prawy bok, uzda wyleciała Jane z dłoni i ku jej niewypowiedzianemu przerażeniu koń ześlizgnął się na grzbiecie ku krawędzi półki i zsunął za nią kwicząc rozpaczliwie.

Za wybrzuszenia wyłonił się Ellis.

- Stój! - wrzasnęła Jane i uświadomiła sobie natychmiast, że krzyczy. Zamknęła z trzaskiem zębów usta. Ellis ukląkł i wyjrzał za krawędź przepaści, tuląc wciąż do piersi Chantal ukrytą pod płaszczem. Jane opanowała ogarniającą ją histerię i przyklęła obok niego.

Spodziewała się ujrzeć ciało konia zaryte w śnieg setki stóp w dole. Okazało się, że Maggie wylądowała na skalnej półce jakieś pięć stóp poniżej i leżała tam na boku z nogami sterczącymi nad otchłanią.

- Żyje! - krzyknęła Jane. - Dzięki Bogu!

- I nasze zapasy nie ucierpiały - stwierdził bez sentymentów Ellis.

- Ale w jaki sposób wywindujemy ją tu na górę?

Ellis popatrzył tylko na nią i nic nie odpowiedział.

Jane uzmysłowiła sobie, że wciągnięcie konia z powrotem na ścieżkę jest niemożliwe.

- Ale nie możemy jej tak zostawić, żeby zdechła z zimna! - powiedziała.

- Przykro mi - mruknął Ellis.

- O Boże, to nieludzkie.

Ellis rozpiął płaszcz i zdjął z szyi nosidełko z Chantal. Jane wzięła od niego małą i wsunęła ją sobie pod futro.

- Przede wszystkim trzeba odzyskać żywność - powiedział Ellis. Położył się płasko na brzuchu wzdłuż krawędzi występu, po czym wysunął za nią nogi. Na leżącego konia posypał się wzruszony przez niego śnieg. Ellis opuszczał się wolno, wymacując półkę stopami. Wyczuł wreszcie twardy grunt pod nogami, zsunął łokcie z krawędzi występu i odwrócił się ostrożnie.

Jane obserwowała go jak sparaliżowana. Między zadem konia a ścianą urwiska nie było tyle miejsca, aby zmieściły się tam obie stopy Ellisa: musiał ustawić je jedna za drugą, jak postać ze starożytnego egipskiego fresku. Zgiął kolana, przykucnął powoli i sięgnął do skomplikowanej płataniny rzemieni, podtrzymujących brezentową torbę z żelaznymi racjami żywności.

W tym momencie kobyła zdecydowała się wstać.

Zgięła przednie nogi i udało jej się jakoś podwinąć je pod siebie; potem typowym wężowym zwodem konia wstającego z ziemi uniosła się na nich i spróbowała zarzucić tylne nogi z powrotem na półkę.

Niemal jej się to udało.

Potem tylne nogi ześlizgnęły się, straciła równowagę i upadła zadem na bok. Ellis chwycił torbę z żywnością. Koń zsuwał się cal po calu miotając się i wierzgając. Jane bała się panicznie, że zrani Ellisa. Zwierzę nieubłaganie ześlizgiwało się z półki. Ellis szarpnął za torbę z żywnością rezygnując już z ratowania konia, ale mając jeszcze nadzieję na zerwanie rzemieni i ocalenie zapasów. Był tak zdeterminowany, że Jane obawiała się, iż koń ściągnie go za sobą z półki. Zwierzę zsuwało się coraz szybciej, wlokąc za sobą Ellisa ku krawędzi. W ostatnim momencie z okrzykiem rozpaczony puścił torbę, koń wydał odgłos podobny do wrzasku i, zabierając ze sobą całą ich żywność, medykamenty, śpiwór i zapasową pieluszkę Chantal, runął w otchłań koziołkując w locie.

Jane wybuchnęła płaczem.

Po chwili Ellis wdrapał się z powrotem na występ obok niej. Objął ją ramieniem i klęczał tak z nią z minutę, czekając cierpliwie, aż opłacze konia, zapasy, obolałe nogi i przemarzniete stopy. Potem wstał, delikatnie pomógł jej się podnieść i powiedział:

- Nie wolno nam się zatrzymywać.

- Ale jak teraz pójdziemy? - wyszlochała. - Nie mamy co jeść, nie możemy zagotować wody, nie mamy śpiwora, lekarstw...

- Mamy siebie - odparł.

Przypomniawszy sobie, jak blisko krawędzi się ześlizgnął, przytuliła się do niego mocno. Jeśli wyjdziemy z tego żywi, pomyślała, i jeśli uciekniemy Rosjanom i wrócimy razem do Europy, nigdy już nie spuszczę go z oka, przysięgam.

- Idź pierwsza - powiedział uwalniając się z jej uścisku. - Muszę cię widzieć. - Pchnął ją lekko i automatycznie podjął marsz pod górę. Rozpacz powoli ją opuszczała. Postanowiła, że jej celem będzie po prostu iść przed siebie, dopóki nie padnie martwa. Po chwili Chantal zaczęła płakać. Jane nie reagowała i mała w końcu uspokoiła się.

Jakiś czas potem - mogło to być równie dobrze kilka minut, jak i kilka godzin, straciła bowiem poczucie czasu - gdy skręciła za skalny cypel, Ellis dogonił ją i zatrzymał kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Spójrz - powiedział wskazując przed siebie.

Szlak prowadził w dół, w ogromną nieckę wzgórz obramowaną górami o białych szczytach. W pierwszej chwili Jane nie zrozumiała, dlaczego Ellis mówi do niej *spójrz*; potem uświadomiła sobie, że szlak opada w dół.

- Czy to szczyt? - spytała głupawo.

- To szczyt - odparł. - To przełęcz Kantiwar. Mamy za sobą najgorszy odcinek tego etapu podróży. Przez następne dwa dni będzie z górki i będzie się robiło coraz cieplej.

Jane usiadła na oblodzonym gładzie. Udało się, pomyślała. Dałam radę.

Gdy tak patrzyli na czarne wzgórza, niebo za górskimi szczytami zmieniło barwę z perłowszarej na przydymiony róż. Dniało. Wraz ze światłem rozjaśniającym powoli niebo w serce Jane wstępowała nowa nadzieja. W dół, myślała, tam gdzie cieplej. Może ujdą pogoni.

Chantal znowu płakała. Tak, jej zapasy pożywienia nie przepadły razem z Maggie. Jane karmiła małą siedząc na lodowatym kamieniu na dachu świata, a Ellis topił tymczasem w dłoniach śnieg do picia dla Jane.

Droga w dół, w dolinę Kantiwar, była nieco mniej stroma, ale z początku bardzo oblodzona. Odpadało jednak teraz zmartwienie o konia, mniej więc szarpała nerwy. Ellis, który podczas wspinaczki nie poślizgnął się ani razu, niósł Chantal.

Poranne niebo przed nimi przybrało barwę płomiennej czerwieni, jak gdyby świat za górami stał w ogniu. Stopy Jane były wciąż odrętwiałe i przemarznięte, ale nos już jej odtajał.

- Uświadomiła sobie nagle, że jest straszliwie głodna. Będą musieli po prostu przeć przed siebie, dopóki nie natkną się na ludzi. Na wymianę pozostał im już tylko TNT z kieszeni Ellisa. Kiedy i to się skończy, będą się musieli zdać na tradycyjną gościnność Afgańczyków.

Nie mieli także pośłania. Będą musieli sypiać w płaszczach i w butach.

Jane miała niejasne przeczucie, że rozwiążą wszystkie problemy. Nawet odnajdywanie drogi nie sprawiało teraz większych trudności, bo prowadziły ich bez przerwy wznoszące się po obu stronach ściany doliny, które ograniczały odległość, na jaką mogli zboczyć z trasy. Wkrótce obok pojawił się mały, bulgoczący strumyczek: zeszli już poniżej granicy wiecznych lodów. Teren był względnie równy i gdyby mieli jeszcze kobyłę, mogliby na niej jechać.

Po kolejnych dwóch godzinach marszu zatrzymali się na odpoczynek u wylotu wąwozu i Jane wzięła Chantal od Ellisa. Dalej droga w dół stawała się znowu stroma i nierówna, ale znajdowali się poniżej granicy wiecznych lodów i głazy nie były już śliskie. Wąwóz był dosyć wąski i łatwo mógł ulec zablokowaniu.

- Mam nadzieję, że nie napotkamy tam żadnych osuwisk - powiedziała Jane.

Ellis patrzył w przeciwną stronę, na górne partie doliny, z których niedawno zeszli. Nagle drgnął.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął.

- Co się, u licha, stało? - Jane odwróciła głowę, spojrzała tam gdzie on, i serce jej zamarło. Mniej więcej milę wyżej dostrzegła schodzących z boczem sześciu ludzi w mundurach i konia; grupa pościgowa.

Mimo wszystko, pomyślała Jane; mimo tego, co przeszliśmy, dopadli nas jednak. Była zbyt załamana, by chociaż zapłakać.

Ellis chwycił ją za ramię.

- Szybko, zbieramy się - rzucił. Pociągając za sobą Jane ruszył spieszenie w dół pod osłonę wąwozu.

- Co to da? - protestowała słabym głosem Jane. - I tak nas złapią.

- Została nam jeszcze jedna szansa. - Ellis idąc rozglądał się bacznie po stromych skalnych ścianach wąwozu.

- Jaka?

- Lawina.

- Znajdą drogę górą albo naokoło.

- Nie zrobią tego, jeśli ich wszystkich przywali.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie dno kanionu miało szerokość zaledwie kilku stóp, a wyższa ze ścian wznosiła się pionowo w górę.

- Tu jest idealnie - stwierdził. Wyjął z kieszeni płaszczka blok TNT, zwój lontu detonującego opatrzony napisem *Primacord*, mały metalowy przedmiot wielkości skuwki wiecznego pióra i coś, co przypominało metalową strzykawkę, z tym że z tępego końca zamiast uchwyty tłoczka znajdował się pierścień. Rozłożył to wszystko na ziemi.

Jane obserwowała go oszołomiona. Wolała nie robić sobie nadziei.

Przymocował mały metalowy przedmiot do końca primacordu zaciskając go na nim zębami; następnie połączył ten przedmiot z zaostrzonym końcem strzykawki. Wręczył cały zespół Jane.

- Powiem ci teraz, co masz zrobić - zaczął. - Pójdiesz wąwozem rozwijając za sobą lont. Staraj się go maskować. Nie ma znaczenia, jeśli przeciągniesz go strumieniem - to świństwo pali się i pod wodą. Kiedy lont się skończy, wyciągniesz w ten sposób zawleczki bezpieczeństwa. - Pokazał jej dwie zawleczki przesunięte przez korpus strzykawki. Wyciągnął je, po czym wsunął z powrotem na miejsce. - Potem nie spuszczać ze mnie oka. Czekaj, aż pomacham nad głową rękami - o tak. - Zade monstrował jej, o co mu chodzi. - Wtedy pociągnij za to kółko. Jeśli uda nam się utrafić we właściwy moment, możemy zabić wszystkich. Idź!

Jane wypełniała wszystkie instrukcje jak robot, nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi. Szła wąwozem rozwijając za sobą lont. Z początku ukrywała kabel pod niskimi krzakami, potem ciągnęła go korytem strumienia. Chantal spała w nosidełku kołysząc się lekko w rytm kroków Jane, pozostawiając jej obie ręce wolne.

Po minucie Jane obejrzała się. Ellis utykał TNT w szczelinie między skałami. Sądziła zawsze, że materiały wybuchowe eksplodują spontanicznie, jeśli nieostrożnie się z nimi obchodzić; najwyraźniej była w błędzie.

Szła dalej, aż kabel naprężył jej się w dłoniach i wtedy znowu się odwróciła. Ellis wspinał się teraz po ścianie kanionu, szukając przypuszczalnie najdogodniejszego miejsca, z którego będzie mógł obserwować wchodzących w pułapkę Rosjan.

Usiadła nad strumieniem. Małe ciało Chantal spoczęło na jej kolanach. Pas nosidełka obwisł luźno, zdejmując ciężar z pleców Jane. W głowie rozbrzmiewały jej echem słowa Ellisa: *Jeśli uda nam się utrafić we właściwy moment, możemy zabić ich wszystkich. Czy to się uda?* - pomyślała. Czy wszyscy zginą?

Co zrobiliby wtedy pozostali Rosjanie? Jane zaczęło się przejaśniać w głowie i była już w stanie rozważyć prawdopodobną sekwencję wydarzeń. Za godzinę, najdalej dwie, ktoś zwróci uwagę, że ten mały oddziałek od jakiegoś czasu się nie zgłasza i podejmie próbę wywołania ich przez radio. Stwierdzą, że nawiązanie łączności jest niemożliwe i założą, że oddział posuwa się głębokim wąwozem albo że mają wyłączone radio. Kiedy po następnych paru godzinach oddział nadal nie będzie się zgłaszał, wyślą na jego poszukiwanie helikopter zakładając, że dowódca jest na tyle rozgarnięty, że rozpali ognisko albo zrobi coś w tym rodzaju dla wskazania swojej pozycji obserwatorowi z powietrza. Kiedy nie przyniesie to



żadnych rezultatów, ludzie z dowództwa zaczną się poważnie niepokoić. W końcu zmuszeni będą wysłać inną grupę na poszukiwania zaginionego oddziału. Nowa grupa będzie musiała przeczesać ten sam teren co poprzednia. Na pewno nie wywiążą się z tego zadania dzisiaj, a prowadzenie poszukiwań w nocy będzie niemożliwe. Do czasu kiedy znajdą ciała, Ellis z Jane będą już co najmniej półtora dnia drogi stąd, a może i dalej. To może wystarczyć, pomyślała Jane; do tego czasu zostawią z Ellisem za sobą tyle rozwidleń, bocznych dolin i alternatywnych szlaków, że wytropienie ich stanie się praktycznie niemożliwe. Ciekawe, pomyślała znużona. Ciekawe, czy to już będzie koniec. Niech ci żołnierze się pośpieszą. Nie mogę znieść tego czekania. Tak się boję.

Widziała wyraźnie Ellisa, jak pełźnie na czworakach krawędzią urwiska. Widziała też grupę pościgową schodzącą w dolinę. Nawet z tej odległości widać było, że są brudni, a zwieszane ramiona i ociężały chód zdradzały ich zmęczenie i zniechęcenie. Nie widzieli jej jeszcze; wtopiła się w krajobraz.

Ellis przykucnął za skalnym cyplem i wyglądał zza niego na zbliżających się żołnierzy. Jane widziała go wyraźnie, ale Rosjanie nie mogli go zauważyć, a do tego stamtąd, gdzie siedział, miał dobry widok na miejsce, w którym podłożył ładunek wybuchowy.

Żołnierze dotarli do wylotu wąwozu i zaczęli schodzić w dół. Jeden z nich jechał konno i miał wąsik: przypuszczalnie oficer. Inny nosił czapkę chitrali. To Halam, poznała go Jane; zdrajca. Po tym, co zrobił Jean-Pierre, zdrada wydawała jej się zbrodnią niewybaczalną. Poza tym było ich jeszcze pięciu, wszyscy krótko ostrzyżeni, w mundurowych czapkach, o młodzieńczych, ogolonych twarzach. Dwaj mężczyźni i pięciu chłopców, pomyślała.

Obserwowała Ellisa. W każdej chwili może dać znak. Z napięcia i od spoglądania na niego w górę zaczynał ją boleć kark. Żołnierze nadal jej nie dostrzegali: koncentrowali się na wypatrywaniu drogi przez kamienisty teren. Ellis odwrócił się wreszcie ku niej i powoli, z rozmysłem zamachał nad głową obiema rękami.

Jane skierowała wzrok z powrotem na żołnierzy. Jeden z nich wyciągnął rękę i wziął konia za uzdę, żeby mu pomóc na nierównym odcinku drogi. Jane trzymała w lewej dłoni strzykawkowate urządzenie, a palec wskazujący prawej tkwił zgięty w kółku mechanizmu zwalniającego. Jedno szarpnięcie zapali lont, zdetonuje TNT i pogrzebie ścigających pod zwałami osuwającego się urwiska. Pięciu chłopców, pomyślała. Wstąpili do wojska z biedy, z głupoty, z jednego i z drugiego, albo trafili do niego z poboru. Wysłano ich do zimnego, niegościnnego kraju, gdzie ludzie ich nienawidzą. Maszerowali przez lodową, górską dziczą. Legli pogrzebani pod osuwiskiem z roztrzaskanymi głowami, zadławionymi ziemią płucami, przetrąconymi kręgosłupami i zmiażdżonymi klatkami piersiowymi, wrzeszcząc, dusząc się i

wykrwawiając na śmierć w mękach i przerażeniu. Napisze się pięć listów do dumnych ojców i pełnych niepokoju matek czekających w domu: z przykrością zawiadamiamy, zginął podczas akcji, dziejowa walka z siłami reakcji, akt bohaterstwa, medal pośmiertny, najszersze wyrazy współczucia. Gardząca tymi układnymi słowami matka wspominająca, jak rodziła w bólach i strachu, karmiła chłopca w czasach ciężkich i dobrych, uczyła chodzić, myć ręce i wymawiać jego imię, jak posłała go do szkoły; patrzyła, jak rośnie i rośnie, aż wyrósł prawie taki jak ona, a potem ją przerósł i wreszcie był gotów do zarabiania na życie, poślubił dorodną dziewczynę, założył własną rodzinę i dał jej wnuki. Matczyna rozpacz, kiedy ta uświadomi sobie, że to wszystko, wszystko, co zrobiła, ten ból i praca, i wyrzeczenia, na nic: ten cud, jej dziecko - mężczyzna, został zniszczony przez nadętych ludzi w głupiej, bezsensownej wojnie. Poczucie straty. Poczucie straty.

Jane usłyszała krzyk Ellisa. Spojrzała w górę. Stał na wyprostowanych nogach nie dbając już o to, czy go zauważą, czy nie, machał do niej i wrzeszczał:

- Teraz! Teraz!

Odłożyła ostrożnie urządzenie odpalające na ziemię przy wartkim strumieniu.

Żołnierze dostrzegli teraz ich oboje. Dwaj zaczęli się wspinać na ścianę wąwozu w kierunku miejsca, gdzie stał Ellis. Pozostali otoczyli Jane mierząc do niej i do dziecka z karabinów z głupimi, zakłopotanymi minami. Nie zwracała na nich uwagi i patrzyła na Ellisa. Spuszczał się na dół po ścianie wąwozu. Żołnierze, którzy wspinali się do niego, zatrzymali się, niepewni, co zamierza.

Dotarł do dna i ruszył wolnym krokiem w kierunku Jane. Stanął przed nią.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Bo są tacy młodzi, pomyślała; bo są młodzi i niewinni, i nie chcą mnie zabić. Bo to byłoby morderstwo. Ale głównie dlatego, bo...

- Bo oni mają matki - powiedziała cicho.

\*\*\*

Jean-Pierre otworzył oczy. Obok polowej pryczy przykucnęła zwałista postać Anatolija. Za Anatolijem przez odrzuconą połę wejściową namiotu wpadało do środka jasne, słoneczne światło. Na moment Jean-Pierre'a ogarnęła panika, bo nie wiedział, dlaczego spał do tak późna ani co przez to stracił; potem w jednym przeblysku przypomniał sobie wypadki ostatniej nocy.

Obozowali z Anatolijem na podejściu do przełęczy Kantiwar. Obudził ich około drugiej nad ranem kapitan dowodzący grupą pościgową, który z kolei został obudzony przez

żołnierza pełniącego wartę. Kapitan powiedział, że do obozu przypętał się młody Afgańczyk imieniem Halam. Posługując się mieszaniną francuskiego, angielskiego i rosyjskiego Halam oznajmił, że był przewodnikiem uciekających Amerykanów, ale znieważyli go, więc ich porzucił. Spytany, gdzie są teraz ci „Amerykanie”, zaoferował się zaprowadzić Rosjan do kamiennej chaty, gdzie zbiegowie pewnie jeszcze śpią, niczego się nie spodziewając.

Jean-Pierre chciał od razu wskakiwać do helikoptera i startować.

Anatolij wykazał więcej rozwagi.

- Mamy w Mongolii takie powiedzonko: nie podniecaj się, dopóki dziwka nie rozłoży nóg - powiedział. - Halam może kłamać. Nawet jeśli mówi prawdę, to może nie być w stanie wskazać nam tej chaty, zwłaszcza w nocy i do tego z powietrza. A nawet jeśli zdołałby ją znaleźć, to ich może już w niej nie być.

- To co według ciebie mamy robić?

- Wysłać oddział rozpoznawczy - kapitan, pięciu szeregowców i koń, no i Halam, ma się rozumieć. Mogą wyruszyć natychmiast. Dopóki nie znajdą uciekinierów, my sobie odpoczniemy.

Jego ostrożność okazała się uzasadniona. Oddział rozpoznawczy zgłosił się przez radio o trzeciej trzydzieści meldując, że chata jest pusta. Jednak, dodali, ognisko jeszcze się tli, a więc Halam prawdopodobnie nie kłamał.

Anatolij i Jean-Pierre doszli do wniosku, że Ellis z Jane obudzili się w nocy, spostrzegli zniknięcie przewodnika i postanowili uciekać. Anatolij kazał oddziałowi rozpoznawczemu ruszyć za nimi zdając się na Halama, jeśli chodzi o wskazanie najbardziej prawdopodobnej trasy.

W tym miejscu Jean-Pierre wrócił do łóżka i zapadł w niespokojny sen, co właśnie było przyczyną, dla której nie obudził się o świcie. Spojrzał teraz zamglonym wzrokiem na Anatolija i spytał:

- Która godzina?

- Ósma. Mamy ich.

Serce podskoczyło Jean-Pierre'owi w piersi, ale zaraz sobie przypomniał, że już raz doznał takiego odczucia i srodze się zawiódł.

- Na pewno? - spytał.

- Możemy lecieć i sprawdzić, jak tylko wciągniesz spodnie.

Nie poszło tak szybko. Gdy wsiadali już na pokład, przyleciał helikopter cysterna i Anatolij uznał, że rozsądnie będzie poświęcić jeszcze kilka minut na uzupełnienie paliwa w

zbiornikach ich maszyny, tak więc Jean-Pierre musiał trochę dłużej hamować zżerającą go niecierpliwość.

Wystartowali po kilku minutach. Jean-Pierre obserwował krajobraz przez otwarte drzwi. Gdy nabierali wysokości wlatując w góry, Jean-Pierre doszedł do wniosku, że to najbardziej ponura, najnieprzystępniejsza kraina, jaką widział dotąd w Afganistanie. Czy Jane naprawdę pokonała to nagie, okrutne, skute lodem księżycowe odludzie z dzieckiem na ręku? Rzeczywiście musi mnie nienawidzić, pomyślał, jeśli zdecydowała się przejść tyle, byle tylko przede mną uciec. Teraz się dowie, że to wszystko na darmo. Jest moja na zawsze.

Ale czy to naprawdę ją schwytano? Bał się panicznie kolejnego zawodu. Czy po wylądowaniu nie stwierdzi czasem, że oddział rozpoznawczy pojmał następną parę hipisów albo dwoje fanatycznych alpinistów, albo nawet dwójkę koczowników ledwie przypominających wyglądem Europejczyków?

Anatolij wskazał na przełęcz Kantiwar, nad którą właśnie przelatowali.

- Wygląda na to, że stracili swojego konia - wrzasnął Jean-Pierre'owi do ucha przekrzykując huk silników i wycie wichru. Chyba tak. W śniegach poniżej przełęczu Jean-Pierre dostrzegł zarys martwego konia. Nasunęło mu się pytanie, czy to Maggie. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby to było to uparte bydlę.

Zaczęli opadać w dolinę Kantiwar, wypatrując na ziemi oddziału rozpoznawczego. W końcu dostrzegli dym: ktoś rozpałił ognisko, żeby wskazać im drogę. Opuścili się na kawałek płaskiego terenu u wylotu wąwozu. Gdy zniżali lot, Jean-Pierre rozglądał się po okolicy: zobaczył trzech czy czterech mężczyzn w sowieckich mundurach, ale Jane wśród nich nie było.

Helikopter dotknął ziemi. Serce podchodziło Jean-Pierre'owi do gardła. Wyskoczył z maszyny czując, że zaraz zwymiotuje z napięcia. Anatolij znalazł się po chwili obok niego. Ruszyli za kapitanem schodząc do wąwozu i oddalając się od helikoptera.

Byli tam.

Jean-Pierre poczuł się jak ktoś, kogo torturowano, a teraz dostał w swe ręce kata. Jane siedziała na ziemi nad małym strumieniem z Chantal na kolanach. Ellis stał za nią. Oboje wyglądali na wyczerpanych, przybitych klęską i załamanych.

Jean-Pierre zatrzymał się.

- Chodź tutaj - warknął na Jane.

Wstała i powlokła się w jego kierunku. Zauważył, że niesie Chantal w czymś w rodzaju hamaka przewieszzonego przez szyję, dzięki czemu ręce ma wolne. Ellis ruszył za nią.

- Ty nie - rzucił do niego Jean-Pierre. Ellis znieruchomiał.

Jane zatrzymała się przed Jean-Pierre'em i podniosła na niego wzrok. Uniósł prawą rękę i chlasnął ją z całej siły w policzek. To było najbardziej satysfakcjonujące uderzenie, jakie kiedykolwiek zadał. Zatoczyła się w tył, potknęła i myślał już, że upadnie; odzyskała jednak równowagę i stanęła prosto, patrząc na niego wyzywająco, a po twarzy spływały jej łzy bólu. Jean-Pierre dostrzegł nad jej ramieniem, jak Ellis robi nagle krok w przód, ale zaraz rezygnuje. Jean-Pierre poczuł umiarkowane rozczarowanie: gdyby Ellis usiłował jakoś zareagować, żołnierze rzuciliby się na niego i pobili. Nieważne - wkrótce dostanie swoją porcję cięgow.

Jean-Pierre podniósł rękę, żeby wymierzyć Jane drugi policzek. Skuliła się i osłoniła Chantal ramionami. Jean-Pierre zmienił zamiar.

- Będzie na to jeszcze mnóstwo czasu - powiedział opuszczając rękę. - Mnóstwo czasu.

Jean-Pierre odwrócił się i odszedł w stronę helikoptera. Jane spuściła głowę i spojrzała na Chantal. Mała odwzajemniła jej spojrzenie. Nie spała, ale nie była głodna. Jane przytuliła ją, jakby to dziecko potrzebowało pociechy. W pewnym sensie była nawet zadowolona, że Jean-Pierre ją uderzył, chociaż twarz piekła ją jeszcze z bólu i upokorzenia. Ten cios był jak orzeczenie rozwodu: oznaczał, że jej małżeństwo jest ostatecznie, oficjalnie, definitywnie zakończone, a ona zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności. Gdyby płakał albo prosił o wybaczenie, albo błagał, żeby nie nienawidziła go za to, co uczynił, ruszyłoby ją sumienie. Ale to uderzenie zakończyło wszystko. Nie czuła już do niego nic: ani krzty miłości, ani szacunku, nawet przywiązania. Cóż za ironia, pomyślała, że czuję się całkowicie od niego uwolniona w chwili, kiedy wreszcie mnie schwytał.

Do tej chwili dowodził kapitan, ten, który dosiadał konia, ale teraz przejął tę funkcję Anatolij. Skośnooki łącznik Jean-Pierre'a. Gdy wydawał rozkazy, Jane uświadomiła sobie, że rozumie, co on mówi. Minął już przeszło rok, jak nie słyszała mówionego rosyjskiego i z początku brzmiał dla niej jak bełkot, ale teraz, kiedy jej ucho się dostroiło, rozumiała każde słowo. Powiedział do jednego z szeregowców, żeby ten związał Ellisowi ręce. Żołnierz był na to prawdopodobnie przygotowany, bo wydobył zaraz parę kajdanek. Ellis ułatwił mu zadanie wyciągając przed siebie obie ręce i żołnierz skuł mu je.

Ellis wyglądał na wystraszonego i przygaszonego. Widząc go w kajdankach, pokonanego, Jane poczuła przyływ żalu i rozpacz i do oczu napłynęły jej łzy.

Żołnierz spytał, czy Jane też ma skuć.

- Nie - odparł Anatolij. - Ona ma dziecko.

Popędzono ich do helikoptera.

- Przepraszam - powiedział po drodze Ellis. - Za Jean-Pierre'a. Nie mogłem mu przeszkodzić...

Potrząsnęła głową na znak, że nie ma za co przepraszać, ale nie zdołała wydusić z siebie słowa. Niekwestionowana uległość Ellisa wzbudzała w niej gniew - nie na niego, a na tych wszystkich, którzy go do tego doprowadzili: na Jean-Pierre'a, Anatolija, Halama i na rosyjskich żołnierzy. Prawie żałowała, że nie spowodowała wybuchu.

Ellis wskoczył do helikoptera i wyciągnął rękę, by pomóc jej wejść. Podtrzymała lewą ręką nosidełko z Chantal, żeby je unieruchomić, i podała mu prawą. Podciągnął ją. W chwili, gdy znalazła się bardzo blisko niego, mruknął:

- Jak tylko wystartujemy, spoliczkuj Jean-Pierre'a.

Jane była zbyt zszokowana, by zareagować i zapewne dobrze się stało. Chyba nikt z pozostałych nie słyszał Ellisa, a gdyby nawet, to i tak żaden z nich nie znał angielskiego. Skoncentrowała się na tym, by wyglądać normalnie.

Kabina pasażerska była mała i pusta, a sufit tak niski, że mężczyźni musieli schylać głowy. Nie było w niej nic poza wąską ławeczką do siedzenia, przymocowaną do kadłuba naprzeciwko drzwi. Nie widziała kabiny pilotów. Fotel pilota wznosił się dwie do trzech stóp ponad podłogę, a za nim znajdował się schodek, po którym wchodziło się do kokpitu. Pilot wciąż tam siedział - załoga nie wysiadła z maszyny - i wciąż obracały się wirniki. Huk był niesamowity.

Ellis kucnął na podłodze obok Jane pomiędzy ławką a fotelem pilota.

Za nimi wsiadł do maszyny Anatolij z żołnierzem. Powiedział coś do żołnierza wskazując przy tym na Ellisa. Jane nie słyszała, co mówi, ale z reakcji żołnierza wynikało jasno, że kazano mu pilnować Ellisa: ściągnął karabin z ramienia i ujął go w dłonie.

Jako ostatni wdrapał się na pokład Jean-Pierre. Stał w otwartych drzwiach wyglądając na zewnątrz z unoszącego się helikoptera. Jane ogarnęła panika. Dobrze Ellisowi mówić, żeby spoliczkowała Jean-Pierre'a, kiedy będą startowali, ale jak to zrobić? W tej chwili Jean-Pierre stoi w otwartych drzwiach odwrócony do niej plecami - gdyby próbowała go uderzyć, prawdopodobnie straciłaby równowagę i wypadła. Spojrzała na Ellisa w nadziei na jakąś wskazówkę. Na jego twarzy malowało się skupienie i napięcie, ale ich oczy nie spotkały się.

Helikopter wzniósł się na osiem, może dziesięć stóp nad ziemię, zawisł tak na chwilę, potem jakby się pochylił, nabrał szybkości i zaczął znowu piąć w górę.

Jean-Pierre odwrócił się od drzwi, postąpił krok w głąb kabiny i wtedy zauważył, że nie ma gdzie usiąść. Zawahał się. Jane wiedziała, że powinna teraz wstać i uderzyć go w

twarz - chociaż nie miała pojęcia po co - ale siedziała jak przyrośnięta do swojego miejsca, sparaliżowana paniką. Nagle Jean-Pierre dał jej znak kciukiem, że ma wstać.

I wtedy zaskoczyła.

Była zmęczona, przygnębiona, obolała, głodna i nieszczęśliwa, a on chciał, żeby wstała dźwigając ich dziecko po to, by on mógł usiąść. Ten pogardliwy ruch kciuka zdawał się stanowić podsumowanie całego jego okrucieństwa, złośliwości i podłości i rozwścieczył ją. Wstała z Chantal kołysząc się jej u szyi i przysuwając twarz do jego twarzy krzyknęła:

- Ty sukinsynu! Ty sukinsynu! - Jej słowa utonęły w ryku silników i poświście wiatru, ale wyraz jej twarzy wyraźnie go przeraził, bo cofnął się przestraszony o krok. - Nienawidzę cię! - wydarła się Jane, doskoczyła do niego z wyciągniętymi przed siebie rękami i wypchnęła go z furją przez otwarte drzwi helikoptera.

\*\*\*

Rosjanie popełnili jeden błąd. Był niewielki, ale stanowił jedyną szansę Ellisa, którą ten był zdecydowany do końca wykorzystać. Ten błąd polegał na skuciu mu rąk na piersiach, a nie za plecami.

Miał nadzieję, że wcale nie założą mu kajdanek - właśnie dlatego nadludzkim wysiłkiem powstrzymał się od uczynienia czegokolwiek, kiedy Jean-Pierre zaczął bić Jane po twarzy. Wtedy istniała jeszcze szansa, że zostawią mu swobodę ruchów: był przecież bezbronny i stał wobec przewagi liczebnej. Ale wyglądało na to, że Anatolij to ostrożny człowiek.

Na szczęście nie Anatolij zakładał kajdanki - robił to żołnierz. Żołnierze wiedzą, że łatwiej poradzić sobie z więźniem, który ma ręce skute na piersiach - istnieje wtedy mniejsze prawdopodobieństwo, że się przewróci i może bez pomocy wsiadać na ciężarówkę czy do helikoptera. Kiedy więc Ellis ulegle wyciągnął przed siebie ręce, żołnierz nawet się nie zawahał.

Bez niczyjej pomocy Ellis nie zdołałby pokonać trzech mężczyzn, zwłaszcza że co najmniej jeden z tej trójki był uzbrojony. Jego szansę w otwartej walce były zerowe. Jedyną nadzieję mógł pokładać w rozbiciu helikoptera.

Nastąpiła chwila czasu martwego, kiedy Jane stała w otwartych drzwiach z kołyszącym się jej u szyi dzieckiem i patrzyła z przerażeniem na twarzy, jak Jean-Pierre wypada w przestrzeń; i w tym momencie Ellis pomyślał: jesteśmy zaledwie dwanaście stóp nad ziemią, ten sukinsyn prawdopodobnie wyżyje, wielka szkoda; potem do Jane doskoczył

Anatolij i przytrzymał ją chwytając od tyłu za ramiona. Teraz Anatolij z Jane stali między Ellisem a żołnierzem znajdującym się po drugiej stronie kabiny.

Ellis odwrócił się błyskawicznie, podskoczył w górę obok podniesionego fotela pilota, przerzucił skute kajdankami ręce przez głowę mężczyzny, ściągnął łańcuszek kajdanek na jego gardło i uwiesił się na nich całym ciężarem ciała.

Pilot nie poddał się panice.

Nie odrywając stóp od pedałów i lewej ręki od dźwigni skoku ogólnego, sięgnął w górę prawą i wpił się paznokciami w przegub Ellisa.

Ellisa ogarnęło na moment przerażenie. To była ostatnia szansa i miał do dyspozycji zaledwie jedną, najwyżej dwie sekundy. Żołnierz obecny w kabinie będzie się powstrzymywał od użycia karabinu w obawie, że postrzeli pilota; Anatolij, zakładając, że jest również uzbrojony, również będzie się tego bał; ale po chwili jeden z nich uzmysłowi sobie, że nie mają nic do stracenia, bo jeśli nie zastrzelą Ellisa, maszyna i tak się rozbije - podejmą więc ryzyko.

Ktoś chwycił Ellisa od tyłu za ramiona. Widząc kątem oka mignięcie szarego rękawa zorientował się, że to Anatolij. Strzelec siedzący w dolnej części nosa helikoptera obejrzał się i zauważywszy, co się dzieje, zaczął się gramolić ze swego miejsca.

Ellis szarpnął ostro łańcuszkiem. Pilot, nie wytrzymując dłużej bólu, poderwał w górę obie ręce i uniósł się w fotelu.

Gdy tylko ręce i stopy pilota oderwały się od sterów, maszyna zaczęła podskakiwać i zataczać się na wietrze. Ellis był na to przygotowany i utrzymał się na nogach zapierając się o oparcie fotela pilota; ale znajdujący się za nim Anatolij stracił równowagę i puścił go.

Ellis zwałkował pilota z fotela i rzucił go na podłogę, po czym sięgnął do sterów i popchnął w dół dźwignię skoku ogólnego.

Helikopter runął w dół jak kamień.

Ellis odwrócił się i przygotował na wstrząs.

Pilot leżał na podłodze kabiny u jego stóp, trzymając się kurczowo za gardło. Anatolij rozciągnął się jak długi pośrodku kabiny. Jane przykucnęła w kącie osłaniając ramionami Chantal. Żołnierz upadł również, ale odzyskał już równowagę i klęczał teraz na jednym kolanie unosząc kałasznikowa i kierując lufę na Ellisa.

W chwili gdy pociągał za spust, koła helikoptera zderzyły się z ziemią.

Wstrząs rzucił Ellisa na kolana, ale był nań przygotowany i zdołał utrzymać równowagę. Żołnierz zatoczył się w bok, a seria z jego karabinu przebiła kadłub o jard od



głowy Ellisa; upadł na twarz wypuszczając karabin z rąk i wyciągając je przed siebie, żeby zamortyzować upadek.

Ellis schylił się, porwał z podłogi karabin i ujął go niezgrabnie w skute kajdankami dłonie.

Była to chwila czystej radości.

Walczył. Uciekał, pojmano go i upokorzono, cierpiał zimno, głód i strach i stał bezsilny, kiedy policzkowano Jane; ale teraz ma nareszcie szansę, by stanąć do walki.

Położył palec na spuście. Dłonie miał skute zbyt blisko jedna drugiej, by trzymać kałasznikowa w normalnej pozycji, ale zdołał podeprzeć niekonwencjonalnie lufę chwytając lewą dłonią za zakrzywiony magazynek sterzący ku dołowi tuż przed osłoną spustu.

Silnik helikoptera zgasł i wirniki zaczęły zwalniać. Ellis rzucił spojrzenie na pokład nawigacyjny i zobaczył, że strzelec wyskakuje przez drzwi po stronie pilota. Musi szybko przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim Rosjanie na zewnątrz pozbierają się z rozumem.

Przesunął się tak, że Anatolij, który leżał rozciągnięty na podłodze, znalazł się między nim a drzwiami kabiny pasażerskiej i przyłożył lufę karabinu do jego policzka.

Żołnierz gapił się na niego przerażony z kąta.

- Wysiadaaj - warknął Ellis wskazując mu ruchem głowy drzwi. Żołnierz zrozumiał i wyskoczył z maszyny.

Pilot wciąż leżał i miał wyraźne kłopoty z oddychaniem. Ellis kopniakiem zwrócił na siebie jego uwagę i kazał mu też wysiadać. Mężczyzna podźwignął się z trudem na nogi i wciąż trzymając się za gardło wyskoczył przez drzwi za żołnierzem.

- Powiedz temu facetowi, żeby wysiadał z helikoptera i stanął tuż przy nim plecami do mnie - zwrócił się do Jane. - Szybciej, szybciej!

Jane wydarła się potokiem rosyjskiego na Anatolija. Ten podniósł się na nogi, posłał Ellisowi pełne nienawiści spojrzenie i powoli wygramolił się z maszyny.

Ellis przyłożył lufę karabinu do karku Anatolija i znowu zwrócił się do Jane.

- Powiedz mu, żeby kazał się reszcie nie ruszać.

Jane powtórzyła jego polecenie Anatolijowi i ten wydał krzykiem rozkaz. Ellis rozejrzał się wokoło. W pobliżu stali pilot, strzelec i żołnierz. Tuż za nimi siedział na ziemi Jean-Pierre trzymający się za kostkę; musiał szczęśliwie spaść, pomyślał Ellis - nic takiego mu się nie stało. Dalej stali pozostali trzej żołnierze, kapitan, koń i Halam.

- Powiedz Anatolijowi, żeby rozpiął płaszcz, wyjął powoli swój pistolet i podał go tobie - polecił Ellis Jane.

Jane przetłumaczyła. Gdy Anatolij wyciągał pistolet z kabury i podawał go za siebie, Ellis wcisnął silniej lufę karabinu w jego kark. Jane odebrała od Rosjanina pistolet.

- To makarow? - spytał Ellis. - Tak. Po lewej stronie znajdziesz bezpiecznik. Przesuń go tak, żeby zasłonił czerwoną kropkę. Żeby wystrzelić, musisz najpierw odciągnąć do tyłu suwadło nad rękojeścią, a potem nacisnąć spust. Zrozumiałas?

- Zrozumiałam - odparła. Pobladła i drżała, ale usta jej były zaciśnięte w linię zdecydowania.

- Powiedz mu, żeby kazał żołnierzom podchodzić tu pojedynczo z bronią i wrzucać ją do helikoptera - powiedział Ellis.

Jane przetłumaczyła to i Anatolij wydał rozkaz.

- Celuj do nich z pistoletu, kiedy będą się zbliżać - dorzucił Ellis.

Żołnierze zaczęli podchodzić kolejno i zdawać broń.

- Pięciu młodych mężczyzn - mruknęła Jane.

- Co mówisz?

- Był kapitan, Halam i pięciu młodych mężczyzn. Teraz widzę tylko czterech.

- Powiedz Anatolijowi, że jeśli chce żyć, ma znaleźć tego piątego.

Jane krzyknęła do Anatolija i Ellisa zaskoczyła siłą jej głosu. Wykrzykując rozkaz, Anatolij sprawiał wrażenie przestraszonego. W chwilę później zza ogona helikoptera wyszedł piąty żołnierz i tak jak pozostali oddał swój karabin.

- Dobra robota - powiedział Ellis do Jane. - Mógłby wszystko zepsuć. Teraz każ im się położyć.

Po minucie leżeli już wszyscy twarzami do ziemi.

- Musisz mi teraz przestrzelić kajdanki - zwrócił się Ellis do Jane.

Odłożył karabin i stanął z rękami wyciągniętymi w kierunku drzwi.

Jane odciągnęła suwadło pistoletu i przyłożyła lufę do łańcuszka. Ustawili się tak, by wystrzelony pocisk wyleciał przez drzwi.

- Mam nadzieję, że nie popękają mi te cholerne przeguby - mruknął Ellis.

Jane zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

- O kurwa! - ryknął Ellis. W pierwszej chwili ból w nadgarstkach był straszny. Po chwili uświadomił sobie, że jednak, w odróżnieniu od łańcuszka, nie popękaly.

Podniósł z podłogi karabin.

- Teraz niech mi oddadzą radio - polecił.

Na rozkaz Anatolija kapitan zaczął odpinać wielkie pudło przytroczone do grzbietu konia.

Ellis zastanawiał się tymczasem, czy helikopter może jeszcze latać. Zniszczone ma pewnie podwozie i kto wie co jeszcze pod brzuchem; ale silnik i główne instalacje znajdują się na górze. Przypomniawszy sobie, że podczas bitwy pod Darg widział, jak taki sam Hind wali się na ziemię z wysokości dwudziestu paru stóp, a potem znowu wznosi w powietrze.

Jeśli tamten mógł to zrobić, to i to draństwo nie powinno być gorsze, pomyślał. Gdyby jednak...

Nie wiedział, co zrobi, gdyby okazało się, że jest inaczej.

Kapitan przydźwigał radio, wstawił je do helikoptera i odszedł.

Ellis pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Dopóki ma radio, Rosjanie nie są w stanie skontaktować się ze swoją bazą, a co za tym idzie, nie mogą wezwać posiłków ani powiadomić nikogo o tym, co zaszło. Gdyby Ellisowi udało się poderwać maszynę w powietrze, mógłby się nie obawiać pościgu.

- Trzymaj Anatolija na muszce - powiedział do Jane. - Ja idę sprawdzić, czy to pudło poleci.

\*\*\*

Jane była zaskoczona ciężarem pistoletu. Celując do Anatolija przez chwilę trzymała rękę wyciągniętą, ale szybko musiała ją opuścić, żeby odpocząła. Lewą ręką gładziła Chantal po plecach. Przez ostatnie kilka minut Chantal to płakała, to się uspokajała, ale w tej chwili była spokojna.

Silnik helikoptera zaskoczył, zakrztusił się i zawahał. Proszę cię, wystartuj, modliła się: błagam, leć.

Silnik obudził się z rykiem do życia i zobaczyła, że łopatki wirnika zaczynają się obracać.

Jean-Pierre spojrzał w górę.

Nie waż się, pomyślała. Nie ruszaj się!

Jean-Pierre usiadł prosto, spojrzał na nią i z grymasem bólu na twarzy podźwignął się na nogi.

Jane wymierzyła do niego z pistoletu.

Ruszył w jej kierunku.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzeliła! - krzyknęła, ale jej głos utonął w narastającym ryku helikoptera.

Anatolij musiał widzieć Jean-Pierre'a, bo przekręcił się na plecy i usiadł. Jane skierowała na niego pistolet. Podniósł ręce w geście poddającego się. Jane przesunęła lufę pistoletu z powrotem w kierunku Jean-Pierre'a. Jean-Pierre nadal się zbliżał.

Jane poczuła, że helikopter zadygotał i próbuje się oderwać od ziemi.

Jean-Pierre był już blisko. Widziała wyraźnie jego twarz. Rozrzucił szeroko ręce w błagalnym geście, ale w jego oczach płonęło szaleństwo. Zwariował, pomyślała; ale może stało się to już dawno.

- Zrobię to! - krzyknęła, chociaż wiedziała, że jej nie słyszy. - Zastrzelę cię!

Helikopter oderwał się od ziemi.

Jean-Pierre puścił się biegiem.

Podskoczył do unoszącej się maszyny i wylądował na pokładzie. Jane miała jeszcze nadzieję, że znowu wypadnie, ale utrzymał równowagę. Spojrzał na nią pałającymi nienawiścią oczyma i zebrał się do skoku.

Zamknęła oczy i pociągnęła za spust.

Rozległ się huk i pistolet podskoczył jej w dłoni.

Otworzyła oczy. Jean-Pierre nadal stał prosto z wyrazem zdziwienia na twarzy. Na przodzie jego płaszcza powiększała się ciemna plama. Ogarnięta paniką Jane pociągnęła za spust jeszcze raz i jeszcze, i po raz trzeci. Pierwsze dwa strzały chybiły, ale trzeci trafił go chyba w ramię. Obrócił się wokół własnej osi i wypadł twarzą naprzód przez otwarte drzwi.

I już go nie było.

Zabiłam go, pomyślała.

W pierwszej chwili poczuła coś w rodzaju euforii. Usiłował ją złapać, uwięzić i uczynić swoją niewolnicą. Tropił ją jak zwierzę. Zdradził ją i pobił. Teraz go zabiła.

Potem spłynął na nią smutek. Usiadła na pokładzie i rozplakała się. Chantal też uderzyła w płacz. Jane zaczęła ją kołysać i teraz płakały już obie.

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała. W końcu podniosła się z podłogi, przeszła na przód i stanęła obok fotela pilota.

- Nic ci nie jest? - krzyknął do niej Ellis.

Pokręciła głową i zdobyła się na blady uśmiech.

Ellis też się uśmiechnął, pokazał na paliwomierz i wrzasnął:

- Spójrz - pełne zbiorniki!

Pocałowała go w policzek. Pewnego dnia wyzna mu, że zastrzeliła Jean-Pierre'a; ale jeszcze nie teraz.

- Jak daleko do granicy? - spytała.

- Niecała godzinę. I nie wyślą za nami nikogo, bo mamy ich radio.

Jane popatrzyła przez przednią szybę. Na wprost widziała góry o ośnieżonych szczytach, na które musiałyby się wspinać. Wątpię, czy dałabym radę, przyznała w duchu. Podejrzewam, że padłabym w śnieg i umarła.

Na twarzy Ellisa malował się wyraz zadumy.

- O czym myślisz? - spytała.

- Myślałem właśnie, że mam wielką ochotę na kanapkę z rostbefem, sałatą, pomidorem i majonezem, a wszystko to na białym chleбку - powiedział i Jane uśmiechnęła się.

Chantal poruszyła się i zapłakała. Ellis oderwał rękę od sterów i dotknął jej różowego policzka.

- Jest głodna - stwierdził.

- Pójdę na tył i zajmę się nią - powiedziała Jane. Wróciła do kabiny pasażerskiej i usiadła na ławeczce. Helikopter leciał we wschodzące słońce, a ona rozpięła płaszcz i koszulę i zaczęła karmić małą.

CZEŚĆ 3: 1983

## ROZDZIAŁ 20

Idąc podmiejską alejką dojazdową i zajmując miejsce obok kierowcy w samochodzie Ellisa, Jane była we wspaniałym nastroju. To było udane popołudnie. Pizza smakowała wybornie, a Petal uwielbiała *Flashdance*. Ellis bardzo się obawiał ceremonii przedstawienia córki swej przyjaciółce, ale Petal zachwyciła się sześciomiesięczną Chantal i wszystko poszło gładko. Ellis wpadł z tego powodu w tak dobry nastrój, że kiedy odwozili Petal, zaproponował Jane, żeby podeszła razem z nim podjazdem pod dom i przywitała się z Gill. Gill zaprosiła ich do środka i też zaczęła się zachwycać Chantal, i tak Jane chcąc nie chcąc poznała zarówno jego córkę, jak i eks-żonę - i to wszystko jednego popołudnia.

Ellis - Jane nie mogła przywyknąć do faktu, że naprawdę ma na imię John i postanowiła dalej nazywać go Ellisem - położył Chantal na tylnym siedzeniu i wsiadł do wozu obok Jane.

- No i co ty na to? - zapytał ruszając.

- Nie mówiłeś mi, że jest ładna - powiedziała Jane.

- Petal jest ładna?

- Miałam na myśli Gill - roześmiała się Jane.

- Tak, jest ładna.

- To bardzo mili ludzie i nie zasługują na zadawanie się z kimś takim jak ty.

Żartowała, ale Ellis pokiwał poważnie głową.

Jane nachyliła się i dotknęła jego uda.

- Nie mówiłam serio - powiedziała.

- Ale to prawda.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Od dnia, kiedy uciekli z Afganistanu, minęło już sześć miesięcy. Od czasu do czasu Jane wybuchała jeszcze płaczem bez żadnego widocznego powodu, ale nie miewała już koszmarów, w których raz po raz zabijała Jean-Pierre'a. O tym, co się wydarzyło, nie wiedział nikt prócz niej i Ellisa - Ellis nie wyjawiał prawdy o śmierci Jean-Pierre'a nawet swoim przełożonym - i Jane postanowiła, że powie Chantal, iż jej ojciec zginął w Afganistanie na wojnie; tylko tyle.

Zamiast kierować się z powrotem do miasta, Ellis jechał bocznymi uliczkami i w końcu skręcił na pustawy parking, z którego roztaczał się widok na rzekę.

- Co będziemy tutaj robić? - spytała Jane. - Kochać się?

- Jeśli masz ochotę. Ale chciałem porozmawiać.

- Okay.

- To był udany dzień.

- Przyznaję.

- Petal była ze mną dzisiaj bardziej na luzie niż kiedykolwiek przedtem.

- Ciekawe dlaczego?

- Mam pewną teorię - powiedział Ellis. - To dzięki tobie i Chantal. Jestem teraz częścią rodziny, nie stanowią już zagrożenia dla jej domu i jej stabilizacji. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- To brzmi sensownie. O tym właśnie chciałeś porozmawiać?

- Nie. - Zawahał się. - Odchodzę z Agencji.

Jane skinęła głową.

- Nareszcie - powiedziała z ulgą. Czekala na coś takiego. Regulował swoje rachunki i zamykał księgi.

- Afgańska misja jest w zasadzie zakończona - ciągnął. - Program szkoleniowy Masuda rozkręca się i Afgańczycy otrzymują swoje pierwsze dostawy. Masud jest teraz tak silny, że negocjuje z Rosjanami zimowe zawieszenie broni.

- Wspaniale! - powiedziała Jane. - Jestem za wszystkim, co prowadzi do przerwania ognia.

- Kiedy ja byłem w Waszyngtonie, a ty w Londynie, zaproponowano mi inną pracę. To coś, co zawsze chciałem robić, a do tego dobrze płatne.

- Co to takiego? - spytała Jane zaintrygowana.

- Praca w nowych prezydenckich służbach do zwalczania zorganizowanej przestępczości.

Serce Jane przeszły igielka strachu.

- Czy to niebezpieczne?

- Jeśli o mnie chodzi, to nie. Jestem już za stary do pracy w terenie. Do moich obowiązków będzie należało kierowanie działalnością tajnych agentów.

Jane była pewna, że nie jest z nią zupełnie szczerzy.

- Nie kręć, draniu - powiedziała.

- No więc, jest to mniej niebezpieczne od tego, czym się dotychczas zajmowałem. Ale z drugiej strony nie tak bezpieczne jak praca w przedszkolu.

Uśmiechnęła się do niego. Wiedziała już, do czego zmierza, i nie posiadała się z radości.

- Poza tym będę miał bazę wypadową tutaj, w Nowym Jorku.



To ją zaskoczyło.

- Naprawdę?

- Co cię tak dziwi?

- Bo rozpoczynam pracę w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tutaj, w Nowym Jorku.

- Nie powiedziałaś mi, że nosisz się i takim zamiarem! - powiedział urażonym tonem.

- Ty też mi się nie zwierzałeś ze swoich planów - obruszyła się.

- Teraz ci o nich mówię.

- A ja tobie.

- Ale... zostawiłabyś mnie?

- A dlaczego mielibyśmy mieszkać tam, gdzie ty pracujesz? Dlaczego nie tam, gdzie pracuję ja?

- Przez ten miesiąc, kiedy nie byliśmy razem, zapomniałem zupełnie, jaka jesteś cholernie obraźliwa - powiedział.

- Racja.

Zapadło milczenie.

W końcu przerwał je Ellis.

- No nic, jeśli już oboje mamy mieszkać w Nowym Jorku...

- Moglibyśmy prowadzić wspólny dom?

- Tak - odparł niepewnie.

Nagle pożałowała swoich słów. Właściwie nie był lekkoduchem, lecz zwyczajnym tępakiem. Tam, w Afganistanie, prawie go straciła, i teraz nie potrafiła się już na niego długo boczyć, bo zawsze będzie pamiętała, jak panicznie się bała, że rozdzieli ich na zawsze, i jak niewyobrażalnie była szczęśliwa, kiedy zostali razem i przetrwali.

- W porządku - powiedziała łagodniej. - Prowadźmy wspólny dom.

- Prawdę mówiąc... myślałem o zalegalizowaniu tej sprawy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Na to właśnie czekała.

- Zalegalizowaniu? - spytała udając, że nie rozumie.

- Tak - bąknął ostrożnie. - Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się pobrać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Roześmiała się serdecznie.

- Zrób to jak należy, Ellis! - powiedziała. - Oświadczyć mi się!

Ujął jej dłoń.

- Jane, moja droga, kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?
- Tak! Tak! - wykrzyknęła. - Jak najszybciej! Jutro! Dzisiaj!
- Dziękuję ci - powiedział.

Nachyliła się i pocałowała go.

- Ja też cię kocham.

Siedzieli potem w milczeniu, trzymając się za ręce i patrząc na zachodzące słońce. To zabawne, pomyślała Jane, ale Afganistan wydaje się teraz tak nierealny jak zły sen; wyrazisty, ale już nie przejmujący strachem. Dostyc dobrze pamiętała ludzi - mułkę Abdullaha i akuszerkę Rabię, przystojnego Mohammeda i zmysłową Zaharę, i oddaną Farę - ale bomby i helikoptery, strach i przeżycia zamazywały się w pamięci. W jej odczuciu prawdziwa przygoda zaczynała się teraz; małżeństwo, wychowywanie Chantal i urządzenie świata tak, by lepiej było jej w nim żyć.

- Jedziemy? - spytał Ellis.
  - Jedziemy. - Uścisnęła go jeszcze raz za rękę i puściła. - Mamy dużo do zrobienia.
- Zapuścił silnik i ruszyli w kierunku miasta.